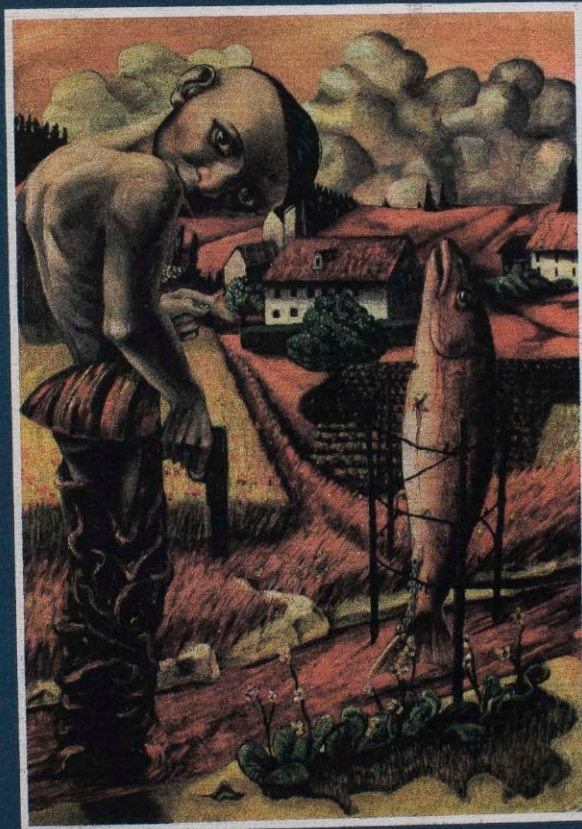


NARODY ● KULTURY ● MAŁE OJCZYZNY
EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ

KRASNOGRUDA

zima '95
nr 4



*CÓŻ PO INTELIGENCJI
W CZASIE MARNYM?*

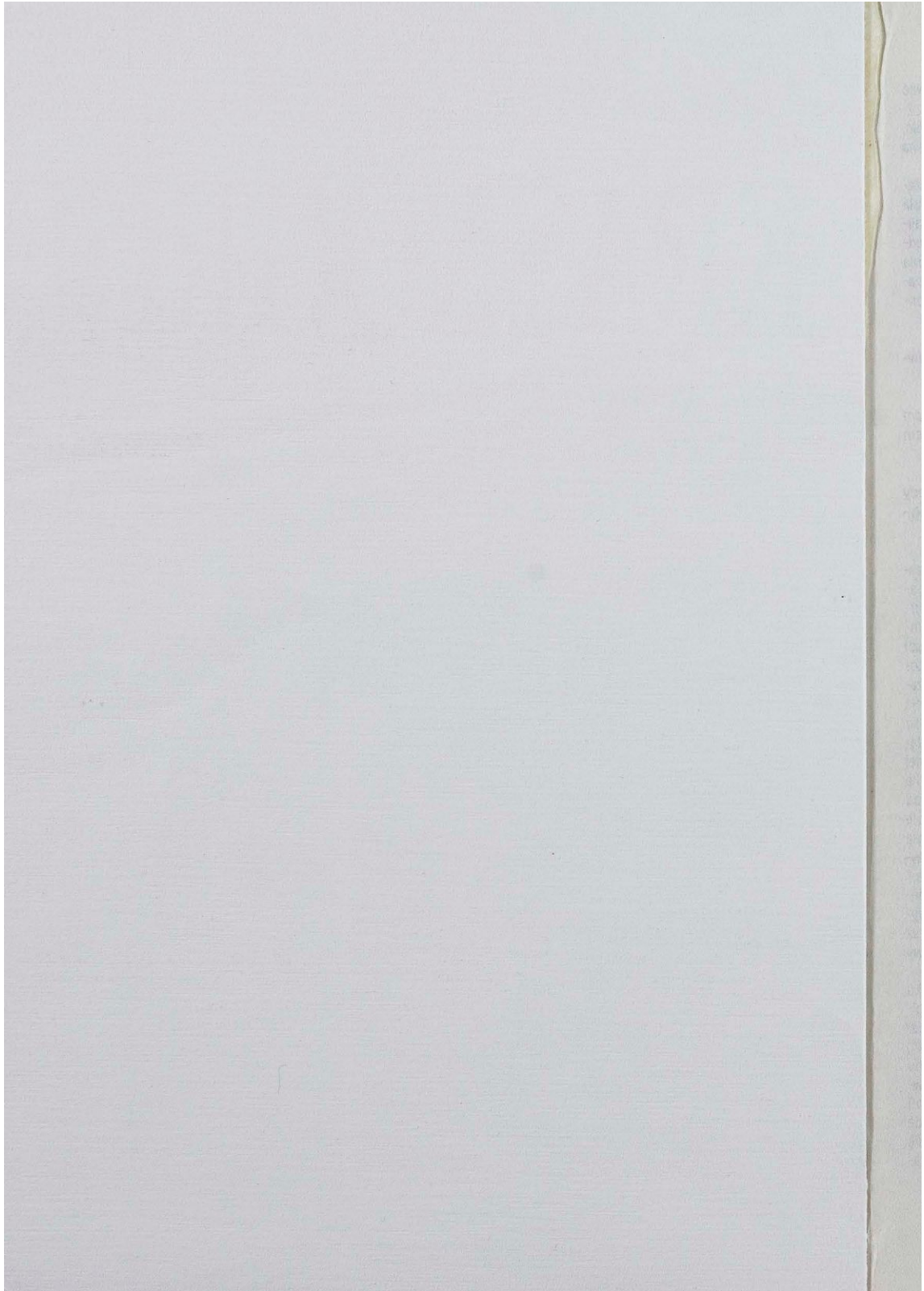
ELEGIA SARAJEWSKA

★ INNA SERBIA ★ POLESIE

★ KOZACY ★ CHASYDZI



★ ČOLOVIĆ ★ DEBELJAK
★ HERBACZEWSKI ★ JANČAR
★ KIELAR ★ KROH ★ MIŁOSZ
★ OSZTOJKÁN ★ PANKOK
★ PAŹNIEWSKI ★ POPOV
★ PRODANOVIĆ ★ TONTIĆ
★ ŠALAMUN



KRASNOGRUDA FOWROT

KRASNOGRUDA

zima '95

W tym numerze...

W tym numerze...

W tym numerze...

KRASNOGRUDA-POWRÓT

Wiersz „Powrót” Czesława Miłosza powstał po pobycie poety na Suwalszczyźnie w 1989 roku. Były to pierwsze po pięćdziesięciu latach odwiedzin miejsc, gdzie autor *Trzech zim* przebywał w młodości. Jak bardzo poruszyła go ta wyprawa, świadczy wypowiedź zanotowana w Wigrach 23 września, a więc nazi jutrz po przyjeździe:

Gdybym był na Suwalszczyźnie w 1981 roku podczas swojej pierwszej wizyty w kraju reagowałbym inaczej. Wówczas panowała sytuacja niesłychanie napięta, te ciągle paniki przed interwencją, i sam byłem w stanie ciągłego obłąkania przez dziennikarzy etc.

Dobrze się więc stało, że przyjechałem z opóźnieniem. Przechodzimy ewolucję, przechodzimy ciągle zmiany. Myślę, że ten przyjazd zbliżył się również z moją wewnętrzną ewolucją w ciągu ostatnich ośmiu lat. Tak, że ten pobyt tu, na Suwalszczyźnie, jest niesłychanie ważny. Bardzo się cieszę, że nie jestem jeszcze martwą bryłą, że mogę odbierać wszystko intensywnie.

Przyjechałem tu na progu najbardziej ulubionego przeze mnie miesiąca, października. I ta wspaniała pogoda. Naprawdę nie oczekiwałem takiego daru od Pana Boga, jak te dni tutaj. Pobyt na Suwalszczyźnie jest dla mnie czymś fantastycznym.

Słowo „dar”, które pojawiło się przy końcu tej wypowiedzi, ma swoje ważne miejsce w słowniku poetyckim Miłosza. Poświęcił mu nawet piękny osobny liryk rozpoczynający się zdaniem: *Dzień taki szczęśliwy, dzień, kiedy:*

*Nie było na ziemi rzeczy, którą
chciałbym mieć.
Nie znałem nikogo, komu warto
byłoby zazdrościć.
Co przydarzyło mi się złego,
zapomniałem.
Nie wstydziłem się myśleć, że byłem,
kim jestem.*

Nie czułem w ciele żadnego bólu.

Mamy więc podstawy przypuszczać, że pobytowi na Suwalszczyźnie towarzyszyły podobne doznania.

Zbigniew Fattynowicz zauważył, „że Krasnogruda przewija się we wspomnieniach oraz w twórczości Miłosza od *Trzech ziem* (1936) po *Rok myśliwego* (1990)”. Nic więc dziwnego, że od dawna budziła zainteresowanie wszystkich, którzy bliżej zetknęli się z dziełem autora *Gdzie wschodzi słońce i kędy zapada*. O Krasnogrudę pytał Aleksander Fiut w rozmowach z poetą. Wypowiedź to zbyt obszerna, by zacytować ją w całości, ale przytoczmy chociaż najbardziej istotne fragmenty: *...ja jako dziecko byłem raczej, mnie się wydaje, dość normalny i bardzo szczęśliwy, natomiast kiedy byłem nastolatkiem, byłem strasznie nieszczęśliwy i okropnie nieśmiały, i okropnie udręczony*. Pytany dalej o przeżycia związane z tym miejscem, poeta odpowiedział: *Zawsze mnie to jakoś onieśmiałło. Jakiś dramat miłosny przeżyłem, chciałem się zastrzelić. Robiłem rosyjski pojedynek, to znaczy wykręcałem część naboju z bębienka i potem... Takie różne rzeczy. Jakieś wielkie samotności, wielkie udręki. Potem to się zmieniło, naturalnie; już byłem młodym człowiekiem, bardziej w sobie osadzonym. Zresztą Krasnogruda jest dla mnie miejscem bardzo wielu sprzecznych przeżyć.*

Po takim wyznaniu czyż można się dziwić, że już po odwiedzeniu tego miejsca, powiedział poeta: *O wrażeniach z pobytu w Krasnogrudzie wolałbym nie mówić. To zbyt intymne*. Ale milczenie okazało się niesłychanie brzemienne, bo już w marcowym numerze paryskiej „Kultury” w roku 1990 opublikował interesujący nas tutaj wiersz, w którym wypowiedział niemal „do końca” (na tyle, na ile jest to w poezji możliwe) tajemnicę Krasnogrudy.

Czesław Miłosz, jak sam często powtarzał, zawsze miał „ogromne obawy przed osłonięciem się”. „To już są może moje chorobliwe cechy” – powiedział w rozmowie z Ewą Czarnecką (Renatą Górczyńską). *Pięć lat temu nie rozmawiałbym z panią. A piętnaście lat w ogóle nie byłoby mowy. Tak więc jest nadzieja, że jak pani poczeka, to jeszcze o różnych sprawach porozmawiamy*. Początkowo

wers „Powrotu” wydaje się nawiązywać do tego przekonania:

*W starości wybrałem się do miejsc,
po których kiedyś błędziła moja wczesna
młodość.*

To nie kokieteria, ale raczej korzystanie z przywileju starości, która pozwala bez skrępowania mówić nawet o „wstydlivych” przeżyciach młodości. Poeta jednak unika tak jednoznacznego określenia słowa „starość”, sytuując je od razu w następnych wersach w zupełnie innym kontekście:

Rozpoznałem zapachy, linie polodowcowych pagórków, owalne misy jezior.

Przedzieralem się gąszczem, tam gdzie kiedyś był park, ale nie znalazłem śladów alei.

Stanąłem nad wodą i tak jak wtedy lekko tuszyla się fala, niepojęta identyczność, niepojęte oddzielenie.

Ten fragment należałoby raczej odczytywać poprzez cytowane tu zdanie, wyrażające radość, „że nie jestem jeszcze martwą bryłą, że mogę odbierać wszystko intensywnie.” I istotnie, zdumiewać musi intensywność emocjonalna bohatera, który po pół wieku nie tylko „rozpoznaje zapachy” i krajobrazy, ale z zapalczywością młodzieńca „przedziera się gąszczem”, by z zalem skonstatować, że nie znalazł „śladów alei”. Po tej niezwykle dynamicznej części następuje tak ważne nie tylko dla poezji Czesława Miłosza zatrzymanie „nad wodą wielką i czystą”. Poeta niewątpliwie nawiązuje do genialnego liryku Adama Mickiewicza, w którym: „... woda, jak dawniej czysta, / Stoi wielka i przejrzysta.” W wierszu Miłosza czytamy: „niepojęta identyczność, niepojęte oddzielenie”. To wyznanie, podobnie jak cytowany dwuwiersz Mickiewicza, należy uznać za kluczowy fragment wiersza.

Miłosz już w powstałym w 1937 roku głośnym wierszu „W mojej ojczyźnie”, pisał: *Pochylam się i widzę tam na dnie/ Blask mego życia*. Tutaj, „w starości”, musiał ujrzeć pełnię, jaka wtedy była mu jeszcze niedostępna. A jednak gwałtownie odrzuca postawę mędrca, który potrafi we właściwych proporcjach widzieć każde doświadczenie. Do końca solidaryzuje się z owym młodzieńcem, jakim był przed la-

ty: ... nie zaprę się Ciebie, nieszczęsny młodziku i powodów Twoich cierpień nie nazwę głupimi.

Po tylu latach i ogromie doświadczeń, po przebyciu niezmiernie długiej drogi z miejsca „gdzie wschodzi słońce” po to, „kiedy zapada”, potrafi postawić te same pytania sprzed półwiecza z tymi samymi emocjami! Niezwykłość tego kroku wydaje się przekraczać granice literatury, stając się wręcz zapisem autentycznych, osobistych przeżyć.

Komu nagle odsłania się bezlitosna prawda istnienia, ten nie może nie spytać: jak to jest możliwe?

Jak jest możliwe, chyba wymyślone przez okrutnego demiurga, takie urządzenie świata?

Czesław Miłosz, „stary profesor z Berkeley”, doskonale wie, że takie urządzenie świata jest możliwe. Ale „niepojęta identyczność” odnaleziona „nad wodą” sprawiła, że na powrót myśli i czuje, jak ów młodzieniec, którym był przed pięćdziesięciu laty. Powtórzmy zatem pytanie, już kiedyś postawione przez Ewę Czarnęcką: *Panu nadal smakują „manichejskie trucizny”?* I otrzymalibyśmy zapewne tę samą odpowiedź: *Naturalnie, jak najbardziej.* Powraca więc podział świata na prawdziwą, pełną pulsujących emocji młodość i „obojętną wiedzę dorosłych.” Dochodzi do głosu Miłosz-moralista, jakiego znamy choćby z głębokiego wiersza „Nie tak”. W dwu sąsiednich segmentach wiersza, zestawionych niby teza i antyteza, albo raczej krótkie „nie” i „tak” (charakterystyczne jest to uszeregowanie na zasadzie inwersji – najpierw negacją, a dopiero później twierdzeniem, by tym mocniej zaakcentować część pozytywną):

Obojętna wiedza dorosłych nie przynosi zaszczytu i hańbiąca jest zgoda ćwiczona w chytrości.

Honorowany niech będzie protest przeciw niezłomnemu prawu i bębnekowy pistolet w rękę młodzianków, kiedy na wieki wyrzekają się uczestnictwa.

I jakby tej deklaracji było mało, poeta powraca do tamtych wydarzeń, nie kryjąc niczego, odrzucając fałszywy wstyd:

A wtedy - czyż nie było tak? - dłoń kobiety zakrywa nam oczy i złożony zostaje dar: brunatne tarcze jej piersi, hebano-

wa kępka podbrzusza nad zrzuconą suknią.

Jak bije serce! Więc tylko dla mnie takie szczęście, nikt nie wie, nikt nie zna złotej cudowności jej ciała.

Nie sposób powiedzieć, czy to tylko zapamiętane przeżycia czy emocje przeżywane po raz pierwszy: tyle tu kolorów i chłapiących okrzyków zdobywcy! I znowu to ważne słowo: *dar*, dzięki któremu zupełnie nie pojawia się tutaj aura grzechu. Przeciwnie, „złota cudowność jej ciała” przydaje ukazywanym doznaniom jakiejś — powiedziałbym — anielskości.

„Stary poeta” nie tylko utrwala w swojej poezji portret młodzieńca, ale nawet chyli przed nim głowę: *Tylko dla Ciebie - kiwam głową i patrzę na jezioro - tylko dla Ciebie i tak od milleniów, żeby sławione było piękno ziemi.* Z pradawnej *Pieśni nad pieśniami* wiemy, że nikt tak nie sławi piękna świata, jak kochankowie przeżywający po raz pierwszy to najgłębsze ludzkie uczucie.

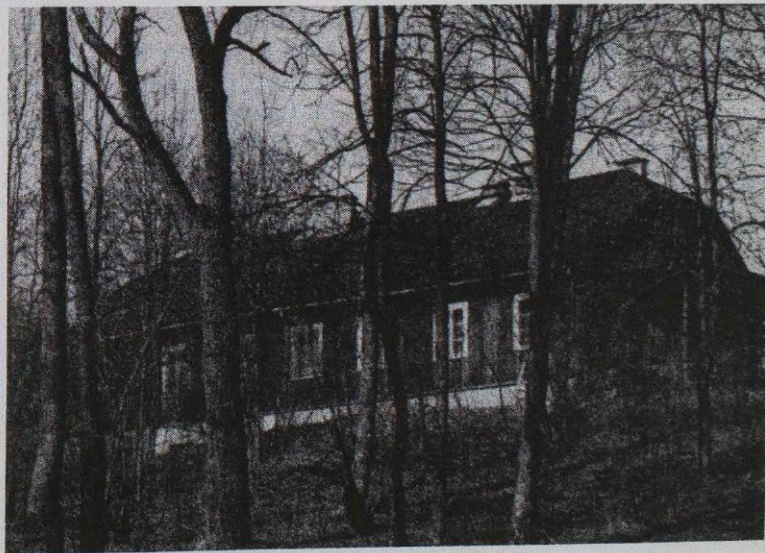
Po tym przywołanym młodzieńczym spełnieniu, powraca tonacja „starego poety”, który *po długim życiu, podstępnie sprawiedliwy, mądry tylko szukaniem, zapytuje, czy było warto.* Ale już sam dobór słów charakteryzujących ludzkie doświad-

czenie („podstępnie sprawiedliwy”, „mądry tylko szukaniem”) nie pozostawia żadnych wątpliwości jak rozkładają się sympatie autora. Wygłaszając tak otwarcie obrazoburcze przekonanie poeta nie czuł nawet „przeletu zatroskanych duchów”, które powinny podjąć walkę o jego duszę, jeżeli naruszył święte prawa. I jedyny żal, jaki pojawia się w tym wierszu, to brak owej kochanki sprzed lat, by móc powiedzieć, że jej wątpliwości okazały się zupełnie niepotrzebne.

W ostatnich trzech segmentach wiersza poeta zupełnie odrywa się od przywołanej dramatycznej historii z czasów młodości i próbuje dokonać bilansu życia, ocalonego przed pół wiekiem. Nie ma w nim euforii, ani nawet choćby próby zadośćuczynienia losowi. Wyznaje po prostu: „Jakoś przebrnąłem”.

Mimo przeżytych uniesień, trudził się i wybierał jednak przeciwieństwo chaosu — „naturę doskonałą”. Zwyciężyła potrzeba sensu, zdobywana z takim mozolem, wśród wątpliwości, których nic nie było w stanie uspić. Nie wynikało to jednak z osobistego heroizmu, ale - jak to dopowiedział poeta w innym wierszu - samej natury słowa, które raz obudzone przez *nietrwale usta / (...) biegnie i biegnie, posel niestrudzony...*

WALDEMAR SMASZCZ



THE JOURNAL OF THE

The Journal of the American Medical Association is a weekly publication of the American Medical Association, published in Chicago, Illinois. It is the official journal of the American Medical Association and is one of the most widely read and influential medical journals in the world. The journal covers a wide range of topics, including clinical medicine, public health, and medical education. It is a valuable resource for medical professionals and students alike.

The Journal of the American Medical Association is a weekly publication of the American Medical Association, published in Chicago, Illinois. It is the official journal of the American Medical Association and is one of the most widely read and influential medical journals in the world. The journal covers a wide range of topics, including clinical medicine, public health, and medical education. It is a valuable resource for medical professionals and students alike.

The Journal of the American Medical Association is a weekly publication of the American Medical Association, published in Chicago, Illinois. It is the official journal of the American Medical Association and is one of the most widely read and influential medical journals in the world. The journal covers a wide range of topics, including clinical medicine, public health, and medical education. It is a valuable resource for medical professionals and students alike.

The Journal of the American Medical Association is a weekly publication of the American Medical Association, published in Chicago, Illinois. It is the official journal of the American Medical Association and is one of the most widely read and influential medical journals in the world. The journal covers a wide range of topics, including clinical medicine, public health, and medical education. It is a valuable resource for medical professionals and students alike.

The Journal of the American Medical Association is a weekly publication of the American Medical Association, published in Chicago, Illinois. It is the official journal of the American Medical Association and is one of the most widely read and influential medical journals in the world. The journal covers a wide range of topics, including clinical medicine, public health, and medical education. It is a valuable resource for medical professionals and students alike.

NARODY ● KULTURY ● MAŁE OJCZYZNY
EUROPY ŚRODKOWOSCHODNIEJ

KRASNOGRUDA



Sejny ● zima '95 ● nr 4

Redaktor naczelny
Krzysztof Czyżewski

Zespół
Marzanna B. Kielar
Marcin Niemojewski
Vladimir Petrлік
Rolandas Raustauskas

Redaktor
Zbigniew Fałtynowicz

Redaktor graficzny
Wiesław Osewski

Łamanie komputerowe
Dariusz Szejder

Na okładce:
I strona
obraz Marko Jakše
z Lublany
IV strona
grafika
Wiesława Szumińskiego

Wydawca
Ośrodek
„Pogranicze - sztuk,
kultur, narodów”

Adres redakcji
KRASNOGRUDA
16-500 Sejny
ul. J. Piłsudskiego 37
tel. (087) 162 189
POLAND

ISSN 1230 - 7645

FORUM

„ROK 1994”	s. 11
CÓŻ PO INTELIGENCJI W CZASIE MARNYM? (dyskusja)	s. 13
MAŁGORZATA DZIEWULSKA: <i>Po pierwsze, pisać wiersze. Po trzecie, nie zbawiajmy świata</i>	s. 27
IVAN ČOLOVIĆ: <i>Mit granicy</i>	s. 31
NEBOJŠA POPOV: <i>Wojenny sposób życia</i>	s. 37

ZAŁĘK LITERACKI

Wiersze:

MARZANNA BOGUMIŁA KIELAR – STEVAN TONTIĆ (przeł. Danuta Cirlić-Straszyńska) – TOMAŻ ŠALAMUN (przeł. Katarina Šalamun-Biedrzycka) – „Tomaž Šalamun roku 1974 i 1994”. Rozmowy – ZBIGNIEW CHOJNOWSKI – STANISŁAW SZEWCZENKO (przeł. Waldemar Smaszcz)	s. 43
---	-------

Proza:

BÉLA OSZTOJKÁN: <i>Świat, jaki stworzył Bóg</i> . Przeł. Ewa Miszewska-Michalewicz	s. 68
--	-------

Dramat:

TERESA LUBKIEWICZ—URBANOWICZ: <i>Małanka</i> (dokończenie)	s. 82
--	-------

PRACOWNIA GRAFIKI

OTTO PANKOK	s. 95
-------------------	-------

BRACTWA NARODOWE I REGIONALNE

ANTONI KROH: <i>Bukowińskie dzieciństwo</i>	s. 101
JACEK BORKOWICZ: <i>Dzieje Kozaków rosyjskich</i>	s. 112
ANNA ENGELKING, GRAŻYNA RUSZCZYK: <i>Polesie</i>	s. 121

PRACOWNIA FOTOGRAFII

STANISŁAW BOCHNIG	s. 131
-------------------------	--------

ANTYKWARNIA

JÓZEF ALBIN HERBACZEWSKI: <i>Odrodzenie Litwy wobec idei polskiej</i>	s. 135
---	--------

PERYFERIA

WŁODZIMIERZ PAŹNIEWSKI: <i>Obszary pogranicza</i>	s. 165
---	--------

KRĘGI WTAJEMNICZENIA

SIMCHE KELLER-SKOWROŃSKI: <i>Chasydzi</i> (II)	s. 171
--	--------

ŚRODOWISKA

1. VILENICA – Międzynarodowe Spotkanie Pisarzy	s. 185
--	--------

2. BELGRAD – INNA SERBIA s. 187
Krąg Belgradzki
Radio B92 - otwartym głosem (oprac. Milena Dragicević—Sesić)
3. PÉCS – GANDHI I CYGANIE s. 196

DROBIAZGI

- EWA WIEGANDT: *Literacki mit pogranicza a idea Europy Środkowej* s. 199
 STEFAN KOZAK: *Polsko—ukraińskie pogranicze: między konfliktem a dialogiem* .. s. 203
 WALDEMAR SMASZCZ: *Wileńska tetralogia* s. 207

WITRYNA – PROGRAMY

- Instytut Badań Europy Środkowej - Budapeszt s. 213
 Mniejszości dla Europy Jutra (ISCOMET) - Maribor s. 214
 Europejskie Centrum Obywatelskie dla Rozwiązywania Konfliktów (ECCR) - Subotica
 s. 215

WITRYNA – WYDAWNICTWA

- R. Wapiński: *Polska i małe ojczyzny Polaków. Z dziejów kształtowania się świadomości narodowej w XIX i XX wieku po wybuch II wojny światowej; Inni wśród swoich*. Red. naukowa tekstów Wiesław Władyka; A.Jobert: *Od Lutra do Mohyły. Polska wobec kryzysu chrześcijaństwa 1517–1648; Polska – Białoruś 1918–1945*. Zbiór studiów i materiałów pod red. Wiesława Balceraka; *Tysiąc lat sąsiedztwa*. Studia z dziejów chrześcijaństwa na pograniczu kulturowym i etnicznym pod red. Stanisława Stępnia; A.Dubiński: *Caraimica: prace karaimoznawcze; Małe narody i mniejszości etniczne w nadchodzącej Europie*; Rybo-Wino-Kur: *Antologia literatury ukraińskiej ostatnich dwudziestu lat*; S.Vincenz: *Atlantyda*; G.Konrad: *Wielkie wyzwanie; Europa Środkowowschodnia po komunizmie*; C.G.Kiss: *Kozep-Europa, memzeck kosebbsegek (Europa Środkowa, narody, mniejszości)*; T.Mirga: *Czemu tak?: Soske kawaka?*; Muzyka z filmu *Latcho Drom*; *Muzyczne skarby Jugosławii od XV do XVI-II wieku*; Muzsikás: *Máramaros — The Lost Jewish Music of Transylvania*; Rubin and Horowitz: *Bessarabian Symphony. Early Jewish Instrumental Music*. s. 217

ŚWIECE NA WIETRZE

- UROŠ ZUPAN: *Elegia sarajewska*. Przeł. Katarina Šalamun—Biedrzycka s.223

GODZINA MYŚLI

- DRAGO JANČAR: *Trochę niepoważna pieśń pochwalna na cześć gry i morza*.
 Przeł. Joanna Pomorska s. 227
- CONTENTS s. 236

Redakcja

„KRASNOGRUDY“
zaprasza do współpracy.

Materiałów nie zamówionych
nie zwracamy.
Zastrzegamy sobie prawo
do wprowadzania zmian
i skrótów.

Centrum Dokumentacji Kultur Pogranicza
OŚRODEK
POGRANICZE SZTUK KULTUR NARODÓW
ul. Piłsudskiego 37, tel. 199
16-500 SEJNY
skr. poczt. 15

ce. 36 53 ✓

Prowadzimy sprzedaż pisma
za zaliczeniem pocztowym.

Warunki prenumeraty

Prenumerata roczna
(4 numery pisma) - 150.000 zł.,
po denominacji 15 zł.
Prenumerata zagraniczna
(poczta lotnicza) - 50\$

Konto:

Ośrodek

„Pogranicze - sztuk,
kultur, narodów“

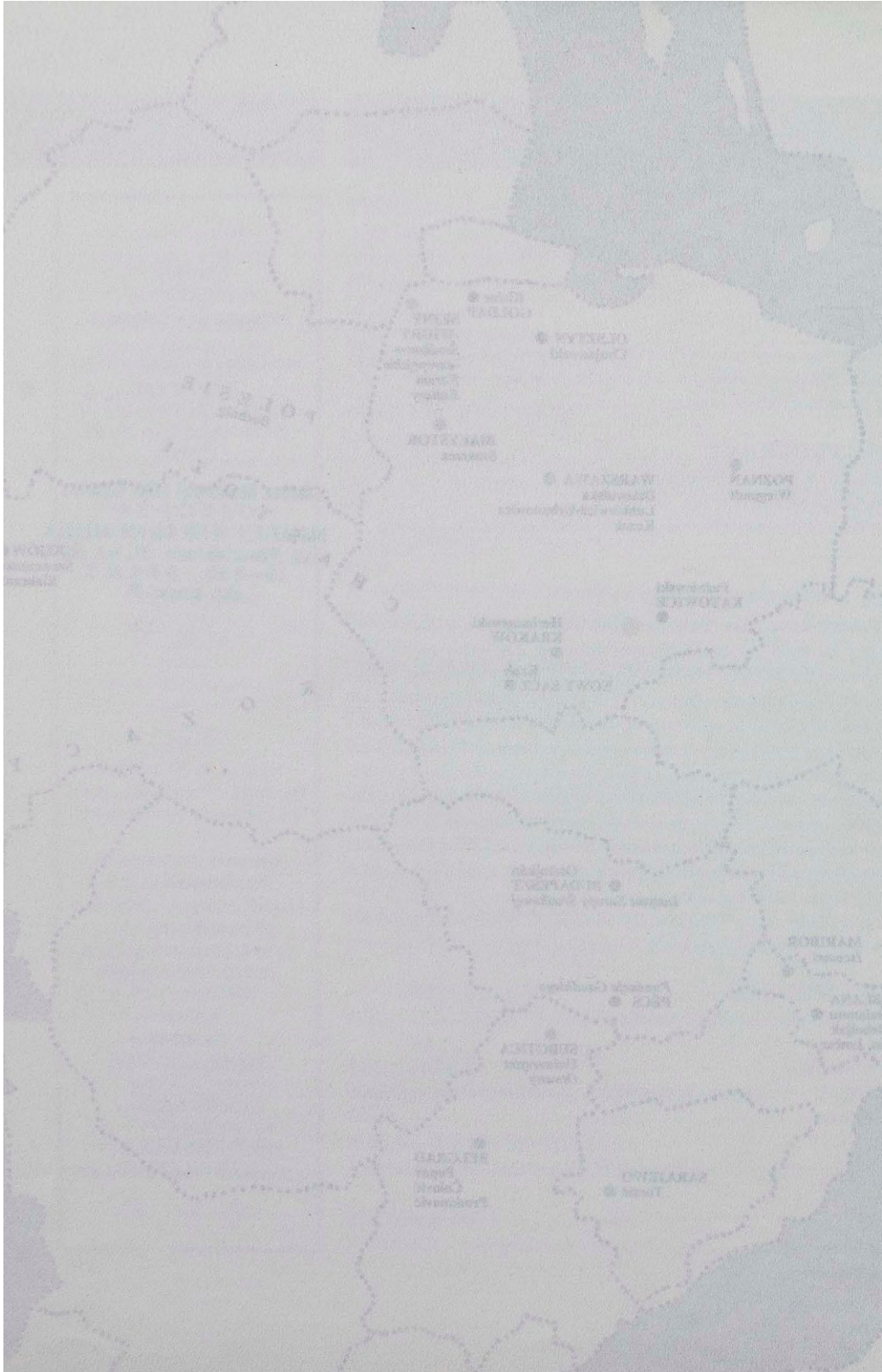
Bank Spółdzielczy

Sejny

8791127-979348-622-27

(z dopiskiem KRASNOGRUDA)





FORUM

ŚRODKOWOEUROPEJSKIE FORUM KULTURY

„ROK 1994”

W dniach 26-28 czerwca 1994 roku w Sejnach i w klasztorze nad Wigrami odbyło się Środkowoeuropejskie Forum Kultury, zorganizowane przez Ośrodek „Pogranicze - sztuk, kultur, narodów” i Fundację „Pogranicze”. Było to już czwarte tego typu spotkanie przedstawicieli różnych narodów i kultur. Poprzednie poświęcone były następującym zagadnieniom: „Małe ojczyzny Europy Środkowo-Wschodniej” (maj 1992), „Nowe formy działania w kulturze” (kwiecień 1993), „O pobratymstwie” (listopad 1993). Hasło wywoławcze ubiegłorocznego Forum brzmiało: „Rok 1994”. W dyskusji i prezentacjach artystycznych uczestniczyli m.in.:

Adam Bartosz (Tarnów), Vytautas Bložė (Druskienniki), Ihar Babkou (Mińsk), Alfredas Bumblauskas (Wilno), Danuta Cirić-Straszyńska (Warszawa), Krzysztof Czyżewski (Sejny), Aleš Debeljak (Lublana), Wojciech Marek Darski (Giżycko), Małgorzata Dziewulska (Warszawa), Ákos Engelmayer (Warszawa), Aleksander Fiut (Kraków), Grzegorz Godlewski (Warszawa), Rafał Grupiński (Poznań), Sokrat Janowicz (Krynki), Algis Kaleda (Wilno), Čedomir Kisić (Sarajewo — Warszawa), Bronius Kutavicius (Wilno), Zbigniew Machej (Praga), Andrzej Mencwel (Warszawa), Nijole Milauskaitė (Druskienniki), Czesław Miłosz (Berkeley-Kraków), Kornelijus Platelis (Druskienniki), Mileta Prodanović (Belgrad), Jerzy Prokopiuk (Warszawa), Mykoła Rjabczuk (Kijów), Paweł Rodak (Warszawa), Katarina Šalamun-Biedrzycka (Kraków), Jerzy Sosnowski (Warszawa), Maciej Szymanowski (Praga), Leonid Tałałaj (Kijów), Ladislav Volko (Warszawa-Bratysława), Anna Wyka (Warszawa), Franciszek Wasik (Warszawa-Suwałki). W Forum udział wzięła młodzież z Klasy Dziedzictwa Kulturowego z Sejn, Augustowa, Suwałk i Wilna. Obecni byli również studenci Katedry Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego w Warszawie.

Publikujemy fragmenty dyskusji plenarnej ze spotkania „Rok 1994”.



CÓŻ PO INTELIGENCJI W CZASIE MARNYM?

Krzysztof Czyżewski: Podczas Środkowo-europejskiego Forum Kultury stawiamy pytania dotyczące naszej części Europy po roku 1989. W ferworze dyskusji próbujemy szukać odpowiedzi, które by mogły być pomocne w naszych działaniach praktycznych.

Dzisiaj spotykamy się dziesięć lat po orwellowskim roku 1984 w sytuacji, wobec której jesteśmy, jak sądzę, o wiele bardziej bezradni.

Rok 1984 nie był dla nas, mieszkańców obozu socjalistycznego, zaskoczeniem. Książki o Wielkim Bracie, nowomowie i pigułkach Murti-Binga należały już do klasyki. Nazwaliśmy zło, wiedzieliśmy, co chcemy zburzyć i o co chcemy walczyć.

Dziś jesteśmy zagubieni. Z naszym udziałem zniweczony został stary system, ale nie jesteśmy już solidarni. Działamy na krótki dystans, bo brak nam przejrzystości widzenia. Hipokryzja wkrada się pomiędzy nas. Nie wiadomo na pewno, kto jest temu winien, więc po omacku szukamy ofiary, wyciągając różne upiory z przeszłości.

W roku 1994 stajemy wobec nowych wyzwania. Nie ma dzisiaj takich książek jak *Zniewolony umysł* czy *Rok 1984*, które pomagały rozpoznać sytuację. W moim przekonaniu, taką książką powinno być

Szukanie ojczyzny Czesława Miłosza, ale jej wydanie przeszło prawie bez echa, przynajmniej w środkach przekazu i publicznych dyskusjach. Wydaje mi się, że w dużej mierze z powodu wewnętrznej cenzury. Wkroczenie w sferę uświęconych tradycji, mitów narodowych, bohaterskich ran wymaga obecnie odwagi. Strach o nich mówić. Tymczasem młodzi ludzie, tak jak tutaj na pograniczu, borykają się z problemami rosnących napięć narodowościowych, kryzysu tożsamości, starych trucizn wszczepianych im często przez szkoły, Kościół, ulicę i mass-media. Niewątpliwie bohaterem naszej dyskusji będzie inteligencja, która po 1984 roku „schowała głowę w piasek” i zajęła się poszukiwaniem bardziej „praktycznego” zajęcia. A nowa rzeczywistość domaga się nowego światopoglądu.

DZIECI REWOLUCJI FRANCUSKIEJ

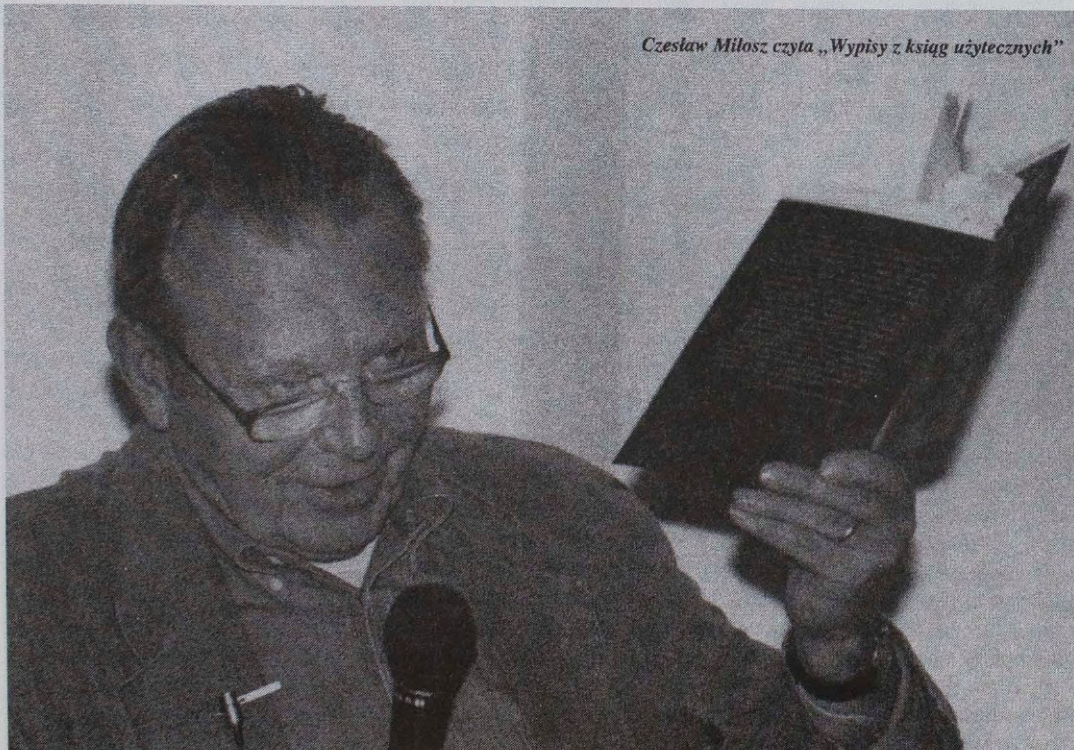
Czesław Miłosz: Rozpoczynając dyskusję chciałbym podzielić się swoimi bardzo osobistymi uwagami. W operze Mozarta *Czarodziejski flet* zmagają się siły jasne i siły ciemne. Królowa Nocy jest wrogiem mądrego mistrza łoża masonskiej. Królowa Nocy,

czyli reakcja, jest wrogiem oświecenia, reprezentowanego przez lożę, która uszczęśliwia lud i wprowadza rozumny porządek. Otóż wydaje mi się, że my wszyscy jesteśmy spadkobiercami oświecenia i Wielkiej Rewolucji Francuskiej. My, to znaczy wszyscy ludzie zajmujący się od strony intelektualnej pisaniem, malowaniem, tworzeniem muzyki, publicystyką. My wszyscy, których bardzo trudno określić, dlatego że pojęcie „inteligencja” jest dość płynne. W każdym razie chodzi o tych, którzy działali w końcu dziewiętnastego wieku i przez wiek dwudziesty, i którzy są bardzo do siebie podobni we wszystkich krajach tej części Europy, o czym pisał Istvan Bibó nazywając całą tę grupę inteligencją narodową.

Dzieje tej właśnie inteligencji związane są z dziejami awangardy, której uwaga zwrócona była w przyszłość. Bo co to jest awangarda? – to jest marsz naprzód, wyprzedzanie, straż przednia, a w naszych

krajach dodatkowo była ona związana mocno z problematyką narodową, z walką o niepodległość.

Ale w XX wieku następuje coś bardzo szczególnego. O ile bowiem w wieku dziewiętnastym pisano powieści starając się oddziaływać przy pomocy literatury na całe społeczeństwo, o tyle na początku dwudziestego wieku następuje rozjeście się pomiędzy twórcami a publicznością. W ten sposób powstaje to, co Ortega y Gasset nazwał dehumanizacją sztuki. Nie było to z jego strony potępienie, ale stwierdzenie stanu rzeczy. Dehumanizacja sztuki odznacza się tym, że jest niedostępna dla ludu. W naszych krajach to zjawisko połączone jest z dziwnym fenomenem – uwaga zarówno artystów, jak i całej inteligencji narodowej skierowana jest w przyszłość. W roku 1917 te nadzieje i dążenia otrzymują wcielenie geograficzne. Od tego czasu uwaga twórców skierowana jest na przyszłość realizowaną!



Czesław Miłosz czyta „Wypisy z ksiąg użytecznych”

Chcę podkreślić, jak wielką rolę w dwudziestym wieku odegrała ta przyszłościowa nadzieja ucieleśniona geograficznie. Załamanie się tego przyszłościowego mitu wprowadziło stan zupełnej rozpacz i zagubienia w środowiskach inteligencji narodowej. Oczywiście, pytania, które stają dzisiaj przed nami, skierowane są do spadkobierców oświecenia i Wielkiej Rewolucji Francuskiej, spadkobierców idei inteligencji przewodzącej ludowi.

Wydaje mi się, że to, co najbardziej nas zbliża, niezależnie od narodowości, to podobna sytuacja, w której się znaleźliśmy. Odczuwamy wspólnie niebezpieczne siły, które się kłębią pod powierzchnią i w Polsce, i na Węgrzech, i w innych krajach Europy. Co znaczy więc przyszłość w czasie, kiedy nie ma już utopii, a jest całkowite wyzwolenie? Co oznacza tworzenie dzieł wymierzonych w przyszłość? Co to jest awangarda? Marsz ku czemu? To są pytania, które mogą być przydatne w naszej dyskusji.

Wszyscy tu jesteśmy zebrani w tym samym, że tak powiem, koszyku. Czy możemy występować jako przedstawiciele, jako głos ludu, czy też reprezentujemy siebie? Istnieje tendencja do myślenia o ludziach jako o naszych dzieciach, które musimy wychowywać. To jest tendencja dość niebezpieczna, dlatego że lud ma swoje przemyślenia, które nie są koniecznie takie same. Ale ta tendencja jest silna.

Muszę powiedzieć, że zależy mi na tym, aby być użytecznym. Staram się pisać książki użyteczne. Być może jest to wyraz tej samej tendencji, która powstrzymuje nas od wyzwolenia się od jakichkolwiek obowiązków. Jest to w pewnym sensie przeciwstawienie się modernizmowi, nowoczesności, która oznacza, że piszemy absolutnie nie troszcząc się o czytelnika, zamknięci w wieży z kości słoniowej, wierząc, że przyszłość nas oceni.

Czy w sytuacji, kiedy nastąpił upadek wizji przyszłościowej można tworzyć dzieła tak zwane wiecznotrwale, nie oglądając się na ludzi? Czy też musimy tworzyć dzieła starając się być użyteczni, ulegając złudzeniu (tak jak ja zapewne ulegam złudzeniu), że moje książki mogą być użyteczne dla ludzi „przejętych”, podczas gdy są one pożyteczne tylko dla moich kolegów z konfraterni, którą Istvan Bibó nazywał inteligencją narodową?

Jerzy Prokopiuk: To, co chcę powiedzieć, proszę potraktować trochę jako kontrapunkt do słów Czesława Miłosza, a trochę jako *votum separatum*, nie w sensie przeciwstawienia się, ale jako pokazanie innej perspektywy widzenia tej problematyki, o której pan Miłosz mówił. Mam wątpliwości, czy słuszne jest przekonanie, rodem jeszcze z dziewiętnastego wieku, że istnieje takie oto przeciwstawienie: z jednej strony inteligencja, czyli owi „wyspiarze”, a z drugiej strony lud. Tak jest być może jeszcze w strukturze społeczeństwa kapitalistycznego, ale wydaje mi się, że nie w Europie Wschodniej. Tutaj powstało zjawisko, które nazywamy inteligencją ludową. Nastąpiła wymiana pokoleniowa między starą inteligencją pochodzenia arystokratyczno-szlachecko-burżuazyjnego a nową inteligencją, której dziadkowie i ojcowie są chłopami i robotnikami. Otóż przepaść pomiędzy inteligencją ludową a ludem będzie o wiele mniejsza i łatwiejsza do zasypania niż ta poprzednia. O tym trzeba pamiętać na naszym gruncie i ciągle apelować do tych związków, które jeszcze istnieją pomiędzy wnukami i dziadkami zamiast podkreślać stare, jak sądzę, już przebrzmiałe, dziewiętnastowieczne podziały. Tyle uwag krytycznych.

Chciałbym powrócić do tego symbolu, od którego rozpoczął pan Miłosz, a mianowicie do *Czarodziejskiego fletu* Mozarta. Wszyscy wiemy, że występuje tam przeciwstawienie Sarastro, reprezentującego świat wtajemniczonych do loży masońskiej i Królowej Nocy. Otóż najwybitniejszy uczeń Junga, Erich Neumann, napisał bardzo piękny tekst, w którym zwrócił uwagę na to, że Królowa Nocy przedstawiona w tak negatywny sposób w libretcie Schikanedera jest w gruncie rzeczy osobą skrzywdzoną. Neumann, który preferował w dużej mierze archetyp Wielkiej Matki, staje w jej obronie. Nie będę wdawał się w dyskusję, kto tutaj ma rację, ale chcę zwrócić uwagę na to, że można spojrzeć na to zagadnienie w duchu innej tradycji. Tradycja, która wypowiedziała się w *Czarodziejskim flecie* przeciwstawia sobie oświecenie i irracjonalizm. Ale idee irracjonalne nie są z definicji złe. Innymi słowy, to tylko z punktu widzenia jednostronnego, skostniałego racjonalizmu, tego postoświeceniowego, idee irracjonalne są potępiane.

Wydaje mi się, że w gruncie rzeczy nie mamy do czynienia z dwoma, ale z trzema czynnikami. W kulturze europejskiej, a w polskiej w szczególności, żywotna jest bardzo propozycja, którą nazwałbym *par excellence* regresywną. Jest to propozycja wywodząca się ze sfer kościelnych i proponująca powrót do starych form kulturowych, jeżeli nie kontreformatorskich to wręcz średniowiecznych, i mieści się ona cała w idei nowej ewangelizacji Europy, czyli rekatolizacji protestantyzmu. W moim rozumieniu jest to propozycja wsteczna.

Drugą propozycją jest irracjonalizm, który uważam za zdecydowanie zły. Kolejna propozycja to afirmacja i utwierdzenie stanu aktualnego, czyli dominacji cywilizacji mieszczańskiej z jej odcieniem proletariackim, opartej na nauce, technice itd. To jest propozycja, która będzie — zwłaszcza w krajach zafowanych jak nasze — realizowana jeszcze przez dłuższy czas. Ewidentnie jednak wykazuje swoje cechy negatywne, jak chociażby w kwestii ekologii, i coraz większa ilość ludzi już teraz zaczyna ją traktować jako propozycję przestarzałą. Jest to tradycja niewątpliwie oświeceniowa.

I wreszcie propozycja, która kwantytatywnie, w minimalnym obecnie stopniu, ale rzeczywiście ma szansę odegrać rolę tej awangardy, o której mówił pan Miłosz. Mówię o propozycji syntetycznej, o próbie wyjścia poza to ostre przeciwstawienie racjonalizmu i irracjonalizmu. Jest to propozycja, którą gotów jestem nazwać transracjonalną, czyli taką, która nie rezygnując z osiągnięć racjonalizmu epoki mieszczańskiej, pragnie poszerzyć ludzkie możliwości o to, co uważano do tej pory za irracjonalne i z definicji złe. Gdybym miał to przeformułować na język psychologii jungowskiej, to powiedziałbym, że jest to problem konfrontacji ludzkiego „ego” z Cieniem. My wszyscy nieustannie — i jako indywidualia, i jako grupy społeczne czy całe kultury — z tym Cieniem się konfrontujemy. Problem polega na tym, że albo uciekamy przed Cieniem w jakąś formę skostnienia umysłowego (robi to w dużej mierze np. nauka współczesna), albo uciekamy w patologiczny irracjonalizm, zatracając zupełnie aspekt racjonalny. Sensowną propozycją jest dialog pomiędzy tym co racjonalne i irracjonalne w człowieku i w kulturze.

Czesław Miłosz: W mojej młodości żywiłem się zupami z trujących grzybów, a ponieważ mam silny organizm, przeżyłem. Te trujące grzyby rosły na polu literatury i sztuki. Idee oświecenia i Wielkiej Rewolucji Francuskiej nadal silnie działały. Naturalnie, że można bronić Królowej Nocy i elementów irracjonalnych, ale faktem jest, że byliśmy przez parę setek lat objęci ogólną ideą postępu, tego przeciwstawienia jasności i ciemności. To była siła komunizmu, siła propagandy marksistowskiej. Musimy więc mówić o pewnych tendencjach szerszych niż upodobania poszczególnych twórców czy myślicieli, dlatego że to była ogólna orientacja tych czasów.

NACJONALIZM I INTELIGENCJA

Sokrat Janowicz: Mam pięćdziesiąt osiem lat, przyjechałem z Krynek koło Białegostoku. Jestem literatem białorusko-polskim, albo polsko-białoruskim. Zawsze koledzy Polacy mi zazdroszą, bo egzystuję jednocześnie w dwóch kulturach, na co oni sobie pozwolić nie mogą. No, ale chcą być Polakami, to niech cierpią.

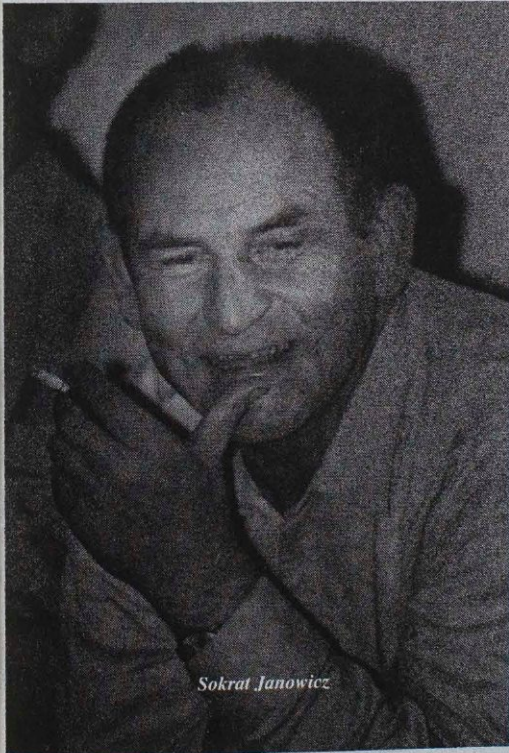
Gdzieś u Czesława Miłosza wyczytałem, że inteligent z inteligentem zawsze się porozumie. A problemem jest, żeby się porozumiał hydraulik jednej narodowości z hydraulikiem innej narodowości. Obecnie mieszkam w małym miasteczku i ta fraza Miłoszowa ciągle mi się przypomina. Z wójtem porozumieć się jest mi łatwo, bo ma wykształcenie uniwersyteckie, natomiast mam problemy z alkoholikiem, który mieszka obok mojego domu.

Przez pewien czas byłem, jako literat, w trudnej sytuacji, bo zabrakło mi wroga. Za komunizmu pisało mi się dobrze, bo tkwiłem w stanie ciągłej mobilizacji. Obecnie powoli kształtuje mi się nowy wróg. Za komunizmu o nacjonalizmie nie można było pisać w ogóle. Wszystkie narody były braterskie i miłujące się, mając do siebie wręcz erotyczny stosunek. Teraz jest już gorzej i podejrzewam, że moje natchnienie uratuje szowinizm, który się szerzy w sposób katastrofalny.

Niedawno byłem na Białorusi, gdzie uczestniczyłem

w forum poświęconym związkom w kulturze pomiędzy Białorusią i Stanami Zjednoczonymi. Wysłuchałem nawet referatu o swojej twórczości w kontekście literatury amerykańskiej, co mile poechnało moje samolubstwo... Rzeczywiście, trudno nie zgodzić się z Czesławem Miłoszem – mętlik i chaos w ludzkich głowach jest duży. Tak to jest. My, jako ci wyspiarze, inteligencja, walczyliśmy nieustannie o wolność po to, aby się dobrowolnie zmarginalizować. Przed laty moje książki ukazywały się w nakładzie dziesięciu tysięcy egzemplarzy, który rozchodził się w ciągu kilku dni. Dziś moje „arcydzieła” ukazują się w nakładzie tysiąca egzemplarzy i trudno je sprzedać. No, sam tego chciałem!

Wszystko jedno, zasadniczym problemem pogranicza pozostaje nacjonalizm i to, aby dwóch hydrauliczków różnej narodowości mogło się dogadać. Moi bracia Białorusini narzekają, że ich polonizuje na-



Sokrat Janowicz

jonalizm polski. Jako zacięty szowinista białoruski wyjaśniam im cierpliwie, że asymilują nas nie szowiniści, tylko los, wspólnota chleba. Życie na pograniczu nie jest rzeczą przyjemną, wymaga dużego samozaparcia i odporności na infekcję nacjonalistyczną. W moich Krynkach ksiądz-katolik z ambony nawołuje, by dzieci katolików nie przyjaźniły się z dziećmi prawosławnych, co doprowadziło do oburzenia samych wiernych katolików: „Słuchaj, księżo proboszczu – mówią – co mam począć ze swoimi szwagrami, bo u nas rodziny są w połowie katolickie i prawosławne, a przecież trzeba i kielicha strzelić i na imieniny pójść...” Więc pytam: czy ideologią pogranicza jest nacjonalizm?

Czesław Miłosz: Moja książka *Zniewolony umysł* była kilka lat temu w Jugosławii bestsellerem. Podczas swoich wizyt w Belgradzie poznałem tamtejszych intelektualistów w momencie, kiedy oswoadzali się z ideologią marksistowskiej. Zupełnie nie spodziewałem się wtedy tego, co nastąpiło, czyli przejścia tych intelektualistów od razu do ideologii nacjonalistycznej. Za to, co się stało w Jugosławii, moim zdaniem, ponoszą przede wszystkim odpowiedzialność intelektualiści serbscy. Czyli ważne jest to, czy inteligencja narodowa weźmie na siebie sztandar bojowego nacjonalizmu czy nie. Jeżeli w jakimś kraju powstają środowiska uzasadniające teoretycznie zalety nacjonalizmu, to wtedy można się spodziewać wybuchu, ponieważ tendencja do agresji wobec innych grup jest w każdym społeczeństwie. Tu, w Polsce, na pewno istnieje ona w stanie potencjalnym. Każdy może powiedzieć to o swoim kraju. Bardzo dużo zależy od tego, czy znajdzie ona wyraz intelektualny, bo wtedy zaczyna się kształtować i przybiera taką formę, jak na przykład u Karadźicia.

Krzysztof Czyżewski: Skoro mówimy o nacjonalizmie, to o jednym musimy pamiętać: niezwykle jest ważne to, co będziemy potrafili przeciwstawić ideologii nacjonalistycznej. Dotychczas mieliśmy jedną, wyraźnie wyartykułowaną postawę opozycyjną do nacjonalizmu — kosmopolityzm, na który nie są podatni współcześni mieszkańcy naszej części Europy. W moim przekonaniu kosmopolityzm

nie odpowiada na tęsknoty ludzi żyjących tu i teraz i nie stanowi skutecznego przeciwstawienia tendencji nacjonalistycznej. Przyznajmy, że często pod groźnym hasłem nacjonalizmu kryje się bezradne poszukiwanie własnej tożsamości. Dla ludzi poszukujących i broniących własnej tożsamości, często trudny do uchwycenia jest ten moment, w którym stają się nacjonalistami.

Jerzy Sosnowski: Jestem pracownikiem Uniwersytetu Warszawskiego, publicystą „Gazety Wyborczej”. Przyjechałem do Sejn prosto z konferencji polsko-niemieckiej, która odbywała się w Warszawie. Przywołam wypowiedź młodego posła do Bundestagu, który podczas tej sesji bardzo ostro występował już nawet nie przeciw nacjonalizmowi, ale przeciw samej idei narodu. Twierdził, że jednym z najstraszniejszych „wynalazków” romantyzmu było uznanie narodu jako wartości fundamentalnej, że on ceni Niemcy tylko w takim stopniu, w jakim niemieckość realizuje bardzo ogólne wartości: prawa człowieka, wolność itp. Jest jego marzeniem, aby prezydentem jego państwa, a więc ponadnarodowej federacji europejskiej, był Havel, którego uważa za rodaka właśnie ze względu na pokrewieństwo duchowe, a sama przynależność etniczna ma dla niego znaczenie drugorzędne.

Otóż kiedy zwierzyłem się swojej znajomej, z jakim entuzjazmem wysłuchałem tego posła, usłyszałem od niej — i była to bezwiedna parafraza wypowiedzi Czesława Miłosza — że należałoby nas obu wysłać na jakąś wyspę, żebyśmy sobie tam we dwóch urządzali ponadnarodową Europę, ponieważ to się ma nijak do tego, co jest naprawdę ważne i atrakcyjne dla ludzi. Uświadomiłem sobie, że tak jest w istocie. Że istnieje rodzaj takiej międzynarodówki czy łoży masonskiej, której możliwość oddziaływania na zróżnicowane narodowo społeczeństwo jest bardzo ograniczona. Są wtajemniczeni i jest lud.

Pracując na uniwersytecie, zastanawiam się zawsze, czy kiedy uczę, to oświecam czy kaptuję. Czy szkoły nie są formą kaptowania do tego zakonu, podczas gdy lud pozostaje niewzruszony. Czy hydraulicy są reformowalni? Przyznam się, że w ostatnich latach mój sceptycyzm co do możliwości oświecania rośnie. To, co robi „Pogranicze” poprzez Klasę Dziedzictwa Kulturowego czy inne działania, to jest bardziej kaptowanie nowych członków łoży niż oddziaływanie na masy społeczne.

Aleksander Fiut: Jestem polonistą z Uniwersytetu Jagiellońskiego i swoje przykłady będę czerpał głównie z literatury. Literatura jest bardzo ciekawym świadectwem zmiany świadomości historycznej. Brak wizji przyszłościowej wynika z zaniku myśle-

nia historycznego, właściwie takiej eschatologii laickiej. Równocześnie ginie z pola widzenia, przynajmniej w literaturze, eschatologia katolicka. I oto mamy do czynienia z sytuacją paradoksalną, bo jesteśmy zanurzeni w historii, która nas dotyka i rani, a nie mamy możliwości ujęcia tej naszej sytuacji poza doświadczeniem ofiary, które jest dominujące w literaturze środkowoeuropejskiej. Z tego punktu widzenia bardzo interesująca okazuje się twórczość autorów z pogranicza. Mam tutaj na uwadze przede wszystkim pisarstwo Vincenza, który pokazuje, że można zobaczyć historię inaczej, jako palimpsest powstały z nawarstwiania się różnych kultur i tradycji. Bo jeżeli mamy problemy z samookreśleniem, jeżeli mówimy o tym, że grozi nam nacjonalizm, to znaczy, że pewne dziewiętnastowieczne idee się odebrały z naturalnego procesu dziejowego i same przez się stały się czynnikiem kształtującym świadomość i to kształtującym w sposób anachroniczny, nie przystający do wizji wspólnej Europy. Ale można sięgać do tego, co jest w naszej tradycji wartościowe i ważne, czasem poprzez swój anachronizm jeszcze bardziej wybiegające w przyszłość. Myślę o odwołaniu się do tożsamości miejsc pogranicza, gdzie świadomość historyczna nawarstwiała się i jest niezwykle bogata. Oczywiście, że nacjonalizm będzie nam zagrażał i nie tylko nam, także Europie Zachodniej, o czym nie trzeba zapominać. Może jest to obrona tożsamości lokalnej przed homogenizacją, kurczowa obrona tego, co własne, co nas określa?

Mykoła Riabczuk: Pracuję w Kijowie, w miesięczniku, który zajmuje się kulturą światową. Chcę nawiązać do głosów o wielkim zamieszaniu w głowach mieszkańców krajów postradzieckich. Jest to naprawdę zjawisko nihilizmu ludzi, którzy nie mają świadomości i orientacji w tym, co się dookoła nich dzieje. W czasach komunizmu wszystko było proste, mieliśmy wroga — komunę i wroga — imperium. Komunę już nie ma, ale imperium istnieje w dalszym ciągu, przynajmniej w formie potężnego potencjału. W większości tych krajów procesy dekolonizacyjne wcale się nie skończyły. Tamtejsza inteligencja znajduje się w bardzo trudnej sytuacji, z jednej strony chce być inteligencją demokratyczną,

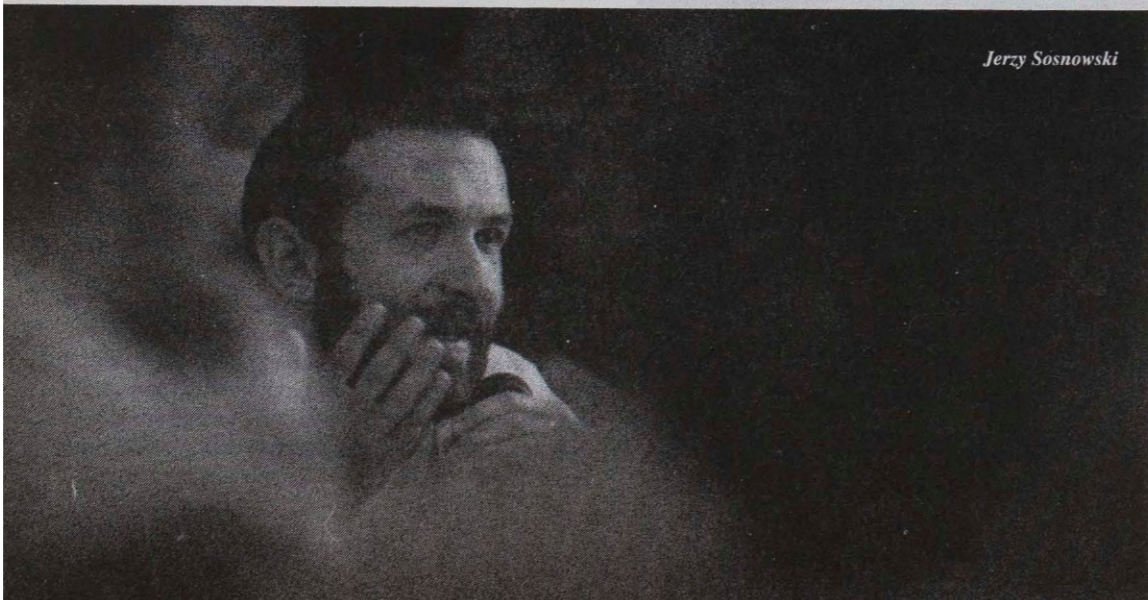
liberalną, a z drugiej strony jest pod wielkim wpływem nacjonalizmu, który ma rzeczywiście źródła, bo przecież ciągle jeszcze nie jest przesądzony los tych krajów, ich suwerenności.

Ostatnio przeczytałem bardzo ciekawą książkę Mikela Ignatiewa *Przynależność przez krew* o wydarzeniach w Jugosławii i na Ukrainie. Autor rozpoczyna tę książkę jako zdeklarowany kosmopolita, który jest dumny z tego, że urodził się gdzieś tam w Rosji, ma obywatelstwo amerykańskie, mieszka w Wielkiej Brytanii i podróżuje po całym świecie. Do nacjonalizmu ma stosunek krytyczny. Jednak wnioski, które wysnuwa pod koniec swoich rozważań są nieoczekiwane. Otóż w tych krajach wielu mieszkańców o światłych umysłach, którzy pragną być liberałami i kosmopolitami, najwyczejniej nie może nimi być, bowiem nie pozwala im na to sytuacja w ich kraju, sąsiedztwo imperium, oczekiwania społeczne itd.

Czesław Miłosz: Bogaterowie powieści Tomasza Manna *Czarodziejska góra* reprezentują dwie postawy intelektualne: Settembrini — liberalizm, demokrację, masonerię oraz Naphta — irracjonalizm łączący komunizm ze średniowieczną teokracją. Patrząc z dzisiejszej perspektywy możemy powiedzieć, że Settembrini i Naphta są dwiema stronami tej samej osobowości współczesnego intelektualisty, którego scharakteryzowałem jako dziedzica łoż masonskich, Wielkiej Rewolucji Francuskiej, encyklopedystów itd. W wieku XX naturalną skłonnością intelektualisty był komunizm. Przecież ja przeżyłem pobyt we Francji w okresie największego szalu prostalinowskiego w latach powojennych. Nie mówię tego po to, aby oskarżać intelektualistów, chociaż muszę powiedzieć, że kiedy czytałem jako młody student *Czarodziejską górę*, Naphta był moim ideałem a nie Settembrini. I stąd uważam, że załamanie się mitu utopii komunistycznej jest przewrotem, szokiem. Intelektualiści zachodni są sierotami. Żyjemy w okresie sieroctwa intelektualistów.

Ákos Engelmayer: Nie jestem intelektualistą, jestem bywalcem łoż masonskich. Dyskusja nasunęła mi kilka przykrych wniosków. Czesław

Jerzy Sosnowski



Miłosz wspominał, że jesteśmy wszyscy dziećmi Wielkiej Rewolucji Francuskiej, i że orientacja intelektualistów sprzed wojny na Moskwę była powszechna. Stąd moja gorzka refleksja o winie intelektualistów. Wszyscy jesteśmy zaliczani do loży masońskiej, do tego klubu adoracji i nie rozliczania się z tego, co to robił. Wielka jest odpowiedzialność intelektualistów za to, co się działo w naszych krajach przed i po wojnie. Odpowiadamy nie tylko za to, co robimy, ale także za to, w co wierzymy. I jeszcze jedno: nie zapominajmy, że jedną z najgorszych rzeczy, jaka się udała komunistom, jest rozbicie małych społeczności, poczucia przynależności do małych ojczyzn. Powinniśmy robić wszystko, aby je odbudować.

Krzysztof Czyżewski: Powracając do winy intelektualistów i jeszcze raz przywołując porównanie Sokrata Janowicza, sądzę, że hydraulicy o różnych narodowościach porozumieliby się ze sobą bez problemu, gdyby nie intelektualiści. Niestety, naszymi czasami jest ideologia, która „wdarła się” pomiędzy ludzi.

Wędrując po pograniczach naszej części Europy wielokrotnie doświadczałem, jak wielkiego spustoszenia w społecznościach wielokulturowych dokonali inteligenci-emisariusze różnych opcji i ideologii, doprowadzając do podziałów pomiędzy miejscowościami, świątyniami czy rodzinami.

Żyliśmy w epoce wielkich i małych ideologii i jesteśmy świadkami kresu i kompromitacji wielu z nich. Ale nagromadzony potencjał emocji, wyobrażeń, mitów itp. pozostał. Ten potencjał nagle okazał się bezużyteczny czy wręcz trujący i należy go rozbroić. Wielokrotnie w naszym stuleciu był on wykorzystywany z tragicznymi skutkami i dlatego tak ważne jest, aby doprowadzić do mądrego rozbrojenia.

I któż ma to zrobić jeśli nie intelektualiści? Cięży na nich odpowiedzialność, od której się uchylają, bo naprawienie skutków ideologicznych euforii jest równie mało atrakcyjne, jak uprzątnięcie zdemolowanego miejsca po wielkim święcie. Żłudne jest przekonanie, że ludzie łatwo odzwyczajają się od ideologicznych pokarmów i po prostu machną na nie ręką. Przywołany tu hydraulik ma już nawyk kupowania prasy i słuchania tego, co się w radio czy telewizji mówi. Ciągłe

ważne są słowa, które padają z ambony czy podczas lekcji w szkole. I choćby inteligencja próbowała zminimalizować swoje znaczenie i oddziaływanie, jeszcze bardzo długo będzie to niemożliwe.

Dotyczy to zwłaszcza naszych, postkomunistycznych krajów. Na Bałkanach wojnę prowadzi intelektualista Karadžić, który właśnie odebrał w Moskwie nagrodę za swoją twórczość poetycką, a do Rosji powrócił Aleksander Sołżenicyn i nie jest bez znaczenia to, co ludzie od niego usłyszą.

Nieustannie mamy do czynienia z ideologią nacjonalistyczną, która w ostatnich latach przybiera na sile. Wiele małych narodów (choć nie tylko, bo trudno mówić na przykład o Ukraińcach jako o małym narodzie) przez minione dwa stulecia musiało się „dozbroić”, aby zaistnieć jako odrębne narody w Europie. A taką bronią był przecież nacjonalizm, inteligencja narodowa czy cała tradycja narodowa. O kształt i w obronie własnej tożsamości narodowej trzeba było niejednokrotnie toczyć bitwy i mobilizować wszystkie siły społeczne i kulturowe. I jeżeli dzisiaj mówimy o nacjonalizmie, to mówimy o zbrojowni, która w pewnym okresie była bardzo potrzebna, a teraz, w nowoczesnej Europie, nie bardzo wiadomo, co z nią zrobić i jak mądrze przeprowadzić rozbrojenie, zanim kolejna „przewodnia partia narodu” nie sięgnie po ten arsenał.

Robert Traba: Jestem historykiem z Ośrodka Badań Naukowych w Olsztynie. Tutaj reprezentuję Wspólnotę Kulturową „Borussia”, która realizuje wiele działań z zakresu tych problemów, które są między innymi tematem tego spotkania. Dotychczas mówiliśmy o nacjonalizmie jako o czymś, co jest bardzo niebezpieczne, co nam przeszkadza. Obecnie przeżywamy renesans nacjonalizmu. Ale narzekanie, że takie zjawisko istnieje nie ma większego sensu. Pytanie, jakie powinniśmy sobie postawić, jest następujące: jak żyć z tym, co jest po prostu nieuchronne? Jak uchronić się od tego, aby nacjonalizm nie przybierał form ekstremalnych, kiedy wywyższenie jednego narodu poniża lub prowadzi do zniweczenia drugiego narodu?

Jedną z możliwych odpowiedzi są poczynania „Borussi” i „Pogranicza” — samookreślenie się z miej-

scem, z którego się pochodzi.

My żyjemy w takim specyficznym miejscu w Europie, na Mazurach, które dla dużej części tu zamieszkałej ludności są miejscem obcym. Przesiedlenia były specjalnością systemu, w którym żyliśmy. Znajdujemy się w obcym krajobrazie historycznym, kulturowym. Istotne jest, aby ten krajobraz stał się również częścią naszej tożsamości, wzbogacał ją i pozwalał nam przez to kształtować w naturalny sposób elementy tolerancji wobec innych.

Chciałbym podać przykład działalności „Borussi”. W roku 1993 zorganizowaliśmy polsko-niemiecki, a w tym roku polsko-niemiecko-rosyjski obóz, którego celem było restaurowanie cmentarzy z I wojny światowej. Początkowa reakcja na tę inicjatywę była bardzo niechętna, kojarzono ją z militarystką, nacjonalizmem, pruskością. Po kilku dniach wspólnej pracy, pośród zupełnie obcej społeczności, zrodziła się potrzeba dotknięcia historii, wspólnej dyskusji. Najważniejszym efektem tej pracy było to, że ten cmentarz, który był częścią lasu nieopodal wsi i pozostawał w całkowitym zapomnieniu, stał się cmentarzem mieszkańców tej wsi, a nie elementem drażniącym i wywołującym czarne widma historii.

Jesteśmy skazani na naszą świadomość historyczną, która jest częścią naszej świadomości. Sztuką jest pozytywne jej wykorzystanie, by nie budzić demonów, przełamanie stereotypów i wzbogacanie naszych doświadczeń.

Czesław Miłosz: Kilka lat temu, kiedy istniał jeszcze Związek Sowiecki, prezydent Bush odwiedził Kijów, gdzie wygłosił przemówienie przeciwko nacjonalizmowi. Wówczas twardogłowi z Kremla używali tego argumentu przeciwko państwu bałtyckim i Ukrainie. Napisałem artykuł do „New York Timesa”, atakując w nim tę wypowiedź prezydenta. Przypominam to wydarzenie, by zwrócić uwagę, że nacjonalizm jest zjawiskiem bardzo złożonym. Pojawia się bowiem pytanie, czy ludzie żyjący w społeczeństwach zatomizowanych (a ogromna liczba obywateli byłego Związku Sowieckiego jest w takiej właśnie sytuacji) nie muszą jednak najpierw odzyskać pojęcia swej narodowości, żeby mieć świadomość historyczną miejsca, w któ-

rym żyją. Zastanówmy się, co ma robić młody Bretończyk, który jest wychowany w cywilizacji francuskiej i jego językiem jest francuski? Czy powinien starać się odzyskać swój język bretoński i szukać korzeni w historii Bretanii. To jest zagadnienie — przez analogię — w naszej części Europy bardzo ważne.

Jest jeszcze jedna komplikacja. Pojęcie narodowości i pojęcie religii w naszych krajach są bardzo często ze sobą powiązane. Możemy ubolewać, tak jak pan Prokopiuk powiedział, na temat zrostu polskiego katolicyzmu z nacjonalizmem, ale faktem jest, że granica nie zawsze jest wyraźna.

Tu rola nas, świadomych niebezpieczeństw nacjonalizmu, jest bardzo delikatna i trudna. Jak postępować dostatecznie ostrożnie, żeby religia nie przekształciła się w narzędzie agresji, szowinizmu i tępego nacjonalizmu. Jest to sprawa bardzo drażliwa.

JAK SERB ZE SŁOWEŃCEM

Mileta Prodanović: Przyjechałem tutaj z Belgradu i z kraju, który nie wiadomo tak naprawdę, czy istnieje i w jaki sposób istnieje. Jest to teraz kraj otoczony przez kilka innych, które też istnieją nie wiadomo czy realnie, jak na przykład droga memu sercu Macedonia, otoczona czterema państwowymi nacjonalizmami: serbskim, albańskim, bułgarskim i greckim. Wiemy też, w jaki sposób istnieje Bośnia i Hercegowina. W Chorwacji jest Republika Serbskiej Krajiny, to znaczy jej mieszkańcy sami siebie tak nazywają, a Chorwacja nazywa ją strefami UNIPA.

Przyjeżdżam z kraju, który oficjalnie nie jest w stanie wojny, a w rzeczywistości jest. Przyjeżdżam z kraju, który — mówiąc językiem postmodernistycznym — jest szeregiem pozorów.

Dlatego kiedy odnoszę się do Jugosławii, to odnoszę się do kraju takiego, jakim był kiedyś, i jakim zapewne już nigdy nie będzie. Ale w takim kraju urodziłem się.

Dawna Jugosławia była granicą pomiędzy śródziemnomorskim rozumieniem świata i środkowo-europejskim, skrzyżowaniem cywilizacji rzymskiej, bizantyjskiej i islamskiej. Teraz na tym obszarze toczy się wojna.

Możemy zadać sobie pytanie, jaka jest ta wojna, jaka jest jej natura? Powiedziałbym, że jest to wojna postmodernistyczna, toczona w interesie dawnej nomenklatury, a także dla postsocjalistycznej redystrybucji kapitału. Ta wojna uczyniła z Serbii, a także z Chorwacji i innych krajów, rodzaj państwa na wzór południowoamerykański, podporządkowany strukturom mafijnym.

Czesław Miłosz mówił o siłach, które na całym obszarze obozu komunistycznego działają pod powierzchnią i nie są na razie widoczne. Na Bałkanach są już widoczne. Ta wojna przypomina mi bijatykę kilku pijaków w knajpie, którzy — gdy już się zorientują, że wszystko dookoła jest porozbijane — starym słowiańskim zwyczajem uściskają się wzajemnie i zapłaczą nad swoją dolą. Oczywiście, odpowiedzialność inteligencji narodowej, a także tej kosmopolitycznej, za to, co się wydarzyło, jest ogromna.

Nie wątpię, że Czesław Miłosz spotkał w Belgradzie ludzi, których nie mógł podejrzewać, że staną się pewnego dnia protagonistami wojny. Ja w roku 1985 niczego takiego nie mogłem przewidzieć, ale już w roku 1988 wszystko było dla mnie jasne. Można powiedzieć, że inteligencja narodowa, na czele z Dobricą Cosiciem, pierwszym prezydentem Republiki, ciągle pozostawała w ścisłym związku z oligarchią, która niezmiennie przeciw wywodzi się z komunistycznej nomenklatury. Krzysztof Czyżewski wspominał tutaj o mitycznym wymiarze Radovana Karadžicia. Ale on oczywiście nie jest jedynym i właściwie taka mityczna świadomość istnieje u wszystkich narodów byłej Jugosławii.

Powiedziałem, że dawna Jugosławia była granicą. Arnold Toynbee w jednej ze swoich książek napisał, że w momencie, kiedy cywilizacja rozwija się i jest u szczytu swoich możliwości, granica jest kategorią bardzo produktywną. Nie wiem, czy to, co działo się w moim kraju po II wojnie światowej można uznać za osiągnięcie cywilizacyjne, ale ja w takiej atmosferze wyrosłem; atmosferze niezwykłego, wielokulturowego bogactwa.

Nieodłączną częścią mojego dziedzictwa duchowego są zarówno dalmatyńskie katedry, mahometkańskie meczety, synagogi i serbskie klasztory pokryte freskami. Dlatego ja tę wojnę przeżyłem jako coś

szalenie autodestruktywnego. A wracając do Toynbee'ego — napisał on również, że w chwilach, gdy cywilizacja podupada, granice stają się pretekstem do wojny.

Aleš Debeljak: Jestem poetą, przyjechałem z Lublany. Mam kilka uwag do słów mego przedmówcy. Nie widzę powodów, aby tę wojnę nazywać postmodernistyczną. Postmodernizm to jest kopia bez oryginału, a ta wojna ma oryginał. To jest koncepcja Wielkiej Serbii, która datuje się od dziewiętnastego wieku. Największym niebezpieczeństwem w interpretacji tej wojny jest to, że ją widzimy jako naturalną katastrofę. Nie chodzi tu o żadną irracjonalną politykę. Polityka Miloševića i jego ekipy jest bardzo racjonalna — próbuje rozszerzyć granice według planu ułożonego przez inteligencję serbską jeszcze w dziewiętnastym wieku. Dlatego nie można wszystkich, którzy są wplątani w tą wojnę, uznawać za jednakowo winnych. Jeśli będziemy rozumieć tę wojnę jako naturalną katastrofę, to wtedy w nocy tej katastrofy ofiara i kat stają się tym samym. Katastrofa naturalna pojawia się i znika bez działania człowieka, a ta wojna została przygotowana przez pewne siły w Belgradzie i to jest fakt, którego nie można odrzucić. To jest tak, jak w przypadku hitlerowskich Niemców, którzy jako pretekstu do agresji używali swej mniejszości w Sudetach — podobnie elity serbskie używają argumentu mniejszości serbskiej na terenach byłej Jugosławii by poszerzać swoją ekspansję na Zachód.

Naszym zadaniem jest znalezienie tych subtelnych różnic, które są pomiędzy sprawcami a ofiarami. Musimy strzec się tworzenia ujednołiceń.

Mieszkałem w Jugosławii do 1991 roku i oplakuję jej rozbicie. Ale jednocześnie jestem świadom, że bardzo niebezpieczna jest rezygnacja ze swojej tożsamości narodowej na rzecz ponadnarodowej tożsamości jugosłowiańskiej, która nie różniła się od ponadnarodowej tożsamości sowieckiej.

Obawiam się, że po trzech latach wojny będziemy zaprzętnięci generalizowaniem, nie dostrzegając istoty sprawy — tego, że jest jeden naród, który chce zdominować inne narody. To jest punkt graniczny. Wiem, że nie jest to popularny punkt widzenia, ale

jest prawdziwy. Na dziesięć dni przed wybuchem wojny w Mostarze i Sarajewie odbywały się spotkania podobne do tego naszego. Sarajewo stanowiło centrum, gdzie spotykali się ludzie podobnie myślący do nas. Ale to nic nie pomogło.

Mileta Prodanović: W wielu sprawach, o których mówił Aleš Debeljak, zgadzam się z nim, ale obawiam się, że cała rzecz nie jest tak prosta. Jest wielu ludzi, którzy w przeciągu jednej nocy stali się zawodowymi Serbami. Ja jestem Serbem, to jest moja narodowość, nie jestem jednak Serbem profesjonalistą. W ich przypadku stał się to zawód, który przynosi im pieniądze.

Jedną z kategorii, którą odziedziczyliśmy po systemie komunistycznym jest kategoria zdrajcy. Szczególnie na obszarze byłej Jugosławii jest to kategoria bardzo popularna. Ja na przykład jestem zdrajcą mojego narodu od pięciu lat.

Aleš Debeljak wspominał o idei Wielkiej Serbii,

która zrodziła się w dziewiętnastym wieku. Jest to rodzaj fantastyki, która niekoniecznie przynależna jest tylko Serbii. Istnieją podobne wyobrażenia o Wielkich Węgrzech czy Wielkiej Chorwacji. Natomiast w rzeczywistości Wielka Serbia istnieje jedynie w kategoriach meteorologicznych — w telewizji belgradzkiej podaje się prognozę dla Nowej Jugosławii, a na osobnej mapie dla państw, które określa się jako „kraj Serbii”. Ten wzór został przejęty z telewizji węgierskiej.

Ja nie myślę tak, jak Aleš Debeljak, że ktoś w tej wojnie zwyciężył, a ktoś wszystko stracił. Ja myślę, że wszyscy w niej przegrali, stracili. Wielka Serbia nigdy nie będzie istniała, a gdyby powstała, byłoby to wielkie nieszczęście dla Serbii. Jugosławia miała swoją szansę bycia krajem normalnym. W późnym etapie komunizmu, kiedy doprowadzono do pierwszych wolnych wyborów, była taka szansa. Lecz ludzie głosowali za wojną.

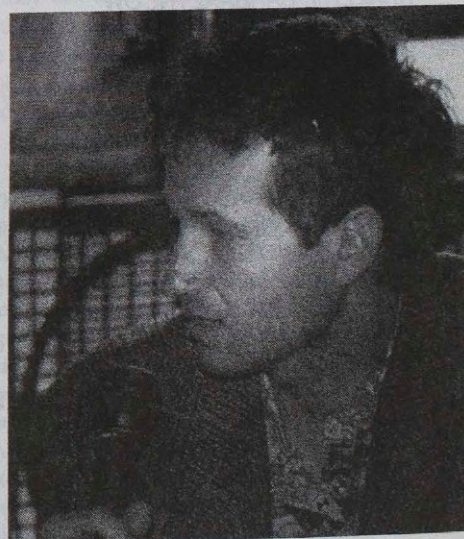
ALEŠ DEBELJAK

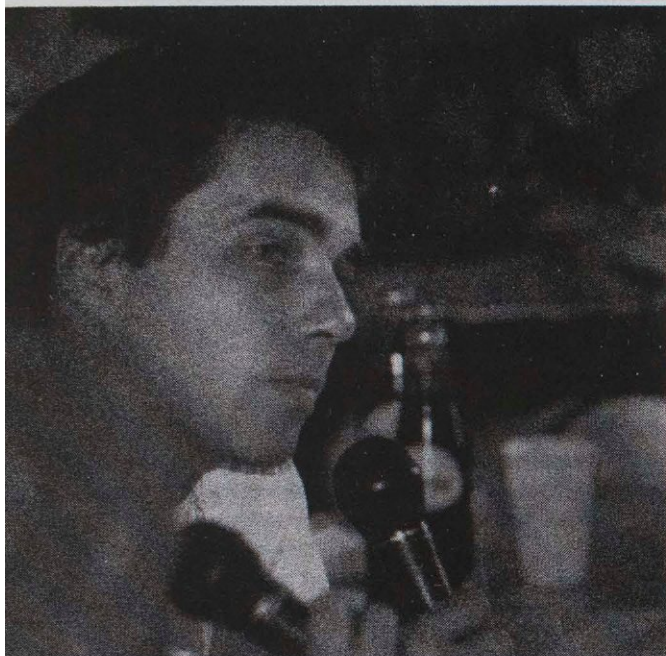
*Gęstnieją cienie, długie grzbiety wzgórz
toną w falach oceanu, słychać przeciągły
dźwięk trąbki solo. Być może wypływa z tran-
zystora. – Gdzieś na krawędzi świata widzialnego skryta*

*sila smutku gubi się w żywym piasku Magrebu. –
Metalicznie dzwoni południe. W fotelach na biegunach śpią
weterani. Miękka skóra cholewek być może pachnie żywicą
i karnymi kompaniami. – W spalonej trawie ogrodu leżą*

*dojrzałe owoce. Białe mury domków drżą w
upale, oficerskie wątroby zżera letarg. Zmieniając je
w katalog roślin. – Któryś, od czasu do czasu,
recytuje Dantego. Wiele śmierci powoli w nim się zbiera.*

Wiersz z tomu *Słownik ciszy*.
Przełożyła Katarina Šalamun-Biedrzycka. Kraków 1993.





MILETA PRODANOVIĆ

KRAŻENIE BARBARZYŃCÓW W PRZYRODZIE

Krajobrazy szczególnym pięknem tchną
gdy dopalają się
miasta atrakcyjniejsze są
w sterty kamieni obrócone
i w rozprysnięte szkło;
każdy kolejny napad
to dowód ich doskonalenia się
gdzieś w nieparzystych wymiarach
siedzą w kucki i dojrzewają
pielęgnowują dzieci i technologię maszyn obłączniczych
rozmnażają konie
potem przedzierają się przez odrzwia czasu
wracają pełni świeżości
w ich nadekumenicznych stepach
przygrzewa nadstońce:
twarze ich są promienne ogorzałe.

Bogów nie mają stałych
zmieniają ich zależnie od potrzeby:
jeden z poprzednich
chyba przedostatni
brodaty prorok wyluzowanego świata
uczył że historia się powtarza
ale jako farsa.

Kiedy na śmietnik wyrzucili
tomy jego proroctw
z mnóstwem pustych zdań
zniknęła przypadkowa mądrość;
przypasali szable
i po równinach rozproszyli się
by jeszcze jeden krąg otworzyć.

Z wyjątkowym zapalem
wyniszczają tych
od których przejęli swe nowe ikony
to zemsta niestałych nad wytrwałymi:
ktoś musi zapłacić za błędny entuzjazm
ojców ich;
pasja wspiera zapomnienie.

Gdy wszystko w proch obróć
i nie wiadomo który już raz wszechświat
ustanowią nowy - mówią:
w porządku
teraz wiecie że istnieją dwa rodzaje
istnieją wasze dzieci
i nasze
mnóżcie się
szczęśliwi że was oszczędziliśmy
karmcie je piaskiem
chyba przystosują się
niech latorośli korzenie wzmocnią się
naszemu potomstwu
i potomstwu tych
którzy zostali tym razem w stepach;
trzeba coś wyciąć
kiedy dojrzeje czas.

Przełożyła
Danuta Cirić-Straszyńska

ZACZYNAJĄC OD SIEBIE SAMEGO

Andrzej Mencwel: Jestem profesorem Katedry Kultury Polskiej Uniwersytetu Warszawskiego. Wywodzę się z Wielkopolski. Zamieszkuję w Kongresówce, co w Polsce ciągle jeszcze ma znaczenie. Znaczna część mojej osoby jest pruska, a znaczna ruska i jeżeli mówi się, że granica między Europą i Azją przebiega koło Kutna, to znaczy tam, gdzie była granica zaboru pruskiego i rosyjskiego, to mógłbym ze znaczną dozą prawdopodobieństwa powiedzieć, że ta granica przebiega przeze mnie. O tyle, o ile mam dojmujące wrażenie tego, że sam jestem takim pograniczem.

Krótko mówiąc, sądzę, że ta problematyka, o której rozmawialiśmy w wymiarze globalnym, nacionalnym i uniwersalnym, jest do uchwycenia na poziomie personalnym. Powiedziałbym więcej — tak ujęta zyskuje dopiero właściwy wymiar. Zadane na początku pytanie, co robić w sytuacji, którą scharakteryzował Krzysztof Czyżewski, jest właściwie pytaniem, w którym ja sam siebie używam jako przykładu. Sądzę, że każdy z siedzących tutaj jest taką lub inną mieszanką kulturową, a jednym ze złośliwych fantomów świadomości nowoczesnej jest idea jakiegokolwiek czystości.

To jest oczywiście problem, ale jego rozwiązanie odbywa się nieustannie na poziomie personalnym i w życiu codziennym. Tutaj nie da się znaleźć jakiejś formy algebraicznej, czy nowego „izmu”, który sprawę by rozwiązywał. W tym świecie problematyka wielokulturowości nie zostanie zlikwidowana, bo jest ona macierzystą tego świata.

Tak jak każdy z nas usiłuję na codzień owe heterogeniczne elementy w sobie samym utrzymać w stanie chwiejnej równowagi i, jak mi się wydaje, nic więcej nie jest do osiągnięcia ani na pograniczu w Krynkach, ani w Sejnach, ani w wielu innych miejscach. Te złowrogie siły agresji są również we mnie i wiem, że mogą ulec erupcji także we mnie.

Na ten personalny i wewnętrzny aspekt sprawy kładę szczególny nacisk. Problematyka ta od dwóch wieków dręczy świadomość europejską i wikła ją w relacje materializmu, idealizmu, racjonalizmu, irracjonalizmu, romantyzmu i pozytywizmu. Cały ten

rejestr quasi-intelektualnych nieszczęść powinien być wzięty w nawias historyczny i odwrócony, to znaczy ujęty od poziomu osoby, a nie od poziomu nacji, globu itd.

Kiedy przeczytałem w słynnym marksistowskim podręczniku filozofii Konstantinowa, że „główną problematycę filozofii jawlajetsja borba materializma s idealizmom”, mam sceptyczny stosunek do tego rodzaju przeciwieństw i w takich sytuacjach staram się liczyć na trzy, nie na dwa. Liczyć na dwa jest niebezpiecznie. W tym punkcie przyłączam się do głosu Jerzego Prokopiuka.

Jeśli państwo pozwolicie, to ode mnie samego przejdę do najbliższego mojego otoczenia, czyli do mego własnego podwórka. Od szesnastu lat mieszkam wprawdzie w Warszawie, ale na peryferiach, na osiedlu, gdzie wszyscy prawie są takimi samymi mieszkańcami jak ja. Otóż na tym podwórku coś widać, w tej pełnej reprezentacji struktury socjalnej i zawodowej, a jednocześnie w tym pełnym zmieszaniu kulturowym. Otóż widać przede wszystkim to, że porozumienie nie dokonuje się wcale, jak sądzą intelektualni, na poziomie dyskursu. Porozumienie dokonuje się na poziomie reakcji cielesno-obyczajowych, kiedy głowa się schyla, aby przed kimś się skłonić, kiedy człowiek znajduje sposób na znajomego z dziesiątego piętra, żeby spędzić z nim w windzie jakąś chwilę czasu itd. Tak więc porozumienie dokonuje się na poziomie całości wzorów kultury, a dyskurs jest jedynie jego racjonalizacją.

To jest żmudna praca. Szesnastu lat pracy trzeba było, aby w bloku, w którym mieszkam, doprowadzić do tego, aby wszyscy do siebie mówili „dzień dobry” i prawie wszyscy się do siebie uśmiechali. Jak sądzę, trzeba następnych szesnastu lat, aby osiągnąć trochę więcej. Do tego dochodzi jeszcze porozumienie na poziomie rzeczy, to znaczy jedni otoczenie niszczą, a drudzy starają się je podtrzymać. Odbywa się nieustanna walka z entropią, w której biorę udział na co dzień. Krótko mówiąc, to jest takie miejsce, w którym walczą ze sobą siły chaosu i kosmosu. Jeśli udaje się zapewnić lekką przewagę ładu kosmosu, czyli osiągnąć sytuację chwiejnej równowagi, jest to dużo. Co więcej jeszcze może zrobić intelektualista? A w moim konkretnym przypadku,

co więcej może zrobić nauczyciel?

Wszyscy jesteśmy zgodni co do tego, że żyjemy w społeczeństwie masowym. Jeżeli coś w tym społeczeństwie może zrobić nauczyciel, to „odmasawiać”. A może to robić tylko przez personalizację swego stosunku do uczniów i sprzyjanie temu, aby się „u-sabiali”. Może być jedynie akuszerem ich odrębnych osobowości. Jest to bardzo niewielki zakres dotyczący kilku, kilkunastu osób. To bardzo trudne zadanie.

PODSUMOWANIA

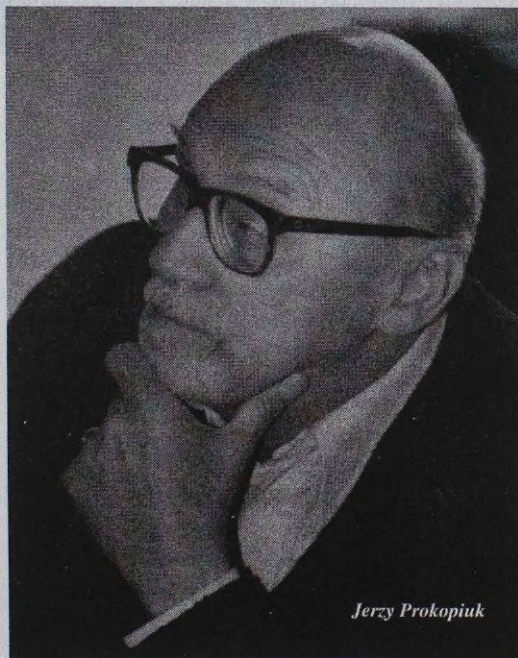
Jerzy Sosnowski: Głosy troski, zwątpień i demystyfikacji dominowały w naszej dyskusji. Andrzej Mencwel, sprowadzając problemy do siebie samego i własnego podwórka, wprowadził ton trudnej i nieefektywnej, ale jednak nadziei. Ucieszyła mnie bardzo ta wypowiedź, tak jak ucieszył mnie gest pojednania pomiędzy Serbem Miletą Prodanowiczem a Słoweńcem Alešem Debeljakem po ich gorącym, polemicznym dialogu.

Nasza dyskusja rozpięta była pomiędzy tragedią na Bałkanach i drzemającym podskórnym w naszych krajach podobnym zagrożeniem, a pracą organiczną na własnym podwórku, możliwie spersonalizowaną. Zastanawiałem się, dlaczego kiedy czytałem „Rok 1984” Orwella po raz pierwszy, a było to w okresie euforii 1980 roku, książka ta zrobiła na mnie tak przynębiające wrażenie. Było tak dlatego, że antyutopia Orwella była pewnym konceptem, którego realizacja w Polsce była już praktycznie niemożliwa. Krótko mówiąc, nie było się czego bać, a jednak książka budziła lęk. Powodem lęku były w gruncie rzeczy nie teleekrany czy zasady nowomowy, ale historia miłości głównych bohaterów, którą również udało się zniszczyć. Ostateczna prawda o człowieku zawarta jest w okrzyku „Zróbcie to Julii, nie mnie”.

Książka Orwella pełna jest zwątpienia w dobro, które leży u podstaw życia społecznego, pełna utraty nadziei. Czy w roku 1994 jesteśmy daleko od tej utraty nadziei? W tym sensie mam poczucie, że dziś jesteśmy bliżej „Roku 1984” niż byliśmy w roku 1984. Dzisiaj przeżywamy utratę nadziei. Konfrontacja z wolnością po 1989 roku pokazała trudne problemy, obnażyła

złudność pewnych nadziei, które nas ożywiały w okresie ostatnich lat walki z komunizmem. Wręcz boimy się mieć nadzieję, zwłaszcza, że od razu czai się podejrzenie, że oddajemy się utopii, co jest złowróżbne.

Sokrat Janowicz: Zadaję sobie pytanie: z jakiego powodu tutaj przyjechałem? I odpowiadam: z tego powodu, że mam problemy, że interesuje mnie i ciągle dociekam, jak to ma być z tym współżyciem polsko-białoruskim, a także polsko-ukraińskim czy ukraińsko-białoruskim. To jest pogranicze i to mnie przejmuje. Taka jest brutalna prawda. Mówimy cały czas: działać, działać... Ale żeby powstało krzesło, najpierw trzeba, aby zrodziła się idea tego krzesła. Chodzi więc o ciągle wytwarzanie, pogłębianie i poszerzanie idei. Jestem zadowolony. Jutro z walizką książek potrzebnych i niepotrzebnych będę gnał w swoje strony i gdzieś po tygodniu chyba tak naprawdę zrozumieć, co tu się stało, bo jest o czym rozmyślać.



Jerzy Prokopiuk

Fotografie Marek Skorupski

MAŁGORZATA DZIEWULSKA

PO PIERWSZE, PISAĆ WIERSZE. PO TRZECIE, NIE ZBAWIAJMY ŚWIATA.

1. LITANIA ZBRODNI

Są dwa sposoby ujęcia naszego zagadnienia: przyjemny i nieprzyjemny. Zaczę od tego drugiego, żywo i wręcz boleśnie poruszonego w pierwszym dniu obrad Środkowoeuropejskiego Forum Kultury, poświęconego postawie inteligencji wobec wyzwań czasu.

W pierwszej kolejności osądzono za przeszłość tę szczególną grupę inteligencji, którą określamy mianem intelektualistów. Kiedy mowa serio o intelektualistach po komunizmie, zwykle pora na rachunek sumienia. Czesław Miłosz powiedział, że w młodości żywił się zupami z zatrutych grzybów. Mówił o konfratermi mędrków, którzy od czasów oświecenia zapragnęli pilnie zbawiać lud, a ich nieuleczalną skłonność do traktowania ludzi jak dzieci, które należy wychowywać, nazwał nałogiem. Jeśli zaś chodzi o artystów, to awangardy XX wieku też nieraz chciały przewodzić masom, choć jednocześnie – od czasów modernizmu (co pierwszy opisał Ortega y Gasset) — artyści „odwrócili się tyłem do publiczności”. W latach dwudziestych ich nadzieja zaczęła być niestety „geograficznie umiejscowiona”. Dziś, po kompromitacji tych zapałów, ku czemu awangarda

miałaby jeszcze prowadzić? To było pytanie o poezję, które okazało się najważniejsze.

Kiedy Mileta Prodanović, krytyk sztuki z Belgradu, i Aleš Debeljak, poeta z Lublany, mówili o Sarajewie, posępna litania sięgnęła apogeum. Potem wyliczano dalsze przewinienia, w tym niemoc odczytywania znaków zapowiadających katastrofy moralne całych społeczeństw. Pycha, próżność, egzaltacja, obłuda i służalczość. Na połowę naszego wieku przypada czarna msza, w której rozum posłużył za narzędzie. Typ dwudziestowiecznego racjonalizmu pomógł w postępach ciemnych sił, a humaniści połowy wieku przyłożyli rękę do katastrofy własnych i innych narodów. Najwybitniejsze umysły Europy, od Hanny Arendt i George Orwella poczynając, trudyły się przez dziesięciolecia, by ujawnić kilka mechanizmów zła. Ale autor *Zniewolonego umysłu* przyznał podczas rozmów nad Wigrami, że nie przeczuł, jakie stanowisko zajmą za chwilę jego koledzy, serbscy intelektualiści, których spotkał podczas podróży do Belgradu odbytej tuż przed jugosłowiańską wojną. Carl Gustaw Jung do największych kłamców spośród swoich pacjentów zaliczał intelektualistów — czucie i rozum, pisał, były u nich rozdzielone.

Może w tej chwili również nie zauważamy oznak

nowych namietności, które za chwilę rozpoczną swój taniec? A jeżeli je zauważamy, to co możemy z tą naszą wiedzą uczynić? Wpadanie w kasandryczne tony też może być tylko niewczesną histerią. Po kilku godzinach rozmów nasuwał się tylko ten wniosek, że powinniśmy szybko rozjechać się do domów i zająć się swoją działką. Po południu jednak Miłosz czytał utwory ze swoich *Wypisów z ksiąg użytecznych*, a wieczorem inni poeci czytali swoje wiersze, i zrobiło się nie tylko lżej, ale i prawdziwiej.

2. O JEDNEJ KONFERENCJI MIĘDZYNARODOWEJ

Nie możemy mówić zbyt poważnie, bo jest przecież statystycznie prawdopodobne, że zebraliśmy się na jednej z tych setek konferencji europejskiego porozumienia, które po latach mogą pobudzać tylko do śmiechu lub płaczu. Jedna z nich miała miejsce w końcu lat dwudziestych w Heidelbergu, a opisał ją Jarosław Iwaszkiewicz. Uczestniczyli w niej również intelektualiści i poeci.

Celem konferencji było przewyciężenie europejskich podziałów epoki. Iwaszkiewicz zaprzyjaźnił się tam czule z Karlem, młodym poetą z kręgu Stefana George. Rozegzaltowani, czytali razem wiersze, zaniedbując zajęcia kongresu. Pewnego dnia udali się na wycieczkę do grobów Hohenstaufów w Spirze. Polak był nieco zdumiony, kiedy podczas zwiedzania grobowców nowy przyjaciel zwierzył mu się ze swej wiary w wodza, który nadejdzie, wskrzesi gibelnińskie marzenia i będzie godny klęknąć na posadzce katedry, w tym samym miejscu, gdzie Konrad III składał przysięgi wojny krzyżowej. Po powrocie do kraju Iwaszkiewicz napisał proroczy wiersz, który kończył się tak:

*Śmiertelny potok życia
Uczucia nasze zamroczy
I spojrzą ku sobie bezwładnie
Nasze — nie nasze oczy.
W zderzeniu piorunowym
miłość się nasza ziści
Pamiętaj — większa siła
jest zawsze w nienawiści.*

Kiedy poeta po raz pierwszy podawał ten tekst do druku, jego żona prosiła, by zamienił słowo „zawsze” na słowo „może”, i tak też się stało. Dopiero od niedawna można ten wiersz przeczytać w pierwotnym kształcie. Pointą tej historii jest pewna legenda przytaczana przez przyjaciół Iwaszkiewicza. Wedle niej Karl odwiedził po latach swego przyjaciela na Stawisku pod Warszawą. Było to w 1942 roku, a Karla zdołał mundur wysokiego oficera gestapo.

Historia ta poucza o wielu rzeczach, a także o tym, jak zawile są drogi fascynacji. Nikt nie wie tego tak dobrze jak Niemcy. Czy dziś stać nas na konfrontację z takim zagadnieniem, jakim jest twórcza siła nienawiści? Ostatnie linie tego wiersza mają dwa znaczenia. Można je czytać jako sarkazm i protest, ale można je czytać jako pouczenie dotyczące źródeł twórczości. Znając Iwaszkiewicza można zarzykować, że nie szło mu o to pierwsze.

Sokrat Janowicz zwierzył się zebrany, doskonale świadomy paradoksu, że źle mu się ostatnio pisze, bo nie ma wroga. Ale ten wróg już mu się rysuje — to szowinizm! „On mi dobrze robi, potrzebuję go” — dodał Sokrat Janowicz, i poruszył coś, co nie zostało rozwinięte. Czesław Miłosz miałby tu może coś do powiedzenia, ale był w pogodnym humorze.

Jest to historia z dawnych dziejów sąsiedzkich przyjaźni poetów. Jakaś nieco zbliżoną historię można by pewnie opowiedzieć nie tylko o Niemcu i Polaku, lecz o Polaku i Litwinie, o Polaku i Ukraińcu, gdzie Polakowi przypadłaby inna rola niż w opowiadaniu Iwaszkiewicza...

3. PEWIEN PROBLEM W TLE

Jak więc zastosować należy rozum, by nie był narzędziem diabelskiego rytuału? I po drugie: jak należy myśleć o odnalezieniu dawnego punktu między umysłem i światem, jak chciała Simone Weil, o potrzebie innej, wzbogacającej historyczności, jak chciał Stanisław Vincenz, czy o wyzwoleniu się z niedocieleśności wyobraźni, jak chce Czesław Miłosz, by właściwie używać naszej jedynej, choć tak obosiecznej broni — rozumu?

I czy nienawiść rodzi się z niczego, jak mysz

z kurzu? Póki uznamy samych ludzi za winnych od początku do końca, pozostawimy zawsze wolne miejsce dla złości. Bo jeżeli zło jest produktem wytwarzanym społecznie, oznacza to, że jacyś ludzie są zawsze odpowiedzialni i zasługują na proporcjonalną karę. Ktoś musi zawsze przecież stać na początku łańcucha. Czyli, że jedni są dobrzy, a drudzy są źli? Czy człowiek jest ofiarą, czy katem? Czy stroimy się w rolę obrońców, czy w rolę oskarżycieli ludzi? Jeżeli jedno i drugie, to gdzie przebiega granica? I co jest warta taka granica?

Ten temat poruszał często w swoich wierszach inny poeta, Ryszard Krynicki. Nie mógł zrozumieć, dlaczego funkcjonariusz tajnej policji nie ma być człowiekiem jak my. Wydaje się, że pytanie dość istotne. „I nie przebacząj” — mówi co prawda jeszcze inny poeta. Ale czy przestrzegaliśmy przed przebaczeniem temu konkretnemu funkcjonariuszowi, który przyszedł cię zabrać o świcie? Tego nie powiedział.

Psychologiczne i socjologiczne majsterkowanie przy problemie zła jest jednym z szaleństw naszych czasów. W literaturze, nie chcąc zbyt obciążać ludzi, wymyślono pewien trick — że winne są wadliwe mechanizmy społeczne albo też winne są złe czasy. Ale nie to miał na myśli Dostojewski, kiedy opowiadał swoje historie, na przykład tą o dziewczynce, której dziecięcy strach pobudzał Stawrogina do posunięcia się jeszcze o krok dalej.

Był stary, średniowieczny pomysł, o którym nie wypada mówić poważnie, z jegomościem, który ma ogon i kopyta. Ten pomysł miał pewne zalety, choć oczywiście nikogo nie powstrzymał przed wyżynaniem całych prowincji. Czy ten jegomość będzie osobą czy też nie, czy będzie strąconym aniołem czy

Demiurgiem, czy jest rogaty i włochaty, czy też jest czarną dziurą albo nie rozpoznanym typem promieniowania kosmicznego, nieważne. Ten dziecinny pomysł zwalnia od obciążania człowieka wszystkim, przyjmuje, że na początku łańcucha jest podszept, któremu ulegają łatwo całe grupy i wielkie masy ludzkie...

Bo dlaczego ten taniec ciągle się powtarza? Sprawa jest ciekawsza, kiedy mowa o tym, by nie dać się wciągać w przerastającą nas, niezwykle cwana grę, uczyć się rozpoznawać podszept, neutralizować jad. To lepsze od płaskiego moralizmu, choć wiara w diabła łatwo znowu może nas zaprowadzić w świat paranoika. Ale moralizm to też nie są pozycje nadzwyczajne. Moralisci mają to do siebie, że mylą prawdę moralną z prawdą absolutną, a to jest ryzykowne. Moralizm wyposaża nas też w dobre samopoczucie szlachetnych mentorów. Ale znowu psy gryzą strachliwych, bo reagują agresją na zapach adrenaliny. Tu z kolei mamy materialistyczną wykładnię problemu. Każda przesada i każdy maksymalizm, doprowadzanie do skrajnych konsekwencji każdego stanowiska, jest błędem.

4. INNY PROBLEM W TLE

Kiedy mówimy o nieszczęściach wynikających z dochodzenia swych krzywd przez ludzi i narody, które — wczoraj poszkodowane — czują się dziś upoważnione moralnie do użycia przemocy, trudno nie mówić o chrześcijaństwie. Jeżeli szukamy jakiejś broni, to też warto myśleć o chrześcijaństwie. Jeżeli chcemy, by gwałt nie odciskał się gwałtem, i mamy skłonność do namawiania ludzi, by przeszli do porządku nad własną krzywdą, co możemy podać jako argument? Uzasadnienie racjonalne, że rewindykacje prowadzą do eskalacji przemocy, nikogo nie przekonuje. Dlaczego to właśnie on miałby zrezygnować, skoro inni tego nie zrobili?

Byłoby więc lepiej, by inteligencja potrafiła uporządkować swój stosunek do chrześcijaństwa. Ostatnio, przynajmniej w Polsce, jest w tej sprawie wiele zamieszania. Niemała część wielkomiejskiej inteligencji wykonała fikolka: w okresie stanu wojennego egzaltowani bywalcy katolickich świątyń dzisiaj

MAŁGORZATA DZIEWULSKA,
eseistka teatralna, reżyser. Jest
doradcą literackim Starego Teatru
w Krakowie. Mieszka w Warszawie.

prześcigają się w psioczeniu na Kościół. Wielkie błędy, jakie polski Kościół popełnił od 1989 roku, błędy nawet oburzające, nie mogą być zarazem i początkiem, i końcem problemu. Dobrze by było, by inteligencja uporządkowała również swój stosunek do Kościoła. I jeżeli go odrzuca, co każdemu wolno, warto, żeby zdawała sobie sprawę z całego kontekstu.

5. STARY POETA I POECI POGRANICZA

Motto poetyckie: *Enk penk balon*

A z balona

Wyszła wrona

Bardzo mądra i uczona

(Anonim)

Nadmiar dramatyzowania też jest jedną z form obłudy mędrków. Nie było przecież tak źle nad Wig-

A oto morał znad Wigier w punktach:

1. Lubić ludzi.
2. Być użytecznym.
3. Odbierać świat prosto.
4. Przede wszystkim poznawać.
5. Myśleć nie o dziele, ale o cegiełce.
6. Nie tworzyć programów, nie egzaltować się, nie chcieć za dużo.
7. Pamiętać, że solą naszej nadziei są ci, którzy przyjechali z Południa.

rami, było nawet bardzo przyjemnie. Zebrani zorientowali się w tym zadziwiająco szybko. Balony, które rano nadmuchiowano, były przekłuwane wieczorem. Aspekt poezji okazał się decydujący.

Poeta, który chce pozostać tylko poetą, a wyglądało na to, że tacy się zebrali, jest jednak kimś innym niż intelektualistą, który osądza świat. Dobrzy poeci: Leonid Tałałaj, Korneljus Platelis, Vytautas Błoże, Nijole Milauskajte, Aleš Debeljak, Zbigniew Machej. Poeci mają swoje anteny. Przedwojenny katastrofizm Miłosza dowodzi, że jego antena działała sprawnie. Pozostaje mieć nadzieję, że ta antena dalej działa dobrze i, sądząc z nastroju samego Miłosza i jego najnowszej poezji, zapowiada nam lepsze czasy. Ufajmy więc w instynkt starego poety i cieszymy się. Odpowiedzi nie powinny być więc zbyt racjonalne. Nadzieja jest może w tym, że mamy w naszym rejonie świata trochę (względnie) odpoczynku.

IVAN ČOLOVIĆ

MIT GRANICY

Szkic ten jest wstępnym przedstawieniem pewnej grupy mitów politycznych, czyli, jak by powiedział Gilbert Durand, „konstelacji” mitologii politycznej, której szkielet stanowi temat granicy. Owa konstelacja mitów politycznych w ostatnich latach bardzo się przybliżyła i zajęła sporą część horyzontów mitopolityki, zwłaszcza tutaj, na obszarze byłej Jugosławii, gdzie piórem, a bardziej jeszcze mieczem, nakerśla się granice nowych państw.

Prawda, że obrazy, opowiadania i wiersze o granicy i z granicy na naszym bałkańskim terenie także i dawniej były bogato reprezentowane. Może najlepiej świadczą o tym cykle wierszy o uskokach, hajdukach, krajisznikach czy granicznikach, te epickie kroniki i ballady, w których zachowała się pamięć o ponad trzech wiekach (od lat trzydziestych XVI wieku do lat siedemdziesiątych wieku XIX) życia tak zwanego pogranicza wojskowego, szerokiego pasa obronnego, który monarchia habsburska stworzyła na granicy dzielącej ją od cesarstwa otomańskiego, powierzając strzeżenie jej głównie zbiegłym tu Serbom-granicznikom.

W ożywionym dziś na nowo języku, w jakim mówi się o granicy, są liczne ślady motywów tradycji epickiej, są też próby odnawiania albo, ściślej mó-

wiąc, naśladowania kroniki krajisznickiej pisanej dziesięciozłóskowcem. Na pewno sensowna byłaby rekonstrukcja historii bakańskich mitycznych wyobrażeń granicy, w której by opisano linie kontynuacji motywów i ustalono punkty styczne i korespondencje mitopolitycznych wyobrażeń granicy w różnych częściach Bałkanów. Istnieją podstawy do twierdzenia, że sporą częścią ważnego dla tego tematu materiału stanowią teksty folklorystyczne i wytwory folklorizmu politycznego.

W tym szkicu postawiłem sobie o wiele skromniejsze zadanie — zestawienie repertuaru podstawowych toposów mitu granicy. Mniej więc uwagi poświęcam historycznemu, więcej zaś typologicznemu aspektowi owej konstelacji mitycznej. Materiał znalazłem przede wszystkim w wytworach współczesnego serbskiego folklorizmu politycznego (nowe pieśni patriotyczne w stylu folklorystyczno-epickim, slogany i hasła na wiecach politycznych) oraz w tekstach niektórych literatów i polityków, gdzie występują określone epicko-folklorystyczne toposy, wśród nich dotyczące granicy, przetransponowane na nie-folklorystyczne rodzaje wypowiedzi: przemówienie polityczne, artykuł polityczny.

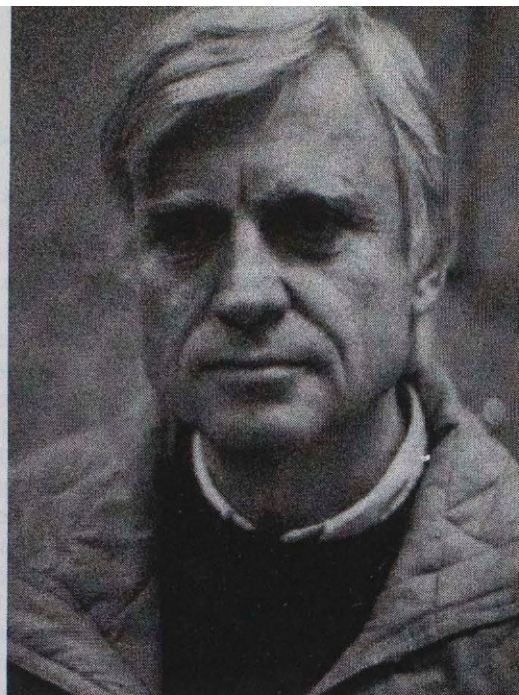
Wybór materiału wynika z faktu, że dla badacza,

który dziś mieszka w Belgradzie, jest on najbardziej, żeby nie rzec wyłącznie, dostępny. Jednakże pewne przykłady wyobrażeń narodu, państwa narodowego i jego granic, które podają badacze mitów politycznych z innych terenów i o których będzie tu mowa, sprawiają, iż uzasadnione jest założenie, że typologiczne przedstawienie mitów granicy, opracowane na podstawie materiału z Serbii i w znacznie mniejszym stopniu z Chorwacji, znalazłoby odpowiednik w materiale, jaki odnajdujemy w innych źródłach.

NARÓD WCIELONY I NATURALNE GRANICE

Wyobrażenia związane z tym, jak daleko rozciąga się naród, co wyznacza najdalsze punkty jego obszaru, co i kto znajduje się po drugiej stronie granicy, zależą od sposobu, w jaki wcielana jest podstawowa idea współczesnej mitologii politycznej — idea zbiorowości narodowej. Zbiorowość narodowa, wyobrażona jako swoista „osoba”, zdaniem francuskiego historyka Jeana Plumyene’a pojawia się w czasach Wielkiej Rewolucji Francuskiej. „Od roku 1792 — pisze badacz — historia stała się historią narodów, homogenicznych zbiorowości lub zbiorowości, które chciałyby być takimi, które zyskują potwierdzenie albo walczą o to, by je zyskać jako osoby, zwaśnione lub pogodzone, zjednoczone lub rozdzielone, ale każda z nich przekonana jest, że rządzi nią szczególna zasada i — jednocześnie — że jej powierzona została jakaś ogólnoludzka misja” (J. Plumyene: *Nations romantiques*. Fayard 1979 s. 50).

Plumyene dostrzegł, że wraz z pojawieniem się narodów jako upersonifikowanych idei zbiorowości narodowej i jej terytorium, klasyczne rozróżnianie sztucznych i naturalnych granic nabrało nowego znaczenia. Rzeczywiście we współczesnej mitologii politycznej naturalne granice między państwami nie przebiegają wzdłuż brzegów wielkich rzek czy pasm górskich, lecz są to granice zbiorowości narodowej rozumianej jako naturalna i dana przez Boga całość. Istotnym składnikiem tak rozumianej wspólnoty jest jej związek z terytorium, które nazywa się obszarem etnicznym, życiowym czy historycznym. Terytorium



to, wedle przekonania przedstawionego w wychodzącym w Banialuce piśmie „Zachodnia Serbia” („Zapadna Srbija”, sierpień 1993), dane jest Serbom od zawsze i na zawsze. „Serbowie są tu od zawsze. Bóg Wszechmogący podarował im rajskie miejsca na tej ziemi”.

Związek ethnosu z terytorium jest — z jednej strony — niezwykle bliski, toteż elementy geografii, zwłaszcza rzeki i góry, stają się częściami ciała, arteriami, łonem lub grzbietem upersonifikowanej wspólnoty narodowej. Tytuł artykułu o Neretwie jako serbskiej rzece w piśmie bośniackim Serbów „Opinia” („Javnost”, 31 VI 1993) brzmi: „Aorta serbskiego krwiobiegu”. W Serbii lasy i niebo mają w sobie coś niepowtarzalnie serbskiego, a w chorwackiej ziemi nawet robaki są chorwackie. Tak przynajmniej myśli popularna aktorka Nela Erzišnik, która niedawno wyznała, że chce być pochowana w chorwackiej ziemi, żeby jadły ją chorwackie robaki.

Z drugiej strony, wspólnota narodowa spaja się z terytorium narodowym w sposób ambiwalentny w tym sensie, że terytorium to nigdy nie ma wyraźnych konturów i ustalonych granic. W wytworach współczesnego serbskiego folklorystyki politycznej granice obszaru etnicznego otrzymują rozmaite kamie-

nie graniczne. W jednym przypadku terytorium narodowe rozciąga się „od Karlovaca do równinnego Kosova” i „od Wardaru do błękitnego Adriatyku”. Odpowiednikiem tego po stronie chorwackiej są strofy śpiewane przez zespół „Złote dukaty”:

*Między Sawą, Adriatykiem, Drawą,
Wciąż i zawsze przy jakiejś granicy,
Tu mieszkali od czasów pradawnych
Starzy Chorwacy i stare Chorwatki.*

Ową płynność granic w mitycznym języku odnoszonym się do wspólnoty narodowej dostrzegli Anne-Marie Lesonczy i Andreas Zeleni w tekście poświęconym badaniom antropologicznym figur węgierskiego patriotyzmu: „Ojczyzna zatem przedstawiona jest jako terytorium, gdzie naród i ziemia, którą ten naród zamieszkuje, są nierozdzielnie związane. Jego granice jednak nie pokrywają się z granicami państwa czy narodu, a nawet z granicami obszaru geograficznego, który zamieszkuje naród uważający się za węgierski lub mówiący w tym języku. Nie można go sprowadzić do obszaru geograficznego ani lingwistycznego, ani też do obszaru zamieszkania czy jakiegos w prawdziwym znaczeniu terytorium politycznego. Toteż najpierw należy zadać sobie pytanie: Czy ojczyzna w ogóle ma granice, czy można ją utożsamić z jakimś terytorium i – jeżeli tak – co wyznacza jej granice?” (A-M Losonczy, A. Zempleni: *Anthropologie de la 'patrie': le patriotisme hongrois*. Tewain 17 s. 30).

Istnieją dwa możliwe wy tłumaczenia owej nieokreśloności. Przede wszystkim wyznaczniki przestrzenne pochodzenia geograficznego przechodzą do mitu w swym znaczeniu fabulatywnym. Na przykład tzw. „Niebieska Serbia” nie może się zmieścić w świeckich granicach ziemskiej Serbii. Po drugie, wyobrażenie całości zbiorowości narodowej jest dynamiczne; jest to wyobrażenie regeneracji zbiorowości, wyzwalania go lub odradzania się, to jest wzrostu i ekspansji narodu. Dlatego jej tzw. granice naturalne pozostają dość nieokreślone, rozciągliwe, ale zawsze znajdują się na cudzym terytorium. Podczas gdy nasze terytorium, dążąc do granic naturalnych, nieustannie się powiększa, terytorium naszych sąsiadów i wrogów wciąż zmniejsza się w sposób naturalny. Duet „Bracia Bajić” w jednej z humorystyczno-pa-

triotycznych piosenek ostrzega Chorwację, że będzie ją widać całą z zagrzebskiej góry Sljeme. W podobny sposób motyw ten opracowuje piosenkarz ludowy, znany pod imieniem Baja Mały Knindza: „Tudźman myśli: granicą mu Drina. Dziś mu Drina płynie koło Knina”.

Wyjaśniając pojęcie granic naturalnych Larouse w *Grand dictionnaire universel du XIX siècle* (wyd. 1866-1867) cytuje następujące słowa Saint-Marc Girardina: „Interesujące jest, że nigdy żaden naród nie uważał, iż dla poszanowania granic naturalnych powinien zmniejszyć swe posiadłości i skrócić granice, lecz każdy doszykuje się w geografii naturalnych granic zawsze i tylko po to, żeby powiększyć swoje terytorium”.

NARÓD JAKO POSTAĆ KOBIECA

Rzekome granice naturalne są częścią różnych wyobrażeń całości wspólnoty narodowej, wyobrażeń złożonych z różnorodnej materii, czyli umiejscowionych na kilku podstawowych planach metaforycznych.

Najbardziej znana i najpowszechniejsza postać narodu przedstawia go jako alegoryczną osobę płci żeńskiej, na ogół jako matkę, co ma podstawy w animistycznych wyobrażeniach Matki Ziemi (Terra Mater, Zemlia Mat, Mutter Erde) i czego ślady zachowały się w kulturze wielu narodów.¹

Serbia również, i to od dawna, najczęściej jest „Matką Serbią”, a jej poddani są jej dziećmi, tj. synami. Nieco rzadziej występuje pod postacią siostry, jako „nasza siostrzyczka”. Wyjątkowo naród pojawia się jako ukochana kobieta, tak jak w piosence zespołu „Wiła Velebitu”, w której do Chorwacji kieruje się słowa miłości: „Zakochany w tobie, nie trzeba mi innej”.

Poszczególne części terytorium narodowego lub tzw. obszaru etnicznego mogą być przedstawione jako córki Matki Narodu. I tak w pewnym tekście opublikowanym w piśmie „Zachodnia Serbia” (sierpień, 1993) stwierdza się: „Boka, «oblubienica Adriatyku», dziś zagrożona, na uboczu, na samej granicy, tuż obok Konavli, patrzy ku Hercegowinie,

ku serbskim ziemiom, ku Matce Serbii, i czeka". Inne, większe części obszaru etnicznego, do wczoraj dysputy, a dziś nowo proklamowane państwa serbskie, otrzymują rolę młodszych sióstr Serbii i Czarnogóry. Wszystkie razem tworzą „serbskie stado” w tak zatytułowanym wierszu Dragoslava Knezevicia Krunicy:

*Niż Czarnogóra, Serbia,
Młodsza siostra Krajina
Czy pokój, czy wojna włada,
Też chce do serbskiego stada.*

Kiedy wspólnota narodowa i jej ziemia wcielone są w postać matki, siostry czy ukochanej, problem integralności narodowej i zachowania lub przesuwania granic staje się maksymalnie stresogenny i przegradza się w strzeżenie czci matki i w ogóle czci swoich kobiet. Motyw wypadu na cudze terytorium po branki, bardzo częsty w folklorze Krajiny, może otrzymać znaczenie bezczeszczenia honoru narodowego. To znaczenie na pewno ma tytuł książki Majkla Liza *Gwałcenie Serbii*, opublikowanej w 1992 roku w Belgradzie.

CIAŁO I TKANKA NARODU

W pewnych innych przypadkach naród również wyobrażany jest jako istota żywa, narodowy organizm narodu, ale nie – jak w poprzednich przypadkach – jako alegoryczna postać kobieca. Teraz na pierwszym planie jest wyostrzony niby w soczewce obraz „ciała narodu”, „biologicznej substancji narodu”, jego „tkanki” i tych części owej tkanki, które narażone są na największe niebezpieczeństwo ciosów, okaleczeń i amputacji, a są nimi najdalej wysunięte, graniczne części organizmu narodowego. Strach przed taką amputacją wyraża tekst opublikowany w piśmie Serbów bośniackich „Ogniska domowe” („Ognjista”). „Świadomość, że akt podziału ziem serbskich jest prawie nieunikniony i nieuchronny, lękiem i poczuciem niepewności przepaja serbski byt narodowy, ostrą klingą tną żywą tkankę serbskiego organizmu narodowego...” Podobne odczucia sugeruje tytuł w piśmie „Wojsko Krajiny” („Vojska Krajine”, kwiecień 1993): „Bezprzykładne rozszarpywa-

nie serbskiej tkanki narodowej”.

Strachem przed kaleczeniem ciała narodu, przed penetracją obcego ciała w tkankę organizmu narodowego prześlągnięta jest anonimowa ulotka wzywająca Chorwatów do unikania Serbów (opublikowana w czasopiśmie „Duga” z 10 października 1992 roku). Między innymi zawiera ona następującą radę: „Nie utrzymujcie kontaktów z Serbami i nie przyjaźnijcie się z nimi — w ten sposób zapobiegniecie ich przenikaniu w chorwacką tkankę narodową”.

OJCZYZNA, CZYLI KRAINA MARTWYCH

W postaci zbiorowości narodowej jako ojczyzny, tj. kraju, przodków ojców narodu, zachowało się coś z obrazu organizmu narodowego, tkanki narodowej, przede wszystkim w tym sensie, że ciągłość ojczyzny zapewnia krew przodków płynąca także w żyłach współczesnych, tj. dziedzictwo genetyczne. Tymczasem jeśli idzie o postać ojczyzny, niemal ważniejsza jest ta krew przodków, która przelana została w bitwach z wrogiem i którą, jak się to często mówi, przepojona jest każda piędź naszej ziemi. Ojczyzna ma w istocie dwa krwiobiegi, jeden, który łączy martwych, żywych i nie narodzonych, i drugi, który w nieustannych bojach i cierpieniach bohaterską krwią zrasza ojczystą ziemię. Prócz krwi kryje ona prochy i kości przodków i strzeże ich. Toteż ojczyzna pod wieloma względami przypomina gigantyczny cmentarz. Jej terytorium sięga tam, gdzie są groby przodków, a peryferyjne groby pełnią rolę pomników granicznych.² Myśl tę niedawno przekuł w wiersz poeta ludowy Dragoslav Knezević Krunica:

*Tyle już baszt z kości stoi
Na junackiej ziemi mojej,
I w Slavonii urodzajnej,
W Lice i Krajinie skalnej.
Tam gdzie leżą dziadów kości,
Są granice serbskich włości.*

W piśmie „Zachodnia Serbia” (sierpień 1993) ukazał się artykuł „Groby nie dają Kupresu”. „Groby poległych żołnierzy i niewinne ofiary cywilne — pisze autor tego artykułu — nigdy nie wybaczyły zdrady

zwanej oddaniem Kupresu. Tu są nasi przodkowie i nie zamierzamy opuścić swoich prawosławnych grobów i swojej Cerkwi”.

Ta postać ojczyzny bardziej niż inne związana jest z terytorium. Może nawet zostać zredukowana do upiornego obrazu świętej ziemi ethnosu zbrocznej krwią i wyznaczonej grobami, ale bez żywych ludzi. To, wedle słów Matiji Bečkovicia, może się stać z Kosowem. „Czy i w sześćsetlecie Bitwy Kosowskiej — pisze on — musimy obwieszczać: Kosovo to Serbia i fakt ten nie zależy od rozrodzności u Albańczyków i śmiertelności wśród Serbów. Jest tam tak dużo serbskiej krwi i serbskich świętych miejsc, że zostanie ono serbską ziemią, nawet jeśli nie będzie tam ani jednego Serba”. („Književne novine”, 15 marca 1989)

Ideę ojczyzny jako ziemi przodków, której części mogą nawet zostać bez żywych potomków, można zresztą odnaleźć także w mitach politycznych innych krajów. W pracy „Les Frontieres de France” historyk francuski Théophile Lavalée stawia pytanie: „Czy Francja powinna sięgać po swoje naturalne granice na północy? Niewątpliwie. Powinna się znaleźć w granicach, które wyznaczyła jej Boża ręka, tych, które miała w celtyckiej i rzymskiej przeszłości, które odzyskała w czasach swej odnowy w 1789 roku; na jej terytorium powinno się znaleźć pole bitwy koło Tolbiac i grób Karola Wielkiego” (T. Lavalée: *Les*

Frontieres de France. 1864 s. 78).

OJCZYZNA-DOM³

Ojczyzna to niezupełnie to samo co *domovina*, ta druga bowiem sugeruje obraz wspólnoty narodowej jako przestronnego, ciepłego domu. „Oj Serbio, ciepły dachu” — brzmią słowa jednej z nowych patriotycznych pieśni ludowych. Domownicy, tj. swoi, związani są wzajemnym szacunkiem i miłością jako członkowie dużej rodziny skupionej wokół pieca. Razem bronią tego pieca-domu-domoviny przed niebezpieczeństwami świata zewnętrznego, przede wszystkim przed obcymi. Toteż domovina, wewnątrz swojska i idylliczna, na zewnątrz zorganizowana jest jak twierdza z dobrze bronionymi dościami i bramami.

Braudel, opisując niebezpieczeństwa, które często groziły Francji na północnowschodnich i wschodnich granicach, przywołuje mityczny obraz narodu francuskiego jako domu, do którego drzwi dobijają się nieproszeni goście: „Trudna do obrony, ta północnowschodnia i wschodnia granica jest bardziej niespokojna niż wszystkie inne, najbardziej żywa, bo zawsze czujna z powodu niebezpieczeństwa, jakie stanowią agresywni i groźni sąsiedzi. Nauczyli się oni, że jeśli tutaj zaatakuje się francuski dom, są

Ivan Čolović (ur. 1938), filolog, filozof, etnolog. Był doradcą do spraw oświaty w Jugosłowiańskim Komitecie UNESCO, lektorem języka serbsko-chorwackiego we Francji, pracownikiem kilku wydawnictw. W 1971 roku redagował serię pn. „XX Wiek”, prezentującą literaturę antropologiczną.

Ivan Čolović prowadzi badania etnolingwistyczne. Opublikował następujące książki o tej tematyce: *Divlja književnost. Etnolingvistička proučavanja paraliterature* (Dzika literatura. Badania etnolingwistyczne paraliteratury, 1985), *Vreme znakova* (Czas znaków, 1988), *Erotizam i književnost* (Erotyzm i literatura, 1990).

Jest członkiem-założycielem i wiceprzewodniczącym Stowarzyszenia Niezależnych Intelktualistów pn. „Belgradzki Krąg”. Wydał dwa zbiory esejów: *Bordelj ratnika* (Burdel wojownika, 1992) i *Pucanje od zdravlja* (Tryskanie zdrowiem, 1994).

szanse na wyłamanie jego wrót" (F. Braudel: *Espace et histoire*, s. 298).

Tutaj na straży, na szanicach ojczyzny-domu, stoją jej najlepsi synowie — granicznicy. Właśnie w tym miejscu stają się najlepsi, stawiając opór niebezpieczeństwu, hartując się w nieustannym czyhaniu i odpieraniu nieprzyjaciela, doskonaląc swój instykt obronny. Oto dlaczego w serbskiej mitologii politycznej tak zwani peryferyjni Serbowie, ci z Krajiny i Serbowie w Bośni przede wszystkim, określani są jako najczystsiej, najlepsi przedstawiciele narodu. „Serbowie w Bośni — pisze Biljana Plavšić — zwłaszcza na terenach granicznych, rozwinęli i udoskonalili zdolność wyczuwania zagrożeń dla narodu i rozwijania mechanizmu obronnego” („Borba”, 28 czerwca 1993).

Oto podstawowe typy mitycznych wyobrażeń zbiorowości narodowej i jej granic: naród jako kobieta narażona na brutalne ataki, przy czym obronę granic utożsamia się tu z obroną jej czci; naród jako narażone na zranienia ciało, wystawione – na granicy – na niebezpieczeństwo ciosów i okaleczeń; naród jako pobojowisko przodków i cmentarz, któremu grozi niebezpieczeństwo bezczeszczenia zwłok; i wreszcie naród jako dom z dobrze strzeżonymi drzwiami i włamywaczami u wrót. Przykłady z Chorwacji, Węgier czy Francji, wymienione obok materiału zaczerpniętego przeważnie z serbskich źródeł, przemawiają na korzyść wysuniętego na wstępie założenia, że te same typy wyobrażenia narodu i jego granic, funkcjonowanie tych samych matryc mitologicznych występuje w mitologiach politycznych różnych narodów.

Czerwiec 1994

Przekład

jas

1 W Jugosławii pisał o tym Petar Bulat (*Mati Zemlja*. W: *Etnoloska biblioteka*, 9. Zagrzeb 1930). Wymienia on interesujące dla nas przykłady, ilustrując, że kult Matki Ziemi przekształca się w patriotyzm już w rosyjskich bylinach: „Dla twórcy rosyjskiej poezji ludowej jego ojczyzna jest matką, toteż ustami bogatyrza mówi o Rosji: Ja matuszku ruszku zemliu — a rusku zemliu ja naskroz projdu” (s.8).

2 Grób jako kamień graniczny nie jest wynalazkiem mitologii nacjonalizmu. W tej roli znany jest w tradycyjnej kulturze ludów rolniczych. W Serbii stało się zwyczajem oznaczanie granicy posiadłości ziemskiej (zwłaszcza łąk) grobem albo pomnikiem poświęconym zmarłemu. Groby są odpowiednie do tego celu dzięki ich sakralnemu charakterowi, ich nietykalności (tabu), która powinna odwieść właściciela sąsiedniej posiadłości od chęci powiększenia jej metodą przesunięcia granic.

3 W języku serbskim istnieje synonim słowa ojczyzna - *domovina*. Nieprzekładalny na polski (choć zrozumiały), niezbędny jest dla toku wywodów autora, toteż zostawiam go w brzmieniu oryginalnym lub w formie zastosowanej w podtytule. (Przyp. tłum.)

NEBOJŠA POPOV – wybitny serbski intelektualista, członek „Belgradzkiego Kręgu”. Należał do zbuntowanej grupy filozofów marksistowskich „Praxis” w byłej Jugosławii. Jest autorem tłumaczonej na wiele języków świata rozprawy o serbskim populizmie (wyd. polskie *Serbski dramat*, NOWA 1994). Przeciwnik polityki Miloševića i wielkoserbskiego nacjonalizmu.

NEBOJŠA POPOV

WOJENNY SPOSÓB ŻYCIA

RZECZYWISTOŚĆ WOJNY

George Orwell w *Roku 1984* przedstawił swoje wyobrażenie stanu ni to wojny, ni pokoju albo i wojny, i pokoju na wielkiej scenie świata. Jego wielbiciele byli rozczarowani, gdy stan ten nie urzeczywistnił się w zapowiedzianym roku. On jednak się zdarzył dziesięć lat później; przeżywają go ludzie na obszarze Jugosławii, zwłaszcza w Bośni i Hercegowinie, gdzie strach, nienawiść i przemoc są częścią codziennego życia.

Pewną zapowiedź tego stanu możemy odnaleźć w dziełach innego pisarza, Ivo Andricia, zwłaszcza w *Liście z roku 1920*, który ukazuje strach i nienawiść jako zjawiska endemiczne. Jeden z wariantów tytułu tego opowiadania brzmiał *List z roku 1992*, a więc roku, w którym zaczęła się wojna w Bośni i Hercegowinie. Związek utworu Andricia z wojną jest wieloraki. Treść nawiązuje do pierwszej wojny światowej, główny bohater ginie w hiszpańskiej wojnie domowej, a opowiadanie zostało opublikowane po raz pierwszy tuż po drugiej wojnie światowej.

Wojna oczywiście w najmniejszym stopniu jest wytworem wyobraźni pisarza. Ma ona swoje przyczyny zarówno lokalne, jak i globalne. Zatem i ta wojna zrodziła się z konfliktu ruchów narodowych dążących do tworzenia nowych państw narodowych na terytorium wspólnego państwa, Jugosławii. Rozpoczęła się secesją Słowenii i Chorwacji w roku 1991, a rok później ogarnęła Bośnię i Hercegowinę, która również ogłosiła niezależność i została członkiem ONZ. Najsilniejsza w walkach, ponosząca największą odpowiedzialność jest strona serbska, przede wszystkim dlatego, że za nią opowiedziała się największa część sił zbrojnych byłego wspólnego państwa. Mniejsza zaś część (obrona terytorialna) stała się zaczątkiem nowych wojsk narodowych. Każda ze stron w konflikcie uważa, że prowadzi wojnę obronną.

W tej wojnie zginęło już około dwustu tysięcy ludzi, znacznie więcej zostało rannych, kilka milionów

stało się uchodźcami, zburzono wiele miejscowości. Żywiołu wojny nie powstrzymali ani bezsilni przeciwnicy nienawiści i przemocy w każdym narodzie, ani też potężne państwa świata i cała wspólnota międzynarodowa. Liczne porozumienia o przerwaniu wojny nie były przestrzegane, co wskazuje, że w walczących obozach nie ma politycznej woli kompromisu. Nie wiadomo więc, kiedy i jak wojna się skończy. Obszar ten pod wieloma względami przypomina laboratorium, w którym eksperymentuje się na milionach ludzi.

Siłę żywiołu wojennego można prawdopodobnie wytłumaczyć tradycją wspólnot ludzkich, które na tym terenie przez wieki żyły w stanie ni to wojny, ni pokoju. W takich warunkach najbliższej wolności był człowiek uzbrojony. Jest to nie tylko zwykły obyczaj, ale i regularne zjawisko wszędzie tam, gdzie nie istnieje państwo, które w sposób zadowolający gwarantuje bezpieczeństwo życia i majątku obywateli. Do takiej idei bezpieczeństwa dążą nie tylko poszczególne państwa demokratyczne, ale i organizacje międzynarodowe, przede wszystkim Organizacja Narodów Zjednoczonych. Tymczasem na obszarze jugosłowiańskim zburzono jedno państwo, a inne dopiero powstają, w dodatku odbywa się to pod znakiem „czyszczenia etnicznego” (co jest eufemizmem ludobójstwa) i wojny o terytoria. W ten sposób bezpieczeństwo ludzi jest zagrożone. W tworzeniu takiej sytuacji uczestniczą nie tylko narodowi przywódcy i elity polityczne, ale i znaczna część mieszkańców, co dla wielu wydaje się niepojęte — postępują bowiem wbrew swoim żywotnym interesom. Przyczyn owego paradoksu możemy się doszukiwać właśnie w tradycji, w której wojnę traktuje się nie tyle jako zło, ile jako sposób udowodnienia cnót narodowych.

Okres wojennego sposobu życia trwa bardzo długo, a dłużej wojowano w imię i na konto obcych państw niż w imieniu własnego. Okres ten w pewnym stopniu wiąże się z życiem w praojczyźnie i pierwszych państwach powstałych po przybyciu na Bałkany, ale związek ten jest w dużej mierze pośredni i wyraża się głównie w mitach i w legendzie.

WOJOWNICY BEZ WŁASNEGO PAŃSTWA

Na Bałkanach przez setki lat prowadzono wojny między państwami, które zajmowały i traciły terytoria zamieszkałe przez różne narody bez własnych państw. W tych wojnach najdłużej brały udział Turcja, Austria i Wenecja, a pośrednio uczestniczyły też inne wielkie siły (Francja, Rosja, Anglia, Niemcy). Wymieńmy tylko trwający kilka wieków turecki podbój Bałkanów i dłuższe wojny: między Turcją i Austrią (1593-1606), między Turcją i Wenecją o Kandię (1645-1669) oraz wojny napoleońskie na początku XIX wieku. Nasi przodkowie brali udział nie tylko we wszystkich wojnach na tym obszarze, ale i w całej Europie, na przykład w wojnie trzydziestoletniej (1618-1648) po stronie katolickiej Austrii.

W ówczesnych państwach stan rycerski, stan wojowników, miał uprzywilejowaną pozycję, a zawód wojskowy otwierał drogę do najwyższych warstw społeczeństwa. Zawód ten był ceniony nie tylko ze względów ideologicznych, ale i materialnych. W zależności od sukcesów w bitwach przechodziło się z jednej strony na drugą. W tym celu zmieniano i religię, i przynależność narodową.

Wojenny sposób życia był również udziałem dużych skupisk ludności cywilnej, zarówno w osiedlach w pobliżu obozów wojennych, jak i w kryjówkach podczas wojny. Całe życie było tam podporządkowane przygotowaniom do wojny, żyło się według tego, jak regularny był żołąd, a zwłaszcza łup wojenny, inne zaś zajęcia — rolnictwo, pasterstwo, rzemiosło i kupiectwo — uprawiano ubocznie. Przemysł nastawiony był na potrzeby wojenne. Kiedy walczyło się po stronie zwycięzców, zasiedlało się nowe terytoria, a kiedy po stronie pokonanych — wycofywano się z wojskiem (np. Wielka Wędrówka z Kosowa w roku 1690).

Rywalizujące państwa osiedlały na stałe na swych rubieżach wojowników i ich rodziny. Były to uprzywilejowane wspólnoty z własnymi władzami, w znacznym stopniu odmienne od porządku panującego w całym państwie, w którym największa część ludności, zgodnie z normami systemu feudalnego, miała status poddanych. Zajęciu wojownika towa-

rzyszyły swobody, jakich nie miała ludność zależna. Mowa tu o k r a j i n a c h (rubieżach), które najdłużej i w formie najbardziej rozwiniętej istniały w Austrii, wzdłuż granic z Turcją, od Adriatyku po Karpaty. Były to przedmurza, gdzie broniono się przed wrogiem i skąd dokonywano ataków.

Wojenny sposób życia panował nie tylko na tych terenach, ale i na całym terytorium, na którym prowadzono wojnę. Dla wielu mieszkańców tych obszarów „wojowanie, któremu towarzyszył rabunek”, było jedynym rzemiosłem, stałym zajęciem, o czym świadczy *Historia narodu serbskiego* (Belgrad 1993, II - 1, s. 283). Wojna i rabunek stanowiły specyficzną gospodarkę wojenną nie tylko w postaci „długich wypraw po łupy” (s. 228), ale i krótszych wypadów na nieprzyjacielskie terytorium, gdzie żyli członkowie tego samego narodu, tak więc i oni byli narażeni na przemoc i grabież.

Członkowie jednego narodu często byli po przeciwnych stronach. W historiografii znajdujemy wiele potwierdzających to faktów. Świadczą one, że zarówno między ludźmi różnych wyznań i różnych narodowości, jak i w obrębie jednej religii i narodu powstaje „wzajemna żądza krwi” (s. 40) i „powszechna wrogość” (s. 97). Stwarza to nienormalne, dziwaczne wręcz sytuacje, w których trudno znaleźć granicę między wojną a pokojem. „Pospółstwo atakowało swoich wczorajszych bogów, sąsiad sąsiada, krewny krewnego, aby w tej powszechnej wrogości, przerywając walkę, na nowo godzić się i zawierać pobratymstwo” (s. 337-338).

W takich warunkach krzewi się „literatura ludowa”, narodowa epika, która sławi swoich bohaterów, potępia zdrajców i demonizuje wrogów. Chodzi o literaturę w większości ustną, przekazywaną z pokolenia na pokolenie. Współczesne badania etnologiczne wykazują, że epika jest bardzo żywotna, że stare eposy przetrwały do naszych dni, a w nowej wojnie jawią się nowi bohaterzy, zdrajcy i wrogowie, a także nowa epika (zob. Ivan Čolović: *Burdel wojowników*. Belgrad 1993). Ten rodzaj literatury znajduje szeroki odbiór, dzięki mediom, zwłaszcza telewizji państwowej. Zajmuje też ważne miejsce w podręcznikach szkolnych, toteż wzorce wojennego sposobu życia przekazywane są następnym pokoleniom

(zob. zbiór prac badawczych *Wojowanie, patriotyzm, patriarchalność*. Oprac. Ružica Rosandić i Vesna Pešić. Belgrad 1994).

DYNAMIT U FUNDAMENTÓW WŁASNEGO PAŃSTWA

Tradycja wojskowa zajmuje ważne miejsce w procesie powstawania (i znikania) państw narodowych — Serbii i Czarnogóry (uznanej międzynarodowo w roku 1878), powstania (i zniknięcia) obu Jugosławii oraz w procesie powstawania nowych państw narodowych. W zbiorowej pamięci — zapisanej, a częściowo ustnej - dominują hajducy, zbójnicy, serbscy pogranicznicy, chorwaccy żandarmi, bunty i powstania, ruchy wywrotowe i spiskowe organizacje. Nawet kiedy dokonano poważnego kroku ku demokracji parlamentarnej, jak w przypadku Serbii w latach 1903-1914, kręgi wojskowe miały wielką siłę („Czarna Ręka”, „Biała Ręka”, „Zjednoczenie lub śmierć”).

Również w obu Jugosławiach wojskowi zajmowali uprzywilejowaną pozycję, a wojenny sposób życia był upowszechniany przez organizację państwa i działanie jego ideologicznego aparatu oraz Kościoła. Wysławiano wyzwolicielską rolę serbskiego wojska — nie tylko na korzyść Serbów, ale i pozostałych narodów, które nazywano „wyzwolonymi braćmi” i oczekiwano od nich bezgranicznej wdzięczności i bezwzględnej lojalności. O wojsku czarnogórskim prawie nikt nie wspominał. Słoweńcy i Chorwaci zaś byli narażeni na stałe podejrzenia jako lojalni poddani nieprzyjacielskich i pokonanych w wojnie Austro-Węgier. Zasługi wojenne były podstawą zajmowania pozycji w hierarchii wojskowej i policyjnej, w dyplomacji, we wszystkich aparatach państwa, a także w życiu politycznym i publicznym. Dotyczy to i Serbów, i członków pozostałych narodów. Jeśli jednak ci ostatni domagają się równego statusu wobec prawa, przylepia się im etykietkę „niewdzięcznych braci”, a nawet wrogów państwa.

W oparciu o zasługi wojenne nie można było stworzyć ani rozwiniętego społeczeństwa obywatelskiego (tym bardziej, że przeważającą część społeczeń-

czeństwa stanowiła ludność rolnicza), ani państwa demokratycznego. Dlatego pierwsza Jugosławia stała się łatwym łupem potężnej skądinąd faszystowsko-nazistowskiej maszyny wojennej, która pokonała o wiele silniejsze państwa, jak na przykład Francję.

Wzorce wojennego sposobu życia wbudowane są także w fundamenty drugiej Jugosławii. W niej również wojskowi zajmowali uprzywilejowaną pozycję. Mieli pierwszeństwo we wszystkich dziedzinach życia: w rządzącej (i jedynej) partii komunistycznej, w aparacie państwa, w gospodarce i kulturze. Patriotyzm mierzono stażem wojennym, później zaś — stażem partyjnym i równie bojową działalnością. Wojsko było najsilniejszą instytucją (według niektórych źródeł pod względem siły znajdowało się na czwartym miejscu w Europie, i pozostawało poza wszelką kontrolą publiczną; było, by użyć tego określenia, „państwem w państwie”).

Zbiegiem okoliczności Serbów było najwięcej w uprzywilejowanej warstwie. I to nie tylko dlatego, że są najliczniejsi i mają najdłuższą tradycję wojskową, ale i dlatego, że ich było najwięcej wśród weteranów ubiegłej wojny. Podstawę przywilejów stanowiła nie przynależność narodowa, lecz prawa systemu merytokratycznego, wedle których w hierarchii awansowali też członkowie innych narodów. Do przywilejów należały nie tylko stanowiska generałów i ministrów, przewodniczących i sekretarzy, ambasadorów i dyrektorów, ale nawet najniższe etaty w wojsku, policji, instancjach państwowych, na poczcie, w kolejnictwie, w służbie państwowej w ogóle, co jest zrozumiałe, jeśli pamięta się o niskim stopniu rozwoju społeczeństwa i powszechnym ubóstwie. W takich warunkach tłok do służby państwowej jest większy. Oczywiście nie ma podstaw, by mówić o przywilejach całego narodu serbskiego, bo Słowenia i Chorwacja coraz bardziej dominowały w ogólnym rozwoju. Jak w każdym systemie merytokratycznym, wybuchły jednak konflikty między elitami narodowymi, które chciały dla siebie jak najwięcej stanowisk w nomenklaturze.

Stanowiska w nomenklaturze można uważać za swoisty łup wojenny. I tak na tradycję gospodarki wojennej nakładała się bojowość po ostatniej wojnie.

Po jej zakończeniu toczyła się swego rodzaju ciągła wojna domowa przeciwko „resztkom wrogów“ (w kraju i za granicą) i wszystkim tym, którzy nie godzili się bez obaw na nowy porządek. Nowy porządek, oparty na gospodarce wojennej, umacniał się w nieustannych walkach reżimu z całym społeczeństwem, które się w nim nie mieściło: z niezależnymi materialnie warstwami chłopstwa, kupiectwa i wolnych zawodów, jak również z „wrogami“ ideologicznymi i politycznymi — nacjonalistami, zwolennikami Biura Informacyjnego (1948), Djilasa, Rankovicia, nową lewicą, anarcholiberałami, członkami i zwolennikami „ruchu masowego“ (w Chorwacji, 1972), liberałami, kontrewolucjonistami, „irredendystami“ (na Kosowie po 1974), itd.

Wszystko to są walki, w których reprodukuje się wojenny sposób życia, z korzyścią dla jednych, na szkodę innych jednostek, grup i całych warstw społecznych.

BURZENIE SPOŁECZEŃSTWA I PAŃSTWA

Wojenny sposób życia rodził konflikty nie tylko wśród uprzywilejowanych, ale i w całym społeczeństwie. Jego rozwój blokowało państwo stanowe, systematycznie rozbiły je wspomniane wyżej walki i permanentne reorganizacje, które tłumili spontaniczne tworzenie społeczeństwa obywatelskiego. Toteż budowanie państwa coraz bardziej przypomina burzenie go, zwłaszcza dlatego, że odbywa się ono bez realnego oparcia w społeczeństwie.

Zasługi wojenne i pionowa ruchliwość w wyniku nieustannych walk ideologicznych i politycznych okazały się prawdziwym dynamitem fundamentów państwa. Dla jego uaktywnienia decydujące znaczenie miało promowanie „narodowych państwowości“ republik (a nawet okręgów autonomicznych). W ten sposób została jedynie zmieniona ideologiczna oznaka wzorców merytokratycznych — formułę klasową zastąpiła narodowa. Nadal nie ma ani śladu równoprawności obywateli i demokracji politycznej. Nacisk kładzie się na równoprawność narodów, ale jej także nie szuka się w państwie prawa i demokracji,

lecz w rewidowaniu legitymacji wojennej. Uzasadnień istnienia coraz bardziej samodzielnych republik jako państw narodowych poszukiwano w minionej wojnie, którą coraz bardziej uparcie interpretowano jako walkę narodów, a nie obywateli. Nawet miastom nadawano miano bohaterów wojennych, niezależnie od tego, czy były ośrodkami ruchu oporu, czy siedzibą quislingowskich władz.

Uzasadnienie systemu społecznego i politycznego zwycięstwami wojennymi i stosowaniem siły — bez względu na to, jak się ją ideologicznie usprawiedliwia — przedłuża tradycję wojennego sposobu życia. Tym samym odrzuca się inne mechanizmy stanowiące podstawy nowoczesnego społeczeństwa i współczesnej cywilizacji: niezależność materialną obywateli, wydajność gospodarki, kompetencję ekonomiczną, wolne wybory, zasady praw człowieka i swobód obywatelskich. Walczą o to nieliczni desydenci, członkowie ruchów alternatywnych i opozycjoniści, których niekiedy marginalizuje się i usuwa.

W merytokratycznym systemie Jugosławii możemy więc znaleźć nie tylko dynamit, ale i zapalnik, który go uaktywni. Bo jeśli zabijanie, burzenie i rabunek są akceptowane w jednej wojnie, dlaczego nie miałyby być w innej? Okazało się, że „wzajemna żądza krwi” i „powszechna wrogość” istniały nie tylko w pamięci zbiorowej. Bojowość ćwiczone w stałych obrachunkach reżimu (i reżimowców) z rzeczywistymi albo wymyślanymi wrogami, poprzez wszechobejmującą sieć „samoobrony społecznej”, „obrony ogólnonarodowej” i częste manewry wojskowe pod hasłem „nic nie może nas zaskoczyć”. Nawet masowe imprezy sportowe były poligonem ćwiczeń masowej bojowości. Tutaj stopniowo legalizowano nietolerancję narodową, a tłum, jak w dawnym koloseum Rzymu i Konstantynopola, wrzeszczał zachwycony walkami „naszych” i „ich” gladiatorów. Nowe walczące ze sobą wojska będą miały w swych szeregach nie tylko członków starej armii i obrony terytorialnej, ale i wielu ochotników z trybun stadionów, wśród których prym wodzi owiany już sławą Arkan, kiedyś przywódca kibiców bełgradzkiego klubu sportowego „Czerwona Gwiazda”, później komendant „Tygrysów”, walecznych serbskich „ochotników” na polach bitew w Chorwacji i Bośni.

Obecna wojna nie jest, oczywiście, tylko kontynuacją wojen wcześniejszych, inni są też jej uczestnicy. Modele zachowania są takie same lub podobne, a technika zabijania i burzenia skuteczniejsza. I kiedy jedni już świętują zwycięstwo swego oręża (Słowenia) albo mają nadzieję, że ono wkrótce nastąpi, jedno państwo zniknęło, gospodarka i społeczeństwo zostały zniszczone, a powstające państwa daleko odbiegają od norm współczesnej cywilizacji i nikt nie ma perspektywy rozwoju.

ANTYMODERNIZM W POSTMODERNIZMIE

Dramat „przekształceń” ogarnął wszystkie kraje realnego socjalizmu, ale nie wszędzie jest on tak głęboki, a jego rezultat tak niepewny jak na obszarze byłej Jugosławii i w byłym Związku Radzieckim. Tu w ciągu ubiegłych wojen światowych rozegrały się autentyczne rewolucje, ponieważ w ich podłożu leżała silna tradycja wojskowa, która została odnowiona za pośrednictwem panującej ideologii marksizmu-leninizmu-stalinizmu-titoizmu. Oparte na takich podstawach państwa, u których fundamentów legły tylko zwycięstwa wojenne, nie mogły się utrzymać. Tutaj problemy modernizacji rozbiły się o rafa antymodernistycznych, antynowoczesnych tradycji.

Oszalały nacjonalizm i szowinizm, a także nowy populizm nie otwierają dróg do modernizacji. Przeciwnie, opętane są „sławną przeszłością”.

Na peryferiach rozwiniętego świata rozgrywa się prawdziwy i, chciałoby się rzec, dalekosiężny dramat, w którym ludzie, narody i państwa szukają własnej tożsamości, a nie mają dość własnej siły, żeby ją znaleźć i zdecydowanie wkroczyć na drogę współczesnej cywilizacji. Również wcześniej siła nie przyniosła cywilizowanego życia, ani pod cudzym panowaniem, ani we własnym państwie. Jest złudzeniem, że żywioł siły w tej wojnie można powstrzymać siłą z zewnątrz. Wciąż jeszcze nie ma pewnej i realnej wizji zakończenia tej wojny, a zwłaszcza rozwiązania sporów i konfliktów, z których powodu wybuchła.

Przedstawiciele wspólnoty międzynarodowej —

Organizacji Narodów Zjednoczonych i Unii Europejskiej — powtarzają, że nie akceptują zmiany granic państwowych dokonanej przy użyciu siły. Ale parlami dokonana siłą zmianę granic Jugosławii jako wspólnego państwa, a wraz z przedłużaniem się wojny rezygnują z oporu wobec zdobywania siłą terytoriów i tworzenia nowych państw narodowych. We wszystkich rokowaniach o zakończeniu wojny z reguły uczestniczą „władcy wojny”, podczas gdy opinii i stanowiska przeciwników wojny — we wszystkich narodach — nie słyszy się i nie bierze pod uwagę. Na tutejszej scenie dominuje więc cyniczna dyplomacja, bez jasnej strategii w sprawie zakończenia wojny.

Walczące strony zaś wyraźnie liczą na coraz mocniejsze poparcie z zewnątrz, niezależnie od tego, na ile jest ono w tej chwili realne. Tak więc na przykład jedni liczą na Zachód (albo na kręgi katolickie), drudzy na Wschód, to jest na wymaginowane Imperium Prawosławne, a trzeci na szczodłą pomoc państw islamskich. Czyż nie jest to rzeczywiście obrazowa ewokacja „wizji” Orwella o trzech super siłach i stałej konfrontacji między nimi?

Istnieje też pewna różnica między „wizją” Orwella i naszą rzeczywistością, nie tylko jeśli chodzi o zasięg konfliktu i wymiar (światowy lub regionalny) konfrontacji wojennych. W warunkach postmodernizmu urzeczywistniona została radykalna segmentacja społeczeństw i państw, kultur i narodów, tak więc w jednym „kręgu” panuje pokój, a w drugim wojna, w jednym dobrobyt, w drugim ubóstwo, w jednym demokracja, a w drugim dyktatura, tam giną, tutaj mnożą się spektakle (rewie, festiwale...), tam postmodernizm, tutaj antymodernizm, gdzieś cywilizacja, a gdzie indziej barbaryzacja. Ośrodki mocy znajdują się nie w jednym miejscu, lecz w wielu. Są one tak potężne, że mogą tolerować nie tylko nie kończące się gadanie przeciwko władzy, ale nawet akcje antypaństwowe, a konstelacja mocy nie zmienia się przy tym w sposób istotny. Dzieje się to na oczach milionów „użytkowników” mass mediów, dzisiaj więc mało kto może powiedzieć, jak kiedyś o holocauście, że nie wie. Wielu ludzi wciągniętych jest w wir — i przyzwyczajają się. Jak do czegoś zwykłego i codziennego.

W poszczególnych krajach byłego realnego socjalizmu dokonana się znamienita zmiana: ustanowiono wyjściowy consensus władzy i opozycji w sprawie demokratycznych reguł gry. Nie rozwiązało to oczywiście problemów powstałych w ciągu długo trwającej dyktatury i stagnacji, a nawet retardacji gospodarczej, kulturowej i socjalnej. Lecz jest to ważny krok wiodący ku nowoczesnej cywilizacji. Mogą o nim tylko marzyć ci, którzy żyją w krajach, gdzie takiego consensusu nie ma. Odnosi się to zwłaszcza do nas z byłej Jugosławii, która długo — co jest absurdalne — stanowiła niemal wzorcowy kraj dla będących dłużej w „obozie wschodnim”.

Wiele jest różnic wewnątrz dramatycznych przekształceń, ale najistotniejsza jest różnica między dramatycznym powrotem do cywilizacji i tragicznym upadkiem w barbaryzację.

Gombrowicz przekonywająco opisał druzgocące skutki narzekania Polaków i ich użalania się nad sobą, co — moim zdaniem — dotyczy także innych narodów o podobnym losie historycznym. Całkiem innym jest jednak dążenie do krytycznego rozmyślenia o własnych „utopiach” i ich (nie)urzeczywistnieniu, i to nie w izolacji od świata, lecz w samym centrum przemian, które w nim dzisiaj zachodzą. Zwłaszcza po „zimnej wojnie”. Dla nas w byłej Jugosławii było to przejście do „gorącej wojny”, w środku Europy, która zaczyna dopiero szukać drogi do nowej równowagi, a wynik tych poszukiwań wciąż jeszcze jest niepewny.

Belgrad, czerwiec 1994.

ZAŹŁEK LITERACKI

WIERSZE

MARZANNA BOGUMIŁA KIELAR

niski brzeg nocy przed nami; chłód, czarne, mokre pola
podchodzą blisko, czerń w deszczowych porywach, nad głową
pęka konar świtu, odpływa
płonie w szarym lustrze północnego nieba. Tak mało
ognia, jasny oddechu,
miłości, pulsująca żyłko w otwartym
krwiobiegu czerni; w zapachu igliwia, w deszczu
inną nagość twoją odkrywam, nocy, gdy róża mrozu
oddycha ciepłem piersi

* * *

„Jeżeli jutro umrę, co umrze?” - Hugo von Hofmannsthal

jabłka w okrągłej czerwieni,
w chłodnych, ruchomych cieniach: słońce właśnie dosięga
najwyższych gałęzi, sypie się meszek rosy, siwy,
mieni - na bordowych listkach berberysu;
patrzę na starą jabłoń o poranej korze, o pniu
w zielonkawych i szarych, odchylonych łuskach: czym jest dla niej
moje istnienie? Objaśnieniem jej samej, kiedyś,
wiele lat przed moim urodzeniem? I trwanie sadu,
jego przewlekłe umieranie, kiedy leszczyny zasypują
studnię trawy
i małe pestki owoców długą mają przed sobą podróż;
kiedy dzień rozwiesza na wzgórzach
zasłony światła

MARZANNA BOGUMIŁA KIELAR urodziła się 8 lutego 1963 roku w Gołdapi, gdzie mieszkała do rozpoczęcia studiów. Ukończyła Wydział Filozofii Uniwersytetu Warszawskiego. Jest asystentką w Wyższej Szkole Pedagogiki Specjalnej w Warszawie.

W 1993 roku za debiutancki tomik poezji *Sacra conversazione* (Suwałki 1992) otrzymała Nagrodę Poetycką im. Kazimierza Iłkiewiczówny oraz najważniejsze polskie wyróżnienie literackie przyznawane młodym pisarzom – Nagrodę Fundacji im. Kościelskich w Genewie.

Publikowane utwory pochodzą z przygotowywanego przez poetkę nowego tomiku wierszy.

JASTRZĄB

sukno wody, zgniecione zimnym wiatrem, granatowe, ciężkie,
rozdarte: łopot skrzydeł gwałtowny,
daleko od brzegu – jezioro błyska w słońcu
stalowym ostrzem;

z brzegu do brzegu niebem płynie kra i zapala się
od czerwieni zachodu



STEVAN TONTIĆ

Przełożyła
Danuta Cirić-Straszyńska

Једнога дана изненада открих

Каба су браха узела ба се кољу,
каба је крв иљуснула ио забишима и шрговима,
а коб ионеког газбе иочела и ба се иије,
йош сам виеровао у мрвице разума,
у снагу иокайанња,
и набао се: браха хе сјесши
за миран сшо.

У мойој кухињи бјеше шакав сшо,
йош масшан об ранијег изобилња,
масшан об срехе бомахег живоша,
свиешлуцав об разговора иријашелња.

Ни каба су зибови шраинелима избушени,
моја наба није иоиушшала,
ни глаб, ни сшубен, ни иониженња, ни иогубљенња,
нису ийој могли нишша.

Јџбнога бана изненаба ошкрих
ба су нам љубичице у сшану увеле
- љубичице на неирекинушој сшпажу цвашње! -
и ба ми змија сиава на рукоиисима,
и гавран гаче на кухињском сшолу,
и крвник гугуче бјевочици из сусјибсшва,
на коју је бацио око,
- и шек шаба би ми јасно
ба нам овбие нема оисшанка.

Pewnego dnia odkryłem nagle

Kiedy bracia zabijać się zaczęli,
kiedy krew spryskała zaułki i place
a tu i tam nawet ją pito,
jeszcze wierzyłem w resztki rozumu,
w moc skruchy
i myślałem: bracia usiądą
do stołu.

W moim domu był taki stół,
jeszcze tłusty od wcześniejszej obfitości,
tłusty od szczęścia domowego życia,
błyskotliwy od rozmów przyjaciół.

Nawet gdy szrapnele podziurawiły ściany,
moja nadzieja nie topniała,
głód ani chłód, poniżenia ani zabójstwa
jej nie nadwątlily.

Pewnego dnia odkryłem nagle:
w naszym mieszkaniu zwiędły fiołki
– fiołki na ciągłej straży kwitnienia! –
wąż śpi na moich rękopisach,
kruk kracze na stole kuchennym,
a oprawca grucha do dziewczyny
z sąsiedztwa,
na którą padło jego oko
– wtedy dopiero zrozumiałem,
że nie ma tu dla nas życia.

1993

Лансирање

На свешој земљи наших ошаца
 свуба је иревијер, хуби иошурченџак,
 усиравио своје небу-иоб-облаке-знаке,
 наиииао ову мрачну, богу иза леџа земљицу,
 овим свийешлехим некрш-ракешама,
 и ба нас неко зракне са Миесеца
 - а вальба нас саб и Алах глеби! -
 иомислио би: лешийелице, иншерконшиненшалне,
 мехуиланешране,
 нешто иријешехе - само бугме иришиснеш! -
 обе земальска кугла у иарамарчаб,
 а нека сшрана сила могла би и ба бас
 бомбарбује,
 збими у ирах,
 и имала би ираво.

Облучили смо ба ове њихове „ракеше,,
 лансирамо у небо - богу на ишшину,
 шамо и ијесу уиухене,
 а овбије само залухују разбраху и несрехнике.

Лансирамо их уз иомох бинамиша,
 шемелъ ирекоиамо и окабимо,
 кроз чешрбесеш гобина шле је невино
 као у бан Сшваранџа,
 сиособно ба ионесе нашу грабњу,
 храм наш, крвнички свуб иорушен.

Тако ми рабимо,
 нису ово бабља иосла,
 ово је Исшорийа - ова Морийа!
 Нама хе оиросшиши Бароб, и бог,
 нама је мрак иао на очи
 каб је рогаши бунуо у рог.

Minarety

Na świętej ziemi ojców naszych
 gdzie spojrzeć, przechrta, poturczeniec
 ustawił swoje znaki-pod-obłoki,
 naszpikował tę ponurą, zabitą deskami ziemię
 świecącymi raketami bez krzyża;
 gdyby ktoś zerknął na nas z Księżyca
 – teraz chyba i Allah tu patrzy! –
 pomyślałby: pojazdy międzyplanetarne,
 groźne – wystarczy nacisnąć guzik,
 a kula ziemską się rozpadnie!
 jakaś obca siła mogłaby nas zbombardować,
 w proch obrócić,
 i słusznie.

Postanowiliśmy te ich „rakiety“
 wysłać do nieba – na zagładę,
 bo tam są wymierzone,
 tu tylko w głowach mąką skłóconym,
 nieszczęsnym braciom.

Wyślemy je przy pomocy dynamitu,
 fundamenty przekopimy, okadzimy,
 przez lat czterdzieści grunt będzie niewinny
 jak w dniu Stworzenia,
 zdolny unieść naszą budowę,
 świątynię, jakich wiele oprawcy zburzyli.

Tak właśnie robimy
 i nie są to żarty,
 to Historia, nienowa, to Dziewica Morowa!
 Nam wybaczy i Naród, i Bóg,
 bo rozum nam odjęto,
 kiedy rogaty zadają w róg.

1993

STYVAN TONTIC

Przełożył
Dariusz Gucwa

Граница

Не мичухи с кухног ирага,
не обмичухи се ни за лакаш об женина скуша,
иробубих се у нобой бржави,
каже ми знанац.

Граница је иовучена
иосреб срца.

Разум је иочео ба схваша и иравба,
лубо срце луиа и иориче.

Ја се шешурам:
ни усирављен, нов корак ба бацим,
ни оборен, у земљу ба легнем.

Granica

Nie wychodząc za próg,
wciąż się trzymając żoninej spódnicy
obudziłem się w nowym państwie,
mówi mój znajomy.

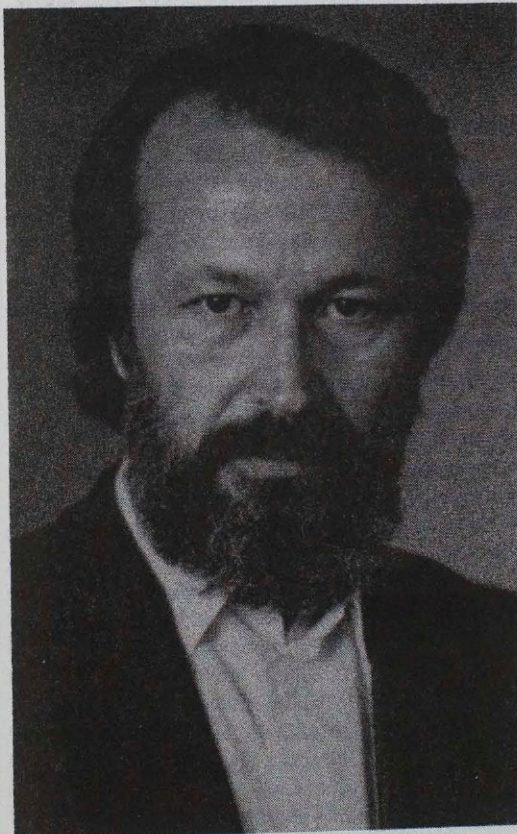
Jego granica przecina
mi serce.

Umysł próbuje pojąć, wytłumaczyć.
Serce tłucze się, szalone, odrzuca.

Chwieje się:
ani wyprostowany nie mogą kroku postawić,
ani powalony lec w ziemi.

1992

STEVAN TONTIĆ (ur. w 1946 roku), znany poeta serbski z Sarajewa, autor dziesięciu tomików wierszy i dwóch antologii poezji Bośni i Hercegowiny (1990) i poezji serbskiej XX wieku (1991). Tłumaczy poezję i prozę z języka niemieckiego. Na początku 1993 roku zdołał wydostać się z oblężonego Sarajewa, a następnie wyjechać do Niemiec. Ostatnio mieszkał jako uchodźca w Kreuzau-Langenbroich, w domu rodzinnym Heinricha Bölla.



PIANIE KOGUTÓW

W mroku i grozie sarajewskich nocy, zawsze o tej samej porze – koguty. Dokładnie w chwili oddzielania się nieba od ziemi, światła od ciemności, unoszenia się duszy w górze i grzechotu rzeczy materialnych w dole. W stałej, określonej, bezbłędnej chwili rozdziału dobra i zła, bogów i demonów. Jedyna niezawodna służba, jedyna, w którą wierzę: to one budzą mnie, śmiertelnika, radosnym drżeniem, tym przejawem istnienia w jeszcze jednym dniu, a mój dzień jest wiecznością.

Ludzie zaś – ci, którzy po obu stronach dają o sobie znać wszelkimi rodzajami broni, jakie spłodził ich wynalazczy geniusz – odzywają się dowolnie, o różnych porach dnia i nocy, szukając widocznie „najlepszej chwili“ do zniszczenia wroga. Huk wystrzałów i ryk dział zaczynają się czasem, gdy już dobrze się rozwidni, kiedy indziej w samo południe albo o zmierzchu, to znów głęboką nocą, w bulgocie uśpionej krwi, a niekiedy hałaśliwa siła ludzi wplata się w święte wołanie kogutów. Jakoś nie mogą znaleźć odpowiedniej chwili do wykończenia przeciwnika. Poszukując jej, któregoś wieczoru wykończą się jedni i drudzy, i dopiero wówczas jutrzienka będzie mogła zaświtać nad ziemią, jak przystoi: różanopalca, najpiękniejsza z bogiń, śmiejąc się pieszczotliwie do pozostałych marnotrawnych synków ołowiu i prochu.

ŚCIANA

Już drugi dzień się odzywa. Odzywa się ze ściany! Tu obok, zza mojego wezłowania. Słyszę, ale niczego nie widzę. Ptak jakiś, ptaszek? W wielkiej znalazł się biedzie. Jak długo jeszcze wytrwa?

Uwiąził chyba między grubą boazerią a murem. Wpadł w dołek. Stuka. Dziobie. Grzebie. Drapie. Potem, zmęczony, przez pewien czas odpoczywa, zbiera siły, żeby znów się odezwać. W ścianie, a teraz już i w moim mózgu. Męczy się on, męczę się ja. Może i ćwierka, może rad by zaśpiewać, choć to na pewno nie słowik. Do mnie docierają tylko nieartykułowane dźwięki.

Pytanie: jak mu pomóc? Wyłamać deski mocnej, masywnej boazerii? Przewiercić z zewnątrz ścianę? Śmieszne. Nie mam narzędzi ani pozwolenia na takie przedsięwzięcie. Muszę więc słuchać bezradnie i czekać, aż mój - teraz jeszcze i mój! - ptaszek skończy w tej pułapce. Sam zresztą też jestem w pułapce, mogę się jednak poruszać, przynajmniej w ciągu tych paru miesięcy, po moim pokoju i podwórzu. Niezmordowanie łązę od ściany do ściany, od okna do drzwi. Nie mogę się uspokoić. Czuję się współwinien temu ćwierkaniu w ścianie, tu, na wyciągnięcie ręki. Może dla ptaka jestem tylko obojętnym kawałkiem-kawałem ściany po drugiej stronie boazerii? Drewnianej boazerii, która może go zwabiła do tego wąwozu, na te Termopile, jeszcze uchwytnym zapachem żywicy, wspomnieniem wyniosłego boru?

Wydaje mi się, że słyszę ćwierkanie. Ja też ćwierkałem, krzyczałem, wylem. Ze ściany, spomiędzy podziurawionych i zburzonych ścian. Z jednej i z drugiej strony żywych i martwych, wojskowych, stałą umocnionych, opancerzonych ścian... Tam, pod moim miastem, miastem-ofiarą. W mrocznej, zaczarowanej przepaści, wśród wysokich, mrocznych gór.

Wczoraj, gdy po raz pierwszy usłyszałem ten tajemniczy szelest, to drapanie, pomyślałem – mysz. Badaczka ciemnych kątów na strychach i w piwnicach, lękliwa klientka ścian. Bywa, że czasem, koło północy, mysia drużyna zadudni na strychu, przerażona wszechobecnym, rentgenowsko-przenikliwym kocim okiem. Może w tę pułapkę wpadł jakiś łakomy szczur? Z jego punktu widzenia ciało, które poci się i przewraca na moim posłaniu, też może stanowić zdobycz. Odrzucam tę obrzydliwą myśl.

Chyba to nie wąż – pan domu – zakradł się za deski, na których opieram poduszkę? Nie, wykluczone! Dlaczego by miał opuszczać swe podziemne schronienie i wspinać się po zimnej ścianie? Na wszelki wypadek parę razy stukam dłońią w boazerię. Chciałbym spokojnie złożyć zmęczoną głowę na mojej puchowej poduszce. Puch, prawdę mówiąc, jest własnością mego, niezjącego już dobroczyńcy; dzięki niemu, wraz ze zmieniającymi się porami roku, odpoczywają tu na zmianę głowy wygnanych, bezdomnych pisarzy i artystów z Bóg wie jakich krajów. Azja, siostró, Afryka, tak zwana Europa Wschodnia. Ja jedyny przybyłem z serca Europy, z jej jądra atomowego. Bomba wybuchła i...

Nastawiam uszu w stronę ślepej uliczki mojej ściany. Ściany, pod którą, za przeproszeniem, ja też oddycham, a przez sen wydaję nieartykułowane krzyki, jakieś wezwania. Nic. Cisza. Ale bardzo krótka. I znów postukiwanie, jakby ostatnie próby zmęczonych skrzydeł, i znów drapanie. Może to chory gołąb spadł z belki na poddaszu? A może młody kos? Znaleźliśmy takiego przed tygodniem, na chodniku pod bluszczem, który pnie się wysoko, na szczyt domu pisarza. Młody kos zamarł. Kos czarny jak węgiel, z czarnymi wieściami w dziobie. Tylko że ja już nie przyjmuję takich wiadomości,

moja droga. Nie mam ich gdzie chować. Walizka też pełna... Chyba to jednak będzie jakiś smutny skowronek, kulawa zięba albo po prostu wróbel. Zwyczajny ptak, cóż by innego? Słysząc nawet stukot miniaturowych młoteczków ściśniętego serca. Strach i drżenie!

Kimkolwiek jesteś, mój ptaszku, nie mogę ci pomóc. Mogę tylko współczuć, tylko tyle... Ale nie gardź mną, nie myśl: jeszcze jeden człekokształtny potwór! Bardzo bym się martwił, gdybyś mi wystawił taką złą ocenę. Właśnie dlatego zwracam myśl o tobie w lepszym, pocieszającym kierunku. Czy ty nie jesteś zdrowym, wesołym ptaszkiem, który szybko, jakby w panice, krząta się wokół swego gniazda? Uwiłeś sobie gniazdo w ścianie, mój śliczny, w doskonałej kryjówce, poza zasięgiem niebezpieczeństwa. Mój oddech też cię grzeje i piosenki z mojego tranzystora, przyznaj, synku! Co prawda, ledwie się przeciskasz przez szparę w ścianie, ale robisz to ze strachu przed silniejszymi od ciebie. Byle się tu nie zakradł jakiś kuzyn z większą rozpiętością skrzydeł, z mocniejszym dziobem i ostrzejszymi pazurami. A ja cię zauważam tylko podczas twoich lękliwych odwiedzin, gdy iskasz i karmisz młode, gdy poprawiasz, podpierasz gałązki twego legowiska. W strachu, w panice, jakby nam zagrażał koniec świata. Poza tym szybujesz sobie na swobodzie, granice państw przelatujesz jak gdyby żartem. Dla kaprysu przysiadasz na szczycie katedr w Kolonii czy Akwizgranie, możesz się też wyprawić na Pola Elizejskie. Gdybym ja tak nielegalnie, na własną rękę poleciał do Paryża, sławna Francja natychmiast by mnie przepędziła, a potężne Niemcy nie chciałyby przyjąć z powrotem. Jestem parszywym uchodźcą wojennym, braciszku, napromieniowanym po wybuchu bomby atomowej na Bałkanach. A moja poezja z jądra katastrofy, tak niewiele warta, zawstydzona jest w obliczu mądrości niemieckich i francuskich poetów.

Kiedy ty latasz sobie naokoło, bez cla i bez wizy, wielokulturowy, pluralistyczny mój ptaszku, ja tkwię tu, zakopany jak tubylec, przykuty do mego stołu, do twardego, skrzypiącego krzesła, do twardego i skrzypiących myśli moich. Łamię sobie głowę nad twoim losem, nie tak się znowu różniącym od mo-

jego. Do diabła! Właściwie co my mamy wspólnego: ty latasz, ja się czolgam! Jeżeli nawet uwiążę w kleszczach mojej ściany, to tylko na chwilę – szybko tu skończysz albo czmychniesz na Południe, aż do Lazuru. Gdybyś przynajmniej był gołębiem pocztowym, wysłałbym cię tam, daleko, do moich przyjaciół pograżonych w mroku, z którego przypadkiem wyszedłem z życiem.

Wstał nowy dzień. W ciągu nocy śnieg zasypał nasz dom. Wkrótce już południe, a ty się nie odzywasz. Chyba nie poleciałeś pod cudzy dach, do jakiejś lepszej, wytworniejszej ściany? Nie zostawisz chyba młodych, żeby tu padły obok mnie i razem ze mną?! Wstyd, mamusiu, wstyd, opiekunko! Wracaj do domu, nieszczęsna pliszko! Czeka na ciebie zaciszne gniazdo, czekają twoje kleszcze, czarny kosie.

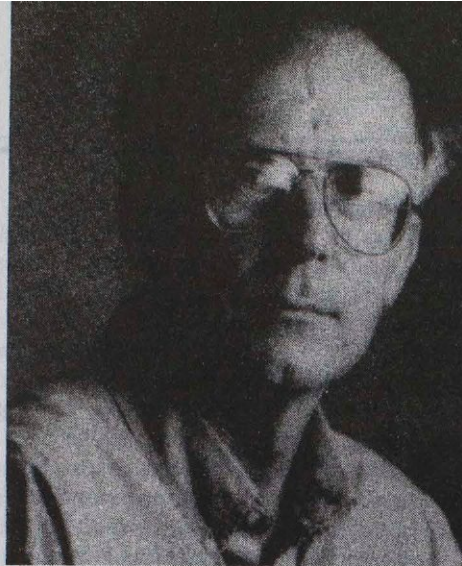
Nie wyzionąłeś chyba ducha w mojej ścianie, tak nagle, tak nieodpowiedzialnie!

A jeżeli już jesteś martwy?... Cóż, w takim razie przeniosę poduszkę w inny, ciemniejszy kąt pokoju. I włączę radio, żeby powietrze zadrżało od jakiejś smutnej melodii.

Zegnaj, tajemnico. Dobranoc, ściano.

TOMAŽ ŠALAMUN

Przelożyła
Katarina Šalamun-Biedrzycka



ŠTIRI VPRAŠANJA MELANHOLIJE

Vem. Na vojsko greš in stopal boš po rožah.
V ustih boš imel jabolka. Štel boš
korake. Zapomnil si boš vse kaplje, ki bodo
privrele izpod mahu. Sireno slišim. Kot roza

mašna pada čez goro, da vzkipi, razdraži tuja
hrepenenja in črna težka prgišča tvojih za
srajco zatlačenih svil. Kmetje bodo teptali
grozdje z nogami, prepevali in se družili.

Ti ležiš z glavo na brodzaku in strmiš v
svoj veliki krak. Voda obrise razlušči. Ob
jablani ležiš, ob metrih in metrih razsekanih
debel, zloženih za zimo. Kje je tvoj zajček?

Kaj imaš v brodzaku? Zakaj žvečiš bilke?
In zakaj si žalosten? Senca je že padla na
dolino, za Bohinj je že odsopihal zadnji
vlak. Naj te sosed Furlan zloži na traktor

in zapelje v goro. Na sedlu se spočijta
in primerjajta barve: že čisto črnega in
ugašajoče modrine. Se še lušči koža s tvoje
koče, če te obsije pramen? Če strmiš v hosto?

TOMAŻ ŠALAMUN, poeta słoweński, urodził się w roku 1941 w Zagrzebiu. Młodość spędził w Koprze, porcie położonym nad Zatoką Triesteńską. Po ukończeniu studiów (historii i historii sztuki) w Lublanie, po stypendiach w Krakowie, Rzymie, Paryżu i Pizie, dwuletnim pobycie w Iowa (USA) w charakterze gościa International Writing Program i asystenta w Katedrze Literatury Porównawczej, po okresie pracy w Lublanie w Galerii Współczesnej i Akademii Sztuk Pięknych, przeniósł się ponownie do adriatyckiego Koprnu, a później do Lublany, gdzie mieszka do dziś. Obok poezji zajmował się twórczością plastyczną i przekładami (m.in. Apollinaire, W.C.Williams). Jest laureatem nagrody im. France Prešerena.

Opublikował następujące tomiki wierszy: *Poker* (1966), *Namen pelerine* (*Przeznaczenie peleryny*, 1968), *Romanje za Maruško* (*Pielgrzymka za Maruszką*, 1971), *Bela Itaka* (*Biała Itaka*, 1972), *Amerika* (1972), *Turbine* (*Turbiny*, 1975), *Arena* (1973), *Imre* (1975), *Sokol* (*Sokół*, 1974), *Praznik* (*Święto*, 1976), *Druidi* (*Druidowie*, 1975), *Zvezde* (*Gwiazdy*, 1977), *Metoda angela* (*Metoda anioła*, 1978), *Zgodovina svetlobe je oranžna* (*Historia światła jest pomarańczowa*, 1979), *Po sledeh divjadi* (*Tropami zwierzyzny*, 1979), *Analogija svetlobe* (*Analogia światła*, 1982), *Maske* (*Maski*, 1980), *Balada za Metko Krašovec* (*Ballada dla Metki Krašovec*, 1981), *Glas* (*Głos*, 1983), *Sonet o mleku* (1984), *Soy realidad* (1985), *Ljubljanska pomlad* (*Lubiańska wiosna*, 1986), *Mera časa* (*Miara czasu*, 1987), *Živa rana, živi sok* (*Żywa rana, żywy sok*, 1988), *Otrok in jelen* (*Dziecko i jelen*, 1990).

W Polsce w roku 1979 Wydawnictwo Literackie wydało zbiorek *Wiersze* w przekładzie Katariny Šalamun-Biedrzyckiej.

CZTERY PYTANIA MELANCHOLII

Wiem. Idziesz do wojska, będziesz deptał kwiaty.
W ustach będziesz miał jabłka pełne kurzu. Będziesz liczył
kroki. Zapamiętasz wszystkie krople, które
wyciekną spod mchu. Słyszysz syrenę. Jak różowa

wstążka spada przez górę, by wzburzyć, rozdrażnić
obce tęsknoty i czarne, ciężkie garści twoich
wepchniętych za koszulę jedwabiu. Chłopi będą deptać
winogrona nogami, będą się zbierać i śpiewać.

Ty leżysz z głową na chlebaku i wpatrujesz się
w swoje wielkie udo. Woda wyluszcza kontury. Leżysz
pod jabłonią, obok ciągnących się metrami sągów
pni ułożonych na zimę. Gdzie twój zajęczek?

Co masz w chlebaku? Dlaczego żujesz żdźbła?
I dlaczego jesteś smutny? Cień już spadł na
dolinę, posapując odjechał ostatni pociąg za
Bochirń. Niech posadzi cię sąsiad Furlan na traktorze

I zawiezie pod górę. Na przełęczu odpoczniecie
i porównacie kolory: zupełnie już czarny i
gasnący błękit. Czy wciąż jeszcze złuszcza się skóra z twego
węża, jeśli dotyka cię promień? Jeśli wpatrujesz się w las?

GLUHIM BRATOM

Utrudil sem se vaših omlednih nebes.
Noga na nogo, usta na usta, mrtvi.
Katera sila ne dovoli razcveta?
Gulag v hlapčevskih glavah, ki se širi kot rak?
Boga nosim v srcu in ga razdajam,
kot vodo za tiste, ki že dolgo niso pili.
Ki hirajo od te umišljene tektonike
provinca in piedestala samomora,
narodnega prvaka.
Ki klecajo, ubijajo, spijo,
ki ne čutijo več strahu.
Ne bom dovolil, da bi bil povsod
svoboden in padel v prazno izsušeno
črnino samo v svojem rodnem kraju.
Nisem cinik, pesnik, prerok sem.
S svojim življenjem odhajam tja, kjer sem.
Ne bodo me zadavile vaše mreže,
vaša sainte-beuvovska momljanja niso
kriterij za nikogar.
Ne bom se opotekel in padel kot Cankar.
Ne bodo me pozlatili v sterilno mašo kot Župančiča.
Moj element je morje, če ga nimate, vam ga
dam.
Moj element je zrak, ubit in zastrupljen,
očiščeno.
Če sem edini, ki v njem diha svoboda,
ne bom se predal.
Raje smrt kot ta ponižujoči genocid vaše
marmelade.
Duša je večna, ne veste.
Jaz sem vam to povedal.
Ta prostor bo preživel samo s strahotnim
naporom nas vseh.
In če se mi boste motovillili pod nogami,
vas bom razbrcal kot mravlje.
Boljše en živ, ki bo pričal o svojih opojih in
mukah, kot ta sprijeta želatina
Hada, ki ni niti več senca sledi
živih ljudi in pokončnega
časa, ki diha tudi pod to
zemljo, tudi nad temi nebesi, samo
čekane je treba imeti, zobe
in udariti z milostjo bogov v
sredo srca te poklapane usode, da se kdo
zbudi in kaj zasliši.
Gracias a la vida, que me ha dado tanto.

DO GŁUCHYCH BRACI

Zmęczyły mnie wasze mdłe niebiosy.
Noga na nogę, usta na usta, sami martwi.
Jaka to siła nie pozwala na rozkwit?
Gułag w poddańczych głowach szerzący się niczym rak?
Boga noszę w sercu i rozdaję go
jak wodę tym, którzy już długo nie pili.
Którzy mrą z powodu tej wydumanej tektoniki
prowincji, z powodu samobójstwa na piedestale,
ulubieńca narodu.
Którym uginają się nogi, którzy zabijają, śpią,
którzy nie czują już strachu.
Nie pozwolę, abym wszędzie mógł być
wolny, tylko w swoich rodzinnych stronach
miał paść w pustą, wysuszoną czern.
Nie jestem cynikiem, jestem poetą, prorokiem.
Odchodzę wraz ze swoim życiem tam, gdzie jestem.
Nie uduszą mnie wasze sieci,
wasze sainte-beuve'owskie mamrotanie nie jest
kryterium dla nikogo.
Nie zachwieję się, nie upadnę tak jak Čankar.
Nie zmienią mnie w sterylną mszę jak wyświęcili Župančiča.
Moim żywiołem jest morze, jeśli nie macie go, ja wam je
dam.
Moim żywiołem powietrze, zabite, zatrute,
już oczyszczone.
Choć byłbym jedyny, w którym oddycha wolność,
nie poddam się.
Wolę śmierć niż to poniżające ludobójstwo waszej
marmolady.
Dusza jest wieczna, nie wiecie o tym.
Ja wam to powiedziałem.
Ta przestrzeń przeżyje tylko straszliwym
wysiłkiem nas wszystkich.
I jeśli będziecie pętać się mi pod
nogami, rozkopię was jak mrówki.
Lepiej jeden żywy, który będzie świadczyć o swoim upojeniu i
mękach, niż ta lepka galareta
Hadesu, który nie jest już nawet cieniem śladu
żywych ludzi i wyprostowanego
czasu, który oddycha również pod
tą ziemią, nad tymi
niebiosami, tylko trzeba mieć kły, zęby,
i uderzyć z łaską bogów
w sam środek tego tchórzliwego losu, aby się ktoś
obudził i usłyszał.

Graclas a la vida, que me ha dado tanto.

BRATI: LJUBITI

Ko te prebiram, plavam. Kot medo s šapami me potiskaš v blaženost. Ležiš na meni, ki si me razdejal. Na smrt sem te vzljubil, prvi med rojenimi. V enem samem hipu sem postal tvoj kres.

Varen sem, kot nisem bil nikoli. Si dokončni občutek zadoščenja: vedeti od kod je hrepenenje. V tebi sem kot v mehkem grobu. Režeš in prežarjaš vse plasti. Čas se vname in izgine, himne slišim,

ko te gledam. Strog si in zahteven, stvaren. In ne morem govoriti. Vem, da hrepenim po tebi, trdo sivo jeklo. Za en tvoj dotik dam vse. Glej, pozno sonce

buta ob stene dvorišča v Urbinu. Umrl sem zate. Čutim te in te rabim. Mučiš. Ruješ me in izžigaš, vedno. In v prostore, ki si jih uničil, teče raj.

CZYTAĆ : KOCHAĆ

Kiedy cię czytam, pływam. Jak miś łapkami wpychasz mnie w błogość. Leżysz na mnie, którego zmiażdżyłeś. Na śmierć cię pokochałem, ty, pierwszy pośród urodzonych. W jednej chwili stałem się twoim świętojańskim ogniem.

Jestem bezpieczny, jak nie byłem nigdy. Jesteś ostatecznym poczuciem satysfakcji: wiedzieć skąd bierze się tęsknota. W tobie jestem jak w miękkim grobie. Tniesz i rozpromieniasz wszystkie warstwy. Czas zapala się i znika, słyszę hymny,

kiedy patrzę na ciebie. Jesteś surowy i wymagający, rzeczowy. I nie mogę mówić. Wiem, że tęsknię za tobą, twarda, szara stal. Za jedno twoje dotknięcie oddam wszystko. Patrz, późne słońce

uderza dziko o ściany podwórka w Urbino. Umartem dla ciebie. Czuję cię i potrzebuję. Męczysz. Wyrывasz mnie i wypalasz, zawsze. A w przestrzenie, które zniszczyłeś, wpływa raj.

TOMAŻ ŚALAMUN ROKU 1974

Kiedy w czasopiśmie wydrukował Pan pierwsze wiersze, niektóre (np. *Poemat narodowy*, *Grzybki*) wywołały dużą wrzawę. Wrzawa kłula w uszy również władzę wykonawczą, która na tydzień udzieliła Panu wieńca laurowego „mężefistwa“. Jaki wpływ miało to doświadczenie na młodego Tomiaka Śalamuna? Czy wydawał się sobie ważny?

Jasne, w związku ze składaniem nam hołdu na wyścigi. Na policji miałem przyjaciela z ogromnymi wąsikami, który intuicyjnie dobrze wiedział, jaki życiorys powinien mieć idealny poeta w młodości. Grożono mi dwunastoma latami najsroźszego więzienia. (...) Dla każdego normalnego człowieka jest jasne, że wielcy ludzie nie rodzą się w pierzynch. I bibliotekę mieli względnie dobrą. Pamiętam, że mogłem czytać Owidiusza i Prousta. Ale coś musiało im się poplątać, ponieważ po pięciu dniach wręcz wyrzucili mnie stamtąd, a moją uwagę, że mogę zaczekać do następnego ranka, by dostać z powrotem zegarek i pieniądze, przyjęli jako prowokację. (...) Młody Śalamun wydawał się sobie samemu ważny, jasne.

Kiedy wyszedł Pana pierwszy tomik *Poker* (1965) (...) zastanawiałem się nad Pana dalszą drogą poetycką. Wydawało mi się, że swoim debiutem wstąpił Pan na taki obszar przygraniczny, że nie ma tu już wielu możliwości kontynuacji i rozwoju. Swoim radykalizmem „wysadził Pan w powietrze“ nie tylko wszystkie duchowe i społeczne ideały, ale również zdemontował słowne i stylistyczne struktury (język kolokwialny, żargon, dialektyzmy, piętrzenie wielości słów, cytaty w obcych językach, kastrowanie słów do artykulacji bezsensu) do takiego stopnia, że obszar manewru krańcowo skurczył się. Gdzie wszystko jest zburzone, trudno jeszcze burzyć cokolwiek. (...)

(...) Musiałem „wysadzić w powietrze“ kawalek

ziemi, ponieważ potrzebowałem skały; buduję przecież pałac. (...) „Poemat narodowy“ napisałem na spacerze, w pięknym dniu, z wesołą i rozbawioną duszą, a „Grzybki“ są cięło czułe i miłe. Ja również żyję na spacerze, w pięknym dniu, mam wesołą i rozbawioną duszę i jestem cięło czuły i miły. Czy Pan myśli, że my, Słoweńcy, nie zastużyliśmy na jednego takiego po całej mrocznej, pełnej harówki historii? Ja mam nadzieję, że tak. Ale jasne to oczywiście jeszcze nie jest. Osobiście sądzę, że teraz nie można już tak po prostu runąć. I jeśli ktoś ma zamiar to zrobić, muszę być na tyle uczciwy i uprzedzić go, że będzie sam, mnie tam nie będzie. (...) Jestem za dyscypliną społeczną. Ten, kto ma trudności, niech się trochę wytęczy i niech przyjdzie z powrotem do ludzi, kiedy będzie znowu w lepszym humorze. My jesteśmy wesołym, zrelaksowanym towarzystwem, w zasadzie jakby nieustannym świętowaniem. (...)

Nie wiem, czy Pan pamięta, że znam Pana jeszcze z dzieciństwa, spotykałem Pana na ulicach Kopra: chodził Pan wtedy do szkoły podstawowej, był wzorowym uczniem, zawsze troskliwie ubrany i uczesany, wychowany tak, że wszystkie matki stawiały Pana za wzór własnym dzieciom, i jeśli czasem z Pana ojcem porozmawiałem trochę na ulicy, grzeczny Tomaszek nigdy nie naprzykrzał się i czekał cierpliwie na boku. Jednym słowem: złote dziecko. Taktowność, dar bycia uważnym, ułożonym i wrażliwym, grzeczność, wyszukane słownictwo – wszystko to zachował Pan do dzisiaj. Nigdy nie słyszałem z Pańskich ust żargonu, dialektyzmu lub jakiegokolwiek tandetnego zdania, żeby o aluzyjnych, frywolnych lub wulgarnych słowach w ogóle nie wspominać. Pana sposób rozmowy jest, jednym słowem, typowym przeciwieństwem Pańskiego słowa poetyckiego. (...) Chciałbym, by odkrył mi Pan niektóre rysy swego charakteru, m.in. kontrast między Pana konwencjonalnym, mieszczańskim trybem życia i Pana absolutnie niekonwencjonalnymi poglądami.

(...) *Ja jestem złotym dzieckiem. Każda mądra matka również dzisiaj stawia mnie na wzór. O Pańskich lub własnym celach (prócz własnej bogatej klienteli w krajach tropikalnych) nie wiem nic. Natura artysty jest malpia i boska, kiedy tworzy, tworzy wszystko. Słowo uderza przeze mnie, bo jest. Kto*

pierwszy wymówił słowo pierdolenie? Bóg wie. Ja pierwszy wymówiłem je w słoweńskiej poezji, przynajmniej byłem pierwszy, który za nim stanął. Straszne. Myślę, że skromnie przyczyniłem się do ludzkiej równowagi w tej dziedzinie i zrobiłem trochę bardziej normalnym, patetycznym i niezurbanizowanym stan poezji tradycyjnie rozpadającej się na brezjańską (słoweń. odpowiednik częstochowskiej – uw. tl.) Matkę Boską i szarą, przygnębiającą harówkę w produkowaniu ludzkości w niedzielę popołudniu przy opuszczonych zasłonach w przedmieściach. Przecież tak już nie żyjemy. Czy tak żyją tamci pańscy znajomi? Co jest niemożliwe? Nic nie jest niemożliwe, to naturalne. Ale wychowanie nie jest moją zasługą. Nie jest fair publicznie chwalić się nią.

Wydaje mi się, że żyję wszystkim, co mam w genach, i wszystkim, co tam mitologicznie wepchnąłem, tzn. generalami, chłopami, fantastami, biedakami, Furlańczykami, Turkami, bankowcami, pijakami, mecenasami, urzędnikami, uchodźcami, słoweńskimi góralami, Niemcami, damami, które nosiły kapelusze szerokie jak kraina słoweńska, i takimi jegościami, którzy mieli czerwone szyje od słońca, ponieważ pochyleni ryli w ziemi. Ludźmi, którzy uprawiali winorośl, i ludźmi, którzy miewali romanse od Wiednia po Rzym, a potem wpatrywali się w rewolwer na nachkastliku i chcieli się zastrzelić z powodu wyrzutów sumienia i miłości do żony. Tego ja nie czynię. Ludźmi, którzy łupili Wenecjan i Turków jak popadło, którzy powiesili się, polegli w pojedynkach, utopili w Drawie i zmarli na syfilis na przełomie stuleci, jak było wtedy modne, harcerzami i innymi, którzy byli lewicowcami w latach trzydziestych, jak było wtedy modne. Dużo rozmyślałem o nich. Każdy żąda swego. Cóż bardziej naturalnego, jak to, że wszystko trochę poszerzyłem, zgodnie z możliwościami, które przyniosła nam technologia. Niektóre rysy mojego charakteru są różnorodne, nie wiem, kto Pana wprowadził w błąd bajeczkami o moim konwencjonalnym mieszczańskim trybie życia. Fakt, że człowiek ma rodzinę, jest pięknym faktem. Próbuję żyć całościowo, dlatego chwilami jestem trochę szalony, co jest zdrowe. O swoim życiu myślę, że było dynamiczne i bogate, że miałem dość dużo szczęścia i że dość dużo ryzykuję, kiedy się tak czuję.

Był Pan dłuższy okres czasu w Stanach Zjednoczonych, poznał Pan specyfikę społeczeństwa amerykańskiego, prostych ludzi i inteligencję, mrowiska wielkich miast i drobnomieszczańską idyllę (...). Jakie ślady zostawiła Ameryka w Panu? I jeśli własne wrażenia porówna Pan z naszym życiem – w jakim kształcie ukazuje się Panu takie porównanie?

Nie ma porównania. To jest inna planeta i inna cywilizacja. Europa nie może dzisiaj zmierzyć Ameryki. Może z tym trochę przesadzam, bo żyję taką Ameryką, jakiej potrzebuje wzrost mojej duszy i jakiej potrzebują moje marzenia. Tam naprawdę spotkałem europejski renesans. Ślady są na pewno silne i w niejednym chyba trwale. Jednym możliwym opisem jest to, że Ameryka mnie rozszadziła i na nowo poskładała, że mnie krańcowo wymęczyła i odrodziła. Kontynent, który eksportuje gwałt, eksploatację i imperializm, wewnątrz jest równocześnie świeży, delikatny, nowy, marzycielski. Pierwszego dnia, kiedy przyleciałem do Nowego Yorku w roku 1970, w tej samej dobie ścisnąłem dłoń Davida Rockefellera i palitem marihuanę w najbardziej straszonym getcie wśród Portorykańczyków i Murzynów; byłem rzeźbiarzem wystawiającym w Muzeum Współczesnej Sztuki w Nowym Yorku i noszącym w kieszeni długi list Perlinghettiego, w którym pisało, że jestem wielkim poetą, a równocześnie byłem onieśmielony jak wiejska panna młoda. Wierzyłem, że jestem księciem, który zbawi i podniesie Europę Środkową, w co wierzę jeszcze dzisiaj, i że serce świata ustawię trochę bardziej rozsądnie, co robię jeszcze dzisiaj. Jednym słowem, byłem dokładnie taki jak wtedy, kiedy mnie Pan – dziewięćdziesięcioletniego, troskliwie ubranego - spotykał, taki jak zawsze.

Czy Ameryka, jaką Pan poznał, i jej współczesna poezja miały jakiś wpływ na Pana? Jak i w czym widać ten wpływ?

I jeszcze jak. Na początku chyba aż za bardzo, tzn. w ten sposób, że chciałem niektóre rzeczy po prostu wykreślić lub przeskakiwać. Ale poeta jest też pamięcią ludu, a nie tylko wizją lub niebiańską prostytutką. Prawdopodobnie robiłem dużo błędów właśnie z przerażenia, że ciężar życia zgniół 98 procent słoweńskich poetów, jeszcze nim wyrósł im pierwszy siwy włos.

Wpływ widać w szerszych płucach, w większej zdolności pracy i wyswobodzeniu. I chyba z tego powodu w większej nieznośności. Jeśli znajdzie się człowiek na świeżym powietrzu, chce powiedzieć, jeśli uda mu się normalnie, przez pracę włączyć również w kulturę, której nie wyznaczają parametry getta, jak strach, rany, skrupuły, barokowo wybudana tęsknota i alkohol, niektóre krosty na ciele same z siebie znikają (...). Gdyby do roku 2000 w słoweńskiej literaturze zapanował przynajmniej taki standard, jaki mają buty Alpina od połowy zeszłego wieku, byłoby to już bardzo dużo. Zawsze byłem fantastą, wiem, jak te nadzieje są nierealne. Wie Pan, co byłoby dla nas najbardziej istotne? By pracą udało nam się dorobić szerszej tradycji. Wtedy nie byłibyśmy już tak patologicznie głodni i literaci mogliby chodzić normalnie i wyprostowani jak murarze. Jeśli dla mnie w Ameryce naprawdę coś istotnego zdarzyło się lub zdarza, to to, że mogę bardziej suwerennie panować nad tradycją europejską, że się jej poddaję mniej niż kiedyś i że mogę ją przeczuwać w innym kontekście (...). I ziemia podniosła się o piędź (...). Teraz silnie i w więcej rzeczy wierzę niż przed tym, bardziej rozkoszuję się życiem niż kiedyś.

W ostatnich dwóch latach Pańska twórczość dosłownie rozkwitła: w tym roku w trzech wydawnictwach wyjdą bodaj trzy Pana tomiki. Ta poetycka „hiperprodukcja” (wyraz nie wydaje mi się przesadzony) mogłaby być niebezpieczna: co, jeśli Pan odkryje, że Tomasz Śalamun kręci się w kółko, że sam siebie powtarza?

Drogi Branko Hofmanie! Znów się Pan czegoś boi. Czy śmie Pan jeszcze teraz, po tym wyraźnie wychowawczym wywiadzie, trwać w przekonaniu, że jest normalnie napisać jedną lub dwie książki, a potem umrzeć na gruźlicę i służbę państwu? Nie jestem żadną matką Napoleona, by powiedzieć, mój Boże, do kiedy będzie to trwało. Ja nie urodziłam syna uzurpatora, lecz wysoko legalną działkę. Na świecie jest cała masa pięknych zdjęć. Ale na razie czuje się tak, że chce trwać w najpiękniejszym. Jasne, że w życiu już nieraz tak przeraziłem się śmierci głodowej, że w paru dziedzinach omal nie zrobiem doktoratu. Jeśli będę krążyć w kółko, to będę krążyć w kółko. Słońce, ziemia, młyńskie koło, łyżeczka, którą mie-

szamy kawę, wszyscy wirujemy. Życie krąży. I to jest właśnie ten piękny cud.

Wcześniej wspomniałem, że Pan na swojej drodze poetyckiej dokonał dość znacznego rozwoju (...). Jak Pan sam zdefiniowałby pańskie dotychczasowe poszukiwania? Co dla Pana znaczy poezja?

Niczego nie szukałem. Niczego nie szukam. Niczego nie zgubiłem. To jest poezja.

Ukończył Pan studia, historię sztuki i historię, a żyje Pan bez stałej pracy. Czy Pan ten status społeczny wybrał świadomie, czy okoliczności zmusiły Pana do tego?

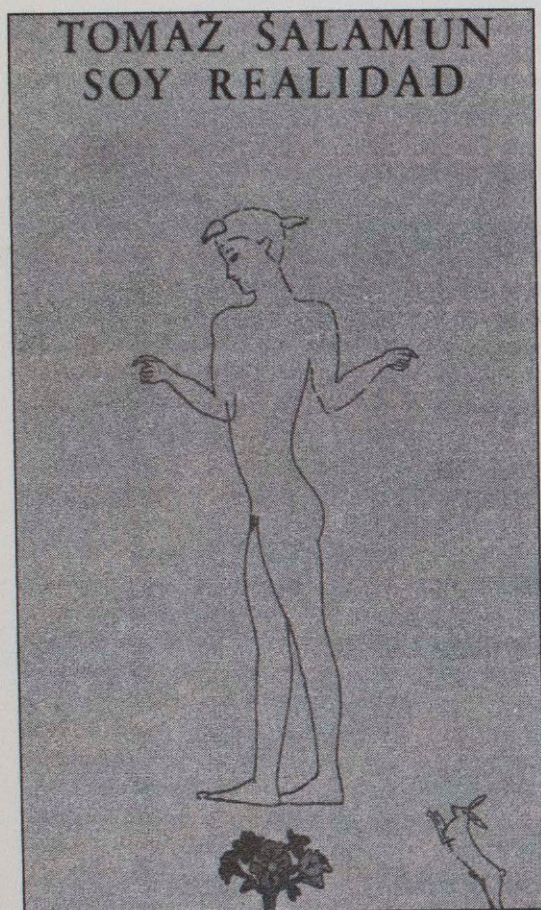
Historia jest zupełnie po słoweńsku klasyczna. Kiedy tylko stało się jasne, że jestem utalentowany jako poeta, było zrozumiałe, że trzeba mnie jako takiego zniszczyć. Ja społeczeństwa ani trochę nie obwiniam – rozumiem je. Przecież jestem czarownicą. A u nas zawsze było tak, że wszystkie talenty filozoficzne były na chemii i odwrotnie, więc dlaczego miałyby być teraz inaczej. Społeczeństwo widocznie potrzebuje takiego profilu. Ale ponieważ śmierci głodowej trudno robić reklamę, jeśli dzieje się na placach publicznych, nagle miałem otwarte wszystkie możliwości jako historyk sztuki. Muszę powiedzieć, że w tej społecznej mimikrze nie byłem zupełnie bez winy, ponieważ śmierci głodowej nigdy nie uważałem za jakiś wyśmienity dowcip. Tak przekonywano mnie, że jestem *Vojeslavem Mole* (poeta, który zarzcił poezję i stał się słynnym profesorem historii sztuki, zresztą na Uniwersytecie Jagiellońskim – uw. tł.), że prawie im wierzyłem. Ale nic nie wybrałem, bo wszystkie prawdziwe rzeczy są od Boga, a nie ze spekulacji. Czy umrę z głodu czy nie, to na razie trzymający w napięciu dreszczowiec.

Przełożyła

Katarina Śalamun-Biedrzycka

* Rozmowa zamieszczona w czasopiśmie „Knjiga” 1974 nr 7-8.

Rozmawiał
Branko Hofman



TOMAŽ ŠALAMUN ROKU 1994

Rozpadła się Jugosławia. Kim jesteś dzisiaj?

Moja tożsamość pozostaje ta sama. Jestem Słowencem i zawsze nim byłem. Jednocześnie jednak mój dom zawsze był tam, gdzie byli moi czytelnicy, a więc we wszystkich stronach byłej Jugosławii, ale także w Ameryce, gdzie zawsze mnie tłumaczono i czytano. Natomiast fakt, że część Jugosławii „pogrążyła się w nocy“, że wydarzyło się to, co się wydarzyło,

sparaliżowało mnie jako pisarza. Przez cztery lata nie mogłem pisać. To, co zaczęło się dziać tutaj z językiem, jak zaczęto język wykorzystywać, sprawiło, że nie mogłem tworzyć. Po prostu milczałem. Język poety musi szukać jakiegoś rodzaju równowagi, czy nawet przyzwolenia dla rzeczywistości. Nie mogłem pisać. Dzisiaj mam to już za sobą, piszę. Kierował mną organiczny instynkt, aby bronić samego jądra życia, tradycji świętej przestrzeni, po prostu języka, który musi być ocalony i to na przekór tragediom tego czasu.

To, co dzieje się dziś w Bośni i Hercegowinie, dzieje się w samym sercu wszystkich narodów byłej Jugosławii. Zrozumieć to, co tam się dzieje, to zrozumieć świat. A naszym zadaniem jest chronić siebie i innych przed amnezją, która wkrada się wszędzie jak zaraza.

Co się tak naprawdę wydarzyło w byłej Jugosławii?

Jugosławia to był mój dom, to był rzeczywiście ciekawy, żywotny i różnicowany kraj. W połowie lat siedemdziesiątych na przykład, kiedy byłem pod polityczną presją w Słowenii, znajdowałem schronienie w innych częściach Jugosławii: w Macedonii, w Belgradzie, w Zagrzebiu, chociaż tam najmniej, ponieważ Zagrzeb od początku lat siedemdziesiątych podupadł, nie miał dość siły, aby walczyć i dawać schronienie takim jak ja.

Proces, który rozpoczął się w latach 1984-1986 w Serbii wzbudził we mnie wielki niepokój. Od początku zdawałem sobie sprawę, że język Miloševića jest językiem starej biurokracji komunistycznej, ale ponieważ sięgał do narodowych źródeł, Serbom wydawał się świeży i żywotny. To był dokładnie język młodego Mussoliniego! Kiedy próbowałem dzielić się tym rozpoznaniem z moimi kolegami w Serbii, nikt mnie nie rozumiał. I wtedy nadszedł czas, kiedy Serbowie świętowali czas bitwy na Kosowym Polu, która była najdramatyczniejszym wydarzeniem w ich historii. Zamiast uniwersalizmu zaczęli budować kolejny front nacjonalistyczny, rozpoznający Serbów jako naród wybrany, który bronił w ciągu historii najlepszych wartości i również w przyszłości będzie tak czynił. Chorwaci zaczęli się wówczas odwoływać

do tradycji faszystowskich, ustaszowskich.

Te fakty związane z ożywieniem pamięci historycznej były tak silne, że powoli serbski rząd zaczął przystępować do tworzenia Wielkiej Serbii. To nie było czytelne dla Zachodu. Punktem krytycznym był Vucovar. On jest tym, czym była Guerenica, bowiem również w jej przypadku Europejczycy nie wiedzieli, co w rzeczywistości się dzieje. Fakt, że dramat Vučavaru nie został właściwie rozpoznany, że go zlekceważono – to był początek tragedii, bowiem serbski faszyzm nie został wówczas stłumiony, zaczął się rozwijać i zataczać coraz szersze kręgi.

Dla nas w Słowenii było jasne, jakie niebezpieczeństwo i skąd nadchodzi. Wiedzieliśmy, że – podobnie jak podczas II wojny światowej – nadchodzi ciemna siła, która może zniszczyć absolutnie wszystko, a my musimy robić co w naszej mocy, aby się przed tym bronić. Moment, w którym ogłosiliśmy niepodległość był prawdopodobnie ostatnim, który dawał realne szanse na ocalenie. Przegapić ten moment znaczyło utracić ostatnią szansę.

Czy cierpisz na jugo-nostalgię?

Straciłem przyjaciół, porwały się więzi i nie myślimy już tak samo. Przeważająca część serbskiej inteligencji nie rozumie, co się rzeczywiście wydarzyło i wydarza do dziś. Oddaliliśmy się od siebie bardzo. Najistotniejszy jest fakt, że u samego początku tego procesu zjawiska prowadzące do późniejszej tragedii Jugostawii nie zostały właściwie rozpoznane i nazwane. Do dzisiaj wszystko to pozostaje niewyartykułowane, skryte w cieniu. To jest powód, dla którego działalność rządu w Belgradzie pozostaje ciągle niezagrożona.

Czy bierzesz czynny udział w budowaniu nowego państwa słoweńskiego? Czy angażujesz się politycznie?

Niezmiernie szanuję i podziwiam takich ludzi jak Miłosz czy Brodski, którzy potrafią wyrazić to, co się aktualnie wydarza, zaangażować się w debatę... Ja nie potrafię. Ja jedynie mogłem zaangażować się w organizowanie pomocy dla uchodźców z Bośni i Hercegowiny, w organizowanie pieniędzy i pobytu dla pisarzy z Sarajewa...

Jestem artystą i wszystko, co mogę zrobić, to nie

klamać jako artysta. Utraciłem wszystkie języki porozumienia i ekspresji poza tym jednym – językiem poetyckim. Język dyskursywny stracił wszelką wiarygodność, jest martwy.

Pochodzę z małego narodu, z małej kultury, i od początku mej twórczości uświadomiłem sobie, że aby przetrwać, ocalić siebie, muszę się skoncentrować na tym, co jest najbardziej konkretne i zarazem mi przynależne – na języku.

Łączą cię silne więzi z młodym pokoleniem poetów słoweńskich. Z ich wierszy, z rozmów z nimi, dowiaduję się jak jesteś dla nich ważny. To samo dotyczy plastyków. Jak oceniasz ich twórczość?

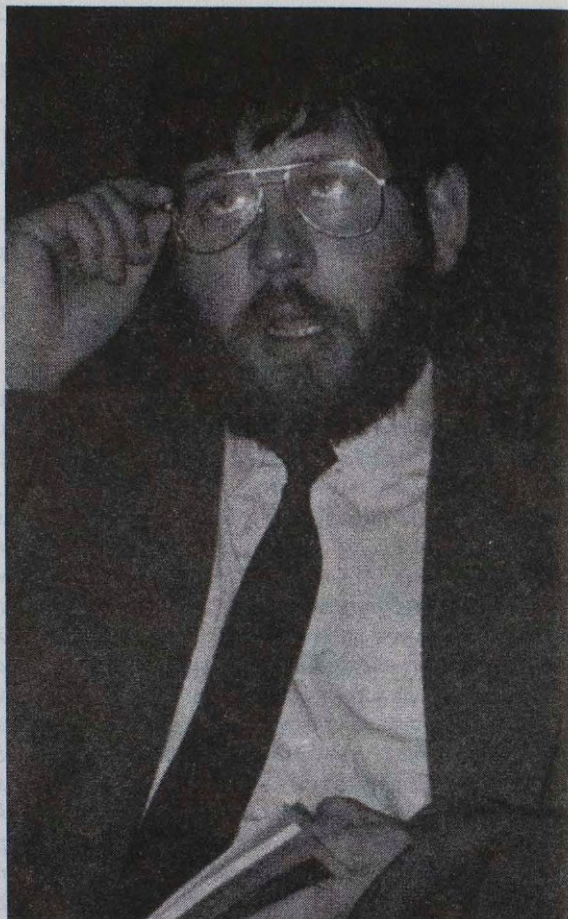
W moim przekonaniu twórczość młodych słoweńskich poetów i plastyków jest niezwykle mocna, wyrazista i na wysokim poziomie artystycznym. Kiedy wróciłem z Meksyku na początku lat osiemdziesiątych zetknąłem się z twórczością Aleša Debeljaka. Przeczytałem zaledwie kilka linijek tego wówczas bardzo młodego poety i momentalnie odczułem pojawienie się nowego tonu, nowego źródła poetyckiej siły. Miałem takie trzy chwile doświadczenia w moim życiu, które zaważyły na mojej duchowości: kiedy spotkałem się z Francesco Clemente i jego dziełem, kiedy zobaczyłem wystawę Juliana Schnabla i kiedy przeczytałem wiersze Aleša Debeljaka. To była dla mnie wielka inspiracja, zacząłem prowadzić dialog z językiem poetyckim Aleša...

A kolejna wielka przygoda poetycka rozpoczęła się trzy lata temu, kiedy spotkałem Uroša Zupana. Pojawił się młody człowiek z wielkim darem. Ja wtedy nie mogłem tworzyć, on pisał, potrafił wyrazić to, co działo się dookoła. Podczas tego spotkania w Vilenicy odczytał swoją *Elegię o Sarajewie* i to jemu, a nie całej rzeszy piszących o Sarajewie, darowana została moc zmierzania się z tą tragedią. Spotykaliśmy się często, rozmawialiśmy... Powoli zacząłem się budzić, nabierać sił do pracy w słowie...

Rozmawiał
Krzysztof Czyżewski

Vilenica, 4 września 1994 r.

ZBIGNIEW CHOJNOWSKI



Fot. T. Krzywicki

PRZEJŚCIE PRZEZ OLSZTYN

Wzdragasz się przed porównywaniem czegokolwiek do czegokolwiek,
Idąc obok budynku, do którego prowadzą popękane schody,
Spostrzegając floksy, wystające spoza zdziczałej trawy,
Mijając mężczyznę o siwiejącym zaroście z dwójką dzieci,
Przechodząc przez środek spokoju późnego popołudnia.

Wzdragasz się przed porównywaniem do czegokolwiek siebie,
Który mógłbyś teraz iść po zupełnie innych chodnikach, ścieżkach,
Obok zupełnie innych domów, istot żywych i umartych;
Pomyślałeś więc: sens chwili i miejsca wyczerpuje się wraz z nimi,
Reszta jest tylko ślepnącym w odosobnieniu przypomnieniem.

20 sierpnia 1993

DWA WIERSZE O ZIEMI

1.

Mój cień przezroczysty wynurza się z zapachów ziemi
I nie zawadza nikomu.
Ale gdy zanurzony po uda w czarnoziem
Dokopuję się do swojej twarzy
Świt się trzęsie za drzewami
I coś chichocze nad polem.

2.

Znad rozgrzebanych kartoflisk drażniący
Wonny dym palonych łątów się roznosi.
Z półotwartych rąk,
Spod zwęglonej łupiny ziemniaka
Paruje tajemnica ziemi;
Nad nią nasze pochylone chłopięce profile
Nabierają smaku
Owocu pamiętania.

31 marca 1981 i 18 września 1994

ZBIGNIEW CHOJNOWSKI urodził się 30 maja 1962 roku w Orzyszu, a wychował w wiosce Nowe Guty, położonej na wschodnim brzegu jeziora Śniardwy. *Śniardwy* (Olsztyn 1993) to tytuł jego pierwszej książki poetyckiej. Wiersze publikował w „Borussii”, „Czasie Kultury”, „Kresach”, „Nowym Nurcie”, „Pracowni”. Kilka jego liryków przełożonych na język rosyjski ukazało się w czasopiśmie kaliningradzkich pisarzy i artystów „Запад России”.

Jest krytykiem literackim i historykiem literatury. Jego artykuły, szkice, recenzje poświęcone są głównie poezji polskiej XX wieku oraz literaturze Warmii i Mazur. W 1992 roku wydał monografię *Michał Kajka. Poeta mazurski*. Pracuje na stanowisku adiunkta w Instytucie Filologii Polskiej Wyższej Szkoły Pedagogicznej w Olsztynie. Jest współzałożycielem Wspólnoty Kulturowej „Borussia” i należy do zespołu redakcyjnego pisma o tej samej nazwie.

STANISŁAW SZEWCZENKO

Przełożył
Waldemar Smaszcz

ДУМА КИПАРИСА

Никосу Хадзиниколау

Дегустував я нижний запах лавра
В масандривському литньому саду.
Чому це листя вибирала слава
Для тих, кому судилась на роду?

А кипарис повидав мені стиха,
Неначе прочитав мої думки:
„И лавр, и слава - то всього лиш примха,
Сувора наша доля - колючки.

И духом, и думками ти зберися,
Не зневажай життя, тим більше - смерть.”
Видчув тоді я риси кипариса:
И прямоту, и висоту, и твердь.

Я зрозумів: нема у ним вагання,
У нього ціль - увись рости чимдуж.
Немає зваби переодягання
Пид осинь перед зеркалом калюж.

Вин мовив: „Знай, що истина не в форми,
И кольори - то тильки сонця гра.
Поглянь на море: истина у шторми,
Вода нуртує, тому й не вмира.

Та тильки пинний хвили не корися,
Хоч дух не кожний може те зумить...”
Я довго-довго слухав кипариса,
Бо дише він глибинами столить.

МĄDROŚĆ CYPRYSU

Nikosowi Chadzinikolau

Wdychałem subtelny zapach laurowy
Ogrodu Masandry błędząc ścieżkami.
Czemu te liście zdobią sławne głowy
Tych, którzy zostali przez los wybrani?

Cyprys stojący szepnął do mnie w ciszy,
Jakby potrafił z moich myśli czytać:
I laur i sława - to tylko kaprysy.
Prawda ludzkiej doli w kolcach ukryta.

Połącz w sobie w jedno serce i myśli,
Życia ni śmierci nie przenikniesz wzrokiem.
Wtedy odczułem: cyprys przede wszystkim
Jest twardy jak skała, smukły, wysoki.

To zrozumiałem - nie podda się wiatrom.
Rośnie wysoko, nic tego nie zmieni.
I nie ulega migotliwym barwom
Nad zwierciadłem kałuż w porze jesieni.

Cyprys powiedział: prawda nie tkwi w formie,
Barwy to tylko niewinna gra słońca.
Popatrz na morze - cała prawda w sztormie,
Woda faluje, więc żyje bez końca.

Fale spienione - te nie schylą głowy,
Chociaż nie każdy ma taki hart ducha.
Długo słuchałem cyprysowej mowy,
Bo wielu wieków głębią on oddycha.

НА ПОЛОТНАХ ЛИТА

Велелюдни пляжи, миготливи бари,
Та фонтанить морем вересневий витер,
На полотнах лига вицвитають барви,
Видцвитають барви на полотнах лига.

Пробуємо винни тонкощи Масандри,
А вуста солони витер дегустує...
Хто на схили вику винограда садить,
Той лига не тратить суетливо - все.

Дома ти для строгости, а тут для забави.
Ну, хиба ти винна, сонцем розимлита?
На полотнах лига вицвитають барви,
Видцвитають барви на полотнах лига.

Ще у кримський осени колобродять весни,
Он бузок розквітнув, а в нас - жовкне листя.
З сонцем обнімимся... В тиши безшелесний
На зимових даях сполотниють лица.

Тремом вуст лизнаймося в затинку чинари, -
Крильцями метеликив на тендитних квітах.
На полотнах лига вицвитають барви,
Видцвитають барви на полотнах лига.

NA PIÓTNACH LATA

*Jeszcze pełne plaże, migotliwe bary,
Ale wiatr jesienny morskie fale zmiata.
Już na płótnach lata przekwitają barwy,
Przekwitają barwy już na płótnach lata.*

*Kosztujemy wina, co sławią Massandrę,
A wiatr degustuje nasze usta słone...
Nie chce lat swych stracić, roztrwonić na marne,
Kto na skłonie życia sadi winogrona.*

*W domu taka serio, tutaj słońce karmisz
Radością i ciepłem, nie poznajesz świata.
Już na płótnach lata przekwitają barwy,
Przekwitają barwy już na płótnach lata.*

*Jeszcze krymska jesień ciągle wiosną dyszy,
Bzy znowu zakwitły, choć w nas - żółkną liście.
Przytulmy słońce... W bezszelestnej ciszy
Wypłowięją twarze zanim zima przyjdzie.*

*Lecz w cieniu płatanu zadrżą nasze wargi,
Skrzydłami motyli na nieznanym kwiatkach!
Już na płótnach lata przekwitają barwy,
Przekwitają barwy już na płótnach lata.*

* * *

Як жаль мені тебе лишати, Ялто!
Отут би збудувати собі дим...
Руками Бога витесана яхто,
У мори злагоди гойдаешся моим.

У мори злагоди тут жив би я и жив,
А по високе легко йшов на скелю,
И вихтем хмарки побилив би стелю
У хатци, де б навколо рис инжир.

Як солодко тут серце завмира!
Зийди у таємниці моя зоре!
Мовчанья... Днше хмаркою гора,
Ласкавить нас чанкокриле море.

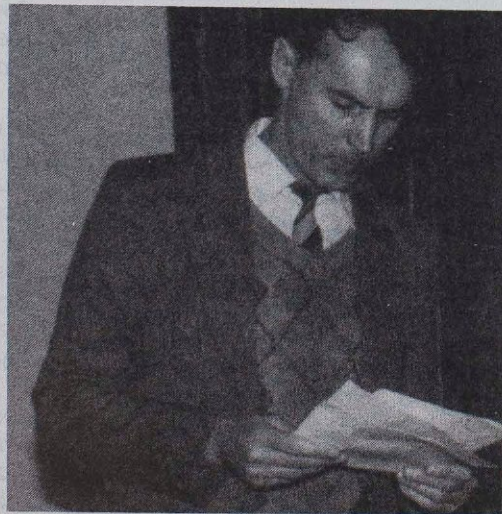
* * *

*Jak żal mi, że nie mogę zostać w Jaltcie!
Zbudowałbym gdzieś sobie tutaj dom.
Rękami Boga wyciosany jachcie
Zapadasz w mego morza cichą toń.*

*Tutaj nad brzegiem żyłbym sobie w sadzie.
Pobieliłbym chmurami sufit cały.
Orzechy, winogrona, inżynier sadził,
A po migdały chodziłbym na skały.*

*Tu serce bije jakby zamierało!
Zatrzymaj się nad Jaltą moja gwiazdo!
Tu, gdzie chmurami góry oddychają
I morze skrzydłem mewy pięści miasto.*

STANISŁAW SZEWCZENKO, poeta i tłumacz. Urodził się w 1947 roku na wsi koło Czernihowa. Ukończył matematykę na uniwersytecie w Kijowie. Przez wiele lat pracował jako cybernetyk. Od wczesnej młodości pisał jednak wiersze. Po licznych publikacjach w prasie literackiej matematyka nieodwołalnie zaczęła schodzić na drugi plan. Poeta porzucił wyuczony zawód i podjął pracę w kijowskim kino-studio jako scenarzysta filmów popularnonaukowych. Będąc spoza środowiska literackiego, w tym czasie w ZSRR niestety sformalizowanego, nie mógł przez wiele lat opublikować zbioru wierszy. Ponadto pisał w języku ukraińskim, co także nie ułatwiało startu literackiego. Dopiero w roku 1986 ukazał się pierwszy jego tomik *Środek rzeki*. Następne zbiory to: *Zwątpienie i wiara* (1990) i *Oktawy miłości* (1993). W tym czasie po raz pierwszy przyjechał do Polski i zainteresował się polską poezją. Wydał autorską antologię wierszy polskich *Inne prośby* (Kijów 1994). Utwory Stanisława Szewczenki znalazły się w dwu wydanych w Polsce antologiach poezji ukraińskiej: *Czarnobylski autograf* (Białystok 1991) oraz *Ukraińska liryka miłosna* (Warszawa 1991).



* * *

Забринила печаль у голоси,
Та прощалися все одно.
Ниби чорна дирка у космоси -
Сиротливе твоє вікно.

Похитала вербиця косами:
„И чого б не жить залюбки?”
Повсидалися зори осами
На небесни важки стильники.

* * *

Онивночи в горах сванетських
Нас теминь вобила зловисно,
Де лиш переблискують нетри
Дощем золотистим навкисним.

Тремтив свитлячковий той накрап
На кожному камени, пневи.
В ущелини пинилась Накра,
И гори зсувалися в неби.

То вужчав прохиб, то звивався,
Униз обриваючись круто.
И тупит копит учувався,
Було вже не важко, а скрутно.

Вовтузливо ставили тенти,
А хмари зирки забували.
Николи не чути легенби
Сванетии

тут оживали.

* * *

Choć zabrzmiał żal w naszym głosie,
Poszliśmy każde w swą stronę.
Jak czarna dziura w kosmosie
Okno twe osamotnione.

Wierzbie splątały się włosy:
"Czyż można żyć bez miłości?"
Gwiazdy usiadły jak osy
Na siatce nieba w ciemności.

* * *

O północy w Górach Swanetij
Ciemności nas wiodły złowieszczo,
Gdzie tylko świetlików rój świecił,
Złóciстым, ukośnym tnąc deszczem.

I drgała świetlista ulewa
Na każdym kamieniu i drzewie.
W szczelinach się potok przelewał,
A góry schodziły się w niebie.

Ginący szlak oczy wciąż zwodził.
To wił się, to spadał w otchłanie.
Z daleka gdzieś tupot dochodził
I lęk nas przygniatał jak kamień.

Mościliśmy w mroku postania,
Bo chmury nam gwiazdy zakryły.
Nigdy nie słyszane podania
Gruzińskiej Swanetij

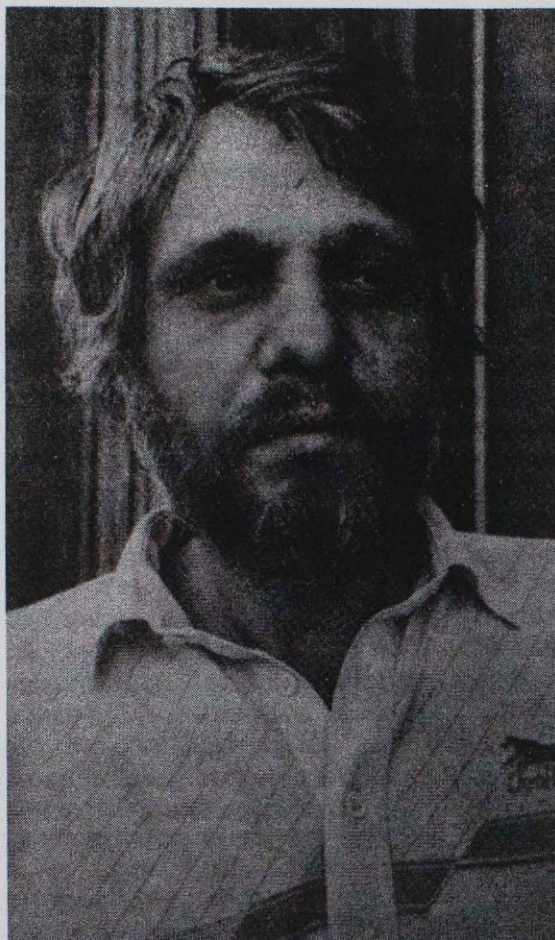
ożyły.

PROZA

BÉLA OSZTOJKÁN

ŚWIAT, JAKI STWORZYŁ BÓG

Przełożyła
Ewa Miszewska-Michalewicz



W pierwszą niedzielę października Vince Regös napisał do żony, że wszystko stracone. Zgromadzenie Narodowe - pisał - na skutek zdecydowanego sprzeciwu Rady Kobiet zrezygnowało ze swoich wcześniejszych zamiarów i uchwaliło, że w rocznicę narodzin socjalizmu amnestia obejmie tylko kobiety w ciąży, młodocianych i chorych, tak więc wszystko przepadło, bo on, Vince Regös - napisano to nawet w gazecie więziennej - nie zostanie jeszcze zwolniony! Długo wyjaśniał czekającej na niego w odległej wiosce i nie umiejącej nawet czytać kobiecie, że Zgromadzenie Narodowe podjęło taką decyzję dlatego, że w ostatnich latach bardzo zwiększyła się liczba przestępstw. Tak więc władze nie mogą pozwolić sobie na skorzystanie z prawa łaski i wypuścić przestępców pomiędzy uczciwych obywateli. Oczywiście - pisał dalej Vince Regös - Rząd chciał

dać amnestię, i to dużo większą niż ta w pięćdziesiątym trzecim, ale Rada Kobiet się bała.

Ale nie ma się co smucić - pocieszał Vince rodzinę. Pozostało mu jeszcze tylko kilka miesięcy, jakoś wytrzymają bez niego w domu. W ostatnich zdaniach listu posunął się nawet do kłamstwa, przekonując swoją żonę, Viktorię Regös, żeby nie martwiła się o niego, bo więzienie to nie taka zła rzecz. Wszyscy mogą tu pracować i co najważniejsze, mogą także uczyć się pisać i czytać - ostatnio wychowawca zaczął go nawet chwalić za postępy w nauce.

Tak więc moja wierna żono ten list piszę już sam i czytam też książki z biblioteki a jednego dnia policzyłem nawet ile kilogramów chleba i ile litrów kawy dostałem już tutaj na śniadanie i ile jeszcze dni chleba i kawy zostało mi do wyjścia na wolność - Nie smuć się moja droga żono bo teraz już zachowuję się wzorowo dostałem nawet nagrodę za pracę i dobre sprawowanie i wyczytali mnie w radiu które wisi w celi nad drzwiami jednym słowem poprawiłem się - Zobaczcie wszystko będzie dobrze tylko wytrzymajcie jakoś do mojego powrotu i życzę wam siły zdrowia i wytrwałości z okazji zbliżających się świąt Bożego Narodzenia twój kochający wierny mąż Vince Regös ...

Był sylwester. Ostatni dzień roku. Viktória Regös siedziała przy łóżku i z goryczą wsłuchiwała się w coraz spokojniejsze oddechy zapadających w sen dzieci. Julika usnęła pierwsza. Z zeszytu najstarszej córki Jusztiki matka zrobiła dla wszystkich jednakowe papierowe rożki.

- Chodźcie - powiedziała - mama da wam herbatę.

Rozłupała nożem makówkę. Szybko ugotowała z ozdobionej koronkowym czubkiem makowej główki czerwono-brunatny wywar. Podczas gdy dzieci, z rożkami w rękach, czekały na bulgoczącą na ogniu makową zupę, Viktória posłała łóżko. Pierwsza dostała Jusztika. Potem mały Vince i Amál. Kiedy w końcu napełniła też kubeczek najmłodszej córki - Julika najszybciej usypiała po makowym wywarze - kazała dzieciom wejść pod pierzynę.

Jej najmniejsze dziecko nie potrzebowało jeszcze środków nasennych. Było jeszcze w brzuchu. Viktória przez długi czas nie domyślała się nawet, że jest w ciąży. Zorientowała się dopiero wtedy, gdy dziecko się poruszyło. Wówczas zaczęła rozpaczać, przecież - dobry Boże - Vince Regös jest w więzieniu!

Pewnego jesiennego dnia, kiedy Viktória krążyła w poszukiwaniu jakiegoś zajęcia wokół urządnego w namiocie baru, przywołał ją do siebie kaleka pilnujący rowerów przed domem towarowym. Nazwał ją dziewczyną, chociaż wiedział, że ma męża i dzieci.

- Zawieź mnie do domu - powiedział przymilnie - nie pożałujesz.

- Co mi dasz? - spytała kobieta wietrząc zarobek.

- A co miałbym dać? - kaleka podniósł na nią duże, żółte oczy. Ogarnęła go złość. Tacy już są ci Cyganie. Za wszystko żądają pieniędzy. Żadna siła nie zmusi ich do wyświadczenia jakiejś przysługi za darmo. - Ile chcesz? - spytał.

- Dwadzieścia forintów - odpowiedziała Viktória.

- Idź do diabła! - sięgnął po laskę i cisnął ją w stronę kobiety. Viktória wzruszyła ramionami i splunęła na ziemię.

- Nie to nie. Niech cię piorun strzeli! - Odwróciła się plecami.

- Stój! - zawołał kaleka. - Żeby tak psy pogryzły ci tyłek. Dziesięć nie starczy?

- Za dziesięć forintów nie kupię nawet trutki na szczury - odpowiedziała, odwracając się znów w jego stronę.

- Chcesz piętnaście? - kaleka sięgnął do kieszeni.

- Wypchaj się, sknero!

Do późnego popołudnia opróżniała pojemniki na odpadki stojące przed częściowo już

rozmontowanym namiotem. Wlewała ich zawartość do ogromnej żelaznej beczki. Słaby popołudniowy wiatr szeleścił leżącymi wokół papierami, a na ziemię kładły się długie cienie. Viktória była smutna i zmęczona całodzienną pracą. Plac przed domem towarowym też już opustoszał. W oddali widziała toczący się powoli, rozklekotany wózek inwalidzki, którego właściciel raz po raz z wysiłkiem pochylał się do przodu niczym kręcący korbą kataryniarz.

Viktória ruszyła za nim szybkim krokiem: zdąży jeszcze wrócić przed wieczorem do sklepu, musi kupić chleb, świeży chleb, dzieci aż piszczą do niego.

Zawiozła kalekę do domu. Pomogła mu położyć się do łóżka i nawet poprawiła poduszki. Kaleka sięgnął do kieszeni. Wyciągnął duży skórzany woreczek, wyjął z niego pieniądze i powiedział:

- Mógłbym kupić za to autobus. - Jego twarz pozostała nieruchoma, duże, żółte oczy wpatrywały się w kobietę. Viktória osłupiała.

- Wielki Boże! - klasnęła w ręce. - Skąd masz tyle forsy?

- Chcesz trochę? - wyciągnął w jej stronę woreczek z pieniędzmi.

- Oddam ci - powiedziała szybko. - Jak Boga kocham, oddam, kiedy tylko mój mąż, Vince Regös, wróci do domu.

- Prześpij się ze mną - rzekł kaleka. Teraz patrzył na kobietę łagodnym, błagalnym wzrokiem. Trzymał w ręku plik banknotów i bawił się nimi, jakby przerzucał kartki jakiejś grubej książki. - Chodź, pogłaszcz mnie. Przecież nic cię to nie kosztuje.

Viktória zdrętwiała słysząc te słowa. Skończyła dwadzieścia pięć lat. Robiła w życiu różne rzeczy, i piękne i brzydkie. Oszukiwała i dawała się oszukiwać. Kradła i bywała okradana. Ale takiej propozycji nikt jej jeszcze nie złożył. Urodziła czworo dzieci. Oprócz Vince Regösa nie było w jej życiu żadnego innego mężczyzny i nigdy nikogo innego nie pragnęła. Teraz, kiedy wszystko to w ciągu jednej krótkiej chwili przemknęło jej przez głowę, żołądek aż podszedł jej do gardła ze zdenerwowania. Plunęła kalece w twarz.

- Żeby cię pokręciło, ty glisto! Co ty sobie wyobrażasz? - Chciała znów splunąć, ale zabrakło jej śliny w ustach. Ruszyła do drzwi, ale na progu potknęła się i upadła.

- Dobrze ci tak! Dobrze ci tak! - krzyknął za nią kaleka. Viktória spojrzała w stronę łóżka, twarz mężczyzny wykrzywiła się, płakał. - Tak Bóg karze tych, którzy pogardzają kalekami. Chodź tu, stuknięta Cyganko! Mam tyle pieniędzy, ile jeszcze w życiu nie widziałeś. To wszystko może być twoje.

Viktória ciężko wstała z podłogi. Mężczyzna dalej bezgłośnie płakał. Podeszła do łóżka i podniosła sukienkę. Nie patrzyła na kalekę.

- Mam się umyć? - spytała.

- A śmierdzisz?

- Śmierdę.

- Nie szkodzi.

Od tej pory odwiedzała go w każdą środę i piątek. Odprowadzała go do domu, potem rozbierała się do naga i odwracała się do niego plecami.

- Czy ty jesteś z drewna? - oburzył się kaleka w trzecim tygodniu ich spotkań. - Ruszaj się trochę!

W piątym tygodniu długo głaskał krzywymi, guzowatymi palcami plecy Viktorii. - Zdolna jesteś - pochwalił ją. Nie pożałuję ci niczego. Daj mi trochę szczęścia, a będę dla ciebie dobry.

- Moja córka idzie do szkoły. Potrzebuję ubrania i zeszytów...

Wsadziła pieniądze do kieszeni. Nigdy więcej nie poszła już do kaleki. W domu rozplakała się.

Posmarowała sobie twarz błotem i jęczała, jakby przygniótł ją jakiś olbrzymi ciężar.

- Vince, Vince - szeptała, leżąc na ziemi. - Vince, Vince - modliła się do siedzącego w więzieniu męża - nie powinnam już dłużej żyć. W moim ciele załagał się grzech. Pozostał we mnie wbrew mojej duszy. - Walcząc z ogarniającymi ją mdłościami myślała o ostatnich tygodniach. Kaleka dotykał ją i gładził po nagiej skórze. Guzowatymi, sztywnymi palcami sięgał do jej wnętrza i zachęcał: „Dalej, z życiem, ruszaj się, nabieraj powietrza i dysz głośno, bo nie dostaniesz ani filler”.

Zmierzchało. Pod oknem kłębiła się gęsta mgła. Viktória spojrzała na leżące na stole skrzypce.

- Żeby mi ich nikt nie dotykał - krzyczał zza drucianej siatki Vince podczas ostatniego widzenia. - Powieś je na ścianie, żeby dzieci nie mogły ich osiągnąć! W więzieniu nie mają skrzypiec - odpowiedział na pytanie Viktorii.

Zrobił wprawdzie piękne skrzypce w więziennym warsztacie stolarskim, ale wysłali go za to do karnej celi. Przynął do okna taboret, stanął na nim - było niedzielne popołudnie, kiedy to więźniowie najczęściej myślą o domu - i zagrał. A gdy ogarnięty smutkiem zaczął śpiewać w karnej celi - tak głośno, że słycać go było na całym dziedzińcu więziennym - za złe sprawowanie przedłużono mu okres odbywania kary i umieszczono w celi o obostrzonym rygorze, gdzie jednego dnia dostawał normalne jedzenie, a drugiego tylko chleb i wodę.

- Tylko już więcej nie śpiewaj - przykazała mu Viktória. Vince zdenerwował się opowiadając o swoich kłopotach, twarz mu poczerwieniała, a palce zbieleły, kiedy zacisnął je na drucianej siatce. - Nie śpiewaj, żeby ich piorun strzelił! Pracuj pilnie, a pośpiewamy sobie, kiedy wyjdiesz na wolność.

Viktória otuliła pierzyną śpiące dzieci. Wrzuciła kawałek drewna do ognia i wzięła do ręki pokryte kurzem skrzypce.

- Umiesz śpiewać? - spytał ją kaleka podczas jednego z ich pierwszych spotkań.

- Umiem nawet grać na skrzypcach - powiedziała z goryczą w głosie.

- Spójrz tam! - kaleka wskazał na ścianę. - Te skrzypce mają sto lat. Zdejmij je!

- Co chcesz z nimi zrobić?...

- Zagraj mi!

- Zwariowałeś?

Kaleka wyciągnął spod poduszki nowy plik banknotów.

- Nie daj się prosić!

Viktória zdecydowanym krokiem podeszła do skrzypiec. Wzięła je do ręki i usiadła na krześle naprzeciw kaleki.

- Co mam zagrać? - spytała bezbarwnym, zmęczonym głosem. Nie spuszczała oczu z mężczyzny. Miała ochotę rzucić się na niego i udusić go - czuła, że to właśnie przyniosłoby jej duszy prawdziwe ukojenie. - Co mam zagrać? - spytała znowu.

- Zagraj - kaleka podniósł rękę do góry - „Nie mam grosza ani domu”.

Viktória oparła brodę na skrzypcach. Na dźwięk muzyki kaleka ożywił się; zaczął się śmiać. Jego głowa na cienkiej szyi kręciła się w prawo i w lewo, jakby miała oderwać się od tułowia, i podrygiwała niczym łeb syczącej tłustej kobry.

- Dobrze? - spytała Viktória.

- Dobrze - śmiał się kaleka. - Dalej, dalej - bełkotał. - Graj! - Nagle znieruchomiał. Znowu podniósł rękę do góry. - Musimy się napić! - krzyknął i wskazał na kredens. Viktória wstała i poszła po palinkę. - Pij! - rozkazał. - Masz kwaśną minę.

- Nie chcę - kobieta usiadła z powrotem na krześle. - Zagram ci i bez palinki.

- Dobrze - powiedział kaleka, kiedy skończyła grać. - Odłóż już teraz skrzypce i chodź, napijemy się.

Jusztika poszła we wrześniu do szkoły. Matka kupiła jej ubranie, zeszyty. Pieniądzy, które dostała od kaleki, starczyło jeszcze na zakup węgla. Zima przyszła wcześniej. Takie mrozy Viktória pamiętała tylko z dzieciństwa. Pewnego ranka musieli wykopać pod progiem tunel, żeby jej ojciec mógł pójść do pracy. Rąbali siekierą zmrożoną ziemię. Na zewnątrz śnieg sięgał aż do okapu. Wyciągali słomę z siennika, żeby jakoś ogrzać dom. Do komórki z drewnem udało im się dostać dopiero koło południa...

Wiosną zaś powietrze było tu tak czyste, że w przedpołudniowym słońcu można było zobaczyć zielonkawo - niebieski łańcuch leżących za granicą Karpat. Vince Regös, starszy o trzy lata od Viktórii, powiedział kiedyś do swej pięcioletniej przyjaciółki:

- Tam, we wnętrzu tych gór, Tatarzy ukryli swoje skarby. Chodź Vikto, wykradniemy je!

Przedostali się na drugą stronę Szamosu i wspięli na sięgającą do nieba górę Csokás. Ale kiedy wyszli z topolowego lasu na otwartą przestrzeń, drogę zastąpiła im straż graniczna. Być może właśnie od tamtej chwili Vince Regös zaczął uważać wszystkich ludzi w mundurach za swoich wrogów. Niedawno plunął w twarz posterunkowemu. Angyalosi wyrzucił go z karczmy, a on plunął mu w twarz. W sądzie powiedzieli, że Vince Regös plunął na policjanta dlatego, że jest „debilem”. Jest „niedorozwinięty umysłowo” z winy swojego pochodzenia. W związku z tym obrońca wyraził wątpliwość, czy człowiek ten ponosi odpowiedzialność za swój czyn i zwrócił się do sądu o odroczenie rozprawy i skierowanie oskarżonego na dodatkowe badania psychiatryczne. Wsadzono Vince do karetki. Ale biegły psychiatra tylko pokręcił głową.

- Nie, nie, Vince Regös nie jest umysłowo chory.

Zgadając się z opinią swojego poprzednika, odpisał sądowi, że Vince Regös nie cierpi i nigdy nie cierpiał na żadną chorobę psychiczną i można go ukarać według uznania. Vince dostał więc sześć miesięcy. Na dwa tygodnie przed terminem wyjścia na wolność spotkało go nowe nieszczęście: jego towarzysz z celi narobił mu dla żartu do buta. Vince nie miał jednak aż tak dużego poczucia humoru i stłukł żartownisia na kwaśne jabłko. Naczelnik próbował z wyrozumiałością odnieść się do całej sprawy. Nie oddał Vince prokuratorowi. Za „czynne znieważenie innego więźnia” wymierzył mu jedynie karę dziesięciu dni karceru. Tylko że Vince nawet tam nie potrafił usiedzieć spokojnie. Był głodny. Ciągle głodny. Uważał, że na obiad dają mu zbyt małe porcje. Kiedy zajrzał do menażki i zobaczył, że znów „chcą go nabrać”, rozgniewany wyrzucił ją przez otwór w drzwiach. Oparzony strażnik klnąc wpadł do celi. Wezwał też na pomoc wydającego obiad pracownika kuchni. Kilka minut później Vince, któremu założono kaftan bezpieczeństwa, krzyczał do przechodzących korytarzem strażników:

- Śmierć komunistom!

Tym razem naczelnik więzienia okazał się mniej wyrozumiały. Oddał Vince sądowi. W czasie rozprawy siwowłósy ławnik o dobrotliwym wyrazie twarzy próbował przyjść mu z pomocą.

- Gdzie słyszał pan ten okropny okrzyk? - spytał Vince Regösa, który już po raz wtóry zasiadał na ławie oskarżonych.

Vince odpowiedział bez chwili namysłu:

- W kinie.

Ławnik pokręcił głową i zadał następne pytanie:

- A wie pan, kto to jest komunista? - Vince, zdziwiony, wzruszył ramionami. Miał tak głupią minę, że na twarzach siedzących za stołem sędziów pojawił się wyraz rozbawienia. - A więc - naciskał ławnik - pana zdaniem, kto to są komuniści?



Rys. Otto Pankok:
Mami grająca na skrzypcach

- Policjanci, strażnicy i żołnierze - wypalił Vince.

Szóstego sierpnia miał wyjść na wolność. Jednak na dzień przed terminem zwolnienia strażnik przyniósł mu pismo z kancelarii więziennej, w którym powiadamiano go, że za „podburzanie“ otrzymał nową karę. Pozostanie w więzieniu aż do maja. Po południu przyszedł do niego sam wychowawca. Kazał mu zabrać rzeczy i wyjść na korytarz. Trochę z nim porozmawiał, a potem zaprowadził do nowej celi, w której drugą pryczę zajmował nauczyciel ze szkoły więziennej. Gdzieś w połowie grudnia współlokator zaczął pouczać Vince:

- Tak więc nie możesz być na święta z rodziną - powiedział mu pewnego dnia po popołudniowym spacerze. - Wypadałoby przynajmniej wysłać im prezent. - I wyjaśnił bardzo zdziwionemu Vince, że każdy więzień ma do tego prawo. - Idź do naczelnika i poproś go, żeby pozwolił ci wysłać do domu trochę pieniędzy. Żona bardzo się ucieszy.

Vince posłuchał rady. Poprosił o rozmowę z naczelnikiem, ale wrócił od niego smutny.

- Nie ma pieniędzy - powiedział nauczycielowi, wzdychając głęboko. Wyjął przystaną mu przez żonę fotografię całej rodziny i tylko patrzył i patrzył. Naczelnik zadzwonił do kasy, ale tam powiedziano mu, że pieniądze, które zarobił skazany o numerze OA 08-32, poszły na opłacenie kosztów sądowych. Zostało jeszcze trzysta forintów, ale będą one potrzebne na opłacenie przejazdu więźnia do domu, kiedy wyjdzie na wolność, lub na trumnę, jeśli przypadkiem umrze. - Nie ma rady! - westchnął znowu Vince. - Nie będzie prezentu. W domu i tak nie wiedzą, co to takiego.

Świąteczny list napisał za to z większą niż zwykle starannością i serdecznością:

Sprzedajcie moje piękne oficerki dostaniecie za nie sześćset forintów mój rumuński kozuszek oddaj w zastaw pani Lótmanné i kup buty i ciepłe palto dla Jusztiki bo idzie ciężka zima a za to co ci zostanie kup kartofli i węgla - Bądź rozsądna i nie chodź więcej po drewno do lasu bo cię złapią i zamkną a dzieci oddadzą do sierocińca - W Nowy Rok weź kochana Vikto skrzypce bo w Tótfalu jest wielu dobrych Węgrów którzy mnie kochają ale że ja jestem teraz tutaj ty zagraj dla nich zamiast mnie żeby dali pieniądze dla moich dzieci - Niech Bóg ma cię w swojej opiece

uważaj na siebie i na dzieci myślę o was twój kochający wierny mąż Vince.

Pani Lótmanné nie chciała wziąć rumuńskiego kozuszka. W zeszłym roku był jeszcze dobry, ale teraz jest już brudny. Nie weźmie go więcej w zastaw. A za piękne oficerki proponowała tylko dwieście forintów i Viktória nie zgodziła się oddać ich za taką cenę. Przyszedłszy do domu, powiesiła je z powrotem na gwoździu obok skrzypiec, i pogrążyła się w rozmyślaniach: gdyby nadal spotykała się z kaleką, miałaby u niego nieograniczony kredyt. Mogłaby pójść do niego w każdej chwili, ale odkąd odkryła, że jest w ciąży, nie chciała nawet o nim myśleć. Ilekroć zaczynała zastanawiać się, co da nazajutrz dzieciom do jedzenia, i liczyć, ile musi zapłacić za chleb, tłuszcz, kartofle i naftę, chwytaly ją dreszcze, a potem nudności i kurcze nóg. Na próżno zbierała całą odwagę, nie miała już siły, by nowym grzechem przypieczętować stary grzech. Raczej umrze tu razem ze swoimi dziećmi, niż znów poprosi kalekę o jałmużnę.

Po wyjściu od pani Lótmanné, skierowała się w stronę domu towarowego. Siedzący nieruchomo w swoim wózku, pilnujący rowerów kaleka ożywił się na jej widok. Zaczął poruszać głową, a jego drżąca twarz wydała się Viktorii żalosa i odrażająca. Rozgoryczona pokazała mu buty Vince.

- Kup je - powiedziała. - Tanio sprzedam.

Kaleka podniósł wzrok na młodą kobietę.

- A co miałbym z nimi zrobić, hę? Włożyć je sobie na głowę? Czy może zatańczyć w nich czardasza?

- Ale to - pokazała mu rumuński kozuszek - mogłoby ci się przydać.

Przez kilka chwil patrzyli na siebie bez słowa. Viktória z czułością złożyła z powrotem kozuszek. Kaleka długo mierzył ją wzrokiem, potem nieoczekiwanie sięgnął do kieszeni i wyjął woreczek z pieniędzmi. Końcem swojej laski dotknął pachwiny stojącej przed nim kobiety.

- Chodźmy - powiedział. - Zawieź mnie do domu!

Viktória zaczerwieniła się. Z twarzą wykrzywioną odrazą i nienawiścią odepchnęła od siebie laskę i w porywie gniewu uderzyła kalekę w twarz.

- Zatrzymaj sobie swoje pieniądze, ty nędzny szcurze. Będę miała dziecko, jestem w ciąży, ale jeśli urodzę kalekę, wbiję ci nóż w serce.

Mężczyzna w pierwszej chwili nie mógł zrozumieć powodu jej wybuchu, ale kiedy dotarł do niego sens jej słów, wykrzyknął:

- O kurwa! Będę miał syna! Co za szczęście! Stój - krzyknął za odchodzącą Viktórią. - Stój, dziewczyno... Stój, kobieto! Nie spiesz się tak!... Dokąd biegniesz, dokąd idziesz?...

Z gorączkowym pośpiechem pchnął koła wózka i ruszył za Viktórią. Kiedy wózek już się rozpedził, kaleka sięgnął do kieszeni i wyciągnął całą garść drobnych monet. Rzucił je do góry i nad jego głową roziskrzyła się prawdziwa fontanna pieniędzy. Po chwili sięgnął do kieszeni po następną garść monet - rzucał tak dopóty, dopóki nie skończyły mu się fillery.

Viktória z płaczem dopadła do pomnika drugiej wojny światowej. Osunęła się na schody i leżąc w cieniu kolumny powiedziała pełnym bólu głosem:

- Vince, Vince! Nie powinnam już dłużej żyć. W moim ciele załęgł się grzech. Jest tu, w moim brzuchu. Pozostał we mnie wbrew mojej duszy. Co stanie się ze mną, kiedy już wrócisz do domu? Nikt mi nie pomoże.

- Ja ci pomogę! - Usłyszała zza kolumny błagalny głos kaleki. - Chciałbym porozmawiać z tobą o dziecku.

- Precz stąd! - Viktória zerwała się ze schodów - Pogryzę cię, jeśli się do mnie zbliżysz! Niech mnie Bóg skarże, jeśli nie pooram ci paznokciami tej paskudnej gęby.

- Dlaczego się na mnie gniewasz? Poczekaj, porozmawiajmy! - błagał znów kaleka. - Słyszysz, poczekaj, nie odchodź!...

- Daj mi spokój! - krzyknęła kobieta. - Prędzej umrę, niż jeszcze kiedyś odezwę się do ciebie.

Viktória całymi nocami rozmyślała o tym, jak bardzo jest niezaradna i przeklinała własne niedołęstwo. Bo nieźle ją nastraszyli, niech ich piekło pochłonie! Poszłaby kraść, mogłaby okraść nawet samego Boga. Nie ulękłaby się i wtedy, gdyby na drodze stanęły jej syczące węże. Ukradłaby wszystko, co tylko by się dało, na pewno by ukradła, gdyby nie bała się tak bardzo więzienia. Ale o tym nawet strach myśleć. Zamknęliby ją! Co stałoby się wtedy z jej biednymi dziećmi, z tą gromadą małych nicponi? Na pewno zawieźliby je do sierocińca...

Jusztika jest już dużą dziewczynką. Urosły jej już piersi, a piękne, czarne brwi stały się gęstsze. Za kilka lat będzie kobietą. Synek, mały Vince, w przyszłym roku idzie do szkoły. Tych dwoje na pewno pamiętałoby matkę. Ale młodsze dziewczynki zapomniałyby ją, zanim wyszłaby na wolność. Tego Viktória by nie przeżyła. A co z dzieckiem, które będzie miała z kaleką - nie z Vince, chociaż myśli o nim tak, jakby to Vince był jego ojcem. Będzie musiało przyjść na świat w więzieniu, a dzieci, które się tam rodzą, są przeklęte na wieki.

- Wielki Boże - myślała pewnego wieczoru - nieźle to sobie wykombinowałeś. Stworzyłeś świat na swoją chwałę, ale zapomniałeś stworzyć drugi, gdzie człowiek mógłby się schronić, gdy będzie już miał zupełnie dość twojego świata.

Nie zniechęciła się tym, że pani Lótmanné nie chciała wziąć rumuńskiego kozuszka. W tydzień później znów zjawiła się przed jej domem. Był chłodny deszczowy dzień. Gruba kobieta otworzyła drzwi, ale nie zaprosiła jej do środka.

- Uszanowanie wielmożnej pani! - zaczęła, skłoniwszy się lekko, Viktória. - Przyszłam znowu, bo a nuż dziś zechce mi pani dać maleńką pożyczkę. Bardzo by mi się przydała.

Pani Lótmanné pokręciła głową.

- Moja kochana, te ubrania nie są nic warte. Nie miałabym z nich żadnego pożytku.

- To niech mi pani pomoże bez pożytku! - błagała Viktória.

- Tak nie można, moje dziecko. - Gruba kobieta znów pokręciła głową. - Bo jakby na to nie spojrzeć, dziś świat jest taki, jaki nigdy jeszcze nie był. Gdyby twój mąż żył uczciwie jak inni ludzie, nie siedzieliby teraz w więzieniu. Pracowalibyście i przynosilibyście do domu pieniądze. Bylibyście szczęśliwi.

- Mogę coś uprać, droga, piękna, wielmożna pani - prosiła Viktória. - Zrobię wszystko, co pani rozkaże, tylko proszę dać mi jakąś pracę.

- Jesteście darmozjady - pani Lótmanné próbowała spojrzeć w oczy błagającej o pracę kobiecie. - A moglibyście żyć pięknie, uczciwie.

- Utuczę pani gęś na Boże Narodzenie.

- Sparszywiłaby w twoich rękach.

- To pozamiatam podwórze. Wytrzepię dywan.

- Mamy odkurzacz - odrzekła pani Lótmanné. Odwróciła się i zniknęła na chwilę w głębi domu. Wkrótce wróciła z kubkiem gęsiego smalcu i kilkoma kartoflami. Położyła to wszystko przed progiem i nazywając Viktórię „córeczką“, pokazała jej stojący na końcu podwórza wychodek.

- Czyść go codziennie - rzekła, a potem zaprosiła Viktórię do domu. - No, chodź, chodź! - powiedziała, widząc, że kobieta się waha. - Chyba mogę coś dla was zrobić. Nie bój się, nie umrzecie z głodu. - Zaprowadziła Viktórię do pokoju za kuchnią. Pokój był przestronny, ale w powietrzu unosił się zapach stęchlizny. Na środku stało wysokie, brązowe łóżko, na którym piętrzył się

stos poduszek. Leżała w nim nieruchomo, przykryta ogromną pierzyną, blada, koścista staruszka. Tylko jej oczy biegały na wszystkie strony. Kiedy zaś zobaczyła wchodzącą Viktorię, głowa zaczęła się jej trząść, a z gardła wydobyły się charczące dźwięki. - Przedstawiam ci babcię Johannę - powiedziała pani Lótmanné, stając w nogach łóżka. - Uważaj na nią bardzo, kochanie! Babcia Johanna jest ogromnie delikatna.

Viktoria bez namysłu podeszła do łóżka. Poprawiła starej kobiecie poduszki i wilgotną, prześlakniętą kwaśnym zapachem pierzynę, potem usiadła na stojącym obok krześle. Przez długie godziny nie spuszczała wzroku z umierającej kobiety.

Pod koniec listopada przywieziono kupiony za pieniądze kaleki węgiel. A czwartego grudnia o świcie zmarła teściowa pani Lótmanné. Kiedy Viktoria zapukała rano do drzwi, gruba kobieta przywitała ją słowami:

- Nie przychodź już więcej, dziecko. Twoja babcia Johanna przeniosła się w nocy na tamten świat. Opuściła nas.

Viktoria nie powiedziała ani słowa na tę druzgocącą wiadomość. Wracając do domu myślała o Vince. Dlaczego go nie ułaskawili? Mówili, że w listopadzie będzie amnestia. Adwokat też twierdził, że na jesień puszczą wszystkich do domu. Myślała o Radzie Kobiet, która sprzeciwiła się wnioskowi Zgromadzenia Narodowego. Dlaczego? Czy one nie mają mężów? Nie mają dzieci? Dlaczego się sprzeciwiają? Przecież i na nie może kiedyś spaść nieszczęście. Więzienie nie wybiera.

W połowie grudnia zobaczyła idącego po przeciwnej stronie ulicy adwokata. Podbiegła do niego, drżąc ze zdenerwowania. Adwokat szedł szybkim krokiem, ledwo mogła za nim nadążyć. Nie widziała jego twarzy, tylko szerokie, okryte czarnym płaszczem plecy.

- Panie mecenasie! Drogi panie mecenasie! Niech się pan na chwilę zatrzyma. Proszę mi powiedzieć, co to jest ta Rada Kobiet. Dlaczego się nie zgadza, żeby więźniowie wrócili do domu?

- Daj mi spokój, kobieto! - odpowiedział adwokat z irytacją w głosie. Przez chwilę wydawało się, że chce się zatrzymać, ale potem jakby się rozmyślił i przyspieszył kroku. - Nie ma czegoś takiego jak Rada Kobiet. Wszystko to plotki. Całą tę historię wymyślili głupi więźniowie. Rada Kobiet nie ma w tym kraju żadnej władzy. Ale uspokój się, będzie amnestia. Na Boże Narodzenie otworzą więzienia. Zresztą - tu zwrócił ku Viktorii swoją młodzieńczą, wypielęgnowaną, uduchowioną twarz - nie ma co tak rozpaczać. Dziś już więzienia nie są takie straszne.

Słyszając te słowa Viktoria zatrzymała się. Zagryzła wargi, a potem zawołała za oddalającym się adwokatem:

- Więzienie to więzienie, panie mecenasie. Nawet gdyby w jego bramie stali aniołowie.

Dwudziestego czwartego grudnia poszła przez zaśnieżone pola na stację, ale wśród tych, którzy przyjechali południowym pociągiem, nie znalazła Vince. Podeszedł do niej listonosz z paczką gazet pod pachą.

- Byłem już u was - powiedział. - Mam dla ciebie list.

Viktoria wybuchnęła płaczem i wyrwała kopertę z rąk listonosza.

- Cały czas byłem w domu - powiedziała, całując list. - Nie wyszłam nawet na pół godziny.

- Czemu go całujesz? - Listonosz pokręcił głową. - To pismo urzędowe. Z sądu.

- Nieprawda! - Viktoria zdenerwowana machała listem. - Niech pan nie żartuje.

- Przypatrz się dobrze, jeśli mi nie wierzysz. Mam ci przeczytać?

- Nie! Sama umiem czytać.

Listonosz rozerwał kopertę i przebiegł oczami treść listu.

- Wraca! Prawda, że wraca? - pytała niecierpliwie Viktória.

- Tu jest napisane - pokręcił głową listonosz - że otrzymał nową karę. Coś tam przeszkrobał w więzieniu. Dostał sześć miesięcy.

- Nieprawda! - krzyknęła Viktória, tupiąc nogami. - Co złego można zrobić w więzieniu? Nieprawda! - Wyrwała pismo listonoszowi i uciekła. Zatrzymała się dopiero na głównym placu, przed wysokim, ogrodzonym żelaznym płotem domem. Zobaczywszy, że brama jest otwarta, weszła na podwórko. Ale drzwi werandy były zamknięte. Viktória podeszła do okna i zapukała.

- Panie mecenasie! Panie mecenasie! Stało się nieszczęście. Niech pan wyjdzie, drogi panie adwokacie, niech pan wyjdzie, mam ogromny kłopot!...

Nikt nie odpowiedział na jej błagalne wołanie. Zapłakana, zrozpaczona i przemarznięta ruszyła do domu. Wieczorem zebrała wokół siebie dzieci: Jusztikę, małego Vince, Amálię i najmłodszą Julikę. Kiedy zasiedli wszyscy do stołu, spytała, usiłując nadać głosowi wesole brzmienie:

- Czy wiecie, jaki dziś jest dzień?

Jusztika i Vince odpowiedzieli bez chwili wahania:

- Wiemy! Wigilia!

- Właśnie - westchnęła Viktória. - I to wyjątkowa Wigilia. Dziś mija równo tysiąc lat od narodzin małego Jezusa. Przychodzi do nas każdego roku, bo jest królem biedaków. Zaśpiewajmy.

I dzieci zaczęły śpiewać. Kilka godzin śpiewały wraz z Viktórią najpiękniejsze kolędy, a na końcu tę:

*Do kowala domu
przyszła, jak wieść głosi,
Święta Maria Panna,
by o nocleg prosić.*

*Witaj, cny kowalu!
Zechciej mnie ugościć.
Nie mogę, nie mogę,
bo mam dużo gości.*

*O dwunastej w nocy
przyszło na świat Dziecię.
Dwunastu Mu aniołów
wianek z pereł plecie.*

*I widzisz, kowalu,
gościny nie dałeś,
wykuć sobie szczęścia
wielkiego nie chciałeś*

*Gdybym to ja wiedział,
że to Panna Święta,
dałbym Jej postanie
w złocie i diamentach.*



Rys. Otto Pankok: Niemowlę

Śpiewali tak do późnego wieczora, a śpiewając zapomnieli i o wigilijnej wieczerzy, i o tym wszystkim, czego brakowało tego dnia w ich domu,

Blacha na kuchennym piecu aż żarzyła się od gorąca. W pokoju było tak ciepło, że okno zaszło mgłą. Po szybie biegły w dół perełki skroplonej pary. Viktória dołożyła jeszcze do ognia - musi dobrze nagrzać na noc pokój. Strasznie mroźny jest ten ostatni dzień roku, kto wie, ile zamrzniętych sikorek spadnie do rana z okapu na śnieg, na zlodowaciałą ziemię.

Wyjęła z szuflady dużą flanelową szmatę; skrzypce też nie znoszą mrozu. Jeśli ich czymś nie okryje, umrą z zimna. Rozpadną się. Struny jękną niczym pękający lód i zerwą się z trzaskiem. Viktória nie po raz pierwszy szła grać do sąsiednich wiosek. W święta wszyscy chętnie przyjmują nocnych muzykantów, którzy za kilka groszy grają dla nich na swoich instrumentach i pokornym głosem życzą im szczęścia. Tutejsi ludzie mają we krwi i w duszy wielki szacunek dla świąt, a zwłaszcza dla tego ostatniego dnia roku, kiedy żegnają i oplakują to, co minęło. Ten dzień jest dla nich jak stypa, ale szczególnego rodzaju: czują niewypowiedziany żal za uciekającym życiem, ale że nie chcą się do tego przyznać, nie chcą o tym mówić, robią wszystko, by nie myśleć o zbliżającej się śmierci: wzbudzają w sobie nadzieję, wiwatują, bawią się, składają sobie życzenia, pocieszają się, że może jutro będzie lepiej, i modlą się: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom...”

Viktória dobrze wiedziała, co czeka ją tej nocy. Ale nie domyślała się, co przeżyje następnego ranka. Dzieci spały już od ponad godziny, kiedy zaczęła się szykować do wyjścia. Włożyła stare, zniszczone ubranie. Kalosze owinęła resztkami wełnianych szmat i kawałkami grubego szarego płótna - na dworze był taki mróz, że gdyby tego nie zrobiła, nogi natychmiast skostniałyby jej z zimna w cienkich gumowych butach. Po cóż miałyby się pięknie ubierać? Tutejsi ludzie nawet wolą, żeby ten, kto przychodzi im grać, wyglądał nędzniej niż oni sami. Nie uczesała też swych pięknych, gęstych, czarnych włosów i nie wyjęła wystających z nich kawałków pierza, tylko obwiązała głowę starą, podartą chustką.

„Idziemy żebrać, więc nie strój mi się tak, jakbyś szła na jakiś bal czy wesele” - upominał ją kiedyś Vince.

Biedny Vince! On sam zakładał zawsze tego dnia kapelusz przystrojony wstążkami i starannie odprasowane spodnie. Piękne oficerki musiała mu Viktória czyścić tak długo, póki nie lśniły niczym lustro, i oczy rozbłyskiwały mu gniewem, jeśli znalazł na swojej „budapeszteńskiej” jedwabnej koszuli choćby najmniejsze zagniecenie. Mężczyzna, który idzie grać - mówił Vince - musi wyglądać, jak należy. Kobieta się nie liczy. Ma być taka, jaka jest. Musi tylko pamiętać, żeby jej oczy wyrażały to, o czym mówi muzyka. Jeśli muzyka jest wesoła - ma być wesoła, jeśli jest smutna - w oczach kobiety musi malować się smutek. Ale nigdy strach!...

Viktória wzięła sobie do serca rady Vince i włożyła najbardziej zniszczone, podarte ubranie. Już wcześniej obmyśliła sobie, jakie będzie grać melodie, i wiedziała, kiedy jej twarz powinna wyrażać radość, a kiedy smutek. Jednego tylko się bała - że w żaden sposób nie zdoła ukryć przed rozbawionymi ludźmi czającego się w jej oczach strachu.

Tego dnia przez głośnik zainstalowany na dachu rady narodowej obwieszczono mieszkańcom wsi zatrważającą wiadomość: straszliwy mróz wygnał z lasów wilki, które, zbiwszy się w stada, opuściły pokryte śniegiem zbocza Karpat, przeszły na drugą stronę Szamosu i zbliżyły się do wioski. Tak więc wszyscy muszą się teraz strzec i pamiętać, że noc jest najlepszym sprzymierzeńcem czyhających w ukryciu bestii: niespodziewanie wyłaniają się z mroku i ten, kto spotka się z nimi oko w oko, nie ma szans na ucieczkę!

„Nie idź! - mówiła do siebie Viktória. - Zjedzą cię! Jutro ludzie znajdą w śniegu tylko twoje

buty i kości. Nie idź! Przed mgłą, zimnem, lodem i śniegiem potrafisz się obronić. Ale zbiegłe z górskich lasów, wyjące z głodu wilki nie ulitują się nad twoją niedolą. Biada ci, jeśli spotkasz je na swojej drodze!”

Może jednak - myślała wstępując w nocną ciemność - zdoła jakoś uniknąć niebezpieczeństwa, może jednak wilki ominą ją z daleka. A poza tym - wzruszyła ramionami - zdarzają się przecież i cuda. Prawda, że niesłychanie rzadko. Ale czy cud może zdarzyć się tam, gdzie nikt go nie oczekuje, nikt go nie pragnie? Kraina strachu, nędzy i niedoli nie jest na szczęście bezkresna; jeśli gdzieś miałby się wreszcie wydarzyć cud, to tylko tu, gdzie ludzie już od tak dawna na niego czekają.

Po omacku przeszła po lodzie na drugą stronę Szamosu. Potykając się błądziła we mgle wśród, wznoszących się na kształt gór, lodowych skał i zatorów, które utworzyły się na zamrzniętej rzece. Wypatrywała na pokrytym śniegiem lodzie ludzkich śladów, które pomogłyby jej znaleźć właściwy kierunek, ale wszystko dokoła skrywały ciemności i gęsta mgła. W końcu jednak udało się jej dotrzeć na drugi brzeg i wkrótce ujrzała przeblyskujące w oddali słabe światła wioski. Od ósmej wieczorem do drugiej w nocy chodziła od domu do domu. Nie opuściła ani jednego. Pukała wszędzie tam, gdzie widziała światło lub słyszała odgłosy zabawy. Sprzedawała dobrym ludziom muzykę, a oni hojnie za nią płacili i Viktória była pewna, że zebrane tej nocy pieniądze starczą im na długo, może aż do samej wiosny.

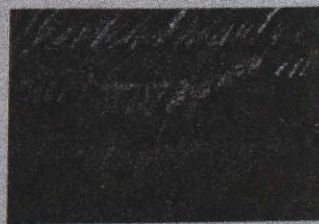
Aby uniknąć ponownego błądzenia wśród piętrzących się na Szamosu lodowych skał, postanowiła wrócić do domu dłuższą, ale, jak sądziła, bezpieczniejszą drogą przez stary most, nazywany nie wiedzieć czemu mostem diabła. Okoliczni mieszkańcy twierdzili - chociaż żaden z nich nie przekonał się o tym na własnej skórze - że na środku mostu mieszka diabeł. Od dawien dawna strzeże tego miejsca

WITRYNA

Béla Osztojkán: *Boga nie ma w domu.*
Przełożyła Ewa Miszewska-Michalewicz.
Warszawa 1990.

(...) utrzymana w nastrojowym tonie ballady opowieść o życiu prowincjonalnym Cyganów. Autor, sam Cygan z pochodzenia, znający doskonale realia tej społeczności, kreśli tu niebanalny, przykuwający uwagę obraz świata widzianego "od wewnątrz" cygańskiej obyczajowości i psychiki, etnicznej tradycji. Tłem akcji stają się tu autentyczne wydarzenia z historii współczesnej Węgier (wyzwolenie kraju, wypadki roku 1956), które z jednej strony przyspieszają procesy asymilacyjne, z drugiej pozostają "próbą ognia" dla tradycyjnych wartości moralnych i etycznych osiadłych Cyganów, próbą racji istnienia ich odrębności kulturowej. (Z noty Wydawcy).

Béla Osztojkán



Boga nie ma w domu

Czytelnik

i zastępuje drogę każdemu, kto chce tędy przejść. Wyszczersza zęby i pyta:

- Skąd przybywasz? Dokąd idziesz? Kim są twoi wrogowie?

Kto odpowie, może iść dalej. Kto nie umie odpowiedzieć, ginie. Ginie, bo diabeł wyciąga ku niemu rozpalone do czerwoności żelazo: rozżarzony żelazny harpun, płonący stalowy rożen i biała temu, czyje ciało przesyje, bo napisane jest na długim pergaminie, że kto nie potrafi udzielić odpowiedzi, ten po siedmiokroć umrze.

Człowiek tylko uśmiecha się, słysząc takie opowieści. Bo któż nie potrafiłby powiedzieć, skąd przybywa, dokąd idzie i kim są jego wrogowie? Sprawa nie jest jednak taka prosta. Jeśli wierzyć mieszkańcom okolicznych wiosek, nie znalazł się jeszcze nikt, kto umiałby odpowiedzieć na te „diabelskie” pytania. Bieg historii sprawił bowiem, że dla żyjących tu ludzi wcale nie jest jasne, skąd przybywają, dokąd idą i kim są ich wrogowie. Ale Viktória - chociaż była bardzo przesądna - nie dawała wiary tym opowieściom. Zbyt dręczyły ją i przytłaczały troski życia, by mogła traktować poważnie przerażające baśnie o czyhających na ludzi diabłach. Kto ma „ziemskie” problemy - mruzczała do siebie wracając do domu - ten nie zaprzęta sobie głowy urojonymi okropnościami. Zwłaszcza, jeśli może za chwilę stanąć oko w oko z wilkiem.

Około czwartej nad ranem dotarła do mostu. Śnieg oblepił jej buty szczelnym pancerzem. Na wymykających się spod chustki włosach osiadły kropelki porannej wilgoci, a gęste brwi pokrywał szron. Nie przelekła się na widok kłębiącej się na moście gęstej mgły. Była już w połowie drogi przez rzekę, kiedy mgła rozwinęła się niespodziewanie i zobaczyła przed sobą wilki. Czworko zwierząt siedziało jedno obok drugiego na śniegu i wsparły się na przednich łapach, niczym zwykle podwórzowe psy, czekało na Viktórię.

- Precz stąd! - krzyknęła. - Wynoście się! - wrzasnęła jeszcze głośniejsze, cofając się i tupiąc nogami. Po chwili jednak znieruchomiła i powiedziała cichym, błagalnym głosem: - Zostaw mnie w spokoju! Dość już mam kłopotów! Na próżno skrywasz się pod postacią dzikich zwierząt, ja się nie poddam. - Wilki poruszyły się. Warcząc i szczerząc zęby zbliżyły się do Viktórii. - Nie podchodźcie! - krzyknęła znów kobieta. Chciała nadać swojemu głosowi gniewny ton, ale zabrzmiało to jak błagalna prośba. - Zejdźcie mi z drogi, muszę iść do domu! - wyciągnęła przed siebie niczym broń owinięte szmatami skrzypce. - Uciekajcie! Wynoście się stąd!

I wtedy nastąpił cud, o którym marzyła już od tak dawna, wierząc, że kiedyś wreszcie przyjdzie jej z pomocą. Niespodziewanie dla samej siebie oparła brodę na skrzypcach, z których zsunęły się chroniące je przed mrozem szmaty. Dźwięki, które wydobywały się z instrumentu, brzmiały jak skrzypienie otwieranych przez duchy niewidzialnych drzwi. Skrzypce trzeszczały i zgrzytały w rękach Viktórii, a potem było już słyszeć tylko świst wiatru jęczącego niczym błakające się po pustkowiu dusze zmarłych.

Kiedy otworzyła oczy, nie zobaczyła już nigdzie wilków. Świtało, gdy dotarła wreszcie do domu. W środku było zimno jak w kostnicy: na pokrytych szronem szybach mróz namalował białe kwiaty. Viktória szybko zdjęła buty i podeszła do łóżka. Usiadła obok dzieci, które spały przytulone jedno do drugiego. Najmniejsza, Julika, leżała oddzielnie: starsze wypchnęły ją we śnie spod pierzyny. Jej nieruchomą twarzyczkę pokrywały sinoszare plamy. Papierowy rożek, z którego piła poprzedniego wieczora herbatę, leżał obok niej na prześcieradle.

Viktória długo patrzyła na twarz zmarłej dziewczynki, potem uśmiechnęła się. Minął stary rok. Nadszedł nowy; teraz już wszystko będzie dobrze! Za pięć miesięcy wróci do domu Vince. Może zdoła pokochać obce dziecko. Malec kopie już coraz mocniej.

Wstała. Podeszła do okna. Zaczęła chuchać na szybę i zdrapywać pokrywający ją szron. Od jej oddechu rozsunęła się lodowa zasłona i Viktória ujrzała przed sobą skrzący się bielą pierwszy

dzień roku. Widziała plac targowy, cmentarz, krzyże i szosę, widziała cały stworzony przez Boga świat, do którego teraz już nie czuła gniewu. Próbowała otworzyć usta, żeby pozdrowić go, życzyć mu szczęśliwego nowego roku - ale nie mogła. Nagle poczuła ciepło spływającego jej po udach moczu. Takiego ukojenia człowiek może doznać chyba tylko we śnie.



Rys. Otto Pankok: *Zasypiające dziecko*

Béla Osztoján, węgierski poeta i prozaik, Cygan z pochodzenia, urodził się w 1948 roku. Jest działaczem organizacji romskich na Węgrzech oraz redaktorem naczelnym romskiego miesięcznika "Pralpe". Mieszka w Budapeszcie.

DRAMAT

TERESA
LUBKIEWICZ -
-URBANOWICZ

MAŁANKA

(sztuka w trzech odsłonach)

ODSŁONA II *

Izba taka sama, jak na początku aktu, tylko kobiety inne. Tak samo stare, tak samo ubrane, ale grają siebie z młodości. Panienska siedzi przy stole i je z miski. Po drugiej stronie stołu kobieta też je, siedzi niżej. Jest podniecona, radosna. Miesza bezmyślnie łyżką w misce. Wyraźnie nie ma apetytu. A jednak mimo tych oznak młodości, staruszki co jakiś czas wyraźnie niedołążnieją, nieruchomieją. Najmłodsze są wspomnienia młodości: młody mężczyzna, który przychodzi; stroje, które wyciągają z kufra.

PANIENKA Coś nie ma apetytu? Może prząsnego chce?

KOBIETA Dobre i kwaśne...

PANIENKA Świętej pamięci dziadek Wasiukiewicz, jak parobków najmował, to do miski ich sadzał. Mówił jak jedzą, tak i pracować będą. Przeważnie się mylił.

KOBIETA (gorliwie) Ja zaraz, panienska się nie martwi, zjem i jeszcze miskę wyliżę...

PANIENKA Niedawno jadła, jak potrzeba. (ze skargą) Tyle lat ktoś słoninę odcina, niepostrzeżenie, kawałek po kawałku...

KOBIETA Ja nie wiem...

PANIENKA Marchew wyciąga...

KOBIETA Do Matki Boskiej Zielnej nigdy nie tknęłam! Dalibóg! Niepoświęconego nie ruszałam...

PANIENKA Dziś Matki Boskiej Zielnej.

KOBIETA Boże mój! Muszę się spieszyć! Już słońce wysoko! (mówi młodo, gorąco, ale nie zrywa się z miejsca, ruchy ma powolne)

PANIENKA Zdąży kobieta. Najwyżej poczeka. Mężczyzna powinien czekać. Ciotki Anusi narzeczony czekał na nią całe życie, a i po śmierci. Niech weźmie sobie jeszcze kwaśnego... Tak najlepiej jeść. Zacierkę i barszcz...

KOBIETA Całe życie...

PANIENKA Co?

KOBIETA Całe życie to jem...

PANIENKA Bardzo słusznie. Dlatego żyje statecznie, po bożemu. Soki w organizmie wyrównują się, namiętność na mózg nie pada... (obserwuje kobietę) Jeszcze niedawno aż po brodzie ciekło, a dziś do gęby nie lezie...

KOBIETA To przejdzie.

PANIENKA Wszystko przechodzi. I tak kobiecie brzuch urósł.

KOBIETA (zmieszana jak młoda dziewczyna)

Panienska, to nie od tego.

PANIENKA Kto tam wie, co w niej siedzi...

KOBIETA *(ruchy ma młode, szybkie. Zrywa się od stołu)* Boże mój! Jak słońce wysoko! Żeby choć zdążyć!

PANIENKA Dokąd to?

KOBIETA Przecież panienska wie!

PANIENKA Czekaj, bo zapomniałam...

KOBIETA Boże! Dziś Matki Boskiej Zielnej! Najważniejszy dzień w moim życiu! Trzeba szykować się! *(zaczyna krzątać się po izbie pośpiesznie. Znajduje kawałek lustra, opiera go na stole o miskę. Przegląda się w lusterku. Zachowuje się jak niecierpliwa, młoda dziewczyna)*

PANIENKA Nie uchodzi tak dziewczynie lecieć jak podsmalonej. Trzeba mieć trochę dumy. Czystość to jedyne wiano młodej dziewczyny. Trzeba jej strzec jak oka w głowie.

KOBIETA Panienska! A żeby tak włosy na bok szesać? Może lepiej?

PANIENKA Cóż to tobie pomoże...

KOBIETA Albo z przedziałkiem?

PANIENKA Tak czy siak bez wianeczka.

KOBIETA Może tak bardziej uchodzi?

PANIENKA Ettt!

KOBIETA *(śpiewa młodym głosem)* Mój kochaneczek koniki poi, a ja w okienku ubrana stoję. Mój kochaneczek gościńcem spieszy, a ja w okienku warkocze czeszę... Mój kochaneczek w gaiku staje, a ja mu ręką całuska daję...

PANIENKA Lepiej by świniom dała, koryta gryzą!

KOBIETA Już nakarmione.

PANIENKA Widać nie za bardzo. Ich raz na całe życie nie nakarmisz.

KOBIETA Już tyle razy dawałam! A jakby tak całkiem rozpleść? *(rozplata starczy koczek)*

PANIENKA Włosami brzucha nie przykryjesz!

KOBIETA On zna mój brzuch.

PANIENKA Pewnie. On wie o wszystkim, o najmniejszym żuczku. Przed nim się nie schowasz. Nigdzie.

KOBIETA Waclaw wie o mnie.

PANIENKA Waclaw! Nie grzesz ty Bogu!

KOBIETA Ja o nim mówiłam. Panienska, a tak

ładnie? *(pokazuje jej rozpuszczone kosmyczki)*

PANIENKA Ni pies ni wydra.

KOBIETA *(śmieje się)* Młodej twarzy i garnek do twarzy.

PANIENKA Wystarczy, że garnek przed sobą nosisz.

KOBIETA Rośnie mój hołubczyk! W lesie zakrzyczy! W polu zatańczy! W kościele najwyższy będzie. Kukułeczka, zięziuleńka...

PANIENKA Kukał, kukał, aż wykukał! Tylko nie wiadomo, czy Wacuka czy Franuka?!

KOBIETA Panienska, nie trzeba tak mówić. Cieszyć się lepiej.

PANIENKA Ja z tobą?

KOBIETA Dlaczego nie?

PANIENKA Panienski cieszą się z czego innego, a z czego innego służące.

KOBIETA Ot, jak na tym świecie.

PANIENKA Tak jest od Boga ustalone.

KOBIETA Sen taki miałam wczoraj przedziwny, aż jeszcze dreszcz przenika. Jadę ja z Waclawem do ślubu, jak jaka pani, sukienka na mnie biała, welon, a tu jakby w bryczce przy nogach kura na jajkach siedzi i kodkodacze. Waclaw mówi, nie rusz ty jej, niech siedzi, ale myślę, co tam jajka podbiore. Ja za kurę, podnoszę, a tu jajka pod nią zięziulaste, przedziwne. Patrzę ja bliżej, a tu w każdym jajeczku w środku wij siedzi czarny. Serce tak ścisnęło strachem, że aż obudziłam się.

PANIENKA Sen mara, Bóg wiara. Trzeba odwrotnie tłumaczyć.

KOBIETA Panienska poszłaby z nami do kościoła na fest, a nie tak siedzieć jak borsuk w jamie. Przecież młoda. Trzeba do ludzi garnąć się.

PANIENKA Panienski takiego czegoś nie potrzebują.

KOBIETA *(ze śmiechem)* Znaczy, że panienskom nudno!

PANIENKA To ich sprawa.

KOBIETA *(przeglądając się w lusterku)* Całkiem rozpuścić też nie najlepiej. Jeszcze palcami wytkną. *(pokazuje, jak przechodzi przez kościół pełen ludzi)* O, powiedzą, patrzajcie! Któż to taki?! Nie widzi, że to Walunia, służąca panienski? Patrzajcie, jak puszy się! Widzicie jaka kurnosa finfa!

Nędzarka ta! Kalikatura! (*ogłąda siebie*) Bluzka przetarta, spódnica przenicowana na tyłku prześwituje, pantofle wykrzywione do niemożliwości. (*po chwili inaczej gra*) Chyłkiem, boczkiem, miedzami do zakrystii pójdę. Chustkę na twarz nasunę, zgarbię się, zmaleję. (*jaśniej cała, jej dalsze słowa są niby pokorne, ale sposób poruszania się promieniający*) Ludzie, przepuście mnie do zakrystii, na zapowiedzi idziemy dawać! Przepuście mnie grzeszną i mojego najpiękniejszego grzesznika Waclawa... Niech będzie pochwalony... Przepuście mnie niegodną i mojego najgodniejszego Waclawa... na wieki wieków amen... przepuście mnie nędzną i mojego dostojnego Waclawa...

PANIENKA Tak się mówi o Bogu.

KOBIETA On daleko.

PANIENKA Wysłuchuje każdą mrówkę.

KOBIETA Mnie nie słyszy.

PANIENKA Nawet motylkowi skrzydła prostuje.

KOBIETA Na wysokości siedzi.

PANIENKA Muszkami rządzi i królami.

KOBIETA Mną nie. Boże! Późno już!

PANIENKA Masz czas. Gorąca Zielna tego roku...

KOBIETA Żeby choć burzy nie było. (*radośnie*) Panienska, ja dziś taka silna jestem, że nie opowiedzieć! Mogę panienkę na rękach nosić! Chce? (*chwytając panienkę, ta broni się. Kobieta podnosi ją do góry, stawia ostrożnie, śmiejąc się, radosna*)

PANIENKA Pogniotłaś mi sukienkę.

KOBIETA Z prawdziwego jedwabiu?

PANIENKA Ma się rozumieć. (*panienka ma oczywiście na sobie tak samo nędzne szmaty jak miała na początku*)

KOBIETA Z koroneczkami jak śmietana?

PANIENKA Tak się nosi.

KOBIETA A ja?

PANIENKA Co ty?

KOBIETA Ja tak nie noszę?

PANIENKA Służące czegoś takiego nie nakładają.

KOBIETA (*śpiewa*) Powiedz mi, królu, powiedz wspaniały, czy ty inaczej rodzony? Ja w akсамitach, ja w miękkim puchu, a ty na słomie

kładziony. Powiedz mi, królu, powiedz wspaniały, czy ty inaczej karmiony? Ja marcepanem, ja słodką bułką, a ty i głodem morzony... (*śmieje się*) Panienska! Panienska o tym pewnie nigdy nie myśli o czym ja? Chleb łamię, myślę, szczaw zbieram, myślę, różaniec odmawiam, myślę...

PANIENKA Kury macasz, myślisz, po tyłku się drapiesz, myślisz.

KOBIETA Ja mogę paniencie tego trochę odstąpić, chce?

PANIENKA Czego?

KOBIETA Tej myśli. Chce?

PANIENKA Nikt kobiety o to nie prosi.

KOBIETA Mam tego tak dużo.

PANIENKA (*z pasją*) Nie potrzebuję!

KOBIETA Czy tak będzie przez całe życie, zawsze? Rano tak lekko. Ręce, nogi jak skrzydła...

PANIENKA W szóstym miesiącu już tak nie będzie.

KOBIETA Ja bym... ja bym... chciała panienkę polubić!

PANIENKA Obejdzie się.

KOBIETA Doprawdy byłoby dobrze.

PANIENKA Obojętnie.

KOBIETA Kiedyś śniłam, panienska siedzi w kącie, deskami zabita, ziemią przywalona, pajęczyną zasnuta, straszna!

PANIENKA Chcesz stąd odejść?

KOBIETA Każdy by chciał.

PANIENKA Nikt ciebie gwałtem nie trzyma. Proszę bardzo.

KOBIETA Przejść przez próg, zamknąć drzwi od sieni, potem drogą koło łąki, przez olszynę, na prostki...

PANIENKA Pójdiesz tak jak stoisz?

KOBIETA Dobrze byłoby jeszcze trochę dorobić się.

PANIENKA Poczeka! (*idzie do kufra, otwiera go z wielkiej kłódki, wyrzuca po kolei różne sukienki - kolorowe, świecące się, piękne. Wybiera z tego stosu jeden stroik, niesie go kobiecie. Teraz w tej scenie i panienska jest młoda, żywa, przejęta. Kobieta na widok bluzki w rękach panienski odskakuje przerażona*)

KOBIETA Co to jest?

PANIENKA Bluzka dla ciebie. Będzie w sam raz.

KOBIETA Dla mnie?

PANIENKA Dziś twoje zapowiedzi. Przymierz!
(nakłada bluzkę na stare ubranie kobiety, obie oglądają wystrojoną)

KOBIETA (zachwycona) To niemożliwe takie coś! Ja nie wierzę!

PANIENKA Masz przecież już ją na sobie.

KOBIETA Jak mi w niej?

PANIENKA Na ogół dobrze, ale może ten kolor trochę za jaskrawy. Może coś innego...

KOBIETA Nie potrzeba. Tak pięknie.

PANIENKA Może być jeszcze ładniej. (wyszukują w stosie szmatek) A jakby tak niebieską?

KOBIETA Niebieską?

PANIENKA Do koloru oczu. (przymierza) Też dobrze leży. Może tu trochę na bokach zebrać... Która ci się bardziej podoba?

KOBIETA (pokazując na tę, którą już zdjęła) Tamta!

PANIENKA Ja ci powiem, że po mojemu najlepsza jednak byłaby różowa...

KOBIETA Różowa?!

PANIENKA Dlaczego mamy nie zmierzyć. Może bardziej brzuch przykryje. (idzie znów do taszków, wyciąga coś, przymierza).

KOBIETA Co to za rękawy?

PANIENKA Bufiaste.

KOBIETA (podśpiewuje) Bufiaste, bufiaste... (śpiewa, kryguje się przed lusterkim) Gołębaczku, kochaneczku gdzie ty pijesz wodę? Ze źródelka zielonego pod jaworem młodym. Gołębaczku, kochaneczku, gdzie ty czyścisz piórka? U Waluni, u młodej, koło jej podwórka... Panienska! A gdzie spódnica?

PANIENKA Będzie i spódnica. (idzie do kufra, niesie jakiś taszek. Zdejmuje z dziewczyny bluzkę. Tamta patrzy na to z żalem. Panienska odnosi bluzkę do kufra. Przynosi inną, najmniej strojną, ale kobieta i na to patrzy z zachwytem. Stoi ubrana)

KOBIETA Panienska! A korale?!

PANIENKA Jakie korale?

KOBIETA Dla mnie.

PANIENKA Spóźnisz się.

KOBIETA Nie! Chcę korali!

PANIENKA (idzie do kufra, przynosi czarny skręcony z węzłami sznurek) Masz!

KOBIETA (przeżona) Jak czarny bicz!

PANIENKA Pochyl głowę. (kobieta chyli się, panienska zakłada jej na szyję sznurek. Owija jej szyję ciasno)

KOBIETA Ciśnie.

PANIENKA Takie najmodniejsze.

KOBIETA Skręcone jak wierówka!

PANIENKA Takie się nosi.

KOBIETA Aż dławi.

PANIENKA Trudno. Cierp ciało, kiedy się chciało.

KOBIETA Niewygodnie.

PANIENKA Przyzwyczaj się.

KOBIETA Nie mogę odetchnąć.

PANIENKA Przesada.

KOBIETA Panienska tak noszą?

PANIENKA Dzień w dzień.

KOBIETA Być może... być może... mają inną szyję.

PANIENKA Taką samą.

KOBIETA Przecież mówiła?

PANIENKA Co?

KOBIETA Że ma inną.

PANIENKA (podaje jej lusterko) Przejrzyj się.

KOBIETA Boże!

PANIENKA Pięknie wyglądasz!

KOBIETA Doprawdy?

PANIENKA Tak. (śpiewa) Na dzikim Dunaju łabędzie pływają, zapowiedzi wyszły, ksiądz ślubu nie daje. Porąbać, posiekać łabędziowe skrzydła. Przez ludzkie języki nam kochanie zbrzydło.

KOBIETA Kiedy to zdejmę?!

PANIENKA Jak wrócisz z kościoła.

KOBIETA Po zapowiedziach?

PANIENKA Po zapowiedziach.

KOBIETA A pantofle?! W takich zdartych nie pójdę!

PANIENKA (idzie do kufra, szuka, przynosi wysokie pantofelki, kobieta wyrwa jej z rąk, wbija na nogi, widać, że ciasne) Za ciasne?

KOBIETA W sam raz.

PANIENKA Widzę, że nie bardzo... Może inne

będą pasowały?

KOBIETA Nie. Nie trzeba. Te jak ułał. No jak ja wyglądam? (*robi wejście do kościoła, przejście przez szpaler ludzi*) Tak przez kościół idę! Jeden drugiego szturcha w bok, patrza szepce, a któż to taki?! Cóż to za pani?! Ale ubrana! Toż Walunia, służąca panienki! Nie może być! Patrzajcie! Na zapowiedzi z Waclawem dają. Z jakim to Waclawem? Walukiewiczem zza Wersoczki, gospodarzem! Dajcie spokój, co za para! (*teraz udaje głos księdza i odpowiedzi Waclawa*) Waclawie, czy chcesz poślubić panienkę Walunię z Paszyszek? Chcę. Mocno. Mocno. Z całego serca i ze wszystkich sił swoich? Z całego serca i ze wszystkich sił swoich. Będziesz ją szanował? Będę. Czcił? Będę. W sadzie na miedzy, pod gruszką, między grządkami? Wszędzie tam i jeszcze na morzu, na pustyni, na górach wysokich. Amen.

Patrzajcie, ludzie! Jak ją na rękach nosi! Kamyczki spod nówek zamiata. Módlcie się. Wierzę w Boga Ojca Wszchemogącego, Stworzyciela nieba i ziemi i mojego Waclawa, amen. Zdrowaś Maryjo, łaskiś pełna, Pan z Tobą, błogosławionaś Ty między nami wielkimi teraz i w godzinę kochania naszego. Waclawie mój, któryś jest na ziemi, święć się imię twoje, przyjdź królestwo twoje, bądź wola twoja...

PANIENKA Chciała dusza do rajy, ale buty coś nie puszcza!

KOBIETA Przyzwyczaję się.

PANIENKA Jak bocian na balu. A gdzież ten Waclaw przenajświętszy?

KOBIETA (*przytomniejąc, zwyczajnie*) Przed kościołem czeka. Tak było umówione.

PANIENKA Dawno już ani śladu. (*głośno podśpiewuje*) Ja do Kazi, nie ma Kazi, na przypiecku skwarki smaży. Ja do Kazi na kominek a po Kazi tylko dymek...

KOBIETA Panienka! Czym ja się za to wszystko wywdzięczę?

PANIENKA Uczciwą pracą.

KOBIETA Jak to?

PANIENKA Nie słyszysz? Uczciwą pracą.

KOBIETA Ja na swoim będę. My z Waclawem będziemy żyli.

PANIENKA Proszę bardzo, czemu nie. Tylko, że

jeszcze nic konkretnie nie wiadomo.

KOBIETA Wszystko wiadomo! Wszystko!

PANIENKA Czasem i spod ołtarza uciekają. Raz słyszałam, że już jeden tak zaczął mówić, ale tylko ta... powiedział i uciekł.

KOBIETA To od panienki. Po sakramencie uciekł. Podobno nawet tygodnia nie wysiedział. Biedna panienka była, nie ma co. Noc w noc podobnie on do sadu wybiegał w podartej koszuli i wracał a na czwartą konia zaprzął i do kościoła pojechał. Trzy godziny krzyżem leżał i Bogu dziękował. Za co, nie wiadomo.

PANIENKA (*dotknięta do żywego. Młoda w tym gniewie*) Nieprawda! Bzdury! Parsiuca pojechał targować i stało się coś złego.

KOBIETA Panienka mileńka, od kiedy to do Naczy po parsiuka jeżdżą? Tam tylko kościół jest.

PANIENKA Na rynku był!

KOBIETA Biedna panienka! Sienkiewiczze widzieli, jak płakał...

PANIENKA (*gorąco*) Gdzie płakał?

KOBIETA Przed kościołem.

PANIENKA Mówiła: rzewnymi łzami? (*po dłuższej chwili bardzo przejęta*) Tak kobieta mówiła?

KOBIETA Rzewnymi, radosnymi łzami.

PANIENKA Rzewnymi, radosnymi łzami. Znaczy z radości! (*długa chwila milczenia*)

KOBIETA Już późno! Jak ja dobiegnę?!

PANIENKA (*podnosi głowę*) Gdzie?

KOBIETA Jak: gdzie?! Do kościoła! Na fest!

PANIENKA (*patrzy na nią, jakby widziała ją po raz pierwszy. Tamta oglupiała też ogląda siebie uważnie*) Hi, hi, hi!

KOBIETA Co takiego?

PANIENKA Jak ty wyglądasz?

KOBIETA Jak?

PANIENKA Jak dupa wielbłąda!

KOBIETA Przecież pięknie. Jak panienka.

PANIENKA Dajcie spokój. Takiej panienki jeszcze na świecie nie było.

KOBIETA Jestem wystrojona...

PANIENKA To co? Myślisz, że jak falbanki napuszysz, to spaniejesz! Spójrz na siebie! Tak z boku popatrz!

KOBIETA Patrzę...

PANIENKA Popatrz na nogi!
 KOBIETA Od mrozu posiekane.
 PANIENKA Grube jak kłódki, pantofle rozpie-
 rają! Komedia!
 KOBIETA Było ładnie...
 PANIENKA Co było a nie jest, nie pisze się w re-
 jestr.
 KOBIETA Może pantofle zmienić?!
 PANIENKA Pantofle zmienić! Nie na tym rzecz
 polega. Popatrz na swój brzuch! Ilu nad nim pra-
 cowało?! Sterczy jak chorągiew!
 KOBIETA Panienska...
 PANIENKA Co jak ta krowa buczy! W kościele
 to musi szpaler specjalnie zrobić, żeby przeszła z baj-
 strukiem! *(pokazuje)* Miejsce dla kukulki, co na
 każdym drzewie kuka! Miejsce! Rozstąpcie się
 ludzie! Dziesięciu ją prowadzi na zapowiedzi, ale
 tylko jeden do kościoła doszedł!
 KOBIETA *(załamana tym wybuchem)* Boże...
 PANIENKA Idź! Czegóż stoisz jak wmurowana!
 Ni be, ni me! Gdzie indziej to dochodna nad podziw!
 KOBIETA Wacław mnie przez kościół
 przeprowadzi...
 PANIENKA Pewnie! Żeby jej pozwolić, cały
 świat bajstrukami by zagaściła. Aż przejść by nie
 można było! Od Wacławów też się roi! Topornych!
 Bajstrukowatych! *(sztucznie podnieca się jeszcze*
złością, ale widać, że ona opada, wędnie) Coś
 w piersiach dziś kłuje... *(robi się stara)* Po prawej
 stronie? Nie, po lewej.
 KOBIETA Panienska! Jak ja przed księdzem
 stanę?!
 PANIENKA Co takiego? Gdzie kobieta będzie
 stawać?!
 KOBIETA Dziś moje zapowiedzi. W Matki
 Boskiej Zielnej.
 PANIENKA W Matki Boskiej Zielnej. Niosą
 poświęcić zioła i owoce... Zioła i owoce... Jak dziś
 gorąco... Pierwsza Matka Boska Zielna... Druga
 Matka Boska Zielna... Siedemdziesiąty piąty raz...
 Matka Boska Zielna...
 KOBIETA Wacław w takie coś nie uwierzy!
 Nieprawda!
 PANIENKA Wacław? *(z dawną pasją)* Uwierzy!
 Bądź spokojna, że uwierzy! Ksiądz jemu powie!

KOBIETA *(z rozpaczą)* Boże mój, Boże!
 Czemuż mnie mamusia goluteńką, gołą na świat
 wydała?! Trzeba było pazury przyczepić! Kły do-
 prawić! Sierścią pokryć i kamienną łuską. Żeby
 moje słowa jak bicze biły, jak ogień paliły, żeby od
 mojego oddechu...

PANIENKA A świnię ciągle nie nakarmione. To
 pewne.

KOBIETA Pańska łaska na pstrym koniu
 jeździ! Ja nie potrzebuję! Ja! *(zdziera szmatki*
panienki, zostaje jak była rozczochrana, szara. Na-
głe oświetla wszystko błyskawica).

PANIENKA Patrzenie, małanka! Krowom mleko
 odbiera, orzechy spała... *(nagle z cienia wylania się*
oświetlona postać dorodnego, młodego mężczyzny.
Ubrany w czarny garnitur, źle, po wiejsku skrojony.
Mężczyzna ma w ręku wielki wiklinowy kosz
napęczniony gruszkami pięknymi jak malowanie) Kto
 to? Zaraz, zaraz, skąd mnie znajomy... Wacław?
(prostuje się, młodnieje, już młodym głosem)
 Wacław! *(w tym czasie kobieta stoi jak wryta, wpa-*
truje się w Wacława, on w nią) Widział Wacław,
 małanka?! Zawsze wiosną błyska. *(chwila mi-*
czenia) Cóż to za niespodzianka: Prawda Waluniu?
 Bardzo nam przyjemnie, jak sąsiedzi nawzajem
 odwiedzają się, nie zapominają. Słyszałam, że
 Wacława nie było z miesiąc? Jeździł na zarobek? Jak
 tam spędził ten czas? Waluniu czemu nie ogarniesz
 się trochę? Przecież dziś Matki Boskiej Zielnej. Aha,
 żebym nie zapomniiała. Nadworskie świnię wypuścić
 na wygon trzeba. Mówię o tym już od rana. Wstaje
 rano, nawet nie uczesze się. Młoda kobieta powinna
 dbać o siebie. Zawsze w pogotowiu, choć z drugiej
 strony... choć z drugiej strony... choć z drugiej
 strony... *(panienka powtarza jak zacinająca się płyta)*
 Z drugiej strony prawie nigdy jej nie widzę. Zawsze
 gdzieś biega, zawsze gdzieś zajęta poza domem.
 Sama jestem młoda, to rozumiem, że młodość musi
 się wyszumieć. Proszę siadać. *(Wacław siada na*
brzegu krzesła. Widać, że chce coś powiedzieć, ale
panienka go zagaduje) Jak tam żyta?

WACŁAW Nawet niczego.

PANIENKA Żeby tak na Zielną prażyło.

WACŁAW Praży.

PANIENKA Choćby taka małanka. Też nienor-

malność.

WACŁAW Pewnie.

PANIENKA A co tam u Waclawa tak poza tym?

WACŁAW Poza tym nic takiego...

PANIENKA To dobrze. Nie ma co narzekać. Podobno gdzieś bywał? Dobrze tak czasem przewietrzyć się. Tak dawno nie wychodziłam z domu. Unikam ludzi.

WACŁAW Aha.

PANIENKA A u nas odmiana żyta coś nie za bardzo. Wzeszło nawet niczego, ale więcej słomy niż kłosu.

WACŁAW *(chce coś powiedzieć, wydaje jakiś dźwięk)*

PANIENKA Natomiast siano udało się. Zdążyli zebrać wszystko jak potrzeba. *(ożywiona)* Wczoraj nad wieczór w Wersoczce kąpałam się. Woda tak ciepła jak grzana. Nie uwierzyłby Waclaw.

WACŁAW Czemu nie.

PANIENKA To wielka przyjemność tak kąpać się. Człowiek spocony. Tylko bałam się, żeby kto ubrania na brzegu nie przychował. Bywa tak. *(chichocze)* Wychodzisz z wody a tu nie ma sukienki. Nie wiadomo, co robić?

WACŁAW No.

PANIENKA Wyjątkowo kłopotliwe położenie.

WACŁAW Aha.

PANIENKA Mężczyźnie, dajmy na to Waclawowi, takie coś by nie przeszkadzało, ale kobiecie? Nieprzyjemnie. Skończyło się tylko na strachu. Nikt nie podpatrzył. Miałam szczęście, prawda?

WACŁAW No.

PANIENKA Wie Waclaw, przyznam, że czasem chciałabym być mężczyzną. Silnym, odważnym, ale cóż, baba. Nawet koni w nocy boi się paść, choć tak znów nie ma bardzo czego. Nikt by nic złego nie zrobił.

WACŁAW Możliwe! *(podnosząc się z miejsca)* Ja...

PANIENKA Walunia! Walunia! Patrzajcie, znów gdzieś poleciała. *(mówi tak, choć kobieta stoi cały czas w głębi, patrzy na Waclawa)* Sama jestem młoda, to młodość rozumiem. Pod tym względem dobrałyśmy się, bo żeby tak inna panienska, mniej wyrozumiała... No, ale trzeba sobie nawzajem wiele

wybaczać. Życie to nie bajka, prawda?

WACŁAW *(zrezygnowany)* Może być...

PANIENKA *(jakby tylko teraz dostrzegła kosz z owocami w rękach Waclawa)* Aaa! Gruszczeni ma? Jaka to odmiana?

WACŁAW *(ponuro)* Małgorzatki.

PANIENKA U mamusi było takie drzewo, wysokie. Mówili, że to chłopskie gruszki, ale jak lukier w ustach się rozplęwały. Były też tak zwane dulki, były sapieżanki. *(pochyla się nad koszem)* A te słodkie? *(mówi to zalotnie)*

WACŁAW Jeszcze nie poświęcone w kościele.

PANIENKA Nie poświęcone?

WACŁAW Dziś Matki Boskiej Zielnej.

PANIENKA A prawda! Na śmierć zapomniałam! Waclaw wybrał się do kościoła?

WACŁAW Aha.

PANIENKA A jarzynki też święci się, a Waclaw ich w koszyku nie ma?

WACŁAW *(ponuro)* Jarzynki to gospodyni sprawa.

PANIENKA *(bierze z koszyka jedną gruszkę, je nieuważnie)* Ja Waclawowi powiem, znaleźć dobrą gospodynię wyjątkowo trudno. Trafić na kogoś porządnego to szczęście. Waluniu, a ty nie poczęstujesz się gruszczeni?

KOBIETA Jeszcze nie poświęcone.

PANIENKA To nic, nic nie szkodzi. Cóż ty taka jesteś?!

WACŁAW Ja...

PANIENKA Och! Jak późno się zrobiło! Mówiłam Waluni, wstań wcześniej, ubierz się ładnie, nawet powiem Waclawowi, pożyczylam jej swojej bluzki, spódnicy. Ubrała się jak ta lala, ale nagle wszystko zdarła i mówi, że nie chce się jej nigdzie iść...

WACŁAW Nie chce jej się...

PANIENKA Właśnie. Dziwne takie humory. Wprawdzie to wydaje mi się, że zwyczajnie zasnęła. Nic dziwnego, jak ktoś tak późno chodzi spać dzień w dzień...

WACŁAW *(wstaje zdecydowanie, ma odejść już, ale przygwaźdża go spojrzenie kobiety, zmusza do powiedzenia tego ostatniego zdania, które już niczego nie zmieni)* Nie idą na Zielną?

PANIENKA Gdzie tam. Już nie zdążymy. Tak jakoś się nie złożyło.

WACŁAW Ja... ja... już idę.

(kobieta robi ruch, jakby chciała coś powiedzieć, ale rezygnuje. Mężczyzna kłania się niezgrabnie, chwilę stoi z koszem w ręku, potem zapada w cień)

PANIENKA *(po dłuższej chwili)* Mogłaś iść za nim.

KOBIETA Nogi wrosły w ziemię.

PANIENKA Czy choćby zagadać.

KOBIETA Język kokkiem stanął.

PANIENKA No cóż, nic się nie stało. Że tam się trochę spóźniłaś, żadna przyczyna.

KOBIETA Mieli my dać na zapowiedzi.

PANIENKA Zapowiedzi to jeszcze nie ślub. Co się odwlecze, to nie uciecze. Waluniu, trzeba się wziąć za pracę. W życiu najważniejsze jest solidne spełnianie swoich obowiązków. *(kobieta zaczyna bezmyślnie krzątać się po izbie, przestawiać coś z miejsca na miejsce)*

KOBIETA *(stając)* Z księdzem byliśmy umówieni.

PANIENKA Trzeba kartofle sparzyć dla świni, nie mówiąc o tym, że czas przygotować się do żniw. Co do Wacława, nie jestem pewna, czy byłby dla ciebie w sam raz. On człowiek spokojny, stateczny, ty polatucha...

KOBIETA Ja nie polatucha.

PANIENKA Latasz, żywioty nie patrzysz jak potrzeba. Sama mówiłaś dziś rano, ręce, nogi *(pokazuje)* jak skrzydła...

KOBIETA *(ponuro)* Ręce, nogi jak skrzydła...

PANIENKA A widzisz. Poza tym, moja Waluniu, jesteś goła jak święta turecka.

KOBIETA Miałam jeszcze u panienki dorobić się...

PANIENKA A to i dorobisz się. Nic straconego. Jeszcze przed nami całe życie. Ot, zgłodniałam, a ty?

KOBIETA Ja nie.

PANIENKA Ten brak apetytu nie jest najlepszy. Może źle się czujesz? *(kobieta robi taki ruch, jakby ją coś bolało. Schyla się, ostania brzuch)* Boli?

KOBIETA Nie.

PANIENKA Musisz przy twoim stanie więcej

używać ruchu. To dobrze robi.

KOBIETA Ja... używam ruchu...

PANIENKA *(siada przy stole, zabiera się za jedzenie)* Jak widać nie za bardzo. Dziś wyjątkowo opuściłaś się w swoich obowiązkach...

KOBIETA *(jęczy)* Szuka we mnie drogi...

PANIENKA Kto?

KOBIETA To moja sprawa. Paniomkom nic do tego.

PANIENKA On?

KOBIETA Tak. Pluszcze się w ciemnościach, z wodą przyplynie...

PANIENKA Wskoczy na świat goluteńki...

KOBIETA Jeszcze rośnie.

PANIENKA Wszystko takie małe, mięciutkie...

KOBIETA Traweczka zielona pod lodem kwitnie.

PANIENKA Lepiej by mu było z tymi pazurami.

KOBIETA Nie, nie.

PANIENKA Pokrytemu kamienną łuską...

KOBIETA Nie, nie...

PANIENKA Ciekawe, jaki on będzie?

KOBIETA Będzie mój.

PANIENKA Boże? Ot, zagadałyśmy się, a tu nic nie porobione. Kartofle nie sparzone, zboże nie pożęte, pole nie zaorane. Trzeba spieszyć się, bo grad wybije, deszcz powali, słońce wypiecze. Czego stoisz?

KOBIETA Ja?

PANIENKA A kto? Najważniejsza żywiota. Weź ten sagan z kartoflami z płyty zdejm. *(kobieta idzie postusznie w kąt, który nagle zapelnia się saganami większymi, mniejszymi. Czarne, wielkie sagany. Jest to symboliczna scena dźwigania, podnoszenia w takt panienki rozkazów, potem nawet i bez rozkazów)*

Nie ten! Ten większy z prawej strony! Nie widzisz? Ten! Nie! Tamten! *(kobieta chwytą się za brzuch, jęczy. Kładzie się koło saganów. Panienska podchodzi do niej)*

PANIENKA Cóż to kobiecie? Boli?

KOBIETA Boli.

PANIENKA Może coś zaszkodziło?

KOBIETA Może coś zaszkodziło.

PANIENKA Najlepiej na to piolunu wypić.

KOBIETA *(kręci głową z boku na bok. Jest w*

tym przeczenie i ból. Mówi coś niewyraźnie)

PANIENKA Co? Co kobieta mówi?

KOBIETA (*wyraźnie*) Niech panienka do mnie nie podchodzi...

ODSŁONA III

Izba jak w pierwszej i drugiej odsłonie. Kobieta kręci się po izbie podśpiewując zalotnie. Panienska siedzi nieruchomo przy stole. Jej nieruchomość wykorzystuje kobieta do opierania o nią różnych przedmiotów, wieszania na niej jak na kołku.

KOBIETA (*śpiewa*) Na policy kłębek nici, a na ławie cewka, całowali chłopcy kożę, myśleli, że dziewczka! (*z innej nuty, tak jakby sama improwizowała tekst, podchodząc do kupy śmieci*) Hej, Mi laszka zrzuć rubaszkę, daj na gołą popatrzeć, (*pochylając się nad śmieciami, wyciągając z nich kawałek lusterka*) jak zobaczę, że jest ryża, to odejdę na zawsze... (*idzie z kawałkiem lustra do panienki, opiera go o nią. Tamta siedzi nieruchomo. Kobieta przegląda się w lustrze. Wraca do śmieci, wyciąga stamtąd jakiś pogięty drucik, który, przeglądając się w lustrze, usiłuje założyć jako kolczyk. Udało się, jest zadowolona. Śpiewa pretensjonalnie*) Wieczór w ogrodzie, milczenie, lubą wonią pachną bzy i słowików wdzięczne pienia osuszają Wandy ły. Lecz nie dla niej śpiew słowików i nie dla niej zapach róż, bo jej serce (*wraca do kupki śmieci, wyciąga wstążkę, wraca, wiesz ją na paniencie, śpiewa*) żal przenika, że się nie zobaczą już...

Wczoraj na wieczorynce dwóm odmówiłam. Chłopcy jak struny. Jeden chciał konie w Wersoczce pławić! O, nie, mówię, więcej poufałości jak znajomości... Serce zimne, ręce gorące. Waluniu, co z tą resztą zrobisz?! Zaszczę, proszę pana, tego się nie rozdaje... (*gorąco*) Ten jeden jak malowanie...

PANIENKA Na mogiłkach krzywilińskich leży.

KOBIETA Ten drugi jak z obrazka...

PANIENKA Zmurszałe deski, kości bieleją w jamie.

KOBIETA (*zuchwale, gorąco*) To co! Tam też jest życie! Na mogiłkach szczaw najbujniejszy! Woda spod ziemi bije! Gryziesz szczaw w zębach...

PANIENKA (*pokazuje na usta*) Na jeden pień

zmurszały kładziesz!

KOBIETA (*szuka w kupie śmieci, wyciąga długą, żółtą słomkę, wkłada ją sobie w usta, podchodzi do siedzącej nieruchomo panienki, zdejmując z niej lustro. Mówi jak do chłopca*) Gołąbeczki będziemy karmić, takie figielki! Słomkę krótszą robisz tak, żeby tylko z ust wystawała. (*ułamuje kawałek słomki*) Karmmy gołąbeczki. (*przysuwa twarz do twarzy panienki, grucha*) Karmmy... Wyciągnąć z ust trzeba... (*panienka przysuwa swoją twarz i nagle robi się z niej martwa maska. Oczy otwarte nieruchomo, szczęka opadnięta. Kobieta cofa się z krzykiem. Panienska ma znów twarz normalną a nawet łagodnie uśmiechniętą*)

KOBIETA Boże! Tak mnie nastraszyć! Boże! Starą, niedołączną kobietę!

PANIENKA Gdzie jest ten jak z obrazka?

KOBIETA (*bezradnie*) Nie wiem.

PANIENKA A ten jak malowanie?

KOBIETA (*broniąc się, żałośnie, już bez wigoru*) Chłopcy nad Wersoczką kaczkę puszczają. Kamuszeki dobiorą, przymierzą i jak puszczą! Jednemu pięć razy udało się! Raz po razie!

PANIENKA Ten kamień to do tej pory żyje na dnie! Tyle lat!

KOBIETA Będzie z pięćdziesiąt. (*po chwili*) Panienska, my jak ślepe koty. Cycki szukamy. Łapy sztywne, szeroko rozstawione, brzuch miętoszą. Ślepe koty!

PANIENKA Durniejesz?!

KOBIETA Nie.

PANIENKA Ćma rozum zasnuwa.

KOBIETA Nieprawda.

PANIENKA Niedorozwój.

KOBIETA Panienska tej cycki nie znalazła i nie znajdzie nigdy. Gębę szeroko otworzy, ale mleka nie poczuje.

PANIENKA A ty?

KOBIETA Ja tak. Dosmokczę się do niej jeszcze.

PANIENKA Apetyt zawsze miałaś dobry. Strusi żołądek.

KOBIETA Paniencie też niczego nie brakowało. Jadła, żarła, ciamkała, żuła!

PANIENKA (*żalostnie*) Lekarz mi powiedział, żeby jeść dużo mięsa. To dobrze na reumatyzm.

KOBIETA A ja?! Wczoraj mnie w plecach tak kłuło, tak oddech sparło. Jakaś kolka.

PANIENKA Teraz już nie jesteś głodna?

KOBIETA Kiedy?

PANIENKA Dajmy na to, dzisiaj.

KOBIETA Dzisiaj nie.

PANIENKA Ciekawe...

KOBIETA Czuję słodycz w brzuchu.

PANIENKA Słodycz?

KOBIETA Ciepło i słodko.

PANIENKA Czyżby miód?

KOBIETA Nie.

PANIENKA Słodka śmietana?

KOBIETA Nie.

PANIENKA Gruszki Małgorzatk?

KOBIETA Nie.

PANIENKA Coś mi to przypomina...

KOBIETA Tamten rok.

PANIENKA Co to ma do rzeczy?

KOBIETA Nic. Wtedy wyjątkowo gruszki obrodziły.

PANIENKA Ale wracając do twego najedzenia się. To nie może być tak, bez przyczyny...

KOBIETA Bez przyczyny nie...

PANIENKA Trzeba sprawdzić w spiżarni. Być może coś zostawiło się nieopatrnie.

KOBIETA Nieopatrnie?! Paniencie się tak nie przydarzy, nigdy.

PANIENKA (*żalostnie*) Dlaczego nie. Sił mam coraz mniej. W tym wieku już tak wszystkiego nie dopilnujesz, nie dopatrzysz. Wszystko rozdrapia, rozbiorą, rozciągną.

KOBIETA Kto?

PANIENKA Dajmy na to, że ty.

KOBIETA O mnie panienska może być spokojna. Mnie już tego nie trzeba.

PANIENKA Dziś tak mówisz, a jutro zaczniesz węszyć po swojemu, szperać po kątach...

KOBIETA Znajdę stare rupiecie.

PANIENKA Już ty wiesz, czego szukać.

KOBIETA Czego?

PANIENKA Oczka u ciebie jak na zawiasach chodzą, jak szare myszy rozlatują się.

KOBIETA Biedna panienska.

PANIENKA Czego?

KOBIETA Mówię, biedna panienska.

PANIENKA To moja sprawa.

KOBIETA Ja najadłam się. Tej słodyczy... To może być jeszcze w każdej chwili... To ciepłe kochanie...

PANIENKA Kochanie?! W twoim wieku?

KOBIETA Ja zacznę... ja zacznę...

PANIENKA Zaczniesz sztywnieć. (*gwałtownie wstaje, podnosi się przed kobietą*) Wiesz, że nie lubię... kiedy garnek wala się pół dnia nie umyty! Co to było?!

KOBIETA Co?

PANIENKA To co wyjadłaś ze spiżarni?

KOBIETA Kiedy?

PANIENKA Kiedykolwiek.

KOBIETA Myślę o czymś innym.

PANIENKA Ale jesz! To ci nie przeszkadza mnie obżerać!

KOBIETA Panienska! Czuję się najedzona.

PANIENKA Pobóz się!

KOBIETA Dalibóg!

PANIENKA Widzisz, dzięki mojej dobroci nareszcie jesteś syta.

KOBIETA (*machinalnie, jak zakłęcie, które już nie działa*) Wczoraj na wieczorynce trzech do poleczki prosiło. Rach! Ciach! Ciach! (*kręci się w tańcu*) Trzem odmówiłam. (*tańczy przed panienką w takt walca*)

PANIENKA (*zwija się nagle z bólu, jęczy*) Nie wytrzymam, nie przeżyję tego! (*kobieta podchodzi do niej, tamta obejmuje ją za szyję, czepia się jej mocno, dusi w uścisku*)

KOBIETA Boli! Puścić! Proszę puścić!

PANIENKA Boli? Co to znaczy?! Zapomniałyśmy o bólu!

KOBIETA (*robi rozpaczliwe ruchy, stara się uwolnić od panienki, mamrocze*) Jezus Maria! Przecież panienska jest chora! Tak jęczeć!

PANIENKA Już wyzdrowiałam!

KOBIETA Zupełnie?

PANIENKA Prawie...

KOBIETA Jesz...cze znowu zaszkodzi?

PANIENKA (*nie puszczając kobiety, przyginając*

do ziemi mówi z czułością) Waluniu...

KOBIETA Panienska...

PANIENKA Waluniu droga...

KOBIETA Słucham panienkę...

PANIENKA (*ostro, krótko jak wystrzał*) Umyj garnek! (*kobieta robi przeczący ruch głową. Kręci głową gwałtownie tak jakby miała zatkane usta*) Dla twojego dobra. (*kobieta kręci głową*) Dla twojej przyszłości! (*nagle słychać w kącie pokoju wielki łomot. Izbę rozświetla błyskawica krótka jak bicz. W jej świetle widać w kącie czarnego ptaka. Panienska puszcza szyję służącej, obie nagle grzybieją, garbią się, zastygają w starczym, owadźim bezruchu*) On wrócił!

KOBIETA Nie.

PANIENKA Nie widzisz?

KOBIETA On nie wrócił, był tu cały czas. Przyczał się, skrzydła złożył, dziób pod pióra wetkał...

PANIENKA Pazury skurczył...

KOBIETA Jest gołubczyk!

PANIENKA Ptasie ściervo!

KOBIETA Krucza padlina!

PANIENKA Kurza kalikatura!

KOBIETA Diabelski gnój! (*obie dopadają do siebie zespolone w strachu, patrzące w stronę niewidocznego ptaka*)

PANIENKA (*pokazuje w stronę śmieci*) Tam!

(*kobieta podpełza do kupy rupieci, zastyga przy nich*)

KOBIETA Rusza się?

PANIENKA Nie. Kobieta wie, czego szukać?

KOBIETA (*falszywie*) Skąd! To nie mój rozum! (*pokazując jakieś narzędzie*) Nada się?

PANIENKA Za małe.

KOBIETA (*teraz przerażona*) Niech panienska też szuka! Szybciej byłoby znalezione.

PANIENKA (*z pańska*) Takie coś robią za nas służące.

KOBIETA (*klepie, byle zagadać strach*) A cóż to panienska z czego innego ulepiona?

PANIENKA Pospiesz się!

KOBIETA Zaraz, zaraz, co nagle to po diable. (*podnosi jakieś inne narzędzie*) A to?

PANIENKA Przecież sama wie, jakie to musi

być?!

KOBIETA Ja się tam na tym nie znam. Mnie ciężko życie doświadczyło. (*udaje*) Zaraz, czego to ja szukam?

PANIENKA Tego.

KOBIETA Konkretnie którego?

PANIENKA Ostrego na końcu. (*wielki łomot w kącie*) On... on skrzydło prostuje...

KOBIETA Może odlecieć za...mie...rza? Do ciepłych krajów. Tylko na zimę, a na wiosnę wróciłby znowu...

PANIENKA Szukać! Szybciej!

KOBIETA Staram się jak mogę, żeby tylko paniencie dogodzić!

PANIENKA Mnie?!

KOBIETA (*chyttrze*) A komuż?

PANIENKA A czemuż to zęby ci szczękają, ręce trzęsą się jak galareta...

KOBIETA Ostatecznie, ostatecznie... jestem w tym domu tylko służącą. (*łaskot*)

PANIENKA Prostuje drugie skrzydło...

KOBIETA Myśli za górami, a śmierć za plecami...

PANIENKA Szybciej!

KOBIETA Paniencie spieszy się bardzo?

PANIENKA Nam się spieszy.

KOBIETA Doczekasz wiosny to i lato przeżyjesz. (*podnosi jakiś długi, ostry przedmiot*) Jest!

PANIENKA Pokazać! (*obie oglądają przedmiot, badają jego ostrze*) Trzeba jeszcze sznurek, grubą wierówkę...

KOBIETA (*udaje nieświadomą*) A po cóż?

PANIENKA Potrzebna.

KOBIETA Panienska to ma głowę! Rozsądna, praktyczna. Niczego nie zmarnuje!

PANIENKA Sznurek!

KOBIETA (*podnosi sznurek*) Jest! (*teraz obie zamieniają się w myśliwych. Nie ma starczego niedołęstwa. Jest skupienie, szybki refleks. Otaczają ką, w którym siedzi ptak*)

PANIENKA Ty z prawej! Ja z lewej! Sprawdzić wytrzymałość sznurka!

KOBIETA Sprawdzony.

PANIENKA Kobieta zarzuci, ja zaciągnę!

KOBIETA (*szeptem, przerażona*) Panienska, a jak wzbije się pod sufit, jak polecą?!

PANIENKA Nigdzie nie polecą. Przy ziemi zostanie.

KOBIETA (*skradając się, przerażona*) Kiedyś u Giedrojców barana zarzynali, a ten wyrwał się i poleciał! Wysoko nad lasem zakolował...

PANIENKA Rzuć! Zarzuć sznurek! (*kobieta zamachuje się pętlą ze sznurka, ale chybła*) Jeszcze raz! Wyżej!

KOBIETA (*udaje*) Nie dam rady...

PANIENKA Daj! (*wyrywa sznurek, zamachuje się, zaciska pętlę, szamotanina, cisza*) Przytrzymaj! Jest! (*obie kobiety sapią ze zmęczenia. Panienska naprawdę zmęczona, kobieta udaje*) Gdzie szpikulec?

KOBIETA (*podaje*) Jest!

PANIENKA Uderz!

KOBIETA (*zamachuje się słabo, udaje, że nie może*) Boże!

PANIENKA (*wyrywa jej szpikulec, zamachuje się mocno. Wielki łomot, cisza, ciemność. Nagle izbę rozświetla małanka. W jej blasku obie kobiety pochylają się nad czymś pięknie kolorowym. Mogą to być tylko światła. Przepych kolorów*) Jezus Maria! On był czarny!

KOBIETA Nie.

PANIENKA (*bezradnie*) Czarny był. Każdy to poświadczy.

KOBIETA Ja nie poświadczę.

PANIENKA Jak to?! Rozmawialiśmy o tym cały czas. Czarny i wielki!

KOBIETA (*zachwycona*) Wielki i kolorowy!

PANIENKA Kobieta kłamie! Naumyślnie! Jeszcze mówiła...

KOBIETA Nie mówiłam! Nie mówiłam! Nie mówiłam! (*po chwili*) Panienska, on był kolorowy...

PANIENKA Widziałyśmy na własne oczy...

KOBIETA Miałyśmy ślepe oczy.

PANIENKA (*poddaje się, pochyla się nad piórami*) To pióra sójki, pawia i dzięcioła.

KOBIETA Nie. Takich nikt nie ma. Żaden żywy ptak. (*pochyla się nad piórami. Modlitewnie*) Najświętsza Panno nad pannami, ptasia rodzicielko, módl się za nami grzesznymi...

(*rozlega się stukanie do drzwi, wchodzi wiejski człowiek, pewnie sąsiad*)

SĄSIAD Boże dopomóż...znaczy, niech będzie pochwalony! Ja przyszedł dowiedzieć się, czy nie mają orczyka pożyczyć?

PANIENKA (*jakby budząc się*) Czego?

SĄSIAD Orczyka. Złamał się, to baba mówi, zajdź do panienski, pożycz...

KOBIETA Giedrojc! Widziałeś ty kiedy takie pióra?!

SĄSIAD Jakie pióra?

PANIENKA Krasne.

SĄSIAD Do czego to pite? Złamał się! Dali-bóg! Wczoraj, tak gdzieś koło południa...

KOBIETA Giedrojc! Patrz!

SĄSIAD Na co?

KOBIETA Na ptaka.

SĄSIAD Ja tam wiem, orczyk przyszedł pożyczyć, kobieta mówi, zajdź zapytaj...

PANIENKA Myśmy zabiły ptaka.

SĄSIAD Aaaa? Kogo zabiły? Ptaka? (*niepewnie*) Mają rację. Na starość trzeba dobrze odżywiać się... Znaczą zmądrzały. Ludzie gadają, że od stu lat nic nie jadły...

PANIENKA (*podchodzi do niego*) Ty ślepy durniu!

SĄSIAD Czego?! (*cofając się przed nacierającą panienską a potem i kobietą*) No już, czego krzy-czeć. Nie ma co obrażać się. Breszą ludzie jak to ludzie... Ja nie w tej sprawie... Tak zaszedł. Był nawet przeciwny, żeby do panienski iść. Gdzie tam, mówię, ona tobie co pożycz, ale baba nasiadła...

PANIENKA Won!

SĄSIAD Co?

PANIENKA Won za drzwi!

SĄSIAD Coś podobnego! Ot, nieużytki dwa stare!

KOBIETA (*nacierając*) Słyszałeś, co panienska kazała?!

SĄSIAD Zdurniały baby! Jak stare wiedźmy. Orczyk człowiekowi złamał się, ludzka rzecz, ale skąd, nie ma na kogo liczyć. Udławia się a nie dadzą. (*wycofuje się*) Cóż za naród! Żeby tak sąsiad do sąsiada. Coś podobnego! A mówił ja babie, ale ta nic, skrzypi i skrzypi. Skrzypka przeklęta.

KOBIETA (*doskakuje z pazurami*) Kra! Kra!
Kra!

SĄSIAD (*daje nogę za drzwi, ale jeszcze po chwili zagląda, już bezpieczny krzyczy*) Zatkajcie sobie orczyk, wiecie gdzie! Stare wiedźmy! Lepiej by te rupiecie posprzątały! Sto lat już leżą! Zapleśniejecie w nich! (*zamyka i znów otwiera*) Rdza was pożre! (*zamyka i znów otwiera drzwi*) Wy... wy... przekłete starocia! (*trzaska drzwiami, cisza*)

KOBIETA (*kiwa się w kolorach światła monotonnie*) Wychodzisz z prochu, z ciemności, ze śluzu, wracasz do głębin, do mułu, do bagna. Ślepniesz od kolorów, głuchniesz od pieśni, schniesz od dotyku... Na końcu i na początku drogi, w środku i na zakręcie, za progiem i zanim próg przekroczysz...

PANIENKA Dobrze kobieta robi, że modli się do świętego Antoniego. Mówiłam od razu, żeby zrobić to i znajdzie się ta rzecz...

KOBIETA Jaka rzecz?

PANIENKA Niech kobieta szuka! Ja nie mam nic na zmarnowanie!

KOBIETA Co to jest? (*podchodzi do starej kupy śmieci, pełna gorliwości, też chce szukać, widzi w tym jedyny ratunek powrotu do normalnego życia*)

PANIENKA Potrzebna rzecz. Wiadomo! Wszystko przydaje się. (*teraz kobieta pokazuje panience kolejno różne przedmioty, byle jakie*)

KOBIETA (*to, co teraz mówi, brzmi jak litania*) I uszko od filiżanki?

PANIENKA I uszko od filiżanki.

KOBIETA I kawałek sznurka?

PANIENKA I kawałek sznurka.

KOBIETA I skręcony drucik?

PANIENKA I skręcony drucik.

KOBIETA I kość po kurczaku?

PANIENKA I kość po kurczaku.

(*powoli wygasa światło. Jeszcze przez chwilę słychać ich starcze mamrotanie, wycisza się*)

KONIEC

* Odsłonę pierwszą sztuki Teresy Lubkiewicz-Urbanowicz opublikowaliśmy w „Krasnogrudzie” nr 2/3.

WITRYNA

Teresa Lubkiewicz-Urbanowicz: *Boża podszełka*.
Sejny 1994.

Losy ludzi i zdarzeń w „Bożej podszełce” są osnute na tle wspomnień mojej matki i moich. A jednak, tak jak to bywa w autofikcji, nie wszystkie te losy są prawdziwe. Tak naprawdę takich Juryszek nie ma na mapie. Nie chciałabym by ktokolwiek doszukiwał się w opisanych postaciach siebie, bo jest to powieść, a nie pamiętnik.

Jedna z kuzynek po obejrzeniu mojej sztuki „Wijuny” wyszła zbulwersowana. Skąd u ciebie takie dziwne skojarzenia? – spytała – przecież, o ile wiem, przeżyła wojnę zupełnie inaczej. Musiałaś to wszystko wymyślić.

Tak więc i „Bożą podszełkę” w pewnym sensie wymyśliłam. Można to przyjąć i tak. Wymyśla się często siebie i swoje dzieciństwo. Boża podszełka nie powstała ani z tęsknoty, ani z sentymentów do Wileńszczyzny, ale z fascynacji i miłości do tamtych ludzi. I w imię tego niech jej będzie wiele przebaczone.

Teresa Lubkiewicz-Urbanowicz



PRACOWNIA GRAFIKI

OTTO
PANKOK

RYSUNKI

Te obrazy są pozdrowieniem dla wolnych ludzi; dla tych, którzy byli poniżeni i wypędzeni, a teraz wracają do domu; dla tych, którzy zostali pojmani, a teraz wracają z mrocznych więzień i znowu czują południowe słońce na swojej skórze i smakują deszcz, i czują wiatr wokół ciała, bo podnieśli się z gruzów i cmentarzysk Europy i spoglądają w usiane gwiazdami niebo. Zwracam się do tych niewielu, którzy jeszcze żyją i nie zapomnieli, co znaczy wolność, którzy nie mają zakneblowanych ust, i którzy patrzą życiu prosto w twarz gotowi porzucić wszystko za chwilę wolności.

Wy, pozostali, którzy nie możecie znieść na swym ciele i duszy przymusu, tak jak płonącego ognia, zamknijcie tę książkę, ponieważ wam nie mogę nic opowiedzieć o Cyganach. W waszych oczach Balo jest próżniakiem, który nie chce pracować, a Fisili obdartą dziwką, która prosi o jabłuznę i was okrada. Dla wiecznego filistra pozostaną oni na zawsze obrzydliwi, oni, kochankowie wolności.

Są ubodzy, lecz jak bogaci i weseli potrafią być. Szybko budują swoje gniazda. A jak potrafią hulać

i krzyczeć z radości. Jak zawodzą, gdy są smutni! Jak roztopiają się wówczas w czarnych, jak noc, myślach! Ale wiatr już popycha ich w dal na kołyszących się wozach. A jak kroczą, jak kołysze się ich ciało, jak falują spódnice kobiet! Jak potrafią się przyozdabiać kwiatami i błyskotkami, a są wśród nich błyskotki i kwiaty uchwycone na rogu ulicy, ozdoby piękniejsze niż oprawione w platynę brylanty nadętych dam.

Ach, przyjaciele, gdzieście się podziali, dokąd odeszliście, gdzie pogrzebano was, bezdomne dzieci? Wy, bez chytrości i schronienia, a tak pełni blasku i kolorowej dzikości. Teraz dopadł was, moje lekko duchy, zimny mord na waszej tysiącletniej drodze, ten mord bez twarzy. Wywleczono ich do obozów śmierci, do wschodnich obozów zagłady. Słyszeliśmy krzyjące dzieci i szlochające pod batami oprawców matki. Widzieliśmy na ulicach jak umierających bito pięściami prosto w twarze, a oni ostatkiem sił czyścili chodniki przed umundurowanymi lumpami. Ten mord stał przed nami jak czarny kolos i zajmował całe niebo ponad światem.

Przełożyła Hanna Tomal

SEN SIĘ SKOŃCZYŁ

Przesiedzieliśmy te lata wsłuchując się w czas. Siedzieliśmy i słuchaliśmy, i byliśmy wypełnieni śmieciami, i byliśmy głusi na okrzyki śmierci. Ale coraz to śledziliśmy czas, wypatrując oznak przyszłości. Ach, ta noc trwała, a słońce nie chciało wzejść ponad ciemności świata.

Wspominaliśmy nasze tabory z czasów, gdy cieszyliśmy się ciepłem słońca, pąkami wiosny, lotem ptaków, przybojem fal, tchnieniem wiatru, tętaniem końskich kopyt i tysiącem innych przygód w podróży.

I stale zatrzymuje się nasze serce. Serce, które

chciałoby płynąć, szumieć, żyć. Stale jeszcze szuka ono ludzi wśród ruin tego upadłego świata. I gdyby jego poszukiwania okazały się daremne, to my nadal będziemy tymi, którymi byliśmy, ostatnimi przyjaciółmi ostatnich Cyganów. Tak jak oni wędrowali, tak my – wolni – będziemy tworzyć nasze obrazy, nawet jeśli nikt nie będzie ich już oglądał. Napiszemy słowa, których może nikt nie będzie czytał, będziemy śpiewać pieśni, których nikt nie będzie słuchał. Ale gdy ten nowy ton zabrzmi, będzie brzmieć bardziej słodko, niż to wszystko, co słyszeliśmy dotychczas. Nasze pieśni będą być może smutne, lecz będą porywać swym pięknem i może dzięki temu Bóg uśmiechnie się kiedyś do nas.

Młoda matka



Chora





*Księżycowa
noc*



Tabor

Babka Fisili opowiedziała mi kiedyś swą przygodę:

Gdy urodziłam pierwsze dziecko, Morschi, mieszkałam w Szwajcarii. Spałam wówczas w stodole u Kaschema. Dziecko było bardzo chore. I mieszkała tam stara kobieta, która przysłała do mnie z blaszaną puszką. W tej puszcze coś było, lecz ja nie wiedziałam co. I ona powiedziała: „To musisz postawić na ogniu i podgrzać, ale nie za bardzo, potem dać dziecku do zjedzenia, wtedy ono natychmiast wyzdrowieje.” Od razu wiedziałam, że ta kobieta to wiedźma, ale postawiłam puszkę na ogniu i położyłam na nią pokrywę, i gotowałam długo.

A potem poszłam spać. A gdy spałam, wrócił mój mąż, i popatrzył, co ja gotuję, i odkrył pokrywę. Jak to strasznie śmierdziało, to w puszcze. Śmierdziało jak kocie gówno. I on to wyrzucił za drzwi.

I następnego dnia poszliśmy dalej, i przechodziliśmy koło domu tej starej kobiety, tej wiedźmy. Wówczas ona położyła się na ziemi, i cała od góry do dołu, aż do czubków palców zapaliła się.

„Aha, mówiłam, że ty jesteś wiedźmą”.

„Tak, powiedziała, ale żywej mnie nie dostaliście”.

„Gdyby mój mąż nie zdjął pokrywki, spaliłabyś się teraz”.

I gdy ona jeszcze chciała coś powiedzieć, ja zawałam: „Baldrian, Baldrian”!, wtedy ona padła martwa i nie mogła już nic powiedzieć, tylko zamiauczała jak kot: „Aau - aau - ahamaau!”

Musicie wiedzieć – w puszcze była wiedźma. I gdyby dziecko ją zjadło, to miałoby wiedźmę w brzuchu. Wówczas byłoby do końca życia urzeczony.

Pewnego dnia nasz tabor ogarnęło silne podniecenie. Cyganie stali z szeroko otwartymi oczyma, a z oczu kobiet płynęły po policzkach łzy. Co się dzieje? Poprzez wrzosowisko szła młoda kobieta i nagle spostrzegła coś przedziwnego, spadającego z nieba. I gdy przerażona przyjrzała się temu, zobaczyła, że jest to Mulo, śmierć – ludzki szkielet, który spływał z nieba otoczony wielką gromadą czarnych

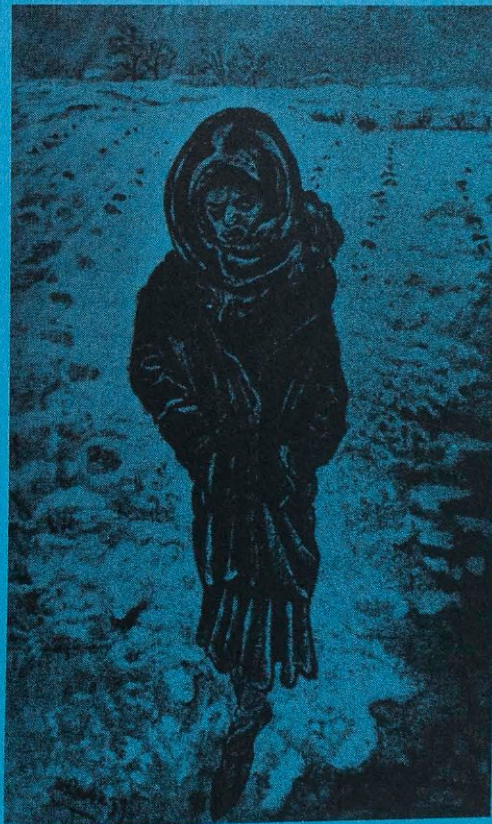
ptaków. I pobiegła szybko, i teraz siedziała drżąca na ziemi, zatapiając głowę w swych dłoniach, a jej warkocze zwisały smutno wzdłuż twarzy.

„O Molari” - wyszeptała do mnie cicho Mami Fisili, „teraz coś się stanie, coś straszego nadejdzie, jakaś kara za grzechy. Zapamiętaj co ci powiem: jeśli zobaczy się na niebie Mulo, to nastąpi coś, co jest straszniejsze niż wszystko, co sobie można wyobrazić.”

Kobietą, która spotkała Mulo, była Ringela. Dopadła ją straszna śmierć w Oranienburgu.

Przełożyła Hanna Tomal

Spacer po śniegu





OTTO PANKOK urodził się w 1893 roku w Mülheim nad Ruhrą. Studiował w latach 1912-1914 w Akademii Sztuki w Düsseldorfie, w Królewskiej Akademii Sztuki w Weimarze oraz Académie de la Grande Chaumière w Paryżu. W roku 1917 został zwolniony ze służby wojskowej i rozpoczął pracę artystyczną. W roku 1919 przystąpił do grupy artystycznej „Das junge Rheinland” (Młoda Nadrenia) w Düsseldorfie i wraz z Gerterem Wollheimem, Otto Dixem i Adolfem Uzarskim stworzył Centrum Aktywności wokół Galerii Joanny Ey. W 1931 roku przyłączył się w Saintes-Maries-de-la-Mer do grupy Cyganów. Na peryferiach Düsseldorfu tworzył obrazy węglem o życiu Cyganów. Temat ten kontynuuje, mimo prześladowań i zakazu pracy przez nazistów, podczas wojny oraz ze szczególnym zaangażowaniem po jej zakończeniu. W latach 1947-1958 związany był z Akademią w Düsseldorfie. Następnie osiedlił się w Lösselt koło Dr-ervenack, gdzie zmarł w 1966 roku. Tu ma swoją siedzibę muzeum artysty.

Reprodukowane prace pochodzą z albumu Otto Pankoka: *Zigeuner* (Düsseldorf: Progress-Verlag 1958).

BRACTWA REGIONALNE I NARODOWE

ANTONI
KROH

BUKOWIAŃSKIE DZIECIŃSTWO*

Moja babcia była uczennicą carskiego gimnazjum w Zgierzu. Uparła się dalej studiować, przetrzymała rodzinne perswazy, twardo postawiła na swoim i wyjechała za granicę, do Krakowa. W owych czasach student płci żeńskiej, to był rzadki ptak; babcia wspominała, jak pewien pan profesor, rycerski wobec dam, ale nie tolerujący ich na uczelni, spytał ją z wyszukaną uprzejmością, czy nie obięło jej się o uszy nazwisko, najmocniej przepraszam, że osmielałem się łaskawą Panią fatygować, Adam Mickiewicz. Wyjaśniła lodowatym tonem, że owszem, obięło; pan profesor zachwyił się jej niezwykłą jak na kobietę erudycją i wyjął: nie chciałbym być natrętny, ale skoro Czcigodna Pani zdecydowała się zostać academiczką, to może byłaby Pani tak uprzejmą natężyć pamięć i wymienić ze trzy tytuły utworów tego poety... Uczyniła zadość jego prośbie, wpadł w ekstazę, wpisał stopień celujący i w ukłonach odprowadził do drzwi. Babcia bardzo chciała się nie rozplakać i prawie jej się to udało. Inny znowu pan profesor oznajmił z katedry, że skoro damy wyświadczyły mu ten zaszczyt i raczyły uświetnić jego wykład, to on uważa za swój moralny obowiązek zmienić temat, albowiem musi czym prędzej wyjaśnić, jak

odróżniać grzyby trujące od jadalnych, by Czcigodne Słuchaczki nie wymordowały swoich przyszłych mężów. Tenże profesor (nie wiem, jak się nazywał) zwracał się do mojej babci per „Jaśnie Oświecony Pan Anna Bobińska”.

Inne studentki cierpiały podobne szykany, i bardzo dobrze, bo m.in. dzięki temu były solidnie przygotowane do kolejnych egzaminów, o wiele trudniejszych, na wydziale historii stosowanej.

Miało to jeszcze jeden dobry skutek: ówczesne dziewczęce przyjaźnie, zadzierzgnięte w takich warunkach, trwały do późnej starości.

Przyjaciółka mojej babci miała na imię Malwina. Została nauczycielką, wyszła za pana Doborzyńskiego. Mieszkali w Warszawie, a pod koniec lat dwudziestych wystawili sobie letni dom na pełnym odludziu, w Bukowinie. Po niedługim czasie Bukowina z zapadłej dziury przeistoczyła się w modne letnisko, Bukowinę Tatrzańską – za sprawą grupy społeczników, między innymi państwa Doborzyńskich.

W końcu lat czterdziestych pani Doborzyńska była wdową i mieszkała w Bukowinie na stałe. Ja miałem siedem lat, chorowałem na astmę i nie bardzo było wiadomo, co ze mną robić; w domu było

straszliwie ciasno, Mama po śmierci Ojca musiała iść do pracy, a Babcia miała wojenną gruźlicę oraz parę innych chorób.

Nie wiem, jak dorośli porozumieli się w mojej sprawie. Pewnie pani Doborzyńska sama wyszła z propozycją; podczas wojny pracowała w tajnej oświacie, po wojnie była na Olczańskim Wierchu spolegliwą sąsiadką, robiła zastrzyki, doradzała w rozmaitych sprawach, pomagała góralskim dzieciom w nauce, bo po prostu taka była. No, i wzięła sobie na głowę chorego, nadwrażliwego miejskiego dzieciaka, jakby to był jej wnuk.

Mieszkałem w Bukowinie, z przerwami, między szóstym a czternastym rokiem życia – wtedy, gdy człowiek jest najchłonniejszy i wszystko co najważniejsze się w nim odkłada. Chodziłem tam do piątej, szóstej i siódmej klasy.

Najpierw było okropnie. Ja tej Bukowiny nie-nawidziłem. Droga przed domem była jednym wielkim grzęzawiskiem; od jesieni zamarznięta, zgrudzona, nogi wpadały w koleiny, nie dało się chodzić, płakałem. Cały dom aż kołysał się od wiatru, wszystko trzeszczało, wyło, świstało przeraźliwie, gałęzie szamotały się w świetle księżyca. Mówiono, że to halny, który zrywa dachy, łamie drzewa, a człowieka może zwyczajnie porwać i cisnąć gdzieś daleko. Po cóż więc mieszkać w takiej strasznej okolicy? O ileż lepiej w Warszawie, gdzie jest tyle przytulnych ruin do zabawy.

Dom w porównaniu do naszej warszawskiej ciasnoty wydawał mi się bezsensownie przeogromny. Trzy wielkie pokoje na górze stały całkiem puste. Po co je budowano, skoro nikt w nich nie zamieszkał? Weszłyby tu jeszcze ze trzy rodziny przecież. Drobną, siwą panią kazała mówić do siebie „Babuniu”. A to niby z jakiej racji. Na początku więc zwracałem się do niej pokrętną składnią, bezosobowo. Dopiero po dłuższym czasie awansowałem ją na Babunię.

Dzieci sąsiadów zachowywały się dziwnie i mówiły niezrozumiale. Ale już podczas pierwszej zabawy zrozumiałem, że to ja jestem dziwny, natomiast oni normalni – z tej oczywistej przyczyny, że ja jestem sam, a ich kilkanaścioro. Język, ubranie, pochodzenie, zachowanie, nazwisko – wszystko,

czego dotychczas używałem na co dzień i co uważałem za jedynie możliwe na świecie, kompromitowało mnie, zdradzało mnie obrzydliwie, sztychowało ze mnie. Na przykład – dotychczas „wychodziłem na grubo” albo „na cienko”, starając się, żeby mnie przy tej czynności nie oglądano, tutaj dzieci po prostu srały albo scały, przykucnąwszy gdzieś, niespecjalnie się kryjąc.

Gdy któreś z nich naginało się do mojej polszczyzny, reszta wybuchała śmiechem. Śmiech jest o wiele gorszy niż bicie, bo paraliżuje. - Jako się piszes? - Zwyczajnie, piórem. Śmiech. No, jako cię wołają? - Czasem głośno. Śmiech. Więc urzędowo: imię i nazwisko? Nazwisko mam obco brzmiące, czyli głupie i śmieszne. Chwila wahania – wymówić coś takiego, czy ratować się kłamstwem? Co robię w Bukowinie, gdzie moi rodzice? Wyjaśniam, że tatuś zginął w wypadku, a mama mieszka w Warszawie. - A jak zginął? Zadowolony, że mogę czymś się pochwalić, opowiadam: ciężarówka się wywróciła kołami do góry i go przygniotła. - A to cymu nie hipnon w bok? Nas tato nie byłby taki głupi!

Ale się przecież z nimi zaprzyjaźniłem. Trzeba się było czymś wkupić do towarzystwa, więc sporządziłem machajkę. Taką machajkę, daleką krewną kościelnej kadzielnicy, miał każdy chłopak u nas na Bielanych. Była to puszka po konserwie uwiązana na drucie. Dno należało podziurawić dla dostępu powietrza. Do machajki wkładało się patyki, papiery itd., podpalało i machało nad głową. Dym układał się w piękne esy floresy, czasem buchnął płomień. Kilku chłopaczków z sąsiedztwa pod moim fachowym kierownictwem sporządziło sobie machajki; machaliśmy wesoło, w ustronnym miejscu, za stodołą pełną słomy. Na szczęście ktoś zauważył, więc nie było tragedii, a zaledwie awantura i sporo regionalnych przekleństw, z których najbardziej zainteresowały mnie „basamazania” i „basamaku-tia”, bo ich nie znałem. To były znakomite przekleństwa, egzotyczne i miejscowe zarazem, nadawały się do użytku w domu – za psiakrew i cholere byłem tępiony, a za to nie, bo dorośli myśleli, że to taka sobie niewinna dziecięca pogaduszka. Znacznie później dowiedziałem się, co to znaczy i że to

z węgierskiego. Sąsiad nazywał się Kuruc; gdy po latach przeczytałem, kim byli kuruce, w jednej sekundzie doszedłem do ściśle naukowego wniosku, że przekleństwa i nazwisko to pamiątka bukowiańskich Kuruców po ich madziarskich przodkach, którzy po klęsce Wiosny Ludów schronili się w tatrzańskie puszczy. Ta łatwość wysnuwania wniosków i poczucie satysfakcji, płynące z niezłomnej wiary, że to, co właśnie wymyśliłem, jest obiektywnym faktem, czyniła ze mnie dobry materiał na humanistę.

Drugi sąsiad nazywał się Rusin. Strzygł owce, więc i dziecko potrafił ostrzyć. Żeby było równo, wsadził mi na głowę donicę i obciął, co wystawało. Wyświadczył mi tym przysługę, bo od tej pory nie wyróżniałem się tak okropnie, przynajmniej pod względem fryzury. Ale moim pierwszym uczuciem do sąsiada Rusina nie była wdzięczność.

Po wielu latach oraz kilku wódkach mój przyjaciel, poeta łemkowski, zaczął udowadniać, że przed wiekami łemkowszczyzna sięgała o wiele głębiej na zachód, więc mu podarowałem lekką ręką Bukowinę razem z sąsiadem Rusinem, Rusińskim Wierchem, Rusinową Polaną, sąsiadem Fiedorem, sąsiadem Tarasem, kolegą Józkiem Haładyną, co mi tam. Wołoszyna mu nie dałem przez delikatność, albowiem mój łemkowski przyjaciel ma niechętny stosunek do kolonizacji wołoskiej. W sytuacjach, gdy zależy to wyłącznie od niego, kolonizacja wołoska zwyczajnie nie istnieje. A gdy już uśmiechał się, przepiechniony słuszną satysfakcją, zauważyłem wrednie, że skoro jednego z gazdów przewano Rusinem, to znaczy, że wyróżniał się swoim rusińskim pochodzeniem, a więc ogół mieszkańców rusiński nie był. W Krakowie nikt o mnie nie powie „ten Polak”, co innego np. w Lizbonie. – Ale tamten Rusin, którego nazwali Rusinem, był Rusinem – nie dał się przyjaciel - więc jego dzieci były Rusinami, czyli Rusiński Wierch był łemkowski, Bukowina była łemkowska!

Sąsiad Rusin miał córkę Zośkę; zawdzięczam jej aforyzm, który towarzyszy mi przez całe życie. Gdyśmy kończyli zabawę o wiele później niż należało, Zośka z wielką dozą słuszności przewidy-

wała, że znowu dostanie lanie. I wtedy mawiała: „coz mi zrobiom? Przecie mnie nie zjedzom. A jak mnie zjedzom, to mnie wysrajom”. Otóż to.

Za oknami werandy rozciągała się szeroka na cały horyzont panorama Tatr, od Szalonego Wierchu i Płacziwej Skały aż po Giewont i dalej na zachód. Na ścianie wisiała składanka „Panorama Tatr z Bukowiny”, z nazwami szczytów i wysokościami. Wysokości pominąłem, bo mnie nie obchodziły, ale nazw szczytów nauczyłem się na pamięć i recytowałem je bezbłędnie, tyle że od prawej ku lewej, wskazując na szczyty od lewej ku prawej; składanka wisiała na przeciwległej ścianie, nie dało się równocześnie patrzeć wte i wewte. I oto zacząłem panować nad rzeczywistością siłą mego umysłu – łomnica stała tam, gdzie ja ją postawiłem. Opierając się na informacjach z pewnego źródła, a ich niedosyt zastępując stanowczością, nazwałem Giewont Szalonym Wierchem, Płacziwą Skałą-Małołączniakiem itd., na sztuki się zgadzało. Ciocia Rysia, Babunia, chłopcy, cały świat się śmiał z moich dokonań; najpierw obraziłem się śmiertelnie, ale potem, dostosowując się do wstrętnego otoczenia, ustąpiłem i przewartościowałem mój dorobek intelektualny, dopasowując szczyty do ich nazw po raz drugi. Paskudna robota.

O wiele płynniej recytowałem nazwy szczytów, gdy Tatry były zasnute mgłą, a już zupełnie wspinał się, gdy w pobliżu nie było Kazia ani Jurka, którzy byli ode mnie starsi i zdrowsi, rzeczywiście chodzili po Tatrach, więc znali je nie tylko z fotografii. Za to miałem chwile satysfakcji, objaśniając panoramę przypadkowym letnikom. Robiłem to płynnie, trochę niedbale, czasem z bolesną zadumą, dając do zrozumienia, że na tym właśnie szczycie ocierałem się o śmierć. A gdy proszono o szczegóły, odpowiadałem: ach nie, lepiej nie mówić. Takie zachowanie chłopaczka było chyba przede wszystkim zabawne, ale nie przypominam sobie, żeby ktoś moje popisy oblał zimną wodą – zwłaszcza że mówiłem gwarą. Delikatność, chęć nie spłoszenia małego pajaca? Raczej zapotrzebowanie na regionalnych kabotyńców, które jest na Podhalu ogromne. Tadeusz Staich, który przez jakiś czas żył

z pogadanek w zakopiańskich domach wczasowych, gdy się spóźniał, a często się spóźniał, wpadał na salę zasapany, spazmatycznie wyrzucając z siebie urywane sylaby i rozpaczliwie chwytając powietrze: ach–bar–bar–dzo przee–praszam, ach moment, bardzo Państwa przee – niech odsapnę – praszam, ale właśnie wracam z Zamarłej Turni, byłem na akcji, zdejmowaliśmy rannego taternika... To zawsze robiło wrażenie, większe niż cała reszta pogadanki. Nieważne, że pan Staich miał pod pięćdziesiątkę, brzuszek i teczkę, więc wyglądał jak księgowy. Nieważne, że całe tubylcze Zakopane zaśmiewało się. Ważne, że spełniał doniosłe zapotrzebowanie społeczne.

Niestety, przekonałem się wkrótce, że panorama Tatr z Bukowiny, to nie tylko szczyty, ale również przełęcz, doliny i tak dalej, wszystko ponazywane. Składanka przestała wystarczać. Ale stanowiła kapitalik, który procentował: gdy po latach, na kursie przewodników tatrzańskich pan Paryski kazał mi objaśnić panoramę Tatr z Głodówki, mówiłem płynnie, wskazując wymieniane szczyty nieokreślonym machnięciem ręki, bo wciąż jeszcze nie byłem pewien, który jest który.

Ubrany byłem i pachniałem jak inne dzieci, mówiłem gwarą jak one, bodaj swobodniej niż polszczyzną inteligentką, ale przecież gwara nie była moim domowym językiem, tylko zręczną bujdą. Czulem to. Mogłem bez trudu udawać górala i wielokrotnie to robiłem, ale tylko wobec ludzi dółskich - bo każdy góral zaczynał rozmowę z nieznanym dzieckiem od: cyjś ty? Ka siedzis? Letnika nie obchodziło, w której chałupie siedzę, bo letnik poszczególnych chałup nie rozróżniał; góral musiał dzieciaka natychmiast umiejscowić.

W ogóle dosyć wcześnie zauważyłem, że co innego być góralem między góralami, a co innego między panami, że to drugie jest znacznie łatwiejsze i może dawać profity. Dla letnika góral to człowiek mówiący gwarą, ubrany jak miejscowy i w ogóle wyglądający na miejscowego – a dla górala góral, to Jasiek albo Józek, o którym dokładnie wiadomo, ka

siedzi, jako sie pise, jako na niego wołajom i kielo mo krów.

Pamiętam, sterczę sobie w Bukowinie pod lodziarnią, nie mam ani grosza, a przy drodze stoi piękna taksówka (tak nazywaliśmy każdy samochód osobowy), w taksówce pon, liże loda i słucha muzyki przez radio. Nie wiem, jak to się stało, zdaje się, że dawni poeci nazywali to natchnieniem; podchodzę do pana i słyszę swój głos, jakby mówił ktoś obcy: słuchojcie panie, ka trzymocie tyk muzykantów? W kufrze? Pan patrzy na mnie i już wiem, że jestem górą. - Toś ty nigdy nie widział radia? - Co godocie? A co to za kołoc? - To lody, nie kołacz - wyjaśnia pan z pokorą. - Teloście panie durny, co raty. Dy przecie lody som zimą, na Białce. I stało się: pon wysiada z taksówki, kupuje porcję za całe trzy złote, wręcza mi i patrzy łapczywie, jak jem. Bardzo wtedy zyskałem w oczach kolegów.

Lubiłem brać udział w wiejskich pracach, biegałem do sąsiadów zwozić siano, paść krowy albo ozkidować gnój, ale tym się różniłem od rówieśników, że dla mnie była to atrakcja, nie obowiązek. Pracowałem najwydajniej jak mogłem, z poczuciem dyscypliny, ale dla samego uczestnictwa, by dodać sobie ważności i mieć poczucie sensu istnienia. Więc niby to żyłem w Bukowinie jak inne wiejskie dzieci, ale nie wiem, co znaczy być zaharowanym wiejskim dzieckiem. Dopiero dzisiaj przychodzi mi do głowy, że moja zabawa miała jakąś wartość w sensie ekonomicznym, komuś przynosiła zysk – i by ją doprowadzić do końca, trzeba było zażądać choćby lizaka.

Latem bukowiańskie dzieci zbierały borówki i sprzedawały panom. Wziąłem bormię i pobiegłem za innymi, ale nazbierałem niewiele, bo więcej borówek poszło do gęby. - Teloś ino nazbierol? Babka cie dobije po tyj cornyj kufie. - E, cozby go miała dobić, dy to pon. Więc innym razem pilnie zbierałem, nazbierałem więcej niż Jasiek, który był ode mnie większy i silniejszy. Jasne, co było dalej. Wiedział, że nie poskarzę dorosłym. Ale później starał mi się to wynagrodzić: uczył mnie, jak sypać borówki, żeby się wydawało, że jest ich więcej. Uczył mnie także techniki nie wydawania reszty.

rzecz jasna, podbudowanej ideowo: panowie majom skoły, to cymu som takie głupie i nie pilnujom swoik dutków. A przecie i tak ludzie na nik robiom, coby z głodu nie zdechli.

Więc byłem tutejszy i obcy zarazem. I tak już zostało do dziś; nie zakotwiczyłem się psychicznie w żadnym środowisku, nigdzie nie przynależę, nie wiem, gdzie leży moja mała ojczyzna i nigdy się nie dowiem, jak smakuje poczucie wspólnoty.

Tak stałem się panem etnografem. Pan etnograf to człowiek spoza jakiegoś środowiska, znający się na zagadnieniach, które można dogłębnie poznać wówczas jedynie, gdy się tkwi wewnątrz tegoż środowiska. Ale człowiek tkwiący wewnątrz nie może zostać dobrym etnografem z tych samych powodów, dla których krowa nie będzie weterynarzem. Mieliśmy na obozie etnograficznym kolegę pochodzącego z tamtych stron. Wcale nie był lepszy od warszawiaków, przeciwnie; to, co znał z dzieciństwa, wydawało mu się tak oczywiste, że nie widział potrzeby tego notować. Co więcej, nie trafił tego zanotować. Ja natomiast miałem do szczęście, że mogłem się przyjrzeć bukowianom od środka, ale dzięki Bogu niedokładnie, bo od zewnątrz. Ta błogosławiona ignorancja, wynikająca z poczucia zadomowienia na Podkarpaciu daje mi siłę, dzięki której mogę uchodzić za eksperta w sprawach, o których mam bardzo słabe pojęcie.

Lecz te sukcesy nie przyszły od razu. Ja się przez całe moje bukowieńskie dzieciństwo wstydzilem, że nie jestem górale, ponieważ każdy dzień przynosił niezbite dowody, że pon, to człowiek gorszego gatunku, a jedynie góral jest coś wart. Sami panowie to przyznawali, bo przecie na każdym kroku nadskakiwali góralom; zaś górale traktowali panów pobłaźliwie, z wyższością. Co ciekawsze, panom najwyraźniej to odpowiadało. Lubili, żeby ich lekceważyć. Na przykład słowo „ceper”, wybitnie obraźliwe. Nazwać pana ceprem, to jakby nazwać chłopca chamem albo Żyda gudłajem. „Cepry” to słowo znacznie mocniejsze niż „stonka”. Stasek, syn sąsiadów, tylko jeden jedyny raz w złości nazwał

mnie ceprem; bić cię z nim nie mogłem, bo był silniejszy, więc odwróciłem się i poszedłem ku chałupie. Przez tydzień patrzyłem na niego, jakby był przeźroczysty, a gdyby mnie nie był przeprosił, nie odezwałbym się do niego do końca życia. Otóż panowie najwyraźniej lubili słowo „ceper”, gdyż posługiwali się nim na co dzień; w ich języku oznaczało ono człowieka nieporadnego w górach, odpowiednik mieszcza albo szczura łądowego. Jeśli któryś letnik pobłądził w lesie, otarł sobie piętę, jeździł na nartach jak szafa trzydrzwiowa albo nie wiedział, że nie mówi się „spodnie góralskie”, tylko „portki góralskie”, towarzystwo nazywało go ceprem, a on się godził. Nam, bukowieńskim dzieciom, zjawisko to dawało niemało radości; to tak, jak gdyby wytworna cudzoziemka witała się słowami „jestem dupa wołowa”, sądząc, że mówi dzień dobry.

Dorosłych górali także śmieszyło słowo „ceper” w tym inteligenckim znaczeniu. Jędrzej Skupień Florek powiedział: „jo panów cepkami nie przezywom, ale kie sie sami tak przezywajom, to jo sie im nie prociwem. Niek se ta majom, kie fcom.”

Wedle niezłomnego przekonania moich rówieśników, panowie dawno by wyzdychali, gdyby nie górale, którzy na nik robiom. Panowie są ludźmi, ale nie całkowicie. Przede wszystkim dlatego, że nie pracują. Robota w polu czy oborze to praca; praca umysłowa nie jest pracą, bo jej sens nie jest oczywisty; robi się ją na siedząco, a siedzenie to przecie odpoczynek; z czego jasno wynika, że panowie to darmozjady – nic nie robiom, a bierom wielgie dutki nie wiadomo za co, więc powinni te dutki zostawiać ludziom (w mowie bukowieńskiej wyraźnie rozróżniało się „panów” i „ludzi”), tak jak las powinien dawać borówki i grzyby.

W szóstej klasie chodziła z nami do szkoły przez miesiąc albo dwa panna Jędrzejowska, lekarzówna z Chranowa. Gdy ojciec ją zabierał, wręczył nauczycielce bukiet kwiatów, nam też pięknie podziękował i zostawił dwukilogramową torbę cukierków. Podczas przerwy, gryząc cukierki, jednogłośnie uznaliśmy pana J. za głupca: po co dawał pani kwiaty,

przecie pani nie krowa, to ich nie zeźre, gdyby jej dał dutków albo na spódnice, to coś by z tego miała. Kupowanie cukierków całej klasie to też wielka głupota, wyrzucanie pieniędzy. Pan J. zapewne był przekonany, że zostawił po sobie dobre wrażenie. Mylił się.

W domu Babuni była wielka weranda, która czasem mi się śni. Tam się jadało kolacje, a potem dorośli rozmawiali. Szczególnie latem było ludno: rodzina Babuni, jacyś znajomi, wynajmujący pokoje u Orłowskich, Rusinów, Kuruców albo dalej we wsi. Każdy chodził po Tatrach, każdy bardzo chciał zobaczyć niedźwiedzia czy choćby świeżą kupę niedźwiedzia, komuś się to marzenie spełniło, opowiadał, dumny szalenie, a ja się straszliwie bałam. Jakiś pan, mieszkający w domu wczasowym FWP „Watra“ opowiadał, że na jego turnus dostała skierowanie wiejska babina gdzieś z Mazowsza, która nie mogła sobie miejsca znaleźć: pierwszy raz w życiu była wolna od jakichkolwiek obowiązków i trudno jej się było z tym pogodzić. Nie mogła znieść, że podają jej obiad do stołu, chciała zmywać po sobie, zamiatać, wdzierać się do kuchni, denerwowało ją, że nic, ale to zupełnie nic nie robi. Więc ją namówili, żeby sobie poczytała. „Watra” to był przedwojenny pensjonat z częściowo przedwojenną biblioteką; babina wzięła jakiś roman z wyższych sfer, zajęła leżak obok pana, który nam o tym opowiadał, wsadziła na nos okulary i zaczęła sylabizować półgłosem, jakby odmawiała koronkę: ...jej nagie piersi, skapane w księżycowej poświacie, rzekłbyś utoczone z włoskiego marmuru, lecz gorące niczym rozpalona lawa, wznosiły się i opadały, chwytając powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg... No i - opowiadał ten pan - zdrzemnąłem się, a gdy się ocknąłem, słyszę: ...w tym momencie uczuła, że namiętne spojrzenia hrabiego palą jej duszę na popiół, a wszelki opór jest daremny. No to znowu się zdrzemnąłem. Budzę się, bo się ochłodziło, akurat na moment, w którym ciałem Artura wstrząsnął dreszcz pożądania. Rozchylił swe zmysłowe, mięsiste wargi, które nabiegły czarną posoką, i rozdał chrapy niczym koń pełnej krwi arabskiej na bezbrzeżnym stepie...Babina czytała to monotonnym

głosem, a gdy doszła do momentu, w którym błyskawica swym trupim blaskiem rozświetliła na ułamek sekundy dwa nagie ciała, splecione w namiętym uścisku na leśnej polanie pośród mchów i paproci, smagane ulewą, drżące z zimna i niewysłowionej rozkoszy, odłożyła książkę i straszliwie się rozszlochała. „To panowie to robią tak ładnie? Za mną chłopcy się uganiały, dwóch mężów pochowałam, życie przeżyłam, a nie wiedziałam, że to można robić tak ładnie...” Płakała do wieczora, nie chciała jeść, dostała gorączki, zabrali ją do Zakopanego do szpitala.

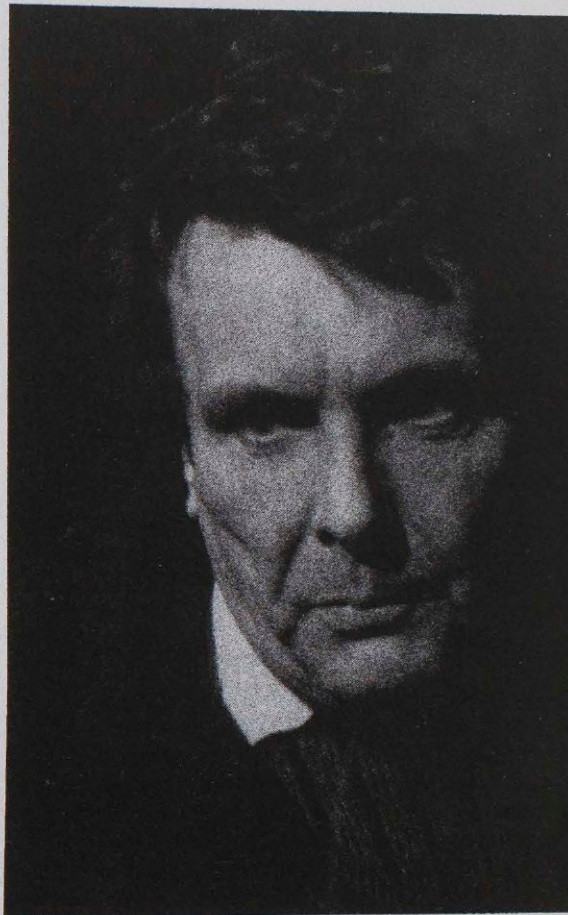
Tamte lata, to przecież także turystyka dla mas. Nikt jej nie opisał, a szkoda, bo przecież niepodobna zrozumieć czasów dzisiejszych, jeśli człowiek nie zda sobie sprawy, jakim gigantycznym wysiłkiem ówczesni chłopcy wchodzili do cywilizacji. Róża Drojecka, wspaniała gaduła, wiele jej zawdzięczam, pracowała wtedy w Zakopanem jako przewodniczka. Obsługiwała wiejskich ludzi, którzy nie mieli śmiałości usiąść w przedziałach kolejowych, choć były dla nich zarezerwowane, i całą noc przestali na korytarzu, rankiem zajężdżali do Zakopanego i bali się, że Giewont na nich się zawali; ktoś przez cały turnus spał na podłodze, bo nie chciał zabrudzić pościeli; kiedyś pół wycieczki Koła Gospodyń Wiejskich spłakało się ze wzruszenia, że władza ludowa pomyślała o nich i przygotowała im na drogę suchy prowiant. Na wieczorkach zapoznawczych kierownicy domów wczasowych wyjaśniali, na czym polega różnica między umywalką a waseklozetem; nad Morskim Okiem aktywiści z powiatu sieradzkiego zbili się w gromadkę i ubolewali, ileż tu nieużytków, jakie straszne dziedzictwo sanacji, ale Polska Ludowa już niedługo zrobi porządek z tą zacofaną kupą kamieni, przydadzą się na budowie socjalistycznych miast, a tutaj, nad Morskim Okiem, zakwitną sady. Wsiadali do kolejki na Gubałówkę nie wiedząc, co ich czeka, a gdy wagonik ruszał, wrzeszczeli, próbowali wyskakiwać, mdleli ze strachu albo modlili się histerycznie; na Kasprowy decydowali się najodważniejsi.

No i tamte lata, to przecież początki Muzeum

Lenina w Poroninie. Do legendowych postaci zakopiańskich zaliczyć wypada nie tylko Sabałę, Chałubińskiego, ks. Stolarczyka, starego Witkiewicza itd., ale również przedstawiciele następnych pokoleń: Józefa Piłsudskiego, Włodzimierza Lenina, Karola Wojtyłę, Eugeniusza Zrosta. Tego ostatniego znałem osobiście.

Krążą o nich klechdy, które warto zanotować. Moja najulubieńsza historia o Piłsudskim w Zakopanem rozgrywa się tuż przed wybuchem wojny; towarzysz Ziuk przyjechał na konspiracyjną odprawę w swych jedynych spodniach, które należało pilnie zreperować, aby dziury na tyłku nie wpadły w oko policji. Ktoś, o ile się nie myłę Andrzej Strug, sprowadził krawca, żeby portki przencował i wylatał, a tymczasem unieruchomiony Piłsudski siedział w gaciach za stołem i kładł pasjansa, wróżąc sobie, czy zdobędzie władzę w Polsce. Dzisiaj na tej chałupie jest tablica pamiątkowa. Muzeum Tatrzańskie przechowuje listy Bronisława Piłsudskiego do Witkiewicza, m.in. z takim fragmentem (cytuję z pamięci): „Ziuczek siedzi w Paryżu, będę klepie. Mój Boże, jaki on niezradny...”

Ale o tow. Zroście. Zjawił się pod Tatrami tuż po wojnie, w gorących czasach, liczne bandy rabunkowe chodziły z kopytem po prośbie, jak to się wówczas powiadało; rabowano podróżnych, turystów, wdzierano się do mieszkań, autobusem i pociągiem też niebezpiecznie było podróżować; jeszcze dzisiaj starsi ludzie potrafią wskazać piękne wille w regionalnym stylu, które stawiano kopytem, czyli zarabiano na ich budowę rewolwerem. Był aktywistą ZWM i PPR, mianowany dyrektorem Muzeum Lenina w organizacji. Stanowisko to wymagało odwagi i tę należy tow. Zrostowi bezwzględnie przyznać. Szukając leninowskich śladów i kładąc podwaliny przyszłego muzeum, ryzykował życiem. Jego kolegów z ZWM zamordowano, bo poszli sobie beztrudno na spacer (nie mam czasu sprawdzić, czy zachowała się tablica pamiątkowa i skromny obelisk w miejscu ich śmierci, czy też jakiś głupiec je zlikwidował). Tow. Zrost miał żelazne zdrowie, wolę działania, otwarte konto



ANTONI KROH (ur. 1942), historyk kultury, etnograf, tłumacz literatury czeskiej i słowackiej. W 1992 roku opublikował książkę *O Szwejku i o nas* (zob. „Krasnogruda” 1993 nr 1 s.174). Mieszka w Nowym Sączu.

w banku i fotokopie dokumentów z pobytu Lenina na Podhalu, przysłane z Moskwy, które miały ułatwić poszukiwania.

Lecz niestety, tow. Zrost nie mógł z nich skorzystać, albowiem języka rosyjskiego nie posiadał. W tamtych pionierskich czasach listy Lenina, pamiętniki Krupskiej itd. nie były jeszcze przetłumaczone na polski. Z całej walizki fotokopii i wielu kilogramów służbowych książek mógł więc tow. Zrost przeczytać o własnych siłach jedynie reprodukcje adresów na kopertach: Sehr geehrter Herr Vladimir Uljanov, Poronin, Galizien. Tow. Zrost wysnuł z tego wniosek, że Lenin mieszkał w Poroninie, a więc swoje energiczne poszukiwania ograniczył do Poronina. Nie przyszło mu na myśl, że poroniańska poczta obsługiwała również sąsiednie wsie. Po jakimś czasie, gdy ktoś gramotny przeczytał, co było do przeczytania, bez trudu odnaleziono w Białym Dunajcu właściwą chałupę. Gaździna, Teresa Skupień, pamiętała swoich cudzoziemskich letników sprzed lat. Zapytana, dlaczego siedziała cicho, tłumaczyła się płacziwie, że już miała kłopoty z policją austriacką, a przecie ona niewinna; teraz znowu jej się czepiają, że ten pon, co u niej siedział, to podobno jakiś bolszewik. Więc dali jej spokój, nikt jej nie włączył po leninowskich uroczystościach. Zresztą wkrótce zmarła.

Więc tow. Zrost szukał w Poroninie. A kto ma otwarte konto w banku i zapal rewolucyjny w sercu, ten znajdzie, czego szuka.

Zwłaszcza, gdy sprzyjają mu dziejowe realia. W tamtych latach, zgodnie z samosprowadzającą się tezą tow. Stalina o zaostrzeniu się walki klasowej w miarę budowy socjalizmu, w każdej wsi typowano kułaka, by podjąć z nim zwycięski bój. Kułakiem poroniańskim mianowano gazdę Guta, który rzeczywiście był stosunkowo zamożny: miał starą karczmę i pensjonat. Jeszcze tego samego dnia gazda Gut wiedział, jakie plany wiąże z nim władza ludowa, złożył więc wizytę tow. Zrostowi, informując, że poszukiwany Lenin mieszkał u niego w domu zajezdnym. A potem ruszyła lawina: wierszyki, artykuły, filmy, audycje, cała Polska wiedziała i wie po dziś dzień: Lenin w Poroninie, Lenin w Poroninie. Budowa muzeum ruszyła w szalonym

tempie, gazda Gut został przemianowany z kułaka na przyjaciela rewolucjonistów, jego karczmę wykupiono za ciężkie pieniądze, wykupiono sąsiednie parcele, chałupy stojące na nich rozebrano; w ten sposób za przyczyną budowy muzeum zniknął z powierzchni ziemi jedyny leninowski zabytek w Poroninie – stara poczta, do której pan Uljanow jeździł codziennie na rowerze po gazety i listy.

A skoro się okazało, że Lenin mieszkał w Białym Dunajcu, nie w Poroninie – zrobiło się dziwnie. Dom w Białym Dunajcu był, owszem, zwiedzany, wymieniany, w zasadzie nie działa mu się krzywda, ale jakoby go nie było; w świadomości społecznej do dziś funkcjonuje zbitka „Lenin w Poroninie”, Białą Dunajec jest znacznie słabiej rozpropagowany. Nawet młody Stefan Niesiołowski poszedł tym tropem i chciał podpalać muzeum w Poroninie, nie w Białym Dunajcu. Nic mu z tego dzięki Bogu nie wyszło, szkoda by było ładnego, stylowego budynku, jakich coraz mniej na Podhalu; ale z drugiej strony szkoda, że Niesiołowskiego zwinęli i pokieroszowali mu w więzieniu osobowość.

W ogóle Lenin w Poroninie to skarbnica dla artysty czy naukowca. Przyszłe pokolenia docenią ten wspaniały temat.

Naturalnie dopiero wtedy, gdy my, kompetentni, przeniesiemy się za księżą oborę, a słowa, które teraz piszę, będą miały wartość dokumentu, gdyż zostały napisane przez naocznego świadka, którym nie byłem.

W połowie lat sześćdziesiątych skończyłem studia i wyjechałem do Zakopanego. Byłem młodym naukowcem. Młody naukowiec tym się głównie charakteryzuje, że chciałby coś odkryć. Ja też chciałem coś odkryć. Problem polegał na tym, że wiedziałem jedynie to, o czym wiedzieli również inni, na ogół lepiej ode mnie, więc nie mogłem tego odkryć. Z kolei nie mogłem przecież odkrywać tego, o czym nie miałem pojęcia – to chyba jasne. Paskudna sytuacja. Szukając gwałtownie, co by tu, cholera, odkryć, zwróciłem uwagę na Muzeum Lenina; zafascynowało mnie zjawisko zapotrzebowania na tubylców, którzy pamiętali wodza rewolucji i rozmawiali z nim. Potrzeby w tym względzie były tak

ogromne, że przyjmowano entuzjastycznie każdy gest dobrej woli. W Muzeum Lenina widziałem notatki z badań terenowych, z których wynikało, że górale urodzeni w dziewiątym, dziesiątym, jedenastym roku prowadzili z Leninem w 1914 roku długie dysputy, które powtarzali słowo w słowo w roku pięćdziesiątym albo sześćdziesiątym któryś. Nie mam zamiaru z tego szydzić, nie posądzam autorów tych notatek o walenrodyzm czy o gorliwość a la podporucznik Dub, a górali o mentalność dobrego wojaka Szwejka, gorzej: obie strony posądzam o autentyczną dobrą wolę, którą i ja noszę w sercu i jestem z tego dumny. Mamy tu chyba do czynienia z wyjątkowym przerostem dobrej woli. Jest to również ilustracja ciekawego zjawiska – oto gdy nasz zdrowy rozsądek i starogrecka logika stają nam na drodze w osiągnięciu upragnionego celu, jednym zdecydowanym ruchem odsuwamy je na bok. Czy to w końcu ważne, że człowiek urodzony w 1910 roku wiosną 1914 roku miał trzy albo cztery lata i nie był dojrzały intelektualnie do wymiany poglądów z Włodzimierzem Iljiczem? Czy to ważne wobec faktu, że mamy to, czego pragnęliśmy tak bardzo?

Na odległość rzutu kamieniem

Gdy człowiek dostanie kamieniem, boli jak diabli, ale jeszcze bardziej boli, gdy człowiek nie dostanie kamieniem, bo jest niegodzien. Chłopcy bukowianie dzielili się na dwa obozy: kto wychodząc ze szkoły skręcał na prawo, w górę wsi, był górzanem, a kto na lewo – dolanem. Od czasu do czasu górzanie i dolanie, zamiast spokojnie iść ku chałupom, chwytali za kamienie albo za bryły lodu. Pan kierownik Ostrowski wylatywał na szkolny ganek, wygrażał pięściami, miotał pogroźki, znieważał obie walczące strony, rozkazywał natychmiast przestać. Gdyby mu wyłączyć fonię, wyglądałby jak charyzmatyczny wódz, zagrzewający armię do boju. Potem prawdopodobnie sobie wyobrażał, że to on swym pedagogicznym autorytetem zażegnał konflikt i nie dopuścił do tragedii. Był w błędzie, bo chłopcy i tak po niejkiej chwili cichli, jakby kto zgasił silnik, i rozchodzili się

w najlepszej zgodzie.

Nie potrafię odpowiedzieć na pytanie, dlaczego jednego dnia nic się nie działo, a drugiego dnia chwytało za kamienie. Nie wiem, co bywało bezpośrednią przyczyną bitki, jak wybuchała, nie jestem w stanie jej zrelacjonować, wskazać prowadzących, opowiedzieć o mechanizmach, które nią rządziły. Zrywała się nagle, wzmagająca, wkrótce cichła. To wszystko.

Zresztą, jeśli nie liczyć tych bójek, górzanie i dolanie żyli zgodnie. Nie przypominam sobie w naszej klasie wrogich obozów ani grupowych antagonizmów. Kogoś się lubiło, kogoś nie lubiło – ale nie dlatego, że mieszkał wyżej bądź niżej. Kto dostał kamieniem, ten rozcierał siniaka, jeśli bolało to płakał i obiecywał straszliwą zemstę, ale na drugi dzień zachowywał się zwyczajnie. Gdyby (teoretycznie) znalazł się chłopak, który w dniach bójki byłby akurat w szkole nieobecny, to taki chłopak mógłby chodzić do bukowiańskiej szkoły przez całe siedem lat i ani razu nie usłyszeć o górzanach i dolanach.

Mój pierwszy raz wyglądał mniej więcej tak: wychodzimy ze szkoły niewielką grupką, idziemy wolniutko, rozmawiamy czy na Marsie są ludzie, wiosna, spod śniegu wypływają potoki brązowej wody i płyną środkiem drogi, zimowa kurtka robi się ciężka, bielutki Hawrań lśni w słońcu, Marek mówi że ludzie na Marsie mogom być, ftoz wi, ale nie ludzie, ba coś podobnego do ludzi, diasi wiedzom co; nagle krzyk, nie wiem kto krzyczy i dlaczego, ale Marek wie doskonale, chwytą bryłę zlodowaciałego śniegu, burego od końskiego nawozu i ciska w Staska, swojego najlepszego przyjaciela, który stoi o kilka kroków od nas i gapi się na ptaki, krążące nad cmentarzem. Stasek się uchyła, pocisk przelatuje mu koło ucha, błysk spojrzenia, widzę, że Stasek natychmiast pojął o co chodzi, podczas gdy ja nic nie rozumiem.

Stasek rozgląda się po ziemi, chwytą coś, podnosi rękę, ktoś wrzeszczy z bólu; biegnę w stronę Domu Ludowego na ile mi starcza oddechu, przysiadam na ławeczce przed którąś chałupą, odpoczywam. Marek nadchodzi i stawia trudne zagadnienie, jak pogodzić ludzi na Marsie z biblijną wersją stworzenia świata.

Pytam, co to było, Marek nie rozumie o co pytam, wreszcie uśmiecha się i mówi, że przecie pirszo godzina, południe minęło.

- No to co? - Nie wiys? Przecie siyćka wiedzom, że dolanie majom rozum ino do południa. Po południu głupiejom.

No, to na drugi raz byłem mądrzejszy. Na drodze już nie było śniegu, tylko żwir i kamienie. Cisnąłem równocześnie kamień i obelgę. Przycupnąłem za stertą ostrewek, sytuacja była korzystna, wychyłałem ze swego bunkra, posuwam się krok po kroczku, szczęśliwy, dzielny, walczę jak w ekstazie. Któryś z naszych siedzi na krawężniku i płacze, a ja prę do przodu, gardząc niebezpieczeństwem. Celuję trochę na oślep, nie żeby w kogoś trafić, po co mi to, ciskam kamienie dla samej radości życia i nawet nie patrzę, czy ktoś rzuca w moją stronę, trochę dlatego, że jestem dzisiaj wyjątkowo dzielny, a trochę dlatego, że kamienie jakoś same mnie omijają.

I wtedy Józek Mendlak, jeden z lepiej zbudowanych dolanów, zawołał do mnie życzliwie: - Idźże chłopce ku chałupie, bo i ty dostaniesz.

W ten przystępny sposób mi uświadomił, jak wygląda moja sytuacja oglądana z zewnątrz. Oto mogłem sobie pozwolić na dzielność, ponieważ dolanie nie uważali mnie za górzana i rzucali kamieniami gdzie indziej. Moje bohaterstwo, dopóki nie zagrażało innym walczącym, było tolerowane, ale skoro tylko wysunąłem się do przodu i stałem się niebezpieczny, poproszono mnie, żebym się wycofał. Jeśli nie, to zostaną potraktowani sprawiedliwie, czyli ukamieniowani.

Spojrzałem w tył. Prawdziwi górzanie kryli się gdzie kto mógł; walczyli dzielnie, ale na bezpieczną odległość, by nie okaleczyć kolegów i nie dostać za mocno. Tylko ja jeden nie umiałem zachować miary, bo musiałem być dzielny bardziej niż inni, było mi to potrzebne, miejskiemu chłopakowi, który zdążył już pokochać Bukowinę, ale nie został górzanem i nigdy nie będzie. Przywołano mnie do porządku, muszę przyznać, że bardzo uprzejmie; gdyby z mojego zachowania wyciągnięto wszelkie dopuszczalne konsekwencje, chodziłbym dzisiaj bez oka albo z dziurą w głowie.

Przygody Antoniego Rybki

Od czasu do czasu smarowałem panom narty albo sprzedawałem borówki, zarobione groszaki były moje i nikomu nie musiałem się z nich rozliczać. Tym się różniłem od szkolnych kolegów; prawie wszyscy zarabiali, na ogół znacznie więcej ode mnie, ale rodzice natychmiast odbierali im pieniądze. Więc ja byłem, wstyd powiedzieć, bogaty pon.

W sąsiedniej ławce siadywał Broniek, z którym próbowałem się zaprzyjaźnić. Przez dłuższy czas mnie zbywał, ale za którymś razem powiedział, tonem prośbą i rozkazującym równocześnie, żebym mu dał śniadanie, bo jest głodny.

Jasne, że był głodny, ja też po całym dniu na śniegu bywałem głodny. Babunia mówiła, że to objaw zdrowia, żebym tak nie wrzeszczał i dokładniej otrzepał się ze śniegu. Rozpakowałem śniadanie, przedarłem na pół dwie kromki chleba z białym serem i dałem koledze, jak się pożyczają ołówka. Trochę się zdziwiłem, że porównał oczami oba kawałki. Mnie się wydawało, że są równe, ale widziałem, że on widzi, że mój kawałek jest większy.

Na drugi dzień Broniek zażądał śniadania bardziej zdecydowanie. Nie miałem, bo akurat nie chciało mi się przygotować. No to idź do piekarni i kup mi bułkę, powiedział opryskliwie, językiem pańskim, nie po góralsku, co było dodatkową karą. Miałem akurat pięćdziesiąt groszy, kupiłem mu wodną bułkę, a przy okazji odkryłem, że Broniek jest głodny nie tak jak ja, radośnie, tylko głodny na smutno, bo ma w domu za mało jedzenia. Czytałem o takim zjawisku w książkach, biedna chatka i głodne dzieci, a tu proszę, widzę to na własne oczy.

Poczułem radość, jak wtedy, gdy po raz pierwszy w życiu zobaczyłem z bliska stadko saren.

Wiedziałem, że Broniek na mnie liczy, więc starałem się przynosić z domu śniadanie w miarę systematycznie. Ale czasem całymi tygodniami chorowałem. Potem bałem się iść do szkoły i narażać się na jego afronty. Miał do mnie pretensje, że sobie po pańsku choruję, gdy on nie ma co jeść.

Dosyć mnie ten układ uwierał, ale również

przynosił zysk, bo choćby na gimnastyce Broniek zagrywał tylko do mnie i dzięki temu nie sterczałem jak kolek przez całą lekcję.

Któregoś dnia pan kierownik zebrał starsze klasy i długo mówił, że na Ziemiach Odzyskanych są wolne gazdówki, murowane, zelektryfikowane, woda w chałupie i w oborze, a kto je obejmie, ten dostanie ziarno siewne, maszyny, pożyczkę bezzwrotną. Więc po co dziadować w Bukowinie, skoro wystarczy się przenieść na prastare piastowskie ziemie, żeby się dorobić. Gdy nas puścił, na korytarzu wisiał plakat „Przygody Antoniego Rybki“:

*Jedźże z nami, Rybko drogi,
Na ugory! Na odłogi!
A więc Rybka sakum-pakum,
Ekwipunek już w plecaku.*

Plakat był podzielony na obrazki, pod każdym obrazkiem czterowiersz. Jak każda dobra agitka, tak i ona miała wątek erotyczny: na drugim albo trzecim obrazku Rybka kosił, na następnym pisał list do Zośki żeby przyjeżdżała bo jest wspaniała, więc na ostatnim obrazku uśmiechnięta Zośka wyglądała z okna wagonu, zaś Antoni Rybka czekał na peronie z bukietem.

Po kilku tygodniach pan kierownik powiedział, że rodzina Bronka przenosi się na Ziemię Odzyskane i bardzo mądrze oraz patriotycznie postępuje. Już wkrótce Broniek będzie bogaty, będzie miał piękne ubranie, a z czasem nawet motocykl. Broniek stał na baczność i słuchał. Był trzynastoletnim chłopakiem jak ja, ale miał twarz dorosłego człowieka. Uśmiechałem się do niego i myślałem, jakimi słowami się z nim pożegnać i życzyć mu szczęścia. Ale mnie uprzedził.

- Hyboj se mnom, mom ci cosi pedzieć.

Poszliśmy dróżką w dół, za cmentarzem skręciliśmy w prawo.

Broniek przystanął, rozejrzął się. Sprawdził, czy nikt za nami nie idzie, a od drogi zasłania nas cmentarz. Zaciśnął rękę w pięść, odwinął się powoli i walnął mnie w głowę.

Zakręciło mi się w rozumie, upadłem w krowie gównno, bryznięto, specjalnie mnie tak ustawił. Leżałem, oglupiał, nie próbowałem się bronić.

Nieraz biłem się z chłopakami, ale tym razem przeżywałem coś nieznanego; Broniek nie wyzywał się na mnie, nie był agresywny, lecz bił spokojnie, metodycznie, jak się odgarnia śnieg, rąbie drwa, podaje snopki. Gdyby mój przyjaciel miał pod ręką siekiere albo kulik, to znaczy gruby kij, pewnie byłby mnie zabił. Ale pracował gołymi rękami i nogami też na bosaka.

Gdy uznał, że robota skończona, rozprostował plecy, wziął to, co mu służyło za teczkę i nie oglądając się, ruszył wolnym, gazdowskim krokiem w stronę Rusińskiego Wierchu. Wstałem dużym wysiłkiem, bolał mnie każdy ruch, byłem wypapranny krwią i krowim nawozem.

Powlokłem się za Bronkiem ścieżką do potoka, żeby się umyć.

Ukląkłem, nabrałem wody w dłoń.

Broniek był już na grapie. Spojrzał w dół, zobaczył że klęczę nad wodą, i krzyknął:

- Cobyś nie zabacył!

I jeszcze raz to samo, ale po pańsku:

- Żebyś se pamiętał!

Pamiętam, Bronuś.

* Fragmenty większej całości.

JACEK
BORKOWICZ

KOZACY (I)

Dzieje Kozaków rosyjskich*

PRZED 1917 ROKIEM

Od XIV wieku na stepach turano-mongolskiej Eurazji nazywano kozakami wolnych koczowników, nie podlegających organizacji państwowej (orda), plemiennej lub rodowej. W połowie XV wieku na południowych rubieżach dzisiejszego Kazachstanu powstała odrębna orda kozacka. Niebawem słowo *kozak* stało się synonimem koczowników Stepu Kipczackiego (por. nazwę własną Kazachów: *Kazak*). Wielu kozaków służyło chanom Złotej Ordy, stając ważną część sił zbrojnych imperium tatarskiego. W okresie rozpadu Ordy na jej zachodnich krańcach, czyli na południowo-wschodniej granicy moskiewskiej Rusi, gromadziły się różnorodny grupy kozaków, zbiegów z Chanatu Kazańskiego i Astrachańskiego. Liczba Kozaków przekraczała wojenne potrzeby słabnących chanów. „Bezrobotni“ żołnierze-najemnicy szukali więc nowego protektora.

Właściwa historia Kozaków rosyjskich zaczyna się z końcem XV wieku, kiedy to łączące ziemie ruskie Wielkie Księstwo Moskiewskie uwalniało się z zależności od Tatarów, a niebawem rozpocząć miało ekspansję na obcoplemienne obszary środkowej i dolnej Wołgi. Na terenie księstwa riazańskiego

wieloetniczna społeczność kozacka utworzyła wtedy rodzaj straży ochrony pogranicza.

Zdobycie w połowie XVI wieku Chanatu Kazańskiego i Astrachańskiego przez Iwana Groźnego umożliwiło Moskwie kontrolę nad stepowymi obszarami, położonymi pomiędzy dolnym biegiem Jajku (Uralu) a dolnym Donem. Rzadko zaludnione stepy zamieszkałe były przez ludy tureckie: hordy Nogajów oraz stataryzowanych potomków Połowców. Strefa wpływów rosyjskich sięgnęła aż do Kaukazu. W 1567 roku wasal i teść Iwana, kabardyński książę Temriuk, stworzył nad rzeką Terekiem, stanowiącą południową granicę Rosji, linię obronną, której załogę nazwano z czasem Kozakami terskimi. W trzy lata później carski ukaz powołał do życia Wojsko Dońskie, którego siedziby mieściły się nad dolnym biegiem tej rzeki. Rodowód Kozaków jaičkih (uralskich) sięga 1577 roku, kiedy to Moskwa rozbiła wielojęzyczną flotyllę piratów nadwołżańskich; pokłęscę osiedlili się oni nad rzeką Jajk (Ural). Jednym z pokonanych nad Wołgą watażków był Jermak, późniejszy zdobywca Syberii. Wojska kozackie, w których przeważał początkowo element tatarski, przyjmowały z czasem etniczne oblicze rosyjsko-ukraińskie.

o nich *domowityje* albo *starożyły*. Była to elita kozactwa. Nad środkowym Donem mieszkała kozacka biedota - *gotutwiennyje* albo *nietiagi*, żyjąca z łupów wojennych i pracy najemnej u starszyny. Biedni Kozacy wzięli czynny udział w powstaniu Razina (1667-1671). Po stłumieniu powstania Kozaków zmuszono do złożenia carowi przysięgi wierności.

Odtąd Moskwa coraz silniej ingerowała w życie kozaczyzny. Po reformie cerkiewnej Nikona część Kozaków opowiedziała się za starym obrządkiem. W 1688 roku władze centralne siłą wprowadziły reformę kościelną nad Donem.

Piotr I, pragnąc poprzez zdobycie tureckiej twierdzy Azowa, leżącej przy ujściu Donu, zapewnić sobie dostęp do Morza Czarnego, wzmacniał kontrolę nad Kozakami. Ukaz carski, znoszący prawo nie wydawania zbiegów, doprowadził do powstania atamana Buławina (1707-1708). Część pokonanych powstańców, głównie starobrzędowców, dowodzona przez atamana Nekrasę (nazywanego w źródłach rosyjskich Niekrasowem), osiedliła się w Turcji.

W 1721 roku rządy atamańskie podlegać zaczęły petersburskiemu Kolegium Wojennemu. Mianowało ono - jednego spośród trzech wybranych przez Kozaków - atamana wojskowego, a od połowy XVIII wieku także atamanów stanicznych (nazywanych odtąd starszynami). Przejęło też kompetencje Wielkiej Rady Wojennej. W podobny sposób zlikwidowano niezależność pozostałych wojsk kozackich.

Jednocześnie z ograniczeniem zewnętrznej roli atamana wojskowego wzrastała jego pozycja wewnętrzna. Ataman przejął prerogatywy Koła Wojskowego. Z kolei zasięg Koła został ograniczony poprzez zastrzeżenie prawa uczestnictwa w nim wyłącznie dla atamanów okręgowych i stanicznych.

Państwo, nie ingerujące dotąd w proces powstawania społeczności kozackich, rozpoczęło też zorganizowane przesiedlenia Kozaków na nowe kolonizowane obszary. W 1755 roku nad środkowym Uralem utworzono Wojsko Orenburskie.

Katarzyna II zniszczyła resztki kozackiej autonomii, znosząc odrębne sądownictwo i przekształcając Kozaków w żołnierzy, zobowiązanych do dożywotniej służby państwu. Odpowiedzią był udział Kozaków w powstaniu Pugaczowa (1773-1775). Poddano

ich za to surowym represjom, szczególnie Kozaków jaickich. Zlikwidowano również Sicz Zaporoską (1775 r.), należąca do Rosji od połowy XVII wieku. Zaporozcy od 1787 roku osiedlali się na odebranych Tatarom stepach nad Morzem Azowskim, dając początek Kozakom Kubańskim.

Kozacy buntowali się aż do ostatnich lat XVIII stulecia. W tym czasie carat zasadniczo osłabił nastroje antyrosyjskie, wiążąc ze sobą kozacką starszszynę poprzez przyznanie jej pełni praw szlacheckich i nadanie na własność ziemi i chłopów.



Stepy dońskie były już wtedy terenem intensywnej kolonizacji rolnej. Jej początkiem było zniesienie w 1695 roku zakazu uprawy ziemi. Powstające od połowy XVIII stulecia twierdze (np. Rostów, 1761 r.) nie tylko były ośrodkami carskiej kontroli nad Kozakami, ale też osadzano wokół nich pańszczyźnianych chłopów z głębi Rosji. Do kategorii

tej spadła również część biedniejszych kozaków, która popadła w poddaństwo u starszyny.

Jednocześnie Kozactwo zaczęło się przekształcać w zamknięty stan. Po zaprowadzeniu nad Donem stosunków pańszczyźnianych zanikło zbiegostwo, tolerowane przez carat do końca XVIII wieku. Ostatnim dużym „przesunięciem pionowym” wewnątrz dońskiej społeczności było nadanie praw Kozaków 77 tysięcy pańszczyźnianych chłopów (ukaz z 1811 r.). Od tej pory rodziny kozackie nie wchodziły nawet w mieszane małżeństwa z nie-kozakami. Jednocześnie stan kozacki różnicował się wewnątrz. W 1804 roku zezwolono na prowadzenie działalności kupieckiej. Kupcy-Kozacy nie służyli w wojsku, płacąc za to specjalny podatek.

Zorganizowano Obwód Wojska Dońskiego, którego stolicą został zbudowany w 1805 roku Nowoczerkask.

Od 1827 roku funkcję naczelnego atamana wszystkich wojsk kozackich pełnił następca tronu. Podlegał mu Główny Zarząd Wojsk Kozackich przy Ministerstwie Spraw Wojskowych. Minister mianował atamana Kozaków dońskich. Ataman ten, w odróżnieniu od atamanów innych wojsk kozackich, nie podlegał władzy lokalnego generała-gubernatora. Mianowanych atamanów wojsk kozackich nazywano *atamanami nakażnymi*. Znamienne, że nie mogli oni pochodzić z kozackiego środowiska. Atamani nakażni wyznaczali atamanów okręgowych. Tylko atamani staniczni i *chutorscy* nadal wybierani byli w wolnych wyborach. Szeregowi Kozacy, jako odrębna formacja militarna państwa carskiego, zobowiązani byli do trzydziestoletniej służby wojskowej.

W 1869 roku rząd uznał tradycyjne formy władania ziemią kozacką (*ziemia jurtowa*). Wspólnota staniczna, dotąd faktyczny użytkownik pastwisk i gruntów ornych, stała się ich prawnym właścicielem. Każdemu dorosłemu Kozakowi przyznano 30 dziesięcin (około 33 ha) ziemi: szeregowym w dożywotnie użytkowanie w ramach wspólnoty, oficerom (szlachcie) na dziedziczną własność. Wielkość rządowych działek w praktyce mieściła się w granicach 9-23 dziesięcin.

Kozacka forma własności była aż do 1917 roku czymś wyjątkowym na etnicznie rosyjskich terenach

cesarstwa, gdzie chłopów (formalnie wolnych) nie było stać na wykup ziemi.

W 1875 roku służbę wojskową skrócono do 20 lat: 3 lata szkolenia po ukończeniu 18 roku życia, 12 lat służby czynnej, 5 lat pospolitego ruszenia, potem rezerwa. Kozak obowiązany był dostarczyć armii własnego konia, broń i umundurowanie. W 1909 roku ponownie skrócono służbę do 18 lat.

Od połowy XIX wieku nad Don i Kubań napływa fala nowych osadników, tak zwanych *inogorodnych*. Nie obejmowały ich kozackie przywileje, mieli także mniejsze prawa niż „starzy” chłopci, osiedleni tu przed stuleciem.

Od lat 70. zaczęło się rozwijać węglowe Zagłębie Donieckie, które niebawem wyłączono z Obwodu Wojska Dońskiego.

Osadnictwo i przyrost naturalny spowodowały, że na początku XX wieku na stepach zaczął być odczuwalny głód ziemi. W 1916 roku wielkość rządowych działek kozackich zmniejszono do 11 dziesięcin (ok. 12 ha).

W 1917 roku w Obwodzie Wojska Dońskiego 42,3% mieszkańców stanowili Kozacy, 25,5 „starzy” chłopci, resztę inogorodni. Osiedla dzieliły się na 134 stаницe kozackie (w tym 13 kałmuckich) i 163 wołosti chłopskie. Średnia wielkość chłopskiego gospodarstwa wynosiła 4,4 dziesięciny (ok. 5 ha). Kozacy posiadali 68,3 % ziemi, chłopci 3,9 %, 15 % należało do szlachty.

W tym czasie Kozaczyzna rosyjska podzielona była na dwanaście Wojsk: Dońskie, Kubańskie, Terskie, Astrachańskie, Jaickie czyli Uralskie, Orenburskie, Syberyjskie, Siemireczeńskie, Zabajkalskie, Amurskie, Ussuryjskie i nowo powstałe Jenisejskie. Terytoria ich rozrzucone były praktycznie na całym obszarze cesarstwa, z wyjątkiem kresów zachodnich. Były to nie tylko struktury militarne, ale także swoiste społeczności, zachowujące i pilnujące własnej odrębności. Wyrazem tej odrębności była autoidentyfikacja jako „Kozacy”, w opozycji do „Rosjan”, przybyszów z zewnątrz. Przybyszami tymi byli w pierwszym rzędzie inogorodni.

Mimo poczucia odrębności Kozaczyzna była militarną podporą carskiego imperium. Wojska kozackie nie tylko walczyły na frontach zewnętrznych,

lecz także tłumili zamieszki na tle socjalnym oraz powstania uciskanych narodów. W porównaniu z chłopami, stanowiącymi bezwzględną większość mieszkańców Rosji, status Kozaków był wyraźnie uprzywilejowany. Porównanie to odnosiło się również do inorodców, czyli różnoplemiennych mieszkańców południowych i wschodnich obszarów imperium. Ich kosztem poszerzały się ziemie kozackie. Drastycznym tego przykładem była konfiskata na rzecz Kozaków Orenburskich 11 milionów dziesięcin stepowych pastwisk, należących do Małej Ordy kazachskiej (1835-1837). Podobnie postępowano z ludami kaukaskimi.

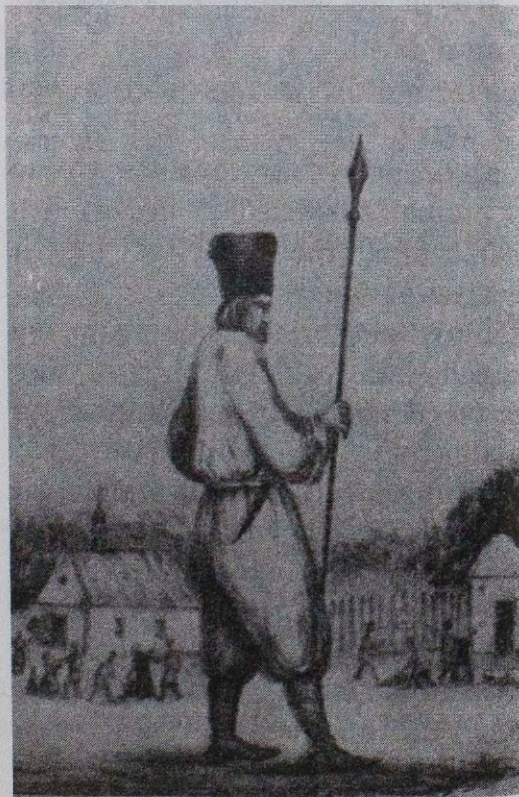
Liczebność Kozaków wynosiła w 1917 roku około 4,5 miliona, co wynosiło 2,4 % ogółu mieszkańców Rosji. Na czoło wysuwali się tu Kozacy Dońscy i Kubańscy, którzy liczyli odpowiednio 1,5 i prawie 1,4 miliona osób. Były to Kozaczyzny nie tylko największe, ale i najbardziej niezależne. Dońcy, mimo likwidacji ich autonomii przez carat, zachowali wspomnienia o swobodnej przeszłości, Kubańcy dziedziczyli buntownicze tradycje Zporoża. Większość Kozaków Kubańskich mówiła po ukraińsku.

W starszych wojskach pewien odsetek ludności stanowili niesłowianie: od 2 % Kałmuków w Dońskim, po 6-7 % Tatarów, Baszkirów, Mordwinów i Kałmuków w Jaickim, Orenburskim i Syberyjskim oraz 8 % Buriatów i Ewenków w Zabajkalskim. Wojska kozackie założone, bądź zreorganizowane w XIX wieku, głównie na świeżo zajętych obszarach azjatyckich, były prawie bez wyjątku rosyjskie (Terskie, Astrachańskie, Siemireczeńskie, Amurskie, Ussuryjskie i Jenisejskie). Wyrazem polityki rusyfikacyjnej wobec Kozaków, nasilającej się od połowy XIX wieku, była likwidacja w 1865 roku Wojska Baszkirsko-Mieszczerskiego, jedynej w całości niesłowiańskiej formacji kozackiej.

Nowe, powstające od XIX wieku wojska były typowymi strukturami kolonialnymi, organizowanymi przez państwo „na surowym korzeniu“, bez wykształconego przez pokolenia społecznego zaplecza, jakie miał chociażby Don czy Kubań. Jednak zarówno „starzy“, jak i „nowi“ Kozacy mieli świadomość przynależności do jednej wielkiej wspólnoty, rozciągającej się od Morza Czarnego po Ocean Spokojny.

WOJNA DOMOWA I DRUGA WOJNA ŚWIATOWA

Pierwszym echem rewolucji lutowej 1917 roku i abdykacji Mikołaja II było pozbycie się przez Kozaków atamanów nakaźnych i powołanie Wszechrosyjskiego Związku Wojsk Kozackich, pierwszej w dziejach ogólnokozackiej władzy, niezależnej już od carskiego Kolegium Wojskowego. Na czele Związku stanął ataman orenburski Aleksander Dutow. W maju 1917 roku ataman nakaźny Wojska Dońskiego Bogajewski otworzył pierwszą po ponad dwu wiekach Wielką Radę Wojenną. W Jekaterynodarze powołano lokalny rząd, Radę Kubańską, która ogłosiła niezależność od pietrogradzkiego Rządu Tymczasowego.



Hajdamaka

Pomijając kwestię, czy poprzec obalonego cara, czy demokratów ogół Kozaczyzny zgodnie sterował w kierunku faktycznej samodzielności.

Jednocześnie Kozacy pozostali stosunkowo odporni na propagandę bolszewicką, która doprowadziła do rozkładu armii rosyjskiej. Kozackich okręgów nie ogarnęła rewolucyjna anarchia. „Wszystko zmieniło się zaraz przy wjeździe na pierwszą stację w Obwodzie Wojska Dońskiego. Żadnych skupisk dezertarów, żadnego nieporządku. Wydawało się, że podróżni znaleźli się w innym świecie” - pisze rosyjski historyk (A. Gordiejew: *Istoria Kazakow*. T. 4 Paryż 1968. s. 142.). W miarę radykalizacji rewolucyjnych haseł zwolennicy starego porządku zaczęli dostrzegać w kozackich pułkach jedyną siłę, zdolną do ocalenia Rosji.

Bolszewicy, zaraz po zwycięstwie, weszli w zasadniczy konflikt z Kozakami. 10 listopada 1917 roku dekretem Wszechrosyjskiego Centralnego Komitetu Wykonawczego i rządu „O zniesieniu stanów i rang obywatelskich” zlikwidowano prawnie m.in. stan kozacki i zrównano Kozaków z resztą obywateli. Jeszcze w tym samym miesiącu ataman Aleksandr Kaledin i gen. Aleksiejew poczęli tworzyć nad Donem antybolszewicką armię ochotniczą. W tym samym czasie w Orenburgu ataman Dutow specjalnym ukazem wydał wojnę władzy sowieckiej. W walkach z bolszewikami wspomagały go nowo utworzone, narodowe siły zbrojne Baszkirów i Kazachów.

W grudniu rozpoczęła się bolszewicka ofensywa, skierowana przeciwko Kozakom Dońskim, Kubańskim i Orenburskim. W szeregach Dońców znalazł się niedoszły dyktator Rosji, gen. Korniłow. Pod koniec stycznia 1918 roku bolszewicy zwyciężyli Kaledina (który zastrzelił się) oraz weszli do Orenburga, zyskując w ten sposób połączenie z „czerwonym” Turkiestanem. Ich sukcesy można częściowo tłumaczyć pewnym rozprężeniem w wojskach kozackich, które mimo wszystko nie były wolne od sowieckiej infiltracji.

W marcu w ręce bolszewików wpadł Nowoczerkask, stolica Kozaków Dońskich. 23 marca 1918 roku ogłoszono tam powstanie Dońskiej Republiki Radzieckiej. Kozaków potraktowano jako jedną z uciskanych przez carat narodowości, realizujących

prawo do samostanowienia w wydaniu leninowskim. Bolszewicy zajęli również Jekaterynodar, gdzie powołali w maju Kubańsko-Czarnomorską Republikę Radziecką. Proklamowana w Piatogorsku Terska Republika Radziecka obejmować miała miejscowych Kozaków i ludy północnego Kaukazu.

Nasilający się terror bolszewicki zmobilizował Kozaków do walki przeciwko nowej władzy. Przez cały marzec i kwiecień w stanicach tliły się nieustające bunty. Nowoczerkask przechodził z rąk do rąk. Na początku maja 1918 roku do Rostowa wkroczyli Niemcy, stając się nieoczekiwanymi sojusznikami Kozaków. Sowiecki rząd doński uciekł do Carycyna (dziś Wołgograd), a niebawem go rozwiązano. Niemcy okupowali tylko niewielką część ziem dońskich (zresztą niedługo), ich wejście było jednak sygnałem do ogólnokozackiego powstania. 16 maja zgromadzone w Nowoczerkasku Koło Ocalenia Donu wybrało atamanem gen. Piotra Krasnowa. W czerwcu Kozacy podjęli ofensywę na Carycyn. W walkach tych po stronie bolszewickiej brała udział m.in. Zachodnia Dywizja Strzelców, złożona z Polaków. W tym samym czasie po stronie kozackiej walczyła na Kubaniu 4 Dywizja Strzelców gen. Żeligowskiego. Na Uralu Dutow uparcie walczył o odzyskanie Orenburga, co udało mu się na początku lipca.

W sierpniu 1918 roku powstał rząd doński, w którym Krasnow otrzymał buławę „Atamana Wszechwielkiego Wojska Dońskiego”. W toku walk coraz więcej Kozaków skłaniało się ku pełnej niezależności od Rosji: z białą, po rozstrzelaniu cara (lipiec 1918 r.) nic już ich nie łączyło, z czerwoną dzieliła ich rozlana krew wojny domowej. 28 września 1918 roku Don uchwalił własną konstytucję i przyjął własną flagę i herb. 18 grudnia 1918 roku jego śladem poszedł Kubań.

Odpowiedzią bolszewików była wydana w styczniu 1919 roku dyrektywa biura organizacyjnego KC WKP(b), w której stwierdzano, że „z powodu doświadczeń z Kozakami w wojnie domowej” konieczne jest „rozpętanie jak najbardziej bezlitosnej wojny przeciw wszelkim kozackim elementom przywódczym, likwidując je do ostatniego”. W istocie zalegalizowany terror uderzył w całe społeczeństwo kozackie. Masowe rozstrzelania, rozpoczęte w zajętych

przez władzę sowiecką stanicach, trwały do 1922 roku. Ogółem ofiarami wojny i terroru padło około 1,5 miliona Kozaków - jedna trzecia całej populacji.

Na początku 1919 roku gen. Denikin czynił przygotowania do wielkiej ofensywy na Moskwę. Ten zwolennik niepodzielnej Rosji nie tolerował kozackiego separatyzmu i usiłował podporządkować sobie zarówno niepodległościową Radę Kubańską, jak i Krasnowa. W styczniu ataman ustąpił, przekonując część Dońców i Kubańców, którzy weszli w skład denikinowskich Sił Zbrojnych Południa Rosji. Podobnie uczynił na Uralu Dutow, który podporządkował swoje wojska Kołczakowi.

Spór o to, czy do walki z bolszewikami iść same-mu, czy też z białą Rosją, trwał jednak nadal, szczególnie nad Donem i Kubaniem (w Jekatierynodarze doprowadził on do podziału w Radzie Kubańskiej). Kozackie pułki w armii denikinowskiej buntowały się. W lutym Krasnow, zmuszony do odejścia z armii, udał się na Zachód, w tym bowiem czasie w Paryżu rozpoczynała się konferencja pokojowa. Delegacja Donu i Kubania uczestniczyła w preliminariach rozmów, zabiegając o uznanie międzynarodowe dla niepodległych republik. Ostatecznie jednak alianci postanowili poprzeć koncepcję silnej Rosji Denikina, zignorowali więc kozackie postulaty.

Jednocześnie zaostrzały się represje denikinowców w stosunku do niepodległościowej „frakcji” rządu kubańskiego. Jesienią 1919 roku gen. Pokrowski, minister wojny w tym rządzie a jednocześnie zwolennik niepodzielnej Rosji, dokonał puczu i rozkazał powiesić przywódcę niepodległościowców, Kałabuchowa.

Druga połowa 1919 roku to okres zaciętych walk formacji białogwardyjskich (wśród nich Kozaków) z bolszewikami. Zwycięstwo, kilkakrotnie wążące się na szali, ostatecznie przypadło bolszewikom. Z końcem roku rozbili oni wszystkie fronty kozackie. Pokonane oddziały Dutowa wycofały się do Azji. 7 stycznia 1920 roku padł Nowoczerkask. Kubań bronił się do końca marca. Ostatnim aktem politycznym upadającej Kozaczyzny było powołanie w styczniu w Jekatierynodarze Związku Południowo-Wschodniego, federacji Donu, Kubania i Tereku. Nie odniosło

to jednak praktycznych skutków: na ratowanie sytuacji było już za późno.

Część wojsk kozackich przetransportowano na Krym, stamtąd zaś do Turcji. 40 tysięcy Kozaków (głównie ludność cywilna) dostało się w ręce sowieckie na granicy Gruzji; uciekający na zachód zatrzymani zostali na Dniestrze przez rumuńską straż graniczną. Wielu Kozaków popełniło wówczas samobójstwo, by nie wpaść w ręce bolszewików. Pozostałe w stepach niedobitki wojsk kozackich przeszły do partyzantki (atamani Kułakow, Szkuro i Pawluk).

Zwycięstwo nad Kozakami przypieczętował dekret z 25 marca 1920 roku, likwidujący staniczne wspólnoty ziemskie. Duża część kozackiej ziemi przeszła w ręce inogrodnych.

Bolszewicy niebawem zmobilizowali biedniejszych Kozaków do walki na froncie polskim (kawaleria Budionnego), lecz w trakcie letniej kampanii 1920 roku niektóre szwadrony przeszły na stronę Polaków. Po zakończeniu wojny bolszewicy rozwiązali formacje „czerwonego” kozactwa, samym zaś Kozakom zakazano służby wojskowej.

Zbrojny opór na Kubaniu zdławiono dopiero w 1922 roku, kiedy to szef bezpieczeństwa (CzK) w Jejsku zaczął rozstrzeliwać rodziny zakładników.

Na ziemię kozackie wkroczyła sowiecka administracja. Nie powrócono już do pomysłu republik, zacierano za to wszelkie ślady kozackiej odrębności. „W Nowoczerkasku nie zauważyłem ani jednego czuba, ani jednej papacy z wyszytym galonami denkiem: wszystko ubrane w zwykły kiepski szirpotrieb i bynajmniej nie zdradzające dawnej kozackiej buty.” - pisał w latach trzydziestych polski publicysta, któremu pozwolono na wizytację Donu (J. O. Berson: *Minus Moskwa*. Warszawa 1935 s. 47-48.). Jekaterynodar przemianowano na Krasnodar, Orenburg uczyniono stolicą Kirgiskiej ASRR. Dońców „zapisano” jako Rosjan, Kubańców jako Ukraińców (części tych ostatnich pod koniec lat dwudziestych zmieniono narodowość na rosyjską).

Kolejnym etapem likwidacji kozaczyzny była kolektywizacja, przeprowadzona na przełomie lat dwudziestych i trzydziestych. Szczególnie drastyczny przebieg miała ona na Kubaniu, skąd wysiedlono całe rejony pod zarzutem sabotażu rolnego.

Spacyfikowani Kozacy przestali być groźnym przeciwnikiem władzy sowieckiej. Najbardziej świadomy element wyginął na wojnie, bądź - jako kułacy - na Syberii. Jedynie kozacka emigracja, rozproszona w Polsce, Czechosłowacji, Niemczech, Francji czy Jugosławii, stanowiła zorganizowaną siłę. Duża część Kozaków trzymała się z dala od białej emigracji rosyjskiej, podkreślając własną odrębność (organizacja „Wolne Kozactwo”). Emigranci nie mieli jednak praktycznie żadnych kontaktów z krajem.

W 1936 roku Stalin cofnął zakaz służby wojskowej. W ZSRR powstało kilka „czerwonych” dywizji kozackich. Służyli w nich rekruci z rodzin, które przed 1920 rokiem należały do kozackiego proletariatu, a także z rodzin byłych inogorodnych.

W wyniku ataku Hitlera na ZSRR w niewoli niemieckiej znalazły się setki tysięcy sowieckich żołnierzy. Byli wśród nich liczni Kozacy, zarówno ze standardowych formacji Armii Czerwonej, jak i z dywizji „czerwonego” kozactwa. Jednak większość z nich walczyła w formacjach sowieckich pod przymusem. Wykorzystały to pewne kręgi oficerów Wehrmachtu, forsując ideę wyzwoleniczej armii kozackiej u boku wojsk niemieckich. Sytuacja militarna sprzyjała takiemu rozwiązaniu: armia niemiecka sta-

nęła jesienią 1941 roku na granicy ziem dońskich, zajmując nawet na krótko Rostów. Jednak Hitler przeciwny był temu pomysłowi, dając jedynie zgodę na służbę Kozaków w rozproszonych formacjach pomocniczych.

Mimo tych przeszkód, wojsko kozackie faktycznie odradzało się. Już na jesieni 1941 roku utworzono w Mohylewie sześć ochotniczych sotni kozackich pod dowództwem majora Kononowa.

W lipcu 1942 roku Niemcy zajęli prawy brzeg Donu, w sierpniu cały Kubań, jesienią zaś część byłych ziem Kozaków Terskich. Mieszkańcy tych ziem przyjęli to jak wyzwolenie. Z ukrycia, w którym przebywali od dwudziestu lat, wyszli legendarni przywódcy partyzantki, ataman Kułakow i gen. Szkuro. Powstał Kozacki Ruch Narodowo-Wyzwoleniczy, którego działacze przystąpili do tworzenia własnych formacji zbrojnych. Służyli w nich Kozacy, Kałmucy i Kaukazczycy.

Po załamaniu się frontu stalingradzkiego na przełomie grudnia 1942 roku i stycznia 1943 roku setki tysięcy uchodźców z nad Donu, Kubania i z północnego Kaukazu ruszyły na zachód. Wiosną 1943 roku na tyłach wojsk niemieckich rozpoczęto organizowanie na większą skalę kozackich sił zbrojnych. Pułkownik von Stauffenberg (późniejszy wykonawca zamachu na Hitlera) uzyskał zgodę na sformowanie samodzielnej dywizji kozackiej. Powstała ona w Mławie, pod dowództwem płk kawalerii von Panwitz. Hitler, do końca niechętny wschodnim narodowym formacjom militarnym, postanowił wysłać dywizję na Bałkany. Wywołało to wzburzenie wśród Kozaków, którzy wierzyli, że pójdą odbijać własne ziemie. By opanować sytuację, ściągnięto z berlińskiej emigracji sędziwego już atamana Krasnowa, który uważał, że Kozacy mogą przyczynić się do rozgromienia światowego komunizmu, winni więc walczyć z partyzantami Tity. Ostatecznie dywizja wyjechała do Jugosławii.

Tymczasem niezorganizowani dotąd uchodźcy utworzyli w okolicy Kamieńca Podolskiego Kozacki Stan (rodzaj samorządnego taboru), który wiosną 1944 roku przeniósł się w rejon Nowogródek-Baranowicze, a w lipcu dotarł do Zduńskiej Woli. Po wybuchu powstania warszawskiego Niemcy chcieli



Pieczęć wojska zaporoskiego

użyć ich do akcji pacyfikacyjnych, ale Kozacy odmówili (do Warszawy pojechał tylko mały oddział pułkownika Bondarenki). We wrześniu Kozacki Stan ewakuował się do północnych Włoch.

Kłęski Niemców wymusiły na ich przywódcach częściową zmianę kursu: pod koniec marca 1944 roku zezwolono na utworzenie namiastki kozackiego rządu. Na jego czele stanął Krasnow. Do formacji kozackich zaczęli masowo napływać emigranci z 1920 roku. Spod władzy Głównego Zarządu Krasnowa wyjęta była jednak walcząca w Jugosławii dywizja Pannwitza. W lecie przeszła ona pod dowództwo Leitstelle-SS i pod koniec roku rozrosła się w XV Kawaleryjski Korpus Kozacki.

Kozacki Stan na wiosnę 1945 roku liczył około 40 tysięcy osób, z czego połowę stanowiła ludność cywilna. Prawie 70% korpusu oficerskiego stanowili emigranci. Na początku maja Kozacy przekroczyli Alpy i znaleźli się w Austrii, gdzie poddali się Anglikom.

23 maja przedstawiciele Armii Czerwonej i brytyjski generał Alexander podpisali w Wiedniu porozumienie, na mocy którego Kozacy, wraz z innymi byłymi obywatelami sowieckimi, mieli zostać wydani władzom radzieckim. Anglicy zataili fakt porozumienia i 29 maja, pod pozorem narady, zgromadzili kozackich oficerów i pod konwojem odesłali posturkom sowieckim. 1 i 2 czerwca to samo uczyniono z resztą kozackich żołnierzy i ich rodzinami.

Podobny los spotkał kozaków Pannwitza. W połowie maja, naciskani przez partyzantów Tity, wycofali się oni do Austrii, gdzie zostali ogarnięci przez wojska brytyjskie. Między 26 a 29 maja wszyscy zostali wydani Sowietom.

W ten sposób w rękach Stalina znalazło się ponad 50 tysięcy kozackich oficerów, żołnierzy, kobiet i dzieci. Także oficerowie ze starej, porewolucyjnej emigracji, chociaż umowa wiedeńska wspominała wyłącznie o obywatelach sowieckich. Ocalał tylko trzeci zapasowy pułk Kubańców, który nie zdążył wycofać się z Włoch do Austrii z resztą Kozackiego Stanu.

Wydanych Związkowi Radzieckiemu Kozaków rozstrzeliwano, wtrącano do więzień i zsyłano do łagrów. Prawdopodobnie większość z nich

nie przeżyła stalinowskich represji.

Kozackich dowódców, na czele z Piotrem Krasnowem, Andriejem Szkuro i Helmutem von Pannwitzem skazano 16 stycznia 1947 roku w Moskwie na powieszenie i stracono.

Spółeczność Kozaków, dwukrotnie doświadczona masowym wyniszczeniem najbardziej świadomych jednostek, rozplynęła się - pozornie - bez reszty w ujednoliconym społeczeństwie ZSRR. Po wojnie rozwiązano nawet „czerwone” kozackie dywizje. Tępieno resztki odrębności, represjonując nielicznych, którzy publicznie identyfikowali się jako Kozacy. Jedyną tolerowaną formą manifestacji tej odrębności była działalność kazackich zespołów pieśni i tańca.

Trudno dziś ocenić, w jakiej mierze krwawo stłumiony bunt robotników Nowoczerkaska w 1961 roku inspirowany był przez wolnościowe kozackie tradycje, przekazane proletariuszom przez ich urodzonych w stanicach rodziców. Niewątpliwie nie jest przypadkiem, że pierwsze po wojnie wystąpienie robotnicze w ZSRR miało miejsce właśnie w dawnej stolicy Obwodu Wojska Dońskiego.

* Pierwszy rozdział pracy zbiorowej pod redakcją Jacka Borkowicza pt. „Kozacy” przygotowanej przez Ośrodek Studiów Wschodnich w Warszawie w 1993 roku. Następne rozdziały tego opracowania będziemy publikowali w następnych numerach „Krasnogrudy”.

Termin „kozacy” występuje w szkicu w kilku różnych znaczeniach: jako etnos bądź jako grupa etniczna lub środowiskowa. W zależności od użytego w tekście znaczenia pisany jest wielką albo małą literą.

ANNA ENGELKING

GRAŻYNA RUSZCZYK

POLESIE

Jeszcze nie tak dawno temu, do końca lat pięćdziesiątych XX wieku, we wschodniej części Europy istniało Polesie – wielki kompleks dziewiczej przyrody: bagien, lasów, jezior i rzek, obszar miejscami niedostępny, a nawet wrogi człowiekowi, matecznik wielu gatunków zwierząt, nie spotykanych w innych rejonach Europy.

W sensie geograficznym Polesie istnieje nadal. Ale nie istnieje już jego pierwotny krajobraz i wyrosła w nim kultura. Niszczono je systematycznie od początku lat sześćdziesiątych. Władze Związku Radzieckiego, w którego granicach Polesie znalazło się niemal w całości w 1939 roku, postanowiły osuszyć tysiące kilometrów kwadratowych poleskich błot. Nie wzięto pod uwagę konsekwencji tej decyzji. Melioracja oczywiście była niezbędna, ale należało ją przeprowadzić profesjonalnie i ograniczyć jej zasięg.

Polesie zostało odwodnione. Przez bagna przekopano zbyt głębokie rowy melioracyjne, połączone wzajemnie i zabezpieczone systemem śluz. Wodę z kanałów przepompowywano do pogłębionych rzek, które otoczono systemem wałów. Operacja ta doprowadziła do tak znacznego obniżenia poziomu wód gruntowych, że wyschły, unikalne w Europie, kilku-

setletnie lasy dębowe na bagnach, oraz całe poacie borów, olsów, łęgów i bagiennej roślinności, a we wsiach, położonych na suchszych ostrowach pośród bagien, zanikła woda w studniach.

Kolejną błędną decyzją okazało się stworzenie wielohektarowych pól kolchozowych i przeznaczenie ich pod jednoroczne uprawy. Ciężkie maszyny rolnicze co rok rozbijały torfową glebę w pył, który wiatr wywiewał z nie osłoniętych drzewami pól, odkrywając piaszczyste i nieurodzajne podłoże. Ruszyły też, nie zatrzymywane przez lasy, piaszczyste wydmy, przenoszone przez silne, na otwartych przestrzeniach, wiatry. Powoli więc bezkresne bagna Polesia zamieniają się w bezkresną pustynię.

Spustoszenie poczynione przez meliorację nie byłoby tak wielkie, gdyby nie odejście, w imię „postępu”, od tradycyjnej na Polesiu gospodarki hodowlanej. Gdyby na osuszonych terenach pozostawiono łąki, które związują torfową glebę, nie doszłoby do erozji i jednocześnie zahamowało proces niszczenia kraju. Tak się nie stało, i dzisiaj, z żyznych pól, jakie na krótko powstały, pozostały nieużytki, a Europa straciła jeden z najpiękniejszych naturalnych rezerwatów przyrody. Jego zagłady dopełniła awaria elektrowni jądrowej w Czarnobylu.

KRAJ

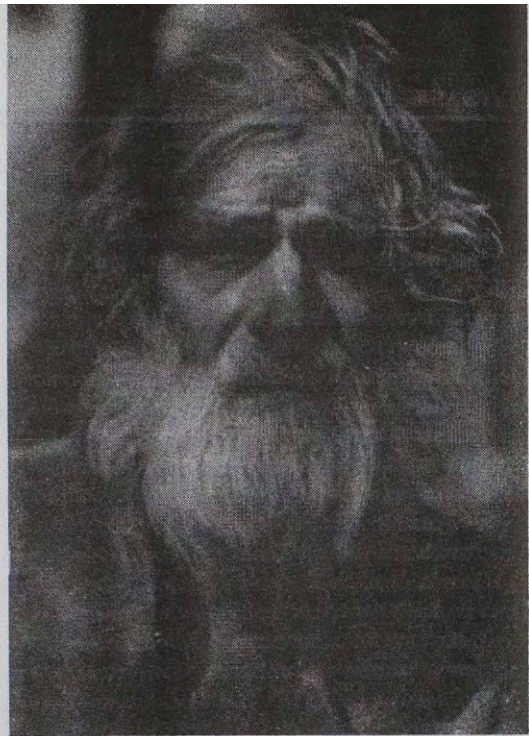
Podróży mojej opisywać niepodobna, bo by to była najnudniejsza frazomachia, jakąście w życiu czytali, a ja pisałem – zapewniał czytelników Józef Ignacy Kraszewski po podróży na Wołyń, Polesie i Litwę w roku 1850 – Cóż? Kraj lasu, piasków, błota, ubogiego ludu; mosty drżące i pogruchotane, groble, po których jadąc, trzeba zębami dzwonić ze strachu, żeby się wszystkie kości nie potrzaskały, lasy smutne sosnowe, sosny nawet rachityczne, garbate, kulawe, pełno korzeni na drodze, brody niezmiernie, piaski nie przejechane, czasem krzyż na rozstaju, stara cerkiewka podparta na kulach, mogiłki z domkami na grobowcach przypominającymi pogańskie czasy... A wioski? - chaty do połowy w ziemi, lud chudy i na pół nagi... - nic doprawdy ciekawego.¹

Nic?

Najstarsze wzmianki o Polesiu znamy z trzynastowiecznych zapisów kronikarskich. Pod datą 1276, autor *Latopisu Ipacewskiego* zanotował, że książę łucki Mściśław Daniłowicz „szedł był od Kopyła wojując po Polesiu”². Słowo „polesie”, pochodzące od starosłowiańskiego słowa „les”, oznacza „niewysoko-pienny las”, „błotnisty lasek”, „miejsce po wyciętym lesie”, „leśną miejscowość wśród błot”, a w konkretnym odniesieniu geograficznym: „części dawnych województw brzesko-litewskiego, wołyńskiego i kijowskiego obfite w lasy”³. Istnieje także druga, bałtycka etymologia słowa polesie: bałtyckie pala, palios, pelese, pelyso to „błota”, „błotnisty las”, a także „wielkie błota”, czyli bagna⁴. Obie etymologie są równie przekonujące – Polesie było przecież krajem zarówno lasów, jak i bagien. I równie uzasadnione: ziemie te zamieszkiwali zarówno Słowianie, jak i Bałtowie.

Polesie rozciąga się na obszarze około stu tysięcy kilometrów kwadratowych – od północy zamyka je Wyżyna Białoruska, od południa Wyżyna Wołyńska, od wschodu granice jego przekraczają Dniepr i opierają się na Desnie, a od zachodu na Bugu.

Krajobraz Polesia ukształtował przede wszystkim lodowiec, który zniwelował wyniosłości i doliny narosłe na prekambryjskiej tarczy krystalicznej Europy i utworzył nowe: moreny czołowe ograniczające Polesie od północy i południa oraz rozległą nizinę



By mówić o człowieku, poznać go, zrozumieć, trzeba znać naturę kraju. Kto kraju nie zna, to i ocena człowieka będzie fałszywa. (Franciszek Wystouch)

z podłożem piaszczystym i gliniastym z niezwykle szerokimi pradolinami rzek. Słabo przepuszczalne podłoże, bardzo nieznaczny spadek rzek i nizinność terenu, na który przenikały wody gruntowe z sąsiednich, wyższych rejonów przyczyniły się do powstania poleskich rozlewisk i bagien.

W krajobrazie poleskim dominowały dwie, ciągle przenikające się ze sobą, formacje roślinne: lasy sosnowe z domieszką drzew liściastych na glebach piaszczystych, które w miarę zbliżania się do wody i błot stawały się różnorodne i bujne oraz typowa roślinność bagienna, pokrywająca najrozleglejsze bagna w Europie.

Specyficzne warunki naturalne, utrudniające, a nawet uniemożliwiające komunikację, spowodowały, że przez wieki Polesie było bardzo ograniczone w kontaktach ze światem zewnętrznym. Dlatego znacznie dłużej zachowało tradycyjną strukturę społeczności wiejskiej, odziedziczonej po przodkach metody gospodarowania oraz wiele archaicznych,

pamiętających czasy przedchrześcijańskie, obrzędów i wierzeń.

Jak każdy obszar pogranicza kultur, Polesie współzamieszkiwały różne grupy narodowościowe i wyznaniowe: Białorusini, Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Niemcy i wiele innych; przeważającą część mieszkańców stanowiła jednak ludność „tutejsza”. *Zagadnięty, kim jest, włościanin białoruski zwykle odpowie: „Ja, panoczku, tutejszy”, jak gdyby słowo «tutejszy» było dlań alfą i omegą* – pisał przed ponad stu laty Oskar Kolberg⁵. Określanie swojej tożsamości jako „tutejszej”, czyli identyfikacja grupowa oparta na poczuciu więzi z miejscem zamieszkania, jest zjawiskiem typowym w tradycyjnych społecznościach ludowych. Warto więc zastanowić się nad charakterystyką narodowościową mieszkańców Polesia.

W średniowieczu ziemie te zamieszkiwali Słowianie wschodni i prawosławni Rusini. Od XIII wieku, kiedy nasiliła się kolonizacja litewska, wspólnie z plemionami ruskimi żyli na Polesiu Litwini, którzy łatwo poddali się rutenizacji, przyjmując słowiański język i religię. Od XV wieku, po unii polsko-litewskiej, zaczęła napływać ludność polska. Rozpoczął się wówczas złożony, dwupoziomowy i dwukierunkowy proces. Z jednej strony bogate warstwy społeczeństwa – bojarzy ruscy i litewscy – ulegały polonizacji; początkowo była to identyfikacja stanowa – z polską szlachtą, mającą większe przywileje i znaczenie polityczne, z czasem, po unii lubelskiej – przyjmowanie języka polskiego i religii katolickiej. Z drugiej strony zachodziło zjawisko odwrotne – ubożsi osadnicy polscy, w tym drobna szlachta, rutenizowali się – najpierw językowo, później religijnie.

Kiedy w 1897 roku władze carskie, przeprowadzały spis ludności, określenie narodowości obywateli guberni zachodnich nie stanowiło problemu. Za kryterium narodowości przyjęto religię: katolik to Polak, prawosławny – Rusin. Analogicznie rejestrowano Żydów, Tatarów i inne nacje. Pewnym problemem okazał się język „tutejszy” – uznano go za mieszanię białoruskiego, małoruskiego (ukraińskiego) i polskiego.

Spisy ludności przeprowadzone przez administrację polską w 1921 i 1931 roku, uzmysłowiły złożoność problemu tożsamości narodowej mieszkańców

Polesia. Takich, którzy określali się jednoznacznie jako Białorusini, Litwini, Polacy, Ukraińcy, Tatarzy, Żydzi czy Niemcy, było stosunkowo niewiele. Nieco większą grupę stanowili ludzie utożsamiający się z aktualną władzą – za rządów polskich podawali się za Polaków, podobnie jak wcześniej za carskich – za Rosjan, co jednak nie oznaczało, że czuli się Polakami czy Rosjanami.

Również język i wyznanie nie okazały się wystarczającymi kryteriami tożsamości narodowej. Istniała bowiem dość liczna grupa szlachty zaściankowej (około 35 tysięcy osób), która na ogół nie знаła języka polskiego i w dziewięćdziesięciu procentach należała do cerkwi prawosławnej, ale uważała się za „szlachtę polską”, co nie znaczy, że poczuwała się do polskiej narodowości. Przeważająca większość owej szlachty zachowała poczucie polskości, ale zdarzały się wśród niej osoby, nie uważające się ani za Polaków, ani za Białorusinów i podające się za Rosjan.

Największa grupa (63%) mieszkańców Polesia to ludność chłopska, która określała się w 1931 roku jako „tutejsi”. W Polsce potocznie utożsamiano ich z Poleszuckami. Pogląd ów nie zawsze wytrzymywał konfrontację z rzeczywistością – na obszarze tym żyło wiele grup ludności, które nie czuły się Poleszuckami. Również i granice Polesia były inaczej wytyczone przez jego mieszkańców, a inaczej przez osoby z zewnątrz; gdy badacze zapuszczali się głębiej na jego terytorium, mówiono im, że Polesie nie jest tutaj, tylko dalej – w wioskach bardziej oddalonych. Ci, którzy zamieszkiwali jego obrzeża, utożsamiali Poleszucków z mieszkańcami środkowego, najbardziej niedostępnego, bagnistego Polesia i uważali ich za ludzi *niekulturalnych, dzikich, nieokrzesanych, nieobytych, pozbawionych potrzeb i aspiracji kulturalnych, bytujących wciąż jeszcze w sposób zastęgujący na wprost zoologiczne epitety – jednym słowem kompletne zaprzeczenie tego poziomu, obycia i horyzontów kulturalnych, do których poczuwają się ich niepolescy sąsiedzi*⁶.

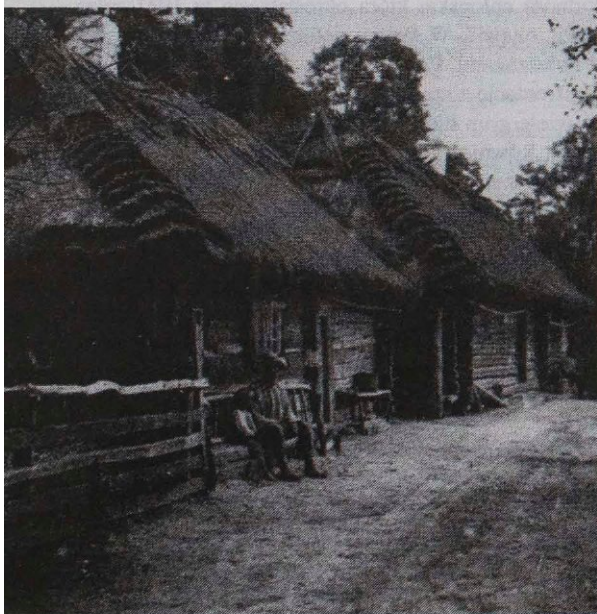
Kim zatem byli i kim są Poleszucy?

Prowadzone w okresie międzywojennym badania socjologiczne, etnograficzne i lingwistyczne wykazały, że rdzenni mieszkańcy Polesia nie byli narodem we współczesnym rozumieniu tego słowa, lecz lu-

dem na etapie „przednarodowym” - grupą etniczną, którą odróżniała od sąsiadów silna świadomość własnej odrębności. Świadomości tej towarzyszyło poczucie niższości wobec Polaków, Rosjan, Ukraińców i Białorusinów oraz wobec elit władzy - dlatego Poleszacy byli dość podatni na ich agitację narodową. Zdecydowana większość Poleszaków pozostawała jednak po prostu ludźmi, którzy nie czuli się „ani Ukraińcami, ani Białorusinami”⁷, lecz dziećmi swego kraju. Tutejszymi.

DOM

Polesie to kraj rolniczy. Niewiele ponad 1 milion ludności przedwojennego województwa poleskiego, mieszkało w 4339 osiedlach, z których tylko Brześć nad Bugiem i Pińsk były większymi miastami, resztę stanowiły miasteczka, wsie i osady, często zaszyte w bagnach i lasach, oddalone od siebie o dziesiątki kilometrów. Komunikacja odbywała się przede



Czerot (trzcina), który tu tak ogromne błot przestrzenie porasta, ma także swój użytek, daleko bowiem lepiej od słomy dachy pokrywa. (Józef Ignacy Kraszewski)

wszystkim wodą: łódkami, promami, statkami. Dróg bitych było niewiele; wioski łączyły drogi polne i sieć grobli, mostów, mostków i kładek. Najprostsze groble robiono z faszyny i wszystkiego, co ułatwiało przeprawę przez płytkie błota. Solidne, z kłód i bali, zakładano na głębokich bagnach. Bywało, że w pobliżu wsi budowano groble z okrągłaków, a mieszkańcy zobowiązani do wywożenia, każdy na „swoją działkę grobli” wszelkiego śmiecia, szczególnie zdrewniałych łodyg lnu i konopi, nie zawsze wykonywali swój obowiązek. Droga więc tu stawała się piekielną (nawet po najuciążliwszej jeździe poprzednio); wóz z kupy śmiecia spada na gołe okrągłaki i po kilku mniejszych podskokach wspina się na następłą, z której też zlatuje gwałtownie. Tu (Poleszaku) wydobywa resztę odpowiednich wymysłów i przekleństw, zwąc taką jazdę, (...) igrzyskiem czarownic („wiedzmino i hryszcze“), diabelską huśtawką („czorława arela“). Zwalając winę na wójta gminy i sołtysa, życzy, by ich po śmierci diabli wozili tą groblą („sztoś was styłych czerci wazili pa jetaj hrebli“)⁸. We wsi grobla przechodziła w główną ulicę, wzdłuż której koncentrowała się cała zabudowa.

Typowa wieś poleska to zagrody rozmieszczone najczęściej wzdłuż jednej drogi (ulicówka). Niekiedy odchodzono od takiego schematu. W miejscach podmokłych stawiano zagrody nieregularnie na suchych ostrowiach, a we wsiach przeludnionych zabudowa rozciągała się wzdłuż dwu lub wielu dróg. Działki gospodarstw na ogół miały kształt bardzo wydłużonych prostokątów, krótszym bokiem przylegających do ulicy, przy której stały chaty, zwrócone do niej szczytami. Przy chacie wznoszono „ściobkę” - spizarnię ogrzewaną w ziemi oraz „kleć” - rodzaj spichrza do składowania odzieży, płótna, mąki, narzędzi, który latem był sypialnią. Dalej stały: „odrina” - pomieszczenie dla bydła, „chlou” - pomieszczenie dla drobiu i świń, „sielnik” - pomieszczenie do przechowywania siana oraz „humno”, czyli stodoła, niedaleko której kopano piwnicę - „loch”. W „powietkach” - szopach otwartych od strony podwórza - trzymano wozy, sanie i narzędzia. Ściany zabudowań tworzyły naturalne ogrodzenie posesji, uzupełniane płotami drewnianymi lub wiklinowymi.

Poleska chata składała się z trzech pomieszczeń:

sieni, na końcu której wydzielano niekiedy komorę, izby mieszkalnej (po prawej stronie) oraz „ściobki” lub „kleci”, czasami zamienianej na drugą izbę tzw. świetlicę (po lewej). W izbie, w kącie przy drzwiach, znajdował się wielki piec, obok niego „polka” – szeroka ława do spania. Nad oknami wisiały ikony, z prawdziwie naiwną wiarą wykonane, wszystkie przykryte z wierzchu ręcznikiem, którego końce, wytkane czerwono, wiszą po obu stronach. Zatykają tam wierzbę święconą, gromnicę i święconę w cerkwi ziola, którymi potem okadzają chorych.⁹

W rogu izby pomiędzy ścianą frontową i szczytową stał stół i ławy. Przestrzeń za stołem pod ikonami, zwana „pokuciem”, była szczególnym, sakralnym miejscem, odgrywającym istotną rolę w wielu obrzędach. Miejsce to zajmował zawsze gospodarz, który w patriarchalnej społeczności poleskiej był nie tylko głową domu, rzędcą majątku, ale też uosobieniem tradycji rodowo-rodzinnej, łącznikiem pomiędzy pokoleniami żyjących i zmarłych, jak i opiekunem domowej pobożności. Cześć okazywana mu zatem przez członków tej wielopokoleniowej i wielorodzinnej grupy miała wymiar nie tyle świecki, ile magiczno-religijny¹⁰. Obok ojca – gospodarza zasiadali synowie – spadkobiercy i kontynuatorzy tradycji rodowej. Kobiety i dzieci zajmowały miejsce podrzędniejsze – po przeciwnej stronie stołu.

Chata jednak nie była dla Poleszuka *tem ogniskiem, około którego życie się obraca i skupia, gdyż większą część czasu spędzał na łuhach i leśnych polankach*¹¹, gdzie budował szałas („kurenie” z gałęzi, desek i bali, które wtopiły się nieodłącznie w poleski krajobraz). Tułaczy tryb życia wynikał z rozdrobnienia poleskich gospodarstw i z rozproszenia łąk i pól. Nierzadko kilku gospodarzy uprawiało kilkadziesiąt pól i poletek, na ogół „rozrzuconych daleko często na przestrzeni sześciu, siedmiu wiorst”¹².

W środkowym, bagnistym rejonie Polesia, wśród rozlewisk Prypeci, zachowało się wiele relikwów starych, tradycyjnych konstrukcji drewnianych, dawniej stosowanych także w innych rejonach kraju, ale znacznie wcześniej wypartych przez nowsze, bardziej praktyczne rozwiązania. Charakterystyczną cechą tych archaicznych systemów budownictwa była ich surowość i brak jakiegokolwiek dekoracji, przede

wszystkim zaś umiejętność wykorzystania zarówno materiałów oferowanych przez przyrodę, jak i ich naturalnych form. Do konstrukcji zabudowań stosowano więc: okrągłaki czyli okorowane pnie; do krycia dachów – słomę i trzinę (oczeret); do uszczelniania – mech; do robienia płotów i lekkich ścian – wiklinę i gałęzie. Przykładem wykorzystania naturalnych kształtów była soch, cięta z pnia o rozwidlonych konarach, stosowana przy konstrukcji dachu i żurawia studziennego. Z pnia o odrastającym poziomo konarze robiono biegun (element bramy), a z gałęzi z odrostami – kluczyzny (żerdzie podtrzymujące poszycie dachu).

Wiele poleskich chat i budynków gospodarczych na terenach podmokłych i zalewanych przez powodzie stawiano na palach, które utrzymywały całą konstrukcję ponad ziemią; na suchych - pale wbijano głębiej - stanowiły one rodzaj fundamentu. Na nich, ale też i bezpośrednio na ziemi, kładziono podwaliny ścian wyciosane z twardego drzewa, po czym wznoszono wieniec z okrągłaków łączonych w węglach na obłap. Na styku belek robiono, uszczelniony mchem, rowek wzdłuż bierwiona, który mieścił wypukłość sąsiedniej belki zrębu. Całość nakrywano dachem, opartym na jednym z tradycyjnych systemów - sochowym, ślegowym lub luźnozrębowym.

Powolne odchodzenie od tradycyjnych metod budowania rozpoczęło się w XIX stuleciu, a nowości wprowadzali wykwalifikowani cieśle, sezonowo przybywający z innych stron. Największe jednak zmiany na wsi poleskiej zaszły po 1918 roku. Zniszczenia wojenne i późniejsza odbudowa pociągnęły za sobą rezygnację z dawnych materiałów i systemów konstrukcyjnych.

PRACA

Gdy opadły wody wiosennych roztopów, rozpoczynały się prace na rozproszonych i odległych od wsi, polach. Po zaoraniu i nawiezieniu ziemi następował najbardziej uroczysty - magiczny - moment wiosennych prac - siew. Pierwsze garście poświęconego ziarna rzucał w ziemię senior rodziny; w domach, gdzie nie było ojca, zapraszano najstarszego sąsiada, który nigdy nie odmawiał tej przysłu-

gi, rekompensowanej później poczęstunkiem. *Siewca przekłada pasek przez głowę, na prawe ramię zawieszając króbkę z ziarnem (...) następnie zdejmując czapkę, żegna się uroczyście trzy razy, co też czynią obecni i rzekłszy „Daj Boże w dobry czas”, sieje*¹³. Najpierw siano owies, po nim: jęczmień, proso, żyto, grykę, rośliny strączkowe oraz len, konopie i mak. Z warzyw uprawiano ziemniaki, rzepę, kapustę, buraki, cebulę, czosnek, słoneczniki a także dynie.

Orka, nawożenie, siew i dogładanie pól były zajęciem mężczyzn, natomiast uprawa ogrodów i żniwa – kobiet.

Pierwszą zżętą wiązkę zboża lub pierwszą zbraną garść ziarna Poleszycy święcili w cerkwi i składali pod krzyżem wioskowym bądź w chacie na „pokuć”.

Żniwa rozpoczynał sprzęt żyta. Jego zbiór tradycyjnie kończyły dożynki: grupy żeńców, śpiewając pieśni dożynkowe, zanosili gospodarzom wianki, a gospodarze zapraszali ich do wspólnej zabawy. Potem następował dalszy ciąg prac: zbiór innych zbóż i upraw zakończony kopaniem kartofli; orka jesienna i zasiew zbóż ozimych.

Młocka zaczynała się już w trakcie żniw i trwała całą jesień. W wyjątkowo podmokłych okolicach młócono bezpośrednio na polu, a ziarno zwożono zimą, po zamrożeniu bagien.

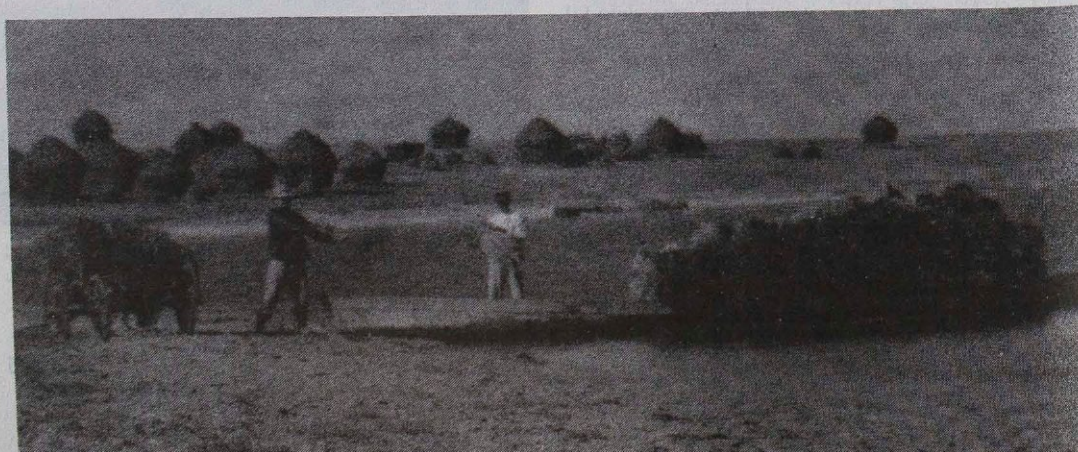
Początek sianokosów zależał od pogody i tempa schnięcia błot; następował w maju lub czerwcu. Jako pierwszą koszoną trawę bagienną, którą po wyschnięciu składano w stogi na pomosty oparte na pa-

lach. Najpóźniej koszoną łąki blisko wsi. Każdy gospodarz starał się latem zgromadzić jak największy zapas siana na zimę dla swojego, na ogół licznego, stada: od kilku do kilkudziesięciu sztuk bydła, kilku koni, świń, owiec i kóz. Hodowla zwierząt była na Polesiu koniecznością. Nieurodzajne i piaszczyste ziemie wymagały systematycznego i obfitego nawożenia, od którego zależał urodzaj, a tym samym byt rodziny. „Celem (hodowli) było (zatem) nie mnożenie stad, ale mnożenie zboża. Kto nie miał nawozu, nie miał zbiorów. Podstawową wartością gospodarczą był więc nie chleb, lecz bydło; nie ziemia uprawna, lecz pastwiska i sianokosy, to znaczy błoto. Poleszuc mógł mieć tylko bydło i chleb; gdy nie miał bydła nie miał chleba”¹⁴.

Gospodarce poleskiej, niezwykle zależnej od natury, zagrażały nie tylko susze, nadmierne opady, powodzie, zbyt długie zimy, pożary torfowisk, lecz także zimy zbyt łagodne, uniemożliwiające zwiezenie siana z bagien. Brak mrozu był klęską, zwierzęta wówczas skarmiano wszystkimi zapasami, łącznie z ziarnem na zasiew, a w wyjątkowo krytycznych sytuacjach nawet strzechami domów.

Jednak natura, rekompensowała te straty: okoliczne lasy, wody i bagna, pełne były drobnej zwierzyny, ptactwa i ryb. Ogromne bogactwo darów przyrody w rzadko zaludnionym kraju dawało to, czego nie mogło zapewnić uzależnione od pogody rolnictwo - gwarantowało byt jego mieszkańcom. Zbieractwo, łowiectwo i rybołówstwo odgrywały więc niezwykle istotną rolę w gospodarstwie, a stały kontakt z przyrodą i zależność od niej sprawiały, że Poleszuc

Zwózka siana z łąk przy jeziorze Nobel



był jej wnikliwym znawcą i mądrym użytkownikiem.

Najwięcej energii poświęcano rybołówstwu. Każdy je uprawiał i każdy czerpał z niego zysk, bo nadwżki łatwo było sprzedać. Latem i jesienią cena ryb spadała tak, że łowiono je tylko na własne potrzeby. Poleszcy znali wiele rozmaitych sposobów połowu: ościami (rodzaj wideł), wędkami, przeróżnego rodzaju sieciami, wierszami (sieć w kształcie stożka), nastawkami (konstrukcjami służącymi do nakrywania ryby i wydobywania jej przez wierzchni otwór), kloniami (rodzaj czerpaka).

Od niepamiętnych czasów ludność Polesia zajmowała się bartnictwem. Zabijanie pszczoł, świętych owadów, poczytywano za grzech. Każdy gospodarz miał choćby jeden ul. Ule (na ogół kładowe) rozwieszano po lasach i rzadko ich doglądano. Miód zaś podbierano dwa razy do roku: w czerwcu i w sierpniu. Józef Ignacy Kraszewski podczas swojej podróży po Polesiu spotkał się jeszcze z pięknym zwyczajem: bartnicy *podebrawszy miód, częstują nim wszystkich, kogo spotkają, niosą do dworu, do karczmy (li cerkwi), uważając, że ten udział daru bożego na dobre im wychodzi*.¹⁵

Zimą tempo pracy i życia powolniało. Po nakarmieniu, obrządzeniu zwierząt i wykonaniu codziennych czynności pozostawało dużo czasu na zajęcia, które nie mieściły się w letnim porządku dnia. Kobiety zbierały się wieczorami w jednej chacie, gdzie przędły, tkwały i haftowały, śpiewając i snując opowieści. Mężczyźni zajmowali się naprawą i wyrobem narzędzi, wozów, sań i czółen. Robili drewniane naczynia, pletli z wikliny kosze i płoty, a z lipowego łyka łapcie, kobiałki i płaskie torby – werefiki.

Dzień powszedni Polesia, taki sam od wieków, charakteryzujący się tym, że - *rodzice dla, swych dzieci nowych dróg nie pragną, (...) niech żyją dostatnio i spokojnie w tejże zagrodzie wiejskiej, oto wszystko*¹⁶ – ulegał stopniowym zmianom pod wpływem przekształceń gospodarczych i powszechnej oświaty po I wojnie światowej. Stopniowo budziła się u Poleszuków chęć zmiany swojego losu, która zaczęła rywalizować z tradycyjnym fatalistycznym stosunkiem do życia, wyrażanym słowami „kali Boh daś, to i dobre budzie”¹⁷.

ŚWIĘTO

W dzień powszedni wieś pustoszała, ludzie pracowali na polach i pastwiskach, krzątali się w zagrodach, a ulice służyły jedynie „za ogród spacerowy dzieciom, psom, kurom i świniom”¹⁸. Dopiero w niedziele i święta zapełniały się tłumem „czerwonych spódnic i świt białych”¹⁹.

Strój poleski na co dzień prosty, często kupowany lub szyty, z tkanego w domu materiału – letniaka, czyli białego lnu w niebieską kratę, od święta również był skromny. Kobiety nosiły białe koszule z małymi, zapiętymi pod szyją kołnierzykami i z szerokimi rękawami zebranymi w wąskie mankiety, ozdobionymi haftem czerwonym niekiedy z niebieską nitką; długie i szerokie, gęsto marszczone spódnice z czerwonej wełny domowego wyrobu, z ciemnymi (czarnymi, szafirowymi lub zielonymi) pasami bądź w kratę związane tkanym paskiem. Na spódnicę nakładały fartuchy płócienne u dołu przetykane czerwoną nitką. Gorsety ciemne: czarne lub granatowe zawsze mocno dopasowane, zapinane na błyszczące guziki. Dziewczęta nakrywały głowy kolorowymi chustkami, natomiast mężatki „namiotkami”, tkanymi z najlepszego płótna, a wszystkie wieszaly na szyjach *mnóstwo szklanych paciorków, krzyżyków, medalików z mosiądzu, rozmaitych świecideł, powiązanych wstążkami najjaskrawszych barw*²⁰. W chłodniejsze dni kobiety wkładały sukmany z białej wełny przewiązane czerwonymi pasami, a na nogi-łapcie.

Mężczyźni ubierali się jeszcze prościej i mniej kolorowo: długie, płócienne koszule zawiązywane pod szyją czerwoną tasiemką; spodnie latem z letniaka, zimą wełniane; długie kamizelki z tyłu płócienne z przodu wełniane, na to sukmany; na nogach onuce i łapcie. Najbardziej ozdobną częścią męskiej garderoby był pas *albo czerwony, tkany w siatkę przezroczystą, z wiszącymi na końcu chwaścikami, zwanymi machry, albo różnobarwny, wąski na trzy palce, tkany gęsto w najrozmaitsze wzory*²¹, przy którym Poleszuk zawieszał skórzaną kieszonkę na hubkę i krzesiwo oraz nóż w futerale.

Większość mieszkańców Polesia: chłopci, drobni



W świąteczny dzień przed cerkwią w Bereżnicy

rzemieślnicy i część rodzin pochodzenia bojar-
skiego, wyznawała prawosławie. Katolicy stano-
wili mniejszość, była to polska i spolszczona szlach-
ta, sprowadzeni w XIX i XX wieku osiedleńcy oraz
ludność, która napłynęła po I wojnie światowej.

Wierni obu wyznań obchodzili w zasadzie te same
święta, z tym, że w kościele wschodnim, wypa-
dały one trzynaście dni później niż w zachodnim.
Wzajemne oddziaływanie, często nawet przenikanie,
prawosławia i katolicyzmu, czemu sprzyjała 250 let-
nia działalność na tych ziemiach kościoła unickiego,
oraz wspólna dla obu grup religijnych tradycja słow-
iańska, sprawiły, że ludowa obrzędowość prawos-
ławnych i katolików, pomimo wielu odrębnych
szczegółów, była bardzo zbliżona. Do obchodów
świąt chrześcijańskich włączono wiele wierzeń
i zwyczajów, pochodzących z tradycji słowiańskiej,
których pierwotne znaczenie zostało zapomniane.
Doroczny rytm świąt wyznaczał kalendarz religijny,
sprzężony z tradycyjnym kalendarzem społeczności
rolniczej: powtarzającym się cyklem pracy na roli,
wynikającym z następstwa przełomowych momen-
tów i pór roku. Święta były więc nie tylko dniami
modlitwy, okresem wypoczynku, wspólnego biesia-
dowania i zabawy, ale też czasem wróżb i czynności
rytualnych, związanych z urodzajem, pogodą i po-
myślnością rodziny.

Rok obrzędowy rozpoczynał się Bożym Narodze-
niem. Ten, poprzedzony postem, dwutygodniowy
okres świąteczny, trwał od wigilii Bożego Narodzenia
do Trzech Króli. W owym czasie trzykrotnie spoży-
wano uroczystą wieczerzę; pierwszą – w wigilię Bo-

żego Narodzenia, drugą mięsna – w wigilię Nowego
Roku, trzecią podobnie jak pierwszą postną – w wi-
gilię Trzech Króli. Najważniejszą potrawą każdej
była kutia (gotowany jęczmień z miodem, mlekiem
makowym lub olejem). Poleszycy wierzyli, iż Matka
Boska jadła ją tuż przed narodzinami Chrystusa.

Wszystkim trzem wieczerzom towarzyszyły wróż-
by (np. gwiazdziste niebo zwiastowało urodzaj zbo-
ża) i magiczne obrzędy (np. zapraszanie mrozu na
wieczerzę, aby zabezpieczyć zboże przed wymar-
nięciem).

Wielkanoc świętowano na Polesiu bardzo uroczy-
ście. W wierzbową (palmową) niedzielę, pop
(ksiądz) święcił bukiety wierzbowych gałązek, któ-
rymi później wypędzano bydło na pierwszy wypas.
Przedświąteczne przygotowania trwały cały tydzień.
W Wielką Sobotę barwiono tylko jajka i zanoszono
potrawy do cerkwi, w której gospodarze zapalali też
świecę, aby jej płomieniem wzniecić w piecu nowy
ogień.

Zielone Święta (Rusłana niedziela) zwiastowały
koniec wiosny. Wyściełano chaty i podwórza tatar-
kiem i klonem oraz proszono popa lub księdza o po-
święcenie bydła i obsianych już pól.

Uroczyscie obchodzono też noc przesilenia let-
niego - święto Kupały (św. Jana). Ogniska nad wo-
dami otaczały korowody tańczących dziewcząt i gru-
py chłopców skaczących przez ogień.

Kalendarz obrzędów dorocznych wzbogacały
święta rodzinne. Obrzędy weselne, niezwykle huczne,
zachowały wiele z tradycji przedchrześcijańskiej:
ślub w cerkwi (czy kościele) nie wystarczał, aby

uznać małżeństwo za ważne.

Wesele rozpoczynało się pieczeniem w obu domach ciasta obrzędowego - korowaja, nieodzownego przy najważniejszej części ceremonii: młodych sadzano na posad, swacha (mistrzyni ceremonii) rozplatała pannie warkocz, czesała oboje i opalała im włosy, po czym dziewczynie zawiązywała namiotkę, i młodych mocno związywała pasem. Po tym rytuale rodzice panny udzielali błogosławieństwa, dzielono korowaj pomiędzy gośćmi i orszak udawał się do chaty męża. Tam następowały pokładziny i podział drugiego korowaja. Wesele kończyło się podaniem kaszy jaglanej z miodem. Wszystkim obrzędom towarzyszyły pieśni i ogólna zabawa.

Religijność Poleszuków była przykładem ludowej kultury religijnej, integrującej elementy chrześcijańskie z tradycyjnym systemem wierzeń i norm moralnych, opartych na zasadzie mistycznej solidarności między człowiekiem i światem natury. Wiara w moce przyrody, w dobre i złe duchy, dusze zmarłych, rusalki, czarownice i diabły tkwiła w nich – jak sądzili przedwojenni etnografowie – znacznie głębiej aniżeli wiara w chrześcijańskiego Boga. A Bóg był, w przeciwieństwie do demonów, dobry, podobnie jak i Matka Boska, którą otaczano wielką czcią i powszechnie uważano za trzecią osobę Trójcy Świętej. Cześć oddawana świętym zależała nie tyle od ich świętości, ile od rodzaju i rozmiaru klęsk, jakie mogli zesłać, natomiast z szacunkiem odnoszono się do aniołów - stróżów ludzi i domostw. Praktyki religijne mieszkańców Polesia polegały przede

wszystkim na czczeniu ikon i świętego kąta, krótkich modlitwach oraz wieszaniu haftowanych ręczników na krzyżach, stawianych przed wejściem do wioski i na rozstajach dróg, by chroniły przed złymi mocami. Jeśli w wiosce lub niedaleko była cerkiew (lub kościół), uczęszczano do niej regularnie.

Na Polesiu przeważały świątynie drewniane, a wśród nich dominowały cerkwie. Najstarsze z czasów unii były skromne dwu- lub trójdzienne nakryte dachami namiotowymi lub kopułami. Wnętrza ich wypełniał ikonostas i wielka liczba ikon przykrytych ręcznikami. Kościoły natomiast, równie proste, niekiedy z wieżami wyposażano dużo skromniej. W miastach, głównych skupiskach ludności żydowskiej, liczne były bóżnice z charakterystycznymi wysokimi, łamanymi dachami.

KRES

*Wyobraźnia (Poleszuków) jest tak żywa, że najdokładniej widzą i słyszą, czują i dotykają rzeczy nadprzyrodzone, czysto duchowe. Na przykład ludzie chodzący po śmierci, są dla tutejszych włościan równie pospolitym zjawiskiem, jak ludzie chodzący za życia. Lękają się ich trochę, dręczą tymi odwiedzina- mi, ale uważaliby za nieprzytomnego człowieka, który by zaprzeczył istnieniu duchów lub wątpił, że można chodzić po śmierci.*²²

Poleszucy wierzą, że dusza ludzka jest nieśmiertelna, dusza zwierzęca natomiast (zwana dla odróżnienia duchem) kończy z chwilą śmierci swoje ist-

W niektórych okolicach spotyka się na grobach skrzynki drewniane, podobne do wydłużonej chatki. (Kazimierz Moszyński)



nienie i rozplywa się w przestrzeni. Ludzka dusza wylatuje z umierającego pod postacią ptaka.

Bezpośrednio do raju idą tylko dusze najczystsze i najszlachetniejsze oraz dusze obłąkanych. Złe – diabeł zabiera do piekła. Natomiast większość długo pokutuje na ziemi, niepokojąc żyjących. *Chodzą więc dopóki im jest przeznaczone, i nic na to poradzić nie można. Gdy już bardzo dokuczają żyjącym ciągłym snuciem się po chacie, można je wystraszyć nagłym zapaleniem gromnicy; wtedy znikną; ale to skutkuje nie na długo. Gdy o coś poproszą, koniecznie spełnić wypada, proszą zaś zwykle o drobnostkę.*²³

Dlatego też starano się zapewnić im dom. Dorem tym była trumna, zwana w niektórych gwarach poleskich domowiną albo chatą. Na usypanych z ziemi mogiłkach stawiano krzyże drewniane, niekiedy kamienne. Kładziono też głązy, albo kłody sosnowe lub dębowe, wierząc, że uniemożliwią one zmarłym wędrowanie po ziemi. *Ale rozsądniejsi drwią sobie z tego, powiadając, że to nic nie pomoże, gdyż „cień usiudy pierielezie”*²⁴. Na mogiłkach budowano też domki. Ich konstrukcja przypominała stare chaty ze zrębowymi ścianami, nakryte dwuspadowymi daszkami. *W jednej ze ścian szczytowych był mały otwór – okienko – (gdzie pozostawiano zmarłemu pożywienie).*²⁵ Chatki podobne do poleskich wznoszono na całej Białorusi Rusi moskiewskiej; do dzisiaj zachowały się jeszcze w Karelii. Zwyczaj stawiania zmarłym domów znany był w większości kultur, a jego najbardziej znanymi przykładami są piramidy egipskie i grobowce greckie czy etruskie. Do dzisiaj wiele ludów azjatyckich buduje drewniane domki na grobach swoich zmarłych.

Z badań archeologicznych wiadomo, że Słowianie w czasach przedchrześcijańskich wznosili *budki, które pogańskim obrzędkiem stawiali na rozdrożach, jakoby miejsce odpoczynku dusz*²⁶. Budowali je także na mogiłkach – wskazuje na to m.in. analiza kurhanu z okolic Chodosewicz na wschodniej Białorusi.

Opieka żyjących nad duszą zmarłego nie kończyła się z chwilą pogrzebu. Poleszycy cztery razy do roku obchodzili dziady (zaduszki): raz jesienią przed św. Michałem i trzy razy na wiosnę - przed Wielkim

Postem, po Wielkanocy i przed Zielonymi Świątkami; chodzili na cmentarz i stawiali miseczki z jedzeniem na grobach. Zapraszano też dusze na uroczyste wieczerze np. w wigilię Trzech Króli. Wtedy wystawiano im miseczkę z kutią w sieni albo przy oknie.

Dzisiaj, podobnie jak krajobraz, zmienił się wygląd cmentarzy poleskich. Nie ma już na nich drewnianych domków, stare spróchniały, a nowych się nie stawia. Ale nadal jeszcze na poleskich mogiłkach, zwłaszcza wiejskich, pozostało dużo drewnianych i kamiennych krzyży, nadal też rosną stare drzewa, niegdyś zasadzone na grobach. Dawne i nowe czasy łączy także tradycja dziadów - przetrwał na Polesiu zwyczaj noszenia na mogiłki pożywienia dla dusz.

Fotografie
Stanisław Bochnig

¹ J.I.Kraszewski: *Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy*. Warszawa 1983 s.103; ² Cyt. za: Marceł Kosman: *Historia Białorusi*. Wrocław 1979 s.15; ³ A.Brückner: *Słownik etymologiczny języka polskiego*. Warszawa 1970 s.290; J.Karłowicz, A.Kryński, W.Niedźwiedzki: *Słownik języka polskiego*. T.4. Warszawa 1927 s.530; ⁴ *Etnografija Białorusi*. (Praca zbiorowa). Mińsk 1989 s. 378; ⁵ O.Kolberg: *Dziela wszystkie*. T. 52: *Białoruś - Polesie*. Wrocław 1968 s.38; ⁶ J.Obrębski: *Problem etniczny Polesia*. Sprawy Narodowościowe 1936 nr 1-2 s.8-9; ⁷ Tamże s.23; ⁸ Cz.Pietkiewicz: *Polesie Rzeczyckie*. Kraków 1928 s.316; Tenże: *Drogi na Polesiu Rzeczyckim w drugiej połowie XIX stulecia*. Ziemia 1926 nr 18, s.275; ⁹ E.Jeleńska: *Wieś Komarówicze w powiecie mozyrskim*. Wisła. T.5. 1891 s.292. ¹⁰ J.Obrębski: *Polesie archaiczne*. (Maszynopis pracy habilitacyjnej złożony w archiwum Uniwersytetu Warszawskiego). Warszawa 1945 s.147; ¹¹ E.Jeleńska: dz.cyt.s.312. ¹² Tamże s.302. ¹³ Tamże s.302. ¹⁴ J.Obrębski: dz.cyt.s.125-126. ¹⁵ J.I.Kraszewski: dz.cyt.s.80. ¹⁶ E. Jeleńska: dz.cyt.s.482. ¹⁷ Tamże. ¹⁸ Tamże s.310. ¹⁹ Tamże s.319. ²⁰ Tamże s.320. ²¹ Tamże. ²² Tamże s.501. ²³ Tamże s.501. ²⁴ Tamże. ²⁵ E.Frankowski: *Krzyże kamienne i domki drewniane na cmentarzach poleskich*. Ziemia 1925 nr 8 s.135. ²⁶ *Kronika czeska Kosmana*. Księga trzecia. Tłumaczenie i interpr. S.Urbańczyka. W: S.Urbańczyk: *Ze studiów nad dawną religią Słowian*. Slavia Antiqua 1981 nr 28 s.192.

PRACOWNIA FOTOGRAFII

STANISŁAW
BOCHNIG

STANISŁAW BOCHNIG (1880-1944)
W 1921 roku (wcześniej prawdopodobnie przebywał we Francji) zamieszkał w Grudziądzu, gdzie był nauczycielem przyrody i języka francuskiego w Państwowym Gimnazjum Klasycznym. Organizował też koła zainteresowań turystyczne, krajoznawcze i fotograficzne. Pisał artykuły z dziedziny krajoznawstwa („Kartki historyczno-krajoznawcze”, współpracował z dwutygodnikiem krajoznawczym dla dzieci i młodzieży „Od naszego morza” wydawanym w latach 1930-1933 w Grudziądzu).

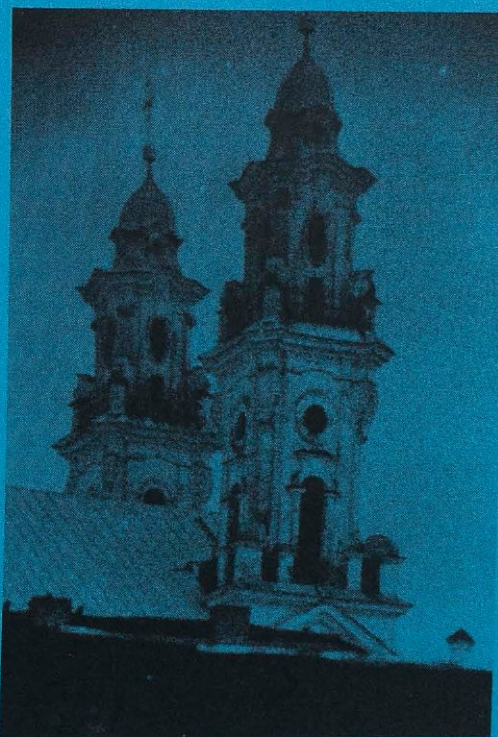
Dużo czasu poświęcał fotografii. Należał do założycieli Towarzystwa Fotograficznego „Słońce” (ok. 1935), publikował w czasopiśmie „Fotograf Polski” (m.in. „Etapy pracy artysty fotografa w porównaniu z twórczością malarza pejzazysty”, był fotografem wyprawy inwentaryzatorskiej na Polesie zorganizowanej w 1929 przez Centralne Biuro Inwentaryzacji przy Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego (negatywy obecnie przechowywane są w Instytucie Sztuki PAN w Warszawie).

Zdjęcia Bochniga publikowane były w przewodnikach po Grudziądzu (autorskim *Grudziądz. Przewodnik kartkowy z planem i koniką miasta* oraz *Grudziądz* wydany w 1937 roku przez Adolfa Hendlera) oraz anonimowo w książce Antoniego F. Ossendowskiego *Polesie* i w kilku numerach miesięcznika „Ziemia”.

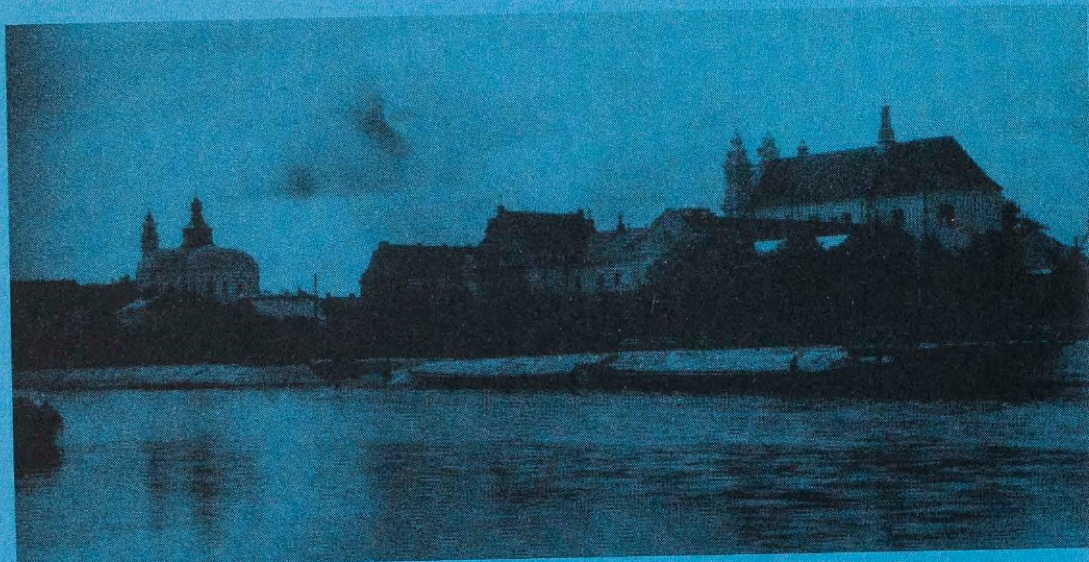
Stanisław Bochnig zginął podczas powstania warszawskiego.

(Biogram sporządzony na podstawie notatki Stanisława Foręby.)

POLESIE 1929



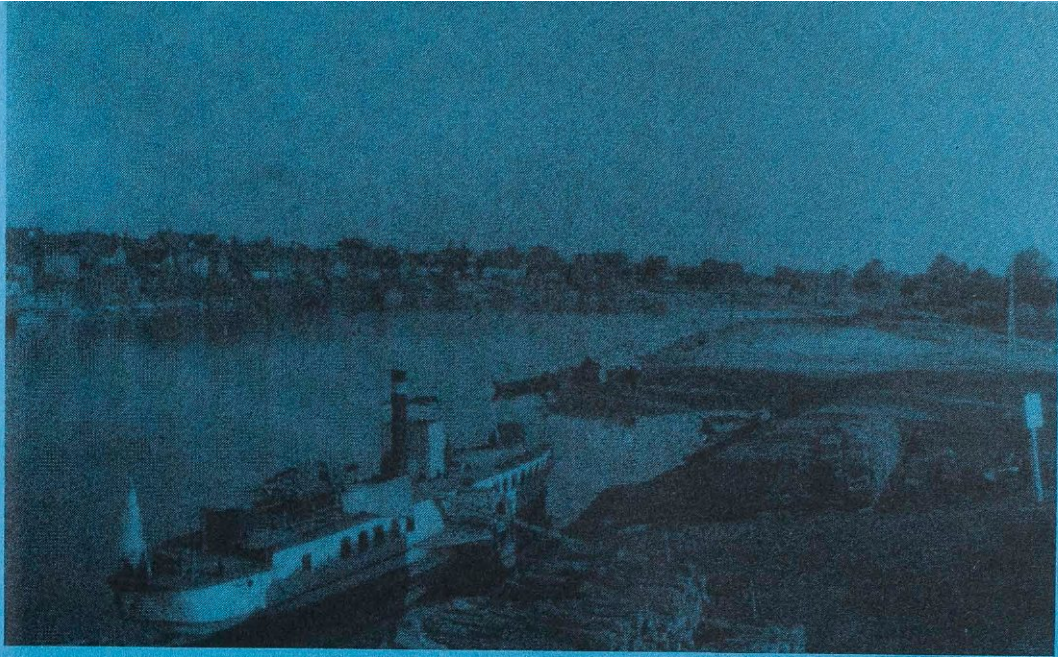
Pińsk. Wieże dawnego kościoła jezuitów (obecnie nie istnieje)



Pińsk. Panorama miasta z rzeką Piną

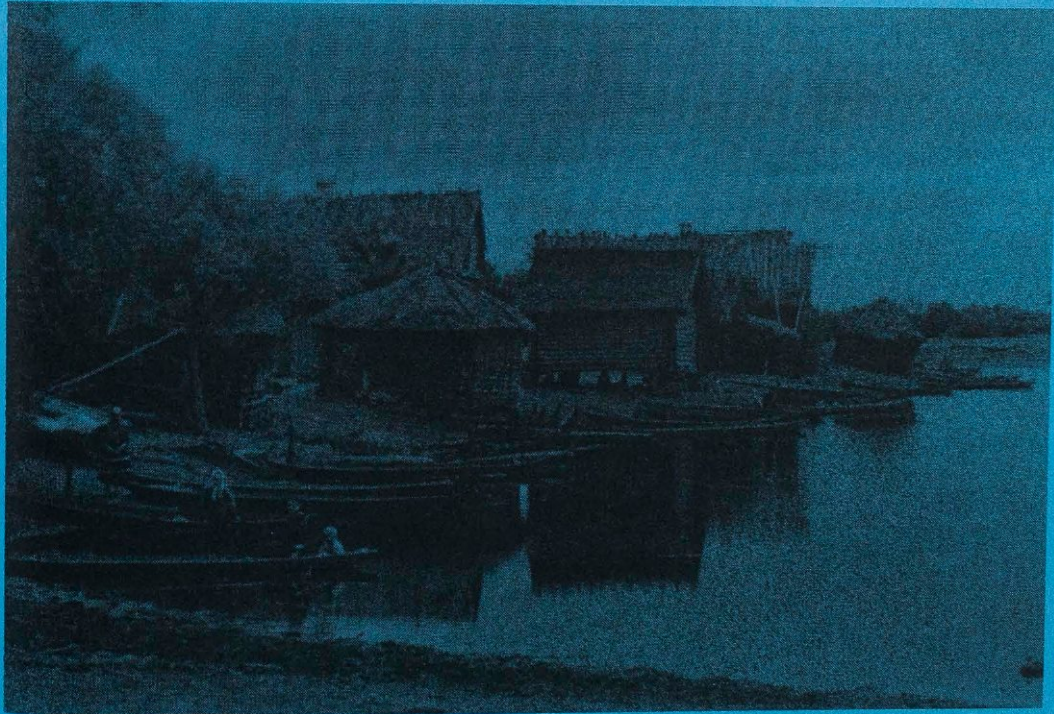
Pińsk. Dawny kościół franciszkanów, obecnie katedra

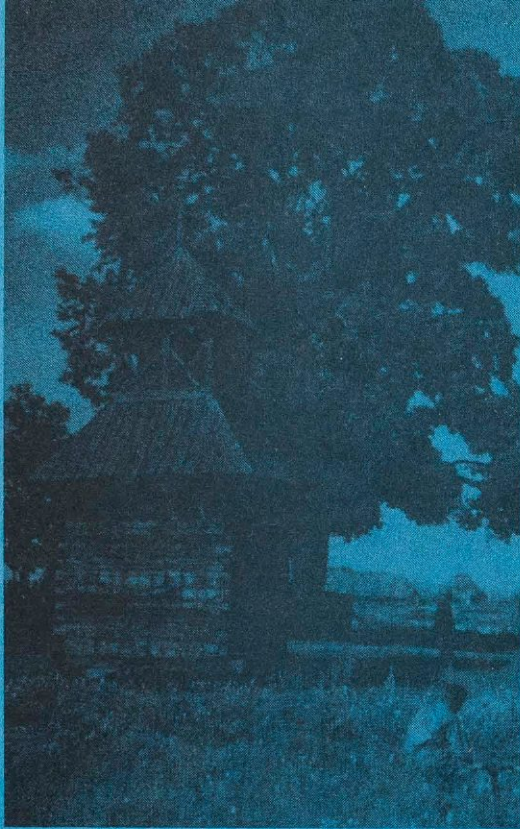




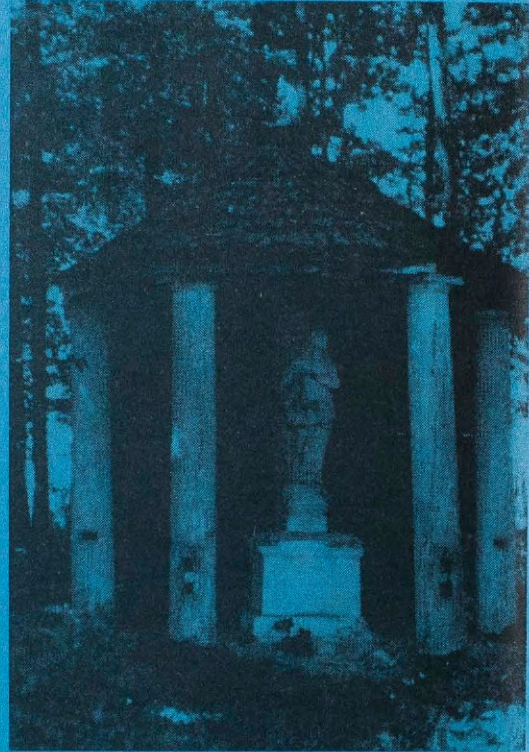
Horyń w Dawigródku (powiat Stolin)

Wieś Moczula (powiat Stolin)





Dzwonnica w Sienkiewiczach (powiat Kosów)



Kapliczka przydrożna w Kuraszu (powiat Sarny)

Kościół w Dorotyczach (powiat Sarny)



ANTYKWARNIA

JÓZEF ALBIN HERBACZEWSKI

Specjalnie pod adresem waszym, bracia moi, Litwini, wyznaję wiarę moją, że bez wolnej Polski nie będzie wolnej Litwy. Tej wiary nauczył mnie bohater Litwy - Mickiewicz. Polska dla mnie, Litwina, jest „drugą ojczyzną“ (...). Nie mówcie, że mnie „oczarowała Polska“. Kto wie, może w duchu jestem więcej wolny od „czarów“, niżeli wy. Gdy po raz wtóry Jutrzenka Litwy zaświta, może zrozumiecie dlaczego miłuję Polskę. Dziś na próżno narażałbym ból mój i tęsknotę moją na pośmiewisko tych spośród was, którzy krzepną w egoizmie... Wolę przemilczeć: kiedyś odczytacie między wierszami tragedię bólu mego i może zarumienicie się nie ze wstydu, lecz z żalu, żeście byli tacy obojętni na głos przestrogi... Pozwólcie mi iść moją drogą tam, gdzie mnie prowadzi Jutrzenka Litwy. Już wyszedłem z katakumb Litwy... Idę samotny naprawdę. I nie skarzę się. W porę umilknę, choć, być może, w porę nie umrę. Idźcie swoją drogą, jeżeli wierzycie w siebie. Ja wam nie przeszkadzam. Ból mój wyśpiewałem. (...) Pójdę przebojem - jako legionista Litwy wolnej w duchu - drogą cierniową przez puszcze, na szczyt kurhanu i tam odpocznę, choćby nawet wyklęty, oplwany i wzgardzony przez was! Lecz pamiętajcie: świątynię waszą, zbudowaną na pohańbienie Polski, zburzę! Powstanę z grobu - jako upiór - i zburzę! Żegnam was, bracia moi, Litwini...

(J. A. Herbaczewski: *Głos bólu*. Kraków 1912)



Józef Albin Herbaczewski (Juozas Albinas Herbačiauskas) urodził się 20 października 1876 roku w Łankieliszkach na Suwalszczyźnie (powiat mariampolski) w rodzinie litewskiej. Kształcił się w słynnym mariampolskim gimnazjum, z którego został usunięty, kiedy w rodzinnym domu policja odnalazła taciński kalendarz drukowany tacińską czcionką (posiadanie i rozpowszechnianie tacińskich druków wówczas było w Rosji zakazane). Herbaczewski zmuszony do ucieczki z Rosji przedostał się do Krakowa, gdzie rozpoczął studia na Uniwersytecie Jagiellońskim jako wolny słuchacz. W tym czasie związał się ze środowiskiem kabaretu „Zielony Balonik” i krakowską cyganerią. Nawet w jej kręgach - jak pisze Stanisław Sierotwiński - „uchodził za klasycznego dziwaka, który cechy młodopolskiego cygana łączył z niewątpliwą oryginalnością i samodzielnością poglądów, bodaj w większym stopniu głoszonych w kawiarnianych rozmowach niżeli publikowanych w druku”.

W latach 1911-1924 Herbaczewski pracował na Uniwersytecie Jagiellońskim jako lektor języka litewskiego, angażując się także w działalność społeczną, m. in. był jednym ze współzałożycieli stowarzyszenia litewskiej młodzieży „Ruta”. Próbował sił jako krytyk literacki (głośne polemiki z Wyspiańskim, Micińskim czy Brzozowskim), dramaturg i publicysta. Pisał w języku litewskim i polskim. W tekstach publicystycznych dał się poznać jako gorący orędownik polsko-litewskiego pojednania, ale także prawa Litwinów do emancypacji kulturowej i politycznej. Przeciwstawiał się modnemu ówczesnie przekonaniu o politycznej przynależności „szczepu litewskiego” do narodu polskiego. „Narodu litewskiego - pisał z ironią - nie ma i być nie może jedynie dlatego, że politycy polscy nie życzą sobie jego istnienia!” Broniąc praw Litwinów Herbaczewski postulował jednocześnie, aby rozwój ich narodowych aspiracji nie odbywał się na drodze walki z polskością. Według niego jedyną możliwością pogodzenia litewkości i polskości na Litwie mogło być utworzenie wspólnego państwa - wieloetnicznej Rzeczypospolitej, szanującej odrębności tworzących ją narodów.

W 1919 roku, kiedy odradzała się Litwa, i Polska, „krakowskim dziwakiem” zainteresował

JÓZEF ALBIN HERBACZEWSKI

się Leon Wasilewski, najbliższy współpracownik Piłsudskiego, z jego ramienia główny realizator polskich planów federacyjnych wobec Litwy. Na zlecenie Wasilewskiego Herbaczewski napisał po litewsku broszurę *Dokąd idziesz Litwo?*, nawołując w niej do odnowienia unii polsko-litewskiej. Pisarz wyjechał nawet do Kowna z misją, której celem było nakłonienie litewskich działaczy narodowych do kompromisu i państwowego związku z Polską. Niesłyszany dyplomata nie spełnił jednak pokładanych w nim nadziei. Pod wpływem litewskich argumentów uznał, że federacja w momencie niebywałego rozwoju polskiego i litewskiego nacjonalizmu byłaby dla Litwy - słabszego partnera - raczej kolonizacją kulturalną i polityczną. O starciu obu nacjonalizmów pisał: „Najwstrętniejszą rzeczą jest to, że to hołota żąda ode mnie nikczemności - jeżeli naprawdę jesteś Litwinem, zożydź Polskę! Jeżeli jesteś przyjacielem Polski, razem z nami spiskuj przeciwko Litwie, zożydź własną ojczyznę! Zapłacimy za to hojnie!” Z podziwem wypowiadał się natomiast o ofiarności Litwinów przy budowie zrębów swego państwa.

W tym czasie rozeszły się drogi Józefa i jego brata Szczęsnego Herbaczewskiego, który wybrał polską orientację. Jako polski komisarz rządowy powiatu sejneńskiego w 1919 roku, Szczesny Herbaczewski doprowadził m.in. do usunięcia siłą z Sejnu litewskiego seminarium duchownego, jednego z najważniejszych ośrodków odrodzenia narodowego Litwinów.

W konflikcie o Wilno Józef Herbaczewski opowiedział się zdecydowanie po stronie Litwy. Również w późniejszym okresie krytykował krótkowzroczną politykę polskich władz wobec mniejszości narodowych na kresach. Swoje poglądy przyplacił wszczętym wobec niego postępowaniem dyscyplinarnym przed władzami UJ.

Niechęciany w Krakowie, rozgoryczony i zniechęcony nieprzyjaznym klimatem politycznym, pisarz w 1924 roku opuścił Polskę i przeniósł się na stałe do Kowna, gdzie objął katedrę języka i literatury polskiej na Uniwersytecie Witolda Wielkiego. W tym czasie współpracował z wieloma czasopismami, opublikował kilka utworów dramatycznych i powieści, m.in. *Dievo šypsenos* (Uśmiechy Boga, Kowno 1929). Konsekwentnie nie przestawał orędownać na rzecz polsko-litewskiego pojednania, co także w ojczystym kraju przysporzyło mu licznych nieprzyjaciół.

Po przejściu na emeryturę w 1933 roku Herbaczewski powrócił do Polski i osiadł w Warszawie. Zapomniany i opuszczony ostatnie lata życia spędził w niedostatku. W Warszawie przeżył okupację, po upadku powstania został ewakuowany do Krakowa, gdzie 3 grudnia 1944 roku zmarł w przytułku dla starców.

W dorobku publicystycznym Herbaczewskiego na wyróżnienie zasługują szczególnie książki i artykuły opublikowane po polsku, powstałe w „krakowskim” okresie: *Odrodzenie Litwy wobec idei polskiej* (Kraków 1905), *Litwa i kwestia polska* (w: „Świat Słowiński” 1910), *Głos bólu*. Sprawy odrodzenia narodowego Litwy w związku ze sprawą wyzwolenia narodowego Polski (Kraków 1912), *Litwa a Polska*. Rozważania na czasie (Wilno 1921), *O Wilno i nie tylko o Wilno* (Wilno 1922).

Prezentowane fragmenty pochodzą z pierwszej publikowanej rozprawy Herbaczewskiego *Odrodzenie Litwy wobec idei polskiej*. Rozważania autora są mocno osadzone w realiach epoki, w której dopiero rodził się polsko-litewski konflikt. Wartością pracy jest przede wszystkim próba odnalezienia i wytłumaczenia przyczyn narastającego antagonizmu. Interesująca jest także krytyczna analiza argumentów używanych w konflikcie przez obie strony.

Postawa, całe życie Herbaczewskiego dowiodło, że nawet w trudnym XX wieku możliwe były kompromisy uważane za nieprawdopodobne. Jak mówił i pisał - kochał obie ojczyzny, był Litwinem, a Polskę uważał za swój dom rodzinny.

Krzysztof Buchowski

ODRODZENIE LITWY WOBEC IDEI POLSKIEJ (fragmenty)

PRZEDMOWA

Ogłaszając drukiem szereg przygodnie skreślonych myśli i uwag o odrodzeniu Litwy w stosunku do Polski, winienem przestrzec Szanownych Czytelników, że skromna praca moja nie jest żadnym traktatem historiozoficzno-politycznym, wyczerpującym cały materiał, dotyczący kwestii wszechstronnie pojętego stosunku Litwy do Polski. Stojąc na podwalinach ściśle kulturalnych, to znaczy widząc w kulturze jedyne źródło niepodległości narodowej, nie roszczę żadnych zgoła pretensji do propagowania jakowejś idei politycznej lub też apriorycznie powziętej doktryny socjologicznej. Stoję poza sferą walk polityczno-partyjnych. Głos mój jest raczej osobistym wezwaniem do Polaków, a zarazem i przestrogą dla Litwinów, niżli wyrazem apodyktycznej myśli jakiejś grupy politycznej. Dlatego też czuję się wytłumaczonym w indywidualnych poglądach moich na kwestię litewską, którą rozważam niezależnie od tendencji egoizmu partyjnego.

Chciałbym zwrócić uwagę zarówno Polaków, jak i Litwinów, na osobliwą doniosłość chwili obecnej, wróżącej jakąś metamorfozę w sferze wewnętrznego życia państw i narodów. Wiek XIX był wiekiem rewolucji politycznej, metamorfozą idei monarchicznej; wiek XX rozpoczął swoje panowanie rewolucją kulturalną, czyli - jak mówią Niemcy - „Kulturkampfem“. Kultura narodowa w związku z religią w chwili obecnej poczyna mieć najdonioślejsze znaczenie. Walki narodowościowe wypełnia jedna tylko myśl: obrona kultury narodowej, która oryginalnością i odrębnością swoją gwarantuje niepodległość polityczną. Jest to fakt, któremu się nie da zaprzeczyć.

Odrodzenie Litwy stoi w ścisłym związku z jej rozwojem kulturalnym, powstrzymanym przez liczne wieki w swym naturalnym biegu. Zatamowanie myśli narodowej i bezustanne tłumienie silniejszych przejawów kultury indywidualnej niezaprzeczenie wywołać musiało potężną reakcję ze strony masy zbiorowej w tej kulturze wychowanej i bez niej istnieć nie mogącej. Ta reakcja z konieczności musiała stać się aktem politycznym, skierowanym przeciwko wszystkiemu, co rzeczywiście lub pozornie tylko zagraża samoistości kulturalnej.

Taka jest geneza odrodzenia Litwy etnograficznej.

Miłując Litwę i pragnąc jej wyzwolenia, nie mogą nie widzieć ujemnych stron ruchu narodowo-litewskiego w obecnej fazie rozwoju, nie mogą nie chcieć pojednania (w imię jedynej Idei) wszystkich stanów narodu litewskiego, dziś, niestety, poróżnionych i dość często nawzajem się zwalczających. Pragnę (być może, zbyt poetycznie, niezgodnie z duchem czasu), iżby naród litewski składał się nie z jednego tylko stanu społecznego, lecz, przeciwnie, z różnych elementów, indywidualnie odmiennych, lecz ideowo zjednoczonych. Im więcej jest różnorodna dusza narodowa, tym bardziej irredentyzm partyjny, rozpraszający ideowy całokształt, niweczy realizację Idei niepodległości zarówno kulturalnej, jak i politycznej.

Dlatego też, mówiąc o narodzie litewskim, nie mam na myśli hegemonii li tylko pewnej klasy lub pewnego stanu. Nie głoszę ani hierarchii Ludu, ani władztwa stanu uprzywilejowanego. Przeciwnie, ubolewając nad rozdwojeniem duszy litewskiej, mówię o konieczności zrzeszenia wszystkich stanów, zaprawdę tworzących naród litewski. Zdaniem moim, Litwinem jest nie tylko ten, kto mówi po litewsku, lecz i ten, który prastarej mowy litewskiej nie zna, a jednak czuje się kulturalnie zespolony ze zbiorowością duszy litewskiej (Kraszewski, Narbut, Jucewicz). Wszakże to poczucie łączności wymaga od każdego Litwina ofiarności na rzecz matki wspólnej - Ojczyzny, i dlatego platonicznie biernym być nie może.

Hierarchia Ludu litewskiego, wyeliminowanie ze sfery kultury szlacheckiej, dla mnie osobiście nie jest pożądaną. Dlaczego? Oto dlatego, że współdziałanie i współzawodnictwo wszystkich stanów tworzących naród winno się oprzeć na równowadze i harmonii społecznej. Każdy stan, mający moc tradycji, nie może być zniszczony ani też usunięty bez uszczerbku dla potęgi ducha narodowego. Naród musi żyć pełnym życiem, to znaczy przy współdziałaniu najróżnorodniejszych czynników kulturalno-społecznych. Kultura ludowa - mimo swego niezaprzeczonego piękna, mimo swej głębi - w życiu społecznym i politycznym przejawia się zazwyczaj zbyt jedno-

stronnie, by mogła być poczytywaną za jedyny wyraz pełnego życia narodowego. Pierwiastki kultury szlacheckiej (oczywiście w prawdziwym tego słowa znaczeniu), tak wzgardzone przez fanatyków ludowości, absolutnie nie mogą być wyeliminowane ze sfery kultury narodowej bez fatalnych skutków, powodujących kataklizmy. Tylko w połączeniu kultury ludowej z kulturą szlachecką trzeba szukać prawdziwej, nieklamanej Idei narodowej. W jedności moc, w rozproszeniu śmierć. Inteligencja ludowa, pokłócona z inteligencją szlachecką, nie zdoła stworzyć imponującej kultury narodowej, przejawiającej się w poezji, w sztuce. Współdziałanie szlachty litewskiej w tworzeniu kultury narodowej jest nieubłaganą koniecznością, którą odczuwać już poczynają najinteligentniejsi synowie Ludu.

Doniosłość kwestii litewskiej i konieczność jej rozwiązania w duchu powyżej wskazanym najsilniej odczuć i zrozumieć muszą Polacy. Dlatego też dziś więcej, niż kiedykolwiek, jak najwyszczególniej oświecić trzeba ruch narodowo-litewski, by z różnorodności myśli utworzyć byłoby można myśl jednolitą, ułatwiającą wzajemne porozumienie, a w konsekwencji i to upragnione *modus vivendi*... Niech ciemności łączą się nie przeciwko ciemnościom, lecz przeciwko ciemnościom!

Głos mój, jeżeli i minie bez echa, będzie tylko dokumentem, wyrażającym konieczność pogłębienia kwestii litewskiej w badaniach naukowych i politycznych. Nieświadomość jest złem największym. Poznać Litwę etnograficzną i dopiero później sądzić ją sprawiedliwie, bez wszelkiej tendencji apriorycznej. Tym pragnieniem ogarniony, pisałem pracę niniejszą. Szanowni Czytelnicy osądzą sami, czym uczynił zadość temu pragnieniu.

Tych zaś wszystkich, którzy by chcieli insynuować mi szowinistyczno-litewską nienawiść do Polski, kategorycznie przestrzegam, że miłuję tylko Prawdę, której szukam we wszystkich przejawach życia zbiorowego i indywidualnego bez względu na paragrafy dogmatycznej „mądrości tymczasowej”. Stoję poza sferą politycznej partyjności, więc mam prawo prosić, by pracą moją sądzono ze stanowiska bezpartyjnego, wyzwolonego z nałogu chwili, oszczędstwem wojującego.

CZĘŚĆ I STOSUNEK LITWY DO POLSKI

Prawda, zakryta mędrcom, nieraz objawia się dzieciom. (A. Mickiewicz).

Lud litewski ma klucz od wszystkich zadań słowiańskich. (A. Mickiewicz).

I.

Idea już poczęta, bez względu na jej wartość ujemną czy dodatnią - nie może zginąć ani też być zniszczoną. Może obumrzeć zaraz przy poczęciu, może ludzi pozorami, że nie istnieje już wcale, że należy do przeszłości bezpowrotnej. Wszelako historiozofia uczy nas, że idee minionych wieków, poczęte w nieświadomości - i dlatego nie zrealizowane - muszą odradzać się z teraźniejszości i przyszłości, wprawdzie odmienne co do formy swojej, lecz tożsame w treści, w znaku widomym. Stąd wypływa niezaprzeczone podobieństwo epok, które przyrównać można do falowania morza, do przyprływu i odpływu oceanu wielkiego.

Nie da się już zaprzeczyć, że między przeszłością a teraźniejszością - mimo pozornego rozdźwięku - istnieje pewna utajona łączność, ciągłość ewolucyjna myśli indywidualnej i zbiorowej. Tradycji, wspomnienia przeszłości, niepodobna wydrzeć z serc synów teraźniejszości ani okłamać ideą negacji. Przeszłość żyje w teraźniejszości - jako nie urzeczywistniony testament. Z tym pojęciem łączy się kult bohaterów dawnej przeszłości, którzy nie przestają żyć w nieskończonym szeregu pokoleń - jako wychowawcy ludzkości.

Idea Witołda, głosząca bunt przeciwko hegemonii Polski i niepodległość Litwy, niezaprzeczenie musiała być wyrazem nieświadomionej jeszcze wówczas woli masy, dopiero w przyszłości uświadomić się mającej politycznie. Nie była ona wytworem pojedynczego rozumu, ani objawem satrapizmu władcy, boć przecie poruszała najżywotniejszą, wszystkich niemal obchodzącą kwestią, która bynajmniej nie była w sprzeczności z dążnościami uświadomionej politycznie warstwy narodu litewskiego. Również nie była wyrazem dążności jednej tylko chwili,

czyli - jak niektórzy socjologowie mówią - wyrazem jednego tylko wieku; bo wszak nie zaginęła, kiedy naród, zda się, był uśmiercony, przeciwnie, w ciągu licznych wieków - mimo pozorów braterstwa polsko-litewskiego - niejednokrotnie zdradzała aktualną żywotność swoją, a w wieku XIX przejawiała się z niesłychaną od czasów Witołdowych potęgą. Ta ciągnęła aktualność idei Witołdowej wymownie potwierdza dawno już znany fakt, że geniusz wyprzedza epokę swoją o kilka, a nawet kilkanaście wieków, i że idea jego uzewnętrznia się w czynie trwałym dopiero w przyszłości. Mówiąc inaczej, geniusz krwιά własną wypisuje w duszy narodu nieubłagane memento, które jest kategorycznym nakazem dla niezliczonego szeregu pokoleń. Tego memento naród absolutnie wyrzec się nie może. Nie czyniąc bowiem zadość temu nakazowi, niszczy siebie i uśmierca. Naród żyje dopóty, dopóki żyje w nim idea jego, zrodzona w przeszłości i żadna realizacji.

A więc odrodzenie narodu litewskiego zwiastował już Witołd swoim czynem historycznym, a tym samym już zniewolił naród do kroczenia wskazaną przezeń drogą. Sam już bowiem fakt istnienia idei nie zrealizowanej (bo taką jest idea Witołda), a więc tajemnej, nieświadomionej powszechnie, zmusza cały naród do odgadnienia jej sensu, jej istotnego brzmienia, zgodnego oczywiście z duchem czasu... Geniusz przewiduje, i dlatego jest zagadkowym jasnowidzem. Geniusz Litwy przewidział przyszłość narodu, i dlatego utrwalił ideowe podstawy jego istnienia. Geniusz Polski przewidział przyszłe niebezpieczeństwo ze strony Litwy, i dlatego za pośrednictwem i wpływem króla Jagiełły unią dyplomatyczną odpędził burzę na czas daleki. Wszakże ideowy antagonizm między Litwą a Polską - mimo czasów pokoju i pozornego braterstwa - przetrwał liczne wieki i w chwili obecnej objawiać się poczyną w zaskakującej formie. Dyplomatyczna unia - jako najwspanialszy czyn Geniusza Polski - dziś poczyną słabnąć i zdradzać swoją niemoc. Dlaczego? Oto dlatego, że - jako dogmat polityczny - znieruchomiła w bezczynności i nie rozwijała się z duchem czasu, kiedy coraz częściej i natrętniej wyłaniały się kwestie, nieprzewidziane w chwili zawarcia unii i dlatego domagające się swej aktualności. Unia Polski

z Litwą w tej formie, w jakiej dziś jest głoszona, zdaniem większej części uświadomionych narodowo Litwinów, jest już nieodpowiednią, przestarzałą. Ta unia musi być odnowioną i zgodnie z duchem epoki współczesnej zmienioną, jeżeli Polakom w ogóle zależy na utrwaleniu zgody politycznej z Litwinami.

Geniusz Mickiewicza, który był - jak się wyrażę - owocem współdziałania i współzawodnictwa kulturalnego Lechitów i Rusów z Litwinami, a będąc takim, był wzorem nowego typu Polaka i zwiastunem nowego państwa, przewidział ten straszliwy rozłam między Litwą i Polską i dlatego głosił ideę odrodzenia Polski trójnarodowej, ideę odnowienia unii federacyjnej trzech narodów, tworzących Polonię, a Litwie wróżył zaszczytne powołanie w przyszłych dziejach Słowiańszczyzny. Mickiewicz wiedział, że urzeczywistnienie idei Witołdowej byłoby straszliwym ciosem dla Polski. Dlatego też bezustannie szukał w dziejach obu narodów tej mistycznej spójni, utrwalającej dzieło rozpoczęte. Tę spójnię mistyczną odnalazł w posłannictwie narodów cierpiących, przedwcześnie skazanych na zagładę za to, że są „solą ziemi”. W posłannictwie cierpienia spoczywa idea braterstwa, jako i w posłannictwie przemocy - idea nienawiści. Ideę braterstwa Chrystusowego trzeba przeciwstawić idei demonicznej negacji. Polonię - jako dokonany wyraz braterstwa trzech dobrowolnie (nie przymusowo!) zjednoczonych narodów - trzech przeciwstawić carom Germanów i Rosjan - jako widomy znak Mocy obalającej. Taką ma być odnowiona unia Litwy z Polską.

Mickiewicz wypowiedział ostatnią konsekwencję idei Witołdowej, to znaczy w idei rozwiązał udręczającą kwestię stosunku Litwy do Polski: W idei!, nie w czynie! Urzeczywistnienie myśli politycznej Mickiewicza uzależnione jest od dobrej woli Polaków i Litwinów i wymaga wprost tytanicznej wspaniałomyślności i dostojności, tak obcej w chwili obecnego wybudzenia namiętności narodowych.

Litwini nie mogą jeszcze zrozumieć Mickiewicza, bo nie zrozumieli jeszcze najistotniejszej treści idei Witołdowej, mianowicie: stosunku Litwy do Białorusi, Łotwy i państwa rosyjskiego. Wciąż trwają w jednostronności politycznej i, zda się, nie chcą wiedzieć, że nie było jeszcze państw i narodów

na kuli ziemskiej, które by nie zawierały kompromisów politycznych w chwili, kiedy im groziło niebezpieczeństwo osamotnienia pośród silnych wrogów. Sam przecież Witołd, głosząc ideę niepodległości Litwy, genialnie marzył o utworzeniu wielkiego państwa litewsko-ruskiego, które by mogło być niezdobytą twierdzą między Moskwą a Polską. Jasnym więc jest, że Litwa, będąc w ciągłym niebezpieczeństwie odosobnienia wśród Germanów i Słowian, będąc niejako między młotem a kowadłem, zaprawdę winna zmierzyć swoje siły i mocno zastanowić się nad wielkim zagadnieniem: czy sama zdoła wytrwać w bezustannej walce z wszechstronną przemocą zarówno polityczną, jak i kulturalną? Czy może być zarozumiałą w chwili największego niebezpieczeństwa, w chwili przełomu i kataklizmu, kiedy runąć mogą nawet stumilionowe narody, uzbrojone od stóp do głowy? Czy zaprawdę nie poszukuje sprzymierzeńca, z którym ją łączy wspólność potęgi i upadku, tryumfu i cierpienia, wspólność historycznej przeszłości, dziś pokutującej w niewoli? Na te udręczające pytania odpowiedział Mickiewicz. Odpowiedź jego dotąd pozostała niezrozumianą ani przez Litwinów, ani przez Polaków, mimo tendencyjnych komentarzy. Bo gdyby była zrozumiana, czynionoby ścieżki Mężowi onemu, którego zwiastował wieszcz w chwili największej boleści.

Tylko naród polski może być sprzymierzeńcem narodu litewskiego. Braterstwo tych dwóch narodów nie oznacza bynajmniej wyrzeczenia się wolności jednego na rzecz drugiego. Takie zrozumienie braterstwa było i jest grzechem kulturalnie niedojrzałych polityków polskich i litewskich. Braterstwo narodów jest niczym więcej, jak tylko aktem wspólnej samoobrony, opartej zresztą na wzajemnym uszanowaniu praw kulturalnych, a zarazem i politycznych, z kultury wyrastających. Naród silniejszy, sprzymierzony ze słabszym, musi bronić swego słabego towarzysza, a zarazem i troszczyć się o wszechstronny rozwój jego potęgi, wzmacniającej przymierze. Polska, opiekując się Litwą, zapomniiała o tym obowiązku swoim. Litwa, odradzająca się bez pomocy cudzej, słusznie przypomina Polsce jej dawne winy.

Mickiewicz, który tak wzgardził duchem niewoli, pełzającym - niby gad - u stóp cara, nie mógł głosić

braterstwa Litwy z Polską, pojętego jako „naturalne ciemństwo“ silniejszego nad słabszym. On bronił małych, wróżąc im sławę w przyszłości, on żądał unii tylko tych narodów, które walczą o niepodległość - unii dobrowolnej, nie przymusowej, unii opartej na prawie Chrystusowym, a nie ludzkim. On przewidział niebezpieczeństwo dla narodów ilościowo słabszych, przez dyplomatów skazanych na zagładę; więc pragnął ich zjednoczenia, iżby jednością ciemniejszej idei obalić ideę ciemństwa!

Tak pojęte braterstwo narodów zaprawdę jest ideą zbliżającego się jutra.

Dzisiaj Litwa nie może być inną niż jest. Dlaczego? Przede wszystkim dlatego, że psychologia zbiorowa podlega nieubłaganemu prawu ewolucji i w danej chwili nie może być odmienną, niżli jest, choćby nawet działały czynniki, chwilowo tylko sugerujące. Historia narodu litewskiego bynajmniej nie ukrywa ciągłości tych przyczyn, które spowodować musiały potężną reakcję Litwy przeciwko despotycznej hegemonii obcych wpływów. Odradzająca się Litwa musi przejść okres organizacji wewnętrznej, ułatwiającej organizację zewnętrzną, tj. polityczną; musi ująć myśl swoją, wyłaniającą się z chaotyczności zburzonej tradycji i wciąż jeszcze rozproszoną, w ideowość narodową, wyrażającą wolę mas już uświadomionych. Jednym słowem, Litwini muszą osiągnąć taki stan uświadomienia narodowo-politycznego, iżby zrozumieć mogli swój stosunek do innych narodów oraz obowiązek z tego zrozumienia powstały. Dlatego też, zda się, pożądamy ciągłej walki z nadmiarem nagromadzonej energii, albowiem ta walka wszechstronnie ich uświadamia i daje im możliwość zrozumienia siebie samych. Zda się, chcą poznać swój stosunek do Polski tylko drogą walki i dlatego muszą chcieć widzieć w Polsce choćby urojonego wroga, iżby jej przeciwstawić Litwę. Walka o przeciwstawienie! Walka kontrastów! Zaiste dziwny pozornie paradoks, a jednak psychologicznie prawdziwy. W duszy Litwina niezaprzeczenie walczą dwie kontrastowe kultury (polska i litewska). Pierwsza wciąż jeszcze trwa w sferze moralno-religijnej, zwłaszcza w kościele. Wtóra wyłoniła się z tradycji pogańskiej, jako widmo straszliwe, żadne pomsty. Te dwa kontrasty muszą albo się złączyć w jakąś nową, nieznaną

jeszcze całość, albo wzajemnie się wyniszczyć i wytworzyć nihilizm narodowy. W tym zagadnieniu spoczywa tragizm stosunku Litwy do Polski.

Litwini bezustannie akcentują swoją odrębność kulturalną, na której słusznie budują swoje nadzieje polityczne. W tym akcentowaniu nieraz grzeszą nawet szaloną nietolerancją obcej myśli, iżby tylko tę kontrastowość narodową powiększyć. Lecz tak być musi w chwili obecnej, w której się rodzi myśl Jutra, takie bowiem jest prawo odradzających się narodów, których wewnątrz przepełnione jest jakoby muzyką kontrastów à la Wagner. Odrodzenie Czech, Krocacji (Chorwacji - przyp. Red.), Bułgarii i wielu innych narodów miało takie same znamiona w pierwszej fazie swego rozwoju, którą słusznie przyrównać można do dzieciństwa. Trzeba się pogodzić z nieubłaganą konsekwencją życia narodów współzawodniczących. Wszak nikomu nie zaszkodzi, jeżeli narody mniej kulturalne dojrzewać będą moralnie i politycznie i pozbywać się stopniowo hałaśliwości i kapryśności dziecięcej. Lamenty i narzekania nie zmieniają nieubłaganego prawa ewolucji, polityczne zaś jątrzenie wywołać może czynną reakcję w formie rewolucji społecznej. Narody różnymi drogami dochodzą do zrozumienia prawdy. Litwa kroczy odmienną drogą niżli Polska, wszakże idee Litwy i Polski - mimo różnic - zlewają się w mocarnym błaganie o wyzolenie... Idea Chrystusowa łączy oba narody. Ta przewycięży nawet wszetecznictwo odstępowym ogarnionych synów Litwy i Polski. Kto wierzy w ideę, ten powinien zarazem wierzyć w jej zwycięstwo. Wszelka obawa jest świadectwem bezideowej niemocy.

Zmiana niepożądanego stosunku Litwy do Polski, zdaniem moim, zależy nie tylko od dojrzałości kulturalnej Litwinów, lecz w znacznej mierze także od stanowiska Polski inteligentnej do Litwy w ogóle. Dzisiaj, albo nigdy, Polacy naprawdę muszą zrozumieć, że mają do czynienia nie z jakąś „chorobliwą wizją“, lecz z narodem straszliwie żywiołowym, rozmiłowanym w niebezpieczeństwie, mocno zahartowanym w walce z przeciwnościami i uporczywie realizującym swoje cele i zamiary. Dlatego też winni zmienić swoją bezowocną, niekiedy nawet śmieszna taktkę w stosunku do Litwinów, a mianowicie

wyrzec się swoich roszczeń do prowadzenia Litwinów na pasku polityki ściśle narodowo-polskiej, głoszącej interes obcy duchowi Litwy. Niech Polacy nie drażnią ambicji narodowej Litwinów podobnymi wyrażeniami, jak: „Polacy wyszkolili Litwinów”, albo „Litwini nie mają żadnych kwalifikacji do samodzielności”, niech nie używają nauki do celów politycznych, niech umieją szanować indywidualność Litwy, wielce pożądaną w chwili obecnego zneruchomienia, przesyconego nudą i oschłością, monotonią i jałowością, niech zechcą uznać wszędzie i zawsze jak najsluszniejsze dążenia Litwinów, nie sprzeciwiające się bynajmniej słusznym dążeniom narodu polskiego, niech się nie wtrącają do spraw ściśle narodowo-litewskich, nie mając pojęcia o Litwie etnograficznej i jej potrzebach kulturalnych i politycznych, a tym samym już zmażą winy historyczne, popełnione przez władców polskich wspólnie z władcami Litwy, i ułatwią porozumienie wzajemne. Niech się starają (bo mają do tego sposobność) głęboko poznać i zrozumieć kulturę Litwy, a nade wszystko jej prastary język, iżby nie wnioskować nienaukowo, tj. tendencyjnie (jak to uczynił jeden z wybitnych uczonych polskich), że wśród miłośników Litwy pogańskiej byli tacy, którzy, chcąc „wyzwyżnić mierny (!) naród litewski”, stworzyli po prostu głupie bajdy, uważane dziś za wytwór kultury litewskiej. I niech będzie zburzony ten obrzydliwy, urągliwy mur obskurantyzmu, który wyrósł na między, rozgraniczającej dwa narody. Wszelka bowiem niewiedza rodzi tylko nienawiść. Wiedza zaś, oparta na miłości prawdy, uszlachetnia, rozprasza wszelkie obawy i chorobliwe przywidzenia. Więc trzeba torować drogę do wzajemnego poznania, iżby idea Mickiewicza stała się rzeczywistością. Jednym słowem, trzeba zniszczyć źródło nieporozumienia...

I zaprawdę trzeba wielkiej kultury, rodzącej wspaniałomyślność w słowach i w czynie, iżby chcieć tak postępować. Szczerze wyznać muszę, że dotąd nie miałem jeszcze dowodu stwierdzającego, że większa część inteligencji polskiej dorosła już do tej pracy, tak pożądanej w chwili obecnej. Nie będę analizował przyczyn, niweczających tego rodzaju powinność; chcę tylko przypomnieć tym, którzy uczynią mi zarzut „społecznego marzycielstwa”, że jesz-

cze w XVI wieku ks. Mikołaj Dauksza odczuł i zrozumiał położenie Ludu litewskiego i karcąc nawoływał spolszczoną szlachtę litewską do zbiorowej pracy nad oświatą Ludu w duchu jego tradycji. I dlaczego ten głos szlachetnego i zacnego kapłana, a zarazem i obrońcy wydziedziczonych, przebrzmiał prawie bez echa, bez oddźwięku w sercach tych, których wzywając budził? Dlaczego skończył w pustkowiu dusz i poruszył sumienie tylko najdostojniejszych, którzy, niestety, zbyt późno zaczęli pracować? Zaiste, smutne pytanie!

Najlepsi synowie spolszczonej szlachty litewskiej dowiedli czynem (zwłaszcza w pierwszej połowie XIX w.), że chcą i umieją miłować naród litewski. Imiona Teodora Narbutta, Jucewicza, Kraszewskiego, Kondratowicza, Eustachego i Konstantego hr. Tyszkiewiczów i wielu innych Lud litewski wymawia z szacunkiem. Większa część szlachty litewskiej trwała wówczas w dziwnej obojętności i w platonicznym zachwycie, nad tradycją swoją, nie poczuwając się do żadnego obowiązku względem poddanego im Ludu, a nawet potępiając pracę najlepszych braci swoich. Albowiem nie wiedzieli, ani też przeczuwali, że się przybliży już chwila upadku ich potęgi, że na arenę dziejów niebawem wystąpi Lud i domagać się po cznie sądu... Przeczuli tę chwilę ci pierwsi w narodzie, którzy dla sprawy odrodzenia narodu litewskiego poświęcili mienie swoje (Narbutt), znosząc na domiar prześladowania ze strony rządu zaborczego, i dlatego powinni być wzorem i przykładem dla całej szlachty litewskiej. Pracując w Ludzie i dla Ludu, nie obawiali się złych konsekwencji czynów swoich - dla Polski w szczególności; wiedzieli bowiem, że dobre czyny rodzą tylko dobre owoce, że odrodzenie Litwy jest wzmocnieniem Polski wewnątrz jej i na zewnątrz. Miłowali Lud litewski, bo byli z nim złączeni wspólnością przyrody, kultury, tradycji, wspólnością ekonomiczną, polityczną, a nade wszystko plemienną. Historia człowieczeństwa nauczyła ich tej prawdy, że narody niewolnicze, związane unią choćby z narodem wolnym, są tylko „kulą u nogi” - ciężarem. Polska pożąda tylko potężnego sprzymierzeńca; z karłem sprzymierzać się nie może. Dlatego też właśnie poczuwali się do tym większego obowiązku pracowania nad wyzwoleniem

potęgi litewskiej z więzów niewoli.

I dlaczego dziś tylko nieliczni spośród szlachty litewskiej, współżyjąc z ludem litewskim, naśladują czyny swoich zacnych dziadów? Dlaczego liczni inni wciąż mówią o wstrętnych błędach i wadach ludu litewskiego, nie chcąc tych błędów naprawić dobrym czynem i przykładem? Zali mniemają, że krytykując biernością spełniają już swoje obowiązki? I czego się obawiają, przed czym drżą? Zali przed Cieniem - Wspomnieniem dawnej przeszłości, który zasłaniać poczyna błękit Litwy czarną chmurą burzy, zwiastującej poranek - świeży, wonny, rozmodlony dziełczynieniem?...

Zaiste, smutne pytanie!

Głos ks. Daukszy dotąd jeszcze pokutuje nie wysłuchany, nie zrozumiany. A wszak w onej chwili, kiedy po raz pierwszy zabrzmiał, poczęło się zwiastowanie odrodzenia Litwy, zrodziła się potrzeba oświaty narodowo-litewskiej! Zapewne ci, w których mocy było uczynienie zadość temu głosowi kapłana, uśmiechali się obojętnie, nie przewidując wcale, że słowo wypowiedziane zginąć już nie może i wcielić się musi w czyn realny.

Im więcej Polska obojętniała na głos przodowników i obrońców narodu litewskiego, tym częściej zjawiać się poczęli zwiastunowie odrodzenia Litwy i wezwaniem swoim niepokoić obojętnych władców, która zresztą nasiliła się najokrutniej w roku 1863, kiedy lud litewski, nie wiedząc wcale, o co chodzi, dał się oszukać agitatorom carskim i zawiódł oczekiwania szlachty. Niech ta obojętność szlachty w stosunku do ludu ustanie, jeżeli memento 1863 roku nie ma się stać jeszcze groźniejszym napomnieniem, zwłaszcza w chwili obecnej, kiedy carat wyęży swoją dyplomatyczną potęgę, iżby lud litewski uczynił narzędziem woli absolutnej. Przykładem i przestrogą niech będzie Łotwa.

Rok 1863, zda się, już zupełnie pogrzebał w ruinach wszelkie nawet marzenie o odrodzeniu Litwy. Wszakże stała się rzecz zaprawdę dziwna, wręcz przeciwna logice politycznego myślenia. Bo oto nadmiar cierpienia narodu litewskiego przejawiać się począł w tak potężnej reakcji, że nawet carat drgnął zatrwożony. Naród po raz pierwszy od licznych wieków przemówił zgodnym protestem, popar-

tym przez czyn...

Polska inteligentna słuchała i wciąż słucha, a jednak nie rozumie, co się stało, czy też może tylko udaje, że nie rozumie. Miast poznać i umiłować ten bratni głos, który niegdyś brzmiał na polu Grunwaldzkim, który ongi gromił gudów piorunową mocą, inteligentna Polska zasklepia się coraz więcej w egoizmie chwili i wciąż trwa w ignorancji jednego z najpotężniejszych przejawów życia zbiorowego. A wszak już czas pomyśleć o niebezpieczeństwie, powstać mogącym z nadmiaru tej ignorancji wielkopolskiej, już czas spóźniony zrozumieć, że Pogoń Litwy pędzi w naród, iżby mieczem zemsty wytepić chwasty odstępstwa, głuszące chwast wolności... I któż ją zmusza do tego strasznego pędu? Oto ci, którzy pragnąc osobistej wolności, zwalczają wolność cudzą...

II.

Litwa etnograficzna dostała się panom polsko-litewskim niemal w charakterze łupu na mocy praw krzyża, którym Polacy ujarzmili „swawolę” pogaństwa. Dobrowolnie wynarodawiająca się szlachta litewska coraz więcej stawała się obca duchowi ludu - mimo nawoływania i przestrogi garstki szlachetnych mężów, zwłaszcza kapłanów, którzy w tym fatalnym rozdwojeniu duszy narodowej czuli wielkie niebezpieczeństwo. I oto skutek wyodrębniania się szlachty od ludu był ten, że masa ludowa straciła wiarę i zaufanie do panów, jako domniemanych przodowników i obrońców. Rozgoryczenie ludu rosło, potężniało w ciągu kilku wieków, wszakże - nie znajdując mocnego wyrazu - musiało trwać w ponurym, zagadkowym milczeniu. To straszne osamotnienie ludu pośród wrogów było groźną w swym milczeniu tragedią, która z jakowąś buddyjską rezygnacją oczekiwała rozwiązania. I oto w XIX w. Litwa ludowa powstała przeciwko Litwie szlacheckiej z żywiołową potęgą. Lud litewski, atakując szlachtę, pośrednio zagroził także Polsce, jako orędownicze Litwy szlacheckiej. A w tym czynie ludu nie było żadnej „niekonsekwencji” ani historycznej, ani politycznej. Był to zupełnie naturalny wyraz uczuć żalu i rozgoryczenia, nagromadzonych w ciągu długiej niewoli i zamkniętych w strachu niewolnika wobec pana

możnego. Gdy lud litewski po raz pierwszy zawołał: Jestem! - jakiś dziwny lęk począł ogarniać spolszczonych Litwinów i Polaków. Ten lęk był wyrazem niemal powszechnej i dziś jeszcze, niestety, choroby, nakazującej głosić, że naród a szlachta jedno jest, że wszystko, co nie mogło być uszlachcone, nie zasługuje na miano narodu. Jakkolwiek Mickiewicz próbował wyleczyć tę arystokratyczną chorobę jasnym określeniem pojęcia narodu - jako wyrazu woli wszystkich stanów (a więc i ludu!), to jednak zde-mokratyzowany nałóg tej choroby nie zanikł jeszcze w społeczeństwie polskim, które głosi, że naród a inteligencja jedno jest. Te dwa zabobonne pojęcia narodu - jako zbiornika szlachectwa i motoru inteligencji - w czynie realnym, a zwłaszcza w stosunku do ludowości, przejawia się despotycznie, wytwarzając chaotyczne pomieszanie pojęć i tragikomiczną walkę egoizmów: konserwatywno-wstecznego i konserwatywno-postępowego. Dlatego też niepodobna dziwić się, że stosunek Polski szlacheckiej i Polski inteligentnie demokratyzowanej do odradzającej się Litwy etnograficznej jest prawie identyczny. I pierwsza i wtóra uważa Litwinów za jakieś *qui pro quo*. Co to jest? - wołają. Skąd się „oni” wzięli? Historia „nasza” uczy nas, że już dawno wymarli jacyś tam „dzikusy litewscy”! Cóż to za dziwolągi? Ani inteligencja, ani szlachta, a jednak mają czelność nazywać się narodem! Ależ to chyba wybryk natury!... Zresztą spluńmy na nich i prowadźmy dalej nasze „ideowe dzieło”! Wiemy bowiem, że „potworki krótko żyją”...

Oto próbka istic polskiej lekkomyślności, która z muchy czyni słonia, a z orła - koguta, która mało ważne sprawy rozdyma do tragicznych rozmiarów, a potężne przejawy życia poniża do poziomu błahostki. I tylko tej lekkomyślności zawdzięczać trzeba, że Litwini i Polacy kłócą się właściwie o to, czy kur może być orłem, czy nie. Miast rozważyć rozumnie, trzeźwo wielkie zagadnienia życia, miast zbadać przyczyny, powodujące zło tymczasowe i pogodzić się z nieubłaganą konsekwencją życia, wciąż piszą traktaty o tym, czy paragrafy przeszłości należą do prawd objawionych, tj. dogmatycznych, czy też do kłamstw „mądrości tymczasowej”. Fatalne nieporozumienie! Niech każdy naród będzie tym, czym chce

być - i basta! Aprioryczne zakazy zmuszają do zbrodni społecznej i politycznej. Walka o uznanie lub potępienie prawa do miana narodu, tj. do samodzielności kulturalno-politycznej, jest szczytem niedorzeczności. Ten tylko ma wszystkie prawa, kto wiele może i wiele chce czynić. Żadnych praw nie ma tylko niewolnik dobrowolny. Biada, kiedy samo życie poczynnie się litować nad tymi, którzy współżyć nie umieją!

Lecz nie ma złego bez przyczyny. Więc trzeba poznać genezę tego zaiste dziwnego nieporozumienia polsko-litewskiego co do istoty narodu litewskiego.

Genialna dyplomacja polska w chwili zerwania unii (1386 r.), a zwłaszcza w chwili jej odnowienia w Horodlu (1413 r.), wyzyskując kłękę Witołda nad Workszą, już z góry przewidziała, że niezaprzeczona wyższość kultury łacińsko-polskiej musi z biegiem czasu ujarzmić kulturę litewsko-ruską. W duchu tej apodyktycznej pewności, nie poddawanej samokrytyce i dlatego graniczącej z pychą, działali wszyscy mężowie stanu dawnej Polonii. Szlachta litewska spolonizowała się raczej zewnątrz niż wewnątrz; przyjęła bowiem tylko cechy zewnętrzne kultury polskiej (mowę, obyczaje towarzyskie itp.), w głębi duszy pozostając litwino-białorusami. To rozdwojenie duszy szlacheckiej było dziełem jednostronnej dyplomacji polskiej, pozbawionej ideowości braterstwa, która się objawiać zaczęła dopiero po rozbiórce Polski. Wewnątrz szlachcic był ściśle zespolony z ziemią litewską, przesyconą jego własną krwią i ukrywającą w sobie prochy tych, którzy przekazali mu tradycję szlachetności, tj. przodownictwa w narodzie; zewnątrz zaś był zespolony z życiem stolic Krakowa i Warszawy. Ta dwoistość osobowości, stopniowo potęgując się, wytworzyła straszliwą tragedię wzajem się zwalczających sprzeczności. Pożądanie harmonizującej jedności stało się niemal powszechną potrzebą, zwłaszcza dla umysłów, najwięcej uświadomionych i orientujących się w tym groźnym położeniu. Rozdwojenie duszy szlacheckiej najsilniej się przejawiało w geniuszu Mickiewicza, który, zda się, po to posłany był, iżby tragedię szlachty rozwiązał w duchu idei jedności. W tych pozornie paradoksalnych słowach chce

zamknąć myśl będącą kluczem do odgadnięcia Mickiewicza, którego nie zrozumieli jeszcze ani Polacy, ani Litwini jedynie dlatego, że twórczość jego rozważali i rozważają ze stanowiska nacjonalizmu, ignorując zupełnie pierwiastki syntetyczne, wyrażające myśli nad narodowe w stosunku do dzisiejszego pojęcia narodowości. Tego rodzaju niezrozumienie oczywiście zrodzić musiało powszechne niemal przekonanie, że Mickiewicz głosił tylko apoteozę Polaka litewskiego i lechickiego, ignorując zupełnie kulturę Litwy etnograficznej (z której zresztą czerpał skarby poezji, jak świadczą „Dziady”, „Grażyna”, „Konrad Wallenrod”). Mickiewicz atoli nigdy nie głosił tego rodzaju apoteozy polskości, przeciwnie, propagował ideę jedności trzech niepodległych i wolnych narodów nie w imię interesu, lecz w imię miłości Chrystusowej, wyznawanej zarówno przez Litwinów, jak i przez Polaków. Stąd wniosek logiczny, że Mickiewicz, mówiąc bezustannie o trójnarodowej Polsce, nie mógł odmawiać ani Litwie, ani Rusi tych samych praw, które przysługują polskiemu narodowi. Silnie podkreślić muszę jeszcze ten fakt, że wieszcz Adam nigdy nie identyfikował pojęcia szlachectwa z pojęciem narodowości, przeciwnie, wciąż twierdził, że idea narodowa winna być wyrazem woli wszystkich stanów, tworzących naród, o Ludzie zaś litewskim mówił z wielkim uznaniem i przepowiedział mu wielką misję w dziejach Słowiańszczyzny.

A więc podług Mickiewicza szlachta litewska niekoniecznie musi być rozdwojoną duchowo. Przeciwnie, powinna pracować wspólnie z budzącym się ludem nad podniesieniem kultury narodowo-litewskiej, iżby Litwa stanęła na tym stopniu swej potęgi, który by zaprawdę gwarantował trwałość federacyjnej unii z Polską. Lud litewski - jako nowy czynnik - jest niejako tym elementem, który odradza spolszczoną szlachtę, - choćby dlatego, że istnieje i istnieć musi - jako żywe przeciwstawienie pojęcia narodowości litewskiej. Szlachta, współżyjąc z tym ludem, niezawodnie zrozumie swoje obowiązki i w imię sprawiedliwości uczyni im zadość. Wierzę w dobrą wolę szlachty litewskiej, a nade wszystko ufam, że zwycięży zdrowy rozsądek Litwina, a nie fantazja polska.

Niestety, to zabobonne pojęcie narodowości litewskiej jako tożsamości z pojęciem narodowości polskiej wciąż trwa w szerszych warstwach społeczeństwa polskiego dzięki podziwianiu godnemu konserwatyzmowi przeważnej części kierowników opinii publicznej. Narodu litewskiego (oczywiście odmiennego niżli naród polski) nie ma i być nie może jedynie dlatego, że politycy polscy nie życzą sobie jego istnienia. Skoro nie ma narodu litewskiego (istnieje tylko garstka „Litwomianów“!) - rozumują panowie publicyści polscy - to oczywiście nawet mowy nie może być o jakichkolwiek prawach tego nie istniejącego narodu. Litwa należy do nas (do kogo? czy do panów redaktorów polskich?) ideowo i wyrzec się jej nie możemy - mimo hałasy warchołów litewskich, podszczuwanych na nas przez rząd carski.

Tego rodzaju „politykę fantazji” prowadzą panowie dziennikarze polscy.

Lecz warto poznać te „ideowe przywileje” Polaków na Litwie. Jak już nadmieniałem, zewnętrzna polskość szlachty litewskiej bynajmniej nie jest „ideowym przywilejem” Polski. Przeciwnie temu pyszalkowatemu uroszczeniu zaprotestował w „Prawdzie” warszawskiej (r. 1904) szlachcic Dowsin w imieniu licznych szlachciców. Kultura Litwy etnograficznej (Ludu) także nie zawiera w sobie tych „ideowych przywilejów” - mimo zarozumiałe sądy i sofistyczne dowodzenia niektórych historyków i etnografów polskich. „Ideowe zaś przywileje” Polaków litewskich nie upoważniają wcale do tego rodzaju despotycznych uroszczeń, gdyż muszą być zrównoważone z przywilejami narodowości litewskiej. Wobec tego trzeba stwierdzić, że t. zw. „ideowe przywileje” Polaków na Litwie należą do wytworów fantazji polskiego dziennikarstwa.

Na Mickiewicza nie wolno się powoływać. On bowiem pierwszy stwierdził, że istnieje naród litewski, a więc tym samym już silnie zaatakował uroszczenia egoizmu polskiego. On, wołając: „Litwo, ojczyzno moja!” - wyraźnie przestrzegał Polaków, iżby nie identyfikowali Litwy z Polską, iżby swoje „przywileje” zrównoważyli z przywilejami Litwinów.

Twierdzenie Leliwy), jakoby Uniwersytet Wileński „dokonał ostatecznej polonizacji szlachty litewskiej“

w duchu ideowym, nie zasługuje na wiarę. Zdaniem moim, Uniwersytet Wileński, pogłębiając świadomość narodową najwybitniejszych synów szlachty, bynajmniej nie utożsamiał Litwina z Polakiem, przeciwnie, pojęcie litewskości postawił na równi z pojęciem polskości, mówiąc inaczej, zasadę unii, streszczoną w słowach: „równi z równymi” podniósł do godności uświęcającej. Dowodem niech będą dzieje emigracji litewsko-polskiej, które najlepiej zadokumentowały odrębność (a nawet pewnego rodzaju osamotnienie) Litwinów w stosunku do Polaków, zwłaszcza faktem założenia w Paryżu Towarzystwa Litewskiego (do którego należał także Mickiewicz). Skoro emigracja litewska, wychowana w przeważnej części przez Uniwersytet Wileński, tak jawnie i dobitnie zmanifestowała swoją odrębność, jasnym jest, że dokonana „polonizacja Litwy” była li tylko najwyższym przejawem kultury litewskiej w obcej formie. Litwin wewnętrznie (jako charakter, typ) czuł się odmiennym niżli Polak; tylko niektóre zewnętrzne przejawy jego duszy, zwłaszcza mowa, czyniły go pozornie upodobnionym Polakowi. Polsko-litewski patriotyzm Litwina był tylko wyrazem wspólnej niedoli politycznej, nigdy zaś apoteozą myśli rdzennie polskiej. Litwę, przemocą przyłączoną do państwa carskiego i oderwaną od Polski, ogarnął lęk straszliwy wobec groźnej przyszłości, która nic pocieszającego nie wróżyła. Ten lęk zrodził zupełnie naturalną tęsknotę do Polski - jako jedynej wybawicielki. W duszy szlachcica litewskiego, ogarnionego prawie beznadziejnym smutkiem, graniczącym z rozpaczą i oczekującym cudu jakiegoś, zaczął się odbywać dziwny zaiste proces na tle romantyczno-uczuciowym. Szlachta litewska zwątpiła w swoje siły. Wyzwolenie swoje widziała tylko w wyzwoleniu Polski. Nadmiar cierpienia zrodził w duszy szlacheckiej mistyczną wiarę w posłannictwo Polski (Towiański), którą dziś sami Polacy delikatnie ignorują. Mówiąc krótko, Polska stała się jedyną nadzieją udręczonej Litwy szlacheckiej, daremnie wołającej o wyzwolenie z okrutnej niewoli. Lecz nigdy się nie stała „nową” ojczyzną Litwinów.

Oto geneza tego uczuciowego patriotyzmu polsko-litewskiego, który przetrwał po dziś dzień w duszach tkliwych, przeczulonych. W tęsknocie Litwy

do Polski - jako wybawicielki - przejawiała się raczej idea cierpiącej szlachty litewskiej niżli „dokonana polonizacja”. Mimo bowiem pozorną tożsamość litewskości i polskości, w głosie cierpiącej Litwy szlacheckiej, przekazanym pokoleniom polsko-litewskim w dziejach i czynach Towiańskiego, Oleszkiewicza, Kondratowicza (Odyńca), Narbutta i wielu innych, brzmiała jakaś nowa, prawie zupełnie nieznaną, a nawet niekiedy obca duszy polskiej, dziś tak uporczywie reagującej przeciwko „rozczochnanej” mistyce nawet tak „zdrowo” - po litewsku - myślącego człowieka, jakim był wieszcz Adam).

Reasumując powyższe uwagi o pojęciu narodowości litewskiej, stwierdzam:

1) polonizacja Litwy szlacheckiej była tylko zewnętrzną, nigdy zaś wewnętrzną, duchową - mimo współdziałania kulturalnego szlachty litewskiej ze szlachtą polską; dowód: odrębność charakteru litewskiego szlachcica;

2) polski patriotyzm szlachty litewskiej był i jest tylko wyrazem jej dążeń do niepodległości politycznej przy współudziale Polski - jako jedynej jej sprzymierzeńca, nigdy zaś sankcją politycznej myśli Polski, ani też wyrzeczeniem się „starej” ojczyzny i uznaniem „nowej”; dowód: jawne manifestowanie ze strony znacznej części szlachty litewskiej swej odrębności narodowej;

3) „ideowe przywileje” Polski na Litwie równoważą się w zupełności z „ideowymi przywilejami” Litwy - jako narodu; dowód: protest szlachcica Dowsina przeciwko rozporządzeniu się szlachtą litewską - jako własnością Polski;

4) rozdwojenie duszy narodowo-litewskiej, dokonane przez dyplomację polską, musi przestać istnieć; konieczność: szlachta jest zagrożona przez rząd carski, usiłujący wyzyskać ruch ludowy dla celów rusyfikacyjnych.

Tę „narodową apologię” szlachty napisałem jedynie dlatego, iżby dowieść, że szlachta litewska nie oderwała się na wieki wieków od ludu litewskiego, owszem, przechowała ideową z nim łączność (dziś, niestety, jeszcze prawie nie uświadomioną), która kiedyś może się stać realną koniecznością powrotu do „źródeł duszy litewskiej”. Dlatego też przynajmniej szkicowo skreślę historię odrodzenia Litwy

ludowej, iżby szlachcic litewski mógł poznać cierpienie brata swego za winy nie popełnione, jego dążenia, pragnienia i tęsknotę, skargi, narzekania, a nawet i obelgi na całe szlachectwo litewskie, - iżby mógł poznać głąb' duszy kmiotka i zawołać serdecznie: „Ty ze mną, a ja z tobą! Walczmy wspólnie dla dobra naszej ukochanej Litwy!”

Przed tym jednak winienem poczynić kilka ważnych, zasadniczych uwag, dotyczących ruchu ludowego w ogóle i unii polsko-litewskiej w szczególności.

III.

Jest fakt zaiste dziwny, stwierdzający, że idea odrodzenia Litwy ludowej *de facto* się zrodziła w sercach najlepszej części szlachty litewskiej, która czym swoim zaprawdę zapowiedziała pojednanie szlachty z ludem w niedalekiej przyszłości. Jest to wyraźny dowód „długowieczności“ myśli, wypowiedzianej w przeszłości, lecz, niestety, nie zrealizowanej w teraźniejszości - mimo jej ciągłej aktualności. Głos Daukszy, Szirwida i wielu innych obrońców Litwy ludowej dopiero u zarania XIX wieku (tj. w epoce rozpamiętywania błędów dawnej przeszłości i mistycznej kontemplacji, rodzącej pożądanie chrześcijańskiej Jedni) stał się niejako dręczącą „kwestią sumienia“ dla tych spośród licznej szlachty, którzy odczuli i zrozumieli anormalność swego stosunku do ludu i, bynajmniej nie prorokując, umieli wyciągnąć z tego zrozumienia smutne konsekwencje na przyszłość. Szlachcic z krwi i kości, Szymon Dowkont (1793-1864), wychowanek Uniwersytetu Wileńskiego, był pierwszym rzecznikiem idei ludowej na Litwie. Miał głosić ideę polonizatorską (zgodnie z twierdzeniem hr. Leliwy) i pisać swoje nieocenione dzieła naukowe po polsku, ten zacny mąż miał odwagę język litewski równouprawnić z polskim, niezłomnie pracować nad jego literackim wyrobieniem, a nadto nie poczytywał sobie za ujmę „marzyć“ o utworzeniu Litewskiej Akademii Nauk. I zdaje się nie będę grzeszył marzycielstwem, jeżeli powiem, że w czynach Dowkonta przemówiło przebudzone sumienie szlachty litewskiej, która przez tyle wieków zasklepiała się w egoizmie kastowym i gardziła nie-szlacheckimi przejawami życia. Hipotezę moją

potwierdza ten znany już fakt, że wezwanie Dowkonta znalazło oddźwięk w sercach najwybitniejszych przedstawicieli szlachty (Dyonizego Poszki-Paszkiwicza, ks. Szymona Staniewicza, Józefa Rupejki, Wawrzyńca Iwińskiego, Waleryana Zagórskiego, Jerzego Platara, ks. Olechnowicza, braci Juszkiewiczów i wielu, wielu innych), którzy pracą swoją, zwłaszcza na polu literatury litewskiej, utwierdzili ideę pierwszego dziejopisarza Litwy etnograficznej. Głos narodowo ocknionej szlachty począł wołać do ludu, iżby się ozwał słowem miłowania i pojednania. Lecz masa ludowa, zamknięta w domu niewoli pańszczyźnianej, odpowiedziała bolesnym westchnieniem, wyrażającym nadmiar krzywdy i skargi zarazem, wyśpiewanej przez ks. Antoniego Drozdowskiego (Strazelisa 1763-1833) w *Piosnkach sieroty* (*Siratos giesmes*) i w majestatycznym hymnie kościelnym *Padajmy na kolana!* (*Pulkim ant keliu*). Wszelako ten miłością tchnący głos najlepszych synów szlacheckich, przemawiających do ludu, nie przeminął bez skutku. Bo oto wezwaniu Dowkonta zawtórował prawdziwy syn ludu, Maciej Wałanczius (Wołonczewski 1801-1875), w swej działalności zarówno apostołskiej, jak i literacko-społecznej (zwłaszcza jako autor *Žemaičiu Vyskupystes* i *Palangos Juzes*). I znowu, nie obawiając się zarzutu paradoksalności, winienem stwierdzić ten fakt, że w osobach Dowkonta i Wałancziusa Litwa szlachecka odnowiła dawne pojednanie z Litwą ludową. Czyny tych dwóch mężów, podjęte w szczególności w imię odrodzenia Litwy, powinny być wzorem dla inteligencji ludowo-litewskiej i szlachecko-litewskiej. Wprawdzie między Dowkontem i Wałancziusem istniało nieporozumienie czysto prywatnej natury, lecz nigdy nie było między nimi nieporozumienia w sferze idei narodowej - mimo paszkwili anonimowych szowinistów litewskich, usiłujących zdyskredytować osobę biskupa-Litwina.

Idea zachodnioeuropejskiego nacjonalizmu, poczęta mniej więcej w roku 1820 w ruinach idei cesarystwa, głoszonej przez Napoleona, niezawodnie musiała oddziaływać najpierw na umysły wykształconej szlachty litewskiej (bo lud litewski - jak już nadmieniałem - uwięziony był w domu niewoli) i wzbudzić w niej drzemające poczucie odrębności, ułatwiające zrozu-

mienie stosunku szlachectwa do ludowości. Dlatego też ośmielam się twierdzić (nie obawiając się perfidii szowinistycznej części inteligencji litewskiej), że ideowy podkład (niejako fundament) współczesnego ruchu narodowo-litewskiego stworzyła właśnie ta część szlachty, która zrozumiała swoje prawdziwe, realne (nie fantastyczne!) posłannictwo kulturalne wśród ludu. Sam już fakt, że inteligencja ludowo-szlachecka odczuła i zrozumiała w czynach i dziełach Daukszy, Dowkonta, Poszki i wielu innych szlachciców ideę Litwy ludowej, stwierdza w zupełności myśl moją, zmierzającą do wykazania, że pojednanie szlachty z ludem nie tylko jest możliwe, lecz i konieczne.

Po zniesieniu poddaństwa, ocknęły się trzy ludy: polski, litewski i ruski. To ocknienie ludowości było niespodziewanym szachem dla ciasnych, ograniczonych historyków, którzy gwoili apoteozowaniu nałogowym upodobani swoich często fałszowali dzieje „niesympatycznych narodów”. Zmuszało bowiem umysł, zaślepione wszechczynnym konserwatyzmem, do rewizji pojęć historycznych i rozwiązywania obcych temu konserwatywizmowi zagadnień, które ze straszliwą potęgą wyłaniać się poczęły z mroków przeszłości. Kwestia ludowa w Polsce stała się najtragiczniejszym zagadnieniem, od którego rozwiązania zaprawdę zależy wolność polityczna całego narodu. Egoistyczne ideały szlachty, oparte na zrozumiale pojętej tradycji, poczęły bankrutować pod naciskiem woli masy ludowej, domagającej się uobywatelnienia na równi ze stanem uprzywilejowanym oraz rewizji idei politycznej, niezgodnej z duchem czasu. Rozdwojenie pojęć narodowych wytworzyło chaos niedorzecznych walk, czynionych przeważnie w obronie nałogów społeczno-tradycyjnych. Jednym słowem, ockniony lud potęgą woli swojej zburzył dawne pojęcie narodowości i dotąd jeszcze trzyma w obłęzieniu myśli, w przeszłości rozmiłowaną i w imię przywilejów kastowych walczącą. A wszak naród musi żyć pełnym życiem, to znaczy w różnorodnej jedności wszystkich pierwiastków, tworzących duszę narodową. Chcąc bowiem istnieć w połowiczności życia, tym samym już skazuje siebie na podobieństwo wody stojącej. Do wielkiego oceanu, nadmiarem goryczy przesyconego, splywa wciąż

słodycz wód rzecznych, a jednak nikt nie może powiedzieć, że jedność goryczy i słodczy ujarzma majestat fal oceanowych, walczących z chmurną zagadkowością niebios... Do duszy narodowej, która jest morzem wielkim, splywają wciąż ciche i burzliwe wody rzek, strumyków i ruczajów, a jednak nikt nie śmie wołać, że woda małego strumyczka, ginąc w ogromie morza, zaprawdę jest duszą narodową. Tylko ten naród żyje w potędze majestatu, który różnorodność pierwiastków idei swojej umie uszanować w indywidualnym ich rozwoju. Różnorodność daje pełność życia, monotonia zabija nędzą swoją, lazzaronizmem bankructwa i zwyrodnienia. Dlatego też odrodzenie trzech ludów (polskiego, litewskiego i ruskiego) - jako wzmocnienie duszy trzech narodowości - nie może być anaturalnością ani też dziełem „pojedynczego rozumu”, żadnego li tylko jakowejś zemsty w obronie „pokrzywdzonej megalomanii”.

Kwestię ludową w Polsce przewidział już Mickiewicz (zwłaszcza w III części *Dziadów* i w artykule „o wielkim ruchu ludów”) i Kościuszko w czynie swoim, dziś, niestety, platonicznie wyznawanym i zaniechanym w życiu ewolucyjnym narodu polskiego. Albowiem oto ci sami, którzy bezustannie hałasują o oświecenie ludowej, o jedności narodowej w imię tendencyjnie pojętej idei Kościuszki - ci sami, którzy z nadmiaru egzaltacji pseudopatriotycznej stroją się w „pawie pióra” chłopów i w serdaczki zakopiańskie, zaprawdę są największymi wrogami odrodzenia ludowego, bo z niesłychaną furią (która - nawiasem mówiąc - jest wyrazem niedojrzałości kulturalnej) zwalczają ruch ludowy na Litwie. Nie oskarżam, lecz stwierdzam fakt, że idea Kościuszki w Polsce jest platonicznie wyznawana.

Rozwiązanie kwestii ludowej w Polsce może dokonać tylko zdrowe (nie sentymentalno-marzycielskie) zrozumienie idei Mickiewicza i Kościuszki, objawione w czynie mocnym - raczej cichym, niżli hałaśliwym. Współdziałanie ludu w życiu narodowo-politycznym jest koniecznością, nie dającą się już usunąć. Wszakże do tego współdziałania nie chcą dopuścić stany uprzywilejowane w obronie swej hegemonii, którą chcą dziś jeszcze uzurpować. Lud domaga się rewizji dawnych traktatów, zawartych

ongiś w obronie przywilejów i dziś tamujących naturalny rozwój psychy ludowej. Teraźniejszość stała się korektorką przeszłości. Dawne unie musi sankcjonować wola ludu, jeżeli mają mieć prawdziwą wartość polityczną. Oto geneza fatalnego nieporozumienia polsko-litewskiego co do istoty unii Litwy z Polską, identyfikowanej z tryumfem polskiej idei, mającej na celu egoizm narodu polskiego. Zdaniem polskich historyków, Litwa jest tylko prowincją Polski, „wyszkoloną” na wzór Mazowsza. Dlatego też musi być wiekiustem narzędziem narodowo-demokratycznej idei polskiej). Wszelako zdaniem moim, szlachta litewska powinna naprawdę objawić tę „wyszkoloną” dojrzałość polityczną i jak najsilniej zaprotestować przeciwko pyszałkowatym roszczeniom polskich polityków, urągających po prostu godności osobistej szlachcica litewskiego, który nigdy nie był niewolnikiem Polski, lecz wolnym sprzymierzeńcem). Jeżeli szlachta nie uczyni tego, naprawdę zasłuży na wzgardliwe miano przysługujące tym, którzy nie umieją bronić godności osobistej. Tę godność szlachectwa litewskiego uratuje lud w czynie swoim, okrywając szlachtę hańbą.

„Zagadnienie unii polsko-litewskiej nie było od początku takie proste i łatwe, jak się to z pozoru wydaje. Była to kwestia, kto z dwóch narodów posiada więcej szans do samoistności, komu zatem wypadnie panować. Witold podjął się rozwiązać ją w duchu przychylnym dla Litwy. Geniusz swój wcielił w ideę państwową litewską, marzył o utworzeniu państwa potężnego niezależnego na Wschodzie. Na tej drodze spotkał się z oporem Polski - właśnie tych samych możnowładców, którzy doprowadzili do unii Polski z Litwą...”

To są słowa Dr A. Szelańskiego, autora dzieła pt. „Wzrost państwa polskiego w XV i XVI w.”, które wyraźnie mówią o istniejącej dawniej (a więc i dzisiaj) rywalizacji politycznej Litwy z Polską. Tradycja możnowładztwa polskiego niezmiennie trwa po dziś dzień, jakkolwiek nie jest już wyrazem współczesnego ruchu społecznego. Właśnie ten fatalny konserwatyzm polityczny niweczy głębsze zrozumienie istoty unii polsko-litewskiej, ułatwiające jej uzupełnienie myślą polityczną zupełnie nowych elementów narodowych.

„Historia bieżąca wyprzedza często nasze uświadomienia polityczne. Wczorajszym doświadczeniem sądzimy dzisiejsze objawy. Do spraw nowych, w których społeczność polska nie zdołała się jeszcze zorientować, jest budzenie się narodowości litewskiej i białoruskiej pod zaborem rosyjskim...”

„...Kiedy powstała wiekopomna unia nikomu się nie śniło o tych zagadnieniach, które dziś są tak żywotne, które dziś tyle u nas robią zamętu. Ale jeżeli ta unia nie ma być pogrzebana na wieki wieków - już nie rękami naszych politycznych grabarzy, ale naszymi własnymi rękami - to, skoro przyznawaliśmy swego czasu pewne prawa szlachcie litewsko-białoruskiej, przyznajmy je w duszy swojej teraz ludowi litewskiemu i białoruskiemu... Jeżeli dawną, trójludową Polskę zamienić chcemy na przyszlą społeczność federacyjną, jeżeli chcemy głosić, że Słowianom lepiej będzie z nami, niż z despotją rosyjską, to myśl tę wynieśmy z duszy na szeroki świat działania społeczno-politycznego. Budźmy uspioonych, otrząsajmy ich do życia, imajmy się tych środków, które są równie uczciwe, jak praktyczne...”

Oto *credo* polskiej młodzieży postępowej, wyrażone w „Kuźnicy”) Większa część społeczności polskiej, otumaniona przez niedojrzałych wielbicieli „dyplomatycznych możnowładców polskich”, kwestię unii polsko-litewskiej rozważa dewocyjno-sentymentalnie, nie chcąc wcale słyszeć o faktach, nakażujących odmiennie czuć i myśleć. Polityczne marzycielstwo święci w Polsce najwyższy swój tryumf, powodując absolutną niezdolność do czynów realnych, praktycznych, odpowiadających wymaganiom chwili obecnej. Identyfikowanie unii polsko-litewskiej z jakowymś zjawiskiem ponadziemskim, z jakowąś „apokalipsą narodową” - jest co najmniej niedorzecznością, już dawno stwierdzoną przez historyków polskich. Wszelki bowiem fakt historyczny, oprócz pierwiastków dodatnich, kryje w sobie także pierwiastki ujemne, zarazki próchna. Sam już fakt (choćby abstrahowany od przyczyn) żywiołowej (a więc nie kłamliwej!) reakcji ludu litewskiego przeciwko tej unii, jest wspaniałym dowodem nie-trwałości i niewiekuistości wszelkiego przymierza, opartego na prawie przywilejów, to znaczy krzywdę czyniącego stanom, pragnącym wolności politycznej.

Tego faktu nie obali już sentymentalno-dewocyjny patriotyzm polski, rozmiłowany w wątpliwej „dogmatyce” minionej rzeczywistości. Nikt z Litwinów nie chce przeczyć, że unii polsko-litewskiej w ogóle nie było. Wszelako większość Litwinów przeczy istnieniu tej dawnej unii w chwili obecnej.

I zaprawdę mam odwagę wyznać, że bezustanne zasłanianie się faktami historycznymi, które już przestały kształtować pełnię życia narodowego, zdaniem moim, jest bankructwem idei społecznej, które zazwyczaj rodzi sentymenty marzenia. Przeszłość ideowa podlega prawu ewolucji, jako wszystko, co się rodzi z duszy człowieczej. Z przeszłości rodzi się rzeczywistość teraźniejsza, będąca konsekwencją idei minionej. Nie ma wiekuistej niezmienności kształtów. Wiekuista myśl inaczej się przejawia dziś niżli wczoraj. Dlatego też bunt Litwinów przeciwko unii nie jest absurdem, jeno nieubłaganą konsekwencją błędów przeszłości, które uznać nakazuje prawda dziejowa. Przeszłość nie istnieje niezależnie od rzeczywistości; przeciwnie, niejako pokutuje w teraźniejszości, iżby przyszłość była lepszą.

Fanatyczne konserwowanie idei przeszłości, źle zrozumianej, a nadto oderwanej od realnej sfery czynu ewolucyjnego, jest szkodliwym objawem niedojrzałości politycznej. Idee przeszłości trzeba odradzać w sobie, iżby były wyrazem ciągłości rozwoju, a nie jednej tylko chwili, której umiłowanie grozi narodowi śmiercią.

Dawna forma unii polsko-litewskiej, *à priori* wykluczająca współdziałanie ludu w życiu narodo-politycznym, zaprawdę jest widmem, udręczającym niezdecydowanych polityków polskich. Dlaczego? Oto dlatego, że jest antytezą rzeczywistych, niekłamanych potrzeb chwili obecnej, których już niepodobna usunąć. „Braterskiej formy” przymierza, o jaką bojował wieszcz Adam, nie ma w życiu współdzielonym trzech narodów, i dlatego niepodobna wynaleźć sposobu rozwiązania tego tragicznego zagadnienia. „Widomy znak pojednania trójnarodowego” nie przyświeca narodowi polskiemu, i dlatego „duch ciemności” owładnął myśli i serca polsko-litewsko-ruskie. Potworny mur poczyna wyrastać na między rozgraniczającej narody, na urągawisko idei Kościuszki i Mickiewicza, a straszliwe miraż zwozłą

dusze egzaltowane, które giną w ciemnej dali uludy politycznej.

Zaiste, dziwnie smutne refleksje!

A jednak czas już zrozumieć, że unia wszelka musi być aktem dobrowolnym, nie wymuszonym, nie narzuconym przemocą, jak to dziś wyznają i czynią niektóre polityczne partie polskie. Narzucanie teraźniejszości idei przeszłości jest zbrodnią wołającą o pomstę. Wczoraj nie może być dziś, a dziś nie może być jutro. Takie jest prawo ciągłości. Chęć uwięzienia jawy (rzeczywistości) w śnie (przeszłości) jest tym samym, co chęć powstrzymania krążenia ziemi dookoła swej osi. Powiedziano jest, że „przyszłość jest wieczną korektorką przeszłości” (Norwid). I rzeczywiście, teraźniejszość jest korektorką wspólnej przeszłości historycznej Polski i Litwy. Wykreśliła z „księgi snów” słowa kłamliwe, pozostawiając tylko słowa wiekuiste. Poznajmy wieczność tych słów i na nich budujmy czyn mocnej przyszłości. Na kłamstwie budować można tylko haremy. Tylko na prawdzie buduje się majestatyczny chram wyzwolenia ducha narodowego, pnący się po ogromie wież do góry - wysoko - hej, tam, gdzie świeci słoneczna szata Pańmiłości wiekuistej...



CZEŚĆ II ODRODZENIE LITWY

Gdyby badacze mieli cokolwiek pokory politycznej i chcieli uważać, co się koło nich dzieje, gdyby zbierali i sumowali rozmowy ludu, wołania jego, modlitwy jego: może by się więcej nauczyli niż w książkach i gazetach. Przed wybuchem wulkanu dopytać jest uważać wody w studniach, dym w szparach góry, aby przewidzieć niebezpieczeństwo. Biada tym, którzy wtenczas zasiądą czytać teorię wulkanów! (A. Mickiewicz).

I.

Oryginalne i najmniej skażone pierwiastki kultury Litwy etnograficznej przechował tylko Lud w pieśni gminnej i w tradycji swojej. Trzeba silnie zaakcentować ten fakt, że oryginalność kultury rdzennie

litewskiej aż do drugiej połowy XIX w. nigdy się nie objawiła w całej pełni, jakkolwiek w XVIII w. Litwa wydała dwóch wielkich poetów: Donelajtisa i Drozdowskiego (Strazdelisa). Myśl twórcza Litwy w ciągu licznych wieków była uwięziona w mrokach niewoli narodowej. Lud litewski - jako podstawowy element kultury narodowo-litewskiej - zda się, obumarł, znieruchomiał w bierności niewolniczej. Europejscy uczeni, widząc tę kulturalną „nieprodukcyjność“ ducha Litwy etnograficznej, ośmielili się wydać apodyktyczny wyrok, skazujący naród litewski na niechybną śmierć w bliskiej przyszłości. Lecz oto w pozornie martwej duszy Ludu litewskiego, który dla uczonych Europy wydawał się tylko „milionem pomników na cmentarzu dawnej potęgi Litwy“, odradzać się poczęła wola pełnego życia, żywiołowe pragnienie ujawnienia na zewnątrz utajonych pierwiastków kultury ludowo-litewskiej (bez względu na ich wartość), na których budować się musi wielki gmach idei narodu litewskiego. To żywiołowe ocnkienie Ludu litewskiego jest wielkim napomnieniem dla mędrkujących umysłów, którzy na podstawie teorii wyrokują o życiu i śmierci narodów i nie wiedzą, że życie - jako tajemnica - nie podlega apodyktycznym sądom i nakazom „pojedynczego rozumu“ (jak mówi Mickiewicz). Głos odrodzenia, wychodzący z głębokości duszy ludowej, rozwiął - jako wichur wiosenny - ciężkie i duszące mgły niewoli i ozwał się w sercu szlachty dawnym, dawnym wspomnieniem. I wszczęła się ciężka a żmudna praca „odnawiania oblicza ziemi litewskiej, plenięcia chwastów, głuszących kwiecie umiłowane...“ Nazwy: Litwa, Litewskość, Litwin odzyskały swoje dawne znaczenie, tj. swoją oryginalną odrębność i czystość, nieskażoną obcością. Litwa ludowa - jako wola niepodległości w duchu dawnym - powstała przeciwko Litwie szlacheckiej - jako „dobrowolnej prowincji polskiej“. Ta walka rozdwojonej Litwy jest niczym więcej, jeno tylko pracą przygotowawczą do utworzenia Jedni narodowej - zapowiedzią nowego czynu historycznego, którego epilogiem będzie powrót szlachty do źródeł duszy litewskiej, do wielkiej łzawnicy Sfinksa Litwy, który zdumionym narodom każe rozwiązać zagadkowość swoją“. Reagowanie szlachty przeciwko idei demokratycznej

Litwy jest raczej konsekwencją nieporozumienia, braku zmysłu orientacyjnego w dziedzinie rzeczywistości, kłam zadającej nałogom chwili minionej. Trzeba mieć nadzieję, że to chwilowe nieporozumienie przeminie - jako burza - i znowu Litwie przyświecać pocznie Słońce potęgi i sławy.

Szlachta litewska trwa wciąż w połowiczności kultury litewskiej, wyrażonej przez poetów polsko-litewskich. Lud litewski, przeciwnie, dąży do pełni życia kulturalnego, do rozwinięcia wszystkich władz duszy narodowej, a chcąc w tym dążeniu zahartować się, z istic litewską uporczywością zwalcza wszelki kompromis z „obcością ducha”. Jest to fakt, nie dający się zaprzeczyć ani zignorować. Powstaje więc pytanie: jak rozwiązać ten konflikt, iżby współzycie szlachty z ludem było oparte na zgodzie? Lud już się wypowiedział w tej kwestii: ustąpić nie chce, bo już nie może burzyć rozpoczętego dzieła. Szlachta natomiast trwa jeszcze w uporczywym milczeniu. Lecz wypowiedzieć się musi, choćby dlatego, że carat zaczyna „kobietować” lud. I jak się wypowie szlachta? Zali się wyrzeknie swoich żywotnych interesów, ściśle związanych z interesami Ludu, i da się omamić idei wszechpolskiej, opartej na marzeniu teoretyków? Zali dopuścić zechce, iżby Lud, wyzyskując kokieterię rządu, ujarzmił szlachtę ekonomicznie, a tym samym i politycznie? Zali nie zechce odnowić braterstwa i stać się rycerzami Litwy, walczącej o niepodległość wszystkich jej synów?

W ciągu czterdziestolecia Lud litewski dał tyle dowodów dojrzałości kulturalnej i politycznej, iż niepodobna wątpić o jego przyszłości. Sromotna kapitulacja rządu carskiego jest najlepszą apologią żywiołowej potęgi Litwinów, a zarazem memento dla lekkomyślnych polityków polskich, że ruchu narodowo-litewskiego lekceważyć, ani też samolubnie sądzić nie wolno. Szlachta nie powinna się wstydić brata swego - Ludu, który zaprawdę zasłużył na miano „rycerza wolności”, który zwycięstwo nad caratem okupił mało znaną w dziejach ofiarnością i wytrwałością, a w chwili obecnej - po tylu latach straszliwej walki - głosi tryumf swój w samym sercu Litwy - w Wilnie. Litwa nie zginęła i zginąć nie może. W popielisku jej dawnej potęgi nie wygasł nigdy

ogień idei narodowej, przeciwnie, tlił się przez liczne wieki, jakkolwiek zewnętrzne warstwy popiołu odstraszały swoim chłodem cmentarnym. Wściekle a rozhukane wichry, które - więcej ze wszech stron - usiłowały nawet to popielisko uczynić nicością, nie zgasiły, lecz rozdmuchały tę iskierkę idei, która się stała ogniem czynu, światłości wolności w mrocznej krainie niewoli wzniciającym. I dlatego Litwa etnograficzna winna raczej dziękować nieprzyjaciółom swoim, niżli złorzeczyć. Boć przecie im zawdzięcza, że ogień czynu narodowego rozpalon był w popielisku jej dawnego bohaterstwa.

Teoretycznie (raczej ideowo) początkiem odrodzenia Litwy była epoka Daukszy i Szirwyda (w. XVI i XVII), która niejako zwiastowała czyn przyszłości, torując świetlane ścieżki w mrokach nieświadomości i obojętności. Wszelako realnym, historycznym początkiem odrodzenia narodu litewskiego była znamienita chwila zniesienia poddaństwa, a zwłaszcza dziejowy dramat, który się wszczął w 1864 roku i trwał nierozwiązany aż do roku 1904. Walka Litwy z caratem, podjęta w roku 1863 w imię idei niepodległości (niestety, przy nielicznym współudziale nieświadomionego ludu litewskiego), a w latach 1864-1904 (już przy współudziale masy ludowej) w obronie najświętszych praw, przysługujących narodowi żyć pragnącemu, była, jest i będzie niczym zmazać się nie dającym dokumentem odrodzenia Litwinów; dokumentem, napisanym krwią męczeństwa i bohaterstwa. Tak, istotnie carat najwięcej się przyczynił do wskrzeszenia Litwy etnograficznej, ale tymi samymi środkami, jakimi Bismarck rozbudził świadomość narodową w duszach Wielkopolan. Polscy publicyści, surowo sądząc ruch narodowo-litewski, jako „wytwór polityki carskiej”, zda się, nie wiedzą, że ostrze ironii kierują przeciwko sobie. Polityka carska - a odrodzenie Litwy! Jakież to zabawne, a zarazem i niedorzeczne zestawienie, zniewalające sądzić, że car jest wielce postępowym władcą!!

Historia odradzającej się Litwy jest jedną z najkrwawszych kart w księdze dziejów ludzkości. Rozważając bezstronnie, bez wszelkiej apriorycznej tendencji to długie i straszliwe pasowanie się Dawida z Goliatem - Litwy ludowej z Rosją biurokratyczną, sprzymierzoną z Prusami - te wszystkie cierpienia,

w których lud wytrwać musiał, nie tracąc ani mocy, ani odwagi, ani zapalczowości, zaprawdę podziwiać trzeba zaiste dziwne zaślepienie przeważnej części inteligencji polskiej, która przywitała odradzającą się Litwę hałasem oszczerstw, ubliżającym godności narodu polskiego. Litwini nie spodziewali się nigdy, że właśnie ze strony Polaków, szcycących się mianem „bratanków” Litwy, doznają tak wielkiej boleści w chwili największego niebezpieczeństwa. I czyż można zasługiwać na miano fanatyka, mówiąc, że Polacy sami niebacznie posiali ziarna nienawiści w duszy Litwina? I czyż można milczeć i nie wołać, iżby Polacy te chwasty nienawiści własnymi rękami wydarli z duszy rozgoryczonej Litwy?

Zaledwie Lud litewski odzyskał wolność i odetchnął powiewem Jutrzenki po raz pierwszy od lat wielu, oto wnet burza przeleciała nad ziemią jego, a wichry północy zburzyły wszczętą pracę odrodzin, mszcząc się za winy nie popełnione. W dawnej stolicy jego, gdzie ongi brzmiał piorunowy głos kniaziów, zasiadł kat, który opryszkom swoim kazał dręczyć synów jego za to, że umiłowali ziemię swoją więcej nad pustynię tyranii. Radość uciekła z oczu ludu, gdyby ptaszyna, przerażona przedwczesnym tchnieniem zimy. Ponury a zagadkowy cień zasłonił oblicze Litwy i czarna żałoba spowiła ziemię grobowym kirem. Pieśń dziękczynna skonała w sercu pacholąt, zanim ją usta wyśpiewały, a błagalną skargę matek głuszyło warczenie bębnow, sławiących Wieszatela. Lud przyjął cierpienie z pokorą mocarza za winy nie popełnione. A przyjmując cierpienie, przyjął zarazem i wyzwanie cara, na które odpowiedział czynem nieprzejednanym.

Cierpienie Ludu upodobniło się morzu wielkiemu, wezbranemu tęsknicy skargą i groźnym falowaniem podmywającemu uragliwą skałę przemocy. Serce gminu drgnęło - jakoby na czyjeś wezwanie - ściśnione wargi otwarły się, chcąc wypowiedzieć proces stanowczy: „Nie chcę być niewolnikiem ani cara, ani dawnych panów moich. Chcę żyć w pełnym rozkwicie sił moich! Biada katom!” Lecz oto krwawa ręka kata zamknęła usta ludu; panować musiało milczenie oczekiwania.

A działa się tak w siódmym dziesięcioleciu ubiegłego stulecia. Proces odrodzenia dokonywał się je-

szcze tajemnie, wewnątrz, nie objawiając się potężnie na zewnątrz. Była to zaprawdę uroczysta chwila ciszy przed burzą. Myśl narodowa krążyła jeszcze w „sferze gwiazdnej”, w sferze romantyzmu, skupiając czarne obłoki, przesycone nadmiarem boleści, w jedną wielką chmurę burzy wiosennej, oczyszczającej stęchłą atmosferę gnuśności...

W ósmym dziesięcioleciu ubiegłego wieku myśl twórcza narodu litewskiego, skazana na zniszczenie jeszcze w czystej pierwotności i bezpośredniości swojej musiała szukać schronienia i przytułku w obcej krainie, zda się, żebrak - sierota, tułający się od wioski do wioski, od miasta do miasta... Chwilowo znalazła gościnność w Prusiech - wśród pruskich Litwinów. Garstka najwybitniejszych patriotów litewskich (zwłaszcza spośród inteligencji ludowej), ogarnionych tęsknicą i cierpieniem wygnania i głęboko przejętych ideą czynu narodowego, założyła w Tylży (Wsch. Prusy) pierwsze czasopismo wszechlitewskie pt. „Aušra” („Zorza”, „Jutrzenka”). Odtąd rozpoczyna się faktyczna historia odrodzenia narodowo-litewskiego⁸⁾ Wola masy ludowej - dotąd bierna i, zda się, cierpiącym marzycielstwem spowita, poczęła się objawiać w czynie ideowym. Była to chwila zaiste wielka, wzniosła i uroczysta - chwila panowania Jutrzenki odrodzin duszy zbiorowej. Mistyczna nadzieja zaświtała w duszy kmiotka, który - spoglądając w błękitną dal nieba - z trwogą radości oczekiwał jakiegoś wtórego „zesłania Ducha św.”, jakowegoś widomego cudu, mającego niebawem „ruszyć z posad ziemię litewską” i potargać więzy niewoli. Była to tylko chwila, niestety, jedna mała, krótka chwila zachwyty, w której rodzi się czyn duszy ocknionej...

Założycielem „Aušry” był Dr Basanowicz, zasłużony badacz starożytnej Litwy i godny powiernik duszy ludowej. Współ z nim współpracowały wybitne siły publicystyczne, literackie i poetyckie (Dr Šliupas, Višteliauckas, Dr Pietaris, Mikšas i wiele innych). Największy po Donaleitisie poeta Litwy, biskup Antoni Baranowski, zasiliał „Aušrę” swoimi uroczymi dajnamy, które dziś śpiewa niemal Litwa cała. Wiekopomnym czynem założycieli „Aušry” było zjednoczenie wszystkich odłamów narodu litewskiego pod sztandarem jedynej idei, a zwłaszcza trwałe zadokumentowanie woli całego narodu do wolnego,

niepodległego życia. Tak potężnej jedności myśli i uczucia, jaka się objawiła w onym pamiętnym roku chyba już nikt spośród obecnie partyjnie rozpolitykowanych i wzajemnie wyodrębnionych Litwinów-inteligentów świadkiem nie będzie. Wystarczy wspomnieć, że w duchu „Aušry” zgodnie współdziałali i prości chłopci, zaledwie umiejący czytać i pisać, i księża, i inteligenci, i obywatele miasta, a nawet liczni przedstawiciele szlachty. Wszystkich łączyła jedna tylko myśl, mocna - jako modlitwa: poruszyć z posad ziemię litewską, iżby przywróciła pogrzebioną moc dawnych, dawnych bohaterów, iżby obnażyła skarby utajone i wskrzesiła Sławę, pokutującą w języku dzwonów zatopionych...

Dlatego też „Aušra” w pierwszych chwilach swego istnienia była istotną Jutrzenką odradzającej się Litwy. Dziś dopiero, po rozwiązaniu pierwszego aktu wielkiego dramatu narodowego poświęconego straszliwej czterdziestoletniej walce o wolność druku i alfabetu, dziś dopiero, kiedy już same fakty zniewalają nas z głębokim spokojem i z podziwieniem rozważać pierwszy okres odrodzenia narodo-litewskiego - zaprawdę zapytywać musimy siebie, skąd się wzięła taka wielka moc w tym narodzie, który, zda się, pogrzebion był w rumowisku, który umierając pozostawił tylko cień swojej sławy - jako ostatniego stróża popiołów!... Przecież fenomenalnym jest fakt, że „naród uśmiercony”, wykreślony z listy żyjących, w ciągu dwudziestoletniej pracy uświadamiania się wydał imponującą liczbę utalentowanych mężów nie tylko w dziedzinie nauki, lecz i w dziedzinie literatury i ruchu społecznego; mężów, którzy mogą rywalizować z pysznymi Europejczykami jeżeli nie pod względem subtelności, to na pewno pod względem ekspresji mocy duchowej. Wrogowie Litwy przekonali się (zwłaszcza w chwili obecnej), że język litewski nie jest „mową chamów”, lecz, przeciwnie, językiem kultury wyrażającym nie tylko „piosnkę prostaczą”, lecz także i myśl naukową. Platoniczni opiekunowie Litwy stwierdzili, że naród litewski dojrzał już do samodzielności zarówno kulturalnej, jak i politycznej. I zaprawdę uśmiech lekceważenia musi zasłonić cień wstydu i upokorzenia na widok tego dzielnego narodu, budzącego się do czynów wielkich... Sądźmy szczerze - tak, jako-

byśmy sądzili siebie samych, swoje własne czyny, a poznamy prawdę, zasłonią dla oka wzgardy...

Głównym celem „Aušry” było budzenie świadomości narodowej i miłości ojczyzny wśród ludu i inteligencji, trwającej w obojętności na sprawę odrodzenia. Środkiem do tego celu było głębokie i wszechstronne poznanie kultury Litwy w jej rozwoju od czasów starożytnych aż do najnowszych, a zarazem uświadamianie stosunku narodu litewskiego do Rosji i Polski. Zogniskowanie i zjednoczenie rozpraszonych elementów kultury oryginalnie litewskiej sprawiło niepomierną trudność dla wydawców „Aušry”, którzy musieli wyjaśnić, co to jest kultura w ogóle i kultura litewska w szczególności, gdzie jej szukać trzeba, jak ją poznawać i rozwijać. Pogańskiej kultury Litwy starożytnej, której wieczne pierwiastki przetrwały po dziś dzień w duszy Litwina, niepodobna było odrzucić jako nieużytecznej. Naród bowiem nie może wyrzec się tradycji pogańskiej, ściśle zespolonej z myślą chrześcijańską, nie chcąc być wandalami swego własnego dorobku kulturalnego. Przeciwnie, musi pogodzić przeszłość z teraźniejszością, iżby móc utworzyć pełny wyraz myśli swojej, wyzwolonej z fatalnej dwoistości duszy. Jednym słowem, naród musi poznać ciągłość ewolucyjną idei swojej i uczynić zadość jej kategorycznym nakazom.

„Aušra” nie wypowiedziała pełnej idei Litwy, lecz rozpoczęła jej poszukiwanie w ruinach przeszłości pogańskiej i w łzawicy teraźniejszej niedoli. To niepomiernie bolesne poszukiwanie idei narodu litewskiego było tragedią najwybitniejszych przedstawicieli inteligencji ludowej, która na początku objawiła się w jakowymś mistycznym romantyzmie, a w chwili późniejszej nawet w cząstkowym odstępstwie od duszy ludowej. Konsekwencją tej tragedii oczywiście musiała być zapalczywa drażliwość i wojowniczość Litwinów w stosunku do obcych, którzy lekceważąco wyrażali się o ich pracy, a nawet posądzała ich o niegodziwe zamiary. „I ci jeszcze łudzą się - wołali naigrawając się zaslepieni Polacy i Rosjanie - że zdołają wskrzesić trupa tchnieniem marzycielstwa!” - „Poruszmy z posad ziemię litewską, - odpowiadali z niesłychanym zapałem Litwini - lecz „trupa” wskrzesimy na poniżenie wasze! Biada wam!”

I zaiste, praca inteligencji litewskiej, podjęta w imię odrodzenia, wydała piękny owoc. Idea Litwy świecić już poczyna w jutrznianej krasie, jakkolwiek czarne chmury zasłaniają jeszcze oblicze Wschodu... Świt czują pierwsi w narodzie...

Na wezwanie „Aušry” lud drgnął, poruszył się, zda się jezioro pod naporem wichury. Długo wsłuchiwał się w głos ten dziwny, wychodzący spoza muru granicznego - jakoby z grobowca. Rozważał coś w myśli swojej, budził wspomnienie, które mu wykradł z głębi sen długiej niewoli. Spracowaną ręką przetarł oczy i ujrzał łzawo uśmiechnięte słońko, usłyszał wiew wichrów, rozśpiewanych echem tego dziwnego wezwania... Nagle ogień zapłonął w źrenicach jego, kurczowo zaciśniona pięść podniosła się do góry, a długo, długo milczące wargi wypowiedziały z wielką mocą: „Wolności pragnę, jako jeleń pragnie wody źródlanej!”

Jedynym godnym wyrazicielem ocknionej woli masy ludowej stała się inteligentna młodzież litewska, która z roku na rok zwiększała się liczebnie i coraz potężniej uświadamiała się w duchu narodowym. Inteligencja dobrowolnie poddała się kategorycznemu nakazowi pełnienia ciężkich obowiązków, ściśle związanych z odpowiedzialną misją krzewicieli oświaty narodowej. To niemal niewolnicze pełnienie obowiązków, często przekraczających miarę sił młodzieńczych i dlatego niezmiernie tyranizujących, w najwyższym stopniu zahartowało serce i umysł inteligencji, czyniąc ją zdolną do szerszej pracy społeczno-naukowej, a zarazem i zaczepno-odporną w stosunku do rządu carskiego i wrogów Litwy.

Inteligentni synowie Ludu całą duszą oddali się pracy ciężkiej i żmudnej, niebezpiecznej i zwycięskiej zarazem. Zda się, umiłowali niebezpieczeństwo, które potęgowało ich wytrwałość i zachęcało do potężniejszej akcji. Czyniąc, nie straszili wrogów próżnym hałasem, jeno skupiali w sobie siły twórcze, iżby zamienić je w słowo drukowane, będące trwałym dokumentem czynu. Jako pszczołki wysysają słodycz z nieużytecznej na pozór roślinki, tak samo oni „wyssali z męczeńskiej ziemi litewskiej słodycz mocnej nadziei, wonność rodzimej idei...” Chcąc przeciwdziałać rufifikacyjnej tendencji urzędowej szkoły, która jadem odstępstwa zatrąwała dusze liczy-

nych synów udręczonego narodu, organizowali tajne szkoły, wydawali popularne dziełka treści społeczno - naukowej, wszelakie poradniki i podręczniki, ulotne broszury, streszczające cele i dążenia narodowe, itp. A ciesząc się zupełnym zaufaniem i miłością Ludu, z którego łona wszak wyszli, mogli tym łatwiej pełnić zadania swoje, konsekwentnie zmierzające do obalenia rządów wszelkiej przemocy. Dzięki tej wspaniałej solidarności, carat był prawie bezbronny wobec tak potężnego objawu masowej akcji. Środki, którymi się posługiwał w walce z odradzającą się Litwą, haniebnie zbankrutowały, jak niedawno wyznał urzędowy „Wilenski Wiestnik” (Nr. 261 1904 r.). Konfiskata majątków, deportacje, wszelakiego rodzaju kary nie tylko nie złamały odpornej wytrwałości Litwinów, lecz jeszcze więcej uświadomiły ich narodowo. Więc carat postanowił za zgodą swego „pruskiego lokaja” zniszczyć źródło potężnej propagandy litewskiej, genialnie zorganizowanej w Tylży - w tych chwilowych „Atenach Litwy”. Po wielu latach walki (1884-1895) rząd pruski - na przekór konstytucji i wyrażonej woli większości obywateli miasta Tylży - brutalnie wypędził wszystkich inteligentnych Litwinów z granic panowania swego - jako „obcopolodanych warchołów, naruszających spokój państwa”. Wszakże nie mógł zniszczyć tajnego źródła propagandy litewskiej, która po dziś dzień - mimo, że przywrócono już Litwinom prawo druku, niepokoi carat. Wyrzuceni bowiem Litwini osiedlili się w Anglii, a zwłaszcza w Stanach Zjednoczonych, wśród licznej emigracji litewskiej), i nie ustawali w swej działalności za pośrednictwem szczerze im oddanych obywateli Litwy pruskiej.

II.

„Aušra” z początku była redagowana raczej w duchu pojednawczym w stosunku do Polaków niżli zaczepno-wyzywającym. Wystarczy przeczytać pierwsze numery tego pisma, a zwłaszcza artykuł programowy, iżby się przekonać, że inteligencja litewska u zarania swej pracy narodowej nigdy nie miała apriorycznej tendencji antypolskiej, przeciwnie, oczekiwała czynnego wspomnienia ze strony narodu polskiego. Lecz jak było do przewidzenia, kierownicy polskiej opinii publicznej, nie mogąc się zorientować

w tej tak nagle powstałej kwestii, dali się omamić plotkarstwu politycznemu i ogłosili, że odradzająca się Litwa jest „filią carskiej despotii, usiłującej zniszczyć polskość na Litwie za pomocą Litwinów”. I oto poczęły krążyć „okropne wieści”, że „Aušra” wychodzi za pieniądze Bismarcka, że „litwomani” (tj. szowiniści litewscy sprzymierzeni z polityką rządów zaborczych) podburzają lud litewski do rzezi i t.p. Inteligencja litewska, obrażona w swej godności, rozpoczęła namiętną a zapalczywą walkę z tym oszczerczym plotkarstwem, usiłując zdyskredytować złą wolę publicystów polskich. Od tej chwili (od r. 1883), zwłaszcza po ogłoszeniu w numerze 5 „Aušry” artykułu pt. „Eik lauk!” (Wynoś się!), zwróconego przeciwko wrogim idei litewskiej Polakom zamieszkałym na Litwie - datuje się antagonizm polsko-litewski, który w chwili obecnej przybrał zastraszające rozmiary. Genezą tego antagonizmu było i jest fatalne nieporozumienie, które przedstawiłem w pierwszej części pracy niniejszej. Stało się to, co się stać musiało, na skutek błędów politycznych znacznej części inteligencji polskiej, która bez zastanowienia, niemal lekkomyślnie obraziła godność narodową Litwinów i wywołała nadszpiegowanie groźną reakcją. Lecz ten antagonizm w tej formie, w jakiej obecnie się przejawia, trwać dłużej nie może. Polska inteligencja powinna zrozumieć swój dawny błąd i obraźliwe wyzwanie publicznie cofnąć, jeżeli naprawdę pożąda zgody politycznej.

Litwini przestali ufać Polakom, a Polacy zaczęli ignorować Litwinów. Walka nieufności z ignorancją, potęgowana bezustannie przez doktrynerów polsko-litewskich, wytworzyła takie zamieszanie pojęć, że dziś tylko najwybitniejsi spośród badaczy społecznych mogą odnaleźć istotny sens. Jest ubolewania godnym faktem, że w onej smutnej chwili, kiedy w iście brutalny sposób potargano związek dawnej przyjaźni i niegodziwie oplwano przeszłość Litwy i Polski, nie znalazł się w narodzie polskim człowiek, któryby „wolę mas odgadnął i oczekiwaniom ich zadość uczynił” (Mickiewicz). Anemia myśli politycznej - ten zwiędły owoc pozytywizmu warszawskiego - nie miała żadnej mocy ekspresyjnej, ogarniającej szerokie widnokreśli ruchu społecznego. Kulturalna uczuciowość i wrażliwość na aktualne sprawy życia

zniechęcała w trzeźwości kupieckiej i w utylitarystycznym społecznym. Utworzono dogmatyczną formułkę, że wszystko, co nie daje Polakom korzyści, jest wrogiem narodowi polskiemu. Litwa etnograficzna, jakkolwiek ma wiele słuszności w swoich dążnościach, jest wrogiem Polski, bo nie daje Polakom żadnej korzyści, przeciwnie, usiłuje nawet pozbawić ich rzekomo „wiekuiście nabytych przywilejów” na Litwie. Ta anemiczna trzeźwość myśli polskiej była główną przyczyną modnej wówczas ignorancji, która spowodować musiała niepożądaną anormalność stosunków polsko-litewskich.

I niepodobna dziwić się, że w miarę tego, jak w narodzie litewskim objawiać się poczęła czynna reakcja przeciwko obcej hegemonii, a zwłaszcza przeciwko egoistycznie-utyliitarnej polskości, tamującej naturalny rozwój Litwinów, szlachcice i Polacy litewscy, coraz głośniej i namiętniej manifestując swój dziwny, szowinistyczno-uczuciowo-mistyczny patriotyzm polsko-litewski, podnieśli krzyk wielki o straszliwym niebezpieczeństwie ze strony „anarchią ogarnionej” inteligencji litewskiej. Dla uplastycznienia tego niebezpieczeństwa skomponowano dziwne legendy o tajemnych schadzках „Litwomianów” z „Raganami” (z Wiedźmami) na górze Szatry, o wskrzeszeniu przy pomocy diabła „rycerza barbarzyńcy pogańskiego”, o „święceniu nożów” na górze Biruty itp. „Litwomani” dla Polaków byli tym samym, czym diabeł dla wiernego katolika. Lud litewski miłujemy bardzo - mówili przesądni Polacy - ale „litwomianów”... w imię Ojca i Syna... a kysz, a kysz!!

„Pokrzywdzonymi” przez „litwomianów” Polakami litewskimi zaopiekowała się prasa polska. Pierwszy przemówił „Kraj” petersburski, rozważając ruch litewski ze stanowiska ugodowego jako szkodliwy objaw anarchii społecznej, a zarazem ex officio sankcjonując miano „litwomian”, jako najodpowiedniejsze dla warcholów litewskich. Później przemówiły: pseudo-demokratyczny „Głos” warszawski, „Dziennik Poznański” i inne pisma głosem różnych panów Zerów (pseudonim), Korotyńskich i innych panów, usiłujących sentymentalno-patriotycznie lub apodyktyczno-nagannie wykazać „zbrodnie” tych podłych „litwomianów”, którzy potargali więzy „braterskiej

unii" i pragnęli rozmyślnie zniszczyć kulturę polską, będącą źródłem dostojności i szlachetności). Nie zważano już ani na fakty historyczne, zniewalające odmiennie pojmować odrębność Litwinów, ani na ewolucyjną konieczność ruchu narodowo-litewskiego. Przeciwnie, komponowano „naukowe” bajki, iżby tylko obronić to, co było tzw. *malum necessarium*. Bo oto w Polsce niedojrzałość polityczna święciła dzień swego panowania.

Inteligencja litewska na obelżywe wyzwanie przeważnej części prasy polskiej odpowiedziała z bezwzględnością obrażonej dumy narodowej. Jasną jest rzeczą - mówili inteligentni synowie Ludu - że wszelkie przymierze zawierają równie silne, równie wolne narody w celu wspólnej samoobrony i akcji politycznej przeciwko przemocy. Skoro my - zdaniem waszym - nie jesteśmy narodem, więc między nami a wami żadnego zgoła przymierza być nie może. Stosunek wasz do nas jest stosunkiem pana do niewolnika. Oto wasze pojęcie unii, które usiłujecie złagodzić kłamliwym sentymentem. Lecz my tej waszej unii, którą chcecie nam despotycznie narzucić, uznać nie chcemy, a waszą chwilową hegemonię zwalczyć zdołamy...

Wy nie macie prawa uważać się za Polskę i hałasować, że my, walcząc z hakatą waszą w obronie naszej godności narodowej, zwalczamy naród polski. Wciąż kłamiacie, że wasz egoistyczny, kupiecki interes, jest interesem Polski całej. I oto wołamy do was, domagając się sądu: wyście potargali unię, a nie my! Nikt inny, tylko wy! Myśmy nie gardzili ani mową, ani kulturą polską. Wy zaś, mówiąc bezustannie o „braterskiej” unii, wzgardziliście naszą prastarą kulturą, zowiąc mowę naszą barbarzyństwem. I czy się godzi tak postępować ze „sprzymierzeńcem” Polski? Odpowiedzcie sami! My, zwalczając was - jako oszczerców - bronimy zarazem godności narodu polskiego, który nie może być despotycznym hierarchą naszym, jeno tylko wspomóżeniem naszym w walce z przemocą zaborczą...

Przecież wołacie, że Lud litewski jest ciemny i głupi, że pozornie ulega despotii? Któż bowiem zawinił, któż chciał, iżby ten Lud był właśnie ciemny, jeżeli nie wy, którzyście milczeli - jako kłody - kiedy wołał do was Dowkont, iżbyście się przyczynili do

wielkiej sprawy oświaty ludowej! Zali mniemacie, że usprawiedliwią was kłamliwie przerobione fakty historyczne? Wiedźcie, że wy jesteście chwastem, który przez tyle wieków głużył kwiat twórczej myśli naszej! Te chwasty musimy wytepić! Zwalczając was będziemy dopóty, dopóki nie uszanujecie praw naszego narodu - jako szanujecie prawa Polski - dopóki nie poczniecie spełniać obowiązków waszych względem nas. Naród litewski nie ścierpi tej hańby, iżby jemu - gospodarzowi domu - czyniono zniewagę. Minęły już te czasy, kiedyście rządząc nami deptali godność naszą. Teraz bije godzina upokorzenia waszego...

Wyście nie chcieli i dziś nie chcecie wiedzieć, że odrodzenie nasze jest zarazem odrodzeniem i wzmocnieniem polskiej idei wolności, wypisanej krwią na sztandarze legionów. Wy bezustannie kłamaliście i kłamiacie przed obliczem Prawdy, że Litwa - to odmiana polskości, która jest męczeństwem świętym. O naszym męczeństwie nie chcieliście i nie chcecie mówić bez uśmiechu szyderstwa. Bo, zdaniem waszym, chłop litewski powinien wszystko wycierpieć, a cierpienie jego jest „złem koniecznym”, nie mającym nic w sobie czcigodnego. My ongi walczyliśmy w obronie interesów waszych, które nazywaliście wolnością waszą i naszą. A teraz, kiedy my wołamy do was o pomoc w walce za wolność naszą, wy śmiecie odpowiadać nam obelżywym i wzgardliwym słowem! Więc odepchnęliśmy was od siebie - jako najgorszych, bo potajemnych wrogów... Wy jesteście grabarzami wyzwolenia naszego. Walcząc w obronie egoizmu swego, nie chcecie nas wspierać w okrutnej walce, jeno wciąż lamentujecie - jako sowy w noc zaduszną - że my nie chcemy uznać egoizmu waszego za prawdę. Zastłoniliście oblicza swoje maskami pogardy, mniemając, że tą bronią nas zwalczyć zdołacie. Oto wiedźcie, że my zdzieramy te wasze podłe maski i każemy wam śmiało spojrzeć w oczy narodu litewskiego! Drżycie, bo ujrzycie kłatwę waszą...

Na takie dictum acerbum inteligencji litewskiej inteligentna pycha polska odpowiedziała jeszcze większą wzgardą. Nie było już mowy o próbie wzajemnego porozumienia lub o inicjatywie zgody. Zapomniano już o konieczności zjednoczenia

ciemieżonych, walczących o prawo istnienia. Złe instynkty zamroczyły umysły, a jad nienawiści pożerał czystość serc. Prawie nikt nie myślał o tym, że ta niedorzeczna forma walki ułatwiała caratowi ciemienie zarówno Litwinów, jak i Polaków. Do tego już stopnia doszło roznamiętnienie umysłów, że lada błahostka wybuchała - jakoby bomba, czyniąc wielki popłoch i zamieszanie.

Tę niedorzeczną formę walki potrafił wyzyskać przebiegły carat na swoją korzyść. Rozgoryczenie inteligencji litewskiej do Polaków wielce sprzyjało planom rządu carskiego, który też niebawem zaczął dyplomatycznie kokietować młodzież litewską, zwłaszcza tę, która się kształciła w uniwersytetach petersburskim i moskiewskim. W tym celu utworzył w uniwersytecie moskiewskim fundusz stypendialny, przeznaczony specjalnie dla studentów-Litwinów). Intencją rządu była chęć zaszczepienia w młodzieńcych duszach trwałej nienawiści nie tylko do Polaków, jako pojedynczych ludzi, lecz i do narodu polskiego.

Część inteligencji litewskiej, nie mogąc opanować swej patriotycznej zapalczywości i pragnąc w jaki bądź sposób upokorzyć litewskich Polaków, którzy zwalczali ruch narodowo-litewski środkami niegodziwymi, uległa pokusie carskiej i zapragnęła zabawić się dyplomacją à la czescy pseudomoskalofile. Dla postrachu na Polaków poczęli udawać przyjaciół Moskali i kokietować z wielkorządcami, w głębi duszy wszakże nie wyrzekając się podjętej pracy w imię odrodzenia ojczyzny. Drogą takiej polityki spodziewali się odzyskać pewne prawa (zwłaszcza wolność druku) dla tym skuteczniejszej walki z Polakami litewskimi.

Rząd carski atoli wnet się zorientował, że jest oszukiwany, że pod pozorem udanej lojalności młodzież litewska prowadzi jeszcze większą propagandę antycarską, więc zaczął się mścić na swoich domniemanych „pupilach”. Wielu spośród młodzieży aresztowano i wysłano na długoletnie wygnanie. Wielu z nich zdołało uciec za granicę i osiedlić się w Anglii, we Francji i w Stanach Zjednoczonych. Polityka dyplomatycznego moskalofilstwa haniebnie zbankrutowała. Sama młodzież zrozumiała swój błąd i wielce żałowała. Lecz było już za późno. Polacy zdobyli

skuteczną broń przeciwko ruchowi litewskiemu, mianowicie: ciężki rzut moskalofilstwa i antypolskości. Tą niefortunną bronią walczą po dziś dzień, jątrząc, zda się, rozmyślnie Litwinów; boć przecie już wiedzą (a raczej wiedzieć powinni z publicznych oświadczeń Litwinów), że inteligencja litewska, która ciężko odpokutowała swój błąd publiczny, w stosunku do rządu carskiego była i jest rewolucyjnie usposobioną, co stwierdza okrutne prześladowanie Litwinów w ogóle. (...)

III.

„Aušra” upadła w roku 1886, osobliwie z powodu prześladowania ze strony władzy pruskiej. Wszakże trzeba wyznać, że nie wszyscy redaktorzy „Aušry” jednakowo szanowali ideę swego pisma i dość często czynili błędy, które wywoływały zamęt w narodzie. Zwłaszcza zażarci zwolennicy „Aušry” (Aušriečiai) swoją niedyskrecją i gadulstwem przyczynili się do osłabienia wpływu tego pisma na masy ludowe. Na przykład identyfikowanie „Witeloraudy” Kraszewskiego, umieszczonej w tłumaczeniu w kilkunastu numerach „Aušry”, z Ewangelią Litwy wywołało słuszną reakcję ze strony duchowieństwa i gorących katolików, zapowiadając rozdwojenie idei narodowej, z tak wielką pracą zogniskowanej. To rozdwojenie objawiać się poczęło najpierw w antagonizmie między klerem a inteligencją, a później między ludem a inteligencją. Opublikowanie w pierwszym roczniku „Aušry” listów Dowkonta do biskupa Wołonczewskiego, które wielce dyskredytowały powszechnie uznaną szlachetność kapłana i pisarza Litwy, były hasłem do ostatecznego zerwania kleru z inteligencją.

Inteligencja litewska, miast łagodzić ten konflikt w imię solidarności narodowej, zasklepiac się poczęła w „logice partyjnej”, głosząc swoje „zeuropeizowane” myśli w licznych artykułach i broszurach, prowokujących kler litewski. Oczywiście, duchowieństwo litewskie nie mogło zachowywać się biernie wobec takiej prowokacji, więc głosiło ludowi, że działalność „Aušry” jest bezbożna i wielce szkodliwa. Lud przestał ufać inteligencji. „Aušra” przestała być Jutrzenką Litwy. Rozpoczęła się era fatalnego rozłamu narodowego; miast jedynej idei, zrzeszającej

wszystkie stany i skupiającej w sobie moc wszelkich indywidualności, świecić poczęły błędne ogniki partyjnych ideałów, zwodzających - gdyby miraże na pustyni wygnania...

Dopóki „Aušrė” redagował Dr Basanowicz, jeden z najszlachetniejszych Litwinów, urok jej wywierał potężny wpływ na masy ludowe. Lecz już z chwilą, gdy redakcja spoczęła w rękach Dra Szlupasa, człowieka wielce samolubnego i nieokiełzanego w swoich ambitnych zamiarach, „Aušra” poczęła błędnie i przyświecać promykami zmierzchu.

Duchowieństwo litewskie dla skutecznego zwalczania modnego wówczas wśród inteligencji pozytywizmu założyło w Tylży swój własny organ pt. „Apžvalga” (Przegląd), które po kilkoletnim istnieniu przestało wychodzić dzięki lokajskiej gorliwości władz pruskich. Pojawienie się „Apžvalgi” zniweczyło wpływ inteligencji na lud. Nastąpił okres osamotnienia inteligencji - wprawdzie krótkotrwały, lecz wielce bolesny. Idea Litwy, rozproszona w chaosie walk partyjnych, musiała być na nowo stworzona, odrodzona...

Trzeba jednak przyznać, że tradycja „Aušry” - mimo swojej skazy - przetrwała liczne lata - jako najlepszy dokument ocknienia ducha narodowego. Tego dokumentu, spisane w trzech tomach, nie zmaże już żadne oszczerstwo wrogów narodu litewskiego. Głos, utajony w drukowanych zgłoskach, wołać będzie nie tylko do przyszłych pokoleń ludu, lecz i do tych, którzy trwają w platonicznej formie czci dla Litwy, nie chcąc umiłowac jej czynem. „Aušra” nie „poruszyła z posad” ziemi litewskiej, wszelako wyraziła pierwszą petycję ocknionego narodu, przejmującą dreszczem strachu tych, którzy naigrawając się wołali: Ehej!

Po upadku „Aušry” staraniem inteligencji powstały nowe pisma: w r. 1886/87 „Garsas” (Głos), a później w r. 1887/89 „Šviesa” (Światło), mające na celu kontynuowanie już wielce skażonej idei „Aušry”. Duchowieństwo litewskie, nie mogąc już zaniechać wszechzędnej pracy swojej, po upadku „Apžvalgi”, założyło w r. 1896 w Tylży ponownie swój organ pt. „Tevynes Sargas” (Stróż ojczysty), który obecnie został zawieszony na czas nieograniczony.

Tymczasem rząd carski, korzystając z usłużności

władz pruskich, podwoił swoje usiłowania, zmierzające do ostatecznego zniszczenia propagandy litewskiej. Litwini musieli walczyć na dwa fronty. Wydawanie pism było połączone z niesłychanymi trudnościami. Stała redakcja nie mogła mieć swej siedziby w Tylży. Trzeba było korzystać z dobrej woli pruskich Litwinów, oddanych sprawie odrodzenia, i powierzyć im godność odpowiedzialnych redaktorów. Nierówna walka narażała Litwinów na nieoczekiwane katastrofy. Założone pisma, po krótkim istnieniu, musiały upadać. Brakowało funduszy, a zwłaszcza wykształconych ludzi spośród nielicznego grona prusko-litewskich patriotów, zatrudnionych wydawaniem pism. Wszakże zadziwiająca wytrwałość Litwinów przezwyciężyła te wszystkie trudności i ostatecznie utrwaliła podstawy swej działalności w Tylży, mimo że szowiniści polscy w onym czasie w znacznej mierze przyczyniali się do gnębienia Litwinów.

Mniej więcej od roku 1890 ruch narodowo-litewski począł się organizować partyjnie. Mistyczno-romantyczny nacjonalizm Aušriečių przekształcił się najpierw w pozytywny liberalizm, a później w nacjonalizm demokratyczny. Nie da się zaprzeczyć, że z tradycji „Aušry” wyłoniła się idea Litewskiej Demokracji, której rzecznikami są miesięczniki: „Varpas” (Dzwon), założony w r. 1889 i przeznaczony tylko dla inteligencji, oraz „Ukininkas” (Rolnik), założony specjalnie dla ludu w r. 1890. „Varpas” jest redagowany mniej więcej na wzór „Głosu” warszawskiego - z tą wszakże różnicą, że wychodzi w mniejszym formacie, a przede wszystkim bardzo nieregularnie. Brak środków materialnych oraz mała popularność tego organu zniewalają wydawców do bardzo ograniczonej działalności. Dlatego też „Varpas” - jako organ partyjny - pomimo to, że ogniskuje w sobie współdziałalność najwybitniejszych umysłów Litwy - nie może zadość uczynić wymaganiom chwili obecnej.

Tradycja „Apžvalgi” stała się opoką partii narodowo-katolickiej (Sargiečiai), która nie ma ściśle określonego programu politycznego, wszakże działa opozycyjnie w stosunku do rządu carskiego i nacjonalizmu polskiego. Organem tej partii do niedawna był „Tevynes Sargas”, miesięcznik, nadzwyczaj umiejętnie

redagowany. Główną tendencją partii narodowo-katolickiej jest walka z prądami antyreligijnymi, deprawującymi szersze warstwy narodu, a przede wszystkim - moralne podniesienie ducha narodowego. Zdaniem przywódców tej partii, tylko religia gwarantuje niepodległość narodu. Ateizm jest wrogiem narodowości, bo ułatwia wynarodowianie. Idea Litwy musi być utwierdzeniem głębokiej religijności masy ludowej, a nie jej negacją. Antyreligijność niszczy narodowość, przerabiając duszę narodową na podobieństwo upiора, błakającego się po świecie. Na skutek tej bezreligijności wyższe warstwy wielu społeczeństw nie mają zgoła żadnego poczucia ani świętości, ani narodowości. Najlepszym przykładem jest przeważna część amerykańskich Litwinów, którzy religię uczynili interesem, zyski dającym, albo też przedmiotem szyderstwa i naigrwania. W Ameryce utworzyli „nową Lituanie”, do której nie przyzna się nikt spośród wiernych synów „świętej Żmudzi”, pielęgnującej w sobie iskierkę boskiej miłości. Albowiem ta „nowa Lituania” jest piękną „kapliczką bez Boga”... Idea Chrystusowa musi być narodową ideą Litwy. Kto tę ideę zwalcza ten jest wrogiem narodu...

Demokracja litewska, gloryfikująca pozytywizm i wołająca do Ludu: „ty w kłamstwie, a ja w prawdzie!” - wbrew swojej własnej zasadzie wdała się zupełnie niepotrzebnie w walkę z katolikami-narodowcami i ostatecznie zdyskredytowała się w oczach masy ludowej. Po jakimś czasie dopiero zrozumiała błąd swój i, przekonawszy się, że walczy z wiatrami (bo wszak uczucia religijne ludowi wydrzeć nie można, ani też zmienić według kanonów pozytywizmu!) - rozpoczęła działalność więcej konsekwentną, realną, tj. zgodną z psychologią Ludu. Lecz już nie zdołała odzyskać dawnego zaufania prostaczków, którzy wszystkich inteligentnych ateuszów, publicznie (fakt!) manifestujących swoją niewiarę, zamianował farmazonami.

PLD nie ma jeszcze jednolitej organizacji. Składa się bowiem z trzech odłamów: nieprzejednanych (radykałów), umiarkowanych (liberałów) i nacjonalistów (wszechlitwinów). Te trzy odłamy partyjne - mimo różnic w środkach działania społecznego - wzajemnie się uzupełniają, godząc się w dążeniu do jednego

wspólnego celu: niepodległości Litwinów w granicach Litwy etnograficznej oraz zupełnego ich równouprawnienia w granicach Litwy geograficznej. Różnią się tylko w taktyce postępowania. Nieprzejednani chcieliby widzieć Litwę politycznie rozwijającą się według sankcjonowanych przez rewolucję wzorów zachodnioeuropejskiego ustroju demokratycznego i dlatego już a priori zwalczają szlachtę i kler - jako rzekomo rozkładowe czynniki wstecznictwa, tamującego wszelki postęp. Jawnie manifestują swoją pogardę dla Polski i Litwy szlacheckiej, apoteozując demokrację ludową.

Wszechlitwini utopijnie marzą o hegemonii idei demokratycznej nie tylko na Litwie etnograficznej, lecz i geograficznej. Dlatego też działalność ich grzeszy dość często ciasnotą fanatyzmu i brakiem perspektywy społecznej. Szlachtę litewską traktują lekceważąco, stawiając jej kategoryczne nakazy w formie obraźliwej i jętrzącej. Litwa nie dla Polaków, lecz dla Litwinów! - oto ich hasło. Kto nie sprzyja Litwinom, ten działa przeciwko nim. Więc precz z wrogami Litwy, precz ze szlachtą, orędowniczką obcej idei!...

Umiarkowani demokraci więcej sceptycznie niżli wrogo oceniają importowane do Litwy zachodnioeuropejskie doktryny. Głównym ich dążeniem jest uświadomienie szerszej masy ludowej w duchu tradycji narodowo-litewskiej, odgrzebanej w popieliskach i ruinach przeszłości. Nie godzą się na utopijne marzenia wszechlitwinów, propagujących zaborczą „politykę odpolszczenia” szlachty, a równocześnie wszetecznie sankcjonujących przywileje szlachty, wylczonej z „polskiego bzika”. Zdaniem umiarkowanych, szlachta litewska powinna dobrowolnie, bez przymusu zrozumieć swój stosunek do ludu i poddać się prawu narodu litewskiego, obowiązującemu w granicach Litwy etnograficznej. Niech każdy szlachcic będzie obywatelem, równouprawnionym z ludem, a zniknie to udęczające nieporozumienie! Idea przymusowego odpolszczenia jest wielką niedorzecznością. Współdziałanie kulturalne Litwinów z Lechitami wytworzyło odrębny typ litewskiego Polaka, którego psyche jest zbyt skomplikowana, iżby się dała od razu przemienić według teoretycznego wzoru. Wyrwać z duszy litewskiego Polaka kulturę

lechicką i rzucić ją na śmietnik - to marzycielstwo graniczące z obłądem. Szlachcic i Polak litewski mogą „być sobą”, tj. rozwijać się w duchu swej indywidualnej kultury, ale równocześnie winni pamiętać o obowiązkach swoich w stosunku do otoczenia, a zwłaszcza w stosunku do narodu litewskiego. A te obowiązki dla Polaków litewskich nie są wcale tajemnicą. Wiedzą oni dobrze, co powinni czynić, iżby zapanowała zgoda. Sami bowiem dość często powołują się na Szwajcarię - jako na jedyny wzór rozwiązania kwestii narodowej. Lecz nie chcą, trwając w jakimś dziwnym uporze i wywołując reakcję ze strony Litwinów. A jednak trzeba wiedzieć, że tylko mądra interwencja szlachty litewskiej może rozwiązać tę udrczającą kwestię stosunku Litwinów do Polaków. Dopóki szlachta milczeć będzie (nawet wtedy, gdy Polacy zechcą rozporządzać jej wolą i dyktować jej swoje egoistyczne prawa), dopóty lud cały nie umiłuje jej, a piękne hasło „z litewską szlachtą litewski lud” będzie li tylko śmiesznym frazesem.

Oprócz powyższych wymienionych partii istnieją w narodzie litewskim jeszcze następujące partie i partycjki:

Partia litewskiej socjalnej demokracji w granicach Litwy właściwej istnieje - rzecz można - tylko na papierze. Pomimo dość silnej agitacji, nie zdołała zjednać sobie naprawdę poważnej liczby zwolenników. I rzecz zupełnie naturalna. Litwini - jako naród przeważnie rolniczy, a nade wszystko wielce religijny - absolutnie nie mogą się przejąć zupełnie obcą dla nich doktryną. W r. 1897/98 wychodziło w Wilnie pismo socjalistyczne (zdaje się, Darbininkas, tj. Robotnik), wydawane w trzech językach (polskim, litewskim i białoruskim). Upadek tego pisma potwierdził przedczesność litewskiego socjaldemokratyzmu.

Natomiast idea socjalistyczna bardzo silnie rozwija się wśród litewskich emigrantów w Stanach Zjednoczonych i w Anglii - w krajach proletaryzujących ludność napływową. Na czele amerykańskiej LPS stoi Dr Szlupas. Głównym organem LPS dla Litwy właściwej jest „Darbininku Balsas” (Głos robotników), wychodzący w Londynie i redagowany na wzór polskiego „Przedświtu”.

Ugodowo-konserwatywna partia na Litwie jest

najmniej liczną i najsłabszą spośród wszystkich, i dlatego nie wywiera prawie żadnego wpływu na życie narodowe.

Partia klerykalna, mająca na celu li tylko interesy kościoła katolickiego, jest liczna i bardzo silna i trwa w ciąglej niezgodzie z PLD, a nawet z partią narodowo-katolicką. Największym zarzutem, niemal powszechnie czynionym partii klerykalnej, jest ten, że chce pozbawić lud samodzielności uczuciowej i myślowej, rodzącej samodzielność polityczną.

W roku ubiegłym powstała nowa partia rewolucyjno-postępowej młodzieży litewskiej. Organem tej partii jest dwumiesięcznik „Draugas” (Druh), redagowany na wzór polskiej „Teki”. Głównym celem tego organu jest jednoczenie kształcącej się młodzieży (w kraju i za granicą) dla skutecznej pracy rewolucyjnej. Ubocznym zaś celem - pielęgnowanie sztuki i literatury, oczywiście dostosowanej do głównego celu.

Tak się przedstawia w krótkim zarysie historia narodowo-litewskiego ruchu, który się rozpoczął pod hasłem romantycznej jedności, a w chwili obecnej rozwija się pod sztandarami partyjności, dość często wywołującej chaos i zamęt. Anormalność warunków, w jakich musiał się odradzać naród litewski, niezawodnie przyczyniła się do wybudzenia namiętności politycznych, graniczących niekiedy z fanatyzmem. Nie trzeba także zapominać, że skrajna różnorodność objawów życia narodowego, rozważana bezstronnie, świadczy o wielkiej żywotności ducha narodowego, dążącego do prawdy i sprawiedliwości. Ci, którzy błędzą nie z rozmysłu, lecz nadmiaru bolejącej tęsknoty, potrafią także torować ścieżki świetlanej miłości. Tylko nie trzeba ich sądzić z surowością oschłego moralisty, rozmiłowanego w nieruchomości...

Litwa pruska jest do tego stopnia zniemczona, że o prawdziwym jej odrodzeniu w duchu idei wielkiej Litwy i mowy być nie może. Ideowe zjednoczenie Litwinów pruskich z Wielkolitwinami wielce utrudnia antagonizm religijny, walka luteranizmu z katolicyzmem, która trwać będzie jeszcze liczne lata. Że luteranizm jest potężnym rzecznikiem germanizacji Pruskiej Litwy, potwierdza ten fakt, iż w r. 1775 pruskich Litwinów było przeszło 340 tysięcy, a w chwili

obecnej zaledwie 120 tysięcy, z których może połowa ma słabą świadomość odrębności narodowej. Statystyczny stosunek jest wielce smutny...

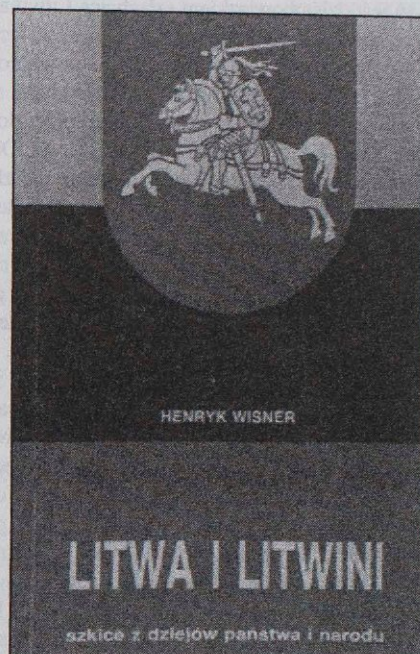
Ruch narodowy wśród pruskich Litwinów kilkakrotnie się objawiał, lecz nigdy nie przybrał większych rozmiarów, gwarantujących jego trwałość. W pierwszej i drugiej połowie XIX w., dzięki naukowo - społecznej działalności Kurszajtisa (1806-1884), zdawało się, że pruscy Litwini naprawdę już się odrodzą i potargają więzy niewoli germańskiej. W r. 1849 wychodziło czasopismo „Keleivis” (Wędrowiec) poświęcone sprawie odrodzenia ducha narodowego. Wiele wybitnie uzdolnionych jednostek (między innymi utalentowany i zasłużony uczonec i poeta Dr Sauerwein) pracował nad rozbudzeniem świadomości narodowej wśród szerszych mas. Lecz nadaremnie! Litwini pruscy budzili się i znowu zasypiali snem germańskim. Iskra narodowa nagle się rozpałała w ich sercach, lecz w tejże chwili gasła.

Najsilniej poruszyła się Litwa pruska na wezwanie „Aušry”. I wszystkim już się zdawało, że to poruszenie zwiastuje początek odrodzenia ducha narodowego. Niestety!, było to tylko złudzenie, ironia, miraż...

Litwini pruscy są już prawie straceni dla wielkiej narodowej sprawy Litwy. Giną bez walki, bez potężnego oporu, posłuszni głosowi ultraloyalnych wodzów swoich a la Dr Gaigalat i inni. Chyba tylko geniusz Litwy potrafi ich wydrzeć z paszczy smoka germańskiego...

* * *

Dziś niepodobna przewidzieć, jak się ułożą stosunki polsko-litewskie, niepodobna prorokować, czym będzie Litwa dla Polski. Można tylko stwierdzić na podstawie najnowszych zdań i faktów, że stosunek Litwinów do Polaków wielce złagodniał, stał się bardziej pojednawczy. Nawet nieprzejednany autor „Głosu Litwinów”, karcąc autora „Przenigdy!”, poczuwał się do obowiązku zakończyć swoją broszurę „Jedność, czy separatyzm?” iście romantycznym okrzykiem: „Niech żyje jedność! Niech żyje szlachta litewska, pojednana z ludem! Niech zginie separatyzm! Viribus unitis - wszyscy do wspólnej pracy!”... A szlachta litewska? Jak myśli, jak czuje



WITRYNA

HENRYK WISNER: *Litwa i Litwini. Szkice z dziejów państwa i narodu.* Olsztyn 1991.

Książka wybitnego znawcy problematyki litewskiej i pogranicza polsko-litewskiego wydana z inicjatywy Ogólnopolskiego Klubu Miłośników Litwy.

Zżyliśmy się tak bardzo - pisze jej autor - że często nie wiemy, co litewskie, co polskie. Zarazem, znamy się mało. Obraz przebytych wieków i lat pozostaje różny w odczuciu obu narodów. Czasem tworzy się go wbrew posiadanej wiedzy, przez pryzmat zaborczej miłości do Miasta i Ziemi uznawanej za Ojcowiznę, przez pamięć jedynie gorzkich doświadczeń, choć przecież i one były następstwem wspólnych działań. Niekiedy osąd wydaje się bez wiedzy niezbędnej i w sferze uczuć. Być może jeszcze nie nadszedł czas ustalania prawdy, która zostałaby zaakceptowana po litewskiej i polskiej granicy. Nadszedł jednak moment, aby przeminął czas prawd dwu, które wzajemnie się wykluczają.

w tej doniosłej chwili? Najlepszą odpowiedzią na to dręczące pytanie niech będą słowa dwóch bezimien-nych autorów: „Udział w pracy nad odrodzeniem (Litwy) jest dziś obowiązkiem szlachcica Litwina na równi z obowiązkiem pielęgnowania więzów, łączących z polską kulturą. Młode pokolenie powinno uczyć się - obok języka polskiego - i litewskiego, aby znać mowę przodków z zamierzchłej przeszłości i mowę ludu, z którym obcować będzie”...). „Obywatelstwo nasze (szlachta litewska) winno się zbliżyć z ludem litewskim, budzącym się do samodzielnego życia, nie gasić narodowego uczucia, lecz je uznać i czuć nad jego stroną moralną, a w tym celu winno się uczyć i nauczać języka litewskiego pod groźbą niepojęcia swego obowiązku, zaprzeczenia pochodzeniu, stracenia chwili historycznej”...). Te dwa szlachetne głosy - zgodne i harmonijne - żali nie świadczą o zbliżającej się chwili pojednania szlachty litewskiej z ludem, a przez szlachtę narodu litewskiego z Polską? I zaiste, obecna chwila oczekiwania, jakiś czyn wróżącego, jest wielką próbą dojrzałości kulturalno-politycznej dla inteligencji polskiej, która powinna nareszcie zrozumieć ogrom myśli braterskiej. Niedorzeczna walka spowodowała niedorzeczne następstwa, udrażniające zarówno Litwinów, jak i Polaków, i wzmacniające potęgę carską. Teraz zaprawdę bije godzina, nakazująca być szlachetnym, wspaniałomyślnym, wyrozumiałym, po prostu rycerskim. Litwin musi poznać Polaka, a Polak Litwina. To wzajemne poznanie się zniszczy nie-nawiść ignorancji, która jest jedynym źródłem nieporozumienia. Inteligencja polska powinna poznać Litwę prawdziwą, objawiającą się nie w warcholstwie, jeno w ideowości ofiarnej najlepszych jej synów. Ten tylko miłuje, kto umie i chce poznawać. Nie miłuje ten, kto nie chce poznawać prawdy. Naród litewski, który jest morzem wielkim, przetrwał już okres oczyszczenia wewnętrznego. Teraz rozpoczyna okres czynu prawdziwego, kiedy mówić po-cznie już nie zapalczywość dziecięca, lecz spokojne męstwo tych, którzy milcząc doskonalili się w czynie. Niech szczerze wyznanie redaktorów nowo założonych pism litewskich w Wilnie i w Petersburgu) wyrażone w szlachetnych słowach: „Dziś, rozpoczynając nasze kulturalne życie, chcielibyśmy, iżby

stosunek nasz do sąsiadów był tylko przyjacielski. Będąc narodem małym i słabym, nie pragniemy zaczepiać, ani krzywdzić naszych olbrzymów - sąsiadów (tj. narody polski i rosyjski). Pożądamy tylko, iżby te dwa sąsiady - olbrzymy obchodzili się z nami sprawiedliwie i po chrześcijańsku!” - niech to szczerze wyznanie, powtarzam, będzie zapowiedzią męskiej dojrzałości narodu litewskiego i gwarancją pojednania w duchu miłości.

Niech się łączą ciemieni przeciwko ciemnościom! Taka jest prawdziwa dzisiejsza idea unii Litwy z Polską. Miłować się trzeba nie przy kieliszku, przepelnionym napojem sentymentalnie odurzającym, nie za stołem, zastawionym jadłem przesytnego, rodzącego cynizm nudy, jeno na arenie czynu, podjętego w imię wolności narodów ziemi, w imię godności człowieka, odkupionej na Golgocie... Tak czynić trzeba w chwili obecnej, kiedy synowie zatracenia sprzymierzają się wśród huków tryumfujących przeciwko narodom dziecięcym, które są „sumieniem Europy”, „solą znieprawionej ziemi Chrystusowej”... Tak czynić - znaczy wskrzeszać bohaterstwo dawne, zapomniane, odnawiać walkę z „Neronem nowoczesnym” i zwyciężać wiarę w krzyż Golgoty, w blask Jutrzeni Zmartwychpowstania....

1905 r.

OBSZARY POGRANICZA

Pokusa rezygnacji z historii pojawiła się piętnaście kilometrów na zachód od Ostroga, w małym wołyńskim miasteczku o nazwie Sioło Dermań. Wspaniałość faktów, które tu przytoczę, zdumiała mnie, choć próżno ich szukać w przypisach do podręczników historii. Standardowe myślenie skazuje na niebyt szczegóły o ludzkiej odwadze i wytrwałości. Podczas pierwszej wojny światowej Sioło Dermań, zamieszkałe przez parę tysięcy prawosławnych Ukraińców, Rosjan, Polaków i Żydów, postanowiło wymigać się od tzw. wypadków dziejowych. Od tej pory ogłosiwszy niepodległość w Dermaniu nie przyjmowano do wiadomości ekscesów historii. Mieszkańcy nie odbierali kart mobilizacyjnych, nie płacili również podatków. W położonym z dala od Boga i ludzi miasteczku powstał rząd, zaś w powszechnym głosowaniu wybrano prezydenta. Ponieważ do Sioła Dermań należały okoliczne pola i lasy, społeczność wytwarzała wszystko, co jej było konieczne do życia. Linia solidnych słupów granicznych oddzielała obszar ogarnięty pożarem wojny od tej enklawy spokoju. Granic pilnowała uzbrojona straż. Dumę Dermańczyków stanowiła armia, w której służyli wszyscy od siedemnastego do sześćdziesiątego roku życia. W okolicy roilo się od maruderów, rychło więc

domy miasteczka przypominały prawdziwe arsenały.

Za czasów rosyjskich, w rozgardiaszu spowodowanym wojną, beczelność Dermania uszła mu jakoś na sucho, ale nastąpiła okupacja. Niemcy postanowili zaprowadzić porządek raz na zawsze, ponieważ Dermańczycy nie oddawali kontyngentów. Wysłani do miasteczka żandarmi byli rozbrajani, po czym kierowano ich do obozu jeńców. Mieścił się on w magazynie miejscowego browaru. Któregoś dnia przeciwko niepoprawnej republice pchnięto batalion wojska. Wywiad dermański pracował jednak doskonale. Uprowadzony o wyprawie prezydent, dowodzący armią, podzielił siły na dwie części: jedna broniła dostępu do miasteczka-państwa, druga – ukryta w lesie – zaatakowała napastników od tyłu. Z wyprawy nie powrócił ani jeden żołnierz. Po tej przygodzie Niemcy nabrawszy respektu, dali Dermaniowi spokój. W państewku panowała wzorowa organizacja. Uruchomiono pocztę. Myślano również o wypuszczeniu własnych pieniędzy, do czego jednak nie doszło. W obiegu znajdowały się korony austriackie, ponieważ armia dermańska rozbiła swego czasu tabory i zdobyła kasę dywizji węgierskich honwedów.

Ale prawdziwą sławę zdobyła Republika Dermańska podczas rewolucji rosyjskiej, gdyż mimo panu-

jącej wokół gorączki, okazała się nadal nieczuła na podszepty towarzyski historii. Kto próbował przekroczyć granicę dermańską, miał do czynienia z armią: bito więc regularnie i białych, i czerwonych. Dermań nie chciał zrezygnować ze spokoju. Odważna republika dotrwała do czasów polskich, kiedy znalazła się na terenie województwa wołyńskiego. Rokowania z komisją przyslaną z Warszawy przedłużały się. W końcu zdołano przekupić Dermańczyków dużymi nadziałami ziemi i lasów. Krnąbrne Siolo Dermań raczyło przyłączyć się do Rzeczypospolitej, ale jakaś odrębność pozostała i była nadal szanowana, bo kiedy pod koniec lat dwudziestych zmarł były prezydent, wódz naczelny armii i zarazem minister spraw zagranicznych Republiki Dermańskiej, 19 Pułk Ułanów Wołyńskich z pobliskiego Ostroga przysłał na pogrzeb orkiestrę i szwadron parady, który podczas uroczystości oddał zmarłemu honory należne głowie państwa.

Solą obszarów pogranicznych są bowiem ludzie o podwójnej tożsamości, poruszający się całkowicie swobodnie w obrębie dwóch kultur. Pełnią oni rolę łączników. W Polsce każda definicja i każda teoria wikła się wśród paradoksów. Za czasów austriackich wykładowca historii w c.k. Gimnazjum im. Franciszka Józefa I we Lwowie, znakomity pedagog, Jan Friedberg (starszy pan z cwikiem, czyli pincenem, odrobinę francuski bourgeois, trochę austriacki profesor, bardzo galicyjski inteligent) był w prostej linii potomkiem generała austriackiego, Solomona von Friedberga, który w roku 1722 zajął na czele wojsk Marii Teresy stolicę Galicji i został pierwszym dowódcą korpusu w mieście. Jego potomkowie przez ożenki spolszczyli się zupełnie, pomieszawszy barwy czarno-żółte, cesarsko-królewskie i wiedeńskie z biało-czerwonymi, choć nie było to wcale regułą. Jan Friedberg, szlachcic spiski, napisał podręcznik historii Polski, a wykładając o rozbiorach miał łzy w oczach i o cesarzowej Marii Teresie mówił z pogardą, jako o współwinowajczyni. Laską bił w katedrę profesorską i syczał przez zęby: ta stara, podła monarchini. W domu profesora zachowały się resztki dawnej Polski, być może pustej i trochę próżnej, ale zarazem trochę dwornej i eleganckiej.

Historię innej postaci można przedstawić w for-

mie własnoręcznie napisanego życiorysu: „Ja, Andrzej Battaglia, student prawa, poległy w pierwszych godzinach powstania lwowskiego 1918 roku, wyznając pośmiertnie, że jestem potomkiem barona Battaglii, który po pierwszym rozbiorze Polski zjechał z Lombardii do Galicji, jako wyższy urzędnik austriacki. Wytrwale pracując nad połączeniem świeżo zdobytej prowincji z resztą cesarstwa, mój przodek naraził się Wiedniowi na kilka orderów. Twierdzenie, że otaczała go wówczas pogarda i nienawiść polega na prawdzie. Mimo przeglądania dziesiątków dokumentów w archiwum rodzinnym, nie udało mi się ustalić, kiedy zaszła nagła przemiana. W każdym razie urzędnik, który przybył do Galicji, by utrwalic jej zabór, stopniowo uległ polonizacji. Reszty dokonały małżeństwa. Naprawdę nie padł ofiarą naiwnego przemieszania epok. Na jego przykładzie można stwierdzić, iż nie zawsze władza posiada moc destrukcyjną. Jego syn nie czuł się Austriakiem, odkąd pojął, że polskość nie jest maniakałnym przywiązaniem do wzniosłych rekwizytów. Chciałbym zaznaczyć, że podobnie jak mój brat, Roger, mówiłem po niemiecku z obcym akcentem, w skutek czego w Wiedniu uważano mnie za cudzoziemca”.

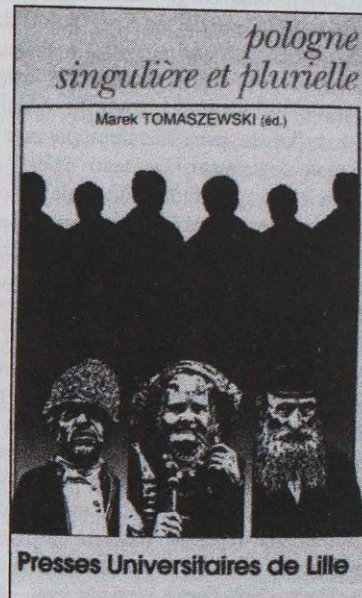
Na pytanie, gdzie kończy się Europa, Bohumil Hrabal w *Zbyt głośnej samotności* udzielił następującej odpowiedzi: „(...) przypominam sobie, co powiedział mi pewien palacz z uniwersyteckim wykształceniem, że Europa Wschodnia nie zaczyna się za Bramą Porzeczną, ale dopiero tam, gdzie kończą się stare austriackie dworce kolejowe w stylu empire, gdzieś tam w Galicji, dokąd tylko dotarł grecki tympanon”.

Europa Środkowa z jej „nawykami ironizowania właściwym życiu w klęsce”, gdzie „każde miejsce ma kilka nazw”, to dziwny obszar przejściowy o wędrujących granicach, przewiany zadymką historii, co sprawia, że człowiek bez ruszania się z miejsca, przebywając w tym samym mieście, może kolejno mieszkać w kilku krajach, które nie pytając nikogo o zdanie, przychodzą do niego same, szybko zmieniając godła na gmachach urzędowych, kroje mundurów i dźwięki orkiestr pułkowych.

Pogranicza rodzą specyficzny rodzaj napięcia. Sąsiedztwo obcości sprawia, że kultura danego narodu

czy grupy etnicznej, zagrożona rozplnięciem się w otoczeniu, musi zdobyć się na wysiłek znacznie większy niż na obszarze jednorodnym pod względem narodowym i kulturowym. Istotny pozostaje moment rywalizacji. Pozostaje on następnym etapem wzajemnego poznania, kiedy postrzegane są nade wszystko różnice języka i obyczaju. Ten okres jest pozbawiony dramatów. Może rodzić różnego rodzaju zbiorowe dewiacje. Istnieje skłonność do wyolbrzymiania wad grupy obcej, przy jednoczesnym idealizowaniu własnej społeczności czy kultury. Często zjawia się pokusa zamknięcia. Moim zdaniem, wejście zróżnicowanej narodowościowo społeczności pogranicza w fazę rywalizacji tonuje te zakusy i sprawia, że energia, która w bardziej niekorzystnych okolicznościach mogłaby być skierowana na niszczenie, stwarza nowe walory, które powstają często wbrew sąsiadowi, ale po pewnym czasie następuje wymiana wartości i ich wzajemne przenikanie. Społeczność narodowa pogranicza coś bierze od innych, ale zarazem coś im daje. O ukształtowanej kulturze pogranicza możemy mówić, gdy rywalizacja przepłata się ze współdziałaniem. Oczywiście wszystkie te procesy trwają latami. Na przykład kultura pogranicza na polskich kresach wschodnich, składająca się z domieszek polskich, ukraińskich, litewskich, żydowskich i tatarskich dojrzała kilkadziesiąt lat. Ostateczna jej śmierć nastąpiła w latach drugiej wojny światowej. Ale nawet zniszczona przetrwała do naszych czasów w nostalgicznym wspomnieniu i powieściach o tematyce kresowej Andrzeja Kuśniewicza, Tadeusza Konwickiego, Andrzeja Stojowskiego, Włodzimierza Odojewskiego i wielu innych. Zmieniając się w mit, zachowała niezwykłą atrakcyjność i czar przyciągania.

Każdego musi zadziwić szerokość egzystencjalnego doświadczenia tej literatury, która porzuciwszy gwar handlu i kantoru wymiany, szybko wystawiła na sprzedaż swoje główne obsesje: freudowski kompleks rodziny, apokaliptyczną wizję zmięczenia świata, skłonność do ujmowania rzeczywistości w kategoriach absurdu, poetycką wrażliwość w zetknięciu z przyziemnością otoczenia, motyw ucieczek i powrotów, umiłowanie autoanalizy, głębokie poczucie winy, metafizyczny smutek, autoironię i akceptację



WITRYNA

Pologne singulière et plurielle. La prose polonaise contemporaine. (Polska pojedyncza i zbiorowa. Polska proza współczesna). Textes réunis par Marek Tomaszewski. Presses Universitaires de Lille 1993, 330 s.

Książka jest efektem pracy międzynarodowego kolokwium, organizowanego przez Ośrodek Studiów nad Kulturą Polską przy Uniwersytecie w Lille, którego dyrektorem jest profesor Daniel Beauvois. Zebrane w niej studia dotyczą tożsamości polskiej po 1945 roku. Przedmiotem analizy i refleksji jest twórczość m. in.: Gombrowicza, Borowskiego, Kuśniewicza, Białoszewskiego, Konwickiego, Grynberga, Parnickiego, Mackiewicza.

Szkiełki starannie dobrane i pisane przez znakomitych autorów, ułożone są w trzy kręgi tematyczne: „Poszukiwanie tożsamości i autorefleksja”, „Na skrzyżowaniu języków i kultur: obraz inności, obraz odmiennego” oraz „Outsiderzy i samotnicy”. Niewątpliwą wartością książki są różne perspektywy spojrzenia na problem polskiej tożsamości: jest tam i perspektywa krajowa, z wnętrza Polski (Błoński, Jarzębski, Fiut, Bolecki i in.), perspektywa emigracyjna (Barańczak, Rutkowski, Tomaszewski, ale także twórczość Gombrowicza, Grynberga czy Pankowskiego), perspektywa z pogranicza (Sokrat Janowicz, ale też twórczość Bienka, Mackiewicza, Rymkiewicza), wreszcie spojrzenie innych na sprawy polskie (żydowski pisarz z Francji i Izraela wobec Polski, obraz Polski w powieści Bobrowskiego, Śląsk w literaturze polskiej i niemieckiej).

cierpienia jako nieodłącznego znaku ludzkiej kondycji. Wszystko w tej prozie ma swój kolor, dźwięk i zapach. Łęgi kukurydziane podpalają w słońcu, rozkiszłe deszczem trakty giną w leśnych ostępach, skrzypią suchopostoje starych sosen; w oddali nikt nie mała stacyjka zasypana śniegiem, poranne mgły snują się nad oczeretami. Do tego należy dodać dźwięki kościelnej sygnaturki, dudnienie dzwonów, dochodzące od cerkiewnej kałakolnicy i jęklivy śpiew kantora. Jest w tej prozie cuch baranich tułupów, zawiew płótna konopnego, dymu tytoniowego ze skrętek i zalatywania samogonu, który parzy w usta i rwie w głowie.

W powieściach o tematyce kresowej czas okrężny, czas powrotów, możliwy do odzyskania, pozostaje jedynym dramaturgiem, prestidigitatorem i spoiwem kompozycyjnym, co sprawia, że są to zarazem najlepsze książki, jakie napisano po polsku w czasach współczesnych. Czas ten może mieć wiele mutacji, czas okrężny w prozie Andrzeja Stojowskiego zupełnie różni się od czasu w powieściach Leopolda Buczkowskiego. Inną barwę posiada czas okrężny książek Andrzeja Kuśniewicza, a jeszcze odmienną w twórczości Tadeusza Konwickiego czy Stanisława Lema. Krytycy stale podniecają się przyprawami: galicyjskością Kuśniewicza i Stojowskiego, wileńskim zaśpiewem Konwickiego, podczas gdy główne danie pozostaje nietknięte. W prozie korzystającej z czasu okrężnego bezkarnie panoszą się dygresje, co sprawia, że pisarze, wieczni poszukiwacze wielkich sprzeczności, utożsamiają się z czasownikiem, częścią mowy obsługującą przemiany. Z czasem wiąże się kresowe poczucie przestrzeni. Należy pamiętać o różnicach w przeżywaniu przestrzeni przez różne narody europejskie. Stosunek Niemców można wyprwadzić z głęboko zakodowanego kompleksu zamknięcia, jakiegoś zdyscyplinowanego ścieśnienia. Dlatego zabudowa miast niemieckich przyjmuje kształty regularnego kwadratu, jak forteca broniąca przed niespodziewaną inwazją. Najsolidniejsze w architekturze są bramy wejściowe i zamki, wyrażające psychiczną świadomość zamknięcia, sprawowania ścisłego nadzoru nad przestrzenią. W zdyscyplinowaniu Niemców jest wymuszony porządek koszar. Z kolei carska Rosja zdawała się być ogarnięta głęboko

skrywanym strachem przed przestrzenią, nad którą nie potrafi zapanować, stąd przerażenie własnym ogromem. Świadomość absurdu obszar, zagrożonego rozsypką, zmuszała państwo do ograniczania jednostki, której życie ujmowało w sieć biurokratycznej kontroli i hierarchicznych zależności.

Idących na Sybir najbardziej przerażały uciekające wiorsty. Uczucie to znał mieszkający w Drennikach, w powiecie żytomierskim na Wołyniu, egzaltowany poeta i fantasta Władysław Słowacki (krewny Juliusza), który wyzwał na pojedynek sąsiada, Trypolskiego, zabił go i uciekł do Galicji (od czasów Mikołaja I pojedynki były w carskiej Rosji ścigane przez prawo), aby pewnej ponurej nocy popełnić samobójstwo w Brodach. Stało się to w jakimś zapuszczonym żydowskim hoteliku w roku 1858. W tamtych czasach poeci umierali zaraz po trzydziestce opisawszy szpalery, kamienie przydrożne i stare nuty. Pisarze stosowali podwójny przekaz, dla czytelnika i dla cenzora. W ten sposób myślenie stawalo się aluzją i kiedy wolno było mówić co się chciało, poza Mochnackim, niczego nie potrafili powiedzieć wprost. Niestety, pomiędzy Kordianem a szpiclem, pomiędzy ofiarą a sprawcą, pomiędzy rewolucjonistą a policjantem, między biurokacją a dysydentami istnieje wspólnotwo słownika, obsesji i schematów myślenia.

Pośrednicy wymiany, chcąc uniknąć niepotrzebnych rozproszeń, nawet w najzwyklejszych zdarzeniach odnajdowali wątek wiedzy metafizycznej. W ten sposób dorywczym sporom przybywała wiązka szczegółów. Kresy, kraj w przewadze płaski jak stół, strzeżony jedynie na południu przez palisadę Karpat, stanowił zaproszenie do inwazji, a bezbronna równina jako miejsce, gdzie dzieje się historia, stała się panującą dekoracją.

Podróż jest kategorią istnienia, gdyż wyraża stosunek człowieka do czasu i zmiany. Pośredniczący pomiędzy miejscami, umożliwia wędrowkę ludzi i idei, dlatego w starej księdze napisano, że najlepsze rzeczy w świecie to podróże, kobiety i wino. Dzieje ludzkości są w istocie historią środków komunikacyjnych. Łączność ze światem może odbywać się poprzez podróż lub poprzez kulturę, lecz druga nie może obyć się bez pierwszej. Właśnie na kresach kultura

staropolska odkryła wartość podróży i mistykę wielkich przestrzeni. W tamtych czasach Rzeczypospolita rozpościerała wojska ciasnym łańcuchem stanic opatrzonych bitnym żołnierzem, lecz kultura polska rozsyłając ludzi po kresach sama jakby została osierocona. Zawsze zastanawiała mnie wymowa szczegółów. Przed rokiem 1939 zapanowała po dworach kresowych dziwna moda. Podjazdy ozdabiano w ten sposób, że ustawiano na cokole przed gankiem stłuczoną wazę. Rychło znalazł się rzemieślnik podrabiający te naczynia z dużą wprawą. Czyżby w ten sposób wyrażała się świadomość zmierzchu?

Przeczuć katastrofy czekającej za progiem?

Gorączka wołyńska, *febra volhynica*, pojawiła się w zachlapanych błotem okopach pierwszej wojny światowej na froncie rosyjskim, jako nowa choroba, której jeszcze nie znała medycyna (ach, ta kresowa dbałość, aby być oryginalnym nawet w dolegliwościach). Powodując wysoką temperaturę, tajemnicza infekcja ścinała z nóg tysiące żołnierzy.

Ale jesienią 1939 roku Kasandra przyjęła rysy twarzy starej portierki, która w Bibliotece Wróblewskich w Wilnie książkami rozpałała codziennie ogień w piecach. Mróz trzymał siarczysty, Wilia stęzła lodem, zaś w Cielętniku, dawnym ogrodzie uniwersyteckim, głucho pękały drzewa. Krótco przed wybuchem wojny na korytarzach biblioteki złożono na przechowanie nakład ostatniej książki profesora Mariana Zdziechowskiego, rektora Uniwersytetu Stefana Batorego, zatytułowanej *Widmo przyszłości*. Pessimistyczne wizje nie zdążyły dotrzeć do czytelnika, ponieważ wcześniej stały się rzeczywistością i teraz służyły za podpałkę, co było zgodne z ułtityrarnym

WŁODZIMIERZ PAŹNIEWSKI (ur. 1942 r.), poeta, prozaik, eseista. Ukończył polonistykę na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu. Opublikował tomiki wierszy: *Z ostatniej chwili* (1973), *Wiersze dla zaginionych bez wieści* (1975) oraz *Proszę się rozzejść* (wydany w drugim obiegu). Jest autorem powieści *Krótkie dni* (1983), za którą otrzymał nagrodę im. Jarosława Iwaszkiewicza. Wydał także zbiór opowiadań *Czyste szaleństwo* (1984), eseje *Życie i inne zajęcia* (1982) oraz książkę dla młodzieży *Klasówka z pamięci* (1988, nagroda JBBY, Fundacji Kultury oraz Biennale Sztuki dla Dziecka w Poznaniu). Za twórczość eseistyczną uhonorowany został nagrodą środowisk niezależnych im. Barbary Sadowskiej oraz nagrodą polskiego Pen-Clubu.

charakterem barbarzyńskiej epoki. Zaledwie trzy egzemplarze zdołał uratować pewien bibliotekarz. Po wojnie przyznał, że uczynił to chyba przez roztargnienie. Księgi w płomieniach mających ogrzać czyjeś zgrabiące ręce to obraz zapożyczony wprost z przeźczuć Zdziechowskiego.

Od blisko stu lat trudno sobie wyobrazić kulturę polską na przykład bez mitu wileńskiego, który, o czym świadczy twórczość Czesława Miłosza, Jarosława Marka Rymkiewicza i Tadeusza Konwickiego, ożywia literaturę po dziś dzień. „Polski poeta musi pochodzić z Litwy, by stać się wielkim i znanym poetą. Podobnie w Anglii,

gdzie poważni pisarze pochodzą z Irlandii“ – twierdzi Miłosz w biuletynie Towarzystwa Studiów Bałtyckich. Stanisław Staszic – człowiek rzeczowy i nieskory do oddawania czci przesadzie – powiadał na początku ubiegłego stulecia: „Gdyby światło nie zapłonęło w Wilnie, zgasłoby w całej Polsce”. Opanowana, skoncentrowana wola zdaje się być charakterystyczna dla ludzi pochodzących z terenów Wielkiego Księstwa. Domieszka krwi litewskiej, jak o tym świadczy wiele nazwisk z historii i kultury, umożliwiła powstanie niezwykle u Polaków typu spokojnej, powolnej energii, z ogromnym polem i wydajnością pracy zarazem.

Pogranicza obfitują w talenty (ilu wybitnych ludzi wydały polskie kresy wschodnie?), z tym, że dary te nie występują proporcjonalnie, zazwyczaj otrzymuje ich znacznie więcej kultura przybyszów. Olbrzymiej liczbie wybitnych Polaków, którzy wywodzili się z kresów, nie odpowiadała, niestety, równa obfitość talentów wśród Białorusinów czy Ukrainców, w czasie spotkania trzech kultur we wspólnej

historii. Także niemiecka kultura pogranicza prusko-polskiego zaskakuje liczbą wybitnych nazwisk. Bardzo skromnie natomiast przedstawia się rozmieszczenie w tym samym czasie talentów wśród Wielkopolan i Ślązaków, jakby na spotkaniu dwóch kultur, wymuszonym przez politykę, skorzystali wyłącznie najeźdźcy. Przyczyn było wiele, najważniejszą okazała się dyskryminacja oświatowa i cywilizacyjna, niemniej zjawisko takie daje się zauważyć.

Oprócz pruskiego kroku, podobizny nietoperza z pikielhaubą i cynizmu Hegla, istnieje coś, co można nazwać geniuszem pruskim w nauce i technice, choć Polakowi trudno się z tym do końca pogodzić. Geniusz ten wyrósł, jak się zdaje, z pograniczności kulturowej, w której stopiło się wiele odmiennych temperamentów i esencji. Pruskość powstała ze zlania się kultury niemieckiej, w jej kresowej, wschodniej odmianie, z domieszkami żydowskimi i słowiańskimi, a zwłaszcza polskimi, i w mniejszym stopniu bałtyckimi, co świadczy o przewadze peryferii. Nie zapomnijmy, że w latach trzydziestych dziewiętnastego wieku, blisko połowa mieszkańców Prus, mówiła bądź rozumiała po polsku. Cesarz Wilhelm II był jedynym władcą pruskim, który nie znał języka polskiego i poliglota Bismarck miał mu to za złe. Sam ożenił się z Polką, Puttkamerówną, którą w listach nazywał „Czarną Kotką“, pisząc te słowa po polsku.

Po drugiej wojnie światowej zaczyna kształtować się w Polsce nowa strefa kulturowego pogranicza, umiejscowiona na wybrzeżu. Nie jest jeszcze ona gotowa, lecz już zaznacza swą obecność. W Stanach Zjednoczonych wyraźnie widać przewagę kulturową i cywilizacyjną wybrzeża Atlantyku i Pacyfiku. Wnikliwy socjolog coś podobnego zauważy również w dzisiejszej Polsce. To nie przypadek, że wielkie buntury społeczne, które doprowadziły do upadku systemu totalitarny w Europie Środkowo-Wschodniej eksplodowały na wybrzeżu, w Gdańsku i Szczecinie. W sensie socjologicznym Wałęsa jest dzieckiem pogranicza, dlatego mógł pojawić się tylko w Gdańsku. Polska to zbyt wiele historii i za mało geografii. W historycznym i kulturalnym rytmie kraju zawsze istniała dominacja pogranicza.

KRĘGI WTAJEMNICZENIA

SIMCHE
KELLER-SKOWROŃSKI

CHASYDZI (II)

W XVII i XVIII wieku pewien rodzaj niesamowitej, duchowej atmosfery ogarnął społeczność żydowską w Polsce. Klęski spowodowane wojnami szwedzkimi i kozackimi wydawały się tak ogromne, że po takiej tragedii spodziewano się już tylko odkupienia win i nadejścia Mesjasza. Cóż, prawdziwy Mesjasz nie objawił się. Pojawiła się natomiast nauka, która zaszczerpiła w sercach ludzi nadzieję. Nauka ta, wygłaszana przez wędrownych magidów i baalszemów, zawarła cały swój blask w osobie jego pierwszego mistrza – Izraela ben Eliezera zwanego Baal Szem Tow albo Beszt. Wiedza przezeń przekazana, wraz z nią styl i sposób bycia, nazwano chasydyzmem (od słowa *chasid* - „pobożny”). Nauczycieli, którzy przejęli od Beszta naukę nazwano cadykami (hebr. *cadik*, „mąż sprawiedliwy”).

Pierwsza część naszej opowieści (zob. „Krasnogruda” 1994 nr 2-3) kończy się w momencie poznania trzech największych uczniów Beszta, ich sposobu nauczania i zasięgu działalności. Teraz chciałbym skoncentrować się na opisaniu atmosfery trzeciego, czwartego, a nawet piątego pokolenia mistrzów.

Rozwój chasydyzmu nastąpił w tak żywiołowy sposób i od razu podzielił się na tak wiele odłamów, że niemożliwym jest przekazanie wszystkich opo-

wieści, opisanie wszystkich cadyków, choć naprawdę każdy z nich nauczał na swój własny, odmienny sposób. Pomyślałem więc, że powinienem posłużyć się przykładem kilku szczególnych postaci. Ale jak wybrać tych kilka osób, których wizerunki reprezentowałyby w jakiś sposób wszystkich mistrzów nauczających w tamtych czasach? Zapytałem rabiego Daniela Rokeacha, prawnuka Elimelecha z Leżajska, o kim by opowiedział w takiej sytuacji. Odrzekł mi wtedy, że zaczęłyby od szkoły największego ucznia Beszta – Maggida z Międzyrzecza. Jego najwybitniejsi uczniowie, z których każdy był również założycielem nowej szkoły, to: Elimelech z Leżajska, Szneur Zalman z Ladów, Magid z Kozienic, Jakub Icchak z Lublina. Byli oni prawdziwymi mistrzami wczesnego chasydyzmu i to, co napisze się o nich, to tak, jakby opowiadało się całą radość i ból, całą prawdę zawartą w chasydyzmie. Nie chciałem bynajmniej ograniczyć się do przybliżenia postaci samych cadyków, jak powiedział Beszt: *mistrz i jego uczniowie są jak dwie tak samo ważne części i nie mogą istnieć osobno.*

Wielki Maggid z Międzyrzecza miał wielu wspólnych uczniów, ale to właśnie rebe Elimelech przeniósł chasydyzm do centralnej Polski. Są wprowadzić



Autor (z lewej) z rabinem Danielem Rokeachem przed grobem Elimelecha z Leżajska. Leżajsk, lato 1994.

wzmianki, że czasowo mieszkali w miastach centralnej Polski inni uczniowie wielkiego Magida, m.in. Szmul Horowic w Ryczywole i Sieniawie czy Efraim Fiszer w Strykowie, ale dopiero dzięki rabiemu Elimelechowi, który na stałe zamieszkał w Leżajsku, chasydyzm stał się na tych ziemiach powszechnym zjawiskiem.

Rabbi Elimelech urodził się w 1717 roku w rodzinie rabiego Eliezera Wajsbłuma. Był najpilniejszym uczniem wielkiego Magida z Międzyrzecza i dlatego też uważa się, że jego późniejsze nauczanie jest najwierniejszym przekazem nauk mistrza. Rabi Kolonimus Kalman, który przeniósł chasydyzm do Krakowa, powiedział: *od początku istnienia świata, od początku, gdy bramy nieba zamknęły się, pojawiło się tylko dwóch mistrzów na świecie: Święty Beszt i Rebe reb Elimelech. Oni otworzyli bramy i teraz sprawiedliwi mogą przez nie wejść.*

O rabbim Elimelechu mówiono, że nie miał już takiej mocy nauczania jak wielki Magid, ale miał niesamowity dar intuicji i to nie tylko duchowej, ale i medycznej. Potrafił spoglądając w oczy wskazy-

wać chorą część ciała. Badanie takie było dla badającego bardzo trudną próbą. Zdawał on sobie bowiem sprawę, że rebe nie tylko widzi jego uszczerbek na ciele, ale wszystkie jego duchowe rozterki.

Znana jest historia, że kiedy opuszczał jedno z miasteczek, mieszkańcy szli za jego wozem. Gdy dowiedział się, że w ten sposób chcą oddać mu cześć, zszedł z wozu, by iść razem z nimi.

Gdy przychodzili do niego ludzie mający o sobie bardzo wysokie mniemanie, niejednokrotnie mieszkający w odosobnieniu, poszczący i umartwiający się przez wiele lat, rabbi Elimelech w ogóle nie chciał z nimi rozmawiać. Wzorem swego nauczyciela szczerze nie znosił smutku, niepotrzebnych umartwień. Swego późniejszego ucznia, ascetę Dawida z Lelowa, nakierował na chasydzką drogę, ale tylko dlatego, że sam Dawid zrozumiał, że jest to jego właściwa droga.

Na przykładzie Elimelecha widzimy charakterystyczną cechę przyjmowania uczniów u cadyka. Wielu przewijało się przez dwór w Leżajsku, ale tylko nieliczni byli zatrzymywani. Jak mawiał Elimelech: *naczynie musi być odpowiednie, musi być przygotowane i przywoływał słowa Beszta, że Bogu można służyć każdą czynnością, każdą pracą. Wszyscy mogą być święci, ale nie wszyscy muszą być rabinami.*

Szkoła Elimelecha wprowadziła do źródłowego chasydyzmu myśl, która spowodowała w dalszym rozwoju ruchu wiele wypaczeń. Pozwolę sobie zacytować fragment książki *Noam Elimelech – Dewarim (Radość – Rozkosz Elimelecha)*, głównego dzieła rabina z Leżajska: *Bóg ogląda świat oczami cadyka. Cadyk jest wybrańcem bożym nawet przed urodzeniem się, gdy jest jeszcze w tonie matki. Cadyk objawia swoją wolę a Bóg ją wypełnia. Łaska boża płynie przez ręce cadyka. Cadyk potrafi zapobiec nieszczęściom grożącym narodowi i każdemu poszczególnemu Żydowi, czyni cuda, zwalnia więzionych, leczy chorych, daje zarobki etc., cadyk jest uosobieniem miłości. Z miłości Bóg wybrał lud Izraela. Tora jest wyrazem tej miłości, a cadyk samą miłością. Orężem, którym działa cadyk, jest żarliwa modlitwa, słowo, które łączy się z Bogiem. Drugim orężem są cuda, które czyni. Aby spełnić swe posłannic-*

two musi być cadyk wolnym od trosk materialnych i dlatego zwolennicy jego składają mu datki (pidion). Datki te zużywa cadyk po zaspokojeniu własnych potrzeb, na wsparcie dla biednych. Obok datków wielkie ma znaczenie stopień wiary, jaką cadyka darzy jego uczeń. Cadyk musi cieszyć się bezwzględna wiarą, aby móc się wywiązać z misji pośrednika u Boga.

Myśli zawarte w wyżej podanym tekście stały się podwaliną nowego nurtu w chasydyzmie zwanym cadykizmem lub praktycznym cadykizmem. Rozbudowano w nim między innymi tezę, że cadyk może z własnej woli oddziaływać w sposób nadnaturalny na praktyczne życie swych zwolenników, co stanowi oczywiście zaprzeczenie nauk wielkiego Maggida o nie zajmowaniu się sprawami doczesnymi swoich uczniów.

W praktyce wprowadzenie tych kilku nowych zasad do chasydyzmu powstrzymało duchową żywotność ruchu. Rozpowszechnienie zaś zwyczaju przekazywania godności cadyka z ojca na syna w późniejszych pokoleniach doprowadziło do wielu wypaczeń. Nie zawsze bowiem syn okazywał się godnym następcą swego ojca. Do pierwotnej reguły powrócono wprawdzie na dworach w Przysusze i Kocku, ale były to już nieliczne przypadki i dotyczyły one naprawdę niezwykłych nauczycieli.

Pisząc o rabbim Elimelechu nie sposób nie powiedzieć kilku słów o jego bracie, rabinie Zusji lub Zysze z Annopola. W młodości razem studiowali u wielkiego Maggida, później przez wiele lat wędrowali od miasta do miasta „szukając błakającej się Szechiny”. Gdy rabi Elimelech, urodzony przywód-

ca i nauczyciel, osiadł na stałe w Leżajsku, Zusja na zawsze pozostał wędrowcem. Zamieszkał wprawdzie w Annopolu, ale stale odczuwał tęsknotę do wędrowki i co jakiś czas wyruszał do okolicznych miast i miasteczek.

Rabbi Zusja był wyjątkową postacią nawet wśród rabinów chasydzkich. Obdarzony niezwykłą miłością i wrażliwością do wszystkich stworzeń bożych, Zusja nikogo od siebie odepchnąć nie potrafił. Mówiono, że służył Bogu tylko jedną Sefirą – miłością. W wielu zbiorach pism chasydzkich możemy znaleźć opowieści o Zusji i ptakach.



Jehuda Ari Lejb Alter, wnuk i kontynuator nauk pierwszego cadyka z Góry Kalwarii Icchaka Hejera Altera

Pewnego razu rabbi Zusja wędrował po kraju zbierając pieniądze na wykup niewinnie uwięzionych. Kiedyś wszedł do karczmy pod nieobecność jej gospodarza. Gdy zgodnie ze swym zwyczajem przechadzał się po pokojach, ujrzał w jednym z nich klatkę z przeróżnym ptactwem. Czuł, że uwięzieni pragną znaleźć się na wolności i swobodnie unosić się w powietrzu. Ogarnął go płomień litości i pomyślał: „tyle już wędrowałeś Zusja, aby uwalniać więźniów, a jakie uwolnienie uwięzionych mogło by się równać z wypuszczeniem tych ptaków.” Po czym otworzył klatkę i wszystkie ptaki wyfrunęły na wolność. Kiedy wrócił gospodarz, ujrzał pustą klatkę i zaczął krzyżeć na Zusję: „Ty głupcze, ukradłeś mi ptaki, za które zapłaciłem tyle pieniędzy!” Zusja odparł: „Na pewno nieraz czytałeś i powtarzałeś słowa psalmu: ... a Jego litość nad wszelkim Jego stworzeniem.” Słyszyc to, gospodarz zaczął



Magid z Kozienic

okładać piętami Zusję, a potem wyrzucił go za drzwi. A Zusja wesolo ruszył w swoją drogę.”

Znany jest także fakt, że rabbi Zusja podczas wykładów wielkiego Magida wpadał w taką ekstazę, że nie słyszał żadnego wykładu mistrza w całości. Ekstazę taką nazywamy *hislachavus*, co oznacza całkowite oddanie.

Rabbi Zusja nie założył własnej szkoły, nauczał samą swą postawą wobec świata, a że była to tak niezwykle żarliwa miłość, mało kto był w stanie towarzyszyć mu w jego wędrówce.

Latem 1994 roku miałem okazję towarzyszyć w wędrówce praprawnukowi Elimelecha z Leżajska, rabinowi Danielowi Rokeach. Nasza trasa wiodła przez Lelów (młoda żona rabina Rokeacha jest wnuczką obecnego cadyka z Lelowa, potomka wspomnianego rabina Dawida, ucznia Elimelecha). Zatrzymaliśmy się następnie w Krakowie, gdzie rabbi chciał skorzystać z mykwy, czyli dokonać rytualnej kąpieli przed modlitwami przy grobie swego wielkiego przodka. Niestety, mykwa w Krakowie była nieczynna. Ruszyliśmy w dalszą drogę wypatrując

jakiejś czystej rzeki. Trzeba zaznaczyć, że rytualną kąpiel chasydzi odbywają codziennie przed modlitwami porannymi Szachrit, a dodatkowego znaczenia kąpiel ta nabiera przed wizytą u cadyka lub na grobach wcześniejszych mistrzów.

Gdy w naszej podróży znaleźliśmy już rzekę i po rytualnej kąpieli odmówiliśmy odpowiednie modlitwy, zajęło nam to tyle czasu, że do Leżajska dotarliśmy dopiero późnym wieczorem. Kobieta, która przechowuje klucze do ohelu rebbe Elimelecha mieszka nie opodal i otwiera cmentarz przez całą dobę. Co to oznacza, mogłem zaobserwować tej nocy. Po złożeniu kwitelech, rabbi Rokeach rozpoczął swoje modlitwy. Odmawiał po kolei wszystkie psalmy ze specjalną intencją pomyślności dla jego nowej rodziny, gdyż żonaty jest dopiero od kilku miesięcy. Podczas tych trzech, czterech godzin modlitw przybyli chasydzi Satmar, w godzinę później – chasydzi z Góry Kalwarii. Kiedy coraz to nowi pielgrzymi przybywali do grobu Elimelecha, rabbi Rokeach ani na chwilę nie oderwał oczu od modlitewnika. Powiedział mi później, że była to dla niego bardzo ważna wizyta.

Drugą szkołę, która ukształtowała się w tym samym czasie co szkoła leżajska, stworzył także uczeń wielkiego Maggida, rabbi Szneur Zalman z Ladów, zwany Rawem. Urodził się w 1747 roku w miejscowości Łozna. Razem ze swoim przyjacielem, również uczniem wielkiego Maggida, rabinem Mendlem z Witebska, miał zamiar udać się do Palestyny, ale jak sam opowiadał, w połowie drogi poczuł, że musi wrócić, i że nie ma możliwości wyboru, ponieważ jest to nakaz z niebios. Po powrocie osiadł początkowo w Mohylewie, później przeniósł się do Ladów, gdzie otrzymał tytuł rawa ziem ruskich.

Rabbi Szneur Zalman został twórcą nowego nurtu w chasydyzmie, który nazwał Chabad. Nazwa ta pochodzi od trzech pierwszych liter sefirot z Drzewa Życia: Chochmy – mądrości, Biny – inteligencji, Daat – wiedzy. System ten usiłował połączyć chasydzką drogę życia z tradycyjnym studiowaniem *Talmudu i Tory*.

Mimo że chasydyzm szkoły rabina Zalmana był dużo bardziej zbliżony do zachowawczego judaizmu niż na przykład Elimelecha z Leżajska, to jego twór-

ca w okresie prześladowań chasydyzmu był ostro atakowany. Posunięto się nawet do tego, że oczerniono go przed władzami rosyjskimi, wskutek czego był uwięziony i przesłuchiwany w twierdzy petersburskiej. Wiąże się z tym wydarzeniem pewna przypowieść.

Rabbi Szneur Zalman przebywając w twierdzy petersburskiej miał być przesłuchiwany przez naczelnika żandarmerii. Spokój malujący się na obliczu rawa, który z początku pochłonięty myślami nie dostrzegł urzędnika, sprawił, że ów, będąc człowiekiem rozważnym, zrozumiał, kim jest jego więzień. Po krótkiej rozmowie, zaczął wypytywać go o rozmaite sprawy dotyczące *Pisma Świętego*. Wreszcie zadał mu pytanie: „Jak należy pojmować to, że Bóg wszechwidzący mówi do Adama «Gdzie jesteś?»”. „Czy wierzysz - rzekł raw - że pismo jest wieczne i że zawiera się w nim wszelki czas, wszelkie pokolenie i wszelki człowiek?” „Wierzę” - odparł tamten. „Zatem - mówi cadyk - Bóg zawsze woła do człowieka: „gdzie jesteś w swoim świecie? Uplętnęło już tyle odmierzonych ci lat i dni, jak więc daleko doszedłeś w swoim świecie?” Powiada na przykład Bóg: „żyjesz już czterdzieści sześć lat a do kąd doszedłeś?” Kiedy naczelnik żandarmerii usłyszał liczbę swoich lat - zdumiał się. Położył rabinowi dłoń na ramieniu i zawołał: „Brawo!” Ale serce mu zamarło.

Rabbi Szneur Zalman odebrał chasydyzmowi bardzo istotny element - funkcję cadyka jako pośrednika. Był on zwolennikiem teorii indywidualnych studiów. Kabalistyczną zamianę „czegoś” na „nic”, zamianę obcych myśli na czyste zostawiał tylko dla bardziej wtajemniczonych. Swoją system zawarł w księdze *Tanja*, która jest opartym na kabale dziełem zajmującym się m.in. analizą ludzkich namiętności i zachowań. Chasydzi Lubawicz (nazwę tę przyjęli kontynuatorzy nauk Szneura Zalmana od miejscowości zamieszkania jego następcy i syna Bera Szneersona) do dziś studiują codziennie *Tanę*, czyniąc z tego rodzaj rytuału.

Ruch Chabad jest obecnie najpotężniejszą grupą chasydzką. Przyczynił się do tego zmarły w tym roku, błogosławionej pamięci Rebbe reb Menachem Schneerson, ostatni cadyk z rodu Szneersonów.



Symcha Bunam z Przysuchy

Chciałbym w tym miejscu tej postaci poświęcić kilka słów.

Urodził się w 1902 roku. W młodym wieku ukończył trzy fakultety na paryskiej Sorbonie: chemię, fizykę i budownictwo okrętowe. Po zapoznaniu się z naukami ówczesnego cadyka Lubawicz Josefa Icchaka (1890 - 1950) został jego uczniem, a po śmierci mistrza chasydzi wybrali go siódmym cadykiem Lubawicz, przywódcą najpotężniejszej chasydzkiej wspólnoty na świecie. Był niewątpliwie geniuszem; jego wspaniałe responsy hallachiczne uczyniły go jednym z największych współczesnych mędrców na świecie. Nigdy z własnej woli nie wygłaszał proctw, ale proszony o radę, udzielał jej nieomylnie.

Byłem w jesziwie Chabad w mieście Cwat w Izraelu, gdy wybuchła wojna w Zatoce Perskiej. Cały Izrael, ba, niemal cały cywilizowany świat niepokoił się, czy zrealizuje swoje groźby przywódca Iraku. Saddam Husajn, bo o nim mowa, zagroził, że jeśli nastąpi interwencja wojsk ONZ w Kuwejcie za-

atakuję Izrael bronią chemiczną i gazową. Chasydzi Chabad mieszkający w Izraelu zwrócili się o radę do Rebbe Schneersona. On uspokoił ich mówiąc, że pomimo bombardowań, nie będzie zabitych, a wojna skończy się klęską Hamana w dzień święta Purim. Słowa te wypowiedział Rebbe Schneerson w pierwszym dniu wojny. Przepowiednia sprawdziła się. Gdy nadeszło święto Purim, czternastego dnia miesiąca Adar 1991 roku, Saddam Husajn - wywodzący swoje pochodzenie od biblijnego Hamana, nieprzejednanego wroga Żydów (*Ks. Estery*) - podpisał kapitulację. Nikt w Izraelu bezpośrednio nie zginął wskutek nalotów, mimo że na mieszkalne dzielnice Tel-Awivu spadały rakiety SCUD.

Rebbe Schneerson już na kilka lat przed upadkiem ZSRR, którego nikt przecież nie przewidywał, przygotowywał wysłanników, nauczycieli, którzy by pomogli w odbudowie świadomości religijnej około dwóch milionów Żydów mieszkających na terenach tego imperium.

Chasydzi kochali swego Rebbe, określali go wręcz mianem mesjasza naszego pokolenia. W nowojorskiej dzielnicy Crown Height nie budził zdziwienia widok biegnących chasydów, przekazujących sobie wiadomość, że rebbe uczestniczy w modlitwach w synagodze. Niektórzy czekali na spotkanie z nim dni i noce, spędzając czas na studiowaniu Pism i odmawianiu psalmów w synagodze Lubawicz, zwanej „Seven seventy” od numeru domu na ulicy Eastern Parkaway na Brooklinie.

Któż u rabiego nie był po radę: politycy, muzycy, biznesmeni, uczeni; często synagogę „770” odwiedzał Bob Dylan. Każdego obdarowywał dobrą radą i symbolicznym dolarem na szczęście.

Największe podniecenie panowało w dniu, w którym ogłaszano, że rabbi będzie przyjmował. Oznaczało to możliwość, przy odrobinie szczęścia, stanąć z Nim twarzą w twarz. Być może uniesioną dłonią pobłogosławi właśnie ciebie, czyli jednego z wielkiego tłumu oczekujących, a później przechodzących przez pokój mistrza.

Wszyscy mężczyźni z mojej jesziwy są już zgromadzeni w synagodze, panuje ogromny ścisk. W końcu olbrzymiej synagogi małe drzwi do pokojów i biura rabiego. Gdy drzwi te otwierają się, tłum na-



Spotkanie ostatnich przedwojennych cadyków z Góry Kalwarii i Aleksandrowa

piera w ich kierunku. Udajemy się wąskimi schodkami na pierwsze piętro domu rabiego. Wchodzę do niewielkiego pokoju, bez żadnych ozdób. W jednej ze ścian widać niszę, a w niej, poniżej poziomu podłogi, za biurkiem siedzi rebbe. Obok niego stoi dwóch najbliższych uczniów. Spogląda na mnie. Czuję, że jego szare oczy widzą absolutnie wszystko. (Później zastanawiałem się, czy właśnie to mogli odczuwać pielgrzymi patrzący w oczy Elimelecha z Leżajska.). Po chwili cadyk podnosi prawą dłoń w geście błogosławieństwa. Wszystko to trwa bardzo krótko, ale tego rodzaju krótkie chwile często są najistotniejsze w życiu człowieka.

Mógłbym pisać o błogosławionej pamięci Rebbe reb Schneersonie jeszcze bardzo długo, ale musimy powrócić do czasów rabina Elimelecha, do Kozienic, gdzie osiadł rabbi Izrael.

Urodził się ok. 1740 roku w Ostrowcu. Z jego rodzinami związana jest pewna legenda. Rodzice Izraela wiele lat po ślubie nie mogli doczekać się potomka. Gdy byli już w podeszłym wieku, w pewien szabat zawiątał do Ostrowca święty Beszt, który zanocował w ich domu. A gdy zobaczył, że mimo trosk witają

szabat tak radośnie, jak najukochańsze dziecko po latach rozłąki, rzekł do nich: „jeszcze w tym roku narodzi się wam potomek”. I rzeczywiście, w niespełna rok po tym wydarzeniu, urodził im się syn. Nadano mu imię Izrael.

Rozpoczął on swoją naukę już u wielkiego Maggida, później obrał sobie za nauczyciela Elimelecha z Leżajska, by po jego śmierci osiąść na stałe w Kozienicach.

Rabbi Izrael od najmłodszych lat cierpiał na nieznaną chorobę, która z roku na rok osłabiała jego ciało. Lata całe spędzał w swojej izbie, nie znajdując w sobie siły, aby wstać z łoża, co nie przeszkadzało mu przyjmować wielu pielgrzymów. Leczył on choroby psychiczne i fizyczne. Jego pacjentami i uczniami byli nie tylko Żydzi – przybywali również chłopcy i szlachta. Znane są z przekazów wizyty u rabiego księcia Adama Czartoryskiego z Puław. Gdy członkowie wspólnoty przychodzili do niego przed dniem pokuty Jom Kippur, płacząc i prosząc o wstawiennictwo u Najwyższego, płakał wraz z nimi, mówiąc: *Jestem tak samo grzeszny jak wy.*

Elimelech z Leżajska w dniu swojej śmierci przywołał do siebie trzech uczniów: Jakuba Icchaka z Lublina, Menachema Mendla z Rymanowa i Izraela z Kozienic. Dotknął swymi dłońmi oczu i dotknął nimi oczu Jakuba Icchaka. Następnie położył swe dłonie na czole Menachema Mendla, natomiast na widok Izraela, ręka jego dotknęła serca.

Rebbe Izrael, zwany również Magidem z Kozienic, zmarł w 1814 roku. Jego łożo, z którego pod koniec swojego życia już nie wstawał, przez wiele lat przechowywane było przez chasydów jako najświętsza relikwia. Łoże to wraz z domem cadyka spaliło się od niemieckiej bomby w 1939 roku.

Wielkim przyjacielem Magi-

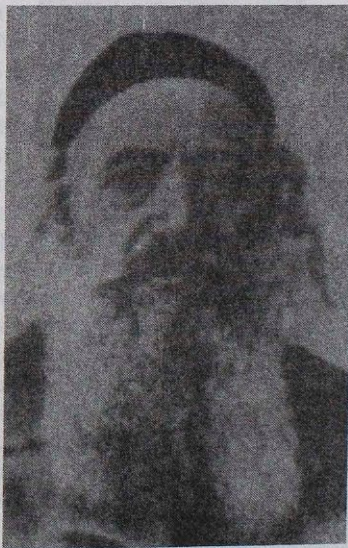
da z Kozienic był Jakub Icchak Horowic, zwany Widzącym z Lublina. Urodził się w 1745 roku w Józefowie nad Wisłą, choć niektóre źródła chasydzkie podają Łuków. Był jedynym cadykiem, któremu wierni nadali tytuł „Widzący” (*Hojze*).

Na czym polegał ten niezwykły dar widzenia? Nie było to jasnowidzenie takie, jak u biblijnych proroków. Widzący nie prorokował, on po prostu widział. Legenda podaje, że już jako dziecko zawiązywał sobie oczy na wiele godzin chustą, ponieważ jego młode serce nie wytrzymało ogromu wrażeń, które postrzegał.

Od najmłodszych lat był buntownikiem, m.in. uciekł od żony, którą wbrew jego woli wyswatał ojciec, i udał się do szkół wielkich ówczesnych cadyków. Rozpoczął naukę na dworze wielkiego Maggida z Międzyrzecza. Następnie pobierał nauki kabały u słynnego mistyka, cadyka Szmelke z Nikolsburga, by osiąść na stałe u reb Elimelecha w Leżajsku.

Jakub Icchak od pierwszych dni pobytu w Leżajsku stał się najbliższym uczniem cadyka. Rabbi Elimelech dzięki swej mocy potrafił ukształtować jego dar widzenia. Jednak w tej umiejętności uczeń przerosł mistrza. Jeden ze starszych chasydów, uczeń zarówno rebbe Elimelecha, jak i Widzącego, powiedział: *Takich oczu jak rabbi z Lublina nie miał nawet, za przeproszeniem, rebbe reb Elimelech.* Jakub Icchak potrafił (z czoła, oczu lub z podanych mu imion na małych karteczkach zwanych kwitelech) odczytać nie tylko rodowód osoby i jej wcześniejsze wcielenia, ale zasługi w tym życiu oraz drogę, jaką powinien obrać, by jak najbardziej zbliżyć się do Wszchemogącego. Widzący mawiał, że nie ma jednej drogi do Boga; ile jest ludzi na świecie, tyle dróg.

Rabbi Icchak uwielbiał radość i szczerść. Na jego dworze chasydzi żyli w takim uniesieniu,



Cadyk ze Strykowa,
potomek Efraima Fiszla

że niemalże zapominali o zniszczonej świątyni i wygnaniu narodu Izraela. Rabbi nie unikał alkoholu i innych używek. Słynna, pojawiająca się w opowiadaniach o nim krótka fajeczka nie znikala mu z rąk.

Widzący nieraz podczas modlitwy miał w zwyczaju zażywanie tabaki. Jakiś gorliwiec spostrzegł to i powiedział: „Przecież nie godzi się przerywać modlitwy”. Pewien wielki król - odparł Jakub Icchak - *szedł kiedyś przez swoją stolicę i usłyszał jak obdarty, stary śpiewak uliczny zawodził pieśń, wtórując sobie na harfie. Pieśń spodobała się królowi, zabrał więc śpiewaka na zamek i słuchał go każdego dnia. Ale że ów nie chciał się rozstać ze swą starą harfą, nieraz zdarzało się, że podczas gry musiał ją ponownie stroić. Pewnego razu jeden z dworzaków zwrócił mu uwagę: „Mógłbyś doprawdy lepiej dbać o swój instrument!”* „Nasz Pan - odparł uliczny śpiewak - *ma pośród swoich chórow i orkiestr całe tłumy lepszych ode mnie muzykantów. Skoro jednak nie znajduje w nich przyjemności, a wybrał mnie i moją harfę, to znaczy, że jest jego wolą, abyśmy oboje, ona i ja, pozostali tacy, jacy jesteśmy.*

Ucztzy, zwane *melawe malka* (hebr. *towarzysząc królowej*), odprawiane były przez chasydów w sobotę wieczór na zakończenie święta szabat. W Lublinie przeciągały się one do świtu. W ten sposób święty szabat trwał tam około ośmiu godzin dłużej. W przedłużeniu szabat rabbi miał też pewien ukryty cel. Wiadomym jest (*Talmud Babiloński, Zohar*), że szabat obejmuje cały świat – ziemski i niebiański, gdyż powiedziane jest: „I ukończył Bóg w siódmym dniu dzieło swoje i odpoczął, dnia siódmego po całym dziele, które uczynił”. Także świat ciemności obejmowany jest przez moc szabat. Złe moce nie mają prawa dostępu do świata realnego, dusze pokutujące mają chwilę odpocznienia. Widzący przedłużał szabat specjalnie, by święta harmonia jak najdłużej panowała nad całym światem. Rabbi nauczał o radości i pokorze w ten sposób: *Zła moc, zły duch kryje się w kłamstwie i smutku. Kiedy grzeszysz, póż-*

niej kłamiesz. Świadomość kłamstwa tkwi w twojej duszy jak drzazga, stajesz się smutny, nie jes-teś w stanie cieszyć się obecnością bożą na ziemi. Tylko na to czeka zła moc, zła część twojej duszy „Jejcer hara” – już jest gotowa wziąć cię całego we władanie.

Wolę człowieka grzesznego, który wie, że jest grzeszny i jest szczery wobec siebie i świata, niż świętego, który wie, że jest święty. Człowiek, który sam przed sobą jest doskonały, nigdy nie zdobędzie się na pokorę wobec drugiego.

Teraz, gdy trochę poznaliśmy postać rabina Jakuba Icchaka, chciałbym opowiedzieć historię, która wstrząsnęła światem chasydzkim i do dzisiaj jest dyskutowana. Gdy rebbe Elimelech wprowadził do swojego nauczania teorię dynastii chasydzkiej, pierwszym, który się temu przeciwstawił, był właśnie Widzący z Lublina. Zjawił się pewnego dnia u Elimelecha i rzekł do niego: „Gmina w Łańcucie chciałaby, bym tam rozpoczął nauczanie.” Elimelech nie zgodził się na to, twierdząc, że dopiero po jego śmierci uczniowie mogą przejąć funkcję nauczycieli. Mimo to Widzący sprzeciwił się mistrzowi i udał się do Łańcuta, by w końcu osiąść na stałe w Lublinie. Przez sześć lat trwał spór między uczniem a mistrzem. Elimelech miał nawet rzucić klątwę na rabiego Icchaka, ale w końcu, za pośrednictwem Dawida z Kozienic, nastąpiło pojednanie.

Od tego miejsca w historii chasydyzmu pojawia się widoczna rysa. Po raz pierwszy uczeń przeciwstawił się swojemu mistrzowi. Czy słusznie, czy nie – do dziś trwają dyskusje. Jednak fakt pozostaje faktem. Jak naucza kabała, każdy nasz krok w życiu, każde słowo, nie pozostaje bez śladu. W kilkadziesiąt lat później, ulubiony uczeń Widzącego, Jakub Icchak z Przysuchy – miał on takie samo imię jak Widzący, dało to później pretekst do wielu mistycznych rozważań nad tym tak niezwykłym przypadkiem – opuścił Lublin wbrew woli swego mistrza, zabierając ze sobą do Przysuchy część jego uczniów. Widzący z Lublina nie był tego typu mistrzem, jak



Mosze Taitelbaum
uczeń Widzącego z Lublina

na przykład Dawid z Lelowa, który leczył żywioły ludzkiej duszy. Był sam kłębowskiem żywiołów. Jego gwałtowny, a jednocześnie głęboko mistyczny charakter często był nie do wytrzymania dla części jego uczniów. Rabbi z Lublina był niecierpliwy, za wszelką cenę chciał za swego życia sprowadzić mesjasza na ziemię. Odprawiał tajemne, kabalistyczne praktyki ze swymi najbliższymi. Jego modlitwa niezwykle żarliwa i ekstatyczna zmuszała uczniów do największego wysiłku.

Widzący z Lublina ganil jednego z uczniów za to, że nieporządnie odmawia modlitwy. Mówił, że je połyka - „Połykam, bo są słodsze od miodu” - odparł uczeń. „Myślisz, że ja nie czuję słodyczy tych słów? A przecież ich nie połykam”. „Wy nie możecie, bo wasza modlitwa to ogień” - odparł chasyd.

Gdy w 1807 roku powstało Księstwo Warszawskie, Napoleon Bonaparte był na ustach całej Europy. Wielce chasydzcy rabini w tym ogromnym historycznym zawirowaniu widzieli szansę na spełnienie swoich mistycznych zamierzeń. Wojna cara Rosji i Napoleona dla wielu kabalistów stała się biblijną wojną Goga i Magoga, po której nastaną czasy mesjańskie. Musimy sobie uzmysłowić, że była to największa wojna w skali Europy, w skali świata, w którym żyli nasi bohaterowie.

Trzech wielkich rabinów i przyjaciół – rebbe Mendel z Rymanowa, Widzący z Lublina i Magid z Kozienic – spotykają się w Kozienicach i tajemnymi praktykami usiłują przekształcić wojny napoleońskie w bitwę Goga i Magoga. Nie udało się im jednak zrealizować swoich zamiarów. Wszyscy oni zmarli w tym samym roku kalendarza żydowskiego – 5575 (1814-1815). Mędrcy nauczają, że moc wyzwolona w niewłaściwym czasie obraca się przeciwko temu, który ją przyzywa. *Czas musi się wypełnić i żaden śmiertelnik nie jest w stanie tego zmienić.*

Widzący z Lublina zmarł śmiercią do dzisiaj nie wyjaśnioną. Tak mówi legenda: Po rozpoczętej, świętej walce z siłami zła, rabbi Jakub Icchak był ciągle przez owe siły niepokojony; spadały talerze ze stołów w jego izbie, nagle zapalały się zasłony w oknach. Jednakże moc rabiego chroniła wszystkie istoty żywe będące pod jego opieką. Pewnej nocy z soboty na niedzielę, po bardzo długich, wspólnych

śpiewach chasydzi posnęli. Zasnęła również żona rabina Bajłkie. Następnego dnia, gdy chasydzi zajrzeli do pokoju rabina, nie znaleźli go tam. Cały dzień trwały poszukiwania, ale dopiero pod wieczór rabbi Lejzor z Chmielnika, uczeń Widzącego, przechodząc pod domem usłyszał cichy szept. Na ziemi leżał rabbi i szeptał modlitwy. Miał bardzo połamane kości, przez dziewięć miesięcy jeszcze chorował, by umrzeć 9 dnia miesiąca Aw 5575 r. Na miesiąc przed śmiercią powiedział swoim uczniom: *Nie będziecie obchodzili rocznicy mojej śmierci tak, jak rocznicy innych świętobliwych. Nie będziecie palić lampek pamiątkowych, pić wódki, śpiewać i tańczyć.*

9 Aw to data dwukrotnego zburzenia i sprofanowania świątyni w Jerozolimie. Jest to w kalendarzu żydowskim dzień absolutnego postu i żałoby.

Na starym cmentarzu żydowskim w Lublinie stoi potężna, poczerniała już macewa, do której przybijają pielgrzymi z całego świata.

Rabbi Jakub Icchak napisał trzy księgi: *Diwre Emed (Słowa prawdy)*, *Zichron Zot (Pamiętać To)* oraz *Zot Zichron (To Pamiętać)*. Oto kilka myśli świętobliwego Jakuba Icchaka z Lublina:

Wszystką materię przenika duch. Duchy wcielone w żywność przechodzą w nas, gdy jemy i trawimy pokarm i łączą się z naszym duchem. Przez modlitwę, studia i dobre uczynki, podnosimy te duchy na wyższe stopnie doskonałości. Ale jeżeli człowiek źle korzysta z sił nabytych jedzeniem i piciem, popętnia grzech i obraża swego Stwórcę, i to zarówno postę-



Rabbi Ischar ben Awigdor, uczeń Chaima z Sącza.

powaniem, jak i myślami. Nie tylko nie podnosi duchów, które weszły w niego, lecz wciąga je do grzechu, tak że upadają wraz z nim.

Ciało każdego człowieka zawiera w sobie wszelkie środki uzdrawiające, ale lekarze o tym nie wiedzą. Pycha zgrubia ducha ludzkiego, a prostackiego, nieokrzesanego ducha światło nie przenika dobrze i nie łączy odpowiednio delikatnych substancji, koniecznych dla zdrowia a zawartych w ciele.

Rabbi Jakub Icchak, ten, który, sprzeciwił się Widzącemu, zwany Jehudim, syn rabiego Aszera Rabinowicza, urodził się w Przedborzu (niektóre źródła podają Grodzisk) w roku 1765. Otrzymał od ludu przydomek Jehudi ha kodesz, czyli „święty Żyd”. Skąd wziął się ten przydomek? Jest na ten temat kilka opowieści. Przytoczę tutaj dwie.

Rabbi Jakub miał w zwyczaju ubierać się w strój handlarza i udawał się w podróże po okolicznych jarmarkach poszukując proroka Eliasza. Pewnego dnia na rynku dojrzał starca, który bacznie mu się przyglądał. Kiedy Jehudi podszedł do niego, ów rzekł: „Czego chcesz ode mnie Żydzie?” (w jęz. hebr. żyd=jehudi).



Chasydzi w Jerozolimie około 1950 roku

Gdy przybył do Lublina za pierwszym razem, wraz ze swym mistrzem Dawidem z Lelowa, pojawił się podczas spotkania z Widzącym człowiek ubrany w chłopskie szaty. Podszedł do Jehudiego, który był niezwykle potężnej postury i rzekł do niego po polsku: „Oto mi ŻYD!” Od tej pory nie mówiono inaczej na Jakuba Icchaka jak tylko Jehudi.

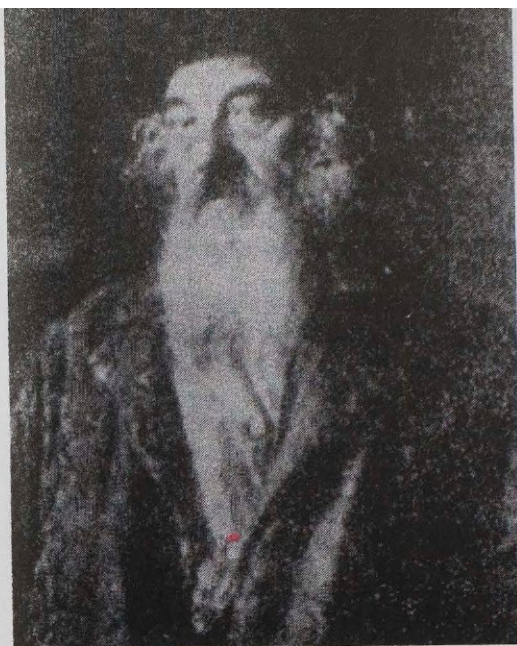
Rabbi Jehudi ha kodesz ożenił się z córką bogatego kupca zbożowego z Opatowa, i tam na uczelni opatowskiego cadyka rozpoczął swoje studia. Po krótkim czasie opuścił Opatów by udać się do Lelowa, do rabina Dawida. Lelower widział w Jehudim olbrzymie możliwości. Widząc, że sam już nie jest w stanie nic nowego przekazać mu, przywiózł go do swego przyjaciela i nauczyciela, Widzącego z Lublina. Jehudi pozostał na dworze lubelskim, gdzie został najlepszym z uczniów cadyka.

Po pewnym czasie okazało się, że relacja uczeń - nauczyciel została zachwiana ponownie, tak jak w Leżajsku. Nie było już ucznia i mistrza; były dwie wielkie osobowości, które mimo wzajemnego szacunku i miłości, nie mogły ze sobą współistnieć. Lubelski cadyk miał dla Jakuba Icchaka miejsce w swym planie „Przyspieszenia Końca”. Jego uczeń nie lubił i nie chciał oddziaływać świadomie na wszechświat, na istniejący porządek rzeczy. Rozwiązanie widział raczej w powolnej, lecz konsekwentnej pracy – poprzez studia i modlitwy. Bardziej ocenił konkretny, konsekwentny wysiłek niż chwilę uniesienia, mimo że sam zachował wiele cech ekstazy.

W Przysusze słynny był z niezwykle mistycznego i medytacyjnego podejścia do modlitwy. Wzorem Lublinera nie stronił także od wszelakich używek. Jego odejście z Lublina było niezwykle burzliwe, ale zawsze powtarzał, że najwięcej nauczył się od Widzącego.

Razem z Jehudim od Widzącego odeszli późniejsi wielcy rabini: Simche Bunam, Menachem Mendel z Kocka, Isachar Dov Ber z Radoszyc. Natomiast po śmierci mistrza, Szalom z Belza oraz Chaim z Sącza założyli własne dynastie.

W tym czasie nastąpiło pewne rozdwojenie w ruchu chasydzkim. Oprócz tak istotnych i niezwykłych miejsc jak Leżajsk, Lublin i Przysucha, w wielu miastach Polski pojawiają się cadykowie, których umie-



Menachem Achstein, syn rabiego z Dzikowa

jętności przywódcze oraz wiedza pozostawiają wiele do życzenia. Niektórzy z nich własne braki usiłują pokrywać pseudomagią, mnożą się uzdrowiciele wypędzający dybuki ect. Nowo powstałe szkoły zaczynają rywalizować ze sobą o zwolenników. Wykształciła się instytucja posłańców, którzy wędrowali po okolicznych miastach i wręcz werbowali uczniów dla swojego cadyka. Wiązało się to niewątpliwie z „pidjon”, czyli wykupnym (datkami ofiarowywanymi przez wiernych dla swojego mistrza). Wielu wątpliwych cadyków wykorzystywało dla prywatnych celów ten stary chasydzki zwyczaj. Rywalizacja pomiędzy dworami chasydzkimi osiągała czasami takie rozmiary, że przypatrujący się z boku dostrzegał tylko kłócących się w całym kraju zwolenników różnych cadyków. Prawdziwi mistrzowie, tacy jak Cwi Hirsch z Żydaczowa, uczeń Widzącego, nauczali:

Są tacy chasydzi, co jeżdżą do swojego rabina i mówią, że nie ma na świecie innego rebbego poza ich rabbim. To batwochwalstwo. Jak więc należy mówić? Należy mówić: „Każdy rabbi jest dobry dla swoich uczniów, ale nasz rabbi jest dla naszych spraw najlepszy.” Niestety, nauki te nie znajdowały należytego posłuchu.

W owym czasie ruch, który narodził się trochę później niż chasydyzm, zwany Haskalą, czyli oświe-

SIMCHE KELLER - SKOWROŃSKI

eniem, był już potężny i wpływowy. Należeli do niego najbogatsi przedstawiciele żydowskiej społeczności, m.in. bankierzy, lekarze, przemysłowcy. Dla tej grupy chasydyzm był odrażający. W gazetach postępowych nazywano ich azjatami. Oczywiście było to, że stale powiększający się obszar wpływów dworów chasydzkich stawał się przeszkodą w planach „ucywilizowania Żydów”. Zwolennicy Haskali stali listy z oskarżeniami do religijnych władz żydowskich, ale głównie do władz rosyjskich, oskarżając chasydów o wsteczność, zbyt mały szacunek do władz rosyjskich, magię ect. Powołana specjalna komisja po rozmowach z największymi ze współczesnych cadyków, m. in. z następcą Jehudiego z Przysucha, rabinem Simche Bunamem, orzekła, co następuje:

Nie masz prawdziwej i istotnej różnicy na gruncie wiary między chasydami a zwyczajnymi Żydami. Grupa ta, bardziej kontemplacyjna, potrzebuje czterech lub więcej godzin co dzień, żeby wznosić się do niebios, gdy inni Żydzi od pół do jednej godziny tylko potrzebują. Ma więcej niż zwyczajni Żydzi uniesień mistycznych i oporu do utrzymania wszelkich zasad przeciwnych cywilizowanym towarzystw europejskich. Mają więcej przywiązania do mistyki i kabalistyki. Nie mają rabinów stałych i żadnego w tej mierze obowiązku, lecz zaufanie pokładają w pewnych obranych sobie naczelnikach, o których świętobliwości i bogobojności są przekonani. Chasydzi sami przyznają, że do ich nabożeństw nie są konieczne tańce, krzyki, napoje i nocne schadzki, że może to być potraktowane jako nadużycie i przez rząd być zakazane. Opinią więc deputacji jest: prześladować ich bynajmniej nie ma potrzeby, ani też aby rząd wydawał jakieś postanowienia zatwierdzające ich wyznanie, owszem, aby zachował zupełną w tej mierze obojętność. Może im być zostawiona tak jak dotąd, wolność chwaleń Boga, lecz z tym warunkiem, aby polecone było wszelkim władzom miejscowym czuwanie iżby żadne krzyki, hałas, pijaństwo i schadzki nocne miejsca nie miały.

Szkoła w Przysusze i późniejsi jej kontynuatorzy całą swą mocą dążyli do ulepszenia życia chasydzkiego. Gdy rebbe Jehudi da kodesz zmarł w 1814 roku, pojawiła się legenda:

Widzący z Lublina stwierdził, że tylko Jehudi jest godnym wysłannikiem do niebios. Potraktował to jako ostatnią szansę, chciał spróbować przebłągać niebo, niemal nakłonić do przyspieszenia czasów mesjańskich. Jehudi zgodził się bez wahania pełnić tę rolę. Odszedł. W rok po nim powędrował za nim jego mistrz.

Rabbi Simche Bunam, który przejął miejsce Jehudiego w Przysusze, doprowadził do pełnego ukształtowania tamtej szkoły. Urodził się w 1765 roku w Wodzisławiu. Był synem rabiego Cwi, Magida z Wodzisławia. Studiował w tradycyjnych jesziwach w Niemczech i Austrii, by ukończyć studia farmaceutyczne w Gdańsku. Przez pewien czas prowadził nawet aptekę. Był człowiekiem wszechstronnie wykształconym, znał filozofię, medycynę, kilka języków obcych, m.in. niemiecki, francuski, angielski. Pomimo że prowadził raczej życie człowieka postępowego, co jakiś czas odwiedzał Magida z Kozienic oraz Widzącego z Lublina. W późniejszych czasach mawiał, że nigdy nie potępi tego, który zszedł na „złą drogę”. *Widziałem jakie pokusy oferuje człowiekowi współczesny świat.*

Simche Bunam mieszkając w Gdańsku i Warszawie poznał dobrze środowisko tak zwanych „postępowców”. Dostrzegł, że „poprawa życia Żydów” prowadzi do kompletnego zatracenia tożsamości żydowskiej. Dzieci i wnuki znanych działaczy oświecenia, przedstawicieli rodów Mendelshonów, Bergsonów, Natansonów, Teplitztów – przyjmowały wiarę chrześcijańską. A nawet gdy do tego nie dochodziło, wstydzili się swej narodowości, co dla Polaków było jeszcze bardziej śmieszne niż wszystkie dziwactwa chasydów, których nie rozumieli.

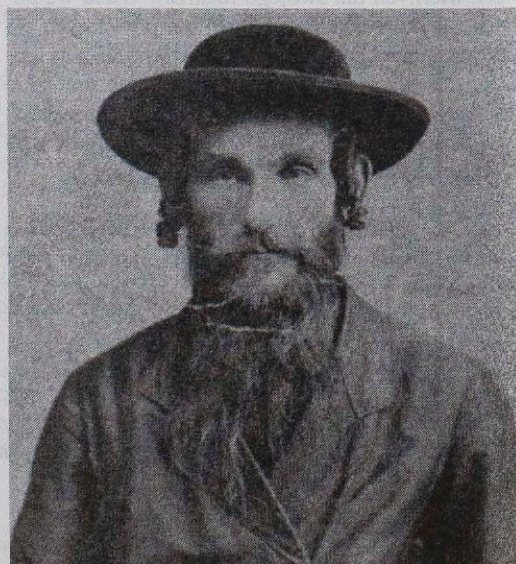
Simche Bunam uspokoił na jakiś czas atmosferę w świecie chasydzkim. Martin Buber powiedział: *Jehudi był bliski tajemnicy, natomiast mądry Buber był jej znawcą.* W okresie panowania w Przysusze Bunama dominowała atmosfera intensywnej nauki. Troszkę przypominało to system Szneura Zalmana, z tą jedną różnicą, że w Przysusze nauce i studiom zawsze towarzyszyła radość i chasydzka ekstaza. Rabbi Simche Bunam nie przykładał już tej wagi do intensywności modłów; całą moc i sens zawarł w nauce. Jego wykłady, niezwykle klarowne i jasne, nie opie-

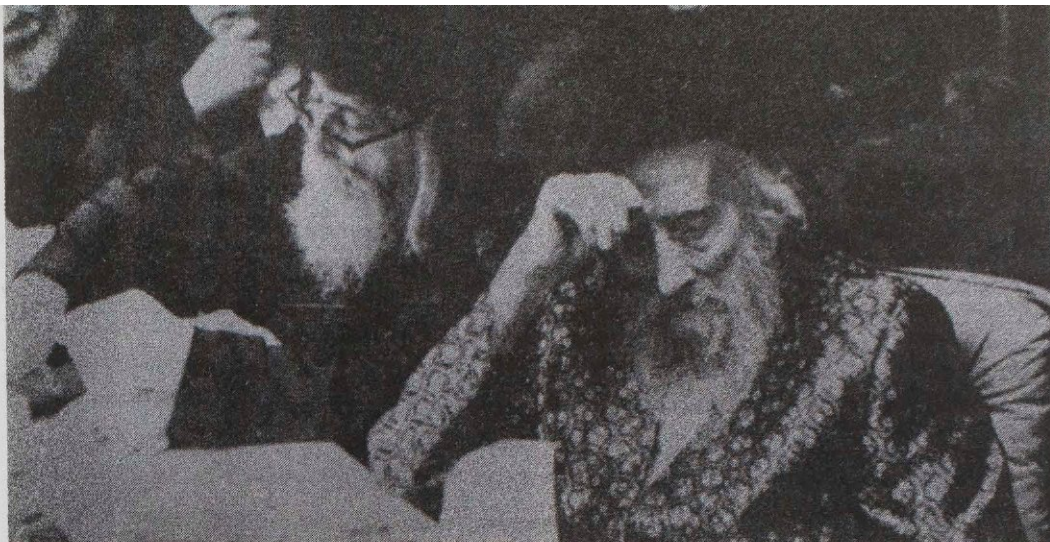
rały się tylko na chasydzkiej mądrości. Był wybitnym znawcą przedstawicieli filozofii żydowskiej, takich jak Majmonides, Mosze ibn Gabirol czy Jehuda Halewi.

W okresie powstawania setek dworów chasydzkich, Jehudi twierdził, że to szatan tworzy fałszywych chasydów i rozpoczął z tym zjawiskiem niezwykle żarliwą walkę. Natomiast Simche Bunam przyjął zgoła inną taktykę. *Napisano w Talmudzie, że człowiek, który udaje kulawego lub ułomnego, będzie pokarany za to bezbożne szachrajstwo. Skończy się tak, że będzie naprawdę kulawy albo okaleczony. Reb Simche Bunam wydedukował z tego, że tak samo będzie z kimś, kto robi z siebie chasyda, chociaż nim nie jest. Skończy się na tym, że zostanie prawdziwym chasydem. Jakby za karę.*

Rebe Bunam jeszcze dalej niż jego mistrz Jehudi, oddalił się od atmosfery szkół z Kozienic czy Lublina. Pomimo że Bunam zawsze twierdził, że jest w dziedzinie nauki zwolennikiem szkoły lubelskiej, to zdecydowanie potępiał i krytykował rozpętanie magicznych praktyk, nadużywanie kabalistycznych reguł w codziennym życiu. Był również przeciwnikiem modlitwy ekstazy. Nie chciał, a może nie potrafił, zrozumieć dziwnych zachowań cadyków starszego pokolenia, którzy przy modlitwie skakali.

Rabbi Nachman Jechoszna z Krościenka





Rabbi Mosze Icchak Gewirtzman, uczeń cadyka z Sieniawy

wymachiwali rękoma i rozpoczynali całogodzinne tańce, a pojawiają się te elementy zachowań już u Baal Szem Towa.

Jedyną rzeczą, która przetrwała w naukach rabiego Bunama w zakresie modlitw, była absolutna rezygnacja z odmawiania ich o stałych, ustalonych w *Talmudzie* porach. Rabbi mawiał: *Dusza musi być przygotowana do uniesienia ku górze*. Uczeń Simche Bunama, rabbi Mendel z Kocka, dodawał: *W Kocku mieszkają ludzie, a nie zegary*.

Rabbi Simche Bunam napisał komentarz do *Tory* pt. *Kol Simcha*. Tłumaczyć ten tytuł można dwojako: słowo „kol” oznacza „głos”, natomiast Simcha jest imieniem rabiego, ale jednocześnie oznacza „radość” – głos Simchy, głos radości.

Rabbi Bunam nauczał: *Nasi mędrcy powiadają: „Szukaj pokoju w sobie”. Tylko w sobie i nigdzie indziej można odnaleźć pokój. W psalmie powiedziano: „Nie ma pokoju w moich kościach na skutek mego grzechu”. Dopiero kiedy człowiek ustanowi pokój w sobie, może go stanowić na świecie*.

Rabbi z Przysuchy zmarł w 1827 roku, a jego syn, Abraham Mosze, w dwa lata po nim. Przysucha jako ośrodek chasydzki straciła swoje znaczenie. Spuściznę po mistrzu przejęło dwóch głównych jego uczniów: Icchak z Warki i Menachem z Kocka.

Rabbi Menachem Mendel urodził się w 1787 roku w Biłgoraju, gdzie jego ojciec Jehuda Lejbusz Halpern dzierżył urząd rabina. Wedle legendy już od trzeciego roku życia Menachem Mendel nie zwracał

się z żadnymi prośbami do ojca i matki. Gdy czegoś potrzebował, prosił: *Panie Boże, daj mi coś do jedzenia*. I Bóg wysyłał anioła pod postacią matki lub taty. W wieku dojrzałym wyruszał do Lublina i Przysuchy. Z niewiadomych przyczyn zmienia swoje rodowe nazwisko Halpern na Morgenstern. Był człowiekiem trochę podobnym do Lublinera – dumny, buntowniczy, nie oszczędzał złośliwych uwag co gnuśniejszym rezydentom. Rabbi Menachem Mendel na pewno zasługiwał na miano kontynuatora szkoły w Przysusze, zwłaszcza zaś w szaleńczym wręcz dążeniu do oczyszczenia życia chasydzkiego. Działalność rabina z Kocka wykraczała poza wszelkie wcześniej znane zwyczaje. Rabbi Mendel zawsze wierzył, że będzie w stanie „podnieść to, co tak nisko upadło”, czyli życie duchowe chasydzkich wspólnot, czyste wielbienie prawdy i nauki. Jego plany i zamierzenia znacznie wykraczały poza jego uczelnię. Ingerował w sprawy innych dworów, innych wspólnot, przez co coraz bardziej stawał się nie lubiany, a różnica między jego szkołą a większością rozwijających się w tym czasie szkół w Polsce stale się powiększała. Różnice te ilustrują następujące przypowieści:

Pewien chasyd z Kocka rozmawiał z chasydem z Czarnobyla o zwyczajach panujących w ich wspólnotach. Chasyd czarnobyliński powiedział: „Czuwamy każdej nocy z czwartku na piątek, w piątek rozdajemy jałmużnę według stanu naszego sumienia, a w szabat odmawiamy cały psalterz”. „My - odpart

chasyd z Kocka - czuwamy przez wszystkie noce, jak długo starczy nam siła, dajemy jałmużnę, kiedy spotkamy biedaka i mamy w kieszeni pieniądze, a psalmów nad którymi Dawid w pocie czoła ślęczał siedemdziesiąt lat, nie klepiemy po kolei, lecz odmawiamy je zgodnie z potrzebą chwili."

Rebbe Mendel powiedział kiedyś o sobie: gdybym zechciał, ze wszystkich ludzi zrobiłbym chasydów, ale nie byłoby to porządane. Jedną nogą stoję w niebie, drugą w najgłębszych otchłaniach piekieł. Niech wam się nie zdaje, że to takie łatwe.

Rabbi z Kocka, gdy spostrzegł, że jego usiłowania naprawy ruchu chasydzkiego rozbudzają wręcz odwrotne reakcje, skoncentrował się tylko na swoich uczniach. Spodziewał się, że każdy spośród nich „będzie spoglądał wprost w niebo” i stanie się takim samym człowiekiem jak Beszt. Uważał się za „szabat, za zakończenie i uwieńczenie tygodnia; cyklu, w którym miało się dopełnić dzieło zapoczątkowane przez Beszta”. Wizja ta szybko się rozwiła, harmonia pomiędzy mistrzem, jego kilkoma uczniami a wspólnotą – legła w gruzach. W nie przestrzeganiu przepisowych godzin modlitw Kock pokonał nawet Przysuchę. Zdarzało się nawet, że modlitwy poranne odmawiano tuż przed zachodem słońca. Nabożeństwa przebiegały szybko; zarzucano rabbiemu, że za niedbuję kontakt ze wspólnotą, przyzwyczajoną do wspólniej wzniesłej modlitwy. Cóż, w Kocku tylko nieliczni mogli znaleźć swoje miejsce.

Ruch chasydzki pomimo wysiłków wielu nauczycieli w dużej swojej części był w stadium takiego upadku, że tak wrażliwy nauczyciel jak rabbi z Kocka nie był w stanie tego unieść.

Okolo 1840 roku nastąpiło załamanie. Pewnego szabat rabbi Mendel nawet nie pobłogosławił wina szabatowego ani chleba, zamknął się w swej izbie umieszczonej w wieżycze domu i pozostał tam w osamotnieniu przez ostatnie dwadzieścia lat swego życia. Sporadycznie ukazywał się w progu swojej izby, by w ostrych słowach nauczać i karcić swoich zwolenników. Dzisiaj można w Kocku zobaczyć dom rabiego z charakterystyczną narożną wieżyczką.

Tragiczne losy Menachema Mendla z Kocka nie oznaczały upadku ruchu chasydzkiego. Jego uczni-

wie oraz wybitni uczniowie innych dynastii nakierowali chasydyzm na nowe tory. Można powiedzieć, że w tym miejscu naszej historii, od powstania takich dynastii, jak Góra Kalwaria, Aleksandrów, Sączęct., rozpoczął się okres współczesnego chasydyzmu, który pomimo dwóch wojen światowych – przetrwał. Wprawdzie już nie tutaj, nie w Polsce, ale w Izraelu i Stanach Zjednoczonych.

ŚRODOWISKA

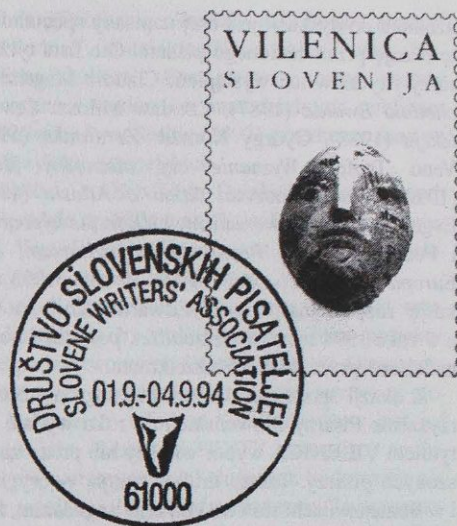
VILENICA

MIĘDZYNARODOWE
SPOTKANIE PISARZY

Stowarzyszenie Pisarzy Słoweńskich w 1986 roku ustanowiło i po raz pierwszy przyznało międzynarodową środkowoeuropejską nagrodę literacką VILENICA, organizując z tej okazji trzydniowe spotkanie pisarzy, eseistów, redaktorów literackich oraz wydawców z Europy Środkowej.

Spotkanie to i nagroda zawdzięczają swoją nazwę grocie Vilenica na Krasie, w której – w ostatni dzień debat oraz wystąpień literackich w Lublanie, Trieście, Sezanie oraz w średniowiecznym miasteczku Stanjel na Krasie – uroczyście wręcza się nagrodę.

W paragrafie drugim statutu VILENICA stwierdza się, że „Stowarzyszenie Pisarzy Słoweńskich przyznaje nagrodę za wyjątkowe osiągnięcia w poezji, prozie, dramacie czy eseistyce, powstające



w środkowoeuropejskiej przestrzeni kulturalnej i które szczególnie przekonująco wyrażają ludzkie i kulturalne doświadczenia narodów od Bałtyku do Adriatyku, od Berna do Belgradu. Przestrzeń tę wyznaczają nie tylko parametry geograficzne, co duch doświadczenia artystycznego, który możliwy jest dzięki tolerancji, nieagresywności, wyrozumiałości, pluralizmowi, czyli integracyjnej zasadzie różnorodności, a jego życiowa siła twórcza wyraża się i formuje w szczególnie znaczących dziełach twórców z wymienionego obszaru.” Przewodniczącym jury Stowarzyszenia Pisarzy Słoweńskich jest Venko Taufer, a w jego pracy pomagają mu liczni konsultanci z innych państw (Austrii, Włoch, Węgier, Chorwacji, Szwajcarii, Niemiec, Czech, Polski, Słowacji, Litwy).

Nagrodę VILENICA otrzymali: Fulvio Tomizza, Peter Handke, Péter Esterhazy, Jan Skácel, Tomas Venclova, Zbigniew Herbert, Milan Kundera, Libuše Monikova i Josip Osti.

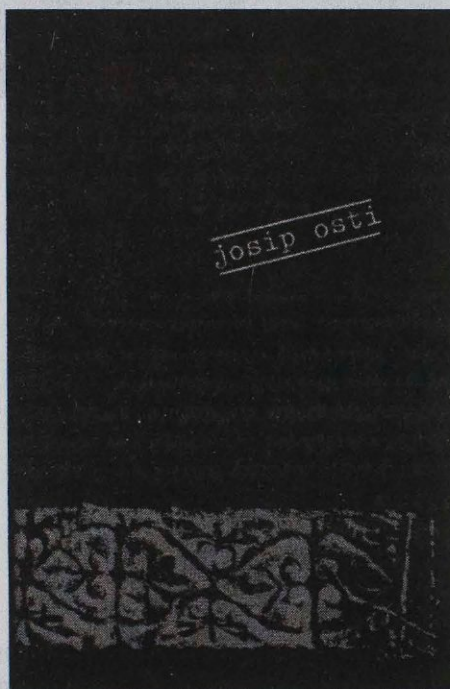
Ważną częścią tego międzynarodowego spotkania jest dyskusja na wybrany temat, znaczący dla środkowoeuropejskiej przestrzeni duchowej. Wprowa-

dzeniem do dyskusji jest esej napisany specjalnie na tę okazję przez cenionego pisarza. Oto lista tych pisarzy i tytułów ich wystąpień: Claudio Magris: *Pochodnia Ewalda* (1987), Czesław Miłosz: *Czwarta lekcja* (1988), György Konrád: *Ze środka* (1989), Veno Taufer: *Wyznanie czy nieznośny kłopot* (1990), Vlado Gotovac: *Szkie o Atlasie* (1991), Evgen Bawcar: *Uniwersalizmy i ich facies hypocritica* i Péter Esterhazy: *Postmoderny barbaryzm, czyli Europa bez właściwości* (1992). W roku 1993 dyskusję rozpoczynał wiersz Edwarda Kocbeka *Kij*, a w roku 1994 tekst *Intelektualiści, polityka i wojna*, nadesłany przez Alaina Finkielkrauta.

Z okazji spotkania i wręczenia nagrody, Stowarzyszenie Pisarzy Słoweńskich co roku wydaje pod tytułem VILENICA wybór wierszy lub prozy zaproszonych pisarzy. Teksty drukowane są w oryginale i w tłumaczeniach: słoweńskim oraz angielskim, francuskim lub niemieckim.

Co roku też podczas spotkania, spośród uczestników wybierane jest *ad hoc* międzynarodowe jury literackie, które za najlepszy tekst wydrukowany w tym zbiorowym tomie przyznaje nagrodę KRYSZTAŁ VILENICY. Otrzymali ją: Gregor Strnisa, Ewa Lipska, Dubravka Ugresić, Aleš Debeljak, Lajos Grendel, Endre Kukorelly i Francesco Micieli.

Zasadniczym celem projektu VILENICA jest zbliżanie środkowoeuropejskich literatur.



WITRYNA

JOSIP OSTI: *Sarajevska knjiga mrtvih* (*Sarajewska księga zmarłych*). Ljubljana 1993.

Tom sarajewskiego poety, który w dużej mierze zdecydował o przyznaniu autorowi w roku 1994 środkowoeuropejskiej nagrody literackiej VILENICA. „Księga zmarłych - księga życia”, „oczy suche od grozy a ręka pisze, przemagając sama siebie” — pisali o tej książce krytycy. Tomas Šalamun stwierdził, że jest to współczesna *Hгада*.

Josip Osti urodził się w Sarajewie w 1945 roku. Był znakomitym lekkoatletą, rekordzistą w biegach sprinterskich. Jako poeta zadebiutował w roku 1971 tomem *Snokradica*. Jest także autorem esejów i antologii poetyckich, redaktorem pism literackich i wydawcą. Mieszka w Słowenii.

BELGRAD — INNA SERBIA

„KRAĞ BELGRADZKI”

„KRAĞ BELGRADZKI” to niewątpliwie jedna z najważniejszych inicjatyw, której celem jest przeciwstawienie się ideologii wojny, nienawiści i wyższości jednych narodów czy religii wobec innych na obszarze byłej Jugosławii.

Jako Stowarzyszenie Niezależnych Intelktualistów, „Krağ Belgradzki” rozpoczął swoją działalność w styczniu 1992 roku. Jego przewodniczącym został Radomir Konstantinović – filozof i pisarz, a wiceprzewodniczącymi Ivan Čolović – eseista i wydawca, Filip David – pisarz oraz filozof Miladin Zivotić. Jego członkowie spotykają się każdej soboty, aby poprzez otwartą, publiczną debatę przeciwstawić się totalitarnym ideologiom, nienawistnej propagandzie, agresywnemu nacjonalizmowi i etnocentryzmowi. Walczą o demokrację, o społeczeństwo obywatelskie i pluralistyczne; bronią swobody wypowiedzi i niezależności twórczej. Bronią praw każdej mniejszości. „Krağ Belgradzki” liczy ponad czterystu pięćdziesięciu członków z krajów byłej Jugosławii, a także z Europy i Ameryki. Swoje debaty organizują także poza Belgradem, w innych miastach Serbii i Czarnogóry (m.in. w Nowym Sadzie, Suboticy, Podgoricy,

Kraljevie). Spotkania określały następujące tematy: „Inna Serbia”, „Intelktualiści i wojna” oraz „Nacjonalizm i kultura”. Dwa pierwsze tematy zostały opracowane i wydane w samodzielnych publikacjach. Książkę *Inna Serbia* (1992) przetłumaczono na wiele języków europejskich.

Wspólnie z Ośrodkiem Działań Antywojennych w Belgradzie opublikowano książkę w języku angielskim *Yugoslavia: collapse, war, crimes* (*Jugostawia: upadek, wojna, zbrodnia*).

„Krağ Belgradzki”, oprócz organizowania spotkań dyskusyjnych, realizuje także inne projekty. W Belgradzie tworzy się Ośrodek Kultury Alternatywnej promujący twórczość niezależną i zwrócony głównie ku ludziom młodym. Zaawansowany jest już także projekt „Biblioteki TEXT”, polegający na tłumaczeniu wybitnych dzieł służących budowaniu mostu pomiędzy Jugosławią a światem. Są przygotowane do wydania książki takich autorów, jak: Richard Rorty, Jacques Derrida, Alain Finkielkraut, Emil Cioran, Jurgen Habermas.

Publikowane są także książki w serii pod nazwą „Krağ”, autorów związanych z „Kreğiem Belgradzkim”, m.in.: Bogdana Bogdanovića: *Grad i smrt* (*Miasto i śmierć*), Ranko Bugarskiego: *Jezik od mira do rata* (*Język od pokoju do wojny*) oraz Filipa Davida: *Fragments iz mračnih vremena* (*Fragmenty z mrocznych czasów*).

Kolejnym projektem wydawniczym jest kwartalnik „Beogradski krug”, którego redaktorami zostali: profesor socjologii Uniwersytetu Belgradzkiego, Obrad Savić oraz filozof orientalista, Mirko Gaspari. W gronie doradców redakcji kwartalnika znaleźli się m.in.: Noam Chomsky, Hans Magnus Enzensberger, Adam Michnik, Richard Rorty i Susan Sontag.

Działalność „Kreğu Belgradzkiego” dowodzi, że kultura w Jugosławii to nie tylko „turbo-folk” o silnym zabarwieniu nacjonalistycznym, który zdominował państwowe media, ale że toczy się w niej bogate życie intelektualne, że absurdalnym jest wprowadzanie swoistego rodzaju „embarga kulturalnego” czy „naukowego” wobec kraju, który bardzo potrzebuje otwarcia i udziału w życiu społeczności europejskiej – a o udział ten potrafi walczyć.

K. Cz.

WITRYNA

Ranko BUGARSKI: *Jezik od mira do rata (Język od pokoju do wojny)*. Belgrad 1994.

Ranko Bugarski (ur. 1933), lingwista, profesor Uniwersytetu Belgradzkiego, jest autorem już kilku książek o języku (*Jezik i lingvistika*, 1972; *Lingvistika o čoveku*, 1975; *Jezik o društvu*, 1986; *Jezici*, 1993).

Książka, która ukazała się w Bibliotece „KRUG”, jest zbiorem artykułów publikowanych przez autora w prasie w latach 1986–1993. Język w analizach Bugarskiego jest znakomitym zwierciadłem tego, co wydarzyło się w byłej Jugosławii w ostatnich latach. Bezlitośnie obnaża stopniową degradację wartości, narastanie totalitarnej ideologii. To nie tylko dawna Jugosławia rozpadła się, rozpadł się także język serbsko-chorwacki. Okazało się, że istnieje narodowy język serbski i zupełnie odmienny narodowy język chorwacki. Autor po mistrzowsku analizuje to, co narodowe i co jugosłowiańskie w języku, spór cyrylicy i „latinicy”, proces podporządkowywania języka opcjom skrajnie nacjonalistycznym aż po stworzenie języka wojny.

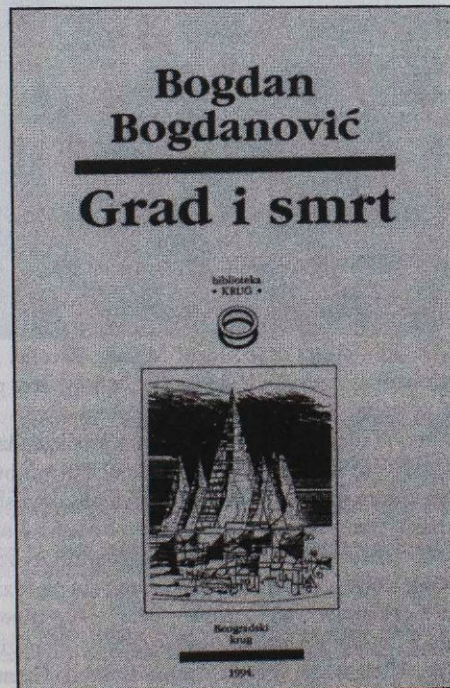


WITRYNA

Bogdan BOGDANOVIĆ: *Grad i smrt (Miasto i śmierć)*. Belgrad 1994.

O tej książce wydanej w Bibliotece „KRUG” głośno jest już dzięki wcześniejszym wydaniom niemieckim i francuskim. Jej autorem jest światowej sławy architekt belgradzki, znany jako twórca pomników pamięci ofiar faszyzmu, a także jako świetny pisarz i eseista. W ostatnich latach wslawił się także swoją nieprzejednaną, krytyczną postawą wobec polityki rządów Miloševića.

Najbardziej wstrząsającym symbolem tragedii na Bałkanach, tragedii całej cywilizacji europejskiej, jest zabijanie miast: Vucovar, Dubrownik, Osijek, Sarajewo, Mostar... O tym mówi Bogdanović w swoich krótkich, świetnie napisanych esejach, sięgających do najgłębszych tradycji kultury europejskiej. *Dla miasta i przeciwko miastu, Rytuał zabijania miasta, Nowa Aleksandria i Stary Babilon, Semiologia destrukcji i znaki nadziei* — oto tytuły tych esejów, z których coraz wyraźniej brzmi ostrzeżenie nie tylko dla mieszkańców byłej Jugosławii.



RADIO B 92 – OTWARTYM GŁOSEM

„Trójka”, „Wolne radio”, „Radio komunalne”, niezależne radio... to jedynie niektóre z nazw nadawanych w różnych językach europejskich formie stacji i programu radiowego, nie mieszczącej się w istniejącym podziale stacji radiowych na sektor publiczny i państwowy (obejmujący stacje o zasięgu ogólnokrajowym i lokalnym) oraz sektor komercyjny. Radio B92 wybrało dla siebie określenie radia miejskiego, usiłując wykazać różnicę między nim, a stacjami komercyjnymi i lokalnymi, których programy, poprzez tradycyjność form, orientację tematyczną oraz sposób zarządzania i organizacji są skierowane bardziej do społeczności wiejskiej i „nowomiej-skiej” niż do mieszkańców miast. Można to oczywiście zaobserwować bezpośrednio na przykładzie programów muzycznych, najlepiej wskazujących na fakt, że dana stacja radiowa jest skierowana na konkretny model kulturowy, ale również na przykładzie wszystkich innych środków ekspresji programu radiowego: mowy, wykorzystania dźwięku, hałasu, a nawet ciszy (której panicznie unikają lokalne stacje radiowe, co prowadzi zwykle do nie-

kończących się historii...). Można to także zauważyć w oparciu o audycje, których rodzaj czy gatunek nie daje się właściwie zmierzyć powszechnymi miarami i standardami. Odmienność jest tą cechą Radia B92, która zwykle przyciąga różne grupy słuchaczy o różnych porach dnia.

Słuchaczami Radia są przede wszystkim mieszkańcy Belgradu, związani z tym miastem długo, reprezentujący różne pokolenia, mający wyższe wykształcenie (lub będący w trakcie zdobywania tego wykształcenia), o orientacji nonkonformistycznej.

B92 zaczęło działalność jako program dla młodzieży (15 maja 1989 roku, posiadając licencję na nadawanie audycji do 31 grudnia 1991 roku), w wyniku decyzji administracyjnej dotyczącej połączenia programów młodzieżowych nadawanych przez Studio B (program Ritam Srca <<Rytm Serca>>) oraz Belgrad 202 (Indeks 202). Decyzja polityczna dotycząca utworzenia B92 miała na celu kontrolę polityczną, jak również ogólną kontrolę programową. Powołana została Rada, której członkami zostali liczni przedstawiciele forum społeczno-politycznych, organizacji studenckich i komitetu związku młodzieży socjalistycznej.

Audycje w alternatywnej formie

W tym czasie w programie nadawano audycje o charakterze muzycznym i rozrywkowym - ze słuchaczami prowadzono zabawy, które wcześniej były nie do pomyslenia na falach radiowych:

- żywa pantomima;
- co by się stało, gdybym był np. jednym z Beatlesów;
- zabawa w manifesty (słuchacze prezentowali na antenie swoje manifesty: skinheadów, mieszkańców wsi).

Przygotowano też liczne programy kontaktowe:

- program „soft porno” - „gorąca linia”; pisanie powieści erotycznej przy współpracy ze słuchaczami;

- na literę... na literę...

„Na literę... na literę” jest typowym programem kontaktowym Radia, którego jakość i wpływ zmieniały się w każdej audycji, w zależności od inspiracji

zarówno prowadzącego, jak i słuchaczy.

„Na literę... na literę D (Disc jockey)” — słuchacze nadawali na antenie swoje ulubione piosenki.

„Na literę... na literę O (Otisli iz Beograda «Odeszli z Belgradu»)” — słuchacze wypowiadali się o swoich przyjaciółach, którzy wyjechali z Belgradu (program nadawany w kwietniu 1992 r.).

Było jednak kilka audycji nie mających bezpośredniego związku z literą:

„Na literę... na literę T” — odsłuchiowano wiadomości z automatycznych sekretarek mieszkańców Belgradu, jak również wiadomości państwowej firmy telekomunikacyjnej. Omawiana seria została zakończona programem „Na literę... na literę K (Kraj «Koniec»), w którym prowadzący powiedział: „ten program już dłużej nie będzie wam służył do zwalczania waszych frustracji...”

Programy kontaktowe budziły zachwyt, lecz również protesty, szczególnie starszego pokolenia. Młodzież wykorzystywała je do tego, by się zareklamować, zarówno w szerszych kręgach publiczności, grając swoje utwory, jak i w mniejszym kręgu przyjaciół, słuchając ich opinii, przekonań, czytając swoją własną poezję, itp.

Brutalne Radio

Najważniejszym programem kontaktowym Radia B92 był „Sismis” („Balanga”). Prowadzący ten program Miromir Grujić Fleka (Plama) jako pierwszy stał się obiektem kultu, wskazując na odmienność tego radia w porównaniu z innymi oraz na jego subkulturową istotę.

Najbardziej zapamiętano audycję, której treść i forma wyznaczyły początek nowego, cechującego się zaangażowaniem, podejścia do tematów społecznych: wykroczenia słowne. Prosząc słuchaczy o częste popełnianie „wykroczeń słownych”, których nagromadzenie skłania władze do kontrolowania idiomów przedstawiających je w sposób krytyczny lub satyryczny, Fleka zapoczątkował późniejsze liczne „satyryczno-polityczne” programy kontaktowe (napiszmy najpiękniejszą kartkę z życzeniami do naszego Prezydenta, lub wymyślmy najpiękniejszy prezent urodzinowy dla niego; w jaki sposób wchodzi-

my do Belgradu jako siły chaosu i obłędu; Ustasze w wigilię 9 marca 1992 r.).

Fleka jako pierwszy rozmawiał na antenie z Satanem Panonskim w Belgradzie. Satan momentalnie został gwiazdą punków i belgradzkiej alternatywnej sceny intelektualnej. Natychmiast udostępniono mu miejsca na wystawy i koncerty zarówno w Nowym Klubie Domu Kultury „Miasteczko Studenckie”, jak i w Teatrze Bitef.

Program „Sismis” nadal był popularny głównie ze względu na muzykę oraz walkę z rapem prowadzoną „w imieniu białej muzyki”. W pewnym momencie konflikty między fanami rapu (słuchaczami listy Rap) a słuchaczami „Sismis” stały się nie do zniesienia, w związku z czym, w celu uniknięcia prawdziwych starć między tymi dwiema bojowymi grupami słuchaczy przed samym budynkiem Radia, dziennikarze byli zmuszeni podać informację, że program jest emitowany z Sava Centar.

Radio „Sismis” jest „podziemnym” radiem, przyciągającym nawet marginalne, „przestępcze” grupy subkulturowe. Otwarcie mówi się o używaniu narkotyków, narkomani uczestniczą w programach prowadzonych na żywo, jeden z programów dotyczy handlarzy narkotyków. Omawia się także problemy belgradzkiego podziemia, wymyśla się slangowe określenia policjantów... Podziemny świat istnieje i porozumiewa się jedynie z Fleką, stanowiącym autentyczną część tego środowiska. Fleka zwraca się do nich bezpośrednio, na „ty”: „Co słyhać, dupku? Co chciałbyś robić dziś wieczorem, dupku? Masz pomysły na zrobienie na antenie czegoś, czego jeszcze nie było? My, w studio, jesteśmy gotowi na wszystko...”

Mimo iż belgradzka scena subkulturowa pod koniec lat osiemdziesiątych nie przeżywa okresu swojej świetności, B92 gromadzi na swoich falach wszystkie nieformalne grupy młodzieżowe, jak również pokolenie „kontrkultury”, marihuany, klasycznego rocka (który nie jest zbyt często obecny na tych falach).

Niezwykłe znaczenie miał program Radia zorientowany na kulturę homoseksualistów. Członkowie Radia B92 stworzyli Arkadię, początkowo funkcjonującą jako filia klubu Violet ze Słowenii. Po odłączeniu

się Słowenii, filia zyskała niezależność. Audycje dla homoseksualistów (mężczyzn i kobiet), pierwsze tego rodzaju i będące jedynymi w „mediach publicznych”, przyciągnęły uwagę szerokiej opinii publicznej. Program informował o subkulturze homoseksualistów, ruchu na rzecz godności, dniu homoseksualistów, prawach homoseksualistów w różnych krajach... tzn. o tych wszystkich kwestiach, które nie były szeroko znane poza kręgiem działaczy ruchu homoseksualistów. Jednocześnie posiadał wymiar „kontaktowy”, dając mężczyznom i kobietom z marginesu homoseksualnego możliwość wypowiedzenia się...

Prowokacyjny „Sismis”, program dla homoseksualistów oraz liczne inne programy irytują mieszkańców Belgradu. Przed długi czas Radia B92 było uważane jedynie za radio walczące o dekryminalizację łagodnych narkotyków, dekryminalizację prostytucji itp. - co było źródłem wielu tytułów w gazetach. Prasa przekręciła nazwy kampanii i przekształciła ją w walkę o używanie narkotyków itp.

Moralisci, konserwatyści, purytanie postrzegali programy B92 jako atak na moralność publiczną, jako zagrożenie społeczne. B92 kontynuowało skandalizowanie opinii publicznej, rozpoczęte od pokazania subkultur i stylów życia, poprzez skandale polityczne, wymyślanie wydarzeń, cały program „denerwowania opinii publicznej”, który, paradoksalnie, powstał w redakcji programów informacyjnych.

Informacje - strategia kreowania gwiazd

Informacje z ulicy zostały po raz pierwszy wprowadzone do serbskich mediów dzięki Radiu B92 oraz Studiu B NTV. Zamieszki 9 marca stanowiły przełomowy moment, wymagający od dziennikarzy spędzania całych dni na ulicach i kontaktowania się z Radiem za pośrednictwem połączeń radiowych lub telefonicznych. Dopiero wtedy zaczęto zapamiętywać nazwiska dziennikarzy z redakcji informacyjnej Radia - Milica Kuburowić, Mamula, Kusowac, Masić... W BBS SEZAM, wykorzystywanym przez amatorów do przesyłania sobie informacji politycznych i informacji związanych z wydarzeniami na ulicy, często przesyłano komunikaty: audycja specjalna w B92, koniecznie musisz słuchać B92, B92 info-

rmuje o wszystkim... B92 jest zakazane. Poza wypowiedziami reporterów B92, nadawano na żywo wypowiedzi słuchaczy — informowali oni opinię publiczną o tym, gdzie są i jak przebiegają incydenty między milicją a rebeliantami.

Zupełnie nowe znaczenie polityczne uzyskało B92 w 1991 roku podczas wrześniego protestu przeciwko represjom i manipulowaniu etyką zawodową w Radiu i Telewizji Serbskiej. Na placu Terazije zorganizowano „Otwarte Wiadomości”, po których nadano specjalną audycję Wiadomości Radia B92.

Veran Matić - pierwsza i najjaśniejsza gwiazda B92 - stał się znany nie tyle jako redaktor główny i prawdziwy twórca profilu B92, lecz przede wszystkim dzięki swoim programom informacyjnym, szczególnie „Intevju dana” (Wywiad dnia). Ten program jest praktycznie najczęściej cytowanym programem Radia, którego znaczenie i waga zdecydowanie wyprzedzały czas (w prasie codziennej i tygodniowej liczne wywiady były publikowane z ponad tygodniowym opóźnieniem w stosunku do audycji).

Cechy tego programu, pod tak prostym tytułem: jedyny, interesujący, politycznie trafiający w sedno, tworzący nowe poglądy, przekonania i uwagi polityczne, zwłaszcza takie, na które zamknięte są inne media. Ponadto, jak lubi mawiać sam Matic, osąd „użyteczności społecznej”, a zatem wsparcie, a przynajmniej czas dawany alternatywie, z którą nie podzielamy tych samych przekonań lub poglądów. Z tej właśnie przyczyny gośćmi programu byli Adam Michnik, Adil Zulfikarpasic, Murat Sabanović, Dragoslav Bokan i wiele innych osób. Każda z nich przyczyniła się, dzięki różnorodności prezentowanych przez nie opinii politycznych, do uczynienia programu rzadko spotykanych programem pluralistycznym.

Możliwości i osiągnięcia manipulacji mediów

„Po ponad dwóch i pół roku wojny, radio B92 w końcu otrzyma możliwość nadawania w całej Serbii. Nowe przepisy dotyczące własności zmusiły nas do zmiany naszej polityki redakcyjnej. Mamy nadzieję, że te zmiany będą dla naszych słuchaczy przyjemnie odświeżające.” - (komunikat Kolegium nadany

dnia 29 stycznia 1992 roku o godzinie 11 na początku codziennego programu).

Ogłoszona zmiana programu Radia B92 wywołała prawdziwą panikę zarówno wśród słuchaczy i fanów tej stacji radiowej, jak również w kręgach kulturowych, przyzwyczajonych do mówienia o mediach z krytycyzmem, niedocenianiem, pogardą czy niemalże ignorancją ich znaczenia.

Ten protest polegający na denerwowaniu opinii publicznej (akcja zakazów stawianych samym sobie), stosowaniu blokady informacyjnej, tzn. ogłoszeniu zmiany w komunikacie Kolegium bez żadnego komentarza, żywego słowa czy wywiadu, oraz zwolnieniu najważniejszych ówczesnie osobowości B92: Verana Matica i Milicy Kuburowic, stanowił niezwykle skuteczną formą symulacji nowego programu - takiego, jakim mógłby on być zgodnie z życzeniami władz. Program taki z pewnością zapewniłby B92 upragnioną od dawna koncesję na częstotliwość, znacznie większy zasięg i stabilność finansową. Ta akcja zakazów stawianych samym sobie ujawniła stopień prawdziwego gniewu i protestu, jaki mógłby wywołać rzeczywisty zakaz. Program kończył się o północy wywiadem znanego dziennikarza telewizyjnego TV Novi Sad, przygotowującego raporty z linii frontu - Milijana Baletica. Między Wywiadem a Wiadomościami nadawano muzykę ludową, a nawet program „Pozdravi i zelje” („Pozdrowienia i życzenia”).

Jeszcze przed drugą po północy liczba telefonów od zaniepokojonych słuchaczy wzrosła - w panice zadawali oni pytania, następnie krzyczeli, przeklinali... albo po prostu z rozczarowaniem przestawali mówić.

Starsi słuchacze mieli jeszcze większe trudności z przyzwyczajeniem się do nowego programu. Córki dzwoniły z pytaniami, o co chodzi, ponieważ ich matki zażyły pigułki uspokajające i nie były w stanie mówić, lub w gniewie coś stłukły... Młoda ochotniczka spokojnie odpowiadała na wszystkie te telefony, wyjaśniając, że program został zmieniony decyzją Kolegium po to, by Radia można było słuchać w Serbii. Na bezpośrednie żądania słuchaczy, pragnących porozmawiać z kimś ze znanych dziennikarzy, odpowiadała, że wyjechali oni na wakacje lub są bardzo zajęci. Słuchacze byli w stanie kompletnego szoku.

Jeżeli nie byli zbyt rozemocjonowani i rozgorączkowani, zazwyczaj starali się mówić ironicznie informując Radio, że rozumieją przyczyny „sprzedaży”. Wszystkie te rozmowy zostały zachowane na taśmach i wykorzystane w dalszej części akcji manipulacyjnej; na drugi dzień były nadawane na antenie.

Panika panowała w mieście przez cały dzień. Był to wybuch uczuć, jakiego nikt się nie spodziewał. Potrzeba związku z jakimś środkiem przekazu, obdarzenia tego środka bezgranicznym zaufaniem, pewnego rodzaju uzależnienia od niektórych programów - to można sobie było wyobrazić; prawdopodobnie jednak dopiero ta akcja uświadomiła słuchaczom znaczenie B92 w ich życiu.

Pierwsza barykada

Zachęceniu sukcesem „denerwowania opinii publicznej, dziennikarze i członkowie B92 podjęli nowe działania, powszechnie uważane za happeningi na terenie miasta, których celem było ożywienie przechodniów.

„Pierwsza barykada w Belgradzie” jest przykładem nowego typu działań - już nie werbalnych, lecz opartych na całym „przedstawieniu miejskim”, z całym koniecznym montażem i odpowiednimi rozwiązaniami w dziedzinie mediów. Pragnąc wyrazić bezsens budowania barykad w centrum Sarajewa, zbudowano pierwszą barykadę w Belgradzie, na rogu ulic Centinjaska i Safarikova, z licznymi transparentami, które później stały się niezbędną ikonograficzną częścią każdego działania. (A teraz wszyscy na barykadzie, To jest kłoda, itp.) Parafrazując znane sformułowania przywódców politycznych, zupełnie zmieniając ich prawdziwe znaczenie, ujawniliśmy ich represyjny i totalitarny mechanizm - to jest przesłanie, które zostało ukryte przed opinią publiczną w oryginalnym sformułowaniu.

Rockowy karawan pokoju

8 marca 1992 roku rozpoczęła się, koncertem na otwartej ciężarówce, która przejechała głównymi ulicami Belgradu, promocja projektu „Rimtitutuki” (w slangu: pieprzę cię). W Radiu B92 nagrano

piosenkę „Slusaj vamo” (Słuchaj tu), przeciwko „muzyce ludowej i wojnie”, jako wsparcie dla belgradzkiej sceny rockowej i jej niewątpliwie pacyfistycznej orientacji. Wtedy właśnie Radio B92 publicznie określiło swoją politykę programową jako działanie na rzecz pokoju.

„Wszystkie dzieci Prezydenta” są częścią tej nowej koncepcji Radia, otwartego na akceptację i realizację pomysłów osób nie związanych z nim bezpośrednio. W niedzielę, 22 marca 1992 roku, nadano program zatytułowany „Wszystkie dzieci Prezydenta Republiki” pomysłu Maji Vujović, dziennikarki Radia Belgrad, matki z wyższym wykształceniem, która już nie jest w stanie zaspokajać nawet podstawowych potrzeb swojego dziecka z własnych dochodów. Samo ogłoszenie tej akcji przy wykorzystaniu rymowanego jingla wskazywało na jej polityczno-społeczny charakter, jak również na zamiar protestowania nie przy użyciu standardowych dyskusji politycznych, lecz przez wykorzystanie języka drwiny, satyry i ironii.

Akcja ta, mimo iż mająca czysto symboliczny charakter, została potępiona przez słuchaczy *homo novus*. „Wykorzystywanie dzieci” w sprawach politycznych dla własnej reklamy, chory pomysł, oszukaństwo... to tylko niektóre z określeń, które pojawiły się w mediach.

Inne akcje: Spotkanie w imię Solidarności z Mieszkańcami Sarajewa, wielki koncert pokojowy na Placu Republiki zorganizowany 22 kwietnia 1992 roku pod nazwą „Nie Liczcie na Nas”, Most Radiowy (Belgrad, Zagrzeb, Sarajewo, Lublana) z Amsterdamem zostały zorganizowane w celu rozpowszechnienia inicjatyw pokojowych i zgromadzenia wokół nich mieszkańców Belgradu. W tym sensie „Operacja mior” (Operacja pokój), przeprowadzona w lipcu 1992 roku, stanowiła część tej globalnej koncepcji, mimo iż była to akcja specyficzna i indywidualna, w której Radio pełniło jedynie rolę mediatora łączącego mieszkańców Serbii i Brukseli pragnących rozmawiać o pokoju i przyjaźni.

Spotkanie Grubasów, protest przeciwko embargu (blokady stwarzającej problemy przede wszystkim dla mieszkańców, osób niewinnych, dzieci) zostało zorganizowane ze specyficzną dla tego Radia samo-

ironią, było jednak związane z innymi akcjami tego samego rodzaju, prowadzonymi i inspirowanymi dotychczas przez partie i organizacje nacjonalistyczne.

Siły chaosu i bezmyślności – Yu-topija

Emisja Yu-topiji (soboty od 16:00 do 19:00) rozpoczęła się jako typowa innowacyjna audycja otwierająca możliwości pogłębiania i analitycznego komentowania niektórych codziennych tematów politycznych. Niezależnie od tego, czy omawiane były sprawy związane z emigracją, wojną, polityką wewnętrzną, czy polityką zagraniczną, program wyrastał z programu studyjnego, obejmującego komentarze dotyczące nowej, szczególnej i przede wszystkim prowokacyjnej formy radiowej.

Kiedy podczas rozruchów marcowych Slobodan Milošević wypowiedział w programie TV Dnevnik RTS (1991 r.) swoje słynne zdanie: „Serbia wszelkimi sposobami musi się sprzeciwić siłom chaosu i bezmyślności”, prosząc obywateli o udzielenie władzom pomocy w utrzymywaniu porządku, nie wyobrażał sobie nawet, że właśnie otworzył nowe możliwości stworzenia radiowego programu satyrycznego w oparciu o kontaktowy program informacyjny...

W ramach koncepcji działania na rzecz pokoju, Radio B92 zorganizowało specjalny program o nazwie Yu-topija: piosenki Ustasza-Czetnika, poświęcone serbskim i chorwackim pieśniom narodowym, mającym tę samą melodię, praktycznie ten sam tekst (z pewnymi niewielkimi modyfikacjami), ale inną aranżację. Połączenie niektórych części pieśni wykorzystywanych po obydwu stronach granicy dla podniesienia morale i rozbudzenia uczuć narodowych raz jeszcze pokazało, wyłącznie poprzez muzykę, bez żadnych komentarzy, bezsens nacjonalizmu.

Liczni słuchacze, nieświadomi ironii tej akcji, byli oburzeni, kiedy usłyszeli „swoje” melodie „zmalretowane” przez „nowy”, chorwacki tekst... Po tej emisji opracowany został prowokacyjny program kontaktowy, typowy dla informacyjnych programów politycznych, w którym uczestniczyli zarówno słuchacze i fani B92, jak i osoby słuchające Radia w celu przekonania się, jaka jest najnowsza przygotowywana akcja narodowa.

Ritam serca (Rytm serca)
Zenski rytm serca (Kobięcy rytm serca)
Ritam serca za decu (Rytm serca dla dzieci)

Rozrywkowe programy radiowe często wykorzystują wywiad jako gatunek łatwo dostosowujący się do wymogów takich programów. Wywiady, w dużej części zdominowane przez programy typu talk-show, w których prowadzący jest często ważniejszy od gościa, zajmują bardzo istotne miejsce w Radiu B92. Ponadto „Wywiad Dnia”, od lat prowadzony przez Verana Matića, stanowi najpopularniejszy i najczęściej cytowany wśród starszych słuchaczy program Radia. Wywiady w programach rozrywkowych niezadko są banalne, bazujące na konwencjonalnych pytaniach (takich jak: Nad jakim kolejnym filmem pan pracuje? itp.). Zespół dziennikarzy stworzył „typowy” wspólny wywiad — co tydzień goście słyszą te same pytania, zadawane przez chór. W ten sposób nawet najbardziej banalne pytanie, na przykład: jakiej muzyki pan najczęściej słucha?, zyskuje nowy wymiar, a szczególnie sposób wspólnego zadawania pytań daje gościowi możliwość udzielenia zabawnej, niekoniecznie prawdziwej odpowiedzi, która i tak ma najmniejsze znaczenie w tego rodzaju programie. (Gośćmi są młodzi artyści ze świata muzyki, filmu i malarstwa, jak również dobrze znane z mediów osobistości.

Kultura Życia

Każde nowe radio (podobnie jak stacja telewizyjna) określa się przede wszystkim poprzez programy informacyjne i muzyczne. Stacje (poza wyspecjalizowanymi), których program kulturalny, dzięki swoim formom i tematom jest tak szczególny, że udaje mu się wysunąć na pierwszy plan uwagi publicznej są bardzo rzadkie. Liczne audycje Radia B92 odniosły sukces w tym zakresie. Były to programy, które wypełniły duże luki w mediach, istniejące w świecie sztuki i kultury.

Wzorcowym przykładem jest cykl programów „Kurs kreatywnego pisania”, w których przygotowywany jest obecnie własny słownik, słownik nowego, dopiero co powstałego żargonu. Inwencja słu-

chaczy opiera się na wiedzy, wyobraźni, znajomości slangu, sytuacji politycznej. Praca nad słownikiem prowadzi do powstania nowego slangu młodzieży miejskiej — neologizmów i częstych aforyzmów.

Efekt śmiechu jest wywoływany możliwymi różnymi sposobami akcentowania pierwszego słowa tak, że słowo wymawiane z jednym akcentem pasuje do pierwszego zdania, a akcentowane w inny sposób — do drugiego.

Gospodarze programu „Kultura Życia” wybierają i tematy, wyroby i zwyczaje przedstawiające styl i życie codzienne alternatywnych grup młodzieżowych, cyganerii artystycznej, śmietanki śmietanek, a następnie montują je w jeden dynamiczny program, który pełni również funkcję edukacyjną. Wybierając tematy, które mogą być ciekawe dla grup młodzieży zainteresowanej sztuką ekspresji i komunikacji, począwszy od sztuki wysyłanych pocztą czasopism amatorskich, aż po programy o sztuce picia whisky i brania narkotyków. W konsekwencji, większość programów przekształca się w małe sztuki radiowe... Tak więc, w programie „Kada stane herc” (Kiedy zatrzymuje się serce), Vlada Mijić gra rolę profesora Avrama Goldmana z Wiednia, przeciwnego seksowi psychiatry, który odpowiada na problemy wszystkich słuchaczy (w skrajnie purytański sposób...).

Muzyka jako język polityki

Oprócz programów informacyjnych, muzyka stanowi podstawowy środek wyrazu Radia B92. Programy muzyczne przyciągają największą uwagę słuchaczy i są najlepiej oceniane...

Program „Dodji u ponoc da slusamo ploce... bice nas sestoro, Bitlsi, ti i ja” (Przyjdź o północy posłuchać płyt... będzie nas sześcioro, Beatlesi, ty i ja) dwuczęściowy: przez pierwszą jego godzinę redaktor wybiera muzykę, a gość przedstawia swoje uwagi, natomiast druga godzina programu to wybór osobisty i uwagi gościa.

„Rus” (Rytm, w śróde) jest wyłącznie muzycznym programem, w którym zwykle nadawane są wiadomości i koncerty.

„Moje licne note” (Moje osobiste nuty) — program muzyki poważnej zastąpił program muzyki

ludowej (1989-1990) realizowany w formie listy przebojów muzyki etnicznej i stanowiący pewną odpowiedź na pytanie słuchaczy, dlaczego Radio B92 nie nadaje muzyki ludowej.

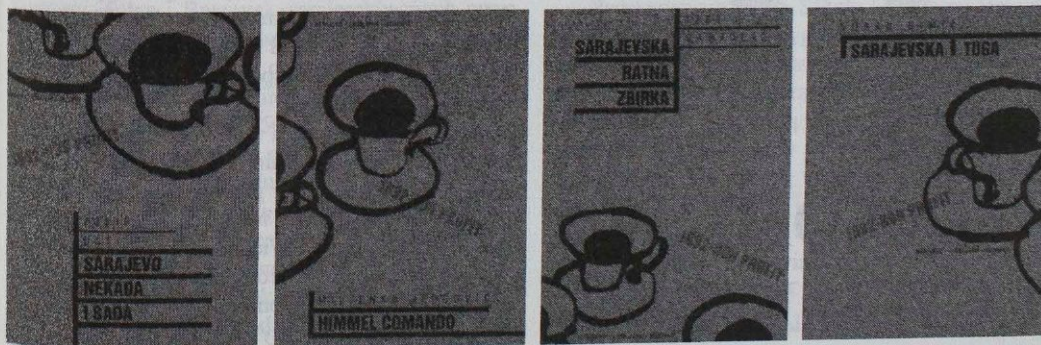
„Interferenca” (Interferencja”) jest jednym z nielicznych wyspecjalizowanych programów muzycznych, prezentującym muzykę Trzeciego Świata.

Niezwykłe znaczenie dla Radia, a także Studia B, miał dzień 9 marca 1991 roku. Władza zakazała nadawania wszelkich wiadomości i komentarzy z wydarzeń na ulicy. Decyzją redaktora naczelnego Verana Matića zaprzestano bezpośrednich transmisji tych wydarzeń, ale już następnego dnia Radio B92 nadało muzykę, używając jej jako sekretnej języka. Piosenki zespołów „Paraf”, „Pankrti”, „Prijava kazaliste”, w których „śpiewano” o starciach z policją, a które wielu uważało za sztuczne oraz... punkowe, gdyż nie były autentyczne nabrały pewnego rodzaju nowej siły. Piosenka „Vreme je za pravdu, vreme je za istinu” (Czas na sprawiedliwość, czas na prawdę) zespołu „Disciplina kicme” była nadawana wcześniej, ale dopiero wtedy nabrała znaczenia.

lipiec 1993

Milena Dragicević-Sesić

Tomiki wierszy poetów z Sarajewa wydane przez Radio B92





PÉCS - GANDHI I CYGANIE

W kwietniu 1992 roku z inicjatywy intelektualistów cygańskich została powołana do życia FUNDACJA GANDHIEGO.

Wśród jej założycieli znalazły się różne organizacje cygańskie na Węgrzech (m.in. FII CU NOI, AMALIPE, PHRALIPE), a także Stowarzyszenie „Biokultura”, Węgierski Kościół Kalwiński – Misja na Rzecz Zbawienie Opuszczonej Młodzieży i in.

W tworzenie Fundacji zaangażowali się również wybitni Cyganie węgierscy: János Szentágothai (członek Akademii), Támas Péli (malarz), Menyhért Lakatos (pisarz), Bela Osztojkan (poeta, pisarz, redaktor naczelny pism „Amaro Drom” i „Phralipe”). Prezesem Fundacji został Béla Bogdán, doradca rządu i najwybitniejszy ekspert Biura Mniejszości Narodowych i Etnicznych.

Podstawowym celem statutowym Fundacji jest powołanie i prowadzenie szkoły średniej przede wszystkim dla młodzieży pochodzenia cygańskiego.

Według statystyk na Węgrzech żyje co najmniej pół miliona Cyganów. Większość z nich nie posiada wykształcenia. Osoby, które ukończyły szkołę średnią stanowią niewiele ponad pół procent ogółu społeczności cygańskiej, a tylko jeden Cygan z tysiąca

ukończył szkołę wyższą. Te proporcje bardzo trudno jest zmienić w obecnym systemie edukacji. Program przyjęty przez szkoły oraz atmosfera nieprzychylna dla cygańskiej odmienności w nich panująca nie sprzyjają Cyganom, tak różniącym się swoją obyczajowością i zasadami własnej tradycji. Dzieci cygańskie w wieku dwunastu i trzynastu lat przestają uczęszczać do szkół podstawowych. Według danych prowadzonych na Węgrzech, w roku 1970 do szkół zapisało się około 15 tysięcy dzieci cygańskich, a w roku 1977 uczyło się w nich już tylko 4 300. Związane jest to m.in. z faktem, że młode Cyganki wcześniej dojrzewają seksualnie i zakładają rodziny. Problemem jest również to, że dla Cyganów niezwykle ważne jest życie rodzinne i rodzice bardzo niechętnie rozstają się ze swoimi dziećmi, zapisując je do szkół, internatów itp.

Pierwsze badania dotyczące uczęszczania dzieci cygańskich do szkół i ich uwarunkowań rodzinnych i obyczajowych przeprowadzono na Węgrzech w latach 1985/1986. Ich organizatorem były władze regionu Baranya leżącego na południu kraju, a osobą kierującą nimi była Márta Huber, która dzisiaj jest konsultantem Fundacji Gandhiego.

Wszystko to stanowi kontekst, w którym zrodziła się idea powołania Fundacji i idea niezwykłej szkoły, kształcącej inteligencję cygańską. Dzisiaj w mieście Pécs szkoła już funkcjonuje. Jest znakomicie, nowoczesnie wyposażona (w pracownie językowe, sprzęt komputerowy itp.) i posiada autorski, przemyślany program, weryfikowany w zależności od potrzeb.

Dzieci uczęszczające do szkoły pochodzą głównie z południowych regionów kraju (kantony Zala, Somogy, Tolna i Baranya), zamieszkiwanych przez szczególną grupę Cyganów, tak zwanych „beów”, którzy mówią odrębnym dialektem, zbliżonym do języka rumuńskiego, i posiadają własne tradycje. Ich społeczność liczy około 50-60 tysięcy osób, żyjących w małych osadach, z reguły oddalonych od dużych miast. Do Szkoły Fundacji Gandhiego dzieci przyjmowane są w wieku dwunastu lat i uczą się w niej przez sześć lat. Decyzję taką podjęto przede wszystkim dlatego, aby umożliwić dzieciom pozostanie w domu rodzinnym tak długo, jak to jest możliwe.

Ponieważ aż 95 proc. dzieci przyjeżdża do Pécs

z zewnątrz, czynione są starania, aby internat, w którym zamieszkują, miał charakter wspólnoty opartej o wartości tradycji rodzinnych i zbudowanej na wzajemnej odpowiedzialności. Na przykład po upływie pierwszych dwóch tygodni od przyścia do szkoły pięćdziesięciu uczniów może wybrać swojego, jednego z pięciu, nauczyciela (tak więc każdy nauczyciel ma około dwunastu uczniów). Wybrana osoba jest powiernikiem dzieci we wszystkich ich życiowych problemach i opiekuje się nimi przez sześć lat (jeśli tego pragną, dzieci mają prawo do zmiany swego nauczyciela).

Wiele wysiłku włożono także w to, aby dzieci mogły kontaktować się ze swymi rodzinami tak często, jak jest to tylko możliwe. Dla wyrównania poziomu dzieci przyjmowanych do szkoły i dla ułatwienia im zdania egzaminu wstępnego, wprowadzony został tak zwany semestr zerowy, poprzedzający podjęcie nauki w szkole.

W programie szkolnym zdecydowaną przewagę mają przedmioty humanistyczne, tak więc Szkołę Gandhiego można określić jako szkołę o profilu humanistycznym. Niemniej uczniowie, którzy wykazują zdolności i zamiłowanie do innych przedmiotów są specjalnie przygotowywani do tego, aby mogli zdać egzaminy do tego rodzaju wyższych uczelni; mają także zapewnioną przez szkołę możliwość ukończenia osobnych kursów informatyki itp.

Do przedmiotów, które są szczególnie akcentowane przez program szkolny należą: język węgierski, historia, dwa języki obce, język beocki i cygański, kultura i tradycja cygańska, socjologia, religia i mitologia, psychologia, film.

Podstawowym celem Szkoły Gandhiego jest wykształcenie inteligencji cygańskiej, która po ukończeniu szkoły i ewentualnie wyższej uczelni, będzie pracowała pośród i na rzecz społeczności cygańskiej. Dlatego tak wielką uwagę przywiązuje się do poznania własnej kultury i tradycji, do uświadomienia uczniom ich własnej tożsamości. Wychowankowie tej szkoły wiedzą, jak wielkie wyzwanie stoi przed nimi; są świadomi tego, jak istotnym jest powrót do swojego środowiska w roli wykształconego profesjonalisty. Dotychczas bowiem rolę tę spełniali, bardzo często niechętnie, przedstawiciele większości,



których skuteczność pośród społeczności cygańskiej była niewielka.

Profesje, do których szkoła stara się szczególnie przygotować swoich wychowanków, to m.in.: nauczyciele, działacze społeczni i kulturalni, pielęgniarki, liderzy społeczności lokalnych. Czynione są wysiłki, aby realizowany w szkole program pozostawał w bezpośrednim związku z problemami życia w osadach cygańskich. I tak, na przykład, zamieszczony w programie szkoły przedmiot socjologia, to nie teoretyczne dywagacje, a praktyczne zajęcia w terenie, wyjazdy do różnych środowisk cygańskich, rozpoznawanie sytuacji na miejscu w oparciu o obserwację i wywiady, analizowanie najważniejszych problemów społecznych, obyczajowych, ekonomicznych oraz pierwsze próby znajdowania praktycznych rozwiązań. To wszystko uzupełnione jest nauką języków obcych w oparciu o nowoczesne formy nauczania, pracą z komputerem, nauką o środowisku naturalnym, na które tradycja cygańska jest szczególnie wrażliwa („Ziemia nie należy do nas” — to nauka, z którą dzieci cygańskie przychodzą już do szkoły).

Cyganie na Węgrzech od lat słynęli z wysokiego poziomu swej kultury, ze znakomitych osiągnięć artystycznych w muzyce, plastyce, literaturze, tańcu itd.

Dzisiaj na Węgrzech wydawane są serie literatury cygańskiej, współzawodniczy ze sobą kilka, coraz lepiej redagowanych pism społeczno-kulturalnych, światową karierę robią zespoły muzyczne, organizowane są plenery dla malarzy... Wszystko to jednak dotyczy wąskiego, elitarnego grona. Równoległe do tego narastają, tak jak i w całej Europie Środkowo-wschodniej, problemy związane z sytuacją społeczną, polityczną i ekonomiczną społeczności cygańskiej.

Twórcy Fundacji Gandhiego i organizatorzy szkoły w Pécs są w pełni świadomi, że tych problemów nikt nie rozwiąże za Cyganów, że jedynie oni sami, ich własna, coraz lepiej i coraz liczniej wykształcona inteligencja, jest w stanie zmierzyć się z tymi problemami i w oparciu o własne tradycje zapewnić Cyganom godziwe miejsce pośród innych narodów.

K. Cz.

EWA WIEGANDT

Literacki mit pogranicza a idea Europy Środkowej

Użyte w tytule pojęcia i ich synonimy: „małe ojczyzny”, „powrót do Europy”, „Europa Środka”, „korzenie”, „podróż na Kresy” — pojawiają się obficie we współczesnych mass-mediach. Macierzysty kontekst owych pojęć — literatura tworząca mit o powrocie do rodzinnych korzeni tożsamy z korzeniami europejskiej kultury — uległ zapomnieniu. Wnoszę o tym z faktu, że krytyka literacka znów powtarza swój odziedziczony po Polsce Ludowej komunał, iż literatura nie nadaża za rzeczywistością. Tymczasem literatura postawiła niezmiernie przenikliwą diagnozę współczesnej kulturze i elementy jej chciałabym przypomnieć.

Sztandarowy utwór przełomu październikowego, *Poemat dla dorosłych* Adama Ważyka, zawiera zdumiewające w ustach marksisty słowa:

*ulico Świętokrzyska, nie jesteś już Świętokrzyską,
gdzie twoje antykwiaryaty, księgarnie i uczniacy?*

Gdzie jesteście, umarli?

Pamięć po was ginie.

Przypominam, że w dalszej części poematu społeczeństwo, które powstaje w wyniku rewolucyjnych przemian, zostało określone metaforycznym epitetem „kasza”.

Nie zamierzam czynić z poematu Ważyka utworu

zapoczątkowującego interesujący mnie temat literacki, zwłaszcza że w tekście tym brakuje jednego niezbędnego elementu: dyskusji z marksistowską koncepcją dziejów, co nie pozwoliło Ważykowi napisać „traktatu moralnego”. Poeta określił natomiast doświadczenie, jakie uformowało krajową wersję literatury ojczyzn prywatnych: jest nim wywołane komunistyczną rewolucją poczucie duchowego wydziedziczenia, zanikanie historycznej pamięci i w efekcie utrata kulturalnej tożsamości - powstanie społecznej „kaszy”, „miazgi”, „nieznośnej lekkości bytu”.

Literatura ojczyzn prywatnych, antykomunistyczna na emigracji, w kraju jest antynacjonalistyczna, co stanowiło rozpoznanie bardzo istotnego elementu rzeczywistości, a mianowicie zawłaszczenia przez komunistyczną politykę kulturalną polskiej tradycji romantycznej i przeformułowania jej w duchu narodowej demokracji. Miało to legitymizować pozór niepodległości, odcięcia nas od Zachodu, pozorować nieobecność mniejszości narodowych w pozornie jednorodnym etnicznie państwie, a wyzwalalo postawy nacjonalistyczne.

Mit kresowych ojczyzn, bo do niego się tu ograniczam, należy do rodziny mitów historiozoficznych, które wykorzystują język przestrzeni. Jego

archetypem jest Mickiewiczowski *Pan Tadeusz*, a toposami słowa: „Litwo, ojczyzna moja“ i „kraj lat dziecinnych“. Jednakże tradycja romantyczna została znamienne przetworzona. Przede wszystkim uległa reinterpretacji mitologia Kresów, które przestały być bastionem i wcieleniem polskości, skarbnicą narodowych pamiątek, przedmiotem nostalgicznych wspomnień, a także potencjalnym źródłem nacjonalizmu. Zmieniły się w pogranicze **etniczno-kulturowe**. I nie jest to gra słów, lecz zmiana dotycząca istoty rzeczy, ponieważ polską mitologię kresową zastąpił **mit pogranicza**, które rozpościera się między arkadią rodzinnej koegzystencji różnych narodów, religii i kultur a niszczącą te wartości przestrzenią bratobójczych wojen. Romantyczna oraz Marksowska historiozofia, która widzi w dziejach spełnianie się Logosu, zostaje zanegowana i zastąpiona historiozofią katastroficzną. Zanegowany też zostaje kierunek konkurencyjny wobec opisywanej przeze mnie li tylko modelowo twórczości, a mianowicie literacki egzystencjalizm. Wyrażając to językiem tradycji literackiej można powiedzieć, że wybiera się estetykę Brunona Schulza a nie Gombrowicza, kontuuje się przedwojenny katastrofizm Witkacego i Miłosza. Egzystencjalistycz wyobcowanie i walkę o autentyczność istnienia zastępuje pytanie o esencję, o „ciężkość bytu“. Historycznym losem człowieka jest wykorzenie, a metafizycznym przeznaczeniem szukanie korzeni. Właściwe ludziom pogranicza zachwianie tożsamości narodowej nie prowadzi do egzystencjalnego wyobcowania. Wręcz przeciwnie, wyrażone literacką postacią mieszańca, staje się znakiem tożsamości ogólnoludzkiej. Rodzi się natomiast problem inny — moralny. Problem winy i kary za zdradę domowej tradycji, odpowiedzialności za bratobójcze wojny.

Tak przemieniony romantyczny mit Kresów obłąkł się w kształt „rodzinnej Europy“ przedstawianej w formie narracji o drzewie genealogicznym ludzi pogranicza, co daje tytuł książki Marii Czapskiej *Europa w rodzinie*. Jest nią Cekania Andrzeja Kuśniewicza, Huculszczyzna Stanisława Vincenza, żydowskie miasteczko Juliana Strykowskiemu, Lwów Józefa Wittlina, Zbigniewa Herberta i Adama Zagajewskiego, oczywiście Wilno Czesława Miłosza

i Tadeusza Konwickiego, fantastyczne Cesarstwo Piotra Wojciechowskiego. Przykłady można by mnożyć. Ważne, że każde z tych miejsc, jako ojczyzna prywatna, jest mitycznym centrum świata, a więc Europą Środkową. Geopolityczne nazwy „Europa Wschodnia“ czy „Europa Środkowo-Wschodnia“ przekształcają się w geograficzno-kulturowe symbole, o których znaczeniu decyduje każdorazowo literacki kontekst, ale rodzaj przekształceń jest jeden — dośrodkowy, tzn. eliminujący opozycję Zachód — Wschód. Oto dwa przykłady dobrze ilustrujące ów znaczeniowotwórczy proces:

W grudniu 1982 otrzymałem zaproszenie do wzięcia udziału w sympozjum poświęconym problemom Europy Środkowej, zwanej tak w korespondencji jak i na samym kongresie, bez względu na język referatu czy dyskusji - Mitteleuropa. Przypomniały mi się natychmiast czerwone wagony bardzo eleganckiego pociągu sprzed wojny, noszącego nazwę „Mittropa“. Konkurencja dla słynnego Orient-Expressu, czy Train-blue.¹

I zawsze, z uporem utrzymywałem przekonanie, że jesteśmy, my z tamtej Europy, bardziej żywotni niż Zachód, a także wschodni monolit. Czyli to, co wreszcie zaczęto określać jako Europę Środkową.²

Zatem rodzinne Europy Środka różnią się i to nieraz bardzo. Ale posiadają też swój inwariant. Jest nim idea sformułowana w eseju Milana Kundery *Zachód porwany albo tragedia Europy Środkowej*, czyli — jak ją celnie streścił Timothy Garton Ash — Zachód na Wschodzie.³ Chciałbym uprzedzić mogące się nasuwać mniemanie, że ideę Kundery da się zastosować tylko do ziem byłej monarchii hamburskiej. Przeczy temu następujące wyznanie Miłosza, uderzająco podobne do słów czeskiego pisarza poświęconych zniknięciu Austro-Węgier:

Jestem świadomy olbrzymich rozmiarów tego kluczowego dla naszej części Europy wydarzenia, jakim był koniec polsko-litewskiej Rzeczypospolitej, koniec bynajmniej nie nagły, bo rozciągający się w czasie od rozbiorów osiemnastego wieku aż po wydarzenia ostatniej wojny. Wielonarodowe i wielowyznaniowe dziedzictwo tamtego państwa trwa w literaturze nie tylko epoki romantyzmu i skusiło mnie, żeby działać przeciwko niewiedzy, przywołując

*miejsca, postacie i okoliczności, głównie z dziewiętnastego i z początku naszego stulecia.*⁴

Próbując ową obecność Zachodu na Wschodzie skonkretyzować, można powiedzieć, że określa ją chęć powrotu do duchowej jedności europejskiej kultury, której już nie ma ani na komunistycznym Wschodzie, ani na kapitalistycznym Zachodzie. Ewokuje ją natomiast kultura kresowego pogranicza, które w polskiej historii leży na Wschodzie i reprezentuje ekspansję oraz obronę kultury Zachodu. Na jego kulturowy pejzaż komponowany przez współczesną literaturę składa się odpominanie tradycji śródziemnomorskiej i chrześcijańskiej, ale bez prawosławia. Jego brak równoważy obecność cerkwi greckokatolickiej, co europejską jedność jeszcze ekumenicznie potęguje. Niezbędna w tym duchowym pejzażu jest obecność religii, historii i kultury żydowskiej. Poświęcone jej są najpiękniejsze treny, epepeje i sielanki. W literaturze ojczyzn prywatnych powstał odrębny nurt — literatura żydowska pisana po polsku.

Dla mitu Europy Środkowej eliminowanie kulturowej opozycji Wschód - Zachód nie przynosi więc syntezy obu członów. Zachód jest obficie wypełniony znaczeniami, Wschód to puste miejsce, rama modalna tekstów mówiących o kulturze Zachodu.

Pojęcie „środek” oznacza też niechęć do wytyczania granic i ideał rodzinnej Europy granic pozbawionej, w sensie duchowym, nie politycznym, jako że nie chodzi o utopię. Mity ojczyzn prywatnych są od niej najdalej, ponieważ bardzo silnie wyrażając, jak dalece traumatyzujące dla indywidualnej i zbiorowej świadomości było ustalanie jałtańskiego porządku, jednocześnie uznają go za nieodwracalny. Stworzono z tego faktu punkt archimedesowy komponowanych retrospektywnie fabuł, „rozrusznik” mitotwórczej poetyki, u której źródeł legło doświadczenie nieodwołalnej utraty ojczyzn prywatnej, wywołującej poczucie przynależności do ponadnarodowej i ponadpokoleniowej wspólnoty wykorzenionych „demoludów” i emigrantów.

Zrezygnowanie z pojęcia narodu na rzecz pojęcia ojczyzny pociągnęło za sobą magiczne wymawianie nazw ponadnarodowego państwa: Rzeczpospolitej Obojga Narodów, Wielkiego Księstwa Litewskiego,

Królestwa Obojga Sycylii, monarchii austro-węgierskiej. Zabieg ten aktualizował, rzecz jasna, określone konotacje historyczno-polityczne. A więc: staropolski mit przedmurza, szlachecką demokrację, religijną tolerancję, ideę jagiellońską i jej federacyjne kontynuacje. Prawdziwa, choć nierzeczywista, aura mitu, która mogłaby połączyć cesarza Franciszka Józefa z Józefem Piłsudskim i Jerzym Giedroyciem, sprawia, że historycznie sprzeczne idee tworzą jedną tradycję — antytotalitarną, wymierzoną, by postawić kropkę nad i, w inne wielonarodowe państwo — Związek Radziecki.

Asymetrii na osi Zachód - Wschód towarzyszy syntetyzujące potraktowanie europejskiej romantycznej opozycji Północ - Południe, która mogła się zaktualizować dzięki różnicom i podobieństwom między dwoma miastami — symbolami: Wilnem i Lwowem. Duch południowego Lwowa, dzięki habsburskiej tradycji, jest śródziemnomorski, natomiast duch północnego Wilna podlega ukłasyfikującej romantyzm reinterpretacji. Świadczy o tym fakt, iż mit kresowego pogranicza współtworzy bardzo istotne dla świadomości literackiej po roku 1956 zjawisko, jakim jest pojawienie się twórczości Zbigniewa Herberta, a wraz z nią manifestów klasycyzmu Ryszarda Przybylskiego i Jarosława Marka Rymkiewicza, poprzedzonych klasycyzmem Miłosza z końca lat czterdziestych.

Ów romantyczny klasycyzm czy klasycyzujący romantyzm ma charakter środkowoeuropejski: jest bowiem wznawianiem śródziemnomorskiej tradycji dokonywanym na politycznym Wschodzie. Herbertowy „barbarzyńca w ogrodzie” stanowi metaforę doskonale ten aspekt ujmującą. Synteza, o której mowa, posiada dwa skrzydła: modernistyczne i postmodernistyczne. Pierwsze, nawiązując do estetyki Eliota, jest pełnym wysiłku i powagi budowaniem tradycji, reinterpretacją dziedzictwa, przede wszystkim romantycznego, i interpretacją współczesności. Drugie — ma charakter ludyczny, jest grą z tradycją, jej pastiszowym naśladowaniem. Pierwsze to odnowienie wysokich złóż tradycji, drugie — to mieszające style powtórzenie. Miłosz w *Dolinie Issy* odnawia tradycję powieści edukacyjnej i w metafizyczny traktat przekształca romantyczno-narodowy epos,

Konwicky w powieści *Bohni* bawi się konwencją popularnego romansu, ale i odwołuje do tradycji Orzeszkowej czy Żeromskiego, J. M. Rymkiewicz pisze postmodernistyczne „romanse” naukowe o wielkich romantykach.

Mityczna fabuła mówiąca o powrocie do korzeni ma też dwie wersje, płynące z różnicy sytuacji biograficznej bohaterów. Jedni mają poczucie zakorzenienia, u drugich dominuje stan odwrotny. Pierwsi opowiadają o powrocie do korzeni, co oznacza możliwość ukonstytuowania się fabuły, drudzy fantazjują, konstruują równoległe wersje zdarzeń, używają trybu przypuszczającego. Fabuła ulega rozmyciu. Tak dzieje się w utworach Leopolda Buczkowskiego, Andrzeja Kuśniewicza, Tadeusza Konwickiego.

Kwestia, o której mowa, różnicuje też narracje emigracyjne i krajowe. Emigranci bowiem noszą na plecach swój zabrany z domu kufer. W kraju kufry po pradziadach są rzadkością. Rozważając rzecz od strony estetycznej można powiedzieć, że możliwość opowiedzenia fabuły zakorzenia bohaterów w micie, a więc nie podważa wiary w jego sakralną prawdziwość, nie dopuszcza demitologizacyjnych, posługujących się niskimi formami komizmu, zabiegów. Natomiast sytuacja odwrotna zbliża formę narracji do konwencji, która jest zdesakralizowanym mitem, czyli do baśni, z jej fantastycznością, brakiem wiary w prawdziwość opowiadanej historii i z ludowym, karnawałowym komizmem. Mit sankcjonując wartości — pozwala je odzyskać, baśń jest pociechą na krótko. W gruncie rzeczy wyraża konieczność posiadania wiary i niemożność jej uzyskania.

Postmodernistyczne traktowanie mitu mówi więc o procesie jego wyczerpania się, który aktualnie dobiegł końca. Mam na uwadze dwie zadziwiająco podobne książki: *Czytadło* Tadeusza Konwickiego i *Wróżby kumaka* Güntera Grassa. Obie mówią o ojczyznach prywatnych autorów nie z perspektywy czasu epickiego, lecz politycznej teraźniejszości, gdy „runęły mury”, i nie kryją swego okolicznościowego charakteru. Obaj autorzy mitotwórczą poetykę zastąpili groteskowo-satyrycznym dydaktyzmem, obaj wyrażają katastroficzne proroctwo, ale tym razem szydząc z dawnych ideałów, albowiem ich realizacja je niweczy, odsłania, co mit skrywał:

nieobecność Europy Środka.

Mit ginie, i to w mękach, kiedy zmienia się w stereotyp. Toteż ze stereotypizowanych tematów własnego pisarstwa, poddanych karykaturze, a więc ze stereotypów do kwadratu, zbudowane są oba teksty. Konwicky baśń o Wileńszczyźnie przekształcił w postkomunistyczny kicz. Europą Środkową jest zamieniony we wschodni bazar plac przed Pałacem Kultury w Warszawie — symbolem socrealistycznego kiczu, a Warszawa to centrum postkomunizmu, czyli wyprzedza tak wschodnich, jak i zachodnich idei. Grass sparodiował swój Gdańsk, a więc ideę niemiecko-polskiego pojednania, do czego dołączył środkowoeuropejski element w postaci Niemiecko-Polsko-Litewskiego Towarzystwa Cmentarnego. Morał obu książek też jest podobny: pozostają esencjonalne składniki bytu — miłość i śmierć. Ale one też są kiczem podszyte: romantycznym u Konwickiego, śródziemnomorskim u Grassa.

Mit się kończy dostojnie, gdy zostaje zredukowany do funkcji pragmatycznej. Oto pierwsze słowa przedmowy do tomu esejów Miłosza *Szukanie ojczyzny*:

Książkę tę ułożyłem, chcąc być użytecznym. Wchodzące w jej skład rozważania, z jednym wyjątkiem, pochodzą z ostatniego okresu, już po upadku komunizmu. (podkr. moje)

I jeszcze jedna możliwość — mit staje się łupem kultury masowej. Europa Środkowa zmienia się w dzieciinną arkadię z wiersza Herberta, którego początek cytuję zamiast odpowiedzi na pytanie, dla czego się skończył mit Europy Środka:

*Nie wiadomo czy z mięsa czy z pierza
ku czemu to wszystko zmierza
Mitteleuropa*

1. A. Kuśniewicz: *Mitteleuropa* 1983. *Polityka* 1983 nr 53.
2. Cz. Miłosz: *Rok myśliwego*. Paryż 1990 s. 105.
3. T. Garton Ash, wypowiedź w dyskusji. W zbiorze: *Europa i co z tego wynika. Rozmowy w Castel Gandolfo*. 1985 t. 2. Przygotował i przedmową opatrzył K. Michalski. Warszawa 1990 s. 153.
4. Cz. Miłosz: *Szukanie ojczyzny*. Kraków 1992 s. 5-6.

STEFAN KOZAK

POLSKO-UKRAIŃSKIE POGRANICZE: MIĘDZY KONFLIKTEM A DIALOGIEM

W swej tysiącletniej, w większości wspólnej historii, oba sąsiadujące narody spotykały się na różnych płaszczyznach, w różnorodnych okolicznościach, z niejednakowym nasileniem i różnorodnymi następstwami. Wiele dobrego, konstruktywnego i twórczego swoim spotkaniom oba narody zawdzięczają, zwłaszcza w zakresie języka, literatury, nauki (szczególnie historiografii), myśli społeczno-politycznej i kultury materialnej. Ale wiadomo także, jak wiele dramatycznych w sąsiedztwie tym było konfliktów i wojen, ostrych napięć i sporów, politycznych animozji, insynuacji, uprzedzeń i wpływających stąd stereotypów i mitów, które najogólniej można określić mianem polsko-ukraińskich „przeklętych problemów”.

To właśnie one stanowiły główną przeszkodę w ułożeniu dobrosąsiedzkich stosunków. Postrzegali to baczni obserwatorzy oby narodów już u zarania konfliktu, tj. od czasów unii brzeskiej i wojen polsko-kozackich, mając także na uwadze niebezpieczne skutki tych konfliktów, a nadto zagrożenia płynące ze strony Porty Otomańskiej i muzułmanizmu. Ilustruje to fragment jednej z najstarszych dum pt. *Placz niewolników na galerze*:

*Wtedy biedni niewolnicy na krew chrześcijańską
na sobie poglądali,
Ziemie turecką, wiarę bisurmańską klęli, przeklinali:
„Ziemio turecka, wiaro bisurmańska,
Ty rozłąko chrześcijańska!
Nie jednego rozłączyłaś z ojcem i z matką,
Albo brata z siostrą,
Albo męża z żoną wierną”.*
*Wywiedź, Panie, wszystkich niewolników biednych
Z ciężkiej niewoli tureckiej,
Z galery bisurmańskiej
Na ciche wody,
Gdzie jasne gwiazdy,
Gdzie kraj wesoły,
Gdzie naród chrzczony
Do miast chrześcijańskich!*

Tę wspólnotę chrześcijańską i niebezpieczeństwo losów wobec inwazji Półksiężycą potwierdza utworzona jeszcze za Zygmunta III koncepcja „narodu sarmackiego”, zamieszkującego Rzeczpospolitą oraz „ziemie okrainne”, szczególnie zagrożone przez najazdy otomańskich koczowników. Dlatego też, wedle Macieja Kazimierza Sarbiewskiego,

*Nie w murzech dużymi wieży
Utwierdzonych, walecznym Sarmatom należy
Wojny wieść, jakoby w cieniu,
Lecz świata otwartego na wielkim przestrzeniu.*

(AD EQUITES POLONOS)

Nie przypadkiem więc te wielkie przestrzenie stepowe, owe „Dzikie Pola” były areną krwawych walk, dzięki którym Sicz i Kozacyzna urosły na obrońców świata chrześcijańskiego przed zalewem Półksiężycza. Rzecz charakterystyczna, że takie stanowisko w tej kwestii zajmowali nie tylko ukraińscy historycy, publicyści i pisarze, lecz także niektórzy polscy, zwłaszcza przedstawiciele „ukraińskiej szkoły”, zauroczeni „romantyczną Ukrainą” (z apologią Kozaczyzny włącznie), a także działacze Wielkiej Emigracji, oceniający między innymi rolę i znaczenie Kozaczyzny z polistopadowej perspektywy, tj. rozważań nad przyczynami klęski powstania 1831 roku i krachem szlacheckiej polityki, jak to uczynili radykalni przywódcy Towarzystwa Demokratycznego Polskiego oraz występujący na kongresie historyków w Paryżu w roku 1835 Jan Czyński i Michał Czajkowski. Apologia i polityczna rehabilitacja Kozaczyzny wspólna była romantykom polskim i ukraińskim. Jaskrawym tego przykładem może być legendarna postać „kozackiego Heraklesa” Wernyhory, wizjonera polsko-ukraińskiej zgody oraz postawa Mykoły Kostomarowa i Tarasa Szewczenki, który — wracając myślą do owego okresu heroicznego i zgodnego polsko-ukraińskiego współzycia w wierszu „Do Polaków” — pisał:

*Kiedyśmy byli Kozakami
I nic o unii nie słyszeli,
Na wolnych stepach, wolni sami,
Brataliśmy się z Polakami...*

Jak wiadomo, ten sielankowy obraz nie trwał długo, następne okresy polsko-ukraińskich dziejów były pasmem kozacko-polskich nieustannych wojen i waśni, wywołanych uciskiem szlacheckim, ekspansją religijną i samowolą magnacką. Aby jednak nie upraszczać sprawy, sądzę, że przyczyn tego zjawiska należy także szukać w uwarunkowaniach społeczno-politycznych szlachty w Rzeczypospolitej. Jej pozycja w państwie, przekonanie o wyjątkowej roli, jaką to państwo ma do odegrania w Europie, a co za tym

idzie — wiara w misję stanu szlacheckiego i w misję religijną powodowały, że szlachta swoją ekspansję na Ukrainę traktowała jako misję cywilizacyjną, usankcjonowaną ponadto koncepcją „przedmurza chrześcijaństwa”.

W tym kontekście na szczególną uwagę zasługuje wspomniana wyżej reorientacja w polskiej myśli politycznej o Ukrainie, Ukraińcach i polsko-ukraińskich konfliktach i wojnach, dokonana w środowisku Towarzystwa Demokratycznego Polskiego, któremu przewodzili Joachim Leleweł, Stanisław Gabriel Worcell, Jan Czyński, Tadeusz Krępowiecki. Przebywali oni blisko takich przedstawicieli radykalnej myśli francuskiej, jak Franciszek Raspail i Filip Buchez (uczeń i zwolennik Saint-Simona). Nie przypadkiem więc w odezwie Towarzystwa stwierdza się, że „Polska podniesie się nie przez szlachtę, ale przez lud” i że „przyszłość Polski zależy od przyszłości innych europejskich ludów” oraz ich wzajemnej solidarności.

Mając to na uwadze nie było więc zaskoczeniem słynne paryskie przemówienie Tadeusza Krępowieckiego, wygłoszone w drugą rocznicę powstania listopadowego przy licznych udziałem emigrantów i cudzoziemców z generałem Lafayette'em, w którym nazwał przywódców powstań kozackich, Pawłuka i Nalewajkę, nowymi Spartakusami. W konkluzji Krępowiecki stwierdził: „Miłość wolności kiełkuje jeszcze w tych masach, wśród których działa bezkarnie kij pana i miecz cara. Nie tak dawno temu lud Ukrainy zmanifestował krwawo swoje pragnienie wolności. Imiona Gonty i Żeleźniaka dziś jeszcze są postrachem dla ciemiężców”.

Nie ulega wątpliwości, że w historii polsko-ukraińskich spotkań takie stanowisko należy uznać za przełomowe, sprzyjające ułożeniu dobrosąsiedzkich stosunków między zwaśnionymi pobratymcami. Jeszcze bardziej radykalnym gestem pojednania było symboliczne przyjęcie nazwy „Humani” przez jedną z gromad Ludu Polskiego w Anglii (1835 r.). W „programowej” deklaracji, która w polskich kołach emigracyjnych wzbudziła wielką polemikę, czytamy: „Rozpamiętywanie błędów ojców naszych, za które dziś ojczyzna i my srogą chłostę nieba ponosim, kazało nam palec do najboleśniejszych z ran przyłożyć. Dzieci Humania, szlachta, nam godziło

się wziąć imię tego teatru okropności, aby przed niebem, ojczyzną i ludźmi pokorną ekspiację za winę ojców spełnić. Nam godziło się przybrać nazwisko Humania, abyśmy z ludnością Ukrainy, z ludnością grecką zawarli przymierze odrodzenia, sojusz przyszłości; abyśmy w strasznej pamiętce zatarli wspólne cierpienia, abyśmy za prześladowania ludu Ukrainy, za wywoływane najstraszniejsze reakcje, tym samym nazwiskiem obmyli wspólną nienawiść, zamazali krwawe pamiętki”.

Trzeba przyznać, iż cytowane tu stanowisko, wyrażające tak zdecydowane poglądy i postawy polityczne polskich kół demokratyczno-republikańskich jest koronnym argumentem, iż to dzięki klimatowi duchowemu dziewiętnastowiecznej Europy, zrodzonej w zawirowaniach Wielkiej Rewolucji Francuskiej i kampanii napoleońskiej, ukształtowanej na romantycznych ideałach wolności, niepodległości i braterstwa, dokonał się zasadniczy przełom w polskiej — a także ukraińskiej — myśli politycznej i w ocenie wspólnych polsko-ukraińskich dziejów.

Charakterystyczne jest, iż nie znajdziemy w tej odezwie nawet śladu polskiego mesjanizmu, obyczajowości rustykalnej, fobii, woluntaryzmu, uprzedzeń w stosunku do ukraińskich pobratymców. Myśl przewodnią i wypływającą stąd filozofię polityczną cechuje zdecydowane dążenie do rozpatrywania narodu w wymiarze historii, do odczytywania w doświadczeniu dziejowym moralnego przesłania i zarazem wolę do realizacji tego zobowiązania w przyszłości.

Należy ubolewać, iż ta orientacja w polskiej myśli politycznej raczej nie znalazła dalszego rozwinięcia i szerszej akceptacji. Oczywiście, wielu świątłych Polaków miało świadomość nie wykorzystania przez dotychczasowe pokolenia owych prerogatyw. Ale możliwości ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków na zaproponowanym przez „Humań” fundamencie nie wzbudziły większego zainteresowania polskich kół i ośrodków politycznych.

Niemniej były wśród inteligencji polskiej wybitne postacie, zajmujące w powyższych sprawach pozycję najwyraźniej określoną. Więcej, byli też tacy (Włodzimierz Antonowicz, Tadeusz Rylski, Paulin Świącicki, Wacław Lipiński), którzy w swoim życiu, pracy i działalności dotrzymywali nie tylko ducha,

lecz i litery deklaracji gromady „Humań”. Wyraził to w sposób zdecydowany w swojej „Spowiedzi” Włodzimierz Antonowicz, pisząc, iż polska szlachta mieszkająca na Ukrainie powinna w miarę możliwości pracą i miłością odpokutować całe zło, którego dopuściła się wobec narodu. Albowiem „tylko tą drogą można pozbyć się wyrzutów sumienia i odpowiedzialności, że należysz do obozu kolonizatorów i plantatorów, którzy nieproszeni gospodarzą w obcym domu, hamując rozwój zniewolonego narodu”.

Prezentowane wyżej stanowiska naznaczone są charakterystyczną dla myśli dziewiętnastowiecznej tendencją podporządkowania dobra i sprawiedliwości koncepcji prawdy. Było to zjawisko wyartykułowane mocno przez romantycznych historiozofów i późniejszych twórców progresywistycznych programów, opierających się na filozofii czynu, dla których prawda nabierała znaczenia w aspekcie skuteczności. Była to więc koncepcja pozostająca jakby w opozycji do romantyczno-symbolicznego „państwa ducha”, organizująca się przede wszystkim wokół wysokich wartości duchowych i narodowych, ale z wyraźnym praktycznym podejściem.

Obok cytowanych polskich wątków, jaskrawym przykładem takiego stanowiska jest program kijowskiego Bractwa Cyryla i Metodego, którego dewizą były właśnie słowa zaczerpnięte z *Ewangelii św. Jana*: „Poznajcie prawdę, a prawda was wyzwoli” (J 8,32). Natomiast w programie szczególną uwagę zwrócono na: 1 - dążenie do wyzwolenia pobratymczych narodów spod obcego panowania; 2 - utworzenia niezależnych państw z zachowaniem między nimi federacyjnego związku; 3 - zlikwidowanie jakiegokolwiek formy poddaństwa i przywilejów; 4 - uznanie wolności wszelkich wyznań i praktyk religijnych oraz wolności myśli.

Nie ulega wątpliwości, że była to koncepcja wychodząca naprzeciw dążeniom obu narodów, stanowiąca platformę wzajemnego porozumienia i z myślą o przyszłości. Wspierali tę ideę czynem zbrojnym i przelaną krwią ukraińscy uczestnicy polskich powstań narodowych z Andrijem Potebnią na czele. Uwydatnia ją ponadto, odwołując się niejako do odezwy „Gromady Humań”, Taras Szewczenko w swoim programowym posłowniu do poematu *Hajdamacy*, pi-

sząc m.in.: „Przyjemnie popatrzeć na kobzarza ślepego, jak siedzi z chłopcem pod płotem, przyjemnie posłuchać, jak zaśpiewa dumę o tym, co się dawno działo, jak walczyli Lachy z Kozakami - przyjemnie... a jednak powiesz: chwała Bogu, że minęło. Nadto gdy wspomnisz, żeśmy jednak matki dzieci, że jesteśmy Słowianami, serce boli, a opowiadać trzeba: niech baczą synowie i wnuki, jak mylili się ich ojcowie, niech znowu bratają się ze swoimi wrogami. Niechaj żytem-pszenicą, jak morzem pokryta, nie rozgraniczona zostanie na wieki od morza do morza słowiańska ziemia. O tym, co działo się w roku 1768 opowiadałam tak, jak słyszałam od starych ludzi”.

Przedstawiono tu powyższe wątki i wypowiedzi nie bez powodu. Otóż niejednokrotnie można spotkać się z twierdzeniem, iż trudno obu narodom znaleźć *modus vivendi*, skoro nie mogą wyzbyć się wzajemnych żalów, fobii, uprzedzeń i stereotypów, skoro w ich wzajemnie przeplatających się dziejach zbiorowy *consensus* nie miał podstaw. Wolno żywić nadzieję, że w kontekście dotychczasowych rozważań ta opinia nie wytrzyma krytyki. Zatem szukając odpowiedzi na pytanie, czy mamy w piśmiennictwie, myśli polityczno-społecznej i kulturze obu narodów — polskiego i ukraińskiego — teksty i programy, na których mogłaby się oprzeć idea polsko-ukraińskiego porozumienia — trzeba zdecydowanie odpowiedzieć twierdząco.

Natomiast kwestią godną ubolewania jest ich nieznanostwo wśród dwóch współczesnych społeczeństw; nie są one także obecne w świadomości elit politycznych i środowisk opiniotwórczych, mających wpływ na polityczny kształt stosunków i kształtowanie odpowiednich opinii i postaw po obu stronach granicy. Zatem wydobywanie tych tekstów i programów z niebytu, wprowadzenie w szeroki obieg czytelniczy, a więc wydanie w masowym nakładzie, ich popularyzacja — to zadanie zasadniczej wagi. Pod warunkiem, oczywiście, poważnego traktowania przez obie strony partnerstwa rzeczywistego dążenia do znalezienia *modus vivendi*.

Odmitologizowanie wzajemnej przeszłości nie może odbywać się poprzez rozdrapywanie ran, lecz właśnie drogą wskazywania i wyjaśniania źródeł wzajemnych uprzedzeń i konfliktów, a nadto poprzez szukanie i uwydatnianie owego pierwiastka spajającego

i konstruktywnego.

W polskim myśleniu o Ukrainie są nadal nieobecni Paulin Świącicki, Marian Zdziechowski, Wacław Lipiński, Leon Wasilewski, Marceli Handelsman i inni. Znajomość dzieł i koncepcji ukraińskich autorów jest jeszcze słabsza. Dotyczy to pism takich wybitnych ukraińskich znawców interesującej nas problematyki, jak domniemanego autora *Historii Rusów* Heorhija Konyskiego, Mykołaja Kostomarowa, Pantelejmona Kulusza, zwłaszcza zaś Mychajłowa Draho-manowa, Iwana Franki, Mychajłowa Hruszewskiego, Stefana Tomaszińskiego, Wasyla Kuczabskiego, Iwana Łysiaka-Rudnickiego, Mychajłowa Dobrjańskiego.

Katastroficznie przedstawia się ta sprawa na Ukrainie. Nie tylko nie przyswojono tu w przekładzie na język ukraiński żadnego z polskich cytowanych tekstów, stanowisk i autorów, lecz także wyłączono z obiegu na wiele dziesięcioleci wymienionych wyżej rodzimych historyków, intelektualistów i polityków. To spustoszenie intelektualne spowodowane restrykcjami reżimu i polityką rusefikacyjną trzeba będzie cierpliwie, z uporem i systematycznie odrabiać.

Uwolnieni od komunistycznego zniewolenia, kłamstwa totalitarnej ideologii i groźby zbrodni reżimu, Ukraińcy zaczęli zdecydowanie sięgać do źródeł własnej duchowości: myśli politycznej, religijnej i filozoficznej, dzieł autorów niedawno jeszcze zakazanych, energicznie krzątać się wokół ich wydawania i popularyzowania. Temu ruchowi sprzyja zainteresowanie ukrajinoznawczą myślą i jej dorobkiem na Zachodzie, w tym także w Polsce. Wolno żywić nadzieję, że dzięki tej otwartości ukraińskie kręgi intelektualne i polityczne, stojąc wobec wyzwań współczesności, rychło dojdą do wniosku, że trzeba najpierw określić się wobec najbliższego sąsiada, wobec Polski, znaleźć z nią płaszczyznę wspólnego porozumienia.

W obliczu pustki, jaką pozostawiły po sobie ideologie i reżim komunistyczny oraz długotrwałej izolacji od Europy, od zachodzących w niej procesów cywilizacyjnych, wytworzyły się w postkomunistycznych społecznościach kompleksy mniejszej wartości, wywołujące stany zarówno frustracji i apatii, jak też wzburzenia i agresji. Jedynym remedium na to społeczne rozchwianie, polityczną żywość, emocjonalność nastrojów i powszechną swarliwość

WALDEMAR SMASZCZ

WILEŃSKA TETRALOGIA

Wilno ciągle jeszcze budzi emocje. Ale czyż może być inaczej, skoro Rzeczpospolita Obojga Narodów kształtowała się przez stulecia, a świadomość zupełnie nowej sytuacji na jej wschodnich kresach pojawiła się niemal dosłownie z dnia na dzień, gdy rzeczywistość okazała się diametralnie odmienna od tej, jakiej obraz przekazywała tradycja z pokolenia na pokolenie. Dla Polaków unieważnienie zaborów oznaczało powrót do granic z roku 1772, bo tylko w ten sposób mogło być przekreślone bezprawie rozbiorów. Bez świadomości tego faktu trudno w ogóle mówić o sprawie granic po I wojnie światowej. Nie było to przy tym li tylko przekonaniem mężów stanu i polityków. To Adam Mickiewicz powtarzał wszak i w *Panu Tadeuszu*, i w *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego*, że Polska powstanie tylko wówczas, kiedy „Litwa złączy się z siostrą swą Koroną”. W słynnym zaś wierszu „Do Joachima Lelewela” pisał:

*A tak gdzie się obrócisz, z każdej wydasz stopy,
Ześ znad Niemna, ześ Polak, mieszkaniec Europy.*

Po drugiej wojnie światowej, wskutek przesunięcia granic, cała Wileńszczyzna znalazła się poza Polską, wilnianie zostali rozproszeni po świecie. Niemało z nich zamieszkało na tak zwanych ziemiach odzyskanych, nasycając te dawniej niemieckie obszary zu-

pełnie odmienną obyczajowością, śpiewnością mowy i własnymi świętościami. Niezwykle wrażenie robią kościoły nad Odrą, zbudowane z pruskiego muru, nierzadko z wnętrzem wypełnionym galeriami, jak to zwykle bywa w świątyniach protestanckich, i z Matką Boską Ostrobramską w głównym ołtarzu. W oficjalnym życiu „zapomniano” i mitotwórczych Kresach. Po kilku dziesięcioleciach wydawało się, że polska pamięć zbiorowa obejmuje już tylko ziemie piastowskie. Jedynie na emigracji odzywały się raz po raz dyskusje o wyższości pochodzenia kresowego nad plemiennie-polskim. W kraju bodaj tylko harcerska piosenka przypominała „rycerzy znad kresowych stanic, obrońców naszych polskich granic”.

Ale wystarczyło, że rozluźniła się nieco cenzura na początku lat osiemdziesiątych, by okazało się, iż pamięć Kresów jest żywa, i – co wręcz niepojęte – nie tylko wśród tych, którzy byli zmuszeni opuścić je przed laty, lecz także wśród osób zupełnie nie związanych ze wschodnimi ziemiami Rzeczpospolitej. Niezwykle trafna okazała się diagnoza dotycząca funkcjonowania legendy sformułowana, co prawda przy innej okazji, przez Marię Janion i Marię Żmigrodzką: *Tajemnica immunitetu legendy i jej niewyczerpanej siły tkwi w zapotrzebowaniu świadomości zbiorowej.*

Dopóki jest «potrzebna», nic nie jest w stanie jej obalić, dopóki odpowiada rzeczywistości społecznej i psychicznej, która ją powołała do życia, «pozostaje» nieetykalna. Legenda umiera tylko wtedy, kiedy uniera zbiorowość albo część zbiorowości, dla której była prawdą. Ale wówczas też jej śmierć może być jedynie pozorna – w każdej chwili bowiem ma szansę zmartwychwstania.

„Zmartwychwstanie” – by pozostać przy terminologii zaproponowanej przez znakomite znawczynie romantyzmu – oznacza jednak pojawienie się osoby czy zjawiska w nowej postaci, a to z kolei wymaga gruntownego zbadania, przynajmniej w środowiskach o ambicjach intelektualnych. Stąd wszystko, co dotyczy Kresów, budzi dzisiaj nie tylko emocje, jak napisałem na wstępie, ale i skłania do refleksji badawczej.

Mam właśnie przed sobą najobszerniejszy i –śmiem sądzić – najbardziej gruntowny zapis wszechstronnego oglądu różnorodnych zagadnień związanych z północno-wschodnimi kresami dawnej Rzeczypospolitej – czterotomową publikację *Wilno – Wileńszczyzna jako krajobraz i środowisko wielu kultur*. Jest to pokłosie Pierwszej Międzynarodowej Konferencji, która odbyła się 21-24 września 1989 roku w Białymstoku. Zorganizowała ją prof. Elżbieta Feliksiak z grupą współpracowników z Instytutu Filologii Polskiej Filii Uniwersytetu Warszawskiego w Białymstoku. Było to niezwykle wydarzenie. Ale też po raz pierwszy w kraju, po niemal półwiecznym milczeniu wokół Wileńszczyzny, spotkali się badacze i rodowici wilnianie w jednym miejscu, by pod patronatem placówki naukowej rozpoznać ogromny i bardzo zaniedbany obszar tradycji i pamięci zbiorowej. Te kilkaset osób łączyły wspólne emocje, pobudzane zarówno wydaną specjalnie na tę okazję antologią poetycką *Tobie Wilno*, jak i ... chlebem wileńskim, właśnie wtedy wypiekany po raz pierwszy w białostockich piekarniach. Obok przedstawicieli wielu ośrodków akademickich z całej Polski przybyli zainteresowani tematyką wileńską Litwini, Białorusini, Karaimi i Tatarzy, uczeni z Anglii, Włoch, Szwajcarii, Stanów Zjednoczonych i Izraela. Wygłoszono prawie osiemdziesiąt referatów w czterech sekcjach: „Krajobraz i ludzie”, „Historia i pamięć”, „Nauka, oświata, wychowanie” oraz „Literatura i język”. Cztery wyda-

ne tomy gromadzą materiały w takim właśnie układzie tematycznym i problemowym.

Tom pierwszy otwiera bardzo osobisty (to cecha wielu wystąpień) esej zmarłego już prof. Stanisława Lorentza „Moje wizje Wilna”. Stanisław Lorentz związał się z Wilnem na samym początku swojej działalności naukowej. Temat jego pracy magisterskiej, przygotowanej w 1929 roku na Uniwersytecie Warszawskim, brzmiał: „Wileńska architektura barokowa”. W dziesięć lat później został konserwatorem zabytków i kierownikiem Oddziałów sztuki województwa wileńskiego i nowogródzkiego. Mimo upływu lat Profesor zachował pod powiekami żywą wizję Wilna, „miasta gotyckiego, renesansowego, barokowo-rokokowego, klasycystycznego aż po dzień dzisiejszy”, gdyż „jego położenie wśród wzgórz i pogórków, które dominują w panoramie Wilna i wiązą dzielnice miasta, jest niezmiennie”. Wystąpienie Stanisława Lorentza to prawdziwy przekrój przez wszystkie epoki historyczne Wilna ze zwróceniem uwagi na takie szczegóły, że nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż przeszłość tego niezwykłego miasta nie kryła przed Profesorem żadnych tajemnic.

Profesor Elżbieta Feliksiak swój szkic poświęciła bardzo ważnemu zagadnieniu „Wileńskiej ojczyzny”, która zapewniała wszystkim mieszkańcom możliwość realizacji „w żywiole twórczości, pamięci, współistnienia”. Autorka podkreśla z całą mocą, iż *Wileńszczyzna ukształtowała się jako wielokulturowa ojczyzna europejska, przy pluralizmie rodzimych korzeni — przy owej wielokulturowej mozaice zamieszkujących ją narodowości — ukształtowała się jako ojczyzna należąca do duchowej przestrzeni Śródziemnomorza*.

Wiele referatów zostało poświęconych rozwojowi miasta od czasów najdawniejszych po wiek XX; między innymi Marceli Kosman w syntetycznym zarysie omówił główne kierunki rozwoju Wilna od XIV do XX wieku. To niezwykle interesująca praca, łącząca historię miasta z jakąś uroczą legendą, zwłaszcza w części dotyczącej najdawniejszych dziejów tej ziemi. Ton wypowiedzi ulega jednak zmianie, gdy autor omawia najnowsze, burzliwe doświadczenia miasta, będącego wspólną ojczyzną wielu Polaków, Litwinów, Białorusinów, Żydów i Karaimów. W kręgu po-

dobnej problematyki pozostaje praca Bernarda Rzezyńskiego — „Kultura urbanistyczna Wileńszczyzny”.

Sz szczególnie cenne w pierwszym tomie wydają się opracowania dotyczące mniejszości narodowych Wileńszczyzny, stanowiących w znacznej mierze o jej niepowtarzalnym kolorycie kulturowym, wyznaniowym i obyczajowym. Sima Kaganowicz z Tel-Awivu przedstawiła Wilno jako żydowskie centrum kulturalne. To miasto było nazywane przez Żydów „Jerozolimą Północy”. *Kresy - pisze autorka - w szerszym znaczeniu tego słowa stanowiły duży ośrodek żydowski, do którego poważną część Żydów na całym świecie sięga korzeniami. Tam powstały różne prądy religijne. Kresy stanowiły dla Żydów przez wiele lat takie centrum, jakim był Babilon podczas powstania Talmudu i jakim była Hiszpania w XI i XII w. Zagładzie Żydów podczas II wojny światowej poświęcił swoje wystąpienie Aleksander Dawidowicz („Shoah Żydów wileńskich”).*

Wileńszczyzna była też ważnym ośrodkiem Tatarów i Karaimów w Wielkim Księstwie Litewskim. To oni, obok Żydów, w znacznej mierze stanowili o wielokulturowym, wielowyznaniowym i wielojęzycznym charakterze tej ziemi. Korzystali z polskiej tolerancji i uczyli się tego samego – tolerancji dla odmienności. Zachowało się niezwykle świadectwo tej niełatwej przecież postawy. W roku 1558 jeden z litewskich muzułmanów informował Sulejmana Wspinałego: *nie ma podobnego kraju, gdzie by istniało tyle rozmaitych sposobów chwalenia Allacha; nie ma także żadnej wiary, która by miała przewagę widoczną nad innymi.* W tej grupie tematycznej najciekawsze są prace Czesława Łapisza („Tradycje religijne muzułmanów litewsko-polskich”) oraz Aleksandra Dubińskiego („Życie społeczne i kulturalne Karaimów na Wileńszczyźnie...”).

Przynajmniej dwa jeszcze referaty zasługują na osobne odnotowanie. Niezwykle interesujące, wnikliwe studium Marii Kałamajskiej-Saeed „Geneza artystyczna obrazu Matki Boskiej Ostrobramskiej” oraz Tadeusza Stefana Jaroszewskiego „Echa wileńskiego kościoła św. Anny między Wartą a Bugiem, XIX - XX w.”. Czym byłoby Wilno bez Ostrej Bramy i Tej, co w niej świeci? Na zawsze zrosła się Matka

Miłosierdzia ze swoim miastem, stąd ogromne zaskoczenie, że ciągle nie zostały wyjaśnione sprawy związane z pochodzeniem obrazu. Funkcjonuje na ten temat wiele legend, z tą najpiękniejszą, niesłychanie wileńską, że jest to kryptoportret Barbary Radziwiłłówny. Autorka stwierdza, że obraz *Matki Boskiej Ostrobramskiej powstał jako malarska kalka rozpowszechnionej przez grafikę kompozycji niderlandzkiego manierysty Martina de Vosa (1532-1603).* Nie jest to jednak *żadną ujmą dla obrazu, że nie stanowi on dzieła unikatowego. Jego nieznanego twórcę korzystał co prawda z cudzego dorobku, powtarzając za pośrednictwem ryciny dzieło autorskie Martina de Vosa, ale w owym czasie czynili tak nawet twórcy wybitni. Postępowanie takie uznawane było wówczas za całkiem naturalne i należało do powszechnej praktyki. Stanowiło wręcz sposób na dotrzymanie kroku aktualnym tendencjom w sztuce i dorównywanie poziomem do dokonanych czołowych artystów i przodujących centrów europejskich.*

Studium Tadeusza Stefana Jaroszewskiego stanowi zaś ważny krok w poznaniu historii kościoła św. Anny.

Trudno nie wspomnieć też o bardzo wyczerpującym referacie zmarłego już Kazimierza Wilkusa, omawiającego „Odkrycie grobów królewskich w katedrze wileńskiej”. To przypadkowe wydarzenie wniosło bardzo wiele do badań nad historią Wilna, samej katedry i – przede wszystkim – dynastii Jagiellonów. Nie byłoby też dzisiejszych szczegółowych rozstrząsań romansu Zygmunta i Barbary, gdyby nie powódź z 1931 roku, która podmyła fundamenty Katedry i zalała podziemia świątyni. Autor referatu należał, obok prof. Juliusza Kłosa i dra Stanisława Lorentza, do tych, którzy bezpośrednio zabezpieczali wówczas krypty królewskie. Jest to więc relacja świadka, który w ponad pół wieku później potrafił odtworzyć aurę emocjonalną towarzyszącą tamtym wydarzeniom.

Tom drugi gromadzi materiały określone hasłem wywoławczym „Historia i pamięć”. Historia Litwy — podobnie jak innych krajów w Europie — rozpoczyna się przyjęciem chrześcijaństwa. To epokowe wydarzenie włączało kraj pogański do rodziny narodów uczestniczących w łacińskiej wspólnocie kulturowej. Ks. Antoni Szyrwiński zarysował syntetyczny obraz

„Chrześcijań-stwa na Litwie i Wileńszczyźnie od początków po czasy najnowsze”. To studium poszerzają rozprawy bardziej szczegółowe, jak „Spór o biskupstwo wileńskie na sejmach schyłku XVI wieku” Jana Rzońcy, „Biskupi, wojewodowie i kasztelanowie wileńscy na sejmach za panowania Zygmunta III Wazy” Włodzimierza Kaczorowskiego, „Archidiecezja wileńska w czasie II wojny światowej” ks. Tadeusza Krahela.

Drugi nurt tematyczny — to historia Litwy i Wielkiego Księstwa Litewskiego od czasów najdawniejszych po odzyskanie niepodległości przez Litwę na progu naszego stulecia. Znajdujemy tu tak szczegółowe rozprawy, jak „Z dziejów skarbu Wielkiego Księstwa Litewskiego za pierwszych Wazów (1587-1648)” Anny Filipczak-Kocur czy „Konwokacja wileńska z 1624 roku” Janusza Dorobisza. Najciekawsze wydają mi się jednak prace poświęcone odrodzeniu narodowemu, polskiemu i litewskiemu, począwszy od XIX wieku. Andrzej Barański przedstawił „Losy i aspiracje inteligencji polskiej na Wileńszczyźnie po 1863 roku na przykładzie rodziny Łowicz-Barańskich”. Andrzej Romanowski w referacie „Feniks z popiołów” omówił „Odrodzenie kultury polskiej w byłym Wielkim Księstwie Litewskim w 1905 r.”, Dariusz Złotkowski scharakteryzował „Stosunki polsko-litewskie w świetle niektórych tytułów prasy polskiej w Wilnie lat 1905-1907”. Tematem wystąpienia Waldemara Dagilisa były „Stosunki kulturalne na Kresach Wschodnich w II Rzeczypospolitej”, wreszcie rzecz najbardziej aktualna - referat Krzysztofa Woźniakowskiego „Początek drogi. Od Stowarzyszenia Społeczno-Kulturalnego Polaków na Litwie do Związku Polaków na Litwie”.

Z tej niezwykle interesującej grupy tekstów chciałbym zwrócić uwagę na studium Dariusza Złotkowskiego. Autor omawia polską prasę na Litwie, która zaczęła ukazywać się po roku 1905, kiedy to ukaz carski z 12(25) grudnia 1904 roku zezwolił na wprowadzenie języka polskiego w życie publiczne. Za największe znaczenie dla stosunków polsko-litewskich uważa autor lata 1905-1907. To wtedy dostrzeżono, że polskie odrodzenie narodowe na Litwie nie było bynajmniej jedyne. Równoległe z Polakami walkę o swój język prowadzili sami Litwini, a ostrze ich wy-

stąpię — co Polacy musieli skonstatować ze zdumieniem — skierowane było nie tylko przeciwko Rosji.

Mickiewicz pisał wszak w *Księgach narodu i pielgrzymstwa polskiego*, że „Litwin i Mazur bracia są, czyż kłóć się bracia o to, iż jednemu na imię Władysław, a drugiemu Witowt? Nazwisko ich jedno jest, nazwisko Polaków”. Stało się coś ważnego, czego Polacy w porę nie dostrzegli. Mickiewiczowski „Witowt” nie chciał już używać „nazwiska Polaków”. Trzeba jednak obiektywnie stwierdzić, że początkowo przyjęto odrodzenie litewskie z daleko idącą życzliwością. Z biegiem czasu - podkreśla autor - musiano sobie uświadomić nieodwołalną prawdę, „że proces dobrowolnej polonizacji należy już do historii.” Dariusz Złotkowski właśnie w konfliktach roku 1905 widzi zarzewie wszystkich późniejszych starć polsko-litewskich: *Rok 1905 pokazał cały skomplikowany splot stosunków polsko-litewskich na Litwie. Okazało się, iż nie stał się on wstępem do autonomii.* Litewska Partia Demokratyczna jasno wyrażała swoje bezkompromisowe stanowisko, żądając, by Polacy uznali się za Litwinów, gdyż w *przeciwnym razie wasz słodki sen może wskazać Wam drogę za Niemen, do prawdziwej Polski.* W tej sytuacji w części społeczeństwa polskiego zaczęła kształtować się świadomość, jednoznacznie wyrażona w krakowskiej „Krytyce” przez Michała Romera, który tak określił Wileńszczyznę: *To wyspa kulturalna polska rzucona w coraz silniej wzbierające morze kultury litewskiej.*

Innym jeszcze nurtem tego tomu jest problematyka wojskowa na terenie Wileńszczyzny w ćwierćwieczu lat 1919-1944. Jan Snopko zarysował temat „Wilno w koncepcjach wojskowo-politycznych Józefa Piłsudskiego: walki o Wilno w 1919 roku”, Adam Dobroński skupił się na wojsku w Wilnie 1920-1939, Tadeusz Gasztold sformułował postulaty badawcze do zagadnienia „Armia Krajowa na Wileńszczyźnie i Nowogródzczyźnie”. Tę grupę tekstów uzupełniają wstrząsające omówienie Heleny Pasierbskiej „Ponary jako najtragiczniejsze miejsce straceń na Wileńszczyźnie w latach 1941-1944”. Autorka wykorzystала nie tylko dokumenty procesowe ujętych po wojnie zbrodniarzy, ale i prywatne notatki Kazimierza Sakowicza, który mieszkał w pobliżu i był świadkiem tragedii.

Trzeci tom został poświęcony nauce, oświacie i wychowaniu. Czym bowiem byłoby Wilno bez swojej Akademii, promieniującej na największy bez wątpienia obszar geograficzny w Europie. Początki wileńskiej Wszechnicy przywołał Julian Lewański w referacie „Rola teatru Kolegium i Akademii S. J. na Ziemi Wileńskiej.” Niemal cały tom wypełniają jednak studia poświęcone już Uniwersytetowi Stefana Batorego, wskrzeszonego dekretem Naczelnego Wodza Wojsk Polskich z dnia 28 sierpnia 1919 roku. Redaktorka wydawnictwa, prof. Elżbieta Feliksiak, zamieściła w tym tomie ów dekret w pełnym brzmieniu. Józef Piłsudski, syn tej ziemi, przywołał pamięć wielkich rektorów Wszechnicy Wileńskiej: Piotra Skargę, Jakuba Wujka, Jana Śniadeckiego i grono studentów, którzy rozslawili macierzyńską uczelnię: Adama Mickiewicza, Juliusza Słowackiego, Tomasza Zana, Wincentego Pola i innych. Poszczególne teksty zostały poświęcone wybitnym profesorom Uniwersytetu Stefana Batorego, którzy wnieśli niemały wkład do nauki polskiej i wykształcili w krótkim czasie (dwadzieścia lat to w historii uniwersytetu niewielki okres) całe zastępy uczonych, pedagogów, ludzi sztuki i kultury. Znajdujemy w tym tomie osobne studia poświęcone prof. Stanisławowi Kościłkowskiemu (Józef Długosz), prof. Konradowi Górskiemu i prof. Manfredowi Kridlowi (Waldemar Smaszcz), Wydziałowi Sztuk Pięknych (Józef Poklewski), filologii klasycznej (Mieczysław Wiśniowski). Bardzo cennym materiałem jest relacja Leonida Żytkowicza „Uniwersytet Stefana Batorego w ostatnich miesiącach swego istnienia: wspomnienia asystenta”.

I chociaż w grudniu 1939 roku zamknięto Uniwersytet, to jego oddziaływanie trwało jeszcze długo. Wykazał to między innymi Michał Małofiejew w referacie „Rola absolwentów USB w rozwoju Akademii Medycznej w Białymstoku”.

Nie można też pominąć jakże odmiennego, a przez to w dwójnasób interesującego wystąpienia prof. Ireny Sławińskiej „Formacja religijna młodzieży wileńskiej w okresie II Rzeczypospolitej”. To doprawdy niezwykły tekst, mówiący wiele nie tylko o młodzieży, ale o samym charakterze miasta, wielokulturowego, wielowyznaniowego, wielonarodowego, w którym ten konglomerat nie tylko nie był czymś destruk-

cyjnym, ale przeciwnie – uczył wzajemnego poszanowania i tolerancji.

Nie tylko zagadnienia związane z Uniwersytetem zainteresowały badaczy. Jerzy Jasiński ukazał dzieje „Gimnazjum Ojców Jezuitów w Wilnie”, Alina Ulińska poświęciła swoje wystąpienie Państwowemu Liceum im. Jana i Jędrzeja Śniadeckich, Zbigniew Dmuchowski zarysował „Historię Szkolnej Pracowni Przyrodniczej”, Jadwiga Okulewiczowa i Jadwiga Wiśniewska omówiły zagadnienia związane z „Wileńską Chorągwią Harcerki w dwudziestolecu międzywojennym i w latach II wojny światowej.”

Ostatni, czwarty i najbardziej obszerny tom publikacji, gromadzący materiały dotyczące literatury i języka, zasługuje z pewnością na osobne omówienie. Od niemal dwustu lat bardzo wiele z tego, co ważne w literaturze polskiej, wyrasta z Wileńszczyzny — ziemi poetów. W tomie tym znalazły się studia, niesłychanie ważne, poświęcone językowi polskiemu na Kresach. Jak ważne to zagadnienie wykazał choćby monumentalny *Słownik języka Adama Mickiewicza*, przygotowany przez Konrada Górskiego już w Toruniu, ale oparty na zamyśle jeszcze z lat wileńskich znakomitego uczonego.

Tom rozpoczyna referat Zofii Kurzowej „O istocie dialektu północnokresowego”. Autorka zwróciła uwagę na dwie podstawowe cechy dialektu północnokresowego, który powstał głównie z języka polskiego: *Geograficzne oddalenie sprawia, że dialekt północny nie utrzymuje tempa rozwojowego, języka macierzystego, przejawia tempo wolniejsze, zachowuje właściwości, które polszczyzna ogólna dawno zmieniła. To stanowi o archaicznych jego cechach.*

Oddalenie od języka macierzystego powoduje jednak z drugiej strony, że dialekt zaczyna żyć własnym życiem, przeprowadzać zmiany jakby na własną rękę, nie znane polszczyźnie ogólnej. To stanowi o innowacyjnych cechach tego dialektu.

W tej sytuacji do badań bardziej szczegółowych niezbędny jest słownik regionalizmów Wielkiego Księstwa Litewskiego. I właśnie o potrzebie takiego wydawnictwa mówiły Elżbieta Koniusz i Maria Teresa Lizisowa.

Dwa wystąpienia dotyczą Adama Mickiewicza: Bogusława Doparta „Ludowość Adama Mickiewicza

a synkretizm kultury na przykładzie *Dziadów wileńsko-kowieńskich* i Haliny Krukowskiej „Mickiewiczowskie «miejsce ostatnie»”. Szczególnie to drugie studium, poświęcone *Panu Tadeuszowi*, wydaje się nowatorskie i wnoszące własny wkład do badań nad arcyepoematem Mickiewicza. Autorka zaproponowała czytanie *Pana Tadeusza* w porządku swoiście rozumianej «autobiografii», gdyż ten arcy mistrzowski poemat wyrasta (...) z głębokiego osobistego doświadczenia poety.

Kilka studiów zostało poświęconych tematyce kresowej w dwudziestowiecznej literaturze polskiej. To prawdziwa Kresów „siła fatalna”, która mimo wyjątkowo nie sprzyjającej sytuacji i literackiej (różnorodne tendencje awangardowe), i politycznej (cenzura), zniewalała pisarzy i czytelników. Zbigniew Stala skupił swoją uwagę na „Współczesnych realizacjach tradycji gawędy kresowej”. Nina Taylor w studium poświęconym Florianowi Czarnyszewiczowi, od którego bierze początek „powieść litewska” na emigracji, przypomniała tego mało znanego pisarza. Stanisław Uliasz w referacie „Pożoga świata kresowo-ziemiańskiego w kontekście *Szczenięcych lat* Melchiora Wańkowicza” przywołał bardzo ważny temat w naszej literaturze międzywojennej – „katastrofy, jaką był pożar białych ścian domu szlacheckiego” w latach I wojny światowej i wojny polsko-bolszewickiej.

Szczególną uwagę badaczy przyciągnęło życie literackie międzywojennego Wilna. Jagoda Henrik omówiła „Wileńskie Środy Literackie (1927–1939)”, Tadeusz Bujnicki zaś ukazał „Obraz Wilna w międzywojennej poezji wileńskiej (1922 - 1939)”.

Poszerzeniem tej tematyki są referaty Włodzimierza Wójcika „W stronę Sienieżyc. Mit kresów w twórczości Stanisława Balińskiego”, Violetty Wejs-Milewskiej „Pogranicze kultur jako tło dramatu wojennego na Wileńszczyźnie lat 1939-1945 w powieściach i esejach Józefa Mackiewicza”, Elżbiety Kononczuk „Litwa w twórczości Johannes Bobrowskiego”, Krystyny Jaworskiej „Wileńszczyzna w wydawnictwach i wspomnieniach żołnierzy Drugiego Korpusu”.

Ważny jest także kontekst innych literatur tworzonych na tych terenach. I takie wystąpienia znalazły się w omawianym tomie: Selima Chazbijewicza „Tatarzy i

Wileńszczyzna XIX i XX wieku w polskiej i polskotatarskiej literaturze”, Swietłany Musijenko „Wilno i Wileńszczyzna w dziennikach Zofii Nałkowskiej i Maskyma Tanka”, Aleksego Pietkiewicza „Wilno i drogi literackie Grodzieńszczyzny w XIX wieku.”

Zamykam tę wielką wileńską tetralogię z uczuciem niedosytu, gdyż mogłem tylko zasygnalizować część tematów i zagadnień w niej poruszonych. To prawdziwa księga, do której będziemy z pewnością powracać, pierwsza, a więc pionierska, a przecież trudno ją uznać za li tylko rekonesans badawczy. Jej kompetentność świadczy najlepiej, jak bardzo tematyka kresowa jest żywa wśród różnych pokoleń badaczy.

Wilno - Wileńszczyzna jako krajobraz i środowisko wielu kultur. Materiały I Międzynarodowej Konferencji Białystok 21-24 IX 1989. W czterech tomach pod redakcją Elżbiety Feliksiak. Białystok 1992. Tom 1 s.498, tom 2 s.380, tom 3 s.322, tom 4 s.561.

WITRYNA PROGRAMY

INSTYTUT BADAŃ EUROPY ŚRODKOWEJ



Instytut działa w Budapeszcie w strukturze powołanej w 1992 roku Fundacji László Telekiego. Jego dyrektorem jest Csaba G. Kiss, slawista i historyk literatury, zaangażowany w ruch opozycyjny na Węgrzech i w powstanie Węgierskiego Forum Demokratycznego, którego był pierwszym rzecznikiem prasowym. W roku 1990 wycofał się z działalności politycznej, poświęcając się pisaniu i pracy badawczej. Kierowany przez niego Instytut to placówka interdyscyplinarna, odwołująca się do metod komparatystycznych, promująca badania w dziedzinie socjologii, polityki, kultury, antropologii, histo-

rii współczesnej oraz dotyczące mniejszości etnicznych i narodowych. Badania te obejmują obszar Europy Środkowej.

Poprzez publikacje, organizowanie konferencji i sympozjów, debat w środkach przekazu, Instytut stara się czynnie uczestniczyć w przemianach wywołanych rewolucją 1989 roku, popularyzować wiedzę o krajach Europy Środkowowschodniej oraz aktywizować współpracę pomiędzy nimi.

Najważniejsze obszary badawcze Instytutu:

- „Problemy tożsamości narodowej i nacjonalizmu” (analiza tożsamości narodowej w krajach Europy Środkowej, problemy etniczne i narodowe w okresie transformacji, mity narodowe).
- „Mniejszości etniczne i narodowe w Europie Środkowej” (problemy definicji i typologii mniejszości etnicznych i narodowych, badanie poszczególnych mniejszości).
- „Mniejszości węgierskie i diaspora” (społeczna, kulturalna i polityczna historia oraz obecna sytuacja mniejszości węgierskiej za granicą).
- „Migracje Węgrów w świecie w XX wieku” (masowe ruchy migracyjne, procesy asymilacyjne, konflikty kulturowe, problem tożsamości).
- „Wielonarodowe regiony pogranicza” (przynależność etniczna i granice, wzajemne relacje w regionach pogranicza, współlistnienie narodów i grup etnicznych, Węgrzy i ich sąsiedzi).
- „Wyobrażenia mieszkańców krajów Europy Środkowej o innych narodach i grupach etnicznych” (analiza wzajemnych uprzedzeń, postrzeganie przez opinię publiczną, media oraz politycznych liderów ich środkowoeuropejskich sąsiadów).
- „Wielokulturowe tradycje Królestwa Węgier za czasów imperium Habsburgów” (wzory współlistnienia różnych narodów ze szczególnym uwzględnieniem specyfiki Budapesztu w latach 1900-1918).

INSTITUTE FOR CENTRAL EUROPEAN
STUDIES

Szilágyi Erzsébet fasor 22/C
Budapest 1025

tel. (36-1) 176-4572, fax. (36-1) 176-4765



WITRYNA

MAŁE NARODY I MNIEJSZOŚCI ETNICZNE W NADCHODZĄCEJ EUROPIE. Monachium 1993.

Książka jest zbiorem referatów wygłoszonych na międzynarodowej konferencji, która odbyła się w lutym 1992 roku w Mariborze w Słowenii. Organizatorem konferencji był m.in. Ośrodek Studiów Etnicznych, Regionalnych i Socjologicznych przy Uniwersytecie w Mariborze. Teksty przygotowane przez wybitnych europejskich uczonych poświęcone są przede wszystkim problemom krajów Europy Środkowo-Wschodniej, regionom pogranicza (np. włosko-słoweńskiego), autonomii i tożsamości kulturowej (np. Górnego Śląska), tożsamości etnicznej (np. Cyganie), konfliktom etnicznym (np. w byłej Jugosławii), regionalizmowi i federalizmowi. Zgrupowano je w następujące rozdziały: „Narody, państwa i samo-determinacja”, „Regionalizm i integracja europejska”, „Prawa językowe, kulturowe i religijne” oraz „Relacje międzyetniczne”.

Książka ukazała się w monachijskim wydawnictwie „Slavica Verlag Kowač” w serii „Historia, kultura i tradycje intelektualne Słowian Południowych”, z której również inne książki zasługują na uwagę:

R. Lencek, M. Okuka: *A Bibliography of Recent Publications on Macedonian, Serbo-Croatian and Slovene Literature*; M. Okuka, L. Stančić: *Književni jezik u Bosni i Hercegovini od Vuka Karadžića do kraja austrougarske vladavine*; R. Lencek: *The Beginings of the Scientific Study of Minor Slavic Languages: The Correspondence Between Jan Baudouin de Courtenay and Vatroslav Oblak*.

ISCOMET

MNIEJSZOŚCI DLA EUROPY JUTRA

W czerwcu 1989 roku odbyła się w Lublanie Międzynarodowa Konferencja Naukowa „Mniejszości dla Europy Jutra”. Zgodnie z końcową deklaracją tej konferencji zostało powołane międzynarodowe stowarzyszenie o tej samej nazwie — International Scientific Conference Minorities For Europe of Tomorrow, w skrócie ISCOMET.

Stowarzyszenie działa w ścisłej współpracy z istniejącym przy Uniwersytecie w Mariborze (Słowenia) Europejskim Centrum Studiów Etnicznych, Regionalnych i Socjologicznych. Stowarzyszenie posiada status konsultanta Parlamentu Europejskiego.

ISCOMET jest stowarzyszeniem osób i instytucji zainteresowanych badaniem relacji pomiędzy narodami i grupami etnicznymi, problemem tożsamości etnicznej i narodowej w połączeniu z działaniami na rzecz pokoju i przyjacielskiej współpracy pomiędzy ludźmi, państwami i regionami Europy.

ISCOMET inicjuje studia, promuje badania i wzajemną wymianę informacji, nawiązuje współpracę i wspiera instytucje rządowe i pozarządowe broniące praw wszystkich mniejszości i grup etnicznych w Europie.

Podstawową formą działalności ISCOMET jest organizowanie konferencji i seminariów naukowych. W ostatnim okresie przy współpracy z ISCOMET została zorganizowana w Kopenhadze konferencja „Europa Regionów” pod nazwą „Regionalizm i Europa Jutra — Doświadczenia, Wyzwania i Możliwości” (sierpień 1994), a także konferencja w Mariborze „Obrona mniejszości we współczesnych warunkach europejskich ze szczególnym uwzględnieniem Europy Środkowo-Wschodniej” (listopad 1994).

Ważną formą aktywności ISCOMET są także publikacje, m.in. tom rozpraw z konferencji „Małe narody i mniejszości etniczne w przekształcającej się Europie”. Obecnie przygotowywana jest do druku publikacja *Demokratyzacja w Europie Środkowo-Wschodniej i jej znaczenie dla relacji międzyetnicznych*.

Siedzibą ISCOMET jest Uniwersytet w Mariborze. Wśród członków Stowarzyszenia znajduje się ponad trzystu uczonych i ekspertów z różnych krajów świata. Jego przewodniczącym jest profesor Silvo Devetak (Maribor), zastępcami — profesorki Peter Roberts (Leeds), Winfried Böttcher (Aachen) oraz doktor Ljuba Sziszelina (Moskwa). Sekretarzem Generalnym Stowarzyszenia jest Jasmina Klotnik (Maribor).

ISCOMET
Mladinska 9
62 00 MARIBOR, SLOVENIA
tel. 38 62 221-709
fax: 38 62 222-240



OTWARTA SUBOTICA

Subotica jest, obok Nowego Sadu, najważniejszym miastem Wojwodiny, regionu Nowej Jugosławii położonym przy granicy z Węgrami i Rumunią. W wielonarodowej i wielowyznaniowej stutysięcznej społeczności żyją tutaj m.in.: Węgrzy, Chorwaci (tzw. Buniewcy), Serbowie, Żydzi, Rusini, Romowie, Słowacy, Muzułmanie.

Subotica, pozostając w bezpośrednim sąsiedztwie tragicznego konfliktu na Bałkanach, przyjmując uchodźców wojennych, mając u siebie partie narodowe zaangażowane w konflikt, jest dzisiaj miejscem niezwykle ważnym, w którym znaczenie podstawowe ma przezwyciężenie napięć i zagwarantowanie dobrego współżycia wielonarodowej społeczności.

W roku 1993 przy współpracy Uniwersytetu Otwartego w Suboticy, Helsińskiego Komitetu Obywatelskiego oraz Forum Relacji Etnicznych z Belgradu zostało utworzone w Suboticy EUROPEJSKIE CENTRUM OBYWATELSKIE DLA ROZWIĄZYWANIA KONFLIKTÓW (ECCCR – European Civic Center For Conflict Resolution).

Zadaniem Centrum jest budowanie społeczeństwa otwartego w Serbii i w Czarnogórze, zaangażowanie w procesy integracji europejskiej oraz działania na rzecz lepszego zrozumienia przez społeczność międzynarodową procesów zachodzących we współczesnej Nowej Jugosławii.

Poprzez realizowanie programów społecznych i edukacyjnych, pracę badawczą, otwarte dyskusje, udzielanie stypendiów naukowych (szczególnie dla ludzi młodych) oraz wydawnictwa, Centrum zajmuje się przede wszystkim konfliktami etnicznymi oraz badaniem narodu, nacjonalizmu oraz mniejszości narodowych i religijnych, problemów uchodźców, praw kobiet itd.

Działania podejmowane przez Centrum:

- Pobudzanie do inicjatywy i współpracy różnych instytucji i stowarzyszeń obywatelskich w celu rozwiązywania konfliktów poprzez rozpowszechnianie rezultatów badań, czynną edukację, organizowanie grup obserwatorów i grup rozwiązywania konfliktów, publikowanie broszur i wydawnictw.
- Monitorowanie konfliktów przez instytucje rządowe i niezależne instytucje społeczeństwa obywatelskiego.
- Analizy i opracowania prognostyczne angażujące do współpracy ekspertów rozmaitych dziedzin.
- Edukacja grup społecznych żyjących w regionach o szczególnym nasileniu konfliktów.

Programy realizowane przez Centrum:

1. „Puls Jugosławii” (systematyczne badania opinii społecznej Serbii i Czarnogóry).
2. „Serbia pomiędzy przeszłością a przyszłością” (publikacje).
3. „Relacje serbsko-albańskie w kontekście bałkańskim” (projekt badawczo-wydawniczy).
4. „Mniejszości narodowe i etniczne w Federalnej Republice Jugosławii” (długoplanowy projekt badawczy oraz baza danych dotycząca mniejszości i ich statusu).
5. „Teorie, koncepty i strategie sprzyjające rozwojowi nacjonalizmu i konfliktów etnicznych” (projekt badawczy).
6. „Konflikty etniczne i ich rozwiązywanie” (projekt badawczo-wydawniczy).

7. „Prawa człowieka i wolność w społeczeństwach postkomunistycznych” (długoterminowy projekt badawczo-wydawniczy).

8. „Przemoc wobec kobiet” (projekt badawczo-wydawniczy).

9. „Migracje i problem uchodźstwa” (projekt naukowo-badawczy):

- a) konflikty etniczne i migracje w Nowej Jugosławii
- b) problemy uchodźców na terytorium byłej Jugosławii

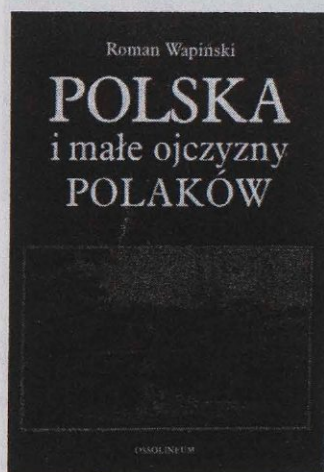
10. Regionalna restrukturyzacja i zagadnienie regionalizmu: problem subregionalnej współpracy ekonomicznej na Bałkanach — Albania, Czarnogóra, Macedonia, Serbia i Kosowo.

Koordinatorami programów realizowanych przez Centrum są m.in. Dušan Janjić (Belgrad), Boško Kovačević (Subotica), Vladan Vasilijević (Belgrad), Srdjan Bogosavljević (Belgrad), Nadia Skenderović (Subotica).

**EUROPEAN CIVIC CENTER
FOR CONFLICT RESOLUTION**

Trg Cara Jovana Nenada 15
24000 SUBOTICA
tel. 381 24 24 600
fax. 381 24 37 116

WITRYNA WYDAWNICTWA



Roman WAPIŃSKI: *Polska i małe ojczyzny Polaków. Z dziejów kształtowania się świadomości narodowej w XIX i XX wieku po wybuch II wojny światowej.* Wrocław 1994.

Po książkach poświęconych okresowi międzywojennemu i problemom nacjonalizmu polskiego (*Narodowa Demokracja 1893 - 1939*, *Roman Dmowski. Pokolenia Drugiej Rzeczypospolitej*) autor podejmuje próbę przeanalizowania postaw Polaków wobec ich „ojczyzny ideologicznej” i „ojczyzn prywatnych”. Uwagę koncentruje na latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XIX wieku oraz okresie do roku 1939.

Pytania stawiane przez autora dotyczą zasięgu geograficznego ojczyzn, charakterystyki obszarów, które objęte są „polskimi aspiracjami”, procesów kształtujących świadomość narodową, przejawów „obcości” dzielących Polaków różnych dzielnic i regionów. Na uwagę zasługuje mocne wyartykułowanie relacji (które w dotychczasowych pracach na ten temat były pomijane albo bagatelizowane) pomiędzy Polakami a współmieszkańcami ich ojczyzn o innej narodowości. Książka ważna dzisiaj, przydatna w dyskusji nad obecnością Polski pośród jej sąsiadów, nad naszą tożsamością.

INNI wśród swoich

Białorusini,
Cyganie, Czesi, Grecy,
Karańczini, Litwini,
Lemkowie,
Macedończycy, Niemcy,
Ormianie, Rosjanie,
Słowacy, Tatarzy,
Ukraińcy, Węgrzy,
Żydzi

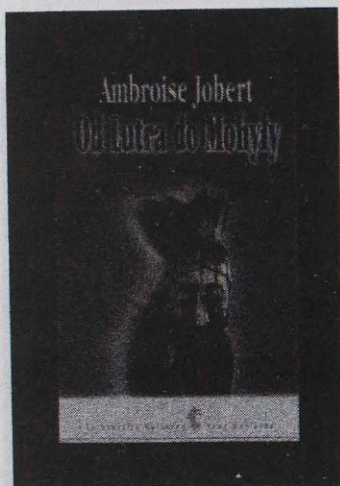


INNI WŚRÓD SWOICH. Redakcja naukowa tekstów Wiesław Władyka. Wybór i opracowanie zdjęć Aleksandra Garlicka, Warszawa 1994.

Książka, wydana przez Instytut Badań Literackich Polskiej Akademii Nauk, poświęcona jest wielokulturowej tradycji Rzeczypospolitej, dziejom i kulturze mniejszości narodowych i wyznaniowych zamieszkujących Polskę dawniej i dziś. Zawiera noty informujące o poszczególnych mniejszościach oraz referaty Janusza Tazbira, Marcina Kuli, Marii Janion, Antoniny Kłoskowskiej, Marka Zalewskiego i Jerzego Malinowskiego, wygłoszone podczas sesji naukowej, która odbyła się w Warszawie 16-17 września 1992 roku.

Ważną częścią książki są fotografie z lat 1861-1992, które prezentowane były na wystawie pn. „Inni wśród swoich” w Muzeum Niepodległości w Warszawie w 1992 roku.

Ta bardzo starannie wydana książka jest zalecana przez Ministerstwo Edukacji Narodowej do użytku szkolnego, może więc stać się długo oczekiwaną pomocą w nauczaniu naszej historii i kultury.



Ambroise JOBERT: *Od Lutra do Mohyły. Polska wobec kryzysu chrześcijaństwa 1517-1648.* Przełożyła Elżbieta Sękowska. Warszawa: IW PAX, Oficyna Wydawnicza VOLUMEN 1994.

Po ukończonej w 1941 roku i do dziś niezastąpionej monografii Komisji Edukacji Narodowej (polskie wydanie w 1979 roku), otrzymujemy drugie, klasyczne dzieło wielkiego znawcy i przyjaciela Polski, niezjącego już profesora Joberta. Dwadzieścia lat pracy badawczej — poszukiwań w zagranicznych bibliotekach i archiwach poloników, rozmów z polskimi historykami, wędrowek od Karpat po Pomorze, podczas których „odwiedzał cerkiewki ongiś unickie lub prawosławne, odnajdywał resztki bożnic i zborów, gromadził materiał ilustracyjny, próbował przeprowadzać wywiady” — złożyło się na powstanie tej książki, ukazującej wielki wkład Rzeczypospolitej w kształtowanie europejskiej tolerancji i wolności sumienia.

Jobert, z wielką wnikliwością i uznaniem opisując nasze wielonarodowe i wielowyznaniowe dziedzictwo, napisał pracę szczególnie ważną dzisiaj, kiedy usiłujemy odbudować więzi z Niemcami, Ukraińcami, Białorusinami i Litwinami.

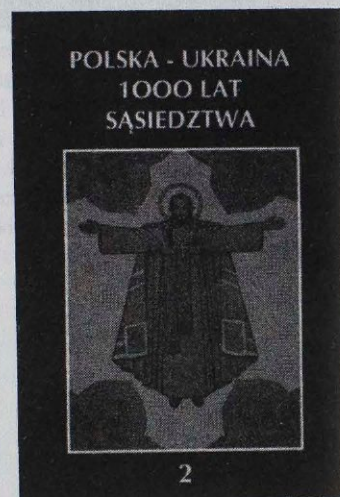


POLSKA — BIAŁORUŚ 1918-1945. Zbiór studiów i materiałów pod redakcją Wiesława Balceraka. Warszawa 1994.

Zebrałe w książce referaty historyków polskich i białoruskich pochodzą z konferencji zorganizowanej w czerwcu 1993 roku przez Instytut Historii Polskiej Akademii Nauk, Stowarzyszenie Współpracy Polska-Wschód oraz Stowarzyszenie Polska — Białoruś.

Książka jest próbą nowego spojrzenia na stosunki polsko-białoruskie, które dotychczas było zdeterminowane opcją władz sowieckich. Ze strony polskich historyków znacząca jest propozycja ukazania w nowym, niejednoznacznie pozytywnym świetle traktatu ryskiego, który „przekreślił szansę wybicia się Białorusi na niepodległość” (Balcerak) oraz przekreślił ostatecznie federacyjną koncepcję Piłsudskiego. Istotny w tych rozważaniach jest również fakt, że nie ograniczono się do analizowania wyłącznie stosunków polsko-białoruskich poświęcając także uwagę relacjom rosyjsko-białoruskim i litewsko-białoruskim.

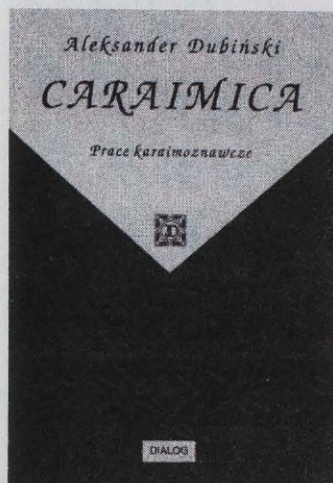
Z kolei teksty historyków białoruskich poszerzają znacznie naszą wiedzę o polityce władz sowieckich wobec ludności polskiej na Białorusi i jej martyrologii.



POLSKA — UKRAINA. Tysiąc lat sąsiedztwa. T. 2: Studia z dziejów chrześcijaństwa na pograniczu kulturowym i etnicznym pod red. Stanisława Stępnia. Przemysł 1994.

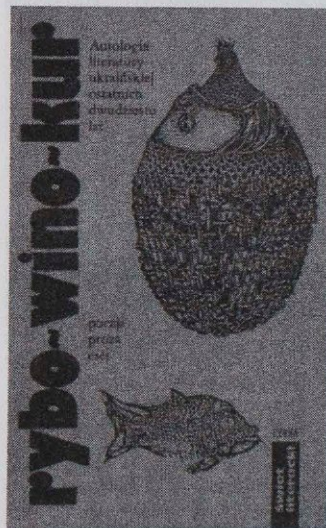
Pierwszy tom studiów wydawanych przez Południowo-Wschodni Instytut Naukowy w Przemyslu ukazał się w 1990 roku i poświęcony był milenium chrztu Rusi-Ukrainy i jego konsekwencjom na polsko-ukraińskim pograniczu. Rozprawy i artykuły zamieszczone w tomie drugim nawiązują do zbliżającej się rocznicy unii brzeskiej (1596).

Materiały dotyczą dziejów unii kościelnych ze szczególnym uwzględnieniem dziejów grekokatolików w Polsce oraz ich martyrologii w Europie Środkowo-Wschodniej po drugiej wojnie światowej. Rozdział książki pt. *Kultura a życie religijne Ukraińców* zawiera teksty poświęcone malarstwu i muzyce w kręgu obrządku bizantyńskiego oraz wzajemnym oddziaływaniom sztuki łacińskiej i bizantyńskiej.



Aleksander DUBIŃSKI: *Caraimica: prace karaimoznawcze*. Warszawa: Wydawnictwo Akademickie „Dialog” 1994.

Aleksander Dubiński jest wybitnym znawcą problematyki Karaimów — grupy etnicznej zaliczanej do ludów tureckich, która przywędrowała z Krymu, zakładając swe główne ośrodki w Trokach koło Wilna (gdzie w rodzinie karaimskiej w roku 1924 urodził się autor), w Łucku na Wołyniu i w Haliczu. Książka jest wyborem rozpraw i referatów karaimoznawczych publikowanych w polskich i zagranicznych czasopismach, pracach zbiorowych i materiałach kongresowych. W pracach swych autor zajmuje się Karaimami jako grupą etniczną i wyznaniową, językiem i literaturą karaimską, życiem społeczno-kulturalnym Karaimów (zwłaszcza na Wileńszczyźnie), a także dziejami badań karaimoznawczych (w tym pracami swego profesora z Uniwersytetu Warszawskiego Ananiasza Zajączkowskiego). Książka zawiera również ilustracje, pełną bibliografię prac Aleksandra Dubińskiego oraz bibliografię publikacji religioznawczych w zakresie karaimoznawstwa polskiego (1918 - 1980).

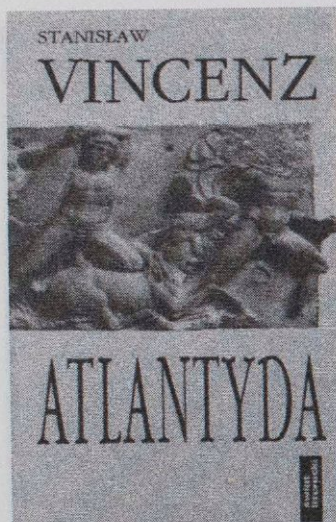


RYBO — WINO — KUR. *Antologia literatury ukraińskiej ostatnich dwudziestu lat*. Wybór i wstęp Ola Hnatiuk. Warszawa: Wydawnictwo TYRSA oraz „Świat Literacki” 1994.

Jurij ANDRUCHOWYCZ: *Rekreacje*. Przekład Ola Hnatiuk. Warszawa: „Świat Literacki” 1994.

Antologia zawiera przekłady ukraińskiej poezji, prozy i esejów twórców lat sześćdziesiątych (tzw. szesdziesiątników, m.in.: Stus, Kałyneć, Holoborod'ko, Szewczuk) i osiemdziesiątych (tzw. wimsidiesatników, m.in.: Andruchowycz, Małkowycz, Riabczuk). Uzupełnia ją starannie opracowana bibliografia powojennych przekładów polskich z literatury ukraińskiej.

Dopełnieniem tej antologii jest powieść Andruchowicza *Rekreacje*. Jej autor, urodzony w roku 1960, należący do grupy „Bu-ba-bu”, reprezentuje pokolenie dalekie od tworzenia literatury zaangażowanej, zbuntowane wobec narodowo-mesjanistycznej tradycji. Bohaterowie powieści, młodzi poeci ukraińscy, pozbawieni są wszelkich przymiotów wieszczów i przywódców duchowych. Poprzez groteskową formę powieści autora bezlitośnie demitologizuje tradycję, drażni, atakuje narodo- we świętości i burzy konwenanse.

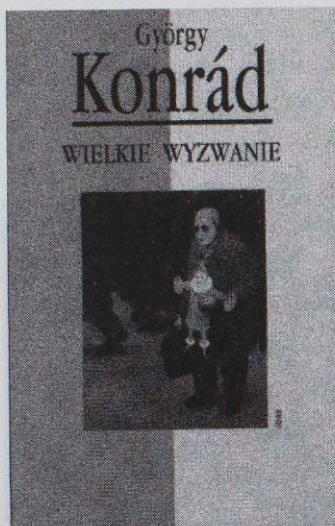


Stanisław VINCENZ: *Atlantida*. Pisma rozproszone z lat II wojny światowej. Wstęp i opracowanie Jerzy Snopek. Warszawa: Wydawnictwo „Świat Literacki” 1994.

Po książce *Outopos: zapiski z lat 1938 - 1944* otrzymujemy kolejny wybór mało znanych tekstów Vincenza pisanych przez niego w czasie pobytu na Węgrzech, pochodzących z różnych czasopism, almanachów, jednodniówek i kalendarzy opublikowanych w środowisku uchodźczym na Węgrzech, a także z rękopisów przechowywanych w Muzeum Literatury im. Petőfi'ego w Budapeszcie.

Świadectwem miłości Vincenza do Węgier były już wcześniej publikowane w jego książkach piękne eseje: *Brama do Węgier i Pole Bobrowe*. Przekonują o tym również listy pisane do jego pobratyma z Siedmiogrodu, wybitnego poety, Lajosa Aprily'ego. Poznała ich ze sobą Kazimiera Iłakowiczówna, przebywająca w owym czasie w siedmiogrodzkim Kolożwarze i zajmująca się m.in. przekładami poezji Adyego.

W tym zbiorze pism szczególną uwagę zwracają eseje *Atlantida* i *O propagandzie* oraz szkice o Dantem, Mickiewiczu i Whitmanie.



György KONRAD: *Wielkie wyzwanie. Europa Środkowo-Wschodnia po komunizmie*. Przełożyli Krystyna i Bogdan Góralczkowie. Warszawa: Niezależna Oficyna Wydawnicza 1994.

Doczekaliśmy się wreszcie w Polsce pierwszej książki jednego z najwybitniejszych intelektualistów środkowoeuropejskich, autora *Antypolityki*, dysydenta, rzecznika idei Europy Środkowej. *Wielkie wyzwanie* to zbiór esejów pisanych w latach 1990-1993, przenikliwie analizujących sytuację społeczeństw krajów postkomunistycznych w momencie transformacji ustrojowej i światopoglądowej. Pomimo bezlitosnej ironii i krytycznego spojrzenia na to, co dzieje się w naszej części Europy, Konrad jest pełen ufności w Środkowoeuropejczyka, pomaga mu odzyskać poczucie własnej wartości. „Dlaczego Zachodnia część Europy interesuje się jej wschodnią częścią? (...) ponieważ szuka ideału.”

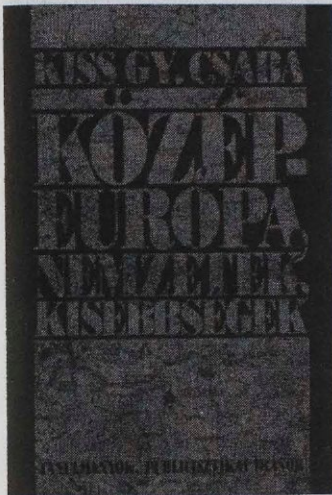
Zachęca do poszukiwania siły u siebie i w najbliższym sąsiedztwie: „Europa Zachodnia chętniej widzi Europę Środkową jako gospodarza, niż jako gościa.” W odróżnieniu od wielu swych dysydenckich kolegów, Konrad jest bardzo konsekwentny w swych poglądach i nadal broni zasady antypolityki jako moralnego osądu polityki albo idei aktywnej integracji w Europie Środkowo-Wschodniej przeciwstawiającej się narodowym partokularyzmem. Wydarzenia w byłej Jugosławii analizowane w ostatnich esejach przysparzają nie mało mocy i aktualności argumentom autora.



Csaba Gy. KISS: *Nálunk és a szomszéd nemzeteknél. (U nas i u narodów sąsiednich)*. Pécs: Wydawnictwo „Jelenkor” 1994.

Nikt dotychczas nie napisał historii literatury środkowoeuropejskiej. Czy istnieje taka potrzeba? Czy istnieje kulturowa jedność tego regionu Europy? Na te pytania próbuje odpowiedzieć w swoich esejach Kiss. Zdaniem autora, co najmniej trzy czynniki determinują wspólnotę twórców stąd wywodzących swe korzenie: pogranicze Rzymu i Bizancjum, przynależność do „małych narodów” oraz wielokulturowość regionu.

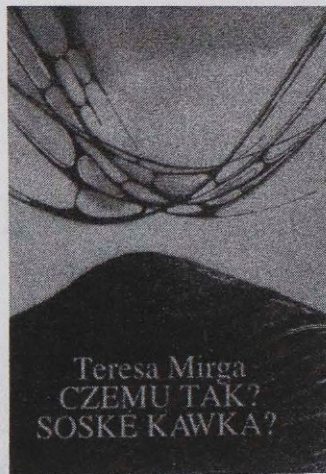
Dużo uwagi Kiss poświęca literaturze słowackiej (Hviezdoslav, Lukač, Ballek, Minač), polskiej (Reymont, Parandowski, Vincenz, Miłosz, Gombrowicz), czeskiej (Hrabal), chorwackiej (Krlęža)... „Moją *ideą fix* jest porozumienie środkowoeuropejskie, dla którego niezbędne jest przekształcenie pojęcia narodu, a nie jego odrzucenie. Polacy, Czesi, Słowacy pragną swej ojczyzny — to rzecz naturalna. Ale nie jest obojętne, jakiej ojczyzny...”



Csaba Gy. KISS: *Kozép-Európa, nemzetek, kisebbségek. (Europa Środkowa, narody, mniejszości)*, Budapeszt: Wyd. Pesti Szalon 1993.

Autor zamieszczonych w książce esejów i publicystyki jest wybitnym slawistą, historykiem literatury, dyrektorem Instytutu Europy Środkowej w Budapeszcie.

Czy w centrum świadomości ludzkiej ma stać przynależność do danego narodu, czy do uniwersalnej kultury ludzkości? To przeciwstawienie - stwierdza Kiss - jest błędne i wynika z utożsamienia świadomości narodowej z nacjonalizmem. W rzeczywistości kosmopolityzm jedynie pobudza skrajności nacjonalistyczne. Ta problematyka zostaje rozszerzona na całą Europę Środkową, zdaniem autora bowiem, sytuacji węgierskiej nie da się zrozumieć bez znajomości specyfiki całego regionu. W książce są zaakcentowane dwa źródła współczesnych konfliktów i kłopotów z tożsamością: mity narodowe (zwłaszcza historyczne) oraz mniejszości narodowe.



Teresa MIRGA: *Czemu tak? Soske kawka?* Podkowa Leśna: Koło Podkowy — Spółka Poetów 1994.

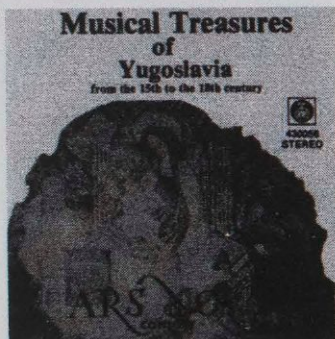
Teresa Mirga jest Cyganką urodzoną i mieszkającą w Czarnej Górze, niewielkiej osadzie w pobliżu Bukowiny Tatrzańskiej. Kilka lat temu wraz ze swoją rodziną założyła tam zespół muzyczny „Kale Bała”. To głównie dzięki pisanym przez nią pieśniom, zespół dopracował się oryginalnego brzmienia i niepowtarzalnej melodyki, co wyróżniało go spośród innych kapel cygańskich i przysporzyło rozgłosu w całej Polsce.

Pieśni pisane i śpiewane przez Teresę Mirgę stanowią zawartość tomiku. Bywa, że pieśni pisane są w języku polskim, najczęściej jednak w języku romskim, które wydawcy drukują w wersji dwujęzycznej. Oto znowu pomiędzy nami jest Cyganka, „trochę za śmiała...” „i jej małe i jakże proste, ale czułe pieśni, które wciąż mówią o tym samym...”



Muzyka z filmu **LATCHO DROM**

Film Tony Gatlifa pt. „Latcho Drom” o wędrownym Romów jest już głośny w świecie, także dzięki muzyce, która w roku 1993 została wydana we Francji na płycie kompaktowej. Muzyka ta jest bardzo zróżnicowana, zmieniająca się w zależności od kraju, przez który Romowie wędrowali. Wśród wykonawców są pieśniarze ludowi i zespoły muzyki tradycyjnej z Radżastanu (region w północnych Indiach, z którego najprawdopodobniej wywędrowali Romowie), Egiptu, Turcji, Rumunii, Węgier, Słowacji, Francji i Hiszpanii.



MUSICAL TREASURES OF YUGOSLAVIA FROM THE 15TH TO THE 18TH CENTURY. (Muzyczne skarby Jugosławii od XV do XVIII wieku).

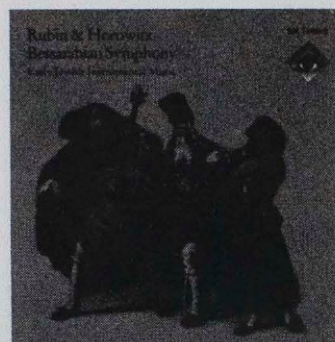
Płyta kompaktowa nagrana w Belgradzie przez zespół „Ars Nova” specjalizujący się w muzyce ludowej Słowian Południowych oraz muzyce średniowiecza, renesansu i baroku. Muzycy wykonują ją na kopiach oryginalnych instrumentów z tych epok.

Obok starożytnych pieśni ludowych, odczytanych z pierwszych zapisów nutowych pochodzących z początku XIX wieku, na płycie znajdują się utwory Kira Isaija Srbina — serbskiego kompozytora z XV wieku, Franjo Bosanaca, kompozytora z Bośni z tego samego okresu oraz pieśń rybaków do słów chorwackiego poety Petara Hektorovića. Osobną część płyty stanowią utwory kompozytorów włoskich z XVII wieku, którzy przybyli na Bałkany i tam tworzyli: Tomaso Cecchini (Split i wyspa Hvar) i Vicenco Komnen (Dubrownik).



MUZSIKAS: Maramaros - The Lost Jewish Music of Transylvania.

Długa była droga słynnego węgierskiego zespołu „Muzsikás”, wywodzącego się z ruchu domów tańca, do przygotowania płyty kompaktowej poświęconej żydowskiej muzyce z Siedmiogrodu. Nie zachowały się żadne zapisy tej muzyki, żaden Żyd-muzykant pochodzący z Máramaros, północnego regionu Siedmiogrodu, bogatego kiedyś w tradycję żydowską, nie ocalał z wojennych deportacji i eksterminacji. Pierwszym przewodnikiem dla członków zespołu był Zoltán Simon, którego zaraz po wojnie Kodály zachęcił do zbierania muzyki żydowskiej w Máramaros. Potem spotkali muzyków cygańskich: Georghe Covaci (skrzypce) i Árpáda Toni (cymbały), którzy przed wojną grali na weselach i innych świętach żydowskich. Obaj wzięli udział w nagrańach zespołu „Muziskas”. W ten sposób powstała płyta, która ukazuje wprawdzie wiele pokrewieństw siedmiogrodzkiej muzyki żydowskiej z węgierską i cygańską, ale odkrywa przecież jednocześnie niepowtarzalny świat dźwięków uznany już za bezpowrotnie zaginiony.



RUBIN AND HOROWITZ: Bessarabian Symphony. Early Jewish Instrumental Music.

Nagrana w Niemczech w 1994 roku płyta kompaktowa dwóch kongenialnych klezmerów żydowskich, prawdziwych spadkobierców tradycji Gusikowa, Jankowicza, Brandweina, Tarrasa i innych wielkich mistrzów. Joel Rubin (klarnet C, cymbały) grał tradycyjną muzykę żydowską m.in. z Musa Berlin (Izrael) i zespołem Epstein Brothers (USA), a jednocześnie muzykę jazzową z Branfordem Marsalisem. Joshua Horowitz (harmonia-guzikówka, cymbały) grał z Stanem Getzem, prowadził orkiestrę kameralną, jest kompozytorem i pedagogiem. Obaj prowadzą badania etnomuzykologiczne, uczą i publikują, tworzą muzykę teatralną.

The Bessarabian Symphony to nazwa klezmerskiego zespołu grającego w Nowym Jorku w latach dwudziestych naszego wieku. Pamięci muzyków tworzących wówczas ten zespół autorzy zadedykowali swoją płytę.

Muzyka, która jest natchnieniem i inspiracją dla Rubina i Horowitza, to muzyka Żydów zamieszkujących kiedyś obszary od Odessy po Wilno, a zwłaszcza muzyka chasydzka szkół: Sadagora, Karlin, Braclaw, Lubawicz i Chabad. Ta płyta to siedemdziesiąt dwie minuty muzyki przekazanej przez dawnych mistrzów, improwizowanej na tradycyjnych tematach oraz komponowanej przez wykonawców.

ŚWIECE NA WIETRZE

UROŠ ZUPAN

ELEGIA SARAJEWSKA

SARAJEVSKA ELEGIJA

Josipu Ostiju

beseda mora biti zapisana in ne samo izgovorjena,
učim Hamleta iz Fortinbrasove elegije.
zapisal si jo in mi odgrnil zaveso,
zdaj lahko spet razločno slišim glasove
napovedovalcev, ki prihajajo skozi stene,
zdaj sem lahko zopet pozoren na nekaj,
kar je postalo dnevni ritual, ustaljena
igra smrti, zdaj, ko sem si zakopal
roke v glavo, ko sem si segel skozi oči,
da bi se dotaknil prostora, na katerem
se v vseh nas začenja zlo.

vem, da si nisi predstavljal, da te bo
doletelo, da boš moral peti o tem.
naloga je težka, včasih pretežka
za človeka v pesniku, za pesnika v človeku.
in občutek krivde ogromen,
a beseda mora biti zapisana, zato smo tu,
navkljub jezi in nemoči, navkljub solzam
in vitju rok, ker se stavki hranijo z
muko in žalostjo, ker besede nemetaforično
rastejo v krvi.

ali bi postal pesnik, če bi vedel,
da boš nekoč pisal svojo Knjigo mrtvih,
ali se ne bi raje temu odrekel?

toda ne, ti veš, da s te točke ni umika.
da je treba obujati mitologijo, natančno opisati
prostore, kajti vse manj in manj jih obstaja,
jih ostaja, vse manj jih boš lahko prepoznal,
zato morajo biti slike, ki prihajajo iz spomina,
ki je zdaj tvoj edini krvni brat, močnejše,
slike postavljene v stavke močnejše
kristalno jasne in čiste, da ne izgubijo
nobenega obrisa, vonji bolj živi od pravih vonjev,
stavbe bolj mirne in slovesne kot so bile,
vse manj in manj ostaja, in ulice ne bodo
mogle očem vrniti spomina,
lahko ga bodo le tvoje besede,
besede vstale iz krvi.

danes popoldne sem bral tvoje pričevanje mrtvih,
in sem se spomnil poljske poezije, sem se
spomnil Zagajewskega, ki piše o tem,
kako so oblast prevzele opice,
in mi tega nismo opazili,
ker smo imeli pametnejše delo,
kajti mi nikoli ničesar ne opazimo, kar nas
neposredno ne zadeva, kar nam ne krade življenja
in spominov, kar nam ne briše obrazov dragih oseb,
to je moje priznanje krivde in napak,
in izgovorim se lahko, da sem imel pametnejše delo,
kot je zaljubljanje, spuščanje vonja cvetočih lip v nosnice,
branje Stevensovega Nedeljskega jutra,
ki govori o oddaljenih, pradavnih žrtvah,

ne tistih, o katerih pišeš ti,
ne o zvereh, ki stegujejo gobce iz
tvojih verzov, ki se hranijo s plazmo tvojih
sanj, ne o ljudeh, ki brez glav stopajo
iz tvojih pesmi, in tavajo po ulicah tvojega Sarajeva,

in nobene lepote ni v teh smrtih,
nobene mističnosti, nobenih kozmično uglasenih tonov.

le jok in molitev hodže iz džamije,
jok in molitev rabina iz sinagoge,
jok in molitev popa in duhovnika,
v smrti, v ognju, v krvi smo vsi goli in nemočni,
in vsak jok je isti, in vsaka bolečina in izguba,
ne glede na stran, ista.

lani sva delala načrte, kako bom prišel
k tebi v Sarajevo, v mesto poezije,
oborožen s poezijo, brat angelom,
angelom zaščitnikom, ne angelom uničevalcem.

letos smo brali v Ljubljani,
da bi mogoče naše besede pomenile kaj več,
kot le zvočno razpuščanje glasov v zraku,
da bi raztegnile minute zatišja,
jih razprle čez večnost.

in v to večnost je postavljena tudi tvoja vrnitev,
in ko se bo zgodila, bo del mene odšel s tabo,
in poskušal tam na ruševinah napisati
drugačno pesem o mestu, ki ga nisem nikoli videl,
drugačno pesem kot je ta, v kateri še vedno tipam
za prostorom v glavi vsakega človeka,
prostorom, v katerem se začenja zlo,
in moje roke z velike višine
počasi padajo v neskončen prepad.

ELEGIA SARAJEWSKA

Josipowi Ostiemu

słowo musi być zapisane i nie tylko wymówione,
uczę Hamleta z Trenu Fortynbrasa.
zapisaleś je i zdarteś dla mnie zasłonę,
teraz mogę znów słyszeć wyraźnie głosy
spikerów dochodzące poprzez ściany,
teraz mogę znów zwracać uwagę na coś,
co stało się codziennym rytuałem, ustaloną
grą śmierci, teraz, gdy zatopiłem sobie
ręce w głowę, sięgnąłem poprzez oczy,
by dotknąć miejsca, w którym
w nas wszystkich zaczyna się zło.

wiem, że nie wyobrażałeś sobie, że
spadnie na ciebie, że będziesz musiał śpiewać o tym.
zadanie jest trudne, czasem zbyt trudne
dla człowieka w poecie, dla poety w człowieku.
i poczucie winy ogromne,
lecz słowo musi być zapisane, po to tu jesteśmy,
na przekór gniewowi i bezsilności, na przekór łzom
i załamywaniu rąk, ponieważ zdania karmią się
męką i smutkiem, ponieważ słowa niemetaforycznie
rosną we krwi.

czy stałbyś się poetą, gdybyś wiedział,
że będziesz kiedyś pisał swoją Księgę zmarłych,
czy nie wolałbyś się wyrzec tego?

lecz nie, ty wiesz, że z tego punktu nie ma odwrotu,
że trzeba przywołać mitologię, dokładnie opisać
miejsca, bo coraz mniej i mniej ich istnieje,
mniej zostaje, coraz mniej ich będziesz mógł rozpoznać,
dlatego obrazy przychodzące z pamięci, która jest teraz
twoją jedyną rodzoną siostrą, muszą być silniejsze,
obrazy umieszczone w zdaniach silniejsze,
kryształowo jasne i czyste, by nie stracić
żadnego kształtu, zapachy żywsze od prawdziwych zapachów,
budynki spokojniejsze i uroczystsze niż były,
coraz mniej i mniej zostaje, i ulice nie będą
mogły oczom przywrócić pamięci,
to będą mogły zrobić tylko twoje słowa,
słowa powstałe z krwi.

dzisiaj po południu czytałem twoje świadectwo zmarłych,
i przypomniała mi się polska poezja, przypomniał mi się
Zagajewski, który pisze o tym,
jak władzę zdobyły małpy,

a my tego nie zauważyliśmy,
bo mieliśmy mądrzejsze rzeczy do zrobienia,
bo nigdy niczego nie zauważamy, co nas
bezpośrednio nie dotyczy, co nam nie kradnie życia
i wspomnień, co nam nie zabiera twarzy naszych ukochanych,
to jest moje przyznanie się do winy i pomyłek,
i mogę się wymawiać, że miałem mądrzejsze rzeczy do zrobienia,
jak zakochanie się, wpuszczanie zapachu kwitnących lip w nozdrza,
czytanie Niedzielnego poranka Stevensa,
który mówi o dalekich, pradawnych ofiarach,

nie tych, o których piszesz ty,
nie o dzikich zwierzętach, które wystawiają pyski z twoich
wersetów, które karmią się plazmą twoich
snów, nie o ludziach, którzy bez głów wynurzają się
z twoich wierszy, i błąkają się po ulicach twojego Sarajewa,

i żadnego piękna nie ma w tych śmierciach,
żadnej mistyczności, żadnych kosmicznie zgranych tonów.

tylko płacz i modlitwa hodży z meczetu,
płacz i modlitwa rabina z synagogi,
płacz i modlitwa popa i księdza,
w śmierci, w ogniu, we krwi wszyscy jesteście nadzy i bezsilni,
i każdy płacz jest ten sam, i każdy ból i każda strata,
bez względu na stronę, ta sama.

w zeszłym roku planowaliśmy, że przyjadę
do ciebie do Sarajewa, do miasta poezji,
uzbrojony poezją, brat aniołom,
aniołom stróżom, nie aniołom zagłady.

w tym roku czytaliśmy wiersze na wieczorach w Lublanie,
aby, być może, nasze słowa znaczyły coś więcej,
niż tylko dźwięczne rozsiewanie głosów w powietrzu,
by rozciągnęły minuty ciszy bez walki,
rozpostarły je przez wieczność.

i w tę wieczność postawiony jest też twój powrót,
i gdy nastąpi, część mnie odjedzie z tobą,
i tam na ruinach spróbuje napisać
inny wiersz o mieście, którego nigdy nie widziałem,
inny wiersz niż ten, w którym jeszcze ciągle szukam
i próbuję po omacku znaleźć miejsce w głowie każdego człowieka,
miejsce, w którym zaczyna się zło,
i moje ręce z wielkiej wysokości
powoli spadają w nieskończoną przepaść.

Przełożyła ze słoweńskiego
Katarina Salamun-Bledrzycka

GODZINA MYŚLI

DRAGO JANČAR

TROCHEŃ NIEPOWAŻNA PIEŚŃ POCHWAŁNA NA CZEŚĆ GRY I MORZA

A TAK, OTWIERA SIĘ TU KASYNO GRY!

I już starosta wsiadł do przedziału, już stał w oknie. Jego ręka w szarej rękawiczce glacie leżała na spuszczonej szybie, łysa czaszka błyszczała. Jego zatroskany wzrok raz jeszcze pobiegł ku Karolowi Józefowi. - Kiedy pan drugim razem do nas zawita, panie starosto - odezwał się kapitan Wagner, będący stale w dobrym humorze - zastanie pan tu maleńkie Monte Carlo. - Jak to? - zdziwił się starosta. - A tak, otwiera się tu kasyno gry - odparł Wagner. I zanim jeszcze pan von Trotta mógł przywołać syna, by go serdecznie ostrzec przed zapowiedzianym „Monte Carlo”, parowóz gwizdnął, bufory uderzyły o siebie i pociąg ruszył. Starosta kiwał szarą rękawiczką. Oficerowie salutowali. Karol Józef stał bez ruchu. W drodze powrotnej szedł obok kapitana Wagnera. — To będzie wspaniała sala gry - mówił kapitan. — Prawdziwa sala gry! Ach, mój Boże! Jak dawno nie widziałem już ruletki. A tak szalenie lubię jej wirowanie i ten jej szmer. Cieszę się bardzo!

Tak w powieści Marsz Radetzky'ego znakomity pisarz austriacki, Joseph Roth, opisuje otwarcie kasyna gry gdzieś na dalekiej granicy austro-węgierskiej monarchii. Jest rok 1913. Główny bohater

powieści, Słowiec, Karol Józef, ze swym wiernym cesarzowi rodem Trottów, uosobienie trwałości, ale też i szybkiego upadku państwa oraz symbol losu monarchii, styka się z typowym życiem oficerów: manewrami, służbą, rozrywkami, marzeniami o przygodach. W marzeniach wszystkich oficerów pojawia się właśnie kasyno gry, jedna z tych instytucji, które w owym czasie wnoszą tak wiele emocji i ożywienia, zwłaszcza w życie towarzyskie kurortów na wszystkich krańcach ck monarchii. Przecucie wojny wisi już w powietrzu, zmienna kulka w ruletce historii zaczyna toczyć się coraz szybciej. Jak los Karola Józefa przy prawdziwym stole w prawdziwym kasynie. A z nim również los sławnego, starego imperium.

Nie trudno wyobrazić sobie towarzystwo oficerów w Portorożu, ich austriackim uzdrowisku. Od 1913 roku w willi San Lorenzo zaczyna wirować niezwykle atrakcyjna, a jednocześnie szalenie niebezpieczna kulka, jej niemożliwy do przewidzenia bieg w cichym, spokojnym kurorcie zastępuje im burzliwe przygody na polu walki: Po raz pierwszy usłyszeli chrobot małej kulki i pojęli, że to szczęście samo wiruje pośród nich, aby trafić dziś do tego, jutro do tamtego (...) Wszystkich ogarnął szal rulety,

coraz więcej oficerów przychodziło do sali gry. Nie wiadomo skąd przychodzili również obcy panowie w cywilu. Oni to rozpalali graczy, wyciągali z portfeli wielkie banknoty, z kieszeni kamizelek złote dukaty, zegarki i tańczuszki, z palców zdejmowali pierścienie. Wszystkie pokoje w hotelu były zajęte.²

Nie wiemy, jak było w innych zakątkach monarchii, ale w Portorożu wkrótce znaleźli się ludzie, którzy robiąc porządek z hazardem panów oficerów podnieśli go do rangi spotkań towarzyskich, jak przystoi pozycji oficera i spokojnemu, szacownemu kurortowi. Zorganizowano *Kasyno Gry dla Cudzoziemców*, utworzono zarząd i przygotowano Statut dokładnie określający zasady przyjmowania w skład zarządu i kierowania kasynem. Zaproszono „znakomite osobistości”, bezzwłocznie wyłączono członków „winych oszczerstwa”. Panowie: Hans von Reininghaus - główny przedstawiciel, Pietro Fonda - prezes i Mariano Petronio - dyrektor, dzięki *Kasynu Gry dla Cudzoziemców* mieli zamiar „przyczynić się do rozkwitu życia towarzyskiego w uzdrowisku”, jak to zostało zapisane we wstępie do Statutu. Kasyno od samego początku, od 1913 roku, było więc nie tylko miejscem poszukiwań zmiennego szczęścia i burzliwych przeżyć, lecz również miejscem, gdzie organizowano „wieczory muzyczne, zabawy taneczne, wystawy, najróżniejsze przedstawienia i gry sportowe”. Dzisiejsi spadkobiercy tradycji towarzystwa *Kasyno Gry dla Cudzoziemców* twierdzą, że dzięki swej uniwersalnej dokładności Statut mógłby, z niewielkimi zmianami, być wykorzystany nawet w czasach obecnych. Od samego początku, który tak barwnie opisuje Joseph Roth, kasynu gry towarzyszy więc nie tylko dramatyczna atmosfera, ale i chłodny nadzór, porządek, organizacja, fachowość i dbałość o rozwój całego regionu. Nawet wówczas, gdy wszystko wydaje się kuracjom tak swobodne, tak nieskrępowane, nawet wówczas, gdy odsuwają stoły i tańczą w takt walców Lehera, gdy słuchają koncertów lub oglądają przedstawienia teatralne, bo, nie zapominajmy, wojny jeszcze nie ma. Jest natomiast śródziemnomorskie słońce, morze, czas wolności i swobody. Również potem, gdy na promenadzie orkiestra gra marsz Radetzky'ego. W jego rytmie ofice-

rowie wracają do swych regimentów, przy jego dźwiękach przybywają następni i kulka ruletki wiruje dalej.

HOMO LUDENS

Słynny tryptyk Hieronima Boscha przedstawia scenę nagradzania dobrych uczynków doczesnego życia na tamtym świecie i karania za grzechy popełnione na tym świecie. Możemy też scenę, w którym *Ogrodzie rozkoszy*, odnaleźć też scenę, w której wielki malarz pokazuje, co czeka hazardzistów po śmierci. Konsekwencje gier hazardowych są straszne: obrzydliwe zwierzę pełźnie po ciele karciarza, ręce ma ów grzesznik przeszyte sztyletami, na jego twarzy maluje się czarna rozpacz. Jak to właściwie jest z tymi grami hazardowymi? Dlaczego w średniowieczu obiecywano graczom tak straszliwe kary, dlaczego później zawsze ostrzegano innych przed ich skutkami, a mimo to szerzyły się one coraz bardziej, wciągając w swą orbitę coraz to większe rzesze ludzi?

Gry są tak stare jak stara jest kultura i cywilizacja. Najstarsze ślady dowodzą, że gra służyła rozrywce, że realizowała się w niej skłonność do namiętnego ryzyka. Zawsze była i pozostała podstawowym elementem życia człowieka, a w różnych postaciach jego towarzyszką do dnia dzisiejszego. Może teraz nawet bardziej niż kiedykolwiek do tej pory. Holenderski historyk Johan Huizinga w dziele *Homo ludens*, badając fenomen gry, stwierdził, że jest ona jednym z fundamentów kultury, zasadniczym składnikiem wielu dziedzin życia, takich jak nauka, sztuka, język; jest działaniem, którego z całą pewnością nie narzucają człowiekowi bezpośrednio potrzeby życiowe. Wymaga jednak od niego inwencji i wyobraźni. Jest więc swobodnym działaniem, jej zasady mają charakter dobrowolny, choć bezwzględnie obowiązują jej uczestników. I gra na pieniądze, połączona z ryzykiem, gdzie wynik zależy od przypadku, zwana dzisiaj pejoratywnie hazardem, odpowiada dokładnie temu opisowi. Słowo „hazard” pochodzi z języka arabskiego, oznacza ślepy los, okazję, przypadek, szczęście. Ale wynik gry nie zawsze zależy

od tych czynników, często też od zręczności gracza, od umiejętności panowania nad nerwami. Czyż jednak nie dzieje się tak w przypadku wielu form aktywności życiowej człowieka? Element gry zna każdy twórca. A nawet tak trzeźwi ludzie jak biznesmeni (rynek, akcje, giełda), nie mówiąc już o zakładach i loteriach, które dziś znają właściwie wszyscy.

Dla grających współcześnie w ruletkę, będącą koncentratem ryzyka i rozumu, to ekscytujące koło jest także skutecznym środkiem przeciw nudzie, środkiem paradoksalnie uspakajającym graczy. Pomaga zapominać, rekompensuje, a jednocześnie w podnieceniu przynosi zadowolenie podobne do tego, jakie zdarza się w chwilach tworzenia. Jest wystawianiem na próbę samego siebie i aktem kontroli. Próbą szantażu wobec pomyślnego trafu. Światem rządzi przypadek, ślepy los, jednoczesność szczęścia i rozumu.

Ruletkę chyba naprawdę wynalazł francuski filozof i matematyk Blaise Pascal w czasie studiów nad rachunkiem prawdopodobieństwa. Nie wiadomo, kto uczynił z niej rozrywkę i hazard, choć jest jasne, że ta abstrakcyjna, matematyczna tarcza z wirującą kulką zmieniła oblicze zachodniej cywilizacji, w krótkim czasie stała się metaforą zmiennego losu człowieka, oscylującego między świadomą decyzją a przypadkiem. Rzeczywiście, ruletka skupiła w sobie tę wiedzę o człowieku, którą posiadał on przed jej wynalezieniem. Znał koło fortuny, wiedział, że koło to się kręci: raz jest się na górze, a raz na dole. W anonimowym zbiorze pieśni z XIII wieku *Carmina Burana*, znanym dziś dzięki muzyce Carla Orffa, na stronie tytułowej widnieje obraz takiego właśnie koła. *Fortuna rota* kręci kołem ze zmieniającymi się postaciami swej przychylności: *regno* (panuję), *regnavi* (panowałem), *sume sine regno* (jestem bez władzy), *regnabo* (będę panował), i znów w koło, wszystko od nowa.

Homo ludens, który późną, nocną porą siada do gry za zielonym stołem, zna tę zasadę, choć, gdyby nie zdobył się na odwagę, będącą tak samo elementem życia człowieka, nie próbowałby jej prowokować. Nigdy by nie ryzykował, jeśli nie wziąłby sobie do serca słynnej maksymy Cyserona, Terencjusza, Wergiliusza i innych, szczęśliwych i nieszczęśliwych

Rzymian: *Fortes fortuna adiuvat* (Odważnym szczęście sprzyja).

OD KLASZTORU DO KASYNA

Dzisiaj kasyna otwiera się wszędzie tam, gdzie można spodziewać się przepływu ludzi i pieniędzy. Podróżujący współcześnie człowiek natrafia na napis „Kasyno“ także w najmniej oczekiwanych miejscach, pośród wielkiego miasta i z dala od jego zgiełku, a nawet na pustkowiu. Przypomnijmy sobie tylko Las Vegas i jego monstrualnie wielki „przemysł hazardowy“. W początkowej fazie rozwój saloonów gry jest jednak ściśle związany z tradycją kurortów, miejscowości wyróżniających się szczególnie dogodnymi warunkami naturalnymi i klimatycznymi, dokąd przyjeżdżano po zdrowie i wypoczynek, po rozrywkę. I znajdowano również czas na tak ekscytujące i śmiałe poczynania, jakimi było ryzykowanie majątkiem, a niejednokrotnie też życiem. Na grę rozumu i przypadku, chaosu i podporządkowanej określonym regułom metody. Jak Dostojewski w Wiesbaden, Hamburgu, Baden-Baden, tak wielu innych gości modnych kurortów pod koniec ubiegłego i na początku obecnego stulecia chciało przede wszystkim zabawić się i wypocząć, lecz potem, ostrożnie lub z całej duszy, oddawało się ryzykownej grze. I choć dzisiaj wielu gości przyjeżdża do Portoroża głównie (lub tylko) po to, by zagrać, nie jest przypadkiem, że kasyno stoi właśnie tutaj, gdzie Europa Środkowa i Kras łączą się z Morzem Śródziemnym i gdzie Morze Śródziemne oraz Adriatyk głęboko wdzierają się w europejski kontynent, pod Alpy, a w łagodnej zatoce Portoroża obcują ze sobą skały i woda, bujna roślinność i słońce, ich upajające wonie i ostre wiatry Krasu; w tym miejscu od dawna zatrzymywali się ludzie, przede wszystkim po to, by odpocząć, zregenerować ciało i ducha lub po to, by wzbudzić w sobie słabnącą radość życia.

Jakkolwiek brzmi to niewiarygodnie, jednak jest prawdą; jako miejsce o właściwościach leczniczych zatoka była znana już w XIII wieku. Benedyktyni, którzy wybudowali tu swój klasztor św. Wawrzyńca, leczyli chorych, zwłaszcza na reumatyzm, a także

cierpiących na puchlinę i zapalenie węzłów chłonnych. Stosowali metodę dobrze znaną wśród okolicznej ludności zajmującej się warzeniem soli — solankę. I okłady z solankowego błota. Czy dobrzy, pobożni mnisi czynili to z dobrego serca, ku chwale Bożej i chwale swego szacownego zakonu, czy też otrzymywali za swe lecznicze usługi również ziemską zapłatę i w ten sposób postawili podwaliny pod przyszłą turystykę i rozwój uzdrowiska? Nie mamy na ten temat żadnych informacji. W każdym razie wiadomo, że z bliska i z daleka przyjeżdżano nad zatokę, by podleczyć nadwątlone zdrowie, a po drodze kupowano sól z pobliskich warzeln soli. Także i oliwę z oliwek, i wino, przyroda bowiem zawsze była tu hojna, a ludzie potrafili wykorzystywać jej dary. Ci, którzy w łagodnym klimacie, nad spokojną zatoką, wśród migdałowców, oliwek i drzew owocowych żyli od dawna. Świadczą o tym ruiny starej rzymskiej budowli *villa rustica*; w pobliżu Portoroża pieczołowicie odkopują ją teraz archeolodzy. Nic specjalnego, o czym mogliby pisać kronikarze, nie działo się w tej okolicy. Czasem tylko ktoś szukał tu schronienia lub zjawiał się na krótko. Jak wenecki doża Enrico Dandolo, który w 1202 roku schował się w spokojnej zatoce przed burzą. Albo wenecki admirał Carlo Zen. Przyplął tu w 1360 roku, by po bitwie z Genuńczykami w zacisznym ustroniu naprawić swe okręty.

W zatoce nazwanej *Santa Maria Rose*, *Santa Maria delle Rose*, *Porto delle Rose*, *Porto Rose*, *Porto-rose*, *Rożni zaliv*, *Portoroż* zawsze toczyło się życie, któremu patronowała nie polityka i nie historia, lecz praca i wypoczynek, a także rozmyślanie i modlitwa pod opiekuńczym okiem Matki Boskiej Różańcowej. Jej to jest poświęcony nowy kościółek wznoszący się pośród nowoczesnych hoteli. Kto chciałby zobaczyć ślady dawnej świetności politycznej, handlowej i kulturalnej tej okolicy, będzie musiał udać się do pobliskiego Piranu, Izoli lub Kopru, niegdyś kwitnących miast. W apogeum swego rozwoju na lądzie i morzu współzawodniczyły one nawet z Republiką Wenecką, choć większość czasu egzystowały sobie spokojnie w jej granicach.

Jednak miejscowi kronikarze zanotowali pewne wydarzenie, które, ich zdaniem, było na tyle ważne,

że opisali je bardzo dokładnie. Cóż innego mogło to być, jeśli nie wesoła zabawa? W 1689 roku urządzono w zatoce zawody między galerami. Wziął w nich udział wenecki doża Francesco Moroscini, a towarzyszyły mu liczne statki, jazda, wspaniała świta. Na statkach bawiono się doskonale: śpiewy, tańce, czerwone i żółte żagle, powiewające flagi, salwy, sztuczne ognie. Ukoronowaniem wszystkich atrakcji były regaty pań.

Bracia zakonni żyjący nad zatoką mieli więc do czynienia nie tylko z chorymi i ludem spokojnie wazującym sól, lecz również z hulankami, z rozpustą. I co za przypadek: właśnie tam, gdzie niegdyś wznosił się klasztor, który jakby legł u podstaw rozwoju turystyki w Portorożu, stoi obecnie hotel „Metropol“, a obok niego kasyno, dzisiejszy *spiritus movens* działalności turystycznej nad zatoką. Prawdopodobnie zacięci mnisi – przypomnijmy sobie teraz obraz Hieronima Boscha – nie byłiby zachwyceni takim dziedzictwem. Grzech jednak nie zrodził się dzisiaj, lecz w czasach monarchii austro-węgierskiej. Właśnie w tym miejscu stała Villa San Lorenzo, zbudowana w 1830 roku, najpierw zakład leczniczy dla austriackich oficerów, a potem sala gry. Poniżej zaś wyrosło pierwsze na tym wybrzeżu kąpielisko.

FRAUN GENERALIN I PANY KUCHARČKA

Ów rodzaj hedonizmu, który dziś nazywamy turystyką, tak ściśle związany z kasynem gry, zaczyna istnieć dopiero wraz z Austrią. Nie od razu, nie w roku 1797, gdy kraje te przestają być częścią Republiki Weneckiej i wchodzi w skład państwa austriackiego, lecz zaledwie trzydzieści trzy lata później zostaje zbudowana tylokrotnie już wspomniana Villa San Lorenzo. W 1890 roku przedsiębiorczy, zaradni tubylcy i przybysze z innych stron państwa organizują spółkę akcyjną. Buduje ona dom uzdrowiskowy, kąpielisko, a nieco później słynny hotel „Palace“ z kąpielami błotnymi. Na przełomie stuleci wyrasta wiele hoteli i ponad sto willi. Stara, istro-romańska, a częściowo też słowiańska ludność trudniąca się rolnictwem, rybołówstwem i produkcją soli pozostaje

w mniejszości. Okolica i rytm, jakim żyje, zmieniają się szybko, większość potrafi się przystosować, niektórzy jednak wyjeżdżają. Urzędnicy, goście, pacjenci i letnicy tworzą teraz międzynarodowe towarzystwo, które w krótkim czasie wprowadza całkiem inny styl życia. W 1913 roku, a więc w roku oficjalnego powstania kasyna, w Portorożu przebywa 7250 turystów z dzisiejszej Słowenii, Chorwacji, Austrii, Czech, Węgier, Niemiec, no i Włoch, także z Rosji, Francji, a nawet Turcji i Egiptu. Hotele, restauracje, kawiarnie, lekarze, kupcy, fryzjerzy i obowiązkowo – fotografowie. Właśnie tym pogodnym ludziom, mającym w sobie trochę z natury włóczęgów, a trochę lekkoduchów artystów, możemy być wdzięczni za sterty fotografii, które dzisiaj oglądamy z odrobiną życzliwej ironii, a które przed naszymi oczami wyczarowują to radosne i bogate życie Portoroża z czasów tuż przed I wojną światową. Fotografii świadczących o pokoju i spokoju: panie i panowie wśród cyprysów i róż, w eleganckich strojach, układanych spódnicach i w krawatach, z parasolkami od słońca i laskami w ręku. Nieco sztywni, co zapewne jest skutkiem pozowania do zdjęcia, nie mogą jednak ukryć radości i pogodnego nastroju. Konwencje trzeszczą w szwach. Te lekko kiczowate pocztówki o pastelowych barwach z delikatnie brązowym odcieniem, z jaskrawoczerwonymi różami, fioletowymi panoramami, błękitnym, a czasem zielonkawym morzem, dorożkami i promenadami, tramwajem i ogródkami restauracji budzą niepowstrzymaną chęć wstąpienia w ten słodkimi kolorami malowany świat. Jedna pocztówka wędruje na adres: Frau Generalin Köstelbetzky, Wien; drugą dostanie Boženka Hanaková, kuharčka, restaurant p. Svobody, Brno, Moravia. Jakie uczucia wywołują te łagodne obrazy w sercu pani generałowej z Wiednia i kucharki z restauracji w Brnie, gdy obracają w rękach pocztówki znad morza? Z całą pewnością – czułe. Może z jakiegoś szczególnego powodu nostalgiczne. Niezgrabny, lecz niezawodny aparat fotograficzny rejestruje również muskularnych mężczyzn, siedzących z wesołym towarzystwem w łódkach i kobiety kąpiące się w morzu, siedzące na plaży, spacerujące pomiędzy kabinami kąpielowymi w czerwono-białe pasy, po drewnianych chodnikach, wśród kolorowych leża-

ków. W kostiumach kąpielowych, które dzisiaj powodują niekiedy wybuchy szaleńczego śmiechu. Kto jednak mówi, że dziewczyny w tych strojach są śmieszne, ten nie ma pojęcia o pięknie. A jeszcze mniej wie ów ktoś o „zakrywaniu“, co z prawdziwym lub obłudnym wstydem odsłania bardziej wyzywająco niż cała współczesna nagość na plażach naturystów.

W kasynie jasnowłosa dziewczyna z Wiednia cały wieczór śpiewa walce Lehara, a późną nocą — gdyby tylko Frau Generalin wiedziała, gdzie jest teraz Herr General! - podniecającą, bardzo śmiałą piosenkę: *Pod sukienką mam różowe dessous albo nawet Kiedy po nocy mitosnej wędruję o samym świecie...*

A świty są rzeczywiście coraz bardziej szare. W 1914 roku wybucha wojna, dźwięki marsza Radetzky'ego, w takt którego oficerowie wyruszają na wojnę, mieszają się z grzmiotem armat dochodzącym z pobliskiego frontu nad Sočą. Tam rozgrywają się straszliwie krwawe bitwy. Portoroż jest zakładem leczniczym i lazaretem. Kulka ruletki toczy się zresztą dalej, lecz wokół niej jest coraz mniej bez troski. Zamienia się w grę, która pozwala zapomnieć wszystko co złe i bezsensowne w tym przemijającym świecie. Przyprawiający o zawrót głowy bieg jej kulki staje się coraz wolniejszy, aż pod koniec wojny, bardzo zmęczona kulka zamiera. Włosi, nie wiadomo dlaczego, przerywają działalność kasyna.

INTERMEZZO

Okresowi, który nastąpił później, można by nadać nazwę *interregnum*; jest to jednak termin historyczno-polityczny. W stosunku do miejscowości, jaką jest Portoroż, bardziej pasuje określenie *intermezzo*. Czasy były ciężkie, Europę ogarnęła fala społecznych i narodowych konfliktów, zbliżały się jeszcze cięższe lata. Ale dla Portoroża czas biegł dalej, choć nie w takim tempie jak przed I wojną światową. Pojawili się poważni konkurenci: Grad, Abano koło Padwy, no i oczywiście Wenecja. Ogromne austro-węgierskie zaplecze wraz z upadkiem monarchii przestało istnieć. A mimo to wyrosło kilka nowych willi i restauracji, Portoroż nadal łączyła z sąsiednimi

miejscościami i Triestem linia tramwajowa, wprowadzono ponownie regularne połączenia morskie, w zatoce utworzono lądowisko dla hydroplanów. Ku niezadowoleniu letników, bowiem hydroplany, a było ich coraz więcej, powodowały wypadki wśród ludzi zażywających kąpiele morskich. Ale ku chwale miasta, które zapisało się w historii włoskiego lotnictwa cywilnego: 1 kwietnia 1926 roku z Portoroża wystartował hydroplan, pierwszy samolot na pierwszej regularnej linii Portoroż - Triest - Toronto.

Lądowisko dla hydroplanów wkrótce zaczęło służyć jako plac ćwiczeń, najpierw dla cywilnych, później zaś wojskowych pilotów. A w ogóle, jakkolwiek brzmi to osobliwie, historia tej spokojnej miejscowości wiąże się w tym stuleciu bez przerwy z wojсками. Austriackich oficerów zastępują włoscy piloci wojskowi, po 1943 roku w Villa Maria, gdzie dziś znajduje się najnowsza część kasyna, był sztab niemieckich jednostek wojskowych, po 1945 roku wprowadził się do niej jeden ze sztabów armii jugosłowiańskiej. Owo ustronne miejsce służące wypoczynkowi i różnorodnym przyjemnościom nie uniknęło więc trudnych doświadczeń historii, tak jak nie ustrzegł się przed nimi żaden europejski zakątek. Przemoc zrodziła opór. Na pamiątkę tych ciężkich dni stoi dziś w centrum Portoroża pomnik poświęcony partyzantom. Turyści biorą go za fontannę. I tak jest naprawdę: woda pamięć przynosi i zabiera, rzeczy złe przemijają tak samo jak dobre.

Był to przede wszystkim czas *intermezza* dla kasyna, w którym zatrzymała się kulka ruletki. Ale nie pamięć o niej. W pełnych napięcia, niekiedy ciężkich, powojennych czasach, czasach rewolucyjnych, o takich rzeczach jak kasyno gry nie można było nawet myśleć. Zyski z turystyki, tym bardziej kasyno, były produktem zgniłego kapitalizmu. Nie znaczy to jednak wcale, że położono kres radościom zwykłych ludzi. Nad obiecaną zatokę zjeżdżają się ci, którzy po raz pierwszy widzą morze, jak niegdyś pierwsi słowiańscy osadnicy, podziwiają olbrzymią, lśniącą tafelę morską. Masy pracujące przybywają do domów wczasowych na wypoczynek. I bawią się znakomicie przy rybach i butlach wina w słomianej plecionce. Życie w swych „rozrywkowych“ postaciach nie zmienia się i nie zatrzymuje. Przyjeżdżają też, o ile

nie są tubylcami, przedsiębiorczy ludzie, którzy zaczynają śmieiej planować i realizować wyższe formy turystyki na wybrzeżu. Wybuch radości podróżowania i wakacyjnej gorączki w Europie zastaje ich już częściowo przygotowanych. W latach sześćdziesiątych, gdy opada napięcie polityczne, gdy otwierają się granice, Portoroż staje się nagle słoweńską metropolią turystyczną. Miejscem, gdzie kręci się filmy, o którym śpiewa się piosenki, dokąd ucieka się przed troskami i brzydką pogodą w głębi kraju. Miejscowość, jak zawsze w spokojnych i stosunkowo dostatnich czasach, nagle ożywia się i nie kryje swych europejskich ambicji. Śmiało opiera się na tradycji i nowej przedsiębiorczości. W okresie tak zwanego liberalizmu lat sześćdziesiątych w Słowenii dojrzeła idea, która jeszcze przed dziesięciu laty była czymś nie do pomyślenia: ponownie trzeba otworzyć — kasyno. Pomysł rodzi się w stosownej chwili, w Portorożu wyrasta niemal nowe miasto, Europa przeżywa prawdziwy boom turystyczny. Twórcą odważnego projektu, co wkrótce już okaże się jednym z głównych motorów rozwoju całego „przemysłu“ turystycznego w Portorożu, jest Nino Spinelli, działacz bankowy i gospodarczy, przedsiębiorczy organizator i, w pewnym sensie, również ryzykant, by nie powiedzieć - hazardzista. Nie brakuje różnego rodzaju wątpliwości i kłopotów, ale w 1964 roku skupszczina gminy Piran uchwała krótki akt powołania do życia kasyna. A ponieważ nie można zaczynać z niczego, Spinelli zaprasza krupierów i część personelu z San Remo, dzięki któremu lokalni mistrzowie wyuczą się tego trudnego, w powszechnym mniemaniu awanturniczego, w rzeczywistości zaś wymagającego wyjątkowej dokładności, zajęcia. Dlatego kasyno w Portorożu do dziś zachowuje niektóre cechy szkoły gry z San Remo.

LA BANQUE EST OUVERTE!

I biała kulka znów zaczyna się toczyć, podobna do mlecznobiałego kręgu zakreślonego wokół czerwonych i czarnych pól. Ruleta wydaje się tylko grą jak każda inna, jednak już od ponad stu lat jest grą hazardową w jej najbardziej abstrakcyjnej, najdosko-

nalszej formie. Grą, której zasady są bardzo proste, zaś związek między ryzykiem a wypłaconym wkładem bardzo jasny. Grą, która stała się nie tylko materiałem dla najlepszych dziennikarskich piór, jakim było pióro Egon Erwina Kisch, nie tylko dla literackiego geniusza, jakim był Dostojewski, sam przeżywający przy niej najwyższe wzloty i najgłębsze upadki, nie tylko dla Stefana Zweiga i wielu innych, lecz także źródłem anegdot o nadziei, szczęściu i okrucieństwie porażki. Film traktujący w sposób artystyczny, a najczęściej tanio romantyczny temat ruletki i ludzkich namiętności przyczynił się w ostatnim czasie do coraz większej jej popularności. Felietonowe historie o matematycznych geniuszach i dziwakach, co znaleźli klucz do sukcesu, kryminalne historie o oszustach – *poussetiste* (jak ich nazywają krupierzy w swym żargonie), co próbują grać na kombinacje z poprzednich stawek i w ten sposób oszukać kasyno, sentymtalne, chwytające za serce opowieści – wszystko to porusza wyobraźnię obserwatorów ludzkich losów, niejednokrotnie samych graczy, rzadko zaś zarządzających i właścicieli. I wszystko to, jakkolwiek czasem działa na zasadzie ostrzeżenia, nie zmniejsza, lecz stale zwiększa liczbę tych, którzy chcą rzucić wyzwanie swemu szczęściu. Kiedy w kasynie gry w Portorożu, jak zresztą w każdym innym, co wieczór szef stołu oznajmia: *Messieurs - Dames la partie commence a la table*, dla każdego, kto z zimną krwią lub bijącym mocno sercem siada za stołem, staje się jasne, że może wygrać bądź stracić. I tak samo jest świadom tego, że na pewno wygra, choćby z bardzo małym zyskiem, kasyno. Żadne tego nie ukrywa. Ruletka to abstrakcyjna, matematyczna gra, w jej abstrakcyjności tkwi jej „fair - play”, żeby nie powiedzieć – „bezstronność”. Tak więc biją i bić będą coraz szybciej serca graczy za stołem, gdy krupier w różnych odstępach czasu będzie oznajmiał: *Plein et les chevaux* lub *Deux et les angles*, aż do chwili ostatniej nadziei: *Messieurs a la derniere*, gdy cichnie upajający szum i gasną zyrandole.

Mówiąc o kasynach mamy na myśli dobrą, starą ruletkę, którą w Portorożu nazywają „klasyczną”. Z ubiegłego stulecia ciągnie się za nią nazwa „królewska”. Ale istnieją także inne, o wiele bar-

dziej fascynujące gry, na przykład *Chemin de fer*, przy której wybrane towarzystwo z zimną krwią i skoncentrowaną uwagą spędza w kasynie całe noce. Albo popularna, prosta i szybka gra w karty *Black Jack*, prowadzona zręcznie i szarmancko przez młode damy, a także nowsza *Trente et quarante*.

I tak jak gdzie indziej na świecie, także w Portorożu istnieje niebezpieczna konkurentka ruletki klasycznej – *American Rouletts Wheel*. Wraz z tym uproszczonym wariantem zaczyna gościć w kasynach również nowa terminologia, coraz lepiej znana z codziennego żargonu różnych języków: *deal, hard, soft, push, last shoe*. W kasynie w Portorożu na pierwszym piętrze znajduje się odrębna, „amerykańska sala”. Obok niej słychać metalowy brzęk i hałas oznajmiający nadejście nowych czasów, zainagrowanych w przemyśle hazardowym Las Vegas i Atlantic City. To automaty do gry, „slot machines” produkujące kondensację szczęścia i ryzyka, wygranych i przegranych. Otwarta niedawno Villa Maria, stojąca pośród pięknego parku w centrum Portoroża, jest wyposażona w najnowsze osiągnięcia nadciągających czasów. W wolnych chwilach grający w ruletkę chętniej będą grali w „damę”, niż pociągali za dźwignię automatu, ale nadchodzące czasy są bezlitosne. Wielkie, romantyczne historie pozostają tylko historiami, choć nie znaczy to, że dramatyczne momenty ryzyka nie powtarzają się w kasynach co wieczór. Gra staje się masową, niemiłosiernie demokratyczną zabawą, coraz bardziej związaną z tłumami turystów przelewających się po wszystkich kontynentach. Nawet czasy obowiązkowych krawatów, które dla zapominalskich trzymano przed laty w szatni, już minęły.

To oczywiście nie znaczy, że nie będzie już wrować kulka klasycznej ruletki. Nadal pozostaje ona najważniejszą grą w kasynach dbających o swe dobre imię. Tylko nie jest już jedyna i królewska.

TANIEC ŻYCIA

W głębi Istrii, niedaleko Portoroża, znajduje się stara słoweńska wieś Hrastovlje, położona na krańcu otoczonej wysokimi górami Doliny Rižanskiej.

Może właśnie takie usytuowanie sprawiło, że zachowała się nie tylko stara, wiejska architektura, lecz także kościół z XII wieku, później otoczony murem obronnym przeciwko Turkom. W tym zakątku przez długie stulecia istniała tajemnica, którą historycy sztuki odkryli zaledwie kilkadziesiąt lat temu. Na jednym z fresków został namalowany *Taniec śmierci*. Tuż po odkryciu, również w międzynarodowych kręgach, zaczął uchodzić za jedno z najbardziej oryginalnych ujęć tego wyjątkowo ulubionego w dziewiętnastowiecznym malarstwie tematu. *Taniec śmierci* mówi oczywiście o przemijaniu życia, o śmierci, bezlitosnej, a jednocześnie sprawiedliwej: zarówno żebraka, jak i biskupa czy króla w tanecznym korowodzie poprowadzi do otwartego grobu. Jeśli ten fresk jest znakiem swego czasu, odbiciem nastroju człowieka średniowiecza mającego stale przed oczami *ars moriendi*, to możemy powiedzieć, że wszystko, co dzieje się wokół tego kościółka, w życiu człowieka XX wieku, wyraża inny nastrój: *ars vivendi*. A więc nie sztukę umierania, lecz sztukę życia. Tym właśnie nastrojem, który ogarnął Europę po II wojnie światowej, możemy sobie między innymi wytłumaczyć niezwykle rozwój turystyki, tłumy nowoczesnych nomadów wyruszających wiosną i z początkiem lata na południe kontynentu. A słoweńskie wybrzeże od Portoroża po Koper, z morzem, słońcem, bujną roślinnością, dramatycznym krajobrazem w głębi Istrii istnieje od dawna jakby po to, by rozwinęła się tu sztuka życia. Nie tańca śmierci, ale tańca życia, tańca radosnego przetrwania. Stare oliwki, winorośl, drzewa owocowe, kwiaty Krasu i Morza Śródziemnego. Dojrzałość, owoc, smak i woń. Tylko kilkadziesiąt kilometrów do Kopru rozciągają się rozległe polany otoczone dębami, pod którymi, w słynnej Lipicy, przechadzają się jeszcze słynniejsze konie. Czterechsetletnia stadnina, dzięki cesarskiemu Wiedniowi znana na całym świecie. Niedaleko stąd niezwykle dzieło natury, Skocjanskie jaskinie. Wyglądają tak, że Dante mógłby w nich znaleźć inspirację dla swego *Piekieła*. W porównaniu z ich groźnymi wązami i przepaściami lepiej znane jaskinie w Postojnej rzeczywiście wydają się bardziej cywilizowane, mają przecież słynną tradycję, koncerty organizowane pod kryształowymi stalaktytami... Wsie na

Krasie i Istrii: Koštabona, Motovun, zamki Socerb, Podpeč, Branik. No i same miasta leżące nad morzem, nazywanym przez Słoweńców „oknem na świat“, w których, wraz z handlem i rybołówstwem, rozwijała się zawsze w sposób szczególny architektura i sztuki plastyczne. Piran, jak zakotwiczony, kamienny statek spoczywa na wąskim półwyspie, cały z jednej bryły, z kościołem św. Jerzego wznoszącym się nad miastem. Izola i jej późnobarokowa architektura. Koper, administracyjne i gospodarcze centrum wybrzeża słoweńskiego, wyrosło na wyspie, z czującymi pałacami niegdyś możnych rodów Alemrigona, Belgramoni – Tacco, z Domem Perkavca, Loggią, katedrą, Pałacem Pretorów.

Wszystkie te cuda natury, stare wsie, stare nadmorskie miasta, wszystko to leży na małej przestrzeni, od dawna dane człowiekowi po to, by cieszył się życiem, które toczy się właśnie teraz i które było tu przed nim.

Człowiek jest nie tylko *homo ludens*, kasyno to nie tylko ruletka. Człowiek jest także *homo faber*, a kasyno przedsięwzięciem turystycznym. Jak niegdyś *Kasyno Gry dla Cudzoziemców* założone w 1913 roku nie istniało wyłącznie dla zabawy, lecz stawiało sobie za cel „przyczynić się do rozkwitu wszelkich form życia kurortowego w tych stronach“, tak kasyno nie działa wyłącznie z powodu ludzi oddających się hazardowi i swych pracowników, ale i po to, by pomagać w rozwoju samej miejscowości i okolicy, by wpływać zarówno na ekspansję gospodarczą jak i służbę zdrowia, szkolnictwo, kulturę. Cały ten mecenat nie jest kwestią dobrego serca, jego sens tkwi w jakości życia. Chodzi o to, że cel zarabiania pieniędzy pozostawianych tu przez *homo ludens*, nie polega na samym ich gromadzeniu, lecz na podniesieniu stopy życiowej do takiego poziomu, który stwarza człowiekowi sprzyjające warunki do rozwoju pełnej, materialnej i duchowej egzystencji, indywidualnej i kulturowej tożsamości. Jest to zasada reprezentowana przez *homo faber*. Jedyne możliwości właściwie, jeśli człowiek chce być tym, za kogo się z dumą ogłosił, a mianowicie — *homo sapiens*. *Homo ludens* i *homo faber* są tylko integralnymi częściami jego istoty, jego przeciwstawnej natury, „częściami składowymi” jednego i tego samego życia.

ODMIENNE SPOJRZENIE

Portoroża i płynącego w nim życia nie można oglądać z perspektywy jego centrum, pośród hałasu i wrzawy tłumu turystów. Trzeba to robić z morza, nocą, pod wieczór łowiąc dźwięki muzyki i samotne, wesołe pokrzykiwania nad ranem. Jego światła i cienie. Ze wzgórza spoglądać na sznur niespokojnych refleksów wzdłuż linii wybrzeża albo jaśniejącą w blasku słońca przestrzeń nieba. I dopiero z tych różnych perspektyw stanie się atrakcyjny, stanie się magicznym światłem, które nawet samotnika i wroga tłumów, hałasu i zurbanizowanej cywilizacji przynajmniej na chwilę przekona do swych uroków. A jednak „w całości” można go ujrzeć dopiero z jakiegoś ustronnego, jakiegoś odległego miejsca, skąd z trudem dostrzeżę się zarys hotelowych budynków, rzekę samochodów płynącą ku Bóg wie jakiemu celowi. Jest to dziwny, opuszczony zakątek. Zakątek,

Drago JANČAR (ur.1948), prozaik i dramaturg słoweński. Z wykształcenia prawnik, od lat kieruje wydawnictwem Macierzy Słoweńskiej w Lublanie. Opublikował m.in.: zbiory opowiadań: *Romanje gospoda Houžvičke* (1971, Pielgrzymka pana Houžvički), *O bladom hudodelcu* (1978, O bladym przestępcy), *Smrt pri Mariji Snežni* (1958, Śmierć koło Matki Boskiej Śnieżnej), *Pogled angela* (1992, Spojrzenie anioła); powieści: *Galjot* (1978, Galernik), *Sewerni sij* (1984, Zorza polarna), *Posmehljivo poželenje* (1993, wyd. Drwliąca żądza); książki eseistyczne: *Sproti* (1984, Z miejsca), i *Rozbiti vrč* (1993, wyd. polskie w wyborze i przekładzie Joanny Pomorskiej ukazało się pt. *Terra incognita* w 1994 roku).

W roku 1994 otrzymał najwyższą w Słowenii nagrodę im. France Prešerna za całokształt twórczości. Jest prezesem słoweńskiego Pen-Clubu.

gdzie wszystko zaczęło się przed wiekami. Granica między morzem a lądem, z dala od tłumu turystów. Opuszczone żupy solne. Tutaj człowiek poprzecinał płycizny wody cienkimi pasemkami lądu, tworząc coś w rodzaju pól. W jednostajnym, wyczerpującym rytmie przez stulecia wybierał z nich sól. Całe wieki wyglądało to miejsce tak, jakby nic nie mogło się zmienić. Lecz właśnie żupy, czy też doświadczenia z uzdrawiającym działaniem solanki i solankowego błota, które wydawały się bez znaczenia, pokierowały rozwojem tych stron całkiem inaczej. Masywne, kamienne budynki stoją dziś puste, nad nieruchomą powierzchnią wody panuje cisza, czasem przeleci jakiś ptak. Życie zaś płynie gdzie indziej. Życie inne, szybkie, głośnie. Płynie rytmem całkowicie różnym od tego, który tu panował przez wieki i od ciszy, która dzisiaj przypomina pradawny spokój i symbiozę człowieka z naturą. Oczywiście, zmieniłoby się nawet wówczas, gdyby nie było żup solnych, benedyktynów, cesarskich oficerów, dam z Wiednia i nowoczesnych przedsiębiorców. A jednak zaczęło się tu, na tych opuszczonych i cichych płyciznach, by potem, w sposób nie możliwy do przewidzenia, zawirować, jak nieoczekiwanie i krótko wiruje kulka ruletki.

Dopiero stąd dobrze widać, jak *homo ludens* i *homo faber* pochyleni nad zielonym stołem, z mocno bijącym sercem obserwują bieg kulki, którą ślepo kieruje *fortuna rota*.

Przełożyła

Joanna Pomorska

1 Józef Roth: *Marsz Radetzky'ego*. Tłum. Wanda Kragen. Warszawa 1977 s. 279 - 280.

2 Tamże s. 283 - 284.

CONTENTS

KRASNOGRUDA - „The Return”. Waldemar Smaszcz
Interpretation of the poem by Czesław Miłosz entitled „The Return”, written after the poet's visit to the Suwałki area and the home Krasnogruda in 1989.

THE FORUM

„What's the use of intellectuals in the miserable times?” A discussion.

Fragments of the discussion, conducted during the Central European Forum of Culture, in Sejny and in the convent on Wigry Lake, organized by the „Borderland”. Outstanding intellectuals from Central and Eastern Europe participated in the discussion. The starting point was an analysis of the situation ten years after G. Orwell's „NINETEEN EIGHTY-FOUR”. Then, „we had the evil defined, we knew what we wanted to destroy and what we wished to fight for. Now, we are lost. We participated in the destruction of the old system, but we are not solidary any longer. We act in the short run because we are lacking the clarity of understanding.

Małgorzata Dziewulska: *Firstly, write poems. Thirdly, let's not save the world.*

A famous essayist and stage manager, literary manager of the Old Theater in Cracow, she attempts a reflection inspired by the discussion and author's meetings during the Central European Forum of Culture, a reflection concerning the intelligentsia's place and role in the countries of the former socialist block.

Ivan Čolović: *The theme of a border in see texts political mythology.*

An outstanding Serbian philosopher, ethnologist and writer, one of the founders of the „Belgrade Circle” analyses political myths connected with borders, especially in the former Yugoslavia, where „borders of new states are outlined by a pen and, even more often, by a sword.” He mentions, among others, the myth of a nation seen as a woman exposed to attacks defense of the borders identified with defense of the woman's honor, or the myth of the nation seen as a house with well guarded doors and burglars standing at the gate.

Nebojša Popov: *Military way of life.*

A comprehensive analysis of sources of the tragic war taking place in the Balkans, conducted by a prominent sociologist and writer from the „Belgrade Circle”, whose book on the Serbian populism was translated into many languages of the world. Popov seeks sources of the war in the tradition, „according to which the war is treated as a way to prove national virtues, rather than the evil.” Models of the military way of life have been preserved in old epics and are

advertised in the mass media, particularly on state television, and in school textbooks, etc.

THE LITERARY CORNER

Poems: **Marzanna Bogumiła Kielar**, the young Polish poet one of the most interesting personalities. **Stevan Tantić**, a Serbian poet from Sarajevo, presently living as a refugee in Germany; **Tomaž Šalamun**, one of the most outstanding Slovenian poets; **Zbigniew Chojnowski**, a poet from Olsztyn, connected with the „Borussia” Cultural Community; **Stanisław Szewczenko**, a Ukrainian poet.

Prose: a short story by a Gypsy writer from Budapest, **Béla Osztojkán**, the chief editor of the „Pralipe” magazine.

Drama: The second and last part of the drama entitled „Małanka” by **Teresa Lubkiewicz-Urbanowicz**.

THE STUDIO OF GRAPHICS

Otto Pankok.

Paintings in charcoal showing the life of Gypsies, accompanied by fragments of the artist's notes pertaining to the figures and events presented on the paintings. Pankok, an outstanding German artist born in 1893, member of the vanguard „Young Rhine Area” group, in 1931 joined a Gypsy camp. He created paintings showing Gypsies on the outskirts of Dusseldorf and continued the work, in spite of persecutions and the Nazi ban on his work, during the war and, with particular commitment, after its end. He died in 1966.

NATIONAL AND REGIONAL CONFRATERNITIES

Antoni Kroh: *Bukovina childhood.*

Just like the former books by the author (especially „About Szwejk and us”), this story is written with an excellent sense of humor and great expertness. This time Kroh writes about his own childhood, about the adventures of a boy from a Warsaw family of intellectuals thrown by the fate into the world of Tatra mountaineers.

Jacek Borkowicz: *The history of Russian Cossacks.*

The first of the cycle of four chapters contained in a collective work edited by J. Borkowski entitled „The Cossacks”, prepared by the Eastern Studies Center in Warsaw in 1993. A brief and unsimplified presentation of the Cossacks' history until the mass murder of this community by Stalin during World War II.

Anna Engelking, Grażyna Ruszczyk: *Polesie.*

A description of a land which was hidden from influences of the modern civilization for a long time, retaining its archaic nature and culture. Unfortunately, the original landscape and culture do not exist any more. They were systematically destroyed since the beginning of the 1960s and the annihilation was completed by the damage of the

nuclear plant in Czarnobyl.

THE STUDIO OF PHOTOGRAPHY

Stanisław Bochnig: *Polesie 1929.*

An author of photographs, teacher of natural science and excursionist was a photographer at a cataloging expedition to Polesie, organized by the Ministry of Religions and Public Education in 1929. The expedition resulted in a unique set of photographs, some of which we present. Bochnig was killed during the Warsaw Uprising in 1944.

OUT OF PRINT

Józef Albin Herbaczewski: *The renaissance of Lithuania versus the Polish idea.*

The text, coming from 1905, was written by a Lithuanian, who considered Poland his homeland. In his journalistic texts, he appeared as an eager proponent of reconciliation between Poland and Lithuania. While defending the rights of Lithuanians, he postulated for the development of their aspirations not to take place through the struggle against the Polish character. According to him, the only possibility to reconcile the Lithuanian and the Polish character in Lithuania was to create a united state - a multiethnic republic, which would respect separate characters of the constitute nations.

PERIPHERIES

Włodzimierz Paźniewski: *The borderlands areas.*

A famous essayist presents Poland and Central Europe as a borderland area, which has left a permanent impress on our identity, history and literature. Among the specific features of this borderland nature Paźniewski lists the following: the Freudian family complex, the apocalyptic vision of the decline of the world, the tendency to express reality in terms of the absurd, poetic sensitiveness in contact with the prosaic environment, the theme of escapes and returns, love for self-analysis, deep feeling of guilt, metaphysical sadness, self-irony and acceptance of suffering as an inseparable sign of the human condition.

CIRCLES OF INITIATION

Simche Keller-Skowroński: *Hasidism (II).*

The second part of the story by a young cantor in the synagogue in Łódź about the history of rabbinism. The author presents the teaching of individual rabbinical schools, the wisdom of the old masters and their continuators in contemporary Israel and the United States.

CULTURAL CIRCLES

Vilenica - a presentation of meetings of writers from the Central

Europe organized in Slovenia every year, at which a prestigious literary prize is awarded.

„Different Serbia” - a presentation of the activity of an independent association of intellectuals the „Belgrade Circle” and an independent radio „B-92”, famous for its actions against the war and nationalism.

Pécs: Gandhi and Gypsies - a discussion of the curriculum of a unique school organized by the Gandhi Foundation for Gypsy children from southern Hungary.

ODDS AND ENDS

Ewa Wiegandt: *The literary myth of the borderland versus the idea of Central Europe.*

The myth of the borderland is very lively in the Polish culture, and particularly in contemporary literature created in Poland and abroad (Vincenz, Miłosz, Wittlin, Kuśniewicz, Buczkowski, Konwicki). Recently, it has also fallen prey to the mass culture and turned into a „doting Arcadia”.

Stefan Kozak: *The Polish and Ukrainian borderland: between a conflict and a dialog.*

An analysis of the history of the relations between Poland and Ukraine, mutual influences, as well as „damned problems” between the two nations.

Waldemar Smaszcz: *Vilnius theatrical science.*

A discussion of a four volume work entitled „Vilnius-Vilnius region as a landscape and environment of many cultures”.

THE DISPLAY

A presentation of programmes of organizations and research institutions dealing with Central and Eastern Europe (Budapest, Subotica, Maribor), as well as publications (books, CD's).

CANDLES IN THE WIND

Uroš Zupan: *The Sarajevo elegy.*

A poem by a young Slovenian poet, dedicated to Josip Osti, a writer from Sarajevo, Vilenica prize winner in 1994.

THE HOUR OF THOUGHT

Drago Jančar: *A little trivial song of praise to gambling and the sea.*

An essay by an outstanding Slovenian novelist and playwright. Through a description of a casino located somewhere in Portoraje by the Austro-Hungarian border, the author in a masterly way penetrates the world of Habsburg monarchy in order to discover the rankling secrets of the human nature.



FORUM: K. Czyżewski: Europa Środkowo-Wschodnia roku 1994, czyli jak być sobą; I. Bibó: Nędza małych państw wschodnioeuropejskich; Lekcja historii profesora Rudolfa Kucery. Rozdziały z dziejów Europy Środkowej; „Zmiana perspektywy”. Rozmowa z prof. J. Kłoczowskim; G. Csordas: Tolerancja, czyli nauka o diable.

ZAŁĘK LITERACKI: M. Martinaitis, U. Zupan (wiersze); L. Kovacić, G. Kanowicz (proza); T. Lubkiewicz-Urbanowicz (dramat).

PRACOWNIA TEATRU: (Romski Teatr „Pralipe”), **MALARSTWA** (Vytautas Kairukstis), **RYSUNKU** (Otto Axer).

BRACTWA REGIONALNE I NARODOWE: A. Bartosz: Zabić Cygana-oj; A. Greimas, S. Žukas: Budzenie się świadomości narodowej wśród Estończyków, Łotyszy i Litwinów; J. Borzyszkowski: Serbołużyczanie i Kaszubi.

ANTYKWARNIA: H. Hesse: „Bracia Karamazow”, czyli zmierzch Europy; H. Orłowski: H. Hessego widzenie Rosji.

PERYFERIA: G. Beresnevicius: O samobójstwie u Bałtów.

KRĘGI WTAJEMNICZENIA: S. Keller-Skowroński: Chasydzi.

ŚRODOWISKA: Wilno-Lublin-Węgorzewo.

ŚWIECE NA WIETRZE: János Pilinszky.

GODZINA MYŚLI: V. Belohradský: Eseje.

**ADAM BARTOSZ
NIE BÓJ SIĘ CYGANA**

Książka w sposób przystępny i pełen erudycji przedstawia wędrówkę Cyganów z Indii do Europy, ich ciągłe prześladowanie aż po „zapomniany holocaust” i pogromy ostatnich lat; ich język, kulturę i obyczajowość tak długo owiane nimbem tajemnicy; ich próby ukształtowania narodu mającego swe pełnoprawne przedstawicielstwo w Parlamencie Europejskim.

Książka bogato ilustrowana (w tym fotografie barwne), zawiera indeks i aneksy prezentujące antycygańskie dokumenty urzędowe.

**GRIGORIJ KANOWICZ
KOZIOŁEK ZA DWA GROSZE**

Kanowicz w swoich powieściach tworzy świat przejmująco autentyczny i pełen tylko sobie właściwej mądrości. Ta wielka saga Żydów zamieszkujących wieś i miasteczka dawnego Wielkiego Księstwa Litewskiego z powieści na powieść staje się bardziej fascynująca i niepowtarzalna.

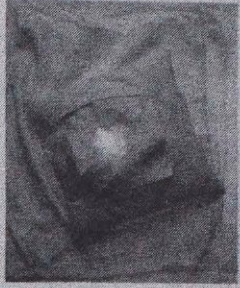
**TERESA
LUBKIEWICZ-URBANOWICZ
BOŻA PODSZEWKA**

Jak to się wspaniale czyta! Jak XIX-wieczną epopeję, romans, sagę rodzinną, powieść przygodową, ... ale jakże przy tym współcześnie brzmi ta proza: brutalna, odkrywająca bezwstydnie biologicznie bohaterów, by za chwilę tkliwie opowiedzieć o najsłodszych uczuciach, niezmiernie tęsknocie za wielką miłością i pięknem. I wreszcie prawda o inicjacji dziewczęcej!

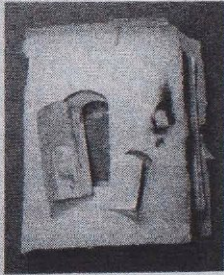
Izabella Cywińska



Teresa Lubkiewicz-Urbanowicz
BOZA PODSZEWA

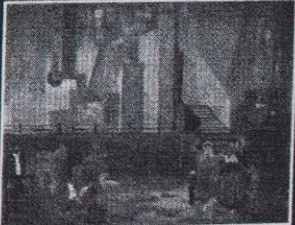


Grigorij Kanowicz
KOZIOŁEK ZA DWA GROSZE



adam bartosz

NIE BÓJ SIĘ CYGANA



NA DARA PROMESGAR

BIBLIOTEKA
KRASNOGRUDY

Ośrodek "Pogranicze - sztuk, kultur, narodów"
FUNDACJA POGRANICZE
Sejny

SPOTKANIE INNEGO

*Dom syna nie jest domem ojca,
to dom ojca jest domem syna.*
(G. Kanowicz)

